

**KAMIL M. KACZMAREK**

**CZTERDZIEŚCI**

**CZTERY**

*Jeszczeście siebie nie szukali, a znaleźliście mnie.  
Tak czynią wszyscy wyznawcy; dlatego tak mało wynika z  
każdej wiary.*

Friedrich Nietzsche, To rzekł Zaratustra

*- Hayt - powiedział Paul - czy jesteś narzędziem  
mojej zagłady? - Jeśli materia tu i teraz zmieni się, zmieni  
się przyszłość - rzekł ghol. - To nie jest odpowiedź! -  
zaprotestowała Chani.*

*- Jak zginę, Hayt? - Paul podniósł głos. Światło  
błysnęło w sztucznych oczach.*

*- Powiedziane jest, panie, że zginiesz od bogactw i  
władzy.*

*Chani zastygła.*

*- Jak on śmie mówić tak do ciebie!*

*- Mentat mówi prawdę - odparł Paul.*

Frank Herbert, Mesjasz Diuny

*Kto nie zalicza się do najmądrzejszych, nie może  
używać szpiegów. Kto nie należy do najbardziej ludzkich i  
sprawiedliwych, nie może się posługiwać szpiegami.*

*A kto nie jest wrażliwy i bystry nie dowie się od  
nich prawdy.*

Sun Zi, Sztuka wojenna

# Od Autora

Na temat „sekt” napisano mnóstwo książek. Wiele z nich ma czarne okładki. Najczęściej też wypełnione są mroczną treścią. Czy jednak katalogowanie przykładów wypaczeń w grupach religijnych przybliży nas do zrozumienia ludzi, którzy te grupy współtworzą? Czy drobiazgowo analiza procesu „werbunku” jako psychomanipulacji wyjaśnia nam, dlaczego ludzie ci w grupach tych trwają? Czy agresywne kruczaty przeciw młodym religiom czynią stare religie dojrzałszymi? Czy lęk wiązany ze słowem „sekta” czyni nas bardziej duchowo wolnymi wobec tego zjawiska?

Co ujrzałby zachowujący zdrowy rozsądek człowiek, gdyby udało mu się jakimś cudem przeniknąć do hermetycznego świata „sekt”? Właśnie do takiej podróży zapraszam Czytelnika.

Chciałbym w tym miejscu podziękować wszystkim Tym, którzy byli moimi Przewodnikami po światach nowych ruchów religijnych. Było ich zbyt wielu, by wszystkich wymienić, większość zresztą zastrzegła się, prosząc o najdalej posuniętą dyskrecję, jeśli chodzi o ich osoby.

Podziękowania należą się też wszystkim Pierwszym Czytelnikom, których uwagi współkształtowały tę książkę, a szczególnie mojej Żonie, której cierpliwości i pomocy powieść zawdzięcza swą obecną formę.

Korzystając z okazji, chciałbym odpowiedzieć na pytanie, jakie zadawali mi prawie wszyscy po lekturze: czy Zakon 44 i jego przywódca istnieją naprawdę?

Odpowiem, może nieco pokrętnie, w dwóch zdaniach: Nie istnieje Zakon 44 ani Daniel Drzewiecki. Istnieje wiele „Zakonów 44”, w Polsce i na świecie, kierowanych przez różnych guruMesjaszy. Czy to dobrze, czy też źle - pozostawiam do osądu Czytelnika.

Innymi słowy: książka ta inspirowana jest rzeczywistością, choć wszelkie podobieństwo występujących w niej postaci do realnych osób jest niezamierzone. Ale też nie jest do końca przypadkowe. Tak jak nie jest przypadkowe podobieństwo między wyborem, przed jakim stanął Parys: między miłością, władzą i prawdą, a wyborem, przed jakim staje w życiu każdy z nas.

Poznań, 5 kwietnia 2006 r.

Kamil M. Kaczmarek

PS

Książka ta powstała w latach 2004-2006. Niestety, wymyka się ona jednoznacznym klasyfikacjom, przez co trudno było do niej przekonać wydawców. Przebieg akcji przypomina powieść detektywistyczną, choć nie jest to kryminał. Książka jest też za mało jednoznaczna, by uznać ją za typową książkę „o sektach”, pisaną „ku przestrodze”. Można by zaliczyć ją do gatunku social science fiction - ale taki wszak nie istnieje.

Po kilku próbach zachęcenia wydawców włożyłem ją „do szuflady”. Powtarzające się jednak namowy osób, którym dałem do przeczytania wstępne wersje, skłoniły mnie do przejrzania tej historii raz jeszcze i opublikowania jej samodzielnie.

Dokonując tego kolejnego przeglądu, zdałem sobie sprawę, iż pewne okoliczności mogą być niezrozumiałe, zwłaszcza dla młodszych czytelników. Z dzisiejszej perspektywy idea, iż do wykonania telefonu potrzebny jest żeton, a praca na komputerze wiąże się z kilkoma „niebieskimi ekranami”, plik objętości kilku megabajtów sływa przez modem kilkanaście minut, wydaje się nieco abstrakcyjna. Tymczasem akcja powieści dzieje się w „wielkim mieście”, w drugiej połowie lat 90. dwudziestego wieku, w czasach, gdy telefony komórkowe należały do rzadkości, choć już nie były wielkości cegieł. Internet dopiero pojawił się w Polsce, zdobywając sobie przyczółki najpierw na wyższych uczelniach, a z czasem wkroczył również pod strzechy. Większość bohaterów jednak pamięta jeszcze czasy PRL i tam też sięgają korzenie wielu opisywanych zjawisk.

Poznań, 4 kwietnia 2013 r.

K.M.K

# CZĘŚĆ I

# Rozdział I

Śliwiński ze starannie skrywaną ulgą dokonywał ostatniego w tej sesji wpisu do indeksu. Ten student nie zmęczył go tak, jak można by się spodziewać z faktu, że był ostatnim. Jego odpowiedzi zdradzały nawet, poza częstą już w obecnych czasach błyskotliwością i wygadaniem, autentyczne zainteresowanie przedmiotem. Zwłaszcza odpowiedź na ostatnie pytanie „Co się panu nie podobało w tej książce”, pozytywnie go zaskoczyła. Pytanie to, albo przeciwne, o to co się podobało, o ile były zadane z zaskoczenia, stanowiły dobry probierz myślenia studenta. Mimo swojego „luźnego” z pozoru charakteru były torturą dla praktyków tępego zakuwania. Okazało się jednak, że ten student faktycznie chciał coś wyciągnąć z zadanej lektury, dla siebie jako człowieka i dla siebie jako (potencjalnego) socjologa. Jego krytyka Manifestu komunistycznego była elegancko teoretyczna, żadnych ideologicznych banałów. Argumenty nie były może zbyt pogłębione, każdy absolwent dawnych wieczorowych Uniwersytetów Marksizmu i Leninizmu łatwo by je podważył, ale... może sam kiedyś do tego dojdzie. Na tle poprzednich studentów zdających w zwykłym terminie, a zwłaszcza niektórych nadmiernie wydekoltowanych studentek, które odwiedzały go później przez całą sesję poprawkową, ten zapowiadał się obiecująco, choć był dopiero na drugim roku studiów. Wrócił właśnie z zagranicznego stypendium, w czasie którego, nie ograniczał się wyłącznie do pracy na rzecz pogłębiania braterstwa między narodami, ale skorzystał też z tamtejszej fenomenalnie zaopatrzonej biblioteki.

„No, to na pół roku koniec z egzaminami”, pomyślał profesor, zapadając się w fotelu. Gdy zamknęły się drzwi za wychodzącym studentem, wyciągnął fajkę i puszki z tytoniem. Zawsze mieszał dwa rodzaje tytoniu, zwykle odrobinę mocnej wędzonej syryjskiej latakii z delikatniejszą virginia, co w sumie dawało dość bogatą w smaku mieszankę. Wolał ją sobie sam przyrządzać, bo dostępne w lokalnej trafice zwykle miały w sobie jeszcze domieszkę pikantnego perique lub szorstkiego barleya, za którymi nie przepadał. Śliwiński uwielbiał eksperymentować z proporcjami swoich mieszanek. W dni pochmurne dawał zwykle nieco więcej latakii. W słoneczne pozwalał dominować virginii.

Po rozdrobieniu sprasowanych liści i domieszanu szczypty smolistej zawartości drugiej puszki, napełnił delikatnie fajkę, po czym ubił ją do połowy. Napełnił znowu i ubił do dwóch trzecich, na koniec dołożył jeszcze trochę ugniecionego w palcach tytoniu, który roztarty w fajce

drewnianym kołeczkiem pod wpływem ognia stawał się niewielką warstwą wesoło syczącego żaru. W przeciwieństwie do ordynarnego kopcenia papierosów wyciąganych taśmowo z paczki taki rytuał wymagał pewnego skupienia i opanowania. W połączeniu z łagodnym działaniem narkotyku - jak wierzył Śliwiński - bardzo pozytywnie wpływał na zdolności poznawcze. Paląc fajkę trudno zostać znerwicowanym nałogowcem. Fajka ma swoje prawa. Między jednym a drugim paleniem powinna minąć przynajmniej doba, w trakcie której drewno wrzośca ma szansę należycie wyschnąć.

Wygrzebał ze swojej przepastnej torby pudełko zapalek. Było prawie puste, ale tak wytrawnemu fajczarzowi wystarczyła jedna, aby zwęglić wierzchnią warstwę tytoniu, po czym drugą wystarczyło już tylko delikatnie musnąć tytoń, by żar rozgościł się w główce fajki. Wkrótce pokój zapełnił się słodkawym dymem. Dobrze, że koledzy, z którymi go dzielił, nie mieli nic przeciwko fajce, choć sami już nie palili, ulegając nowej modzie na ekologiczny tryb życia. Za jakąś godzinę, powinien przyjść na swój dyżur doktor Remielski, więc jest jeszcze trochę czasu na zajrzenie do Internetu. Profesor postanowił rozprostować nieco kości, przechadzając się po pokoju. Wyrzwał przez okno, ale widok nie był zachęcający. Nawet aura przypominała, że to już koniec wakacji. Lało jak z cebra od dwóch dni, aż nie chciało się wychodzić z przytulnego gabinetu.

Przebiegł wzrokiem po grzbietach książek, które, poupychane na starych regałach, zajmowały prawie wszystkie ściany w gabinecie. Były to raczej książki trzeciorzędne, które nie mieściły się już w domowych biblioteczkach członków katedry, duplikaty, a także trochę lektur wykorzystywanych na zajęciach ze studentami. Tak czy inaczej widok pomieszczenia ozdobionego w ten sposób robił na studentach spore wrażenie, zwłaszcza, że był to raczej wyjątek na Wydziale Nauk Społecznych i Historycznych. W Katedrze Socjologii Teoretycznej była to jednak stara tradycja sięgająca jeszcze czasów jej założyciela, który przed trzydziestu laty przyniósł komplet dzieł Marksa, mówiąc, że w domu nie „pasują mu do wystroju wnętrza”. Współpracownicy uznali, że to dobry pomysł. Uczeni nigdy nie należeli do zbyt zamożnej grupy ludzi, zwłaszcza ci, którzy bezinteresownie poświęcali się czystej nauce, toteż ich małe mieszkania szybko zaczynały być przeładowane książkami. A w ten sposób nawet w pracy mogli się czuć jak w domu.

Śliwiński rozpakował opasłą kopertę, którą odebrał rano w portierni. Zawierała najnowszy numer „Sociology of Religion”. Otworzył na stronie ze spisem treści, przeglądając

listę artykułów. Na podstawie tytułów trudno było spodziewać się po nich wiele. Wyglądało, że są to same wąsko zakrojone empiryczne studia, wynik pracy amerykańskich uczonych, którzy badając własnych studentów, ciułali punkty wymagane przez pracodawców. Był raczej krytycznie nastawiony w stosunku do współczesnej socjologii, niemniej jednak z obowiązku musiał znać rezultaty najnowszych badań czy najnowsze teorie, które pod względem merytorycznym okazywały się często starsze od Arystotelesa. Rzadko się przydawały, czasami tylko używał ich na zajęciach ze studentami, by poćwiczyć z nimi wyłapywanie sofizmatów, nadętego a pustego nibynaukowego slangu, nieuprawnionych generalizacji i tym podobnych objawów degeneracji współczesnej humanistyki. Z podobnych powodów nie cierpiał też wszelkich konferencji naukowych. Ta rubryka w jego naukowym CV prawie zawsze pozostawała pusta. Śliwiński zaliczał sam siebie do naukowców „stacjonarnych”, turystykę pozostawiając innym. Zbyt dużo ciekawych książek pozostawało jeszcze do przeczytania, aby marnować czas na konferencje. Lubił naukowe dyskusje, ale wolał prowadzić je na łamach periodyków albo poprzez emaile, do których się szybko przekonał, odkąd rok temu podłączono do Internetu wszystkie komputery na Wydziale. Nie miał może dość refleksu na szybkie riposty, a najlepsze argumenty przychodziły mu dopiero po kilkunastominutowym namyśle nad problemem. No i do dyskusji trzeba było dyskutantów. „Jakże trudno dziś o godnych wrogów” - pomyślał z żalem.

Mimo wszystko Śliwiński zaczął je przeglądać, rozważając, czy są warte lektury, gdy w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. „Cholera, jeszcze jakiś spóźnialski student?” pomyślał, ale głośno zaprosił intruza do środka.

Do pokoju weszło dwóch młodych mężczyzn, wysoki blondyn w czarnym golfie oraz nieco niższy brunet ostrzyżony „na rekruta”. Śliwiński w pierwszym momencie nie rozpoznał przybyszy, oślepiiony światłem, które brutalnie wtargnęło z korytarza w półmrok gabinetu, ale po chwili odetchnął z ulgą. Byli to jego magistranci: Michał i Jakub. Nie umawiali się z nim na dziś, ale, co oczywiste, funkcjonowali w relacjach z nim na nieco odmiennych zasadach niż inni studenci.

Ostatnio szukali odpowiedniego tematu dla swoich prac magisterskich, a że obaj interesowali się problematyką związaną z socjologią religii, trafili do niego. Dla Jakuba sprawa była bardziej nagląca, został mu już tylko rok na pisanie.

Michała Śliwiński poznał pół roku temu, kiedy zgłosił się do niego po wykładzie. Poprosił o pozwolenie uczęszczania na seminarium, niewątpliwie namówiony przez Jakuba.



Choć był najmłodszym z uczestników, dał się poznać jako uczeń niezwykle pracowity, choć może nieco zbyt pewny siebie, skłonny do pochopnych sądów. Obecnie zdał na czwarty rok, interesował się sektami, działał nawet w jednym z centrów informacji o sektach. Chciał napisać pracę albo o samym centrum, albo o jednej z sekt. Zainteresowania Jakuba, który już od roku uczęszczał na seminarium w katedrze, były bardzo podobne, ale on nie używał terminu sekta tak łatwo, generalnie był bardziej życzliwie nastawiony do nowych religii. Śliwiński domyślał się, że osobiście pewnie też penetruje okolice tak zwanej nowej religijności. Jakub miał ambicję opisanego jakiegoś ruchu religijnego, którego dotąd jeszcze nikt nie badał. Rozważał pomysł pracy o ruchu szamanistów, bo choć działali całkiem otwarcie, to nie znalazł dotąd żadnej naukowej publikacji socjologicznej o ich polskim środowisku.

Jakub i Michał różnili się pod jeszcze jednym dość zasadniczym względem: osobistego stosunku do religii. Michał był katolikiem, a nawet gorliwym katolikiem. Śliwińskiego zawsze zadziwiała, ile energii wkłada w to, aby katolikiem pozostać. Nie zadowalał się po prostu znajomością „tego, co Kościół naucza i do wierzenia podaje”, ale starał się dociec, skąd ten czy inny dogmat w credo Kościoła się wziął i jak jest dzisiaj uzasadniany. Stąd też częściej niestety czytał teologów: Rahnera, von Balthasara, Ratzingera czy Gnilkę niż Webera, Bergera, Bourdieu czy innych socjologów. Jakub odwrotnie, był, na ile Śliwiński mógł się zorientować, raczej agnostykiem, choć dużo bliżej było mu do religii Orientu, a to chyba dlatego, że jak sam powiadał, religie te same nie traktowały siebie zbyt poważnie, przynajmniej w porównaniu z monoteistycznymi religiami księgi. Śliwiński częstokroć był świadkiem ich sprzeczek, co, jak się domyślał, nie było zachowaniem zbyt reprezentatywnym dla ich znajomości. Po prostu, przy nim częstokroć musieli rozmawiać o religii, podczas gdy przy piwie albo w czasie wędrówek po górach mogli dyskutować o polityce, nauce, kobietach, sztuce i wszystkim innym. Śliwiński odnosił zresztą też wrażenie, że w czasie wizyt u niego specjalnie zaostrozali swoje stanowisko, może po to, aby pokazać się z lepszej strony? Sam jednak nigdy nie zadawał otwarcie pytań dotyczących osobistych przekonań religijnych studentów, choć go to żywo interesowało, a raczej ciekawiło. Zwłaszcza obserwowanie procesu erozji pod wpływem perspektywy socjologicznej wyniesionych z domu czy szkolnej katechezy naiwnych wierzeń.

Choć czasem zdarzał się też proces przeciwny. Pewnego razu z niemalym osłupieniem wysłuchał podziękowania od studenta, który rzekomo odnalazł Boga dzięki jego wykładom. Do

dziś Śliwiński nie potrafił odgadnąć, cóż takiego w jego wykładach mogło doprowadzić kogoś do wiary religijnej i to do tego stopnia, że student ów wstąpił później do seminarium.

Dla większości jednak studentów doświadczenie spojrzenia na własną wiarę beznamiętnym okiem zewnętrznego obserwatora stanowiło znaczący wstrząs. Niektórzy jeszcze bardziej rozluźniali swą więź z religią i tak już nadwątloną w okresie młodzieńczego buntu. Inni uruchamiali szereg mechanizmów obronnych, by nie przyjąć do siebie konsekwencji tej perspektywy, traktowali socjologię religii jako obcego czy intruza, którego trzeba wyminąć i zapomnieć o spotkaniu. Tylko nieliczni podejmowali trud ponownego, świadomego poskładania swojego światopoglądu religijnego naruszonego tą kolizją, a Michał z pewnością się właśnie do takich studentów zaliczał.

- Dzień dobry panie profesorze, cóż za ładny aromat, czyżby „Amfora”? - zaczął Michał.

Pytanie to było niemal sakramentalne, ktoś kto fajki nie palił, nie znał w zasadzie innej nazwy marki tytoniu niż „Amfora”, której zresztą Śliwiński nie lubił. Był to jedyny importowany tytoń fajczany w czasach komunistycznych, uchodził za „ten lepszy” w porównaniu do produktów rodzimego przemysłu tytoniowego, które nadawały się może do trucia myszy czy odpędzania insektów, ale nie do palenia. Z całą pewnością nie dałoby się pomylić Amfory z latakią. Potraktował jednak tę uwagę jako życzliwe zagajenie.

- Dzień dobry moim magistrantom. Cóż sprowadza niezłomnych poszukiwaczy prawdy do Świątyni Poznania?

- Kuba ma do pana sprawę, znalazł coś ciekawego - zaczął Michał, siadając na wskazanym przez profesora krześle. Z miejsca też zabrał się do czyszczenia swoich idealnie czystych okularów, co było jego swoistym rytuałem.

- Wydaje mi się - zaczął Jakub, nieskładnym sposobem wyrażania zdradzając wyjątkową jak na niego ekscytację - znaczy, jestem prawie pewien, że natrafiłem na jakąś nową grupę religijną, zupełnie nie wiem jak ją ugryźć. Szczerze mówiąc, niewiele mogę o niej powiedzieć konkretnego.

- A jak pan na nią trafił? - zapytał zaintrygowany Śliwiński.

Nowa grupa w naszym mieście? Akurat pod tym względem wszystko co nowe wydawało mu się szczególnie intrygujące, stwarzało rzadką szansę naukowego uchwycenia procesu powstawania religii, a ten proces go od dawna interesował. Któryż socjolog czy religioznawca nie chciałby być przy narodzinach chrześcijaństwa czy buddyzmu? Ta szansa już przepadła.

Przez ostatnie stulecia nie było ich w okolicy zbyt wiele. Ostatnio jednak raj sam przyszedł do socjologów. Religie powstawały jak grzyby po deszczu (a w większości też padały jak muchy). Śliwiński nie wierzył w żadne tam „Nowe Ery”, po prostu, jak to przewidział już wielki Platon, demokracja nie ogranicza się do sfery politycznej, rozlewa się na całą kulturę, w tym na religię. Ludzie brali sprawy nadprzyrodzone we własne ręce.

Niestety większość religii nowych w Polsce powstało już dość dawno, i dość daleko. Najczęściej w Europie Zachodniej lub Kalifornii, a te najstarsze - na Dalekim Wschodzie. Nieliczne tylko były tworem lokalnym. Zazwyczaj stanowiły albo próbę wskrzeszenia zagubionej religii praslówian, albo też próbę autorskiej syntezy różnych nauk orientalnych, teozoficznych czy innych. W czasach komunizmu przedszkolem dla twórców nowych religii były różne kluby i stowarzyszenia psychotroniczne, radiestezyjne czy astrologiczne, na które władze przymykały oko, dopóki w ich ramach nie uprawiano polityki. Zdarzali się w tych środowiskach ludzie, którzy odkrywając w sobie jakieś niezwykle zdolności zaczęli skupiać wokół siebie grono uczniów czy wyznawców. Oczywiście było też kilka wolnych kościołów, które znalazły własny klucz do Biblii albo nową więź z Chrystusem, a raczej, jak woleli się wyrażać, Jezusem. Śliwiński znał je wszystkie, zapewne lepiej niż Jakub, ale miał cichą nadzieję, że jego student go zaskoczy.

Jakub rozpoczął swą opowieść:

- Byłem na spotkaniu, a w zasadzie na wykładzie takiego Kurpkowskiego, to taki szaman, a właściwie szamanista. W sumie było może z sześćdziesiąt, może więcej osób, większość studentów, trochę artystycznie czy ezoterycznie usposobionych pań w średnim wieku. Właściwie od początku wykładu kilka osób zaczęło przerywać prowadzącemu gromkim śmiechem. Nie, żeby mówił coś śmiesznego. Opowiadał właśnie o łaźni potów, sweatlodge'u, potem mówił o „zakopywaniu się do ziemi” i innych szamanistycznych technikach pracy z umysłem. Im jednak wszystko wydawało się śmieszne. Chociaż nie - skorygował po sekundzie zastanowienia - nie powiedziałbym, że śmieszne. Ich śmiech był bardzo specyficzny, nie był to śmiech spontaniczny, jak śmiech z dowcipu, raczej taki śmiech bez powodu albo jakby nieco wymuszony. Był to taki mocny śmiech, jakby przeponowy. Byli rozrzućeni po sali, ale ten śmiech był na tyle charakterystyczny... no po prostu nikt inny się nie śmiał. W zasadzie ludzie byli wkurzeni, to znaczy zirytowani, faceci po prostu przeszkadzali, rozbijali spotkanie. Ale to jeszcze nic, potem, kiedy wykładowca jakoś dociągnął do końca, zresztą mówił całkiem ciekawie, miał sporą wiedzę

o tym, o czym mówił, no więc jak skończył i chciał dać szansę kilku zainteresowanym zadać pytanie, jeden z nich prawie się na niego rzucił. No może przesadziłem, ale w każdym razie bez pardonu go zaatakował. No, że jest oszustem, a nie prawdziwym mistrzem, że proponuje ucieczkę od realnego życia, że to nie jest droga rozwoju duchowego... Niestety w najciekawszym momencie wkroczyła, chyba przedwcześnie zaalarmowana, ochrona ośrodka i wyprowadziła delikwenta. Za nim wyszło kilkoro jego towarzyszy - Jakub opowiadając, cały czas obserwował twarz profesora, teraz, gdy skończył, zapytał nieśmiało. - Czy kojarzy się to panu z czymś?

- Hhm... zastanawiające... Trochę mało wiemy - przyznał Śliwiński wypuszczając z ust strumień dymu - Niech pan spróbuje przypomnieć sobie wszystko, co mówili, jakich argumentów używali, jak wyglądali, jak się zachowywali.

- Cóż, trudno to powtórzyć, ich, w zasadzie jego, bo tylko ten jeden mężczyzna się odzywał, no więc jego sposób mówienia był... to był ton nieznoszący sprzeciwu, niedopuszczający dyskusji, bardzo apodyktyczny. Co mówił?... jego argumentacja szła w tym generalnie kierunku, że rozwój duchowy powinien dokonywać się w ramach życia codziennego, taka Weberowska asceza wewnątrzświatowa... - Śliwiński ucieszył się, że Jakub przeczytał w końcu Webera. - Bardzo podkreślał, takie odniosłem przynajmniej wrażenie, rolę mistrza, zarzucał facetowi, że uczy technik, ale nie bierze odpowiedzialności za rezultaty ich stosowania. I że te techniki były nieżyciowe, nie wносиły nic do codziennego życia. Jakoś tak. Chciałem go już zapytać, co konkretnie proponuje, ale już „wychodzili”.

- Rzeczywiście, zastanawiające. W tej chwili nie kojarzy mi się to z niczym, muszę zebrać myśli... A co wy o tym sądzicie? - Śliwiński chciał najpierw sprowokować ich do myślenia zanim wyrazi własne zdanie, zwłaszcza, że w tym temacie trudno było jakieś mieć.

- To z pewnością jakaś sekta, a facet musiał być jej prorokiem - skonstatował nieco banalnie Michał.

- Co masz na myśli mówiąc „sekta”? - odparł Jakub, z miną wyrażającą rozżłoszczenie i znudzenie. Od dawna spierali się w tym temacie i złościło go, kiedy kolega używał tego terminu tak niefrasobliwie. - Zgodziliśmy się, że nie używamy słów obciążonych pejoratywnie.

- To jak inaczej ich nazwać? Nowy ruch religijny? Nie wiemy czy jest nowy, religijny a do tego, nie wygląda na ruch, tylko na zwartą, zdyscyplinowaną organizację. Sam przyznałeś, że facet był apodyktyczny i agresywny...

- Mówiłem o moich odczuciach, a nie o faktach...

- Panowie, panowie, lepiej pomyślmy - przerwał sprzeczkę Śliwiński. - Tak naprawdę niczego jeszcze nie wiemy. Panie Jakubie, czy jakoś się przedstawili?

- Nie. Dawali tylko do zrozumienia, że reprezentują „to właściwe” podejście.

- Pomyślmy - Śliwińskim był już pewien, że to żaden z ruchów, które znał z lokalnej prasy czy warsztatów ze studentami, w ramach których opisywali krajobraz religijny okolicy. Stwierdził, że zostaje tylko zdać się na dedukcję, posiłkując się intuicją opartą na jego erudycji i, jak wierzył, wspartą mocą tytoniowego dymu. - Najpierw: o czym świadczy używanie przez nich terminu „mistrz”?

- Struktura hierarchiczna - powiedział Michał - osobista więź, relacja mistrzuczeń, system inicjacyjny... - grał skojarzeniami.

- Nie jest to chyba joga ani system hinduski, bo użyłby terminu guru - zauważył Jakub.

- Prawdopodobnie ma pan rację - potwierdził Śliwiński - A jakie znacie inne systemy inicjacyjne?

- Chasydyzm, sufizm, różne tajne bractwa ezoteryczne? - zgadywał Michał. - Żydzi? - Ożywił się Jakub - Faktycznie większość z nich nosiła brody, a po wyjściu z sali - bo oczywiście za nimi wyszedłem - włożyli czapki. Może jakaś grupa kabalistów? No kurczę, żałuję, że ich nie zagadałem...

- Taak, no cóż, miejmy nadzieję, że okazja się powtórzy - Śliwiński zastanawiał się, jakby sam zachował się w takiej sytuacji. - Jak pan sądzi, po co oni w ogóle tam przyszli?

- Hm, pomyślmy, skutkiem było na pewno zirytowanie osób zainteresowanych tematem... Ale skutek nie zawsze pokrywa się z intencją. Zachowywali się trochę jak, sorry Michał, jak ci z protestanckich centrów antysekciarskich. Ale z pewnością nie byli chrześcijanami, przynajmniej niczym tego nie zasugerowali. Może chodziło im o werbunek niezdecydowanych...?

Śliwiński gestem uspokoił Michała, który poczuł się nieco dotknięty uwagą o centrach antysektowych, a Jakub ciągnął:

- Tak więc, prawdopodobnie, przychodzą na cudze spotkania werbować adeptów. Dlaczego nie organizują własnych?

- Dobre pytanie, Jakubie - powiedział Michał. - Ich opis nie pasuje do niczego, z czym zetknęliśmy się dotychczas, żadne z ogłoszeń, jakie pojawiło się na murach, przejrzałem trochę

naszych materiałów, ale tamte grupy znamy, wiemy jak się zachowują, nic mi nie pasuje do tego, co opisałeś.

- Może to organizacja tajna? Konspiracja jest jedną ze strategii najczęściej obieranych przez nowe religie w celu uniknięcia ataków religii większościowych albo generalnie opinii publicznej - podsunął Jakub.

- A to znaczy, że mają świadomość, że ujawniając się, dostarczyliby powodów do ataku! - Ożywił się Michał.

- W Polsce nie trzeba dawać powodu by być przedmiotem ataku ze strony... - Jakub przerwał nie chcąc wdawać się w kolejną kłótnię. - Nie ważne. W każdym razie albo jest to organizacja, która już działała i została zaatakowana, a wtedy powinny być jakieś tego ślady, albo jest to organizacja, której liderzy reprezentują sporą intuicję socjologiczną i ukrywają się profilaktycznie.

- To dlaczego teraz się ujawnili w taki sposób?

- Jakoś werbować muszą. I tak mniej się ujawniają, podbierając uczniów innym niż organizując imprezę pod własnym szyldem. A może faktycznie jest to coś zupełnie nowego?

Obaj młodzieńcy milczeli zafrapowani. Śliwiński postanowił im pomóc.

- Nie mamy pewności, że organizacja ta powstała u nas, może w innym mieście, a może nawet kraju, i tam doszło już do starcia ze społeczeństwem i stąd ich filia w naszym mieście od razu przyjęła taką strategię. Tak, tego nie wiemy. Przeglądajcie zatem też materiały dotyczące innych miast. Warto napisać też do ośrodków antysektowych, pan Michał na pewno ma sporo znajomych w tym środowisku - Śliwiński poczuł się przez chwilę jak dowódca sztabu operacyjnego. Teraz zwrócił się do Jakuba - A pan niech spróbuje porozmawiać z prelegentem albo z innymi ludźmi z tego środowiska, może już się zetknęli z ich działalnością.

- Jestem jeszcze umówiony z dwoma szamanistami. Prawdopodobnie sami teraz zachodzą w głowę, o co chodzi.

- Drugim tropem, na który musicie zwrócić uwagę, jest druga charakterystyczna rysa w ich zachowaniu: głośny śmiech. Czy to wam się z czymś kojarzy?

- Zupełnie z niczym - przyznali młodzi naukowcy.

- Mi chodzi po głowie jedna myśl, która skierowałaby nam trop jednak na wschód, ale muszę to jeszcze sprawdzić. Dam wam znać. Przykro mi, że nie mogę wam na teraz bardziej pomóc. Musimy mieć więcej informacji.

\* \* \*

- No i co, nadal nic nie wiemy - zagadnął Jakub, gdy już usiedli z piwem w pobliskim pubie.

- A czego się spodziewałeś? - odparł Michał przecierając okulary - Śliwa to zaprzysięgły teoretyk. Szczerze mówiąc, zaskoczył mnie, gdy zgodził się kierować naszymi pracami. W sumie socjologia religii, to raczej jego poboczne zainteresowanie. Trudno powiedzieć jaką facet ma wiedzę o współczesnych religiach. Z wykładów wydaje się, że więcej wie o początkach chrześcijaństwa niż o Kościele Zjednoczeniowym.

- Nie znasz go jeszcze, o Kościele Zjednoczeniowym przeczytał więcej, niż ty zdążysz do końca życia, zwłaszcza, że nie znasz angielskiego. Jeśli on nie wie, o co chodzi, to chyba rzeczywiście zupełnie nowa grupa, której nikt dotąd nie odnotował - Jakub był wyraźnie zaintrygowany.

- Szczerze mówiąc, wolałbym, gdyby się okazało, że to organizacja stara, a tylko tajna.

- Chciałbyś odkryć kolejny Prieuré de Sion? - zaśmiał się Jakub - mało ci jednego? - niedawno podrzucił koledze książkę, zresztą światowy bestseller sprzed kilkunastu już ponad lat, w którym autorzy dowodzili istnienia tajnej organizacji przechowującej tajemnicę o potomkach samego Jezusa.

- Widzę, że bardzo się przejąłeś tą nędzną amatorszczyzną. Egzegeci czytają to jako zbiór dowcipów - Michał mimo wszystko sprawiał wrażenie lekko rozzłoszczonego. - A zresztą, zastanów się, na zdrowy rozum - dodał spokojniej - jeśli Jezus nie jest tym, za kogo ma go chrześcijaństwo, jeśli nie jest Bogiem, to dlaczego ktoś miałby się przejmować jego potomkami?

- No dobrze, nie złość się, ja tam się na tym nie znam, mi obie hipotezy, co do boskości czy co do królewskości Jezusa wydają się równie naciągane, ale nie mówmy już o tym. A co, tak szczerze, sądzisz o tej grupie, którą zaobserwowałem?

- Wydaje mi się, że interesujący są tylko dlatego, że tak mało o nich wiemy. Ale jeśli szukasz tematu na pracę magisterską, to może warto to sprawdzić.

- A ty w to nie wchodzisz?

- A tak właściwie, w co?

- Zobaczymy. Mam przeczucie, że to może być interesujące.

- Ty masz przeczucie?! - zaśmiał się Michał.

- W każdym razie Śliwiński ma rację, najpierw muszę rozpytać w środowisku.

- Słuchaj Kuba - zapytał Michał, gdy już mieli się rozstać - u Śliwy coś wspominałeś o „asceziejakiejstam”... O co w tym chodzi?

- Nie czytało się Webera, co? Gdy rezygnujesz z pieniędzy, polityki, seksu, zamykasz się w celi, aby osiągnąć zbawienie, to uprawiasz wtedy ascezę odrzucającą świat. Gdy zakładasz chrześcijańską partię, wprowadzasz w biznesie zasady katolickiej nauki społecznej, a twoja żona zbawia się, rodząc ci dzieci, to uprawiasz wtedy ascezę wewnętrzną światową, czyli taką, która przekształca świat w imię ideałów religijnych. Proste?

- Proste. Dzięki za korepetycje.

- Do usług. Zapytaj tych swoich przyjaciół - inkwizytorów, czy nie natrafili na jakiś „eksów” z tej grupy - przypomniał Michałowi na pożegnanie. „Eksami” nazywali byłych członków.

\* \* \*

Wieczorem następnego dnia zajrzał do wydziałowej czytelnicy, gdzie udostępniono studentom dwa komputery podłączone do Internetu. Słyszał, że ponoć można już korzystać z sieci za pośrednictwem telefonu, ale na razie nie było go stać na modem, nie mówiąc o płaceniu przynajmniej podwojonego rachunku telefonicznego. Na szczęście, o tej porze nie było już kolejki. Ostatni student właśnie wstawał od klawiatury, ale spostrzegając czekającego Jakuba, powstrzymał się przed wyłączeniem maszyny. Był to niezłej klasy (jak na polskie warunki) komputer Pentium wyposażony w procesor taktujący zegarem z zawrotną szybkością 256 Mhz i wyposażony aż w 16 megabajty pamięci operacyjnej, Jakub miał nadzieję, że kiedyś będzie go stać na sprzęt tej klasy, a póki co odszukał ikony z przeglądarką Netscape Navigator. Wszedł na stronę ze swoją darmową skrzynką pocztową i sprawdził, czy nie pojawiła się jakaś korespondencja. Był jeden nieprzeczytany mail, ale za to od Śliwińskiego! Napisał go już chyba z domu, widać przejrzał kilka publikacji i wykonał jakieś telefony:

„Poszukałem i znalazłem. Istnieje coś takiego jak joga śmiechu. Jedna kobieta nawet tego naucza, ale nie w naszym mieście. Stosuje zresztą raczej formułę luźnych warsztatów. Uważa, że jest pierwsza w Polsce, była bardzo zdziwiona, gdy jej powiedziałem, że prawdopodobnie istnieje grupa, która praktykuje tę technikę. Bardzo jej zależało, aby przekonać mnie, że z tego nie da się zrobić sekty (czyli, że ona by nie potrafiła). Przykro mi, że ten trop nie prowadzi dalej. Pozdrowienia!”



Jakub bardzo ucieszył się z tego listu, nie dlatego, iżby wiele wyjaśniał, ale widać profesor uznał, że jego „znalezisko” jest warte zainteresowania.

Jakub postanowił jeszcze zajrzeć na stronę internetową szamanistów. Wiedział, że mają tam własną bramkę do Usenetu, a na nim własną grupę, którą systematycznie obserwował. Tym razem postanowił wykroczyć poza obserwację i spróbować samemu sprowokować dyskusję na nurtujący go temat:

„Czy ktoś był na ostatnim wykładzie Kiszczewskiego o swetłodż‘u?” - napisał. Gdy tylko wysłał wiadomość system zaczął spowalniać, po czym lawinowo wyskakiwały białe okienka z alarmem, coś o „illegal operation”. Po chwili przestała reagować klawiatura i myszka, by wreszcie pojawił się znajomy niebieski ekran. Jakub zdążył się do takich wypadków przyzwyczaić pracując na Windows 3.11, ten nowszy system padał i tak o wiele rzadziej. Na szczęście, nie utracił tym razem żadnych danych. Zamiast restartować komputer po prostu go wyłączył i poszedł do domu.

Po kolacji usiadł w fotelu, w którym spędził tyle długich godzin na czytaniu. Zaczęło się to przed czterema laty, po śmierci rodziców, wtedy miało cechy ucieczki. Potem stało się niemal nałogiem. Jakub nie połykał książek, czytał je długo, starannie dobierał pozycje warte czytania i potem spędzał nad nimi długie dni. Często po przeczytaniu jednej strony wstawał i spacerował po pokoju, aby dobrze przetrawić jej treść. W rezultacie nie mógł się wprawdzie chwalić niezwykle szeroką erudycją, ale te książki, które przeczytał, pamiętał i znał doskonale, czasem cytując z pamięci całymi fragmentami. Dopiero ostatnimi czasy zaczynała narastać w nim chęć, aby ponownie zejść na ziemię i nawiązać bardziej bezpośredni kontakt z rzeczywistością. Zaczął czytywać gazety, bywać częściej wśród ludzi - tak poznał Michała. Z książek wprawdzie nie zrezygnował, ale coraz częściej ćwiczył się w samodzielnej obserwacji i konfrontowaniu wyczytanej wiedzy z tym, co widział. Tak też teraz nie sięgnął po żaden z czekających cierpliwie na niego tomów, tylko zamyślił się.

„Zbierzmy fakty: po pierwsze struktura grupy. Z tego co mówił ten gościu, jest tam jakaś forma gurujogi, czyli rozwoju duchowego poprzez oparcie się na mistrzu. Mistrz ma ponosić odpowiedzialność za ucznia. Czy ich zachowanie to potwierdzało?” Jakub wyrzucał sobie, że nie zagadnął choć któregoś z członków tajemniczej grupy, może zaprzepaścił tym samym wyjątkową okazję. Tym bardziej, niczym Sherlock Holmes, usiłował sobie jak najwięcej przypomnieć i wydedukować z każdego szczegółu choćby najdrobniejszą wskazówkę. „Szkoda, że facet

przemówił na końcu, może zauważyłbym coś w zachowaniu pozostałych względem niego. Jakieś gesty okazywania szacunku, oczekiwanie na komendę. Zaraz, w jaki sposób oni wyszli... czy dał im jakiś znak?... To na nic. Jestem jednak amatorem.” - pomyślał zrezygnowany, nie mogąc sobie niczego takiego przypomnieć - „Mogli być umówieni. Może robili to już dawniej i wiedzieli jak postępować? Muszę popytać w «środoisku», może jogini będą coś wiedzieli. Na szamanistów chyba bym jednak nie liczył, ich spotkania były zbyt sporadyczne, mało nagłośnione. W zasadzie można się o nich dowiedzieć jedynie z informacji rozpowszechnianych na grupach dyskusyjnych w Internecie czy niskonakładowych periodykach. Jeśli nie mylę się, co do strategii rekrutacyjnej tej grupy, to jest mała szansa, aby się często pojawiali się na tak ekskluzywnych zgromadzeniach.”

Wkrótce uznał te rozważania za tak wątpliwe, że aż bezcelowe i zabrał się za lekturę zadaną mu przez Śliwińskiego. Miał napisać referat na pierwsze seminarium w tym semestrze, a został tylko tydzień. Chciał mieć to już za sobą, by móc ze spokojnym sumieniem rzucić się w wir poszukiwań. Przeczował, że za ostatnią stroną, jeszcze nienapisanego referatu, czeka na niego przygoda. Ale referat musi zostać napisany. Miał w nim naświetlić najważniejsze ruchy orientalne występujące w Polsce. Przeczytał jeszcze raz rozdział o krisznaitach.

Zadziwiała go, że dla pewnych ludzi taki rygorystyczny rytualizm mógł być pociągający. Cóż, widać niektórzy tego potrzebują. Jest to z pewnością jakaś ścieżka, dająca poczucie bezpieczeństwa, określoności. Świat relacji międzyludzkich staje się uporządkowany, a w pewnych wypadkach zyskuje nawet cechę nieuchronności, niczym sama przyroda. Wiadomo, że pewnych rzeczy po prostu nie można. Tak jak nie można fruwać, nie można też jeść mięsa, odpowiedzi są zawsze jednoznaczne. Jest to zawsze pewna oszczędność sił i czasu, nie trzeba za każdym razem rozstrzygać czy coś jest dobre czy złe, prawdziwe czy fałszywe. Prawa moralne nieubłagane jak prawa fizyki, a nawet bardziej, bo przecież ponoć, w co Jakub nie wierzył, wybitni jogini odrywali się od ziemi. A on? - zamyślił się - na czym się opierał? Poczł, wraz z narastającym zrozumieniem, lekką zazdrość do tych wszystkich ludzi: krisznaitów, muzułmanów, ortodoksyjnych żydów, których życie reguluje 613 szczegółowych przykazań, nawet chrześcijanie są w lepszej sytuacji - mają swój dekalog i parę przykazań kościelnych.

Przypomniał mu się wykład Śliwińskiego o Émilu Durkheimie. Zamknął oczy i jakby słyszał głos profesora: „Durkheim utworzył pojęcie anomii przez zaprzeczenie do greckiego słowa nomos - norma, prawo, obyczaj. Zauważcie państwo, że brzmi ten termin jak nazwa

choroby, jak bulimia, anemia, pneumonia - nie przypadkowo! Anomia jest chorobą, chorobą społeczną, zachodzącą zwłaszcza w sytuacjach kryzysu albo dobrobytu, patologicznym brakiem norm, reguł, przy pomocy których społeczeństwo ogranicza jednostki, a jednocześnie daje im zestaw stałych punktów odniesienia. Gdy wszystkie normy są podważane, relatywizowane, gdy już nic na pewno nie obowiązuje - mamy do czynienia z anomią. To choroba nadmiaru wolności. Człowiek ogarnięty anomią czuje się tak jak ślepy astronauta wyrzucony w przestrzeń kosmiczną: żadnych dźwięków, niczego nie widać, przedmioty, które wpadają mu w ręce są tak samo zawieszony w próżni jak on. Gdzie jest góra, gdzie jest dół? Czy porusza się, czy też tkwi w bezruchu? A jeśli się porusza, to dokąd? To, co taki astronauta odczuwałby w wymiarze przestrzeni, człowiek ogarnięty chorobą społeczną zwaną anomią odczuwa w nieskończenie istotniejszym wymiarze ludzkiego istnienia: w wymiarze sensu, znaczenia, wartości. Czy to, że żyję, ma jakikolwiek sens? Czy dokądś swoim życiem zmierzam? I czy ten cel ma jakiś sens? Co jest dobre, a co złe?" Jakub pamiętał, że Śliwiński zakończył swój wykład ostrzeżeniem: „Pamiętajcie państwo, że was ostrzegałem: niewiele jest bardziej anomizujących zajęć niż nauka, zwłaszcza socjologia. Im bardziej się w nią zagłębiacie, tym bardziej narażacie się na anomię. Dotyczy to zwłaszcza teorii. Niewiele wam grozi, gdy poprzestaniecie na badaniach empirycznych, ale też niewiele, tak naprawdę, będziecie wtedy rozumieć, z tego co się dzieje. Nie ma sensownej empirii bez wskazówek teorii. Inaczej można się tylko bezmyślnie gapić na świat. Gdy wglębicie się w teorię, nic już dla was nie będzie oczywiste. Jak podporządkować się regule moralnej, gdy bada się, jakie społeczne czynniki przyczyniły się do jej powstania? Przyjrzyjcie się nazwiskom wybitnych socjologów, czy była tam choć jedna osoba wierząca? Zobaczcie też, jak często w ich życiorysach pojawia się epizod załamania nerwowego, czy nawet choroby psychicznej, Comte spędził w szpitalu psychiatrycznym dwa lata, załamanie nerwowe Spencera zmusiło go do półtorarocznej przerwy w pracy i już do końca życia nie mógł pracować dłużej niż dwie godziny dziennie. Jeszcze dłużej, bo sześć lat, chorował Max Weber, który potem już zawsze cierpiał na lęk przed publicznymi wykładami. Karol Marks również skarżył się w ostatnich latach życia na «chroniczną depresję psychiczną». Wicie państwo sami, jak skończył Nietzsche, a jeśli nie, przeczytajcie jego ostatnie listy. Inne pytanie: dlaczego księża, którzy zajmują się socjologią religii, ograniczają się niemal wyłącznie do badań empirycznych albo do powierzchownych esejów wpadających raczej w teologię pastoralną?"

Miał, cholera, rację.

W chwilach takich jak ta, żałował, że nie posłuchał tego ostrzeżenia, ale teoria go zafascynowała. Zafascynowało go myślenie, analizowanie faktów z różnych perspektyw, zagłębienie za kurtynę, szukanie korzeni zjawisk. Czytywał nie tylko socjologów, ale za radą Śliwińskiego, także filozofów, zwłaszcza Hegla, Nietzschego, Kierkegaarda, Schelera. Dało mu to zupełnie nowe rozumienie świata. „I ani jednego dogmatu” - pomyślał z nutą goryczy. Kiedyś wspomniał o tym Śliwińskiemu. Ten poradził mu, aby czytał więcej Hegla, żeby nauczyć się przechodzić od antytezy do syntezy. Z tym Jakub na razie miał problemy. Wolał, wzorem amerykańskiego trapisty, Thomasa Mertona, poczytać sobie codziennie Nietzschego przed zaśnieciem, tak dla pokrzepienia.

Jak to robił Michał? Nie należał przecież do ludzi, którzy zwykli traktować wiarę na sposób Hobbesa: „połykać bez rozgryzania - jak lekarstwo”. Nie mówiąc już o księdzu profesorze Walczeskim, którego wykładów kiedyś słuchał, a były, rzeczywiście, na porządnym akademickim poziomie. Nie jak te kazania biskupów, pełne moralizatorstwa okraszonego przechwałkami o zagranicznych podróżach, i znajomościach w kurii rzymskiej. I mówił po ludzku, a nie w tym dziwnym kleszym tonie, z tą śmieszną patetyczną i przeteatralizowaną manierą. Wiedzę, zwłaszcza historyczną i filozoficzną, miał olbrzymią. Jak on to łączył z wiarą? Może przymus ze strony wcześniej dokonanych w życiu wyborów? Kim mógłby zostać ksiądz z kilkunastoletnim stażem, gdyby stracił wiarę i opuścił swój stan? Całe życie trzeba by zaczynać od nowa. Ludzie ci muszą pod groźbą uczynienia bezsensownym całego dotychczasowego życia, chyba wręcz kompulsywnie szukać sposobów, aby to wszystko „trzymało się kupy”. I tak, dzięki wewnętrznym dylematom teologów Kościoła może rozwijać własną doktrynę i czynić ją coraz bardziej, choć nigdy zupełnie, zgodną ze zdrowym rozsądkiem.

W gruncie rzeczy, było to dla Jakuba nieważne. Sam odrzucił chrześcijaństwo wyłącznie na własną odpowiedzialność, przez nikogo nie przekonywany czy namawiany. W pewnym momencie przemyślał to dokładnie. Przyjrzał się początkom chrześcijaństwa, uznał, że to wszystko opiera się „na słowie honoru” członków proletariatu jerozolimskiego, może i uczciwych, ale niezbyt rozgarniętych. Po przeczytaniu Spencera, nie był też przekonany co do etycznej wartości chrześcijaństwa. Idea Boga, którego trzeba przejednywać krwawą ofiarą z jego własnego syna, wydawała mu się już nie tyle barbarzyńska, za jaką można by ją uznać w odniesieniu do starożytności, ale po prostu niezdrowa. Osinowym kołkiem dla jego wiary był „Antychryst” Nietzschego bezlitośnie tropiący fałsz resentymentu w Nowym Testamencie. Gdy

dojrzał już do tego, by nie oszukiwać samego siebie, po prostu podjął decyzję. Może też zwyczajnie uświadomił sobie to, co się w międzyczasie w nim dokonało.

Później była krótka przygoda z buddyzmem. Buddyzm podobał mu się, czuł z nim pokrewieństwo, była to wszak religia powstała wśród intelektualistów, a nie plebejuszy jak chrześcijaństwo. Religia wyrozumiała, krytyczna, racjonalna, choć - i to już się Jakubowi mniej podobało - zawierająca sporo magii, zwłaszcza w swej wersji tybetańskiej, z jaką się zetknął. Buddyści stanowili też zbieraninę ludzi określonego typu, młodzi rzutcy biznesmeni, trochę szpakowatych pracowników nauki, ale głównie z dziedzin ścisłych, rozrywkowi studenci, różne artystyczne dusze. Krótko mówiąc, nie czuł się wśród nich zbyt dobrze, nie poznał nikogo, z kim mógłby się zaprzyjaźnić, a jak wiedział z wykładów Śliwy, nie ma konwersji bez nawiązania więzi emocjonalnych z członkami wspólnoty.

Jakub w zasadzie nie odrzucił buddyzmu, po prostu uznał, że nawet on nie opiera się relatywizacji. Nie przekonywała go zwłaszcza kosmologia buddyjska - tutaj czuł się jeszcze nieco chrześcijaninem, a raczej monoteistą. Hipoteza Absolutu stojącego u początku wszystkiego wydawała mu się bardziej racjonalna, niż hipoteza „jeżdżącego pociągu bez lokomotywy”, jak zdawał się przedstawiać buddyjski wszechświat bez Boga. Od tego czasu jednak zaczął strzyc się na jeża i generalnie nosić się na wojskowo, a przynajmniej z militarnymi akcentami. Przypominało mu to o potrzebie duchowej dyscypliny.

## Rozdział II

Gdy skończył pisać referat, mógł z czystym sumieniem poświęcić ostatni tydzień, który pozostał do rozpoczęcia wykładów, na szukanie informacji o tajemniczej grupie religijnych dywersantów. Zaczął od skontaktowania się z szamanistami, którzy podobnie jak on byli świadkami ostatniego zajścia. Sam prelegent nie miał pojęcia, kto go zaatakował. Jakub zapytał też o następne wykłady, ale człowiek ten na jakiś czas miał dosyć publicznych występów. Wolał poświęcić się organizacji warsztatów, tam przyjeżdżają przynajmniej ludzie, którzy wiedzą, czego chcą.

Przejrzał jeszcze raz wszystkie słowniki nowych religii jakie posiadał, ale było to trochę bezsensowne. Miał stanowczo za mało informacji. Michał natomiast zadzwonił do paru ośrodków antysektowych w Polsce (powstało ich w sumie chyba około trzydziestu), ale wszyscy otwierali szeroko oczy. Zresztą z tak skąpych informacjami, nie za bardzo wiedział jak zadać pytanie. Sytuacja wydawała się patowa.

Zajrzał do biblioteki i po odstaniu parunastu minut w kolejce do komputera sprawdził, jak rozwinęła się dyskusja na grupie szamanistów.

„Byłem na wykładzie, ale za cholerę nie wiem, o czym był;-)” napisał Siedzący Wilk.

„Ja z kolei nie wiem, kto go tak naprawdę prowadził” - skwitował Biały Bawół.

„No nie, było odłotowo, tylko kto wpuścił tych wariatów????” - wpisał Peyotl.

„Wpuszczano wszystkich, problem, aby niektórych odpowiednio wcześniej wypuścić:-)” - odparł Czarny Kruk.

„Z tymi stanowczo za długo zwlekano” - zgodził się Peyotl.

„A ja uważam, że w tym, co mówili, było trochę racji, szkoda, że im przerwano” - nie zgodziła się Szamanka.

„Co ty w tym widziałaś? Apologię mistrzostwa? Szukasz tatusia? Nie czytałaś u Castanedy, że era mistrzów już minęła?” - Kasia.

„Mi tam to z daleka trąciło jakimś sekciarstwem. Faceci byli wyraźnie nawiedzeni, ktoś im nieźle namieszał w głowie. Ten brodacz mówił jak Goebbels” - dorzucił znowu Peyotl.

„Ja tam nie byłem i nie za bardzo wiem, o czym mówicie, co to za ludzie?” - zapytał Wojtek.

„Cholera wie. Może jacyś ewangelicy albo jakaś sekta. Czy komuś się przedstawili?” -  
Siedzący Wilk.

Porównując daty postów, Jakub zorientował się, że w tym momencie na wiele godzin dyskusja zamarła. W kolejnym poście jednak jakiś Artur wpisał:

„Nie wiem, co to za jedni, ale słyszałem, że jakiś czas temu podobni zadymiarze pojawiali się na treningach różnych sekcji taichi i qigong”.

Peyotl zapytał: „I co robili?”

„Mniej więcej to, co na wykładzie. Rozwalali trening, chcieli ośmieszyć nauczyciela i chyba rozbić sekcję. Może chcieli też kogoś zwerbować, ale z tego co wiem, z marnym skutkiem”.

„Do mojej sekcji też kiedyś taki jeden przyszedł, bawił się hipnozą na moich uczniach aż go wyprosiłem” napisał niedługo potem Mischcz.

Ta ostatnia uwaga zainteresowała Jakuba, więc napisał do owego Mischcza na prywatnego maila. Przedstawił się jako student badający takie przypadki i poprosił o trochę bardziej szczegółową relację. Po kilku dniach otrzymał odpowiedź:

„Nie pamiętam jak się przedstawiał. Chciał, by się do niego zwracano „Tai Szy”. Szcupły, niski, z rzadką bródką. Oczy i wyraz twarzy człowieka nawiedzonego choć cały czas zachowywał się bardzo uprzejmie. Pamiętam, że to było kilka lat temu, chyba jeszcze za komuny. W tamtych czasach każdy, kto mówił, że zna się na filozofii i kulturze Dalekiego Wschodu i potrafił o niej przekonująco mówić - uważany był za kogoś wyjątkowego. Zjawił się u mnie na zajęciach i poprosił mnie o zgodę na przeprowadzenie wykładów na temat chińskiej filozofii. Miałem w swojej sekcji tai chi ok. 50 osób na sali i prowadziłem w tym czasie cykl prezentacji różnych systemów walki, ale też wykłady na temat kultury chińskiej i tematów pokrewnych, a więc ów gostek trafił wówczas w sedno. Zgodziłem się na wykład, zostawiłem go z ludźmi, a sam poszedłem do swego kantorka obok sali. Tam mniej więcej przysłuchiwałem się 5/10-te jego wywodom. Pamiętam, że w pewnym momencie zaczął demonstrować wraz ze swoim uczniem jakieś ćwiczenia oddechowe. Twierdził, że to miała być niby jakaś interpretacja „ćwiczeń 5 zwierząt”. To mnie wówczas zaciekało.

Gościu był generalnie spokojny, ale w trakcie wykładu zaczął manipulować głosem, jego natężeniem, a przez to wpływać na nastroje ludzi. Zwróciłem na to uwagę, więc wróciłem na salę. Patrząc, a tam kilka dziewczyn z sekcji siedzi białych jak ściana i słucha go jak jakiegos

zbawiciela. Jedna płacze, bo zaczął na nią krzyczeć i wyciągać jej sekrety z życia prywatnego. O coś ją między innymi tam obwiniął. Gdy zjawiłem się na sali troszkę zmienił ton, i teraz całą uwagę skupił na mnie. Najpierw opowiadał o mnie chwając, a potem lekko grożąc, zaczął przechwalać się, że potrafi wszystkich moich uczniów pociągnąć za sobą. W ten sposób miało się okazać, kogo ludzie wybiorą. Faktycznie udało mu się wyprowadzić z sali ok. 40 osób. Chodził z nimi po korytarzu coś tam bełkocząc, po czym wrócił na salę. Jestem generalnie tolerancyjny, więc pozwoliłem mu na to, ale moi starsi uczniowie chcieli go zlinczować. Ostatecznie dałem mu kurtuazyjnie do zrozumienia, że nasza „współpraca” na tym się kończy. Później słyszałem plotki, że ktoś inny go pobił i wyrzucił z sali, ale nie wiem, ile w tym było prawdy. O co mu chodziło? Sądzę, że chciał sprawdzić swoje umiejętności oddziaływania na ludzi, jak dalece może nimi manipulować. Nikt z moich uczniów nie przekonał się do jego nauk, ale po jego wizycie kilkoro przestało chodzić na zajęcia. Co się z nim dalej stało, nie mam pojęcia. To działo się w Opolu, ale wiem, że był też w Krakowie i Wrocławiu.

Niewiele, ale zawsze coś. Zapisał maila w osobnym pliku na dyskietkę i zakończył pracę.

Jakub zamyślił się. Informacja ta tylko częściowo odpowiadała wzorcowi zachowań nieznanym, który sam zaobserwował. Brakowało charakterystycznego śmiechu, no i te eksperymenty hipnotyczne jakoś nie pasowały do brodatych facetów w białych czapczkach, choć, kto wie? Zbliżone było natomiast pole ataku. Taichi, generalnie wschodnie sztuki walki to też swego rodzaju systemy inicjacyjne. Oryginalne, wschodnie nauczanie było ściśle związane z przekazywaniem złożonej wiedzy ezoterycznej, o cyrkulacji energii czy o pracy z umysłem - bez tych elementów byłyby tylko uduchowionym i średnio skutecznym rodzajem boksu. Same w sobie zawierały już relację: wtajemniczony adept, mistrzuczeń, a stąd tylko krok do bardziej złożonej organizacji. Podobny był też wzór ataku: ośmieszeniu innych towarzyszyło przedstawienie siebie w pozytywnym świetle. Mogło chodzić również o werbunek.

Jakub przyjął hipotezę, że tajemniczy TaiSzy i poszukiwana przez niego grupa mają z sobą coś wspólnego. Zwłaszcza relacja „Artura” wydawała się odpowiadać wzorcowi. Na tej podstawie można się było spodziewać, że spróbują uderzyć też w inne systemy inicjacyjne, najpewniej w jogę. Może też sami wykorzystywali podobne techniki jako narzędzie formacji? Trudno byłoby im rozbijać sekcje sztuk walki i podważać autorytet trenerów, jeśli sami nie reprezentowaliby pewnego poziomu w tej dyscyplinie. To nasuwało inne przypuszczenie: zatem



byłby to w pewnym stopniu atak na konkurencję. Najprawdopodobniej sami reprezentują jakiś system tego rodzaju.

Nazajutrz w bibliotece usiłował sprawdzić cóż może oznaczać owo TaiSzy po chińsku. Niestety, aby skorzystać ze słownika chińskorosyjskiego - a taki przyniosła mu bibliotekarka jako najlepszy, trzeba było znać chińskie pismo. Na szczęście był i inny słownik, który zamiast hieroglifów podawał pisownię słowa w transkrypcji „pinyin”, czyli przy pomocy łacińskich liter. Kolejną trudnością była osobliwość chińskiego: okazało się, że każdą sylabę można było wymówić na kilka sposobów i znaczyła ona za każdym razem co innego. Co innego znaczyło „Szy” z intonacją wznoszącą, jak w zdaniu pytającym, co innego z tonacją opadającowznoszącą, jak w zdaniu wyrażającym zdziwienie, a co innego z prostą tonacją oznajmującą. Generalnie znaczeń było kilkadziesiąt - w zależności od pisowni i wymowy. Nie wiedział więc, czy chodzi o wielkiego lwa, wielki kamień, początek czy rycerza - by wspomnieć tylko niektóre. Z wszystkich możliwych kombinacji najbardziej prawdopodobna wydała się Jakubowi „Wielki Mistrz”.

Tak, czy inaczej, krąg poszukiwań został wstępnie określony - trzeba było zacząć rozpytywanie od środowisk związanych z orientalnymi tradycjami ezoterycznymi - począwszy od jogi, skończywszy na kungfu. Może ktoś wie, czy gdzieś pod płaszczykiem zajęć z jogi czy sztuk walki nie skrywa się jakiś bardziej zwarty ruch religijny czy ezoteryczny, który swą działalnością wykracza poza samą praktykę asanów.

Tutaj najlepiej byłoby znaleźć dobrych informatorów, którzy z niejednego pieca chleb jedli i orientowali się w środowisku. Jakub wyszukał takie trzy nazwiska w informatorze Kto jest kim w polskim New Age’u. Chwycił za słuchawkę i umówił się z nimi na spotkania.

\* \* \*

Pierwszym był stary jogin, dziadek już prawie dziewięćdziesięcioletni, chociaż nadal w pełni (no może prawie) sił umysłowych. Okazał się całkiem sympatyczny. Akcent zdradzał jego kresowe pochodzenie. Był prawie zupełnie łysy, nosił przedwojenny wąsik, w ogóle trochę przypominał Ghandiego. Sprawiał wrażenie człowieka bardzo religijnego, na ścianach w jego mieszkaniu Jakub dostrzegł nawet jakąś ikonę. Wypowiadał się i zachowywał jako swoista mieszanka katolickiego zakonnika i hinduskiego guru. Okazało się niestety, że od pewnego czasu jest już poza środowiskiem, nie miał pojęcia o żadnych obecnie działających ruchach wyrastających z jogi. Nie było wątpliwości, że gdyby wiedział o czymś takim, uznałby to za wynaturzenie.

- Bo wie pan, podstawą rozwoju duchowego jest wyzbycie się egoizmu, rozwijanie miłości. Ktoś, kto zaczyna gromadzić wokół siebie wyznawców, kto chce być guru, dowodzi, że nie wyzbył się do końca egoizmu. Zresztą zupełne wyzbycie się go w naszym życiu jest praktycznie niemożliwe. Dlatego joga może być niebezpieczna. Ktoś, kto obudzi swoje czakramy zaczyna sobie wyobrażać, że jest Bóg wie kim, a gdy nie ma odniesienia do Chrystusa, grozi mu śmiertelna pułapka.- Powiedział dziwnie zawieszając głos, po chwili jednak kontynuował:

- Można wszystko, i medytację, i jogę, ale tylko, jeśli się za guru ma samego Jezusa.

Tylko oświecony światłem Ducha Bożego człowiek jest bezpieczny.

Jakby na potwierdzenie jego słów z kuchni odezwał się wysokim tonem czajnik. - Znałem kiedyś - kontynuował, częstując Jakuba ekologicznymi herbatnikami - jedną kobietę, która wróciła z Indii i wymądrzała się, że podnosi swą kundalini. I cóż z tego, skoro nie przezwyciężyła swego egoizmu? Wie pan, co robiła potem? Zabijała swych uczniów i uczennice! Naprawdę! Pisała zresztą o tym w swych pismach. To nie była żadna kundalini tylko czysty satanizm. Widzi pan, ktoś, kto nie praktykuje, będąc podporządkowanym Bogu, zagraża swoim uczniom i sobie. Rozwija w sobie nienawiść, skłonność do niszczenia i rzeczywistą moc do niszczenia. Ostatecznie grupa się rozpada, on czuje się niepotrzebny i agresję kieruje przeciwko sobie - Zakończył ze smutnym wyrazem twarzy.

Potem spojrzał jeszcze raz Jakubowi głęboko w oczy i powiedział:

- Dlatego niech pan uważa, jeśli pan pisze o takich rzeczach. Mogą to być bardzo niebezpieczni ludzie. W ogóle odradzałbym panu się tym zajmować, ale jeśli pan musi, to przynajmniej niech pan uważa. Musi pan nawiązać ścisłą więź z Jezusem, to pana uchroni.

Jakub uśmiechał się w głębi duszy. Z drugiej strony, nie mógł zaprzeczyć, że rozwój duchowy zawierał w sobie liczne pułapki. Michał opowiadał mu o swych przygodach w tym względzie, gdy był raz pomocnikiem diecezjalnego egzorcysty. Trudno było w to uwierzyć, ale z drugiej strony, skoro nie mógł wierzyć na słowo własnemu przyjacielowi, to komu można było wierzyć? Podobno był świadkiem, gdy facet po paroletniej przygodzie ze spirytyzmem mówił w językach, których się nigdy nie uczył, wiedział o wydarzeniach z życia osób uczestniczących w rytuale, o których nikt inny nie wiedział. Michał nie chciał mu opowiedzieć wszystkiego, czego był świadkiem, mówiąc: „I tak byś nie uwierzył?”. Może i prawda. Jakub był sceptykiem, jeśli chodzi o takie cudowności. Fakt, że ludzka podświadomość jest nieprzebadana, że kryją się w

niej - całkiem naturalne - demony niekoniecznie dowodzi, że w tym, co ludzie uważają za cuda, jest coś nienaturalnego.

A może faktycznie, po niewidzialnej stronie rzeczywistości, o ile ona istnieje, działają jakieś wrogie ludziom byty? Jakubowi ta myśl wydała się śmieszna. Gdyby istniał diabeł, musiałby pochodzić od Boga albo Bóg go zamierzył, a wtedy nie jest absolutnie dobry, albo nie zamierzył, a wtedy nie jest wszechmogący. Czyż nie przed takimi dylematami schronił się kiedyś w Buddzie? Ale z drugiej strony, po lekturze Hegla miał świadomość, że dylematy te są niczym innym tylko sofizmatami rozsądkowego myślenia, bo „poza albo - albo jest też ani - ani oraz zarówno jak”. Jednak z drugiej strony... tak, zawsze jest jakaś druga strona!

\* \* \*

Kolejnym rozmówcą Jakuba był znawca wschodnich sztuk walki, autor kilku książek na ten temat. Z nim udało porozmawiać się tylko przez telefon.

- Wie pan, słyszałem, że w Krakowie jedna z sekt werbuje przez treningi taekwondo. Ale u nas...? Chyba nie. Wie pan, ale żeby się nie wydało, że to wyszło ode mnie, chyba najbardziej podejrzany, choć to może za dużo powiedziane, jest taki Kłoskowski, to już człowiek w średnim wieku, pamiętam, że uprawiał różne sztuki walki, głównie japońskie. Dochodziły do mnie sygnały, że eksperymentował na treningach z hipnozą. Ale nikt mu nigdy nie zarzucał robienia z tego jakiegoś kultu. Może warto jednak, żeby pan z nim porozmawiał, może będzie wiedział coś więcej.

Tego Kłoskowskiego nie było łatwo Jakubowi odszukać. Znalazł faktycznie kogoś o tym nazwisku, ale okazało się, że nigdy nie ćwiczył żadnych japońskich sztuk walki, że dopiero od niedawna prowadzi sekcję Vingtsung, jednego ze stylów chińskiego kungfu. Wyglądało na to, że jego poprzedniemu rozmówcy pomieszały się nazwiska. Okazało się jednak, że Kłoskowski znał człowieka, który z grubsza pasował do opisu, jednak nazywać się on miał Trapiński. Zaprosił Jakuba na trening, po którym mieli sobie o nim porozmawiać. Jakub nawet się ucieszył z zaproszenia, ostatni raz z podobnymi dyscyplinami miał wprawdzie do czynienia już kilkanaście lat temu, a nie były to pozytywne doświadczenia. Ćwiczył wówczas karate, a skończyło się na tym, że trener zniknął z pieniędzmi zebranymi na kimona. Na dłuższy czas zraziło go to do praktykowania sztuk walki. Uznał, że w Polsce, odizolowanej wówczas od świata, nie ma jeszcze wystarczająco kompetentnych nauczycieli. Sporo jednak czytał na ten temat, a w pierwszej klasie liceum obejrzał też z kolegą wszystkie dostępne filmy z Bruceem Lee i Jackie Chanem. Niektóre

układy, odtwarzali w zwolnionym tempie i starali się ćwiczyć, co nie było takie trudne, gdy miało się podstawy. Zaproszenie Kłoskowskiego przywołało dawne wspomnienia. Postanowił zatem, że pójdzie na ten trening, rozrusza przynajmniej swoje kości nieco zasiedziałe od pracy naukowej. Trochę kultury fizycznej, zgodnie z Platońskim ideałem, nie zaszkodzi. Może dowie się czegoś ciekawego o owym Trapińskim. Tym bardziej, że inni rozmówcy mieli jeszcze mniej do powiedzenia, co potwierdzałoby hipotezę, że zjawisko jest względnie nowe.

## Rozdział III

Stawił się przed salą gimnastyczną o umówionej godzinie. Październikowe słońce przygrzewało delikatnie, osuszając powoli liczne kałuże zalegające dziurawą jezdnię przed salą gimnastyczną. Czekają już kilkoro adeptów, w tym dwóch od razu zwróciło uwagę Jakuba: jeden niski, krępy, w wieku około trzydziestu lat, a drugi, nieco młodszy, wysoki o szerokich barach i ciemnej karnacji. Obaj mieli na sobie białe czapeczki i nosili brody. „Czyżby starzy znajomi?” Nie kojarzył ich z owego pamiętnego wykładu o szamanizmie. Ale sposób zachowania wydawał się podobny. Byli pewni siebie, rozmawiali głośno. Jakub już myślał, że natrafił na samą tajemniczą grupę, wkrótce jednak zorientował się, że są traktowani przez pozostałych jak obcy, czyli podobnie jak on, choć może z większą nieufnością. Obserwował ich jeszcze w szatni. Potem sytuacja się nieco wyjaśniła, gdy pojawił się trener, Kłóskowski.

- Witam wszystkich, zwłaszcza osoby nowe, których, jak widzę trochę dzisiaj przyszło - wyraźnie zwracał się do Jakuba i do dwóch brodatych jegomościów. - Zapraszam do rozgrzewki.

Rozgrzewka polegała z grubsza na biegu wokół sali i wykonywaniu przy tym różnych ćwiczeń, takich jak krążenie ramion, przedramion i czego tylko się dało. Potem rozłożono pośrodku materace i ćwiczone różne przewroty, pady, skoki. Jakub nie znał się na tym zupełnie, większości z ćwiczeń nigdy nie robił, miał wrażenie, że każdym ruchem się ośmiesza przed pozostałymi. Wkrótce jednak zauważył, że obecni z uwagą obserwują nie jego, ale dwóch pozostałych gości. Rzeczywiście, ich sprawność była fenomenalna, skakali trzy razy wyżej niż inni, spadali z gracją, płynnie, bez potknięć, a jednocześnie z szerokimi uśmiechami, bez nawet śladu wysiłku czy zadyszki. Zdarzyło się podczas treningu, że trener, który również wykonywał wszystkie ćwiczenia potknął się i zachwiał i tylko z największym wysiłkiem zdołał mimo wszystko wykonać przewrót. Wypadkowi temu towarzyszył gromki, charakterystyczny śmiech obu mężczyzn. Śmiali się bez żenady, wykonując za każdym razem bezbłędnie najtrudniejsze ćwiczenia. Jakub był już pewien, że był świadkiem kolejnej akcji tajemniczej grupy. Napięcie między nimi a trenerem narastało z każdą chwilą.

Do szczytu doszło, gdy - po rozgrzewce - trener zaczął uczyć samych technik. Dwaj tajemniczy przybysze co rusz kwitowali jego wysiłki jakąś uwagą w stylu:

- Eee, to chyba nie może być tak - powiedział jeden z nich z wyrazem niedowierzania na twarzy - Jeśli tak będę miał ułożone ręce, to mam zupełnie odsłonięte pachwiny, to chyba trzeba zrobić w ten sposób - i tu demonstrował poprawną według siebie wersję ciosu. Robił to z dużą siłą i gracją, zdradzającą wieloletnią praktykę. Drugi z nich najbezczelniej stwierdzał - Ja sędzę, że on ma rację.

Ktoś zapytał ich wtedy:

- Wy coś ćwiczyacie? Należycie do jakiegoś klubu?

- Eee, gdzie tam, my proste chłopaki ze wsi jesteśmy, drwa rąbamy, widłami machamy, worki nosimy, i to stąd trochę krzepę się nabrało...

Za którymś razem trener nie wytrzymał i popełnił kardynalny błąd, typowy dla młodych belfrów, którzy przestają sobie radzić z dyscypliną w klasie.

- Skoro jesteście tacy mądrzy, to może wy poprowadzicie trening?! - wybuchnął, choć, jak się zdaje, zaraz tego pożałował, uzmysłowiwszy sobie, że oni mogą to wykorzystać. I faktycznie wykorzystali. Jakby na to czekali. Jeden z nich momentalnie zaczął wydawać komendy. Ludzie byli zdezorientowani, a trener postanowił mimo wszystko zapobiec katastrofie.

- No nie, chwileczkę, to jednak moja sekcja, jeśli chcecie prowadzić treningi, załóżcie sobie swoją! Tutaj ja jestem sifu - powiedział stanowczo.

- Być sifu to jedno, być mistrzem, to co innego, i znacznie trudniejszego - odparł ten niższy, po czym dodał. - Ale pan sifu, chyba o tym nie słyszał.

Trenerowi musiały w tym momencie stanąć przed oczami wszystkie te wschodnie filmy oparte na schemacie walki między szkołami sztuk walki, kiedy do spokojnie funkcjonującej szkoły przybywa jakiś obcy mistrz i wyzywa tutejszego mistrza na pojedynek, pokonuje go i przejmuje albo rozbija szkołę. Tutaj również wszystko wskazywało na to, że Kłoskowski będzie musiał walczyć o swoich uczniów. Widać było, że mu się to nie uśmiecha, ale w twarzach otaczających go uczniów malowało się oczekiwanie, iż udowodni swoją klasę według filmowego schematu. Ale nie takie były plany intruzów. Wyższy powiedział do niższego:

- Wiesz co, Olek, idziemy stąd, tutaj niczego się nie nauczymy, lepiej pobiegać sobie po lesie.

Niższy, nazwany Olkiem, przytaknął i skierował się do wyjścia.

To przebrało miarkę, upokorzony trener, nie ukrywał już swej wściekłości, zaczął coś wykrzykiwać, wyzywać ich na pojedynek, miotał obelgami... Jakub już tego nie słuchał, wyszedł

za tamtymi dwoma. Dogonił ich w szatni, gdy się przebierali, ale zanim zdążył się odezwać, do pomieszczenia wpadł również trener, przybierając groźną minę. Wyższy z intruzów podszedł do niego, spojrzał w oczy stalowym wzrokiem i powiedział cicho, ale z mocą, która zmroziła Jakubowi, ale chyba i trenerowi krew w żyłach:

- Posłuchaj pan. Koniecznie chcesz pan udowodnić swoim uczniom, że niczego nie umiesz? Ile razy walczyłeś tak naprawdę, z najwyższym zaangażowaniem na jakie cię stać, na śmierć i życie? My tylko tak potrafimy walczyć. My nie wiemy, co to jakieś sparingi czy pozorowane kumite. Ale wiemy to i owo o prawdziwej walce. Chcesz pan spróbować? - trener wyraźnie był zbity z tropu, zawahał się, a tamten to wykorzystał - Wiesz pan co, lepiej wróć pan do swoich chłopaków, zdaje się, że stygną, czekają aż im ktoś powie, co mają robić, w końcu za to ci płacą, co? - Powiedział, kładąc rozmówcy dłoń na ramieniu i delikatnie kierując w stronę drzwi.

Trener chyba w głębi duszy ucieszył się z tych słów. Zrobił wprawdzie jeszcze jakieś groźne gesty, ale widać było, że kurczowo chwycił się podsunętego mu wyjścia z sytuacji. Gdy ktoś bardzo pragnie postąpić w pewien sposób, nawet sprzeczny z jego dotychczasowym postępowaniem, chętnie przyjmuje każde, nawet naciągane wytłumaczenie za efektywną racjonalizację. Jakub usłyszał jeszcze, jak trener przemawiał podniesionym głosem do swoich uczniów, coś o „tchórzach”, że niby nie chcieli walczyć.

W czasie rozmowy między trenerem, a wyższym z intruzów ten niższy, Olek, nawet się nie odwrócił, nie spojrzał na trenera, gdy ten wszedł i się gardłował. Spokojnie składał swój dres, raz tylko mrugnął do Jakuba porozumiewawczo, z uśmiechem.

Jakub również szybko ubrał swoje moro. Wyszli razem.

- Coś ten sifu jest do syfu! - powiedział już na zewnątrz Olek z gromkim, nieco rubasznym śmiechem.

\* \* \*

Śliwiński bynajmniej nie był zachwycony pomysłem Jakuba. Wydawał się zaniepokojony i sceptyczny. Siedział teraz w zamyśleniu, pykając fajkę nabitą ostrą mieszanką virginii i burleya, a Jakub zmartwiony czekał w napięciu. Mina Michała uparcie czyszczącego swe okulary wyrażała tylko: „A nie mówiłem”. Po chwili Śliwiński przemówił powoli.

- Wie pan, obserwacja uczestnicząca... nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z trudności tej techniki w przypadku grup religijnych. Ma ona swoje zalety, jest niewątpliwie lepsza do różnych „inwazyjnych” technik...

- Wydaje mi się, że jest to jedyna sensowna technika w przypadku grup, które nie prowadzą otwartej działalności - bronił się Jakub. - Jak inaczej dojść do grupy ezoterycznej? A, że jest to grupa, i że jest ezoteryczna, to już teraz nie mam żadnych wątpliwości.

- Niezupełnie - odparł Śliwiński - Zawsze można poszukać byłych członków. Zrobić z nimi wywiady pogłębione, spróbować wyciągnąć od nich jakieś zgrabne narracje biograficzne i zastosować metodę Znanieckiego.

- Florian Znaniecki zdobył setki autobiografii robotników czy chłopów, bo mógł otwarcie ogłosić konkurs. My tymczasem nie wiemy w ogóle co to za grupa, nie znamy żadnych byłych członków, nie wiemy nawet, czy tacy istnieją. Zresztą ekszczłonkowie są zazwyczaj bardzo stronniczy, naczytałem się u Michała różnych takich „biografii”: jak to zbłądziłem, jak wstrętna sekta mnie wykorzystała, a potem jak znalazłem Jezusa i jak już teraz jest wspaniale.

- Zgadza się, jednak ta ich stronniczość jest stosunkowo jawna. Wystarczy trochę pogłębić wywiad, zacząć pytać nie tyle o, jak pan to nazwał, „sektę”, ale o jego osobiste motywy, dlaczego wstąpił, co go tam trzymało przez cały ten czas. Nawet jeśli był skrajnie negatywnie nastawiony do swej dawnej wspólnoty, to zazwyczaj będzie zależało mu, aby jego własna biografia była względnie spójna, będzie dostarczał więc, czasami mimo woli, informacji również na temat tego, co w danej wspólnocie było pozytywnego. Zresztą, niech pan zauważy, że w przeciwieństwie do członków aktualnych nie mają powodów, aby zatajać zdarzeń czy sytuacji. Ich stronniczość dotyczy przede wszystkim ocen.

- Nie zamierzałem pytać członków aktualnych, nie sądzę, żeby cokolwiek powiedzieli komuś z zewnątrz. Chciałbym to zobaczyć na własne oczy - odparł Jakub.

- A nie boi się pan o „własne oczy”? - zapytał trochę tajemniczo Śliwiński.

- Nie rozumiem. Co pan profesor ma na myśli? - Jakub był nieco zbity z tropu, czyżby profesor wiedział coś o metodach karania szpiegów w „sektach”?

- Nazwijmy to „efektem mniszego habitu”. Niech pan przypomni sobie teorię ról społecznych, to elementarz. Rola społeczna nie jest czymś, co się obojętnie i bezkarnie przyjmuje, ona kształtuje tożsamość. Habit czyni mnicha. Przywdziewając go, zacznie się pan najpierw tylko zachowywać jak mnich, a potem też faktycznie stopniowo w niego zmieniać.



Wchodząc w rolę członka tej grupy, najprawdopodobniej nie pozostanie pan tym samym człowiekiem co przed badaniami. Zwłaszcza, jeśli chodzi o grupy niewielkie i młode, gdy osobista charyzma dominuje jeszcze nad wszelkimi formami charyzmy zinstytucjonalizowanej. Z tego co wiem - ciągnął profesor - próbowano takich badań na Zachodzie, ale chyba nigdy w stosunku do grup tak młodych, jak wydaje się nasza grupa.

- Krótko mówiąc - wtrącił Michał - czy nie boisz się, że cię nawrócą, przekreślą na swoją stronę?

- Nie sędzę - odparł pewnym siebie głosem Jakub - aby ktoś, kto przerobił dobrze Hegla, dał się nawrócić na jakikolwiek dogmatyczny system myślenia. Z pewnością będę wystawiony na różny wpływ charyzmatycznych osobowości, ale jak inaczej opisać ten wpływ nie powtarzając banałów, które wypisywali inni?

- Tak, ma pan słusność - To najwyraźniej przekonało Śliwińskiego - W takim razie mam jeszcze jedną obiekcję. Grupy ezoteryczne mają to do siebie, że informacje są tam udostępniane proporcjonalnie do zajmowanej pozycji w organizacji, nazywają to procesem wtajemniczenia czy inicjacji. Oznacza to, że mogą minąć lata zanim dotrze pan do informacji, na których panu zależy.

Jakub w milczeniu pokiwał głową. To rzeczywiście ryzyko, skoro chce z tych badań zrobić pracę magisterską.

- Czasami - dodał jakby na pocieszenie profesor - można ten proces nieco przyspieszyć, jeśli uwierzą, że jest pan autentycznie i w pełni zaangażowany.

- Najlepiej byłoby - dodał Michał - gdyby udało się połączyć obie metody: wywiady z „eksami” i obserwację Jakuba. Dałoby to pełny obraz.

- Pomógłbyś mi? - zapytał z nadzieją Jakub.

- Na teraz, to mam za mało informacji, aby nawet zacząć poszukiwania. Trzeba by znaleźć przynajmniej jednego byłego członka, najlepiej takiego, który odszedł całkiem niedawno, a jednocześnie był tam dostatecznie długo. On może wiedziałby o innych, którzy odeszli przed nim, a tamci wskazali jeszcze innych. W ten sposób metodą „kuli śniegowej” dałoby się zebrać pewną reprezentację. Dopóki na nikogo takiego nie trafimy, nie mogę niczego obiecać, nie znamy nawet ich nazwy.

- Mam rok na napisanie pracy - powiedział po chwili namysłu Jakub - Myślę, że mogę pół roku poświęcić, aby zorientować się, co to za grupa i czy da się coś z tego napisać. W

międzyczasie zacznę pisać rozdział teoretyczny o nowych ruchach religijnych w socjologii. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to usiądę i szybko poszerzę ten rozdział i zrobię z tego jakąś pracę z teorii.

- Cóż, ma pan do tego pełne prawo - przytaknął Śliwiński, choć nie podobał mu się pomysł „szybkiego” pisania pracy. - To jaki następny krok pan planuje?

- Jestem umówiony z nimi na trening w sobotę.

- Dobrze, trochę kultury fizycznej panu nie zaszkodzi, tylko niech pan nie da sobie zrobić krzywdy. A właściwie to co oni ćwiczą?

- Twierdzą, że kungfu, ale bardzo trudno było wyciągnąć od nich jakiś konkretny styl. Odpowiadali, że najlepszy, że to sztuka walki jako sztuka życia. A generalnie nie byli skłonni do zwierzeń, mówili „przyjdź, to zobaczysz”.

- Dobrze. Niech pan pójdzie, zobaczy i zwycięży - zakończył z uśmiechem Śliwiński.

W tym momencie do gabinetu weszła jakaś dziewczyna, niska z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami i okrągłymi okularami.

- Dzień dobry panie profesorze - powiedziała cicho, po czym usiłowała przemknąć wzdłuż ściany w kierunku najbliższego krzesła, na którym też usiadła.

- Dzień dobry - powiedział Śliwiński nieco zdziwiony. - A szanowna pani w jakiej sprawie?

- Ja przyszedłam na seminarium - powiedziała już nieco głośniej.

- Bardzo mi miło, zazwyczaj zaczynamy z uwzględnieniem kwadransa akademickiego - powiedział Śliwiński i widząc, że dziewczyna wstaje z zamiarem wyjścia, szybko dodał: - Ale niech pani siedzi, już skończyliśmy konsultacje. Pani z którego roku?

- Z czwartego. Monika Jaworska - przedstawiła się. - Mamy wybrać dla siebie seminarium... Czytałam pana ogłoszenie i mnie zainteresowało.

- A co panią interesuje? - Zapytał.

- Interesuje mnie feminizm i religia - powiedziała lekko zadziornie.

Śliwiński przewrócił tylko oczami i powiedział:

- Socjologią religii to się zajmuję, ale feminizmem wcale. Powiem pani w tajemnicy, że nie cierpię feminizmu. Ale jeśli pani potrafi przekonać mnie, że feministki wymyśliły cokolwiek sensownego w mojej dziedzinie, witam na pokładzie - powiedział z uśmiechem. - Ale ostrzegam - koledzy już o tym wiedzą - nie dopuszczam w pracach naukowych żadnej ideologii ani feministycznej, ani katolickiej, ani nacjonalistycznej, ani political correctness, ani innej. Czy jest

pani w stanie się temu podporządkować? - Dodał z surowym wyrazem twarzy. Jakub puścił oko do Michała - pamiętał, jak kiedyś przechodzili podobny „test”. Oczywiście ten surowy wyraz twarzy niewiele miał wspólnego ze zwykłym stosunkiem profesora do studentów. Chodziło tylko o „przeżeganie” - jak mawiał Śliwiński - najgłupszych ideologów, z którymi nie chciało mu się męczyć.

- Spróbuję - powiedziała wyraźnie zmieszana.

- W porządku. Proszę się wpisać na listę. Zaraz powinni przyjść pozostali studenci. To kto ma referat na dzisiaj?

\* \* \*

Siedzieli z Michałem w studenckiej kafejce popijając kawę. Przyjaciel wydawał się być zmieszany, niezdecydowany, widać leżało mu coś na sercu. Krzywił się, popijając zbyt kwaśną kawę i nerwowo czyścił okulary.

- O co chodzi - zapytał prosto z mostu Jakub, przerywając milczenie.

- Zastanawiam się... szczerze mówiąc, mam też pewne „obiekcje” co do metody, jaką obrałeś, ale... jakby innej natury... - Michał mówił niepewnie, jakby nie chciał powiedzieć czegoś, co wyda się koledze śmieszne.

- Chodzi o problemy etyczne związane z obserwacją innych bez ich wiedzy, z udawaniem wyznawcy, kiedy się jest zatwardziałym profanem?

- Między innymi.

- Cóż, może cię to zaskoczy, ale myślałem nad tym. Na dziś dzień, nie wiem jeszcze, czego będą ode mnie oczekiwać. Postaram się być z nimi w miarę uczciwy, poza tym. Tym jednym fragmencikiem, że będę praktykował religię w celach tylko jej poznania, a nie zbawienia

- Jakub zamyślił się. Tak naprawdę rozwiązanie tego pozapoznawczego dylematu może być albo bardzo trudne, albo łatwe w zależności od rozwoju sytuacji, oraz tego, czym okaże się ta grupa. - A inne obiekcje?

Tutaj Michał zaczął się jeszcze bardziej wahać. Po chwili jakby się zdecydował.

- Powiem to tak, ale się nie śmieję. - Jakub potaknął z powagą - Nigdy bym nie pakował się w coś takiego, bez dobrego wsparcia modlitewnego. - Jakub poczuł się nieswojo, nie wiedział co powiedzieć, ale Michał ciągnął. - Inaczej mówiąc, uważam, że ktoś powinien się za ciebie modlić, jakaś wspólnota.

- Uważasz, że inaczej opęta mnie diabeł? - Jakub prawie zaraz pożałował tych słów, nie chciał ośmieszyć szlachetnych intencji przyjaciela, ten jednak się tym na szczęście za bardzo nie przejął.

- Zwij to jak chcesz, opętanie jest bardzo rzadkie, tylko raz widziałem kogoś faktycznie opętanego. Chodzi mi o to, że wystawiasz się na różne oddziaływania, możesz w nie nie wierzyć, ale one występują. Na poziomach, o których, obawiam się, niczego nie wiesz. Do tego dochodzi zniewolenie na poziomie bardziej psychologicznym. Jak wiesz, sekty stosują specjalną kontrolę umysłu, psychotechniki. Powinieneś poczytać trochę Cialdiniego czy Hassana.

Jakub zamyślił się. Poczytać nie zaszkodzi, ale po co mieszać do tego siły nieczyste, wpływy duchowe? Znowu wraca dylemat postawiony przez starego jogina. Z drugiej strony, w końcu nie tylko chrześcijaństwo znało egzorcyzmy. Również buddyści praktykowali pewne zabiegi ochronne: tak jak szamani budowali pola mocy, chyba jednak, żeby się przed czymś ochronić. Po każdej medytacji wzywali również Strażników, bóstwa opiekuńcze, groźne emanacje umysłu Buddy. Odwoływał się do nich też ostatni werset formuły schronienia, którą powtarzali, robiąc pokłony w ramach nyndro, praktyk wstępnych, oczyszczających karmę. Cóż, jak to powiedział już chyba Heraklit, życie to walka. Może po tamtej stronie jednak prawo to również obowiązuje? Może to coś więcej niż wpływ skrzywienia chrześcijańskich eklezjarchów widzących zagrożenie we wszelkich niesformalizowanych kontaktach ze sferą duchową?

- W sumie nie musiałem ci tego mówić, ale mogą się zdarzyć sytuacje, gdy wiedza o tym, może ci pomóc. Mam przyjaciół w jednym zakonie kontemplacyjnym. Poproszę ich, aby modlili się za ciebie.

- Dziękuję - Jakub czuł się nawet nieco wzruszony, że jacyś obcy ludzie będą się za niego modlić. Ale wewnątrz zachował swój sceptyczny dystans, jeśli chodzi o skuteczności modlitwy. Choć w ostatnim czasie, pod wpływem częstych kontaktów z ludźmi autentycznie wierzącymi różnych wiar, jego sceptycyzm był może odrobinę bardziej „otwarty”. - Dobrze mieć kumpla charyzmatyka.

- Właśnie, dobrze, że wspomniałeś. O co chodziło Śliwie z tym charyzmatyzmem zinstytucjonalizowanym?

- Oj, nadal nie doczytałeś Webera. To już ostatnie korepetycje, na jakie możesz u mnie liczyć, za kolejne będziesz musiał płacić 30 zł za godzinę. Po pierwsze żaden charyzmatyzm, ale zwyczajnie charyzma. Gdy ludzie zaczynają dostrzegać w danej jednostce jakieś niecodzienne,

osobliwe, czasem nawet nadprzyrodzone moce czy właściwości, niedostępne dla innych, to ta osoba jest wyposażona w charyzmę i staje się dla innych wzorem i przywódcą. Gdy te właściwości przypisuje się nie osobie, ale urzędowi, to mamy charyzmę zinstytucjonalizowaną. Znasz zresztą historię chrześcijaństwa, Paweł to charyzmatyk, ale już po nim przyszli urzędnicy, którzy zaczęli zwalczać charyzmatyków, a nadprzyrodzoną moc przypisali samemu urzędowi biskupa.

- Tak naprawdę, to już Paweł dołożył charyzmatykom swoim hymnem do miłości.

- Tak? Nie wiedziałem, dlaczego?

- Chodziło o to, że naprawdę ważne nie jest to, czy się mówi językami, prorokuje, uzdrawia, ważna jest wiara, nadzieja i miłość.

- Racja. A od każdego można wymagać żeby kochał, wierzył i miał nadzieję, trudno zaś wymagać czynienia cudów.

\* \* \*

Wieczorem Jakub zmagał się z górą brudnych naczyń, która nazbierała się przez kilka ostatnich dni, gdy był zbyt pochłonięty nauką, aby zajmować się tak przyziemnymi sprawami. Zmywanie było czynnością, która przez swoją monotonię, wyjątkowo stymulowała go do rozmyślań, a miał o czym myśleć. Zastanawiał się, jak mógłby się przygotować do sobotniego treningu. Musiał odpowiedzieć sobie na kilka pytań: jakich ludzi oni szukają? Jak własną tożsamość zaprezentować tak, by wydała im się atrakcyjna? Jak wytłumaczyć swoje zainteresowanie sztukami walki?

Mógł być pewien jednego: nie chodzi im tylko o sztuki walki. A zatem będą szukać ludzi, którym chodzi o coś więcej. Musi im wspomnieć, że np. chce się zapisać też na kurs jogi albo jakiejś innej ścieżki ezoterycznej. Reszta będzie sprawą jego zaangażowania, ilości czasu jaką będzie skłonny im poświęcić.

Mogą pytać o to, co studiuje, o czym pisze pracę, gdzie mieszka. Im więcej prawdy powie, tym bardziej wiarygodnie to wypadnie, tym mniej będzie powodów do podejrzeń. Jedno kłamstwo pociąga za sobą konieczność kolejnych dziesięciu. Trzeba się więc zastanowić, co przed nimi musi zataić. Oczywiście planowany temat pracy magisterskiej. Powinien wymyślić inny, zbliżony, który by usprawiedliwiał literaturę, jaką mogą u niego znaleźć, na przykład w trakcie przypadkowych odwiedzin, a który by dawał jednocześnie usprawiedliwienie jego częstym konsultacjom ze Śliwińskim i ewentualnie z Michałem. Może po prostu przedstawić im

„wariant teoretyczny”? Wylał brudną już wodę z miski, i napełnił ją świeżą. Rozmyślił się - sama wzmianka o nowych ruchach religijnych mogłaby ich spłoszyć, nawet, jeśliby temat sformułował maksymalnie życzliwie. Może po prostu „Teoria organizacji religijnej”?

Oczywiście, lepiej, żeby nikt oprócz Śliwińskiego i Michała nie dowiedział się o prowadzonych przez niego badaniach.

Na szczęście nie miał dziewczyny, której by trzeba wszystko tłumaczyć, a rodzice nie żyli od kilku lat. Z satysfakcją stwierdził, że jego więzi z otoczeniem społecznym nie były zbyt liczne - wymarzona sytuacja dla każdego agenta.

Idealne warunki do zachorowania na anomię. Czy jego zapal dla metody obserwacji uczestniczącej nie brał się czasem z tego właśnie faktu? Czy nie taka jest jego najgłębsza motywacja? Wszak anomia miała jeszcze swą bardziej pospolitą krewną, doskonale znaną na długo przed Durkheimem - samotność.

To trzeba jeszcze dokładnie przemyśleć. Wszak pierwszym przedmiotem badań dla socjologa, jak zauważył Bourdieu, powinien być on sam.

## Rozdział IV

Tak, to nie była zwyczajna sekcja sztuk walki. Jeszcze w szatni Jakub był świadkiem ciekawej rozmowy. Jeden z uczniów Olka, Piotr chciał się „zvolnić” z treningu.

- Jutro mam sprawdzian z technologii, chcę iść się uczyć - tłumaczył się.

- Jak dużo się już uczyłeś? - zapytał Olek.

- Wczoraj cały dzień i dzisiaj, aż do teraz.

- Dlaczego nie zacząłeś wcześniej?

- Miałem inny egzamin.

- A zatem zrobiłeś wszystko, co mogłeś, aby się przygotować?

- Tak.

- A zatem zaufaj! Na świecie nie ma przypadków. Gdy rozwijamy się, walczymy z sobą, nie jesteśmy sami. Z czasem uwrażliwicie się i zaczniecie dostrzegać, że ktoś wam pomaga.

- Kto?

- System - Odpowiedział tajemniczo Olek.

- System?

- Są mistrzowie widzialni i niewidzialni - powiedział tonem, który miał dać do zrozumienia, że rozmowa skończona, może kiedyś dowiedzą się więcej.

Słuchając słów Olka, Jakub nie miał ani chwili wątpliwości, że wierzy on święcie w to, co mówi. Nie dostrzegł ani w tonie jego głosu, ani w mimice cienia dwuznaczności.

Co ciekawe, na kolejnym treningu Piotr opowiedział, jak na egzaminie dostał pytanie akurat z tego materiału, z którego był przygotowany. Olek oczywiście nie omieszkał tego odpowiednio „nagłośnić”. Jakub mógł obserwować, jak również tu działa stara katolicka zasada, że cuda wzmagają wiarę.

Tak, to nie była zwyczajna sekcja sztuk walki. Na szczęście jego osobiście, jako nowego, Olek traktował jeszcze ulgowo, przynajmniej na pierwszych treningach.

- Ruszać się! Dalej! Nie popuszczać sobie!

Biegli na czworakach dookoła sali. Potem taczki, a na ostatnim okrążeniu taczki w podporze na pięściach. Potem chwila odpoczynku - w podporze przodem, również na pięściach.

Stali tak już parę minut. Kostki paliły żywym ogniem. Naskórek dawno się już zdarł. Przedramiona szaleńczo drgały z wysiłku.

- Gdy poczujecie, że już nie możecie, że to już ostatnie wasze siły, musicie jeszcze mocniej na siebie nacisnąć, przekroczyć tę granicę. Trzymaj Waldek! Nie puszczaj! Macie jaja czy nie?!!

Ciężkie krople potu spływały Jakubowi po twarzy, ręce drgały niemiłosiernie. Olek spoglądał na niego od czasu do czasu, widać było, że waha się, wypadało nowego traktować ulgowo, ale Jakub nieźle sobie radził, nadrabiając braki w sprawności zaangażowaniem.

- Dobra, powstać! W dwa szeregi, dalej, dalej! Szybko! Nie grzebać się! Naprzeciwko siebie! Utwardzanie! - Olek stanął przed Jakubem.

- Napnij mięśnie barku - Powiedział i uderzył. - Mocniej, to nie będzie bolało - Znowu uderzenie. Bolało, ale mniej. - Ty też uderzaj.

W sali po chwili słychać już było tylko głuchoe odgłosy zderzania się napiętych ciał i odliczanie „Ji! Er! San! Sy! Łu! Liu! Czi! Pa! Kiu! Szy!”. Kolejna dziesiątka i jeszcze jedna. Przedramiona zaczerwieniały się coraz mocniej.

Potem ćwiczyli techniki. Cios prosty. Blok po łuku w dół. Blok przedramieniem do wewnątrz. Pięćdziesiąt razy, i jeszcze raz.

- Niżej Robert! Niżej!

Stali w pozycji zwanej mabu, pozycji jeźdźca, szeroko rozstawionymi i mocno ugiętymi i skierowanymi na zewnątrz kolanami przy równoległych stopach. Mięśnie napięte do granic wytrzymałości. Starał się nie prostować nóg, ale nie były mu do końca posłuszne.

- Wytrzymaj! Jeżeli już nie możesz, ale nadal walczysz, zyskujesz szansę na dostęp nie tylko do energii witalnej, ale do kosmicznej.

Potem ćwiczyli taolu, po japońsku kata, czyli długą sekwencję ciosów, kopnięć, przejść do innych pozycji, bloków i uników zestawionych w sformalizowaną całość, przypominających taniec z cieniem, walkę bez przeciwnika, a raczej z wyobrażonymi przeciwnikami. Jakub mógł tylko nieudolnie próbować naśladować ich ruchy. Z tego co się zorientował, wyglądało to na styl wywodzący się z klasztoru Shaolin. Techniki były zamaszyste, dynamiczne, o dużym zasięgu, postawy niskie i stabilne, w odróżnieniu od Ving tsun, stylu Bruce'a Lee, który preferował bardziej naturalną pozycję ciała.



- Kata, taolu, macie traktować jak modlitwę, bo to jest modlitwa. Od dzisiaj, zanim położycie się spać, koniecznie: ząbki, siusiu i „kaciorek”. Gdy będziecie ćwiczyć taolu z pełnym zaangażowaniem, to może po parunastu latach ukążą się wam Mistrzowie i będą was osobiście uczyć.

Jakub słyszał już kiedyś takie opowieści, ale nie był w stanie stwierdzić, na ile Olek poważnie się do nich odnosił. Jego twarz pozostawała teraz nieprzenikniona.

Trening się skończył, Jakub też był prawie skończony. Bolała go każda komórka ciała. Chociaż czuł jednocześnie pewną satysfakcję, że nie poddał się, wytrzymał do końca. Poczłł smak zwycięskiej walki z sobą, tego narkotyku wojowników. Przekroczył siebie o mały krok, a zatem jest choć trochę lepszy niż był przedtem. Tak, niewątpliwie można poczuć się kimś lepszym. A przynajmniej kimś innym niż większość ludzi.

Z pewnego punktu widzenia była to prawda. Człowiek, który dąży do mocy, sytuuje się w zupełnie innym systemie wartości niż inni ludzie. Jako socjolog wiedział jak to nazwać: Spencer nazwał to etyką wojowniczą. W społeczeństwie, gdzie większość zabiega o karierę, pieniądze, przyjemności, czyli reprezentuje etykę społeczeństwa produkcyjnego, można poczuć się wyjątkiem. Nietzsche nazwał to mocniej: etyką panów i etyką niewolników.

Gdy się rozstawali tego dnia, Olek spojrzł na niego z wyrazem zadowolenia i uznania na twarzy i odciągnąwszy na stronę opowiedział przypowieść:

- Pewnego razu urodził się lew, jego rodzice go zagubili. Przygarnęło go stado owiec, wychowały go. Po paru latach zapomniał o tym, kim jest naprawdę, uwierzył, że jest owcą. Żył tak, żując trawę całe lata. Choć nie czuł się z tym dobrze, wierzył, że tak musi być. Pewnego dnia jednak w okolicy przechadzał się jakiś stary, wielki lew. Zobaczył śmiesznego młodego lwa żującego trawę wśród owiec i zaryczał ze śmiechu. Na dźwięk jego ryku wszystkie owce uciekły. Ale młody lew nie czuł strachu. Zaciekawilo go raczej to wielkie, piękne i potężne zwierzę. Ten ryk obudził w nim jakieś wspomnienia, coś w jego duszy zadrgało. Nie szukał już zbiegłego stada owiec. Pobiegł za starym lwem i zaczął jeść mięso, uczyć się polowania i ryczeć jak lew, a nie beczeć jak owca.

\* \* \*

Olek zaparkował samochód przed bramą, otworzył furtkę i udał w kierunku wejścia. W przedsiönku mocno tupiąc, otrząsnął buty ze śniegu i wszedł do środka. Spozrzegłszy przez otwarte drzwi w kuchni krzątającą się tam kobietę wykonał w jej kierunku ukłön, waląc pięścią w

dłoń aż zagrzmiało w całym domu. Kobieta, szczupła brunetka o włosach splecionych w gruby warkocz, zdawała się nie zwracać na niego uwagi, miotając się między kuchenką, stołem a zlewem. Dopiero gdy Olek rozebrał się, skierowała go spojrzeniem do pokoju na piętrze, gdzie ten udał się niezwłocznie.

Przed niewielkim stolikiem, na którym dymił gorący talerz zupy burakowej, siedział atletycznie zbudowany, młody mężczyzna o krótkich, rudych włosach i mięsistej twarzy.

- Nie ma nic lepszego w takim mroź - powiedział z szerokim uśmiechem. W tym roku zima rzeczywiście nadeszła wyjątkowo wcześniej i trzymała już od miesiąca. Za oknem, ku uciesze świętujących „umownych”, intensywnie padał śnieg, a ostry wiatr, częsty na tym odludziu, wciskał się nieubłaganie przez niedokładnie uszczelnione okna. „Trzeba będzie kazać któremuś z chłopaków poprawić”, pomyślał mężczyzna i naciągnął owczą skórę na kolana.

- No, co tam słyhać? - zapytał, gestem zachęcając Olka do mówienia.

- Był mały wypadek wczoraj na treningu - odpowiedział Olek - Jakub, ten który dołączył od nowego roku, chyba się zapowietrzył, biegł i w pewnym momencie wyrzwał w drabinki, potem padł na ziemię.

- Coś mu się stało?

- Zaraz się podniósł i usiłował dołączyć do pozostałych. Mówię mu, żeby trochę poleżał, odpoczął, a on czołga się do robienia pompek.

- Twarda sztuka! - zaśmiał się mężczyzna. - Podoba mi się. Mów dalej, nic mu nie jest?

- Potem skarżył się, że ma problemy z pamięcią - kontynuował Olek - nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie jest ani naszych imion. Dopiero po godzinie zaczął z wolna dochodzić do siebie.

- To się zdarza przy hiperwentylacji. Za intensywnie oddychał. Nic mu nie będzie.

- A ty jak się trzymasz? - Zapytał po chwili, wstając. Temat Jakuba został widać wyczerpany. - No, kime! - rzucił komendę. Olek stanął w lekkim rozkroku i napiął wszystkie mięśnie. - Nie popuszczaj sobie? - Pytał mistrz, uderzając Olka w brzuch, najpierw nie za mocno, potem coraz mocniej. - Mocniej napinaj, chyba nie spodziewasz się, że będę się nad tobą litował. No, dalej! - Kolejny cios wylądował na brzuchu ucznia. Olek naprężył się, twarz mu poczerwieniała, w pewnym momencie widać było, że cios był już lekko poza granicą jego wytrzymałości, skulił się nieco. Z kolei przyszła kolej na barki. Mężczyzna uderzał w nie na zmianę swą potężną dłońią ciosem zwanym przez karateków sotouchi.

- Dobrze, trzymaj tak dalej - powiedział na zakończenie.

Olek wykonał tradycyjny ukłon wojowników kungfu.

- Dobra, wynoś się - pożegnał go mistrz.

\* \* \*

Śliwiński jeszcze raz przerzucił materiały, które dzień wcześniej przekazał mu Jakub. Niewiele tego jak na ponad trzy miesiące obserwacji. W zasadzie można by odnieść wrażenie, że jest to zwykła sekcja sztuk walki. Na pierwszy rzut oka tylko rygorystyczne zakazy używek, łącznie z kawą i herbatą, czyniłyby z nich sekcję nieco ekscentryczną, ale i to dałoby się jakoś wyjaśnić. Ale Śliwiński stwierdził z zadowoleniem, że jego student nie poprzestaje na pierwszym rzucie oka.

Jakub podejrzewał, że kryje się za tym coś znacznie więcej i wskazywał konkretne przesłanki. Jego mistrz, Olek, kreował się bowiem na kogoś więcej niż tylko instruktora. Zresztą już na pierwszych zajęciach zadeklarował, że sztuka walki to sztuka życia, bo życie to walka. Śliwiński zdał sobie sprawę, że musiało to nawet przypaść do gustu Jakubowi, który zaczytywał się w Nietzschem. Ciągle miał jednak nadzieję, że chłopak nie zaangażuje się „za bardzo”. Co zaintrygowało Śliwińskiego Jakub zaobserwował, pozycja w hierarchii sekcji nie pokrywała się ściśle z biegłością w machaniu nogami i wywijaniem salt. Jeden z chłopców, który dołączył na krótko przed Jakubem, mimo iż trenował intensywnie od wielu lat w różnych klubach i osiągnął znaczną biegłość, ciągle był traktowany jak początkujący, sytuował się w hierarchii niżej nawet niż Jakub, który dzięki zaangażowaniu szybko zyskał zaufanie instruktora.

Ale nadal są to tylko przesłanki. Śliwiński obawiał się, że badania mogą się okazać, tak jak zresztą przewidywał, zbyt czasochłonne. Zanim Jakub zostanie dopuszczony do sensownych i interesujących socjologicznie informacji, mogły upłynąć miesiące albo i lata. Może lepiej doradzić mu, aby w ramach pracy magisterskiej zajął się czymś innym?

Śliwiński miał nadzieję, że uda się Jakuba zatrzymać na uniwersytecie. Był zdolnym studentem, chciał się uczyć, był gotowy przyjmować nawet bardzo krytyczne uwagi choć nie bezkrytycznie. Jednocześnie miał naprawdę niezłe pomysły. W przeciwieństwie do Michała, nie był dogmatykiem, myślał twórczo i samodzielnie. Przydałby mu się taki asystent. Do tego potrzebna była jednak dobra praca magisterska. Wiedział wprawdzie, że nie będzie mu łatwo wywalczyć dla niego miejsce w instytucie. Czekala go kolejna „epistemomachia”.

Ostatni okres musiał być dla Jakuba bardzo intensywny. Odkąd dołączył do sekcji Olka, praktycznie nie pozostawił sobie wolnego czasu, poświęcając go w zupełności na treningi. Korzystał z prawie każdej możliwości kontaktu z Olkiem i innymi. Nie miał wyjścia, jeśli chciał uchodzić za „prawdziwie zaangażowanego” i w ten sposób przyspieszyć cały proces wtajemniczania. Zakładając, że to faktycznie jest coś więcej niż sekcja kungfu.

Na sekcję składało się może dwunastu chłopaków, większość w wieku licealnym i z pierwszych lat studiów. Jakub był chyba jednym z najstarszych. Z tego, co się dowiedział, sekcja istniała dopiero rok. Olek zapraszał ich często do siebie, oglądali razem i dyskutowali nad filmami poświęconymi sztukom walki. Jednocześnie Jakub zaobserwował wiele interesujących szczegółów. Ilekroć był w domu u Olka w porze wieczornej, jego żona gotowała jakąś potrawę z buraków, chyba zupę. Relacje między Olkiem a jego żoną też nie wyglądały zwyczajnie. Była mu ślepo posłuszna, choć nie wyglądała na głupią, zakompleksioną panienkę ze złego domu, wychowaną przez ojca alkoholika. Jakub pisał, że kilka razy, gdy nie zastał Olka w domu, miał okazję z nią porozmawiać sam na sam. Opisał ją jako sympatyczną, wysoką i przystojną blondynkę, studiującą zaocznie ekonomię.

To, co Olek mówił swym uczniom, pełne było niedopowiedzeń, Jakub zanotował nawet typowe wypowiedzi: „o tym jeszcze kiedyś porozmawiamy”, „na to musicie jeszcze poczekać” albo najbardziej typowe: „...może kiedyś...”. Takie i tym podobne teksty pojawiały się dość często i tylko potęgowały ciekawość. Kiedyś powiedział nawet: „Gdybym dzisiaj powiedział wam wszystko to, co sam wiem, ucieklibyście, gdzie pieprz rośnie”. Stale stwarzał wrażenie, że znajdują się dopiero w przedsionku czegoś większego, wspanialszego i ważniejszego. Tak więc hipoteza Jakuba, że mają do czynienia z jakimś ruchem ezoterycznym, ścieżką inicjacyjną wydawała się przynajmniej prawdopodobna.

Ale faktycznej wiedzy, którą można by uznać za ezoteryczną było niewiele. Jak dotąd mieściła się ona w zasadzie w ramach filozofii i praktyk, jakich można by się spodziewać po chińskich nauczycielach sztuk walki, chociaż na Zachodzie nie była szeroko rozpowszechniona. Nauczano o energii qi, którą należało w sobie rozbudzać, uczyć się kontrolować, a jednocześnie chronić. I to by było w zasadzie tyle. Może jeszcze z rzeczy doniosłych socjologicznie: mocne podkreślanie roli mistrza, nauczyciela, przewodnika. Początkowo Jakub zwracał się do Olka, tak jak ten sam zresztą chciał, po imieniu. Z czasem jednak zauważył, że bardziej zaawansowani z jego uczniów zwracają się do niego, choć nie ostentacyjnie, per „mistrzu”. Zaczął tak tytułować

Olka już po miesiącu. Olek miał wówczas zapytać, jak Jakub rozumie to słowo. Wywiązała się z tego długa rozmowa o potrzebie w życiu autorytetów, przewodników, pomocy, ze strony osób bardziej doświadczonych.

Jak widać, stopniowo Jakub zyskiwał zaufanie Olka. Od pewnego czasu był chyba nawet faworyzowany. Jakub miał, jak pisał w swych notatkach, wrażenie, że zwrócił na siebie uwagę swymi wypowiedziami, gdy po obejrzeniu filmu siadali w kole i wymieniali się uwagami. Jakub szybko rozszyfrował „filozofię” jaką należało z przekazu wynieść. Była to „pięta woda po Nietzsche”. Nacisk na witalność, na siłę, ale też miała to być siła użyta do pomocy innym ludziom.

Zobaczymy, dokąd to go zaprowadzi - pomyślał Śliwiński.

## Rozdział V

Jakub wszedł na salę gimnastyczną Szkoły Podstawowej 44, gdy trening się już właściwie kończył. Po mrozie, jaki panował na zewnątrz, ciepło w środku, chociaż przesycone zapachem męskiego potu sprawiło, że poczuł się niemal jakby wrócił do domu.

- O, Kuba! Witaj! - przywitał go entuzjastycznie Olek - I jak tam, masz?

Jakub, sekcyjnym zwyczajem, mocno uściskał mu dłoń.

- Pewnie - powiedział - trochę musiałem za tym pochodzić, ale w końcu dostałem.

Wygrzebał z plecaka kasetę wideo i podał Olkowi.

- Jest Klasztor Shaolin, Comandoninja, O, zdobyłeś Pijanego mistrza, świetnie! To genialny film, świetne układy! - ucieszył się Olek, potem krzyknął do reszty chłopaków. - Kto chce się uczyć taolu z ze stylu pijanego człowieka?

Oczywiście wszyscy się zgłosili.

- Guzik! - odparł Olek ze śmiechem. - Najpierw sam się muszę nauczyć! - Potem zwrócił się do Jakuba. - Rozbieraj się, bo się przegrzejesz. Przyglądaj się uważnie, co cię czeka.

Olek wrócił do chłopaków, którzy zaczęli się uczyć jakiegoś nowego taolu. Chłopacy ciągle popełniali błędy przy pierwszych ruchach, które Olek cierpliwie i bezwzględnie korygował. Jakub obserwował ich, stojąc oparty o kaloryfer i rozgrzewając, skostniałe z zimna dłonie.

Gdy skończyli ćwiczyć taolu, cotygodniowa rutyna została złamana. Na polecenie Olka zestawili ławki w trójkąt i usiedli. Olek podszedł do miejsca, gdzie zwykł się przebierać i ku zaskoczeniu Jakuba wyciągnął z pokrowca gitarę. Stała w kącie, stąd wcześniej Jakub jej nie zauważył. Zaczął śpiewać przy jej akompaniamencie, niezbyt może zgrabnie przebierając palcami po gryfie w trakcie układania akordów, za to mocno i rytmicznie uderzając w struny. Dla Jakuba był to zupełnie nowy element spotkań, choć dla pozostałych nie było to już widać nowością, bo śpiewali razem z Olkiem, nie szczędząc strun głosowych. Musieli się ich kiedyś nauczyć, pewnie w trakcie owego słynnego letniego obozu, o którym krążyły legendy. Z opowieści tych można by wywnioskować, że trening radzieckich oddziałów specjalnych specnazu to ledwie rozgrzewka.

Uwagę Jakuba przykuły same pieśni. Pierwsza brzmiała jak modlitwa, modlitwa o to, by pozostać twardym, prostym, wiernym światłości. Inne mówiły o wyniszczaniu siebie, aby tworzyć Boga w sobie, o przyzywaniu mocy, ale też o trosce o innych. Ich nastrój był podniosły, nieco smutny, chwilami odrobinę patetyczny, wyrażający niezłomność, zawziętość. Tak, pomyślał Jakub, to pieśni wojowników, ale wojowników będących w mniejszości, opartych jedynie na własnej wierze obrońców oblężonej reduty trwających wobec nieprzebranego morza wrogów.

W pewnym momencie Olek rzucił hasło „Mistrz”, po którym wszyscy wstali. Był to tytuł kolejnej pieśni, a może hymnu? Muzyka była tak piękna, że Jakub początkowo prawie nie rejestrował słów. Potem Olek uciszył wszystkich i ponownie zaśpiewał tę pieśń sam.

Gdy wybrzmiała już ostatnia nuta, po chwili milczenia, Olek zapytał:

- Jakie macie wnioski z tej piosenki?

Milczeli dłuższą chwilę. Potem Olek wskazał na pierwszego z lewej, zachęcając, by pierwszy podzielił się swymi przemyśleniami. Był to Karol. Wstał i wykonał „ukłon” jakim zwykle zaczynali taolu: uderzył z całej siły prawą pięścią w wyprostowaną lewą dłoń, po czym, już połączone obie dłonie wypchnął do przodu z silnym wydechem przez nos. „Kolejna nowość, pomyślał Jakub, dotąd nie salutowali wobec przełożonych tak ostentacyjnie”.

Karol milczał przez chwilę, potem powiedział wolno, ważąc słowa:

- Mam wniosek, że trzeba być twardym, nieugiętym. Że kimś takim jest prawdziwy mistrz.

- Mam wniosek - powiedział kolejny chłopak po wykonaniu takiego samego ukłonu - że dlatego te nasze treningi kosztują tyle bólu, bo tylko przez cierpienie możemy stać się mistrzami.

- Mistrz, to ktoś wyższy nad cierpienie - brzmiał kolejny wniosek.

Kolejne nie wносиły w zasadzie nic nowego. W końcu przyszła kolej na Jakuba. Wstał, wykonał ten sam gest co pozostali, ale chyba niezbyt dobrze, bo Olek wstał i poprawił ułożenie rąk. Prawa pięść to jang, lewa yin, tłumaczył, między nimi jest napięcie, musisz wałnąć mocno, na poziomie serca. Kazał mu powtórzyć, potem jeszcze raz mocniej i jeszcze, aż Jakuba zaczęła boleć ręka. W końcu był zadowolony i kazał Jakubowi mówić.

- Istotą życia jest walka - zaczął. - Mistrz jest mistrzem, bo zna życie, potrafi żyć, życie go nie niszczy, ale wzmacnia.

Olek nie skomentował, jak nie komentował też innych wniosków, ale Jakub miał wrażenie, że trafił w sedno albo przynajmniej był tego dość blisko.

Przed rozstaniem Jakub poprosił Olka o pożyczenie śpiewnika. Ten przekazał mu go z pewnym wahaniem, dając tym samym do zrozumienia, że jest to gest zaufania. Wskazał jednocześnie piosenki, które miał sobie przepisać. Umówili się, że spotkają się w środę w mieszkaniu u Olka i wtedy zwróci śpiewnik. Był to już mocno sfatygowany, dość gruby zeszyt zapisany odręcznym drukowanym pismem w owijce z kolorowej gazety. Pożółkłe kartki pełne śladów intensywnego używania, bez wątplenia świadczyły o długim stażu właściciela śpiewnika.

\* \* \*

Jakub oczywiście najpierw skserował całość śpiewnika. W dwóch kopiach. Jedną zamierzał przekazać Michałowi, który był najlepszy na swoim roku w socjologicznej analizie treści. Chyba dzięki swojemu przeszkoleniu biblijnemu. Sam zaś zabrał się do wklepywania zaleconych piosenek do komputera. Wydrukował je na mniejszych kartkach, tak że uzyskał zgrabną broszurę. Potem do późna w nocy czytał resztę śpiewnika.

Dopiero po tygodniu udało mu się spotkać Michała, wyciągnął go z wykładu, na którym ten zresztą ostentacyjnie przysypiał, wyrażając swój bunt wobec statystyki. Padało, więc poszli do studenckiej kafejki na herbatę.

- Zaczęło się! - Powiedział, gdy usiadł już z kubkiem naprzeciw Michała.
- Co się zaczęło? - zapytał przyjaciel wyraźnie zaintrygowany.
- Formacja.
- Konkretnie, jak to wygląda? - Michał był chyba rozkojarzony.
- Nazywają to „próbą”, mogę się tylko domyślać dlaczego - opowiadał Jakub.
- Jak to wygląda? - zapytał Michał, zabierając się za czyszczenie okularów.
- Po treningu zestawiamy ławki, siadamy w trójkącie. Najpierw Olek gra na gitarze te ich pieśni, wszyscy śpiewamy, oczywiście bardzo głośno, aby się „energetyzować”. Potem podejmuje jakiś temat. Robi to metodą majeutyczną...
- Jaką?
- No majeutyczną, tak jak Sokrates w dialogach Platona. Olek zadaje pytanie, my odpowiadamy, a potem samymi pytaniami prowadzi nas do tego, iż mówimy to, o co mu chodziło.



- Sprytne, tym samym teoretycznie niczego wam nie wciska, sami to mówicie, trudno się nie zgodzić z tym, co się samemu powiedziało.

- Dokładnie. Dokładnie tak jak mówisz. Potem jest podsumowanie, które nazywają „wnioskami”. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że to również słowo techniczne, tak jak „próba”. Każdy po kolei, po wykonaniu tego ich ukłonu...

- Ukłonu? - przerwał znowu Michał.

- No, to wygląda tak... - powiedział Jakub, jednocześnie uderzając silnie pięścią w dłoń, czemu towarzyszyło głośne klaśnięcie. Parę osób siedzących przy sąsiednich stolikach studenckiej kafejki Finito aż się obejrzało.

- Opanuj się! - Michał skarcił kolegę. - Lepiej powiedz, o czym to było. - Trudno mi sobie to dokładnie odtworzyć, jak to po kolei przebiegało. Mam to gdzieś zanotowane. W każdym razie wnioski były takie, że rozwój duchowy jest niemożliwy bez mistrza, że mistrz musi być naszym podstawowym punktem odniesienia, i tak dalej.

- Aha. No to faktycznie się zaczęło. Widzę, że się cieszysz?

- Pewnie, przecież o to chodziło - odpowiedział z szerokim uśmiechem. - Wreszcie, niestety bardzo powoli, ale wreszcie!, zaczyna się coś przejaśniać, czegoś się dowiaduję - w jego głosie dało się słyszeć pasję odkrywcy. - A jednocześnie coraz więcej podejrzanych rzeczy, które czekają na wyjaśnienie. Wiesz, zastanawia mnie coś, mianowicie pewnego rodzaju przesunięcie. Obserwowałem to już wcześniej w relacjach Olka z innymi: ktoś mu zgłasza jakiś problem, Olek obiecuje, że go rozwiąże, i faktycznie, coś się dzieje, ale dopiero po dwóch tygodniach.

- Cóż wielkiego, facet jest po prostu niesłowny albo nierychliwy.

- Nie znasz go, nie, to nie może być to. Tak wygląda, jakby każda poważniejsza sprawa w sekcji decydowała się właśnie w ciągu dwóch tygodni.

- Spokojnie, poczekaj, już niedługo będziesz miał dosyć danych, aby bawić się w Sherlocka Holmesa, nie będziesz musiał doszukiwać się pozornych problemów.

- Nie mam czasu, aby czekać. Muszę coś wymyślić... A tymczasem mam coś dla ciebie, bo widzę, że jesteś zgłodniały konkretów: oto konkret! - powiedział Jakub, wręczając koledze komplet skserowanych tekstów piosenek. - Teraz przekuj to na idee!

\* \* \*

Tym razem Michał zarwał nockę. Miał przed sobą pierwszy wewnętrzny dokument tej tajemniczej organizacji. Był ciekaw, czy będzie można z treści tych tekstów wysnuć jakieś wnioski co do kabały, w jaką pakował się Jakub. Miał przeczucie, że to wyjątkowa gratka.

Po lekturze pierwszych dziesięciu tekstów zauważył już, że charakteryzują się różnym stopniem dosłowności. Były testy wybitnie poetyckie, metaforyczne, aż strach było zabierać się do ich interpretacji, tak były nasycone jakimś metafizycznym symbolizmem. Były też teksty o dużo mniejszych walorach poetyckich, których treść i intencja była jasna, choć zawierały spory ładunek, dość prostych środków stylistycznych. No i była grupa tekstów zupełnie dosłownych, bez upiększeń, a nawet z pewnymi gramatycznymi czy stylistycznymi potknięciami. Określił je na własny użytek jako czysto propagandowe.

Po tym wstępnym przeglądzie można już było postawić hipotezę o przynajmniej trzech autorach. Czytając dalej, zobaczył, że przy niektórych tytułach pojawiają się nazwiska: Lange, Yunus Emre czy Abraham Sutzkever. Będzie musiał je sprawdzić, na teraz nic mu nie mówiły. Był tam nawet zaadaptowany na pieśń wiersz Mickiewicza Arcymistrz. Przy niektórych widniały inicjały J. W.

Na razie jeszcze nie miał pomysłu na to jak przyłożyć do tego zbioru socjologiczne narzędzia analizy treści. Ale z wolna z tekstów zaczynała się wyłaniać pewna ideologia grupy. Kuba miał rację: „piąta woda po Nietzschem”. Apoteoza walki, mocy, siły, ale też posłuszeństwa. Erich Fromm nazwałby to typową ideologią autorytarną, pomyślał Michał. Sporo pieśni o znoszeniu codziennego trudu, o wytrzymywaniu, zmaganiu się, o stawianiu ponad cierpieniem. Afirmowano też dyscyplinę, podporządkowanie jakimś prawom, kanonom. Często pojawiał się wątek pracy nad sobą, budowania siebie, czy też budowania Boga w sobie, twórczość, aktywność ale też pomocy innym. Raz natrafił na zgrabną triadę: miłość, ufność i męstwo.

Ważne były też treści odrzucane w tekstach, określano je jako iluzja, maya. Były to najpierw przeciwieństwa wartości uznawanych przez nich za pozytywne: odrzucali słabość, nałogi, sentymentalizm, litość, pustostłowie, lęk, strach, nienawiść i śmierć.

Jeśliby miał na podstawie tych tekstów określić cele tajemniczej grupy, to byłoby to stworzenie nowej ludzkości, w której między ludźmi zapanuje pokój i współpraca. Będą panować szczęście i mądrość. Kolejna naiwna utopia?

Michał zauważył, że kilka tekstów, z grupy tych dosłownych, traktuje o relacjach damskomęskich. Wyglądało na to, że przeciwieństwo kobietamęczyzna należy do istotnych składników doktryny. Teksty zawierały wyrażone wprost wzorce ról płciowych: mężczyzna miał być twardy, nieustępliwy, wiedzieć czego chce, nie ulegać kobiecie, nie rozczulać się nad sobą ani nad nią. Kobieta ma być uległa, posłuszna, znosząca codzienny trud. Michał zaczynał się zastanawiać, czy tam w ogóle są jakieś kobiety, czy którakolwiek dała się na to nabrać. Choć z drugiej strony znał przykłady z historii religii, a i z współczesnych sekt, gdzie kobiety znosiły niezwykle upokorzenia w imię swej wiary. Czasami wszystkie kobiety należały do guru, również w wymiarze seksualnym, i im to nie przeszkadzało. Jeszcze broniły swego pana i władcę. Elastyczność kobiet w naszej kulturze jest przerażająca. Monika chyba ma trochę racji z tym swoim feminizmem. Choć może dotyczy to nie tylko kobiet? Cóż ludzie otrzymują w zamian, za takie bezgraniczne oddanie?

Było też kilka piosenek ewidentnie dla dzieci. Ale również one propagowały pewne wartości: troskę o zdrowie, wspólne działanie i tym podobne. Troska o zdrowie często pojawiała się także w tekstach dla dorosłych. Dwa teksty były wręcz kuriozalne: jeden o złych skutkach picia alkoholu, drugi o zaletach zdrowotnych zupy burakowej, zawierający nawet przepis na jej przyrządzanie. Michał przypomniał sobie, że Jakub zwrócił uwagę na szczególne upodobanie Olka do buraków.

W pewnym momencie natrafił na tekst, który go zaskoczył, ze względu na kontekst: była to stara piosenka, którą śpiewał, kiedy w czasach szkoły średniej był związany z ruchem oazowym. Wprawdzie wypadł „Chrystus”, a w to miejsce pojawiła się „radość”, ale cała reszta była identyczna. No, może poza chwytami gitarowymi, które wypadały w niższej tonacji.

\* \* \*

Nazajutrz Michał udał się do Śliwińskiego skonsultować swoje obserwacje. Po drodze sprawdził znalezione w śpiewniku nazwiska. Osób o nazwisku Lange było całkiem sporo, ale musiało chodzić o Antoniego. Był poetą i prozaikiem, autorem Rozmyślań i Sonetów Wedyckich. Studiował języki orientalne. Yunus Emre okazał się tureckim poetą należącym do sufickiej tradycji Bektashi. Abraham Sutzkever z kolei poetą żydowskim, urodzonym przed wojną na Litwie.

- Tego się nie spodziewaliśmy - powiedział na to Śliwiński - sądziliśmy, że to albo hinduizm, albo hasydyzm, albo sufizm. Tymczasem wygląda na to, że mamy do czynienia ze

swoistą mieszanką tych trzech tradycji, a może jeszcze czegoś. Sufizm pojawia się nawet w tytułach, jak pan zauważył.

- Ten kult mocy i zdrowia - ciągnął Śliwiński - bardzo mi pachnie późnym Nietzschem. Albo ktoś go potraktował za poważnie, albo ktoś tam cierpi na podobne schorzenie psychiczne. To musi być osoba, która w głębi duszy czuje się kimś strasznie słabym, że z takim naciskiem dąży do mocy i ją w sobie chroni. Niech pan poczyta sobie Maxa Schelera, ładnie pokazał, że osobniki naprawdę potężne, nie troszczą się o takie rzeczy, rozdają swą moc darmo, ich problemem jest nadobfitość.

## Rozdział VI

Jakub przyszedł pięć minut przed czasem i zadzwonił do drzwi mieszkania Olka. Otworzyła mu jego żona, Magda, kazała się rozebrać i poczekać w pokoju. Zdejmując ośnieżone buty, Jakub zobaczył przez niedomknięte drzwi do sypialni, że Olek rozmawia właśnie przez telefon. Nie słyszał wypowiedzianych słów tylko ton jego głosu, widział też postawę jaką przybrał w trakcie rozmowy - i to go zastanowiło. Olek stał wyprostowany, niemal naprężony, jego głos wyrażał podporządkowanie, jakby przyjmował jakieś polecenia. Po chwili obserwacji Jakub był już pewien: niewątpliwie nie rozmawiał ze swą ciotką, to był ktoś z „wyższej półki”, jeśli nie jego przełożony z pracy to niewątpliwie ktoś z wyższego szczebla hierarchii grupy. A zatem jest to organizacja w jakimś stopniu złożona. Ciekawe, jak dalece. Mężczyzna, który przemawiał na wykładzie o szamanizmie, tak przynajmniej się Jakubowi wydawało, mimo wszystko reprezentował wyższy poziom niż Olek. Mówił swobodniej, odważniej, był też bardziej stanowczy. Może to z nim teraz toczyła się rozmowa? To podsunęło mu pewien szalony pomysł.

Jakub powiesił na wieszaku swoją wojskową kurtkę i nawykowo zaczął się przyglądać książkom na półce swego „mistrza”. Najniżej leżały podręczniki. Jak się zorientował po tytułach, Olek musiał studiować na politechnice. Najciekawsza była półka wyższa. Jakub rozpoznał kieszonkowe wydanie I cing, chińskiej księgi wróżebnej, jakąś książkę o astrologii, Księgę o szczęściu, której autora nie mógł się doczytać i Opowieści derwiszów. Starał się zapamiętać jak najwięcej tytułów, ale wtedy wszedł Olek.

Uścisnęli sobie dłoń aż zatrzeszczały stawy i usiedli.

- Przepisałem te piosenki, przepraszam, że tak długo trwało...

- Nigdy nie przepraszaj! - przerwał Olek. - Cóż mi z twoich przeprosin? Ludzie „umowni” proszą, przepraszają, ale to tylko pusta konwencja, nic za tym rzeczywistego nie stoi. Popełniłeś błąd - to nie przepraszaj, ale wyciągnij wnioski i podziel się ze mną nimi. No jazda, jakie masz wnioski.

W końcu Jakub wydusił z siebie satysfakcjonujący Olka morał i ten zaczął odprowadzać go do drzwi. Ale Jakub w międzyczasie doszedł także do jeszcze innych wniosków. Zdecydował się zagrać ostrzej. Najwyżej zostanie przystopowany.

- Chciałbym jeszcze o coś zapytać... - zaczął.

- Chciałbyś czy chcesz? - znowu przerwał Olek. - Widzisz, jak zmanipulowany jest język, którym nauczono cię mówić? „Chciałbym”, „Czy mógłbym”, „Prosiłbym”, to nie jest język wojownika. Wojownik chce, i robi to, co w jego mocy. Nie prosi się innych o łaskę. Czego zatem chcesz.

- Chcę zapytać... - zaczął Jakub niepewny, czy znowu nie popełnia błędu.

- Chcesz wiedzieć. Pytamy, gdy chcemy wiedzieć. Chyba, że masz jakąś zboczoną przyjemność w samym pytaniu - zaśmiał się Olek. - Co chcesz wiedzieć?

- Dużo uczysz nas o znaczeniu mistrza. Chcę wiedzieć, kto jest twoim mistrzem - wyrzucił z siebie szybko Jakub, bojąc się, że gdy jeszcze raz Olek mu przerwie, w ogóle nie uda mu się zadać pytania.

Olek spoważniał. Milczał dłuższą chwilę, a potem powiedział tylko, otwierając drzwi przed Jakubem:

- W swoim czasie.

Przy okazji kolejnych spotkań nie wracali do tematu. Jakub zauważył jednak, że nie tylko on odebrał lekcję o prawidłowym wyrażaniu swych intencji. Odtąd nikt w sekcji o nic nikogo nie prosił ani za nic nie przeproszał. Słysząc było za to stale „Chcę” czy „Chcę wiedzieć”.

Nieoczekiwanie po dwóch tygodniach, kwadrans przed północą, zadzwonił telefon.

- Nadal chcesz poznać mojego mistrza? - zapytał Olek.

- Tak - z entuzjazmem rzucił Jakub.

W odpowiedzi usłyszał tylko nazwę miejscowości i numer domu. Po chwili Olek dodał.

- Bądź tam jutro. O piątej rano.

\* \* \*

Jakub wydobyl z dna szafy stary atlas samochodowy po ojcu i wkrótce zlokalizował ową miejscowość, a raczej miścinę. W zasadzie po wielkości kropki na mapie można się było spodziewać niewielkiej wioski. Tym bardziej, że Olek nie podał ulicy - widać była tam tylko jedna. Wioska nie leżała daleko w linii prostej, tym niemniej w rzeczywistości, biorąc pod uwagę możliwości komunikacyjne, dobrze opisywało ją określenie „za lasami, za rzekami”. Jakub natychmiast zaczął dzwonić na informację PKS i PKP. Ku swemu narastającemu przerażeniu dowiedział się jednak, że zatrzymuje się tam jeden pociąg na dobę, o godzinie piętnastej, a pierwszy autobus zajeżdża tam dopiero o godzinie szóstej trzydzieści.

Ostatecznie musiał stawić czoła faktowi, że żaden środek lokomocji nie zabierze go bodaj w okolicę miejsca docelowego na czas.

Pomyśleć, że w linii prostej to ledwie dwadzieścia kilometrów od granic miasta! Wówczas przyszła mu do głowy ostatnia możliwość. „Pójdę pieszo! W tempie sześciu kilometrów na godzinę powinienem zdążyć. Jeśli nie zabłądzą w lesie...”

Wydobył z szuflady mapę topograficzną, zabrał w razie czego kompas i kilka drobiazgów „na wszelki wypadek” i ruszył. Ostatnim autobusem komunikacji miejskiej udało mu się dotrzeć na skraj miasta. Potem był już zdany na własne nogi. Początkowo szedł drogą. Po pół godzinie musiał skrócić na podmiejską szosę wiodącą przez pola. Wiał mroźny wiatr. Głębiej naciągnął czapkę na uszy i poprawił szal. Leżący wokół śnieg sprawiał, że było dość jasno. Kiedy dotarł do lasu, za sobą widział słabnącą łunę miasta.

„Teraz tylko nie zabłądzić. Na trzecim rozwidleniu w lewo...”

W lesie było dużo ciemniej. Zdecydował się włączyć latarkę. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że to zły pomysł. Latarka, nie dość, że czyniła go widocznym z daleka, bardziej go oślepiała niż oświecała drogę. Więcej widział, gdy po chwili przyzwyczaił oczy do ciemności.

Leśną ciszę zakłócały jedynie nocne ptaki, w podmiejskim lesie nie spodziewał się żadnych zwierząt, teoretycznie więc nie było się czego obawiać. Niemniej jednak, pokonując kolejne kilometry w ostrym tempie, czuł pewien przyjemny dreszcz emocji.

Emocje przestały być przyjemne, gdy w końcu droga wyprowadziła go z lasu. Znalazł się na skraju osiedla domków jednorodzinnych, w dużej części dopiero się budującego. Właśnie zaczynało szarzeć, a może się tak tylko Jakubowi wydawało, gdy wyłonił się na otwartą przestrzeń z ciemnego lasu. W każdym razie bez trudu odczytał nazwę miejscowości na drogowskazie. Z trudem przyszło mu natomiast zaakceptować fakt, że nie jest to miejscowość do której zmierzał.

„Widać musieli poprowadzić jeszcze jedną drogę do tego osiedla. Czyli jednak zabłądziłem”. Okazało się, że nie tak bardzo. Na mapie topograficznej od razu zorientował się, co do swojego położenia. Nowe osiedle wzięło nazwę od polany, na której wyrosło. Oznaczało to, że znajdował się trzy kilometry od celu. Zostało dwadzieścia minut.

„Do zrobienia”. Musiał tylko zamienić morderczy marsz w morderczy marszobieg. Przez chwilę rozważał, czy puścić się na przełaj, przez pola. Zdecydował się pójść nieco na około, ale asfaltową drogą, na której nie musiałby walczyć z zaspami śniegu. Im bliżej był celu, tym lepiej

zdawał sobie sprawę, że to nie koniec. Zabudowania były rozsiane na dość dużym obszarze. Mogło się okazać, że dom o numerze 22 leży na drugim skraju wioski.

Siły zaczynały go już opuszczać, powietrze rozsadzało płuca, a mięśnie jakby się miały rozpaść. „Najważniejsze, to nie zacząć się zastanawiać, czy to wszystko ma sens” - pomyślał i zacisnął zęby. Zastanawiał się, czy ci, co go tu zaprosili, wszystko to przewidzieli, zaplanowali.

Okazało się, że miał szczęście. Zabudowania nie leżały na przeciwległym krańcu wsi, niemniej jednak musiał zmobilizować ostatecznie siły, by dobiec na miejsce w chwili, gdy wskazówki na zegarku obwieściły godzinę piątą. Wszedł przez furtkę i padł na leżącą na podwórzu stertę desek przykrytych papą. Uświadomił sobie, że może powinien zadzwonić. Nawet nie zwrócił uwagi, czy przy furtce był jakiś przycisk. Z najwyższym wysiłkiem podniósł się i dowlóknął do furtki. Nic. Klamka i duża dziurka od klucza.

Wtedy zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zapukać do drzwi. Zapukał, na tyle głośno, by zostać usłyszanym, gdyby ktoś na niego czekał, ale nie na tyle, by obudzić kogoś, kto śpi. Cisza. Nikt nie odpowiedział. Przypomniawszy sobie, że Olek mówił tylko, że ma tu być o tej a o tej godzinie. Zupełnie jakby mówił: z tego miejsca o tej porze może dojrzysz przejeżdżający pociąg. Gdy będziesz miał szczęście - pociąg się zatrzyma. Pozostawało więc czekać, aż go zaproszą. No to czekał. Był mocno spocony, więc nie mógł się położyć na deskach albo śniegu, o czym najbardziej na świecie marzył. Zaczął się przechadzać w kółko po podwórzu.

Nikt nie wyszedł na powitanie. Nikt się nie zjawił również w ciągu kolejnej godziny. Panowała głucha cisza. Tak budynki, jak okolica nie wykazywały śladów życia. Było bardzo zimno, więc Jakub przewyciężył zmęczenie i zaczął ćwiczyć, by się rozgrzać. Gdy po kolejnej godzinie zaczęło świtać miał okazję przyjrzeć się miejscu, do którego trafił. Był to niepozorny dom jednorodzinny na skraju wsi, zbudowany na niewielkim wzgórzu. Od innych domostw oddzielało go kilka hektarów sadu wiśniowego. Poniżej, przy ogrodzeniu, znajdował się niewielki budynek, który wyglądał na kurnik, sądząc z przytłumionych odgłosów, jakie się stamtąd zaczęły dobywać, gdy przez brudne okna wpadły pierwsze promienie słońca. Wtedy usłyszał też jakieś inne dźwięki, tym razem dochodzące z domu. Wkrótce otworzyły się drzwi garażu i wynurzył się niski chłopak z zaspaną twarzą niosący wiadro pełne ziarna. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na Jakuba, tylko ruszył w dół, do kurnika. Zakrzętnął się tam i po chwili kury zaczęły gonić się po wybiegu, rozprostowując skrzydła po zimnej nocy. Sam wrócił do domu i znowu na podwórzu zapadła względna cisza i spokój.



Jakub zrozumiał, że wszystko jest tak, jak powinno być. Oglądał zbyt wiele filmów o klasztorze Shaolin, żeby mieć wątpliwości, iż właśnie przechodzi test na cierpliwość. Od razu lepiej się poczuł, wiedząc, że czekanie ma sens, że wszystko jest teraz tylko kwestią czasu, a nie nieporozumienia. Nie było mu jednak dzięki temu cieplej. Pozostawało ćwiczyć. Stał w pozycji mabu i zaczął ćwiczyć po kolei wszystkie znane sobie ciosy. Zrobiło mu się cieplej. Postanowił jednak oszczędzać siły, bo nie sposób przewidzieć, jak długo potrwa ta próba.

Mijały kolejne godziny. Czasami zdawało mu się, że słyszy jakieś odgłosy dobiegające z wnętrza domu. Parę razy wydało mu się, że ktoś podchodzi do okna, ale nie wypadało mu zbyt natarczywie się wpatrywać. Często czuł jednak na sobie czyis wzrok, co dodatkowo dopingowało go do ćwiczeń.

Gdy minęło południe, Jakub zaczął na serio zastanawiać się, jak wierni okażą się mieszkańcy domu w naśladownictwie zwyczajów z Shaolinsi. Tam długość testu mierzono w dniach, nie godzinach. W Chinach jednak kandydaci na mnichów byli wystawieni jedynie na działanie słońca i deszczu, a nie kilkustopniowego mrozu, jaki trzymał jeszcze na początku marca. Całe szczęście, że słońce już delikatnie grzało, zwiastując nadciągające przedwiośnie.

Odetchnął z ulgą, gdy około pierwszej otworzyły się drzwi domu i ukazał się w nich mężczyzna około czterdziestoletni. Był wysoki, solidnie zbudowany, nosił kędzierzawą rudą brodę. Nie miał na sobie kurtki, jedynie gruby góralski sweter i wełnianą czapkę. Nie wyszedł jednak, aby przywitać Jakuba, nie miał też ze sobą dymiącego kubka herbaty. Zamiast tego wrzasnął.

- A ty tu co robisz?! Wynocha!

Jakub chciał wytłumaczyć, ale mężczyzna nie słuchał, tylko dalej krzyczał, karząc się Jakubowi wynosić do wszystkich diabłów. Jakub zaskoczony nie wiedział, co robić, wówczas mężczyzna podbiegł do niego i pchnął go na deski, a potem grzmotnął w bark. Następnie wymierzył potężnego kopniaka w tyłek. Jakub zatoczył się, a potem spadł na niego prawdziwy grad uderzeń, kopniaków, pchnięć i wyzwisk.

- Wynoś się stąd mięczaku! Spieprzaj! Bo ci tak przyłożę, że sam siebie nie poznasz! No już! Bezjajca panienko! Zbieraj się!

Uderzenia były silne i bolesne, ale w krótkiej chwili między nimi zdał sobie sprawę, że nie były wymierzone w głowę, ani w żadne vitalne punkty. Dostawał ciosy w miejsca, które godzinami utwardzali na treningach. Ciosy w brzuch były wyraźnie sygnalizowane ruchem

barku, tak, że zawsze zdążył napiąć mięśnie. A zatem nie chciano go skrzywdzić, po prostu test trwał. Jakub postanowił przejść go jak najlepiej. Wiedział, że musi obudzić w sobie drapieżnika, wojownika, jak uczył go Olek. Gdy znów wylądował na ziemi, skupił się i przywołał w sobie gniew. Poderwał się z okrzykiem bojowym. Staął w pozycji, z podniesionym czołem i zaczął przyjmować ciosy z okrzykiem, napinając stosowne mięśnie. Nieraz przewracał się po potężniejszym ciosie, ale zaraz z uśmiechem podnosił się na nogi, jakby chciał powiedzieć: „No dalej, tylko na tyle cię stać? Ja jeszcze mogę!”.

W końcu kolejny cios nie padł. Mężczyzna roześmiał się i poklepał Jakuba po plecach.

- Dobra, zdałeś! Podobasz mi się. Jestem Marek.

\* \* \*

- Dlaczego Kuba się nie zjawił? Chyba się nie wystraszył? Niepodobne... Oczy aż mu się świeciły z radości, gdy stąd wyjeżdżał.

- Nie, z pewnością. Przez cały tydzień nie mogłem się do niego dodzwonić. Dopiero dzisiaj, sam zadzwonił. Jest w szpitalu i nie puszczali go z łóżka.

- Przeziębił się? - zaniepokoił się Marek.

- Obawiam się, że gorzej. Podejrzewają wirusowe zapalenie opon mózgowych - powiedział Olek.

Marek, dotąd lekko podchodzący do relacji ucznia, zmartwił się wyraźnie.

- Wirusowe? To nie od lania jakie mu sprawiłem - powiedział, drapiąc się po swej kędzierzawej rudej brodzie - wirusa można złapać wszędzie. Ale to niebezpieczne. Musisz go odwiedzić. Powiedz Wandzie, że kazałem upiec dla niego placek. Dowiedz się, kiedy wychodzi i czy to może mieć jakieś konsekwencje. Jak tylko wyjdzie i stanie na nogi przywieziesz go do mnie. Informuj na bieżąco.

\* \* \*

- A więc co dokładnie powiedzieli lekarze? - spytał Marek, gdy po trzech tygodniach błady jeszcze Jakub usiadł na kanapie naprzeciwko.

- Że przez rok powinienem prowadzić oszczędny tryb życia, żadnych znaczniejszych wysiłków... - odpowiedział Jakub.

Marek ze smutną miną przyjął tę wiadomość, ale nie jak coś, czego się nie spodziewał. Po chwili uśmiechnął się i zapytał.

- Dotyczy to również ruszania głową?

- No nie, tutaj to akurat będę musiał się wysilać. Mam czas do końca semestru na napisanie pracy magisterskiej, a jeszcze się nie zdecydowałem na temat - Nie powiedział, że decyzja ta zależała w dużej mierze od wyników tej rozmowy.

- A ty studiujesz socjologię, tak? - Marek wstał z miejsca i podszedł do swojej półki z książkami. - Może to cię zainteresuje - powiedział, podając Jakubowi niewielką książeczkę owiniętą w szary papier. Jakub otworzył i przeczytał tytuł.

- Masoneria? - zapytał zaskoczony. Czyżby Marek był masonem? Zupełnie mu to nie pasowało do tego, co wiedział o masonerii, może z jednym wyjątkiem: też była organizacją tajną.

- Masoneria to bardzo potężna organizacja - powiedział Marek - Manipulują milionami ludzi. Należą tam prezydenci, politycy, artyści, uczeni, ludzie mediów. Otwórz sobie gazety, a dziś już wszędzie masz masońską ideologię: wolność, równość, braterstwo, tolerancja. Poczytasz tę książkę, i może inne, to zobaczysz, że takie mieli plany, gdy zakładali pierwsze loże. Planowali z perspektywą nie pięciu lat, ale pięćdziesięciu, stu i dwustu. I im się udało - Marek się chyba z tego nie cieszył. - Znasz teraz jakąś siłę, która by się im przeciwstawiała?

- Kościół katolicki...? - podsunął Jakub.

- Kościół nie jest w stanie się oprzeć, jest zbyt sentymentalny. Masoni i tam przenikają. Zresztą posłuchaj, czego księża czy papież nauczają, czy to teraz aż tak dalekie od tego, co wciskają ludziom masoni? Też twierdzą, że wszyscy ludzie są równi, coraz głośniej wołają o wolności, tolerancji, dialogu. Kościół ulega.

Zapadła chwila ciszy, Marek lekko się uśmiechał, widząc, że Jakub jest wyraźnie zaintrygowany.

- Jeśli cię to zainteresuje - dodał po chwili - to może poznam cię, z jednym, no, dość wybitnym, znawcą masonerii - na tę obietnicę serce Jakuba zabiło szybciej.

- To jest interesujące - powiedział, nie kryjąc się z emocjami.

- Jak przeczytasz, napisz dla mnie swoje wnioski. Pomyśl, czy mógłbyś na ten temat pisać pracę. Potem sobie o tym porozmawiamy.

## Rozdział VII

Sytuacja zaczynała rozwijać się w interesującym kierunku. Jak na razie udało mu się wskoczyć na wyższy poziom, wyprzedzając wszystkich uczniów Olka, którzy jeszcze Marka nie poznali. Odślaniał się kolejny aspekt działalności tajemniczej grupy. Wszystko było jeszcze dość niejasne, niepokładane, Jakub nie miał pomysłu jak powiązać masonerię z orientalnymi sztukami walki, ale wiedział, że wyjaśnienie jest tylko kwestią czasu.

Jak się zorientował, książka była publikacją katolicką i to napisaną z dość konserwatywnych pozycji, zbyt konserwatywnych, by należeć do głównego nurtu. Wydaje się, że autor ukształtował się chyba na starych katechizmach sprzed Soboru Watykańskiego II, układanych według schematu: pytanie - odpowiedź. Była zwięzła, o jasno uporządkowanej strukturze, z książek typu „co każdy katolik powinien wiedzieć o...” W dużej mierze oparta była o pisma samych masonów, aktualnych lub byłych, choć trudno było ocenić na ile wiarygodne były zamieszczone cytaty, często pochodziły bowiem z drugiej ręki.

Czytając zadaną lekturę, Jakub cały czas zastanawiał się, w jaki sposób pokierować sytuacją, o ile jeszcze da się nią pokierować. Miał nadzieję, że nie wyślą go do masonów. Byłyby to badania obserwacją uczestniczącą wewnątrz takich samych badań... Wiele mogło zależeć od owych „wniosków” jakie miał napisać dla Marka.

O co im mogło chodzić, dlaczego interesowali się masonerią? - na te pytania musiał przede wszystkim znaleźć odpowiedź. To, co na razie dowiedział się o ideologii Marka i co wiedział o ideologii masońskiej prowadziło do jednego wniosku, są sobie wrogie. Zdecydowanie. To wynikało też jednoznacznie z tonu wypowiedzi Marka. Ale mogło chodzić o coś więcej niż o „rozpracowywanie konkurencji”. Sami byli organizacją tajną, a zatem... Prawdopodobnie, chodziło im też o uczenie się metod wpływu. Marek wypowiadał się o nich z wyraźnym podziwem. Czy to możliwe? Czy możliwe, żeby mieli jakieś szersze ambicje? To pytanie musiało jeszcze pozostać tylko pytaniem.

Tak czy inaczej, postanowił, że swoje „wnioski” postara się sformułować w tonie „opinii eksperta”. Postara się wykazać źródła skuteczności, ale też słabości strategii masońskiej.

Przejrzał swoje notatki, usiłując je jakoś uporządkować według problemów, po czym usiadł przy swoim biurku, uruchomił komputer, a potem edytor tekstów. Wypadałoby zacząć od ogólnej oceny działalności masońskiej, z określonego oczywiście punktu widzenia.

„Masoneria, organizacja powstała z połączenia egzoterycznej organizacji cechowej Wolnych Mularzy i ezoterycznej organizacji Różokrzyżowców. Posiada stąd dwie ideologie: egzoteryczną i ezoteryczną, które spojone są na gruncie masońskiej symboliki.

Doktryna egzoteryczna streszcza się w hasła: wolność, równość, braterstwo. Głoszą absolutną wolność jednostki, także w sferze poznawczej: nie ma prawdy absolutnej, absolutnych wartości, wszystko jest subiektywne i relatywne. Każdy dla siebie jest prawodawcą w dziedzinie moralności, a w dziedzinie publicznej obowiązuje to, co postanowi większość.

Moim zdaniem, doktryna ta stanowi śmiertelne zagrożenie dla rozwoju ludzkości.

Podważają przez relatywizm wszelkie kryteria rozróżniania między wartością a bezwartością. Wartości tracą charakter obiektywny, a muszą mieć taki, by mobilizować ludzi do działania.

Podważają przez egalitaryzm, pacyfizm i tolerancję wszelkie różnice między ludźmi, a przede wszystkim różnicę między tym, kto zaszedł dalej w rozwoju, a tym, który dopiero zaczyna. Głosząc, że autorytet nie może polegać na wierze, a tylko na rozumie, decyzję pozostawiają w rękach najmniej rozwiniętych - jak ktoś, kto dopiero zaczyna opanowywać jakąś umiejętność może kompetentnie ocenić mistrza?

Poprzez swój antyautorytaryzm podważają w ogóle wszelką normalną relację między mistrzem a uczniem. Gdy panuje wolność, nie ma dyscypliny, posłuszeństwa, zaufania, które we wszystkich tradycjach duchowych stanowią fundament rozwoju.”

Jakub zawahał się trochę po napisaniu tych słów. Czy nie za mocno kładł nacisk na „rozwój duchowy”. W zasadzie nie było o tym za dużo mowy między nim a Olkiem. Wspominał tylko o „ścieżce”, „rozwoju”, ale były to wzmianki, ledwie sugestie o posmaku obietnicy. Funkcjonowało oczywiście słowo „mistrz”. Nie sifu, nie sensei, guru, instruktor, ale właśnie mistrz, pojęcie ogólniejsze, niby mieszczące się w konwencji sztuk walki, ale jednocześnie odwołujące się też do zachodnich tradycji ezoterycznych. Również w tradycji masońskiej istniał stopień o takiej nazwie, choć w miarę snobistycznego rozdymania hierarchii stracił na znaczeniu, podobnie jak magister na uniwersytecie.

Zdecydował się pozostawić tekst w obecnej wersji. Jako pierwsza część może pozostać. W kolejne będzie musiał włożyć nieco więcej pracy, jako socjolog. Będzie musiał poddać analizie organizację wewnętrzną i oddziaływanie w sferze politycznej. Wyciągnął z szuflady czysty arkusz papieru i umieścił go w swojej nowej igłowej drukarce.

\* \* \*

- Tak, to całkiem interesujące - stwierdził Śliwiński, przeglądając kartkę dostarczoną mu przez Jakuba. Zawierała ona jego obserwacje z ostatnich wizyt w domu Marka. - Zwłaszcza ten zbiór lektur zdaje się potwierdzać nasze hipotezy. Zakładając oczywiście, że to nie przypadkowy zbiór tytułów, które akurat ów Olek sobie upodobał, że jest on reprezentatywny dla tego, co czytają też inni członkowie tej grupy. Jeśli ona rzeczywiście ma charakter ezoteryczny. Taak. Albo pan Marek ma wyjątkowo namieszane w głowie, albo... jest to grupa, która łączy różne tradycje religijne i ezoteryczne. Jeszcze nie wiemy w jakich proporcjach i w jakim stylu, czy jest to tylko synkretyzm czy jakaś próba, lepsza czy gorsza syntezy.

- Podobne tytuły widziałem też w domu Olka.

- Tak, tutaj również mamy I cing, ale też Dao de cing - klasyka taoizmu, Mandala życia - to astrologia, Opowieści derwiszów Idriesa Shaha, czyli sufizm, O naśladowaniu Chrystusa - mistycyzm katolicki. Do tego jakieś książki szpiegowskie, to chyba dla rozrywki? Dalej, Rozwój potęgi woli Lutosławskiego, a zatem zokcydentalizowana joga... Nie pamięta pan autora tej Księgi o szczęściu?

- Nie. To jakieś chyba chińskie nazwisko. Wydawało mi się, że nad sylabami były jakby znaki tonalne czy akcenty.

- Nic mi to nie mówi. Ale następnym razem, niech pan spróbuje zapamiętać.

- Wczoraj przez przypadek byłem świadkiem, jak Marek rozmawiał przez telefon, nie wiem z kim, ale niewątpliwie z kimś znajdującym się wyżej w hierarchii. Tak rozmawia kapral z generałem, wikary z biskupem. Zadali mi lekturę o masonerii. Sądzę, że wszystko wskazuje na to, że... to jest, delikatnie mówiąc, podejrzane.

- Tak, rzeczywiście, coraz więcej przesłanek wskazuje, że idzie pan dobrym tropem. Co dalej?

- Jutro jadę do Marka z Olkiem i chłopakami, choć oni mają nie wiedzieć, że Marek jest mistrzem Olka.

- Ciekawe dlaczego?

- Myślę, że jeszcze im nie ufają...

- To znaczy, że już ufają panu. Gratuluję.

- ...może też Marek chce najpierw sam ich poobserwować, zanim się ujawni?

- A to znaczy, że też nie polega do końca na opinii Olka - stwierdził Śliwiński. Potem postanowił zmienić temat. - A co z pana pracą magisterską? Podjął pan, rozumiem decyzję?

- Szczerze mówiąc - widać było, że Jakub jest przygotowany na to pytanie - jeśli to pójdzie dalej w takim tempie, to może się okazać, że nie zdążę zebrać wystarczającej ilości materiału - zamilkł na chwilę. - Panie profesorze, wiem, że w obecnych układach raczej nie ma szans by dostać się na studia doktoranckie. Mimo to, nie widzę dla siebie za bardzo zajęcia poza nauką. Tak czy inaczej, jeśli pan profesor się zgodzi, chciałbym napisać doktorat. Myślę, że do tego czasu mój materiał z obserwacji uczestniczącej trochę urośnie na tyle, że mógłbym z tego zrobić przyzwoitą dysertację. A jeśli chodzi o pracę magisterską, to co pan myśli o pomysle Marka? Żeby napisać pracę o masonerii? W sumie to, co dla niego pisałem można łatwo przerobić na fragmenty pracy, starałem się to robić rzetelnie. Oczywiście pomijając warstwę ideologiczną.

Śliwiński rozparł się w fotelu, uśmiechnął nieznacznie i po chwili namysłu odpowiedział:

- Myślę, że to może być niezły pomysł. Do loży pana raczej nie wpuszczą, trochę pan za młody, więc nie może to być żadne bezpośrednie badanie empiryczne. A może by pan napisał pracę o wizerunku masonerii w prasie, o promasońskich i antymasońskich tytułach, o żywotności jej ideałów? To byłoby najprostsze, najmniej ciekawe teoretycznie, ale jednocześnie dobrze by się sprzedało, gdy pan będzie startował na studia doktoranckie. Wie pan, biurokraci akademicy często znajdują się pod wpływem magii cyfr, tabel, wykresów...

Czyli profesor jednak mnie nie przekreślał, pomyślał Jakub. Wielkich nadziei nadal nie miał, ale mimo wszystko poczuł się lepiej, wiedząc, że komuś na nim zależy.

- Jeszcze to przemyślę. Chyba i tak musiałbym trochę poczytać o samej masonerii. Jakieś książki historyczne pewnie się znajdzie w bibliotece. Myślę że powinienem od tego zacząć.

- Tak, koniecznie, musi pan zacząć od bibliografii. Masoni wydają też własne pismo, wiedział pan o tym? Ars Regia. Może warto by zaprenumerować? Porozmawiam z panią Jadzią z biblioteki, pewnie da się to załatwić na koszt Instytutu. Dobrze, że dziekan dał panu pół roku urlopu w związku z tą chorobą. Daje nam to pewne pole manewru.

# CZEŚĆ II



## Rozdział VIII

- Naprawdę idziesz tam w sprawie pracy zaliczeniowej? - zapytał Marek wysiadającego z samochodu Filipa.- Przecież sesja już się skończyła.

- Muszę zdobyć te informacje. Wykładowca powiedział, że inaczej nie da mi zaliczenia, a już prawie koniec sesji poprawkowej...

- Coś nie chce mi się wierzyć - powiedział - Mam posłać za tobą „ogon”?

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiedział Filip bez mrugnięcia okiem.

„Cholera, nieźle się kontroluje - pomyślał Marek - to pytanie było zbyt banalnym testem”.

- Dużo bym dał, żeby wiedzieć, co ty kombinujesz. - Na to również Filip odpowiedział miną mającą być wyrazem najczystszej, najnaiwniejszej niewinności.

- Ciekawy jestem, co on kombinuje... - powtórzył Marek do Łukasza przesiadającego się na przednie siedzenie, gdy Filip już wszedł do budynku.

- Nie zauważyłeś niczego podejrzanego? - dodał po dłuższej chwili milczenia.

Łukasz skupił się i usilnie starał coś sobie przypomnieć, ale nie zwracał na Filipa ostatnio większej uwagi.

- Nie, chyba nie - powiedział w końcu. Po chwili dodał jednak - To nic konkretnego, ale wydaje mi się, że jest trochę jakby ostatnio bardziej nieobecny.

- Zaczął sobie folgować i znowu oszukuje - skwitował Marek.

Ale sprawa ta nie dawała mu spokoju. Ostatni wyjazd do Warszawy obfitował dla Filipa w liczne sytuacje pełne napięcia. Musiały wywrzeć na niego jakiś wpływ, nie jest aż tak odporny. Tymczasem spisane wnioski, które dostał od niego, były zaskakująco lakoniczne, zdawkowe. A siedział nad nimi tyle czasu, że mógłby napisać cztery razy więcej. Aż kazał Filipowi przynieść ich brudnopis. Co ciekawe, „gdzieś mu się zapodziało”. Nie, to trzeba wyjaśnić, postanowił.

- Wysiadaj. - Zwrócił się do Łukasza. - Sprawdź go. Śledź i melduj na bieżąco o jego kolejnych krokach. Poczekaj, aż wyjdzie i sprawdź dokąd pójdzie.

Przez całą drogę powrotną Marek zastanawiał się, co mogło kryć się za nieco podejrzanym zachowaniem Filipa. Nie zauważył wcale, żeby był nieobecny. Powiedziałyby nawet, że od niedzieli był nawet nieco nadgorliwy, dziwnie pogodny i spokojny. Coś się więc w nim jednak zmieniło, chociaż dlaczego nie ma śladu tego we wnioskach? Są aż do bólu

poprawne. Zresztą wiedział po sobie, że po tylu latach, po napisaniu tylu wniosków oni wszyscy już doskonale wiedzą co napisać, aby się nie narazić. Może zresztą to nie miało nic wspólnego z wyjazdem? Może poznał jakąś dziewczynę? Jak na zakochanego zachowywał się jednak nieco za spokojnie. Zresztą zakochanie nie wchodziło w grę, nie po tylu latach intensywnego szkolenia w panowaniu nad emocjami. Aż tak sobie nie popuścił. Nie pozwoliłby, by sentymenty odebrały mu napięcie. Zresztą nie miał powodu, by ukrywać poznanie baby.

Marek wiedział, że czeka go telefoniczna konsultacja z Pauliną, samemu Mistrzowi nie będzie tym zwracał głowy. Zresztą to Paulina była odpowiedzialna za eksperyment z Pracownią. Konieczność kolejnej konsultacji irytowała go, chciałby rozwiązać problem samodzielnie, okazać się godnym miana mistrza, które spadło na niego dość nieoczekiwanie przed ośmiu laty. Bo we Wspólnocie mistrzem był ten, kto miał uczniów, a on założył własną sekcję, miał uczniów, tak więc: był mistrzem. O ile jednak sztuki walki zgłębiał już od lat parunastu, to na ścieżce rozwoju duchowego był wówczas nowicjuszem, ledwie dwa lata wcześniej poznał swego Mistrza. Pozostawało ufać, że wszystko toczyć się będzie zgodnie z regułą, że komu Pan Bóg da urząd, temu i rozumu do jego sprawowania nie poskąpi. Często jednak odpowiedzialność go przerastała - nie tak łatwo podejmować decyzje dotyczące czyjegoś życia, gdzie ten ma iść na studia, w jakie modele zaangażować tamtego, co zrobić, gdy uczennica nie daje się wyswatać z wybranym dla niej uczniem... Pozostawało mu tylko być w stałym kontakcie z Pauliną, a na co dzień wiernie naśladować Mistrza i ściśle przekazywać jego nauki niżej. Z początku niewiele miał im do przekazania, zresztą nie na wiele byli gotowi. Na wstępie uprzedził ich, że w kungfu, które mieli ćwiczyć, nie chodzi o samą walkę, że jest to sztuka życia. Przez pierwsze miesiące starał się dać im porządnie w kość, żeby odsiać najsłabszych wołą. Z tamtego naboru zostało do dzisiaj tylko trzech: Filip, Łukasz i Leon. Większość odeszła, ale niektórzy, zanim odeszli, przyprowadzali swoich kolegów, spośród których niektórzy zostawali.

Niestety, utracił też wielu takich, którzy już wchodzili na Ścieżkę. Niektórzy na samym początku, jak Zenek. To było na obozie szkoleniowym, na którym przedstawił go Mistrzowi. Poza codziennymi intensywnymi ćwiczeniami chadzali popołudniami całą grupą do zbudowanego na leśnej polanie „amfiteatru”, gdzie Mistrz wygłaszał nauki. Gdy Zenek usłyszał, że Mistrz jest Mesjaszem, który przyszedł kontynuować dzieło Jezusa i Buddy zaśmiał się i odszedł. Nawet próbował przekonywać Marka: „Jak możesz to przyjmować - mówił - przecież to jest zupełnie sprzeczne z tym, czego naucza papież!” Biedny Zenek, niczego nie rozumiał.

Ciekawe, czy gdyby papieżowi przyszło żyć przed dwoma tysiącami lat w Palestynie, rozpoznałby Mesjasza w Jezusie? Co też papież czy biskupi mogą wiedzieć o sferze ducha? Czytają tylko tę swoją Biblię, czytają w kółko, a jest to przecież tylko księga, martwa księga. On ma możliwość rozmawiać z żywym Mistrzem, który całym życiem potwierdza swoje nauki, ma osobiście możliwość sprawdzania jego nauk w swoim życiu. Jakże może być lepsze kryterium? Jak można podważyć kryterium własnego doświadczenia?

Zenek odszedł, mówiąc o tym wprost i nie dało się go zatrzymać. Marek później nabył już doświadczenia i potrafił negocjować z uczniem, który chciał odejść. Wielu było takich, ale oni nie mieli wątpliwości, pragnęli po prostu wolności. Wolność, najgorsza iluzja, największe zagrożenie rozwoju duchowego. Aby ratować takiego człowieka musiał często iść na daleko idące ustępstwa, godzić się na różne układy, byle nie zerwać z nim więzi. Z czasem mógł próbować mu pomóc, sprowadzić do rzeczywistości, nakłonić do powrotu do Wspólnoty.

Zupełnie inaczej było z uczniami o większym stażu we Wspólnocie. Znikali z dnia na dzień, nic nie mówiąc, nie odbierali telefonów, a gdy go zobaczyli, przechodzili na drugą stronę ulicy. Z nimi nie dało się negocjować, nie chcieli nawet rozmawiać. Marek nie potrafił ich zrozumieć. Jak można było odrzucić taką szansę rozwoju, jaką było obcowanie z Mistrzem, czerpanie z jego nauk, działanie w jego organizacji? Mógł to wytłumaczyć tylko potęgą Szatana, AntySystemu, jego wszechogarniającej manipulacji, która widać przeniknęła niepostrzeżenie do ich serc i korzystając z wszystkich możliwych środków osłabiła ich wolę, pozbawiła wewnętrznego napięcia, nad którym tak cierpliwie pracowali. Człowiek bez napięcia przestawał być autentyczny względem swego mistrza, zaczynał być podatny na inne, subtelne, osłabiające go wpływy, w końcu dawał się zwieść panującym w społeczeństwie mitom. Zwłaszcza mitowi wolności.

Dlatego musiał być czujny w stosunku do Filipa. Nie podejrzewał, aby chciał uciec. Nie, to najmniej prawdopodobna możliwość. Z pewnych poziomów nie ma odwrotu. Za długo był tu formowany, za wiele zawdzięczał Wspólnocie i Mistrzowi. Gdyby nie oni, byłby pewnie narkomanem, o ile by wcześniej nie popełnił samobójstwa.

Coś się jednak działo, i musiał zareagować.

\* \* \*

Filip nie obejrzał się nawet, wchodząc do budynku głównej stacji pogotowia ratunkowego. Był tu już tydzień temu, choć wówczas nie spodziewał się, że będzie musiał tu

wrócić w takich okolicznościach. Rozejrzał się po hallu i zajrzał w głąb korytarzy od niego odchodzących. U końca jednego z nich dostrzegł klatkę schodową. „Musi tu być jakieś inne wyjście...”. Rzeczywiście, pół piętra niżej znalazł przeszklone drzwi prowadzące na podwórze. Przemierzył je szybkim krokiem, zdejmując jednocześnie swą letnią, jasnopopielatą kurtkę, nie tylko dlatego, że po ostatnim deszczu już się ociepliło. Wyrzwał na ulicę. Naprzeciwko wejścia do budynku, po drugiej stronie w cieniu drzewa stała znajoma postać.

„A jednak, Łukasz. Co za dureń, po tej białej czapce widać go na kilometr.”

Dokonał szybkiej kalkulacji. Powiedział im - im, jak to jeszcze dziwnie brzmiało - że idzie zrobić wywiad z dyrektorem pogotowia i wyciągnąć od niego dane niezbędne do pracy dyplomowej. Łukasz może się spodziewać, że potrwa to niecałą godzinę. Tyle ma zatem czasu. Wmieszał się w tłum idący w przeciwnym kierunku i spokojnym krokiem dotarł do rogu ulic. Dalej puścił się biegiem. Trzy przecznice stąd znajdował się Urząd Miejski. Wpadł do środka, starając się wyregulować oddech i skierował się za tabliczkami wskazującymi „Wydział spraw meldunkowych”.

- Proszę pani - zwrócił się do urzędniczki w punkcie informacji - chciałbym dowiedzieć się jednej rzeczy...

- Słucham?

- Czy, jeśli się przeprowadzam, gdy się wymeldowuję z jednego miejsca zamieszkania, i potem się zameldowuję w drugim, to czy tutaj, w tym urzędzie pozostają dane odnośnie do mojego nowego adresu?

- Oczywiście - odparła urzędniczka, rzucając Filipowi podejrzliwe spojrzenie - cóż za pytanie?

- Dziękuję uprzejmie. Do widzenia - zakończył szybko rozmowę Filip, a sam pomyślał: „Co oznacza, że można je wydobyć za odpowiednią kwotę. Bez sensu zapytałem, mogłem się domyślić. Zresztą po co mi to. Na razie są ważniejsze sprawy.”

Nieco zły na siebie wypadł znowu na ulicę. Musi przestać się szamotać i tracić czas na sprawdzanie drugorzędnych kwestii, a zacząć szukać racjonalnych rozwiązań. Gdzieś tu niedaleko powinna być budka telefoniczna, a on miał do wykonania parę telefonów. Wygrzebał z plecaka karty telefoniczne. Trzymał je jak wszyscy we Wspólnocie w skórzanym futerale, chroniącym przed ich szkodliwym, rakotwórczym promieniowaniem, które Mistrz wykrył przy

pomocy wahadélka. Z kieszeni spodni wydobyl listę z numerami, oczywiście zaszyfrowaną sobie tylko znanym kodem.

Po piętnastu minutach biegł już z powrotem w stronę pogotowia. „Lepiej, aby Łukasz za bardzo się nie niecierpliwił, to mogłoby wzmóc jego czujność”. Wszedł do budynku od podwórza i ubrał kurtkę oraz białą czapeczkę, po której członkowie Wspólnoty mogli się rozpoznać z daleka i ze względu na którą ktoś kiedyś przezwał ich „piekarzami”.

Spokojnym krokiem wyszedł z budynku, przeglądając notatki ze spotkania z dyrektorem pogotowia. Spotkania zeszlotygodniowego. Schował je do plecaka i skierował się w stronę Biblioteki Uniwersyteckiej, kolejnego punktu w jego „oficjalnej” marszrucie. Nie rzucił najmniejszego spojrzenia w kierunku, gdzie stał Łukasz. Dopiero po paru minutach marszu wyjął z kieszeni niewielki kawałek szkła. Był to fragment rozbitego lusterka samochodowego, którego ostre krawędzie okleił plastrem. Jego kształt idealnie wpasował się między palec wskazujący a kciuk. Ruchem, jakby chciał poprawić swe przeciwsłoneczne okulary - kolejny nieodłączny rekwizyt członka Wspólnoty w okresie letnim - uniósł je do oka. Łukasz szedł dziesięć metrów za nim. „Co za amator. Nie śledzi się delikwenta, idąc za nim po tej samej stronie ulicy!” Teraz najważniejsze, to nie dać po sobie poznać, iż wie, że jest śledzony. W duchu dziękował mistrzom, którzy z najrozmaitszych ksiązek szpiegowskich uczynili dawniej materiał do jego szkolenia. Teraz ich dzieło obracało się przeciw nim. Wiedział, że najgorsze, co może zrobić śledzona osoba, to próbować „zgubić ogon”. Prawdziwy szpieg w sytuacji, gdy odkryje, że jest „obiektem obserwacji” po prostu najniewinniej idzie do kina. Akcja musi zostać odłożona. Filip wszedł do biblioteki. Zaczekał chwilę przy szafkach na torby, by sprawdzić, czy Łukasz wejdzie do środka, czy też, jak poprzednio, będzie czekał na niego przed wejściem.

Będzie czekał.

Filip, zanim skierował się ostatecznie do katalogów, udał się do stołówki, gdzie przy ścianie, jak pamiętał, wisiał automat telefoniczny.

Zostały jeszcze trzy telefony, trzy szanse.

Po wyjściu z bibliotecznego budynku przeszedł przez ulicę i skierował się w kierunku budki telefonicznej, tym razem zgodnie z „modelem” zameldował się Wandzie, informując, że skończył zajęcia i jest do dyspozycji. Ku swej radości dostał do wykonania jeszcze jedno zadanie - kwerendę. Każdego tygodnia robili obchód księgarni w poszukiwaniu nowości z dziedzin interesujących Mistrza. Spis takich nowości zawozili następnie do Warszawy, a wracał z

zaznaczonymi pozycjami do kupienia. Dzięki temu biblioteka Mistrza była chyba największym prywatnym zbiorem literatury ezoterycznej, filozoficznej, psychologicznej i socjologicznej w Polsce. Prawie wszystkie pomieszczenia w dużym, trójkondygnacyjnym domu Mistrza były obstawione regałami z książkami. Kilkadziesiąt tysięcy woluminów, na które wszyscy pracowali w pocie czoła. Filip uwielbiał wśród nich przebywać, oglądać choć grzbiety. O czytaniu oczywiście nie było mowy, nie miał czasu nawet na czytanie tych książek, na które mu pozwalano czy nawet zalecano. W pracowni wstawał wcześniej nakarmić kury i psy, potem studia, potem praca w polu albo w warsztacie do późna w nocy. Próbował kiedyś wstawać jeszcze wcześniej, aby mieć czas na czytanie, ale Wanda mu tego zakazała. Mówiła, że jak będzie niewyspany, to będzie gorzej pracował. Przynajmniej pozwalano się wyspać, nie tak, jak w Warszawie, gdzie chłopacy wstawali o czwartej i kładli się spać po północy.

Skierował się na przystanek tramwajowy. Jak zwykle stanął przy ostatnich drzwiach, ostatniego wagonu, aby móc obserwować resztę współpasażerów. „Biedny Łukasz, jak on teraz wsiądzie niezauważony?” Postanowił ułatwić mu sprawę i wyjął z plecaka książkę. Jego ogon ulokował się w pierwszym wagonie. Filip zauważył, w jakim napięciu Łukasz wytrzeszczał wzrok w jego kierunku przy każdym przystanku, obawiając się, że w ostatnim momencie wysiądzie.

Ale Filip najspokojniej dojechał do stacji, na której powinien wysiąść. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się główna księgarnia naukowa. Idąc tam zauważył przez swoje lusterko, że Łukasz stoi w budce telefonicznej. Musieli go odwołać, bo po odłożeniu słuchawki wsiadł do autobusu. Na wszelki wypadek sprawdził, czy nie śledzi go ktoś inny, ale wyglądało na to, że tym razem mu się udało. Droga wolna. Był piękny czerwcowy dzień. Zdjął czapkę.

\* \* \*

Marek zajeżdżał samochodem przed bramę i poczekał, aż ją Leon otworzy. Wjechał na podwórze i zostawił mu wóz do umycia, a sam wszedł do domu.

Natychmiast podbiegła Wanda, rozwiązała mu sznurówki u butów, podstawiła drewniaki. Dużo go wysiłku kosztowało, żeby ją dobrze wyszkolić. Żaden z jego uczniów nie dostał takiego wycisku. Musiał być pewien żony, jej błędy zbyt wiele by go kosztowały, a jej pomoc była dla niego zbyt cenna. Szkolenie przebiegało po części według „modelu” zawartego w Szekspirowskim Poskromieniu złośnicy, po części zaś było odzwierciedleniem szkolenia, jakiego sam doświadczył od Mistrza. Stałe naciski, aranżowanie niekonwencjonalnych sytuacji, korekty,

korekty, korekty... Po dwóch latach zaczęła sobie radzić. Teraz tylko od czasu do czasu musiał na nią mocniej nacisnąć, gdy traciła napięcie. Rozumiała co to Posłuszeństwo, praktykowała już Troskę, starała się realizować Autentyzm.

Na dziecko też zareagowała wyjątkowo dobrze. Nie było problemu, tak częstego u innych kobiet, które zapominały o swym mężu, całą energię przerzucając na dziecko. Współczuł takim dzieciom, rozpieranym przez aktywność, ciekawym świata przytłaczanym przez te głupie matki. Wanda wiedziała o tym wszystkim zanim zaszła w ciążę i wystarczyła mała korekta na samym początku, aby nauczyła się tę wiedzę wprowadzać w życie.

- Daj mi herbaty - powiedział, a sam usiadł, zastanawiając się co dalej robić z Filipem. Wanda wrzuciła do kubka świeże liście mięty, a w czasie gdy gotowała się woda, zdawała mu raport z wydarzeń, jakie miały miejsce w Pracowni pod jego nieobecność.

- Gdy pojechałeś, był Elektryk i pytał, czy nie chcemy jajek - zaczęła. Elektryk był ich sąsiadem, człowiekiem „umownym”, z którym jednak żyli w wyjątkowo dobrych relacjach. Pomagali mu, on im. Cała instalacja elektryczna w Pracowni była jego rewanżem za ich częstą pomoc. Raczej nie zdawał sobie sprawy, czym się Marek tak naprawdę zajmuje i dlaczego ciągle u niego jest tylu „przyjaciół”, którzy w dodatku są tak chętni by mu pomagać.

- Jajek?

- Tak, powiedziałam, że nasze kury zaczęły nieść, kiedy daliśmy im tę nową mieszankę, więc nie potrzebujemy.

- Można by wziąć te jajka i zawieźć jutro Mistrzowi. Ucieszyłby się, dobre wiejskie jajka, nie to, co te kupne z ferm.

- Porozmawiam z nim jeszcze - zapowiedziała Wanda. Zastanawiała się o czym jeszcze powinna zameldować mężowi. - Maciej zgłosił, że chce jechać do rodziców.

- Jutro pojedzie. Niech dziś zrobi oprysk w sadzie.

- Dobrze.

Marek dopił miętę i wstał.

- Powiedz, gdzie jest szafka Filipa - zwrócił się do żony.

- Rzeczy, takie do ubioru trzyma tutaj, u góry... - powiedziała Wanda.

- Nie o to pytam. Gdzie trzyma notatki, wnioski, książki?

- A to! W małym pokoju w kredensie. Dałam mu tam dwie półki do dyspozycji.

Po otwarciu szafki ukazało się mnóstwo nieuporządkowanych kartek, zeszytów, parę książek, jakieś kserokopie i zawiązywane na kokardkę teczek.

- Ale burdel. Twierdzi, że zapodziały mu się gdzieś ostatnie wnioski na brudno. Nic dziwnego, gdybym gromadził tyle śmieci, też bym się pogubił. Poszukasz mu ich. Zwróc uwagę, czy nie ma czegoś podejrzanego - rozkazał żonie. - Nie wydaje ci się, że coś kręci?

Wanda spojrzała na niego zdziwiona. Była przyzwyczajona, że wszyscy jego uczniowie trochę kręcili, przynajmniej raz na jakiś czas: a to niemeldowany wyskok do rodziców, a to kupili sobie jakieś ciastko, obejrzelik jakiś film na własną rękę. Zwłaszcza folgowali sobie podczas tych cotygodniowych wizyt u rodziny, na które im pozwalano w ramach „symulacji”. Nie robili tego za często, nie mieli też za wiele okazji. Ale akurat Filip ostatnimi czasy pilnował się już całkiem nieźle. Doszedł do siebie po ostatnim „kryzysie”, kiedy za karę zakazali mu kontaktów z jego uczniem. Wróciło mu napięcie, radził sobie nieźle ze swoimi codziennymi obowiązkami. Słowa męża zaskoczyły ją, ale przyjęła je bez szemrania. Widać miał powody, by coś podejrzewać.

Marek poszedł do warsztatu. Zamierzał zrobić dla swojego Mistrza nowy regał na książki. Miał już w głowie projekt, prosty i funkcjonalny, przy oszczędnym wykorzystaniu materiałów. Lubiał stolarkę, mógł skupić się tylko na narzędziach, drewnie i projekcie. Doskonałe ćwiczenie z wyobraźni realnej. Patrząc na surowe deski, ujrzeć w nich przyszły kształt i stopniowo modelować rzeczywistość, aż zjednoczy się z wyobrażonym wzorem. Tutaj czuł się rzeczywiście mistrzem i mógł błyszczeć przykładem. Miał nad swymi uczniami faktyczną przewagę kompetencyjną, znał wszystkie tajemnice rzemiosła, które jak często okazywało się, zawiera ukryte tajemnice Życia. Niewyczerpane źródło porównań, alegorii, które odsłaniały Prawa. Tutaj czuł się pewnie, czego nie mógł już równie stanowczo powiedzieć o Ścieżce. Od czasu, gdy Mistrz zaczął przyjmować u siebie jego uczniów, przewaga Marka nad nimi stawała się coraz bardziej wątpliwa, umowna, przynajmniej w dziedzinie informacji. Uczestniczyli w tych samych próbach co on, a czasami musiał im nawet kazać zdać sprawę z prób, na których sam nie mógł być. Skoro nie dysponował już niedostępną im wiedzą, mógł być dla nich tylko wzorem postawy, samodyscypliny, źródłem codziennego nacisku. Ale bez przewagi informacyjnej było to trudne. Rozwijali się szybko, zdolne bestie, tylko patrzeć, jak go zaczynają przeskakiwać. Próbował więc na własną rękę uzupełniać swą wiedzę, ale te książki... były takie trudne, abstrakcyjne i wieloznaczne... Próbował więc uczyć się ich na pamięć, co też nie najlepiej mu wychodziło. Skąd zresztą miał wiedzieć, że zrozumie je prawidłowo, zgodnie z nauczaniem Mistrza? Musi się



starać, naciskać na siebie. Gdyby jego uczniowie przedwcześnie doszli do wniosku, że są mądrzejsi niż on, że wiedzą więcej, zrujnowałoby to ich duchową postawę, wbiliby się w pychę i wpadli w niebezpieczne pułapki, które kryła Ścieżka. To autentyzm względem niego był dla nich drogą rozwoju. Musieli mu bezgranicznie ufać, aby się doskonalić. W końcu był ich mistrzem.

## Rozdział IX

Runda po księgarniach stwarzała doskonałą okazję do przygotowań. Ostatnio zauważył na uniwersytecie ogłoszenie o wykładzie na temat zagrożeń ze strony sekt. Niestety odbył się tydzień temu. Zanotował jednak nazwisko wykładowcy - ks. Matuszewski - i miejsce: w parafii p.w. św. Izydora. Postanowił teraz tam pojechać, zwłaszcza, że w okolicy była spora księgarnia z dużym działem ezoterycznym. Niestety, okazało się, że wykładowca mieszka na wsi w innym województwie. Filip niezrażony, postanowił do niego zadzwonić. Ksiądz był zakłopotany, tłumaczył, że zajmuje się problemem tylko teoretycznie, nie ma żadnych większych możliwości pomocy. Wszystko, co od niego uzyskał to kilka nazwisk księży „bardziej otwartych”, cokolwiek by to znaczyło.

Była to zła pora na telefony. Pora obiadoworekreacyjna. Pierwsze cztery numery odpowiadały długim sygnałem albo automatyczną sekretarką. A może cały dzień był pechowy? Od rana niewiele udało mu się załatwić. Z telefonów, które sprawdzał przy okazji fortelu z dyrektorem pogotowia, również niewiele wynikało. Ludzie niby rozumieli, ale nikt nie chciał realnie pomóc.

Piąte nazwisko z listy: ks. Andrzej, parafia p.w. św. Franciszka. Szczęśliwie leżała na trasie jego księgarskiej kwerendy, postanowił tam zajrzeć. Był to neogotycki kościół w jednej ze starych robotniczych dzielnic miasta. Zastał księdza w konfesjonale. Poprosił go o rozmowę, zastrzegł przy tym od razu, że nie chce się spowiadać. Nie robił tego od lat i nie widział takiej potrzeby. Nie popełnił żadnych zwykłych grzechów, z jakich uczono go kiedyś się spowiadać, a z grzechu, który właśnie popełniał, zdrady mistrza, żaden ksiądz nie potrafił go uwolnić.

Powiedział księdzu, z czym przyszedł. Ksiądz był wyraźnie poruszony. Nie co dzień widać przychodzili do niego ludzie z takimi problemami. Pomyślał chwilę i zaczął mówić coś, czego Filip zupełnie nie rozumiał.

- Wiesz, nie wiem, czy jesteś wierzący, ale to w sumie nie jest takie ważne... jeśli wierzysz w jakiegoś Boga, to chciałbym ci zaproponować, pewien rodzaj modlitwy... myślę, że to nawet ważniejsze, że to faktycznie może ci tu pomóc... to taka modlitwa o uwolnienie, jeśli chcesz, to możemy się teraz pomodlić...

- Nie rozumiał mnie ksiądz - przerwał Filip nieco zakłopotany - Ja szukam tylko schronienia, ja nie chcę się po prostu z nimi spotkać, nie mogę! Czy ma może ksiądz jakiś znajomych w innym mieście, na przykład w Krakowie? Chcę wyjechać z tego miasta, zacząć nowe życie.

- Nie, niestety nie mam... - ksiądz był wyraźnie zmartwiony, a Filip zaczął już myśleć o kolejnym nazwisku na liście. Ks. Andrzej jeszcze coś mówił o potrzebie modlitwy, ale Filip nie widział żadnego związku między jego obecną sytuacją a modlitwą. Zresztą jak mógłby się modlić do Boga, którego właśnie w osobie jego wysłannika zdradzał?

\* \* \*

Wanda położywszy sobie koc na podłodze, usiadła przed rozwartą szafką i zaczęła wyjmować po kolei papiery Filipa. W zasadzie wystarczyło tylko ruszyć spiętrzony stos, aby całość wysypała się na podłogę. Notatki ze studiów, jakiś podręcznik, stare kopie wniosków (te akurat utrzymane we względnym porządku, schowane w wiązanej, papierowej teczce), śpiewnik. Nie było ani śladu brudnopisu z ostatnimi wnioskami z niedzieli. Wszyscy uczniowie po każdej próbie spisywali wnioski na specjalnym samokopiującym się papierze, mieli go oszczędzać, więc z pewnością najpierw pisali na brudno. Ale nie było niczego, co miałyby tak świeżą datę albo chociaż przypominałyby wnioski z ostatnich prób.

Co do podejrzanych rzeczy, to jednak trochę się znalazło. Na przykład opasła książka na temat różnych systemów pisma, o której kupnie nie zameldował. Wanda wiedziała, że Filip był pasjonatem szyfrów, wymyślał sobie własne systemy pisma, co zresztą pochwalali, bo wszystko, co służyło ukryciu ich działalności przed ludźmi umownymi było godne pochwały. Wanda jednak zastanowiła się w tym momencie, czy Filip w tych swoich zapiskach nie ukrywa także czegoś przed nimi? Mógłby to robić zupełnie bezkarnie, gdyż nikt nie potrafił opanować tych jego szyfrów. W każdym razie, tę książkę kupił sobie samowolnie, bez uzgodnienia. Jej uwagę zwrócił z kolei numer czasopisma Semper fidelis. Wydawała je ta organizacja prawnicza, którą miał infiltrować, ale dlaczego nie przekazał tego numeru do Warszawy, tak jak inne, tylko chował po szafkach? Kolejny plik kserokopii potwierdził jej podejrzenia, że chyba nieco za bardzo przejmował się swoim zadaniem. Były to kopie artykułów o średniowiecznym rycerstwie, jego etosie i sposobach kształcenia. Wprawdzie we Wspólnocie śpiewało się kilka pieśni nawiązujących tematycznie do mitów arturiańskich, służby Graalowi, etosu rycerskiego, ale kto kazał, pozwolił Filipowi się w to zagłębiać? Od tego byli inni. Kolejna samowola. Większy

niepokój wzbudziła w niej inna książka o czarnej okładce, nie to chyba nie jest... tak!, to Biblia! Co ona robi u Filipa? Otworzyła ją i zorientowawszy się, że sporo fragmentów jest zaznaczonych, zaczęła czytać. Były tam fragmenty zalecające troskę o zdrowie, o właściwych relacjach między kobietą i mężczyzną, o szukaniu mądrości... Niby wszystko zgodne z modelami Mistrza, ale kto mu kazał szukać tego w Biblii? Musiała o tym wszystkim zameldować Markowi.

\* \* \*

Gdy wrócił z miasta po zrobieniu spisu książek przeżył chwile grozy. Wszystkie swe rzeczy zobaczył wyrzucone z szafki na podłogę, a od razu w wejściu Wanda zażądała od niego portfela z dokumentami.

Podejrzewali coś.

Udało mu się zachować spokój, przynajmniej na zewnątrz. Posłusznie oddał dokumenty, szacując w myślach, ile go to będzie kosztować. Były tam pieniądze, które ostatnio otrzymał od rodziców. To, że ich nie oddał, nie spodoba się mistrzowi. Bez legitymacji studenckiej wszystkie przejazdy będą kosztować go podwójnie. Nie mówiąc już o trudnościach z legalnym ułożeniem sobie życia. Ale jego determinacja była tak wielka, że pogodził się nawet z tym. Ostatecznie może przez jakiś czas żyć jak kloszard.

Potem Marek, zszedłszy ze swego piętra, zwrócił się do niego:

- Gdzie masz swoje wnioski na brudno, te z niedzieli?

- Właśnie znalazłem, ale one są zaszyfrowane - odparł Filip, czując, że dalsze uniki w tym temacie pogorszyłyby tylko sprawę.

- To nic - odparł Marek - dawaj, jakoś sobie poradzę.

Filip posłusznie wyjął z teczek pamiętą kartkę, na której widniało ledwie kilka linijek tajemniczego pisma. Przypominało nieco arabskie a nieco tybetańskie. Był spokojny. Nie wierzył, żeby Marek poradził sobie z odcyfrowaniem jego wniosków. Nie po to układał swój system pisma, by ktoś się mógł z biegu w nim połapać. Wprowadził kiedyś, dawno, dawno klucz do tego pisma mistrzowi, ale co innego rozpisane znaczenia poszczególnych liter, a co innego reguły ich łączenia. Od tego czasu zresztą jego pismo ewoluowało, kilka liter zmieniło zupełnie swój pierwotny kształt, który okazał się zbyt niepraktyczny w pisaniu. Wprowadził kilka znaków funkcyjnych, kilka oznaczających całe sylaby. Rozgryzienie tego wszystkiego nawet komuś

oswojonemu z szyframi musiało zająć nieco czasu. A czas był teraz bardzo potrzebny Filipowi. Choćby kilkanaście godzin.

Te zaszyfrowane wnioski różniły się od tych, które przekazał mistrzowi, w zasadzie tylko jednym zdaniem, fragmentem zdania, w którym przyznawał się do pokusy rezygnacji. Napisał to w przypiływie autentyzmu, zanim jeszcze podjął swą decyzję, zanim klamka zapadła, zanim kości zostały rzucone, zanim rozpoczęła się Przemiana. A potem, gdy zdał sobie sprawę, że już nie może przekazać wniosków z tak jasną wskazówką, szybko przepisał je w ubikacji, pomijając demaskujący fragment, a oryginał podarł i splukał w sedesie. Zostawił sobie tylko zaszyfrowany brudnopis.

Na szczęście, po pół godzinie Wanda przyniosła mu dokumenty z powrotem, oczywiście bez pieniędzy. Chyba jednak jego posłuszeństwo ich przekonało. Może nawet zwątpili, czy aby słusznie go podejrzewali, bo odnosili się do niego w dziwnie życzliwy sposób. Wysłali go do pracy, pozostawiając wyjaśnienia na kiedy indziej. Bo Filip nie miał wątpliwości, że czeka go „szczerą” rozmowa z mistrzem, w której musiałyby się „otworzyć” i zdać sprawę z najgłębszych tajników swej duszy. Przy takich rozmowach najszczerza spowiedź w konfesjonale była zwykłą szopką, jaką penitent odgrywał najpierw przed sobą, a potem wobec księdza. Były to bardzo trudne, ale jednocześnie niezwykle cenne momenty. Pod naciskiem mistrza uczeń zaczynał przedzierać się przez kłamstwo w sobie samym. Nie chodziło o to, by uczniowie świadomie oszukiwali mistrza - to zdarzyło się rzadko, oni oszukiwali sami siebie i potem święcie wierzyli w swe kłamstwa. Dopiero bolesne wniknięcie w swe głębsze motywy obnażało całą prawdę, a jednocześnie umożliwiało realny rozwój - widzieli jak na dłoni wszystkie te momenty, gdzie sobie popuszczali, gdzie rezygnowali z walki, tracili napięcie. Wszyscy panicznie bali się tych spowiedzi, choć jednocześnie wiedzieli, że nic ich tak nie rozwija, że bez bezwzględного nacisku mistrza, sami by nie dotarli do tych pokładów duszy.

Udał się do kurnika sprawdzić, czy wszystko w porządku i zamknąć do niego na noc drzwi. Było już ciemno, ale w półmroku dostrzegł, że jego pierzaste podopieczne przeżyły mały kataklizm. Prowizorycznie sklecona przez Marka grzęda przewróciła się, ku wielkiemu niezadowoleniu jej użytkowniczek i głośnym oburzeniu ich przywódcy, kolorowego koguta, którego Filip pamiętał jeszcze jako pisklę. Cóż, trzeba było ustawić grzędę i pousadzać na niej ślepe już kury, każdą z osobna, aby nie przeziębły się, spędzając noc na zimnej posadzce.

## Rozdział X

Filip obudził się w doskonałym nastroju, tak samo zresztą, jak każdego dnia od niedzieli, od momentu zapoczątkowania Przemiany. Przez okno wpadały wesole promienie słońca, które dopiero wylaniało się zza horyzontu, budząc jego podopiecznych w kurniku. Przepelniała go dziwna ulga, jakby ktoś zdjął z niego jakiś ciężar, czy raczej rozluźnił krępujące go więzy. Koszmar wątpliwości targających nim ostatnimi czasy wreszcie się skończył. Podjęta decyzja cudownie poskładała jego osobowość w zwartą całość, dała mu siłę do działania i pewną dozę optymizmu, mimo tłącej się na drugim planie ponurej świadomości właśnie popełnianej zdrady.

Na pierwszy rzut oka zachowywał się jak zwykle. Towarzysze patrzący na niego nie byli w stanie niczego dostrzec, jednak w jego wnętrzu dokonywało się coś niezmiernie istotnego. Siedząc na polu, wrywając kolejne bulwy młodych buraków i wrzucając je do skrzynki zaczął dostrzegać, że to wewnętrzne wydarzenie narastało w nim od dawna. Śpiewał razem z innymi pieśni o dyscyplinie i posłuszeństwie, ale w sobie, po raz pierwszy od ośmiu lat czuł... cóż to było? To było jak kielek, ledwie przebudzone ziarno, które sobie wiadomymi sposobami rozpoznało zmianę otaczających warunków i zaryzykowało życie. Jego Przemiana miała właśnie taki charakter - nieświadomego, niemal fizjologicznego procesu, który mógł obserwować, mógłby może starać się hamować, jak przez ostatnie tygodnie, ale nie mógł, nie chciał przerwać, zatrzymać, cofnąć... Każde drgnienie tego nowego ziarna w jego wnętrzu niesło mu szczerą radość, siłę i pewność, której tak dawno nie odczuwał.

Działał instynktownie, ale nie było mu dzięki temu łatwiej. Sam tego nie wiedział, ale metody Mistrza widać musiały w nim zaowocować, rozbudziły się w nim nowe moce, nowe formy odwagi, nowe pragnienia wiedzy. Jednocześnie jego codzienna rzeczywistość: praca w gospodarstwie od świtu, praca w kuchni do wieczora, praca w garażowej hurtowni przez dużą część nocy splatały się w szczelną pętlę pozbawiającą go jakiegokolwiek możliwości samodzielnego rozwoju. Co kilka dni pętla ta przerywana była cotygodniowymi wyjazdami do Warszawy, do domu Mistrza, ale zmieniało to tylko miejsce i proporcje poszczególnych prac. Potem wracał z Warszawy, by zjawić się na obowiązkowych zajęciach na uczelni, które zresztą w części zwyczajnie przesypiał, odzyskując siły po tygodniu pracy. Wykładowcy przyzwyczaili się już chyba do tego, że przez połowę zajęć zwyczajnie spał, nie krępując się specjalnie, nawet

gdy siedział w pierwszej ławce, za to w drugiej połowie był najaktywniejszym studentem w grupie. Sytuacja ta jednak wyczerpywała go. Nie potrafił nazwać wzbierającej w nim frustracji, nigdy nie ośmieliłby się zidentyfikować problemu poza sobą, w strukturze, w której tkwił, w której był zamknięty. Na to był ciągle zbyt lojalny.

Ale organizm Filipa, głębsze pokłady jego psychiki wyczuwały bezbłędnie hamulce krepujące siły w nim wzbierające. Rozwijająca się struktura biopsychiczna odrzucała tę zewnętrzną strukturę społeczną niczym obce ciało, chorobowy bodziec, infekcję. Ciągła presja ze strony mistrzów, a jednocześnie podświadome dążenie własnego ciała i duszy do zachowania zdrowia mimo wszystko, wyczerpywały siły. Zaczęły pojawiać się obsesyjne myśli, wizje przedstawiające jego samego poza Wspólnotą. Myśl o odejściu powoli dojrzewała, ciągle traktował ją jako pokusę i z wszystkich sił zwalczał. Już same te myśli świadczyły jednak, że miał problem, o którym niezwłocznie powinien zameldować mistrzowi. O mały włos tego nie zrobił.

W pewnym momencie zaczął kroczyć nad przepaścią, potrzebował tylko bodźca, wyglądał bodźca, który go w przepaść zrzuci. W przepaść życia poza Wspólnotą, w obcą otchłań.

I stało się. Śmiać mu się chciało, gdy przypomniał sobie, jak błahy nacisk przeważał szalę.

*Alea iacta est.*

Już kiedyś to powiedział. Przed pięciu laty. Ale wtedy wiedział, że to nieprawda, że przekroczywszy Rubikon, wróci wkrótce z powrotem, choćby miał okrążyć ziemię. Odszedł, ale to niczego nie zmieniło. Realizował wszystkie zasady samemu, żył nadal według wszystkich modeli. Za wyjątkiem jednego, najważniejszego, mówiącego o bezwarunkowej niezbędności mistrza. Jego życie wyglądało w rezultacie jak jeździec bez głowy. Musiał wrócić, aby odzyskało swój sens, swą spójność i logikę. W pewnym momencie stwierdził, że w zasadzie tylko czeka, aby się odezwali. Po dwóch dniach zadzwonił telefon, a on ich zadziwił, bez wahania przystając na spotkanie. Po paru tygodniach wrócił na swoje miejsce we Wspólnocie i zaczął odrabiać „stracony czas”.

Tym razem będzie inaczej.

Wiedział, że już nie ma powrotu. A raczej czuł to, nie rozumiejąc jednocześnie, dlaczego przyszło mu to tak łatwo. Przecież mistrzowie mówili z taką pewnością siebie, że z jego poziomu już odwrotu nie ma, że System nie pozwoli odejść nikomu, kto zaszedł już tak daleko. A on się

odwraca i przychodzi mu to z większą wewnętrzną łatwością niż podążanie dalej Ścieżką. Ale łatwość ta nie miała nic wspólnego z „łatwizną” życia umownego, w ogóle nie myślał w tych kategoriach. Łatwość wynikała z podjęcia decyzji do końca zgodnej z najgłębszym, choć nie do końca świadomym przekonaniem, zrozumieniem konieczności.

Ale czuł też, że kielkującemu ziarnu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, musi je pielęgnować, skrywać, przede wszystkim musi je ukryć przed wzrokiem mistrzów. Wiedział, że gdy je dojrzą zniszczą je, że potrafią go przekonać, by sam je zniszczył. Wiedział, że z punktu widzenia wszystkiego w co wierzył, było to ziarno iluzji, trucizny. Ale teraz nie patrzył już z tego punktu widzenia. Nie miał jeszcze żadnego innego. Miał tylko to małe kielkujące ziarno wolności. Dla republikańskiego historyka, Juliusz Cezar, choć sam sobie pewnie z tego sprawy do końca nie zdawał, przeprowadzając się z legionami przez Rubikon przekroczył jednocześnie granicę między wolnością a tyranią. Filip, również nie zdając sobie z tego sprawy, przekraczał podobną granicę, tyle, że w odwrotnym kierunku.

Druga skrzynka z burakami była już pełna, trzeba je było jeszcze znieść z pola. Szkoda, że nie było wózka, zabrali go chłopacy wywożący śmieci. Trzeba było przenieść buraki o własnych siłach. Jedną skrzynkę wziął on, drugą Łukasz. Łukasz, którego mistrzowie przypisali mu niejako do pary. Nigdy go nie lubił, teraz wreszcie uświadomił to sobie bez wyrzutów sumienia. Nie mieli z sobą prawie nic wspólnego. Widać mistrzowie uznali, że będą się doskonale uzupełniali. Na całe szczęście ostatnimi czasy rzadziej mieli okazję pracować razem. Filip coraz więcej czasu spędzał w kuchni i przy zwierzętach w gospodarstwie. Łukasz natomiast, gdy urodziła mu się córka zamieszkał z żoną poza Pracownią i przyjeżdżał tylko na dwa dni w tygodniu.

Wchodząc przez bramę minął kojec, w którym biegał radośnie kolejny jego podopieczny - pies Reżim, niestety wyjątkowo głupi, choć bardzo sympatyczny. Był to pies przynajmniej dwurasowy, z dominacją genów owczarka niemieckiego. Jego partnerka Karma, „rasowo czystsza”, wykazywała się wyjątkowym sprytem. Przez ostatnie miesiące toczyła się swoista gra między nią a Filipem. Coraz to wynajdywała nowe sposoby wydostania się na wolność, a on sposoby jej zatrzymania. Teraz nastał koniec jej wypadów. Zbudowali nowy kojec, z betonowymi fundamentami, pod które nie mogła się już wkopać, z wysoką siatką drucianą, której nie mogła już przeskoczyć ani rozpleść, i ze stalową furtką, której nie potrafiła już otworzyć.



Filip pozdrowił psy, dźwigając ciężką już skrzynkę i spojrzał na nie z nową życzliwością. Przede wszystkim zaczynał rozumieć swoją psią podopieczną i jej pragnienie wolności. Wiedział jednocześnie, że mistrzowie potrafią budować kojce również dla ludzi, choć nie z drutu czy betonu. Są to kojce zbudowane z duchowych i społecznych więzi, czasami otoczone zaporą w postaci zależności ekonomicznej. We Wspólnocie było wielu takich, którzy po prostu już nie mieli dokąd uciec. Wszystko oddali, z reszty zrezygnowali, wyrzekli się wszystkich relacji z ludźmi spoza Wspólnoty.

Czy przed mistrzami można uciec? Jak daleko, a przede wszystkim dokąd trzeba uciekać, aby być bezpiecznym? Nie, Filip nie bał się, że zastosują wobec niego jakieś środki fizycznego przymusu, na to byli zbyt subtelni. Wiedział również z własnego doświadczenia, że doskonale potrafią wykorzystać swą przewagę. Jego będący wynikiem długotrwałego szkolenia odruchowy nawyk posłuszeństwa i pokory, jego poczucie niższości względem nich, budowany przez lata szacunek... Chociaż nie, szacunek nie. Już nie, nie po ostatnich przeżyciach... W każdym razie wiedział, że wprowadzili w jego umysł wystarczająco wiele programów mentalnych, aby przejąć nad nim kontrolę, jest w nim wszystko, czego potrzebują. Nie mówiąc już o całym wpajaniem mu od dwunastego roku życia światopoglądzie. Mistrzowie kryli się więc faktycznie wewnątrz jego umysłu, choć swą siłę czerpali z osobistego wpływu. Bez ich emocjonalnego nacisku wewnętrzne programy pozostawały uśpione, można było je ominąć, a z czasem nawet rozbroić. Dlatego za wszelką cenę musiał zapewnić swemu kiełkującemu ziarnu ochronę przed nimi.

Gdy pozostawili skrzynki w garażu, udali się do Wandy, by zameldować się po wykonaniu zadania.

- Już jesteście? - Filip zauważył, że jest poruszona. - Ile skrzynek przynieśliście?

- Dwie - odpowiedział Łukasz.

- Idźcie i przynieście jeszcze dwie, będą potrzebne na jutro wieczór. I uszykujcie też ze trzy pęczki takich z ładną botwiną.

Słowa te zmroziły Filipa. To mogło oznaczać tylko jedno: wyjazd. Był zbity z tropu, choć nie mógł sobie pozwolić, aby dać to po sobie poznać. W rzeczywistości cieszył się z tych kolejnych chwil monotonnej pracy. Potrzebował teraz czasu, aby wszystko jeszcze raz przemyśleć i zaplanować. Wyjazd jutro wieczorem oznaczał, że musi niezwykle przyspieszyć swe plany. Trzeba, nie wzbudzając podejrzeń, spakować najniezbędniejsze rzeczy i wyczekać do odpowiedniego momentu, co mogło okazać się niełatwe, bo podejrzania już zostały wzbudzone.

Drugim punktem planu było znalezienie jakiegoś azylu z dala od nich. Nie mógł zamieszkać z rodzicami, bo ludzie ze Wspólnoty znali ten adres. Nawet, gdyby kazał rodzicom kłamać, że go tam nie ma, zaczailiby się, aż wyjdzie i wtedy by go dopadli. Nie, musiał uciec jak najdalej, najlepiej wyjechać z miasta, za wszelką cenę, zacząć nowe życie. Najlepiej tam, gdzie nie mają swoich ludzi. „Ale czy aby rzeczywiście znam wszystkie oddziały Wspólnoty?”. Z tego, co wiedział, działalność Mistrza skupiała się w największych miastach Polski, ale głównie w regionach centralnych i północnych. Postanowił zatem uciekać na południe. Kraków, może Wrocław. Miał nadzieję, że tam ich macki nie sięgały.

Zaszyje się i zacznie nowe życie.

Choć jego kalkulacje napędzane były przesadnym lękiem, nie był jednak na tyle naiwny, by sądzić, że można ot tak sobie zacząć nowe życie w innym mieście bez środków do życia. Wiedział, że musi znaleźć pomoc. Do kogo jednak może się o nią zwrócić?

Pomysł zaczerpnął z popularnej literatury. Przypomniał sobie książkę, którą kiedyś czytał w ramach realizacji swojego „szpiegowskiego profilu”. Płatny morderca na służbie wywiadu postanowił zerwać ze swą przeszłością. Po zatarciu śladów schronił się w klasztorze kartuzów, którego reguła zakładała odrzucenie własnej tożsamości. Tak, Kościół katolicki z pewnością jest jedną z najpotężniejszych organizacji w Polsce, organizacją o wielkich środkach i wpływach. Co więcej, według wiedzy Filipa, organizacją, z którą mistrzowie nie mieli nic wspólnego, a która, gdyby wiedziała o ich działalności i doktrynie głoszonej we Wspólnocie, zwłaszcza doktrynie na temat Mistrza, z pewnością uznałaby ją za sektę.

Sekta. Tak trudno było zastosować to słowo w odniesieniu do Wspólnoty, w której uczestniczyło się przez osiem lat życia. Nie chodziło tylko o to, że mistrzowie ciągle podkreślali, iż nie są żadną sektą. Filip, nawet po podjęciu decyzji o ucieczce, tak naprawdę nie myślał o Wspólnocie jako o sekcie. To słowo po prostu jakoś mu nie pasowało do Wspólnoty, której był członkiem. Pamiętał jak raz przed laty, chyba coś podejrzewający rodzice dali mu artykuł z lokalnej prasy ostrzegający przed sektami. Oczywiście zaniósł go mistrzowi. Gdy ten zapytał, co o tym myśli, potrafił tylko potępić fałszywych mistrzów, o których się autor rozpisywał. Dopiero mistrz wyjaśnił mu, że największe zagrożenie tkwi w tym, że samą Wspólnotę pewni ludzie mogli uznać za sektę. To się wówczas szesnastoletniemu Filipowi nie mieściło w głowie, przecież ci mistrzowie są prawdziwi, autentyczni, przecież nie czynią nic złego, żadnych rytualnych zabójstw, gwałtów, handlu narkotykami, namawiania do samobójstwa, a wręcz

przeciwnie, troska o zdrowie, kult witalności, rozwój duchowy, wychowywanie do życia w społeczeństwie, pomaganie ludziom... Dlaczego ktoś mógłby uznać nas za sektę? Z drugiej strony z czasem zdał sobie sprawę, że większość ludzi nie wdaje się w zbyt subtelne dociekanie różnic. Zwłaszcza dla wojujących katolików, których czytywał na łamach *Semper fidelis*, wszystko, co nie przynależało do ich własnego Kościoła, było z założenia podejrzane. Tak, niewątpliwie nazwanie Wspólnoty sektą stanowiło już zdradę, coś więcej niż proste wycofanie się, rezygnacja, było aktem wrogości. Ale jak inaczej się oderwać? Jakimi słowy krótko przekazać ludziom rzeczywistość, w której uczestniczył? Jak wytłumaczyć to, że stamtąd ucieka? Skoro to nie jest sekta, to dlaczego ucieka? Dlaczego nie może po prostu odejść? A przecież miał rozmawiać z księżmi, którzy z pewnością nigdy nie słyszeli o Świetlistej Łoży, Systemie, Mocy. Jak streścić w czasie kilkuminutowej rozmowy wszystko, co przeżył przez ostatnie lata, jak zwięźle opisać całe uwikłanie w sieć stosunków i zależności, które go krępowały, jak wytłumaczyć własne motywy?

Uznał ostatecznie, że łatwiej będzie posłużyć się etykietą sekty. Szkoda tylko, że Wspólnota nie miała żadnej egzotycznej nazwy, to jeszcze bardziej uprościłoby rozmowę. Postanowił poszukać jakiegoś księdza, który zajmuje się problemem sekt, który się choć trochę na tym zna. Może mają w Kościele jakieś opracowane procedury pomocy uciekinierom takim jak on? Jak na razie nic na to nie wskazywało. Wprawdzie dotąd rozmawiał tylko z dwoma kapłanami, ale zwłaszcza ostatnie spotkanie nie napawało go optymizmem. „Tak, ten ksiądz chyba niczego nie rozumiał”, myślał Filip, wrzucając kolejne buraki do skrzynki.

Teraz sytuacja się nieco komplikuje. Wyjazd w tym tygodniu został z jakiś powodów przyspieszony. Wiedział, że musi uciec wcześniej. W Warszawie mogłoby się coś wydać, zresztą obserwatorzy byli tam bardziej domyślni niż jego mistrz, Marek, który ostatnio udowodnił mu niechęć, że nie jest nieomylny.

Był to dla Filipa szok. Na jego oczach osoba, którą darzył niemal bezgranicznym, pełnym dziecinnej naiwności szacunkiem, popełniła parę całkiem głupich błędów. Filip pomagał wówczas swemu mistrzowi sadzić krzewy w ogrodzie „Mistrza mistrzów”. Mieli posadzić pięć sztuk w kręgu. Dzień wcześniej kupili specjalnie pięć worków z torfem. Sam Mistrz doglądał ich roboty i upominał, aby torfu nie żalowali. Marek przejął się tym bardzo, wykopał dół tak wielki, że do jednego zmieściły się wszystkie worki. Gdy to Mistrz zobaczył i dowiedział się, że torfu już nie ma, najpierw ręce mu opadły, a potem dał taki wycisk Markowi, że ten przez kolejne dni

musiał leczyć złamane żebro. Filip widział to wszystko. Najpierw dziwiły go polecenia, aby kolejne worki wsypywać do jednego dołu, ale oczywiście nie śmiał się odezwać, mistrz widać wie co robi. Chwilę później jednak był świadkiem, gdy Mistrz zrugął Marka i tym samym potwierdził jego własne wątpliwości. Był to jeden z ważnych momentów, kiedy przesądzało się jego odejście. Jego mistrz był zwykłym człowiekiem, który popełniał błędy! Dlaczego nie widział tego wcześniej? Dlaczego cały czas przypisywał mu zalety, których najwidoczniej ten nie posiadał? Myślał nad tym wiele razy od tamtego dnia. To chyba dlatego, że poznał mistrza, gdy był jeszcze dzieckiem. Nie jest trudno zaimponować dwunastolatкови. Poza tym ich relacja była zawsze ściśle określona, on był mistrzem, Filip uczniem, on kazał, Filip wykonywał. Z perspektywy ucznia nie był w stanie ocenić rozkazów. Nawet, jeśli coś nie wychodziło, zawsze mogło to wynikać albo z jego własnej nieporadności, albo po prostu takie było zamierzenie mistrza, by uczeń doświadczył czegoś nowego, taka inna forma próby, z której należało wyciągnąć wnioski. W tej ostatniej sytuacji jednak Marek był uczniem swego Mistrza, a sam Filip był świadkiem wydania mu polecenia, mógł je samodzielnie zrozumieć, a zatem też ocenić jego wykonanie.

Od tamtej chwili stopniowo coraz mniej obawiał się swego bezpośredniego mistrza. Zaczął dostrzegać coraz więcej jego słabości. Kto jednak wie, jakimi mocami rozporządzał tamten Mistrz? Może umiał jakoś czytać w myślach, albo miał dar jasnowidzenia, czy mentalnego opuszczania ciała? Ponoć potrafił wpływać energetycznie na odległość. Filip był przekonany, głęboko wierzył, że nie oparłby się jego naciskom. Zresztą po ostatnich wydarzeniach nie chciał już nigdy spojrzeć w oczy ani jemu, ani tym bardziej jego żonie.

To musi się zatem stać dziś lub jutro. Świadomość już podjętej decyzji, nieuchronności czynu dawała mu dziwną jasność myślenia. „Na razie zobaczymy jak rozwinie się sytuacja”, pomyślał. Problemem było to, że nie zdążył jeszcze znaleźć żadnego azylu, nikogo, kto mógłby mu pomóc wyjechać.

Gdy wracał z pełną skrzynką buraków zobaczył wychodzących przez bramę Cezarego i Leona ze swymi żonami. Wyjeżdżali? Pewnie mieli odwiedzić rodziców. Wszyscy od czasu do czasu dostawali pozwolenia, aby odwiedzić rodziców. Trzeba było utrzymywać pozory, by się nie domyślili, nie zaczęli dociekać, co tak naprawdę robią „ich dzieci”. Cotygodniowe odwiedziny pozwalały utrzymać poprawne relacje.

Filip zameldował się z Łukaszem Wandzie. Kazała im się zapakować na wyjazd i zrobić porządki z rzeczami, przede wszystkim pochować te, które zostawili gdzieś na wierzchu: drewniaki, kubki ze szczoteczkami, ręczniki, reklamówki. A więc „maskowanie”. Oznaczało to, że spodziewała się gości, „umownych”. To dlatego chłopacy właśnie teraz jechali do miasta. Dom miał sprawiać wrażenie, jakby nikt tu więcej nie mieszkał. Filip zaczął dostrzegać kryjącą się w tym okazję. Pod pozorem sprzątanania i szykowania się do wyjazdu wybrał najniezbędniejsze rzeczy, upakował je w dwie reklamówki. Szykował się jednak do dużo dłuższego „wyjazdu”. Uszykowane bagaże ukrył w garażu, kątem oka dostrzegł, że Łukasz też wychodzi przez bramę w kierunku autobusu, Filip został zatem sam z Wandą, bo Marek gdzieś pojechał. Miał nadzieję, że uda mu się usnąć jakoś jej czujność po wczorajszym...

Wtedy Wanda wezwała Filipa do swego pokoju.

- Wy tłumacz, co to jest. - wskazała na jego Biblię. - Do reszty ci odbiło? Zaraziłeś się chrześcijaństwem od tych twoich prawicowców? - Zadrwiła.

- Nie, - odparł - szukałem fragmentów, które pomogłyby przekazać im nauczanie Mistrza...

- Uzgodniłeś to z kimś? A dlaczego nie przekazałeś tego pisma do Warszawy, przecież to numer ze stycznia!

Zaczęła go przepytować pokazując coraz to nowe rzeczy, które zarekwirowała z jego szafki. Filip zdał sobie jednak sprawę, że nie ma sensu tłumaczyć zgodnie z prawdą, że zbierał te rzeczy z nadgorliwości, aby lepiej realizować swoje zadania, bowiem robił to wszystko bez uzgodnienia, na własną rękę, co było wyrazem nieposłuszeństwa. Przyjął więc inną taktykę. Udał „zablokowanego”. To się zdarzało, gdy uczeń, który sobie zaczął popuszczać znalazł się pod bezpośrednim naciskiem mistrza. Zamiast zachowywać się w sposób autentyczny, „wpadał w pułapkę intelektu” - zaczynał po prostu intensywnie myśleć o tym, co ma powiedzieć i w rezultacie nie mógł powiedzieć niczego. Filip tak właśnie zaczął się zachowywać, doskonale znając ten stan z autopsji, z dawniejszych czasów. Tym samym podsunął Wandzie parę wyjaśnień jego dziwnego zachowania. Ale ona nie ustępowała, najwyraźniej usiłowała przełamać opór Filipa. Mijał kolejny kwadrans przesłuchania, napięcie narastało. Na szczęście w tym momencie przyjechał Marek.

\* \* \*

Filip tylko chwilę się cieszył. Spodziewał się, że Marek przyjedzie z gośćmi, z „umownymi”, przed którymi było maskowanie, tymczasem przyjechał sam. Przynajmniej ta męcząca rozmowa z Wandą się skończyła. Niemniej jednak przez chwilę wpadł w panikę, w jaki sposób teraz uda mu się wydostać z Pracowni? Będzie nadal pod nieustanną kontrolą. Swą panikę ukrył w zaangażowaniu, z jakim rzucił się, by pomóc swemu mistrzowi rozpakowywać samochód. Marek zaś wydawał się być do niego wyjątkowo życzliwie usposobiony. Było jednak widać, że nadal coś podejrzewa.

Wtem rozległ się dźwięk samochodowego klaksonu przed bramą, dźwięk, który w uszach Filipa zabrzmiał jak fanfary tryumfalnej radości: goście jednak przyjechali! Wanda natychmiast kazała mu schować się w garażu, co skwapliwie uczynił. Przez szparę zobaczył, że to przyjechali jej rodzice. Ci mieli jeszcze mniejsze pojęcie o prawdziwej działalności swego zięcia niż rodzice Marka, którzy chociaż czasami widywali chłopaków, „przyjaciół” ich syna.

Filip zobaczył z radością, że zaparkowali samochód na wąskim podjeździe tuż za samochodem Marka. Oznaczało to, że ewentualny „pościg” nie będzie mógł ruszyć, zanim nie wyjadą.

Gdy goście już weszli, a z wnętrza domu zaczął dochodzić wesoły gwar spotkania towarzyskiego Filip sprawdził w swoim notatniku rozkład jazdy autobusów. Najbliższy odjeżdżał do miasta za czterdzieści minut. Miał więc jeszcze sporo czasu. Czekał w podnieceniu zastanawiając się, jak zareagują, gdy nie znajdą go w garażu. Jeśli będzie to przed wyjazdem gości, pomyślą, że wyszedł się gdzieś wysikać (jedyna toaleta znajdowała się w domu). Gdy zorientują się dopiero po wyjeździe gości, mogą pomyśleć, że schował się gdzieś, żeby nie brać udziału w wyjeździe do Warszawy. Chociaż nie, raczej nie posądzą go o takie tchórzostwo, nawet po ostatnich jego przejściach z Pauliną, które by to może nawet tłumaczyły...

Już czas się przebrać. Droga na przystanek zajmie dziesięć minut, autobus może przyjechać nieco wcześniej, więc lepiej się nie ociągać. I tak za mną nie pobiegną. Zdjął robocze spodnie i wrzucił je do jakiejś dziury za jednym z sześciu wysokich, stalowych regałów z towarem stojącym w garażu. „Nigdy więcej” - pomyślał. Włożył spodnie wyjściowe i spojrzał na swój plecak leżący pod ścianą. Nie, nie weźmie go, za szybko by się zorientowali, że prysnął na dobre. Lepiej wziąć reklamówki. Dobrze, że jest już ciepło, nie musi brać tych wszystkich ciepłych ubrań.

Już miał je chwycić, gdy drzwi do garażu się otwarły. Serce podskoczyło mu do gardła. Weszła Wanda, cała rozbawiona spotkaniem z rodzicami.

- Ej, Filip, podaj mi szybko te jajka, tam stoją - wskazała na półkę. Uczynił to skwapliwie, a ona, nadal uśmiechnięta wyszła zamykając za sobą drzwi. Uff, niczego nie zauważyła.

Po chwili delikatnie otworzył drzwi garażowe i przemknął wzdłuż murów domu, aby nikt go nie dostrzegł przez okna. Jak to dobrze, że Marek nie zdążył jeszcze zarządzić robienia płotu między nimi a sąsiadem. Jak to dobrze, że sąsiad miał otwartą bramę... Wystarczy ją przekroczyć...

## Rozdział XI

Michał odstawił na półkę kolejny skoroszyt. Zawierał on wycinki prasowe mozolnie gromadzone przez wolontariuszy pracujących w Dominikańskim Ośrodku Informacji o Nowych Ruchach Religijnych w Krakowie. Przysłali pocztą kopie w zeszłym tygodniu, widać nie chcieli się im szukać na podstawie mglistych pytań Michała, woleli wszystko skserować i wysłać. Dopiero w niedzielę udało się mu wszystko posegregować i umieścić w skoroszytach. Było ich kilka, różnej objętości. Pierwsze dwa zawierały wycinki poświęcone sektom chrześcijańskim, trzeci hinduistycznym, czwarty innym orientalnym, ostatni, który właśnie odkładał, zawierał materiały dotyczące wszystkich innych grup religijnych i parareligijnych, których nie dało się zakwalifikować do pozostałych kategorii. Takie „Archiwum X” Ośrodka. Nic. Nic, co by nasuwało skojarzenie z tajemniczą grupą Jakuba.

Dyżur upływał spokojnie. Był tylko jeden telefon ojca, który przeraził się, że jego syn słucha muzyki havymetalowej. Michał mu powiedział, że on też jej słucha, że jeśli nie jest to muzyka w rodzaju black metalu, czyli ostrego satanistycznego rocka, to nie ma większego zagrożenia.

Niewiele ostatnio było telefonów. Dawno minęła już „prasowa nagonka” na sekty, której apogeum w roku 1995 tak im się dało we znaki, a ta, związana z przełomem tysiącleci, której się spodziewali jakoś się spóźniała. Telefony takie jak ten, kiedy nadgorliwy rodzic doszukiwał się sekty na przykład w jakiejś tajemniczej - dla niego - książce znalezionej u swego dziecka czy w jakimś nowym przyjacielu, zdarzały się dość często. Nazywali je „kontaktem czwartego stopnia”. Co jakiś czas jednak sprawy były nieco trudniejsze: „Jak wyciągnąć ojca ze Świadców Jehowy”, „A syn chyba wstąpił do baptystów”, „W mojej parafii panoszą się zieloni” - czyli zielonoświątkowcy. W tej kwestii musiał przyznać rację Jakubowi: większość sekt działających w regionie była zupełnie nieszkodliwa. No, może nie do końca. Zawsze było to źródłem konfliktów w rodzinie, niepokoju krewnych i przyjaciół. Ale pod tym względem nowe kościoły nie różniły się tak bardzo od starych. Intensywne zaangażowanie religijne zawsze rodzi konflikt między osobą, dla której religia jest drogą życia czy życiem całym, a tymi, dla których jest tylko jednym z elementów życia. Sprawami tymi zajmowała się Sylwia, studentka Kolegium Pracy Socjalnej, specjalizująca się w terapii rodzinnej. Te telefony nazywali „kontaktem trzeciego



stopnia”. Michał zostawiał sobie bardziej kontrowersyjne sekty („kontakty drugiego stopnia”), których na szczęście nie było zbyt wiele w regionie albo ich aktywność była bardzo ograniczona. Nie była to jednak zasługa ich akurat działalności. O ile ośrodek dominikański poprzestawał na informacji, prelekcjach w szkołach, poradnictwie rodzinnym i wsparciu modlitewnym to działająca w mieście Krucjata Obrony przed Sektami stosowała bardziej agresywne metody. Gdy tylko jej członkowie dowiadywali się o jakimś wykładzie, prelekcji, imprezie organizowanych przez jakąś sektę interweniowali u zarządcy ośrodka, a gdy to nie pomogło, u jego przełożonych, aż do władz miasta, policji nie wyłączając. W rezultacie wynajęcie sali na prelekcję poświęconą Upaniszadom, medytacji, wegetarianizmowi graniczyło z cudem. Jedynym wyjściem były spotkania w prywatnych mieszkaniach, gdzie można było łatwiej wyłowić uprawiających wojnę partyzancką członków KOpSu, albo lokale komercyjne, które jednak często nieuczciwie śrubowały ceny.

Michałowi średnio się to podobało. Jako socjolog mógł łatwo przewidzieć skutki takich kampanii. W rezultacie kilka grup musiało znacznie ograniczyć rekrutację, zaczęło „kisić się we własnym sosie”, a sos ten był systematycznie podgrzewany przez kolejne akty agresji KOpSu. Zamiast powiedzieć dziesięciu niefrasobliwych ruchów religijnych jawnie werbujących członków w mieście działało dziesięć zamkniętych, a najczęściej zakonspirowanych ruchów religijnych, przepojonych nienawiścią do otaczającego ich społeczeństwa. Tylko czekać, aż jakiś sfrustrowany guru najzwyczajniej oszaleje, jak to się już raz zdarzyło i zacznie nawoływać do dżihadu albo grozić wysadzeniem Jasnej Góry w powietrze. Przynajmniej podejście ich własnego ośrodka było względnie profesjonalne, a była to zasługa głównie Michała, bo sami dominikanie poruszali się zupełnie po omacku, nie mieli bowiem zupełnie pomysłu na funkcjonowanie centrum. Często też prowadzenie takich ośrodków powierzano zupełnie przypadkowym osobom, których ani to nie interesowało, ani nie byli do tego profesjonalnie przygotowani, ale musieli zgodzić się - na mocy ślubu posłuszeństwa - z decyzją przełożonych.

Michał usiadł w fotelu dla „petentów” - tym wygodniejszym. Starannie wypolerował swoje okulary wyjął z plecaka Biblię. Wiedział, że to niezupełnie zgodne z praktyką Kościoła, ale miał zwyczaj, przejęty zresztą od „braci heretyków” jak żartobliwie określał protestantów, pytania Biblii o radę. Zastanawiał się, czy Kuba dobrze robi wchodząc w tę grupę, zakładając, że mu się to uda. Pomodlił się chwilę o światło Ducha Świętego i otworzył Biblię na chybił trafił. Apokalipsa, no proszę. rozdział trzeci, werset drugi. Stań się czujnym i umocnij resztę, która

miała umrzeć, bo nie znalazłem twych czynów doskonałymi wobec mego Boga. A kolejny werset mówił: Pamiętaj więc, jak wzięłeś i usłyszałeś, strzeż tego i nawróć się! Jeśli więc czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej, i nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie. Fragment wyglądał na dość adekwatny. Wezwanie do czujności w takiej sytuacji było jak najbardziej na miejscu. Reszta, która miała umrzeć, niewątpliwie odnosiła się do Kuby. Na zawarte w wersetach upomnienie Michał w pełni zasłużył, o czym sam wiedział najlepiej. Musi odnowić swą więź z Kościołem. Może w weekend pojechać na małe rekolekcje do pobliskiego opactwa cysterskiego? Panujący tam spokój, praca, modlitwa, zawsze działały na Michała regenerująco.

Rozmyślenia te przerwał telefon. Michał przesiadł się bliżej aparatu i odebrał.

- Halo, Dominikański Ośrodek Informacji o Sektach, słucham?

- Dzień Dobry - powiedział męski głos. Pierwszy sygnał alarmowy: nie przywitał się „Szczęść Boże”, jak zwykła zdecydowana większość telefonujących do ośrodka. Po drugiej stronie słychać było milczenie, widać rozmówca Michała się wahał.

- Słucham, w czym mogę pomóc?

- Szukam pomocy. Właśnie uciekłem z takiej... no... sekty - odpowiedział mężczyzna.

Michałowi dreszcz przeszedł po plecach. Tego dawno nie było.

- Proszę powiedzieć: czy grozi panu jakieś niebezpieczeństwo, czy ktoś panu zagraża?

- Nie bezpośrednio... jakby to powiedzieć...

- Czy może pan przyjechać do naszego ośrodka? Przy klasztorze, wie pan, gdzie to jest?

- Tak, zamierzałem przyjechać, chciałem się tylko upewnić, czy kogoś zastanę - odparł mężczyzna już pewniejszym tonem.

- Będziemy czekać. Przepraszam, mam jeszcze tylko jedno pytanie: co to za sekta?

- Nie mogę mówić przez telefon. Porozmawiamy, jak przyjadę. Będę za pół godziny - powiedział mężczyzna i odłożył słuchawkę.

Michał przez chwilę tępo patrzył w ścianę. Umocnić resztę, która miała umrzeć - czyżby to nie chodziło o Kubę?

Chwycił za słuchawkę i wybrał wewnętrzny 44, do ojca Marcina, dominikanina odpowiedzialnego za ośrodek. Automatyczna sekretarka powiedziała, jego głosem, że jest nieobecny. Michał spojrzał na zegarek - pewnie jest na niesporach. Nagrał na sekretarce następującą wiadomość:

- Mówi Michał. Niech ojciec jak najszybciej przyjdzie do centrum. Mamy kontakt pierwszego stopnia.

\* \* \*

Po piętnastu minutach przybiegł ojciec Marcin, był bardzo podekscytowany. Takie przypadki, gdy można było pomóc osobie bezpośrednio zaangażowanej, zdarzały się wyjątkowo rzadko. Prawdziwe wyzwanie duszpasterskie. A ojciec Marcin nie należał do ludzi, którzy się przed wyzwaniami uchylają. Michał przedstawił ojcu przebieg rozmowy i zaczęli się zastanawiać, o co tu może chodzić. Nieznajomy powiedział wyraźnie, że uciekł, a nie odszedł, co brzmiało niepokojąco. Sugerowało, że może mu grozić niebezpieczeństwo, choć tego wprost nie potwierdził. Nie powiedział co to za grupa, co również wyglądało groźnie. W końcu ojciec przeciął dalsze spekulacje i zarządził odmawianie brewiarza. Okazało się, że był w celi w czasie telefonu Michała. Odmawiał liturgię godzin sam, gdyż jako dominikanin posiadający stopień doktora teologii, nie musiał uczestniczyć w niesporach w chórze. Gdy usłyszał nowinę nagrywającą się na sekretarkę przybiegł jak najszybciej. Teraz mieli trochę czasu. Odmówili przepisany na ten dzień hymn i psalmy, antyfony i prośby, do których ojciec dodał: „Módlmy się za zbłąkanych, szukających i ofiary sekt, aby poznali Twoje światło”.

Wspólna modlitwa pomogła im się skupić przed czekającą ich rozmową. W pewnym momencie ojciec Marcin powiedział:

- Wiesz co, Michale, mam takie przeczucie, że przyda nam się pomoc brata Patryka - powiedział i chwycił za telefon.

Brat Patryk był młodym zakonnikiem, który miał obecnie przerwę w studiach z powodu choroby, dlatego przebywał w tutejszym klasztorze na rekonwalescencji. Do klasztoru przenikały różne nowe duchowości występujące w szerszym Kościele. Brat Patryk od początku, jeszcze w nowicjacie, dał się poznać jako zaangażowany uczestnik ruchu Odnowy Charyzmatycznej. Ten inspirowany przez protestantyzm ruch wewnątrzkościelny posiadał w zakonie licznych zwolenników, zwłaszcza wśród duszpasterzy młodzieżowych, gdyż formy duchowości wypracowane przez niego jakoś dla młodzieży wydawały się najbardziej odpowiednie. Ruch ten budził z drugiej strony nieufność osób odpowiedzialnych, opierał się on bowiem na poważnym traktowaniu fragmentów Dziejów Apostolskich, mówiących o różnych nadprzyrodzonych darach (charyzmatach), które towarzyszyły pierwszym wyznawcom Chrystusa. Tajemnicze proroctwa w obcych językach wypowiedane przez jedną osobę, a tłumaczone przez zupełnie inną, modlitwa w

niezrozumiałych językach, czyli glosolalia, uzdrowienia, cuda, egzorcyzmy, wszystko to było w Odnowie na porządku dziennym.

Tego typu religijność nie mogła się podobać wszelkim kościelnym i zakonnym funkcjonariuszom, którzy traktowali duszpasterstwo jako troskę o systematyczną dystrybucję sakramentów i krzewienie katolickiej moralności. Również w zakonie miała swych przeciwników, choć byli oni mniej wpływowi i głośnie od przeciwników w hierarchii kościelnej. Dopiero zdecydowane poparcie Watykanu i kilku wpływowych biskupów doprowadziło do ustalenia pewnego modus vivendi między charyzmatykami a instytucją. Do jednej z niepisanych reguł należał zakaz demonstrowania tego typu religijności w nowicjacie zakonnym. Brat Patryk często jednak naciągał tę regułę. Widywano go nieraz jak w kaplicy modlił się nad swym współbratem, wyciągając nad nim ręce, w „apostolskim geście” wstawienniczym. Na kolejnych latach studiów, kiedy charyzmatycy mogli się już „ujawnić” i wspólnie modlić, dał się poznać jako osoba obdarzona wyjątkowym darem prorocstwa i rozeznawania duchów. Prorocstwa te oczywiście polegały nie tyle na przepowiadaniu przyszłości, co na komunikowaniu przesłania od Boga.

Ojciec Marcin poznał go kiedyś, gdy prowadził rekolekcje dla młodych zakonników. Patryk zgłosił się po nich do niego do spowiedzi. Od tego czasu stał się dla Patryka kimś w rodzaju przewodnika duchowego. Z drugiej strony, kiedy zaszła potrzeba Patryk służył, czy jak to się mówiło, posługiwał, swymi nadprzyrodzonymi darami.

Michał sam nie wiedział, co o tym do końca myśleć. Często „prorocstwa” wygłaszane przez Patryka były zadziwiająco trafne, rozjaśniały zawiłane sprawy, wyciągały ukryte, nieoczyszczone problemy z zakamarków duszy. Z drugiej jednak strony, czasami były tak niejednoznaczne, zawierające jakąś dziwną symbolikę, która niczego nie wyjaśniała, że wprowadzały więcej zamętu niż jasności a, jak powiada Mądra Księża, Bóg nie jest Bogiem nieporządku, ale pokoju. Nie był przekonany, czy słowa Patryka zawsze wprowadzają pokój. Michał zresztą nie potrafiłby powiedzieć, gdzie tu się kończy charyzmat, a zaczyna „zwykłe” jasnowidzenie. „Cóż, nie mi to rozstrzygać” - stwierdził ostatecznie.

Razem z Patrykiem stanowili jednak zgrany zespół. Raz nawet dokonali wspólnie udanego egzorcyzmu, czego konsekwencją była ostra reprimenda od biskupa i prowincjała zakonu. Egzorcyzmów, czyli wyrzucania w imieniu Kościoła diabła z człowieka opętanego, można bowiem dokonywać tylko za osobistą zgodą biskupa miejsca. Im jednak sytuacja

wymknęła się spod kontroli. Człowiek, który do nich przyszedł prosił tylko o modlitwę wstawienniczą, a dopiero w jej trakcie okazało się, że jest autentycznie opętany. Jego krzyki zaalarmowały cały klasztor. W zasadzie powinni przerwać. Przeprowadzić szczegółowe dochodzenie, wezwać psychiatrę, który by wykluczył zaburzenia psychiczne czy inne naturalne powody niecodziennego zachowania, wystąpić do biskupa o zgodę na przeprowadzenie egzorcyzmów i czekać na wyznaczenie przez niego odpowiedniego kapłana. Wydawało się jednak, że zagrożone jest życie tego człowieka. Poszli więc na całość i w rezultacie istnienie ośrodka stało pod znakiem zapytania. W zasadzie tylko fakt, że człowiek ten gorliwie wstawiał się u wszelkich możliwych władz kościelnych, łącznie z dykasteriami watykańskimi, uratował im skórę. Nie bez znaczenia było też to, że człowiek ów okazał się krewnym jednego z wysokich urzędników kościelnych. Na szczęście też nie był to przypadek bezpośrednio podpadający pod kompetencje ośrodka, po prostu osoba, która zbyt gorliwie zabawiała się w praktyki spirytystyczne. Dzięki temu ojcu Marcinowi udało się ochronić Centrum. W końcu, po długich bojach, obietnicach „nigdy więcej”, rekolekcjach, pokutach udało się sprawę załagodzić. Od tego czasu nawet zwykle modlitwy wstawiennicze o uwolnienie od wpływu złego ducha, zwane przez niektórych „małymi egzorcyzmami”, stosowali ostrożnie i to tylko wtedy, kiedy mieli pewność, że przypadek nie podpada pod possessio, opętanie, ale tylko pod obsessio, czyli nękanie przez złego ducha.

Rozległo się pukanie, jednak nie był to brat Patryk. Do pokoju z wahaniem wszedł niewysoki, młody mężczyzna o krępej budowie ciała, niewiele młodszy od Michała. Miał krótkie, kruczoczarne włosy i lekko odstające uszy. Był bardzo spięty, sprawiał wrażenie zdeorientowanego, ale i zdeterminowanego. Rzut oka wystarczył ojcu Marcinowi, by upewnić się, że bez modlitwy wstawienniczej się nie obędzie. Postanowił jednak poczekać z tym na brata Patryka. Zaczęli rozmowę, chcąc się najpierw dowiedzieć, z kim mają do czynienia. Problem w tym, że delikwent mówił bardzo niechętnie i niejasno. Chciał przede wszystkim pomocy w ucieczce do innego miasta. W pewnym momencie ojciec Marcin nieco się zniecierpliwił i powiedział:

- Wiesz, żebyśmy mogli ci jakoś pomóc, musimy wiedzieć, o co chodzi. Tymczasem, szczerze mówiąc, nie budzisz naszego zaufania, skąd mamy wiedzieć czy nas nie oszukujesz? Nie podałeś nawet nazwy tej sekty. A właściwie nawet się nie przedstawiłeś.

- Na imię mam Filip - powiedział przybysz z wyrazem udręczenia na twarzy - A nie podałem nazwy tej... sekty, bo ona nie ma nazwy.

A to co za dziwo, pomyślał Michał, nie ma nazwy? Przecież nazwa stanowi podstawowy środek integracji, identyfikacji, budowania opozycji my - oni. Ten facet coś kręci.

- A dlaczego nie ma nazwy?

- Jest to organizacja ściśle tajna, a nazwa ułatwiałaby identyfikację. Gdy coś nie ma nazwy...

- To trudno to w ogóle dostrzec - zgodził się Michał, przypominając sobie nacisk, jaki Śliwiński kładł na budowanie precyzyjnych kategorii i pojęć „jeśli będziecie posługiwali się zbyt topornymi narzędziami poznawczymi, to nawet nie dostrzeżecie tych bardziej subtelnych zjawisk”. - Ale dlaczego ta grupa nie chce być dostrzeżona?

- Bo najskuteczniejsza jest władza ukryta - widać było, że ten Filip, jeśli tak się naprawdę nazywa, opłacał zdradzanie tych „sekretów” sporym wysiłkiem. Widać, musiał być poddany długotrwałemu programowaniu - pomyślał Michał.

- Czyli grupie tej chodzi o władzę? - Zapytał ojciec Marcin - To może to wcale nie jest sekta religijna?

- Jest - widać było, że przybyszowi bardzo zależy, żeby uznali ją za taką.

- No to jakie poglądy religijne wyznaje? - zapytał ojciec Marcin.

- To taka mieszanka sufizmu, jogi, taoizmu... Ale podstawą był Bô Yin Râ.

- Co? Kto? - Nikt z obecnych nigdy nie słyszał tej nazwy czy nazwiska.

- To taki mistyk... mistrz rozwoju duchowego, napisał kilkadziesiąt książek...

Michał dochodził do wniosku, że religioznawczą rozbiórkę zawartości mózgu Filipa lepiej będzie odłożyć na przyszłość. Jednak ojciec Marcin był tym widocznie bardziej zainteresowany.

- Czy wierzą w Boga? - zapytał.

- Tak.

- Czy modlą się jakoś do Niego?

Pytanie to sprawiło Filipowi pewien kłopot.

- Bóg ma inne sprawy niż zajmowanie się losami poszczególnych ludzi. Nad ziemią czuwa Świetlista Loża. Kiedyś mistrz powiedział, że dobrze byśmy codziennie mówili Ojcie

nasz, ja od tego czasu mówię, ale nie jest to jakoś szczególnie sprawdzane. Naszą modlitwą jest taolu, kata.

Nie wiedzieli zupełnie jak ugryźć to co powiedział.

- Ojcie nasz?- zapytał ojciec Marcin.

- taolu? Kata? - zapytał Michał.

- Kata to taka forma treningu praktykowana w sztukach walki, my uprawialiśmy kungfu, to taki układ określonych ruchów, ciosów, bloków, kopnięć... Gdy jest wykonane z pełnym zaangażowaniem, to jest modlitwą.

- Powiedziałeś, że odmawiałeś Ojcie nasz. To jest modlitwa chrześcijańska, czy wierzyliście w Jezusa Chrystusa? - zapytał ojciec.

- Jezus jest jednym z wielkich mistrzów ludzkości, członkiem Świetlistej Łoży, ale nie jest Bogiem.

Mina ojca Marcina nie wyrażała bynajmniej pełnego zrozumienia doktryny tajemniczej sekty. Najgorsze było to, że ów Filip zdawał się nadal wierzyć w tę doktrynę. Zazwyczaj, gdy ktoś odchodził z sekty to dlatego, że doszedł do wniosku, iż jej doktryna jest stekiem bzdur. To bardzo ułatwiało postępowanie. Tutaj sytuacja była trudniejsza - jak pomóc komuś, kto ciągle jest przywiązany do tego, co go zniewala? Dobrze, że wezwał Patryka.

- Wspomniałeś o jakimś mistrzu, czy to przywódca tej sekty? - zapytał Michał przerywając milczenie.

- Nie, przywódcą jest jego mistrz - tutaj trudności z wysławianiem wyraźnie zaczęły się nasilać u uciekiniera. ...to Mesjasz... on... mówiono o nim...

- Jak się nazywa? - Spytał Michał. Jakże pragnął, aby się okazało, że to Sun Myung Moon, albo Sai Baba, albo choćby Kacmajor...

- Daniel Drzewiecki - wybąkał Filip.

Nigdy nie słyszeli tego nazwiska.

\* \* \*

Filip był już u kresu wytrzymałości. Każde kolejne jego słowo było paleniem mostów za sobą. Właśnie dopełniał zdrady. Jednocześnie nic nie wskazywało na to, że przybliża go to do celu. Do tego, co, gdyby potrafił użyć tego słowa, nazwałby wolnością.

Początkowo nie chciał powiedzieć wszystkiego, jedynie tyle, żeby ich przekonać, że to sekta. Nie chciał jednak podawać nazwisk, adresów, nazw firm, które umożliwiłyby konkretną

identyfikację. Naszkicował im cały światopogląd, praktyki budzenia energii, reguły panujące we Wspólnocie, wszystko, czego chcieli. Ale im to nie wystarczyło. Mówili wprost, że mu nie ufają. A co gorsza, ten drugi, młody zakonnik, który przyszedł później i nic nie mówiąc, tylko spoglądał na niego z kąta celi, jakby wszystko już wiedział...

Gdy ten starszy zakonnik zapytał go „co widzi”, powiedział, że widzi ciemność wokół głowy Filipa. Jakiś jasnowidz? Ale Filip czuł tę ciemność. Czuł jakby ołowiany hełm miażdżący mu głowę. Nie potrafił tego wyjaśnić i napawało go to przerażeniem. Jakieś niematerialne moce dawały mu odczuć swoją nad nim władzę. Odbierał to jako cichą groźbę.

Ale jakby im na przekór postąpił krok dalej: zaczął „sypać” szczegółami, nazwiskami, nazwami. Czy tak czuł się Judasz, gdy paktował z arcykapłanami? Brutus czy Kasjusz, kiedy spiskowali przeciwko swemu Wodzowi? Ołowiany hełm jakby przybierał na wadze. Co to jest do cholery? Co się ze mną dzieje? Muszę to wytrzymać...

- Przykro mi, ale nadal ci nie ufamy - mówili smutnym głosem - Wiesz, coś jest w twoim zachowaniu, coś kłamliwego, jakbyś był gdzieś indziej. Jakbyś nie mówił prosto z serca.

Co ma zrobić? Co jeszcze powiedzieć? Jak dowieść swej szczerości? A czy tak naprawdę był szczery? Zaproponowali, aby w dowód czystych intencji zademonstrował im zawartość swoich kieszeni. Śmieszne. Wypróżnił je przed nimi tak jak wcześniej duszę. Śmieszne.

Ojciec Marcin spojrzał pytająco na tego młodego braciszka, ale on nie miał wesołej miny, widział ciemność spowijającą Filipa.

- Wiesz, mam propozycję - zwrócił się z kolei do Filipa - mówiłeś, że wierzysz w Boga. Proponuję, żebyśmy się teraz wspólnie pomodlili. Możesz się modlić tak jak potrafisz, my to będziemy robili po swojemu.

Filip przystał i na to, próbował się modlić, ale mógł tylko klepać swoje Ojczy nasz. Oni modlili się jakoś inaczej. To nie były żadne konkretne modlitwy, po prostu mówili na głos to, co chcieli powiedzieć, zwracając się wprost do Boga. Modlili się za niego, za Filipa. O światło Ducha Świętego, o coś tam jeszcze...

Gdy skończyli, ojciec Marcin ponownie zwrócił się do tego „jasnowidza”.

- Widzę dwóch mężczyzn. Jeden młodszy drugi starszy, nie widzę twarzy, stoją do mnie plecami. Teraz zanoszą się śmiechem, tak śmieją się...

Nikt nie rozumiał, co miała znaczyć ta wizja. Filip wiedział. Wiedział, kto się z niego śmiał, z jego daremnych, żalonych prób uwolnienia się, zerwania więzi z mistrzami. Oni mnie



widzą. Oni wiedzą. Przybyli tu w jakiejś astralnej formie. Napięcie wokół jego głowy tężało do niemożliwości. Czuł, że oszaleje z bezsilności, z przerażenia, z beznadziei.

Ten świecki wypytywał go jeszcze. Zapytał, czy byli też jacyś ludzie niżej w hierarchii. Filip opowiedział o sekcji Olka.

W tym momencie ten świecki wyraźnie się ożywił, jakby go znał. Wręcz wstał na chwilę wzburzony. Filip był zaskoczony jego gwałtowną reakcją. Było to dla niego niezrozumiałe. W swojej naiwności wierzył, że gdy ktoś raz spotkał się ze Wspólnotą, to jedyną możliwą reakcją zrozumiałą dla Filipa było albo zaakceptowanie jej przesłania albo uznanie, że się samemu do Wspólnoty nie dojrzało. Przecież prawda tych nauk była porażająca, jednoznaczna, logiczna i konsekwentna. Tymczasem ten Michał najwyraźniej spotkał się z członkiem Wspólnoty i ocenił ją jednoznacznie negatywnie! Jak to możliwe? Przez chwilę odrobinę zachwiało to jego pewnością, wiarą w nauki Mistrza. Zaczynał nie wiedzieć już nic. Przystawał być pewnym czegokolwiek.

Ojciec Marcin był już bardzo zmęczony, jego mina zdradzała rezygnację. To trwało już chyba cztery godziny.

- Nie wiem, co byśmy mogli jeszcze zrobić, jak ci pomóc - powiedział. - Myślę, że na dzisiaj już skończymy...

Filip załamany ukrył tylko twarz w dłoniach. Wszystko na nic. Judasz nie dostanie srebrników. Nie ma schronienia. Ich moc go dopadnie. Wszystko skończone. Żadnego ratunku. Nie wyrwie się z kajdan.

-... proponuję, żebyśmy się jeszcze ostatni raz pomodlili - zakończył zakonnik.

Ostatnia szansa. Filip postawił wszystko na jedną kartę. Nie wiedział już nic. Niczego nie rozumiał. Gdzie jest dobro, a gdzie zło? Czy aby rzeczywiście służąc dotąd mistrzom, służył Bogu? Czego Bóg od niego tak naprawdę chce? Podjął decyzję, zwrócić się z tym problemem bezpośrednio do Boga, tak jak to czynił ten zakonnik. Niech się dzieje, co chce, co On chce. „Jeśli Daniel ma rację - modlił się - każ mi tam wrócić, jeśli zaś nie ma - uwolnij mnie od niego”.

Ojciec Marcin modlił się na głos. Filip słuchał i nie wiedział, kto zakonnikowi podpowiadał te modlitwy, ale każde słowo trafiało bezbłędnie, odnosiło się wprost i bezpośrednio do Filipa. To musiało być jakieś natchnienie. Filip poddał się słowom płynącym z ust ojca, słowom o uwolnieniu od dumy, lęku, pychy...

Modlitwa umilkła.

Filip podniósł oczy, miał w nich łzy. Zobaczył, że wszyscy się uśmiechają.

Przemiana się dopełniła.

Wszystko się zmieniło.

## Rozdział XII

Śliwiński wyjął plik zadrukowanych kartek i ułożył go przed sobą na biurku. Odstawił na stojak fajkę, która właśnie zgasła i przetarł swoje rogowe okulary.

- Przeczytałem pierwszy rozdział - zwrócił się do siedzącego przez nim Jakuba. - Z historycznego punktu widzenia w zasadzie jest bez zarzutu, znajdzie tam pan kilka tylko uwag na marginesach. Ale musiałby pan go trochę „socjologizować”. Po pierwsze, uwzględnić współczynnik zróżnicowania społecznego. Co za ludzie stają się członkami łóż a jacy nie mają żadnych na to szans. Czy ich położenie klasowe w jakiś sposób wpływa na ideologię masonską, czy też odwrotnie, i tak dalej.

- O tym chciałbym pisać w drugim rozdziale - wtrącił Jakub.

- Hmm. Zastanawiam się, czy to dobry pomysł. To oczywiście łatwiejsze, zacząć od historii i przejść potem do analizy socjologicznej. Sądzę jednak, że powinien pan od początku do końca być socjologiem, nawet pisząc o historii.

Jak zwykle Śliwiński nie pozwalał na łatwiznę, zmuszał do porzucenia własnych koncepcji i wspięcie się na wyższy poziom umiejętności naukowej. Zaczynanie od nowa było bolesne, ale Jakub czuł, że profesor ma rację, że gdy postąpi zgodnie z jego wskazówkami, choć jeszcze nie miał pomysłu w jaki sposób, praca będzie lepsza.

- W ogóle, powinien pan zacząć od szkicowego konspektu całości - ciągnął Śliwiński. - To oczywiście wszystko się będzie jeszcze zmieniać, tak że niech się pan nie przywiązuje do swoich pomysłów, ale dobrze mieć jakieś pojęcie o całym lesie, zanim się wejdzie między drzewa. O czym pan zamierza jeszcze pisać w swojej pracy?

Jakub spodziewał się tego pytania. Jadąc autobusem na spotkanie, naszkicował sobie nawet pewien plan przyszłej pracy.

- Szczególnie interesuje mnie rola tajemnicy w masonerii jako grupie czy instytucji społecznej.

- O, to może być interesujące. Oczywiście powinien pan zacząć od Georga Simmla, napisał znakomity esej o roli tajemnicy, tajności w życiu społecznym.

Jakub skrzętnie zanotował tę wskazówkę.

- Powinien pan może zacząć od szerszego spojrzenia, generalnie o roli tajemnicy w organizacjach społecznych i religijnych w historii.

- Czyli miałbym poszerzyć ten wstęp historyczny...?

- Ale od razu ten materiał poddawać analizie socjologicznej. Może warto wyjść od etnografów czy socjologów ewolucjonistów. Durkheim coś tam pisał o tajemnicy jako jednym ze sposobów oddzielania sacrum od profanum. Niech pan zajrzy też do Znanieckiego i jego eseju o obcości. Eliade napisał książkę o tajnych stowarzyszeniach, znajdzie pan tam trochę materiału empirycznego. Czyli to byłoby najpierw. A co potem?

- Drugi rozdział chciałem poświęcić roli tajemnicy konkretnie w masonerii. I tu zacząć od analizy mikrosocjologicznej, czyli pokazać jakie znaczenie ma tajemnica jako źródło dodatkowej atrakcyjności dla członków łóż. Potem też rola tajemnicy w relacjach masonerii z otoczeniem społecznym.

- „Otoczeniem społecznym”? Gdzie się pan zaraził tym cybernetycznym językiem? - Śliwiński pokręcił z niezadowoleniem głową. Nie lubił cybernetyki, socjologii cybernetycznej, zwłaszcza w formach obecnie spotykanych na zachodnich uniwersytetach. Uważał, że pod pseudonaukowym slangiem sprzedaje w zasadzie zdroworoządkowe banały. - A co planuje pan w dalszych rozdziałach?

- Metody zaprowadzania i strzeżenia tajemnicy w masonerii - odpowiedział Jakub.

- Może lepiej, żeby to był drugi rozdział, a tamten jako trzeci - rzucił profesor.

- Myślałem też o rozdziale, na temat metod socjologicznego wyjawiania tajemnicy.

- Zobaczymy, na razie niech pan robi swoje, potem pomyślimy nad metodologią - stwierdził Śliwiński, który miał bardzo sceptyczny stosunek do metodologicznego rygoryzmu i podporządkowywaniu autentycznych poszukiwań badawczych żywą ciekawością wymysłom metodologów. Socjologia niestety zaraziła się tym chyba od filozofii: za dużo zastanawiania się nad problemem jak zachodzi proces poznawczy, a za mało wartościowego poznawania. Jakub doskonale to rozumiał, pamiętał, że Śliwiński poświęcił parę tygodni temu pół wykładu na ten temat.

- Nie chodzi mi o to... Nie chodzi mi o metodologię mojej pracy, ale o sposoby, narzędzia przy pomocy których socjolog mógłby docierać do tego, co tajne. Albo inaczej - o roli tajemnicy w socjologii, w badaniach socjologicznych... - Nie wiedział za bardzo jak wyrazić to, o co mu

chodziło. - Zresztą mniejsza o to, jeszcze sam za bardzo nie wiem, co by to mogło być. Tak mi się wydawało, że to mogłoby być ciekawe.

- Dobrze, zobaczymy. Tutaj ma pan swój rozdział - powiedział Śliwiński, podając Jakubowi plik kartek - Zdąży pan poprawić przed wakacjami?

- Postaram się.

Gdy potem Jakub przejrzał swój wydruk, zorientował się, że tych uwag ani nie jest trochę, ani nie są drobne. Często jedna „drobna” uwaga wymagała od niego przeczytania kolejnej książki. Teraz jednak nic o tym jeszcze nie wiedział, więc nawet się ucieszył. Z rozmów z kolegami wiedział, że promotor, który czyta przedkładane mu prace, to istny skarb. Niektórzy profesorowie, którzy przyjmowali też studentów zaocznych, promowali ponad dwadzieścia prac magisterskich w ciągu roku. Dobrze, jeśli choć raz je przejrzeni pod kątem formalnych wymogów.

- A jak tam pana obserwacja uczestnicząca? - spytał Śliwiński, zmieniając temat.

- Jest pewien postęp - odpowiedział Jakub. - W sobotę ponownie spotkam się z mistrzem Olka. Jedziemy tam całą grupą, ale wygląda na to, że tylko ja wiem, kim on naprawdę dla niego jest. Olek powiedział, żebym to zachował dla siebie.

- Dzień dobry pani Moniko - profesor przywitał wchodzącą seminarzystkę, po czym znowu skupił uwagę na Jakubie. - Proszę bardzo uważać, każdy szczegół może być wskazówką. Witam panie Michale - Michał właśnie się przywitał i usiadł, usiłując wyregulować oddech. - W każdym razie mamy już pewność, że jest to grupa złożona, a nie prosta.

- Złożona?, prosta? To jakieś terminy socjologiczne? - Spytała Monika, od niedawna wtajemniczana w badania Kuby.

- To ze Spencera - wyjaśnił Michał z zarozumiałą miną, czyszcząc swe okulary. - Grupa prosta to taka, która składa się z przywódcy i członków, czyli guru i uczniowie. Złożona składa się z grup prostych, gdy ci uczniowie stają się mistrzami i mają własne grupy. Ale ta grupa jest podwójnie albo nawet potrójnie złożona - dodał Michał.

- Co? - Jakub był równie zaskoczony jak profesor, nie tyle tym co Michał powiedział, ale jak: to nie było przypuszczenie, hipoteza, on coś wiedział!

- Mamy „eksa” - powiedział z szerokim uśmiechem, gdy Jakub już się uspokoił i przerwał swą kanonadę pytań.

- Były członek! - ucieszył się Śliwiński.

- To ktoś, kogo znam? Uczeń Olka? - dopytywał się podekscytowany Jakub.

- Nie, ktoś wyżej, z tego samego poziomu co Olek, choć mniejszej rangi.

- Niech pan opowie po kolei - Śliwiński postanowił okiełznać jakoś rozbudzone emocje swych studentów.

- Przyszedł do nas, do ośrodka, wczoraj wieczorem. Na imię ma Filip. Oczekiwał pomocy w ucieczce stamtąd.

- Ucieczce? - spytała Monika.

- Grozili mu? - Jakubowi to nie pasowało, dlaczego niby ktoś miałby stamtąd uciekać?

- Dla nas też to nie było jasne. Okazało się, że był po prostu niezwykle silnie uzależniony psychicznie. To niesamowite, on był tam prawie dziewięć lat, począwszy od dwunastego roku życia! Wyobrażacie sobie?

- Szok - powiedziała Monika. - Bał się, że jak się z nimi spotka ponownie, namówią go do powrotu. Stosują potężne psychotechniki zniewalania.

- Zatem ta grupa nie powstała wczoraj, ale działa przynajmniej od dziewięciu lat. Czego jeszcze się pan dowiedział? - zapytał Śliwiński.

- Organizacja ma przynajmniej dwa piony - zaczął podchodząc do tablicy i chwytając za kredę - jeden ekonomiczny, składający się z kilku współpracujących firm, dostarczają środków materialnych. Drugi pion ma za zadanie szkolenie ludzi i umieszczanie ich w charakterze agentów wpływu w różnych organizacjach, głównie ekologicznych, prozdrowotnych, ale też trochę poważniejszych fundacji - jego bazgroły niewiele niestety wyjaśniały. - Niestety, przepływ informacji jest bardzo ograniczony. Gdy ktoś należy do jednego pionu, ma bardzo nikłe pojęcie o działalności drugiego.

- W którym pionie był ten Filip?

- W tym drugim, zaczęli go już wysyłać do zadań.

- Dopiero po dziewięciu latach szkolenia? - zdziwił się Jakub. Była to wyjątkowo ciemna perspektywa, jeśli chodzi o jego badania. - Nawet chyba szkolenie szpiegów tyle nie trwa.

- Wiesz, on był za młody...

- Początkowo zapewne on nie tyle był szkolony, co wychowywany - Zauważył Śliwiński, uświadamiając sobie, że musi mieć obecnie dopiero około dwudziestu jeden lat. - Niech pan powie, jaki jest cel tej organizacji?

- Jak większości sekt, ratowanie świata przed zagładą - odpowiedział Michał, poczuł jednak zaraz, że to za duże uproszczenie. - Trudno powiedzieć, jestem dopiero po pierwszej rozmowie z nim. Ale ewidentnie chodzi im o wywieranie wpływu na społeczeństwo. Myślę, że chcą władzy.

- Czy to w ogóle organizacja religijna, czy polityczna? - spytała Monika.

- Jedno i drugie. Jak w każdym mesjanizmie - zmienić tą rzeczywistość w imię tamtej. Opierają się na naukach jakiegoś Bojingra, czy jakoś tak.

- Bô Yin Râ! - wykrzyknął Śliwiński, tak że studenci spojrzeli na niego zaskoczeni. - Tak, Księga o szczęściu, dlaczego wcześniej nie skojarzyłem.

- Wie pan profesor co to za grupa? - zapytał Jakub.

- Nie, nie wiem, ale teraz jasne są dla mnie te teksty piosenek. Stąd biorą swą metafizykę. Bô Yin Râ to wbrew pozorom Europejczyk, Austriak, którego właściwe nazwisko to Joseph Anton Schneiderfranken. Był malarzem, a poza tym napisał ponad czterdzieści książek o rozwoju duchowym. Zmarł około roku 1940, chyba w Zgorzelcu. To pewna odmiana ezoteryki. Trochę w stylu, jeśli wam coś to mówi, Rudolfa Steinera, albo Jakuba Böhme'a, który zresztą też koło Zgorzelca się urodził.

- Przed wojną modne były różnego rodzaju formy okultyzmu, spirytyzmu - przypomniał sobie Michał. - Czy to coś w tym stylu?

- Bô Yin Râ potępiał okultyzm i spirytyzm, ale zgadza się, to atmosfera tamtych lat, ten język... Pewne wpływy orientu... Szczerze mówiąc, trudno powiedzieć, jaka to konkretnie tradycja. Pisał coś o ponadreligijnej wspólnotie wtajemniczonych, do której mieli należeć między innymi Laotsy i Jezus. Powinniście go trochę poczytać, choć kilka książek, żeby zorientować się o co chodzi.

- Czy pan profesor ma jakieś jego książki? - zapytał Jakub.

- Nie, ale w większości uniwersyteckich bibliotek w Polsce znajdziecie jakieś. Było w Polsce kilku jego gorących zwolenników, którzy przed wojną zetknęli się z jego myślą, może nawet znali go osobiście. Przetłumaczyli właściwie wszystkie jego książki, wydawano je na powielaczach i rozsyłano po bibliotekach.

- Może guru tej sekty to jeden z nich? - Zastanowił się Michał.

- Guru?

- Nad Olkiem i Markiem jest jeszcze ktoś, mianowicie sam Wielki Guru, mesjasz, szef całej organizacji.

- Jak się nazywa? - Zapytał profesor.

- Daniel Drzewiecki. Niestety nie mamy takiego w kartotece ośrodka.

- Żaden z tłumaczy tak się nie nazywał. Zresztą podejrzewam, że wszyscy pomarli. Dzisiaj musieliby to być bardzo starzy ludzie. To może być co najwyżej uczeń któregoś z nich. Ale jak oni łączą Bô Yin Râ z polityką? - Zastanowił się. - To rzeczywiście fenomen. Tam nawet specjalnie nie ma czegoś takiego jak relacja mistrzuczeń.

- To na czym to polega?

- Kiedyś, wędrując po górach, spotkałem jednego człowieka, który się w tym zaczytywał...

- Chciał pana nawrócić? - zaśmiał się Michał, ale natychmiast zorientował się, że otarł się o nietakt.

- Nie, to raczej ja go nagabywałem. On sam uważał, że na Bô Yin Râ nie można nikogo nawrócić, do tego trzeba poprostu dojrzeć, a niewidzialni mistrzowie sami włożą nam te książki do ręki, posługując się tak zwanym „przypadkiem”. Bo w gruncie rzeczy, przynajmniej tak on to przedstawiał, polega to właśnie na czytaniu książek i pozwoleniu, by czytelnika przenikała ich atmosfera. Same te książki właśnie mają wywoływać wewnętrzną przemianę, nawet nie na poziomie treści, ale jakimś wewnętrznym, tak mi to jakoś tłumaczył.

- Czyli one oddziałują na zasadzie mantry? - zapytał Jakub.

- Trudno powiedzieć, chyba trochę na tej zasadzie.

- Czyli forma indukowania transu autohipnotycznego, który zwiększa podatność na sugestie grupy - wpadł w słowo Michał.

- Nie, zupełnie nie tak, panie Michale. - To aż cud, że profesor się jeszcze nie zniecierpliwiał - Raczej delikatne oddziaływanie na podświadomość, czy jakby może powiedzieli ezoterycy, na głębię ducha, co nie zawsze oznacza wycofanie rozumu, jak w ekstazie. To przypomina raczej wpływ muzyki na psychikę. Czytał pan o tym, iż ponoć Mozart słuchany w życiu płodowym owocuje wyższym współczynnikiem inteligencji? Oddziaływanie struktury muzyki na struktury neuronów. To coś na tej zasadzie, jak sądzę. - Profesor zamyślił się i postanowił skierować rozmowę na główny temat. - I powiada pan, nie wiem, czy się przesłyszałem, że uważa się za mesjasza?



- Tak. Ale wywodził to raczej z Mickiewicza niż ze Starego Testamentu. Do tego są strasznie cięci na używki. Ćwiczą jogę, sztuki walki i generalnie dbają o zdrowie aż do przesady.

- A, to ciekawe. Coś mi to przypomina. Abstynencja, joga, mesjanizm romantyczny... Słyszeli panowie o Eleusis?

- Nie. - odpowiedzieli z wyraźnym zaciekawieniem.

- To bardzo stara historia, ale może gdzieś tam są korzenie naszego guru. Eleusis zostało założone jeszcze pod zaborami przez Wincentego Lutosławskiego, tego filozofa, który ustalił chronologię dzieł Platona. Lutosławski cierpiał na jakąś poważną chorobę, z której wyleczył się przy pomocy jogi. Możecie o tym poczytać sobie u Williama Jamesa, w Doświadczeniu religijnym, gdzie zamieszcza jego relację. Założył potem stowarzyszenie o nazwie Eleusis, gdzie joga miała być środkiem do wyzwolenia moralnego narodu, przede wszystkim z alkoholizmu, a potem też wyzwolenia politycznego. Co charakterystyczne, bardzo poważnie traktowali naszych wieszczów.

- A więc mamy trzy elementy, joga, mesjanizm i działania na rzecz ozdrowienia narodu. A czy była to organizacja tajna?

- Podejrzewam, że z konieczności nie do końca jawna. W końcu chodziło jej o wyzwolenie narodu, a działali pod zaborami. Zresztą byli bardzo życzliwie nastawieni do katolicyzmu, właściwie przejmowali chrystianizm, może z małymi modyfikacjami, jak reinkarnacja. Ale choć nie do końca poprawnie wierzący, byli gorliwymi praktykami. Codzienna komunia miała ich chronić przed niebezpieczeństwami kryjącymi się w jodze, jak pisał Lutosławski, „przed zamachami diabłów indyjskich”.

- Chyba spotkałem kogoś takiego, taki stary jogin, - wtrącił Jakub - ciągle mówił o Jezusie jako mistrzu i zabezpieczeniu przed pobłędzeniem na manowce. Ale on nic nie wiedział. Może, gdybym mu przytoczył nazwisko. Zadzwońię do niego jeszcze raz.

- Tak, to może być właściwy trop, zwłaszcza że od Eleusis dość blisko do środowiska tłumaczy Bô Yin Râ, tak mi się wydaje. Oni również trzymali się z dala od wszystkich tych teozofii, antropozofii czy okultyzmów.

Chwilę milczenia, która potem nastąpiła przerwał ponownie Michał.

- Proponuję, żebyśmy się spotkali z Filipem, ja i Kuba, może niezupełnie w najbliższym czasie, musi dojść do siebie, ale w przyszłości. Sądzę, że będzie chętny do współpracy. Nie

wiedziałem, że to nasi znajomi, może bym zaczął nagrywać. Chociaż, z drugiej strony, to nie był dobry moment.

- A jak jego ucieczka? Jak się w ogóle czuje?

- Już dobrze. My inkwizytorzy, mamy swoje sposoby - Powiedział Michał z tajemniczym uśmiechem.

- Nawróciliście go?! Nie wierzę! Udało wam się go zdeprogramować?! - zadziwił się Jakub.

- Tym razem nie musieliśmy, Duch Święty to załatwił. Wystarczyło, że się pomodlił.

- Co??

- Nieważne, nie zrozumiesz. W każdym razie nie przekonywaliśmy go do niczego. Ale jest już spokojny.

\* \* \*

Umówili się jeszcze ze Śliwińskim co do programu kolejnych seminariów i ruszyli w stronę przystanku tramwajowego.

- Słuchaj Michał - zapytał Jakub, zmieniając temat - czy ty naprawdę ufasz temu Filipowi?

- Najzupełniej. Facet się nawrócił, to widać, tego nie można zagrać.

- Czyżby?

- Tak. Wiesz, są pewne dary duchowe, udzielane przez Boga niektórym ludziom. Jednym z nich jest dar rozeznawania duchów. Ktoś taki potrafi rozeznaczyć stan duchowy danego delikwenta. A więc mam potwierdzenie od kogoś takiego. Zresztą to było widać gołym okiem, musiałbyś go widzieć przedtem, słyszeć jak mówił. Jakby wszystko wychodziło z jego mózgu, trafiało do jakiegoś bufora, zanim dostawało się do ust. Teraz jest zupełnie inaczej.

- Czy sądzisz, że oni będą jeszcze z nim rozmawiać?

- Możliwe. Do czego zmierzasz?

- Zastanawiam się, czy powinien wiedzieć o moich badaniach. Czy będzie potrafił dochować przed nimi tajemnicy, czy nie może im się udać ponownie go ściągnąć.

- Hmm, sądzę, że przynajmniej na razie to zupełnie niemożliwe. Choć zawsze może przecież wygadać się niechcący, jak go przycisną albo podejda... Dobrze, nie powiem mu o twoich badaniach. Jak będziesz miał jakieś pytania, spisz mi je, zrobię wywiad za ciebie.

- Dzięki - Ucieszył się Jakub. - Sądzę, że najważniejsze jest zdobyć jak najwięcej informacji o tym Wielkim Guru, jakieś tropy, które pomogłyby się czegoś o nim dowiedzieć, skąd on się wziął i tak dalej, sam wiesz.

- Każda religia zaczyna się od proroka.

- Dokładnie. Prawo Maxa Schelera.

- Źródłem każdej treści kulturowej jest swobodny czyn i wolna wola „nielicznych” osób, którzy na mocy praw zarażania, świadomie i mimowolnie naśladowani są przez „masę”, przez większość.

- A jednak czasem coś zakujesz!

- Ba! To było pytanie, na które nie potrafiłem odpowiedzieć na egzaminie u Śliwy z klasycznych teorii socjologicznych.

Szli chwilę w milczeniu. Jakub postanowił zmienić temat.

- No to się zetrzecie z Moniką, - zaczął, nawiązując do wyznaczonego Michałowi przez Śliwińskiego tematu referatu.

- Spokojnie, nie sądzisz chyba, że ktoś mógłby mnie zagiąć w dziedzinie psychomanipulacji? - Odparł Michał i dodał z dumą - Może na Weberze się aż tak nie znam, ale o praniu mózgu przeczytałem chyba wszystko, wygłaszałem wiele pogadanek w szkołach, znam to na pamięć, mógłbym ten referat wygłosić choćby z biegu, zaraz.

- Nie wiesz, jaką literaturę Śliwa dał Monice do koreferatu.

- Spoko. Poradzę sobie - stwierdził Michał, ale w głębi duszy musiał przyznać, że na jego pewności siebie pojawiła się drobna rysa, gdy Śliwiński zapytał Monikę o znajomość angielskiego. Kobiety zdolnościami lingwistycznymi generalnie górują nad płcią brzydszą, a nie trzeba było wiele, aby górować w tej dziedzinie nad Michałem. Pocieszał się, że najważniejsze prace na temat psychomanipulacji przetłumaczono na polski, znał doskonale Wywieranie wpływu Cialdiniego czy książki Hassana, nie spodziewał się więc, aby był zmuszony ustąpić pola.

- Dlaczego się zatrzymujesz? Michał właśnie stanął przy jakimś starym maluchu. - Podwieźć cię? - O! Widzę, że się zmotoryzowałeś! Twój własny? Który rocznik? - Nie pytaj. Stary rzęch, ale na nowego mnie nie stać. Zresztą nie prowadziłem od czasu egzaminu. Szkoda byłoby rozbić droższy samochód.

- Tylko się nie zabij - ostrzegł Jakub.

- Nie wsiadasz? - zapytał Michał.

- Nie wiem czy ryzykować, zwłaszcza, że mieszkam w innym kierunku. Lepiej żebyś, jako początkujący, nie musiał za dużo skręcać w lewo. Mam też wrażenie, że przy twoim wzroście bym się już nie zmieścił.

- Przesadzasz, to całkiem pojemny samochód rodzinny, hit lat osiemdziesiątych. To na razie - powiedział z uśmiechem Michał.

- Nie zabij się! - powtórzył jeszcze Jakub na odchodnym.

\* \* \*

Po wyjściu z klasztoru dominikanów Filip wrócił do domu swoich rodziców. Pierwszą noc nie mógł spać. Próbował czytać ewangelię Jana, zgodnie z zaleceniem, jakie mu dał na pożegnanie wraz z Biblią ojciec Marcin, ale z podniecenia nie mógł się skupić. Miał świadomość, że otworzył się zupełnie nowy rozdział jego życia, a w zasadzie... nowe życie. Ale trzeba było wpierw zamknąć rozdział poprzedni. Nie miał złudzeń. Spodziewał się, że gdy już Marek zorientuje się, co się stało, po niezbędnych konsultacjach z Warszawą, rozpoczną poszukiwania. Już następnego dnia wieczorem, gdy Filip brał kąpiel, ktoś zadzwonił. Matka Filipa dość nieudolnie skłamała, że Filipa nie ma i tu nie mieszka.

Kilka dni później ktoś zadzwonił do domofonu.

- Dzień dobry, mówi Sławek, czy zastałem Filipa? - rozpoznał głos Leona.

- To ja - Odpowiedział Filip.

- Marek jest tu na dole i chciałby porozmawiać.

- Zaraz zejść - był zdenerwowany, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia, musi przez to przejść.

Zszedł na dół i wsiadł do ich samochodu. Po raz pierwszy poczuł się w nim zupełnie obco, choć przesiedział na tym miejscu tyle godzin w cotygodniowych przejazdach do Warszawy i z powrotem, znał każdy zakamarek tapicerki, którą przecież często własnoręcznie czyścił. Co więcej, również ten człowiek siedzący na miejscu kierowcy, muskularny, brodaty, rudzielec, który tak długo kierował jego życiem, stał się dla niego obcy, a raczej osobą niby dobrze znajomą, ale jednocześnie jakby z innego świata. Ale wiedział, że jest tu po to, aby zerwać wszystko, co zostało do zerwania.

Tymczasem Marek na wstępie próbował go udobruchać.

- Wiem, że ostatnio miałaś trudny okres - zaczął. - Popelniono względem ciebie pewne błędy, znosiłaś bardzo silne naciski.

- Naciski nie mają teraz żadnego znaczenia - odpowiedział spokojnie Filip ku własnemu zresztą zaskoczeniu. Czuł w sobie nową, dziwną siłę i nową odwagę, która czyniła go gotowym na wszystko. Najwyraźniej jednak Marek nie zdawał sobie sprawy, co zaszło w jego byłym uczniu, był trochę zbity z tropu. Może jednak wcale nie był „astralnie” obecny przy jego modlitwie? Próbował jednak kontynuować rozmowę zgodnie z planem, który, jak Filip doskonale wiedział, został starannie przygotowany w Warszawie.

- Szczerze mówiąc - ciągnął jego niedawny mistrz - podejrzewałem, że coś kombinujesz, ale nie spodziewałem się, że posuniesz się tak daleko. Masz rację, układ, który funkcjonował w Pracowni już dawno wymagał zmian, był sztuczny. Ty tylko je przyspieszyłeś. Taki układ jak teraz, że mieszkasz u rodziców, jest bardziej naturalny. Chciałbym ci coś zaproponować na bazie tego układu - powiedział, wyjmując jakieś kserokopie.

Były to fragmenty książki objaśniającej metody skutecznego i twórczego myślenia. Filip niedawno widział je u Pauliny. Marek zaczął coś tłumaczyć, ale Filip nie okazał zainteresowania.

- Wiem, co to jest, ale mnie to nie interesuje - powiedział.

Marek zrozumiał, że musi zmienić taktykę. Uderzył zatem z drugiej strony - zgodnie z uzgodnionym planem. Wyjął kolejne ksero.

- Wiesz, mam tu opisane dwanaście rodzajów głupoty...

Filip najwyraźniej nie chciał czekać, aż Marek go do któregoś przypisze. Postanowił sam uderzyć.

- Jeśli tylko to masz mi do powiedzenia, to ja sobie już pójdę - stwierdził, faktycznie chwytając za klamkę. Nie był to zbyt mądry kontratak, ale skuteczny. Zmusił Marka do porzucenia gry psychologicznej i przejścia do konkretów.

- Czy chcesz już totalnie zerwać wszelkie kontakty z nami? - zapytał wprost.

- Tak - potwierdził Filip.

Wtedy nastąpił najcięższy, otwarty atak. Zaczął szturchać Filipa jakby chciał go przebudzić.

- Filip! - krzyczał - Nie możesz tak ciągle się oszukiwać! Otrząśnij się! Nie możesz żyć w takim zakłamaniu!

Filip nie widział już sensu dalszej rozmowy. Nie miał żadnych odpowiedzi, ale jednego był pewien - Bóg go uwolnił od mistrza, Bóg jest prawdą - ale o tym nie mógł dzisiaj rozmawiać z Markiem, więc zaczął się zbierać do wyjścia. Marek próbował go zatrzymać, mówiąc o rzeczach, które zostawił w Pracowni.

- Mam telefon, skontaktuję się.

Na odchodnym Marek powiedział jeszcze:

- Wierzę, że jeszcze kiedyś spotykamy się na tej samej ścieżce.

„Nie sądzę, chyba, że to będzie ścieżka, na którą właśnie wkroczyłem” - pomyślał Filip.

\* \* \*

Gdy tydzień później usiedli w uczelnianej kawiarni po tym, jak zniecierpliwiony Jakub wyciągnął kolegę z wykładu z metodologii, Michał był już po pierwszym wywiadzie z Filipem.

- To opowiadaj, co ci ten Filip zdradził - zagadnął Jakub.

- A co cię interesuje? - odpowiedział pytaniem Michał.

- Może rzecz najważniejsza, jak daleko są w stanie posunąć się w realizacji swoich celów?

- Chodzi ci o to, czy są gotowi cię załatwić, jak się wyda, że ich szpiegowałeś? Filip nie słyszał o żadnych groźnych aktach przemocy w stosunku do byłych członków. Na początku zawsze próbują delikwenta zawrócić, ale jak wyraźnie i stanowczo powie im się adieu, to potrafią to zrozumieć i zaczynają go traktować jako, jak oni to nazywali?... chyba zmówionego.

- Umownego. Ludzie dzielą się na umownych, czyli zmanipulowanych i rozwijających się, autentycznych.

- Tak więc sądzę, że nie grożą ci żadne betonowe buty czy coś takiego. Są raczej pokojowo nastawieni, odrzucają przemoc, co nie znaczy, że będą mili.

- Czym zajmuje się ta struktura ekonomiczna? - kontynuował wypytywanie Jakub.

- Handlują, sprowadzają jakieś narzędzia z Francji. Mają sieć hurtowni w kilku głównych miastach. Tyle przynajmniej wiem. To nie jest jakaś wielka korporacja. Pieniądzy starczy na utrzymanie tej drugiej struktury. W zamian za to ta druga używa swoje siły roboczej.

- Co robią?

- Z tego co opowiadał Filip, po prostu składają te narzędzia w zestawy, pakują w kartony, worki, czasem służą jako kierowcy.

- Czyli nie jest to jakaś ciężka praca?

- Zależy jak patrzeć. Filip opowiadał, że wzywano ich na przykład o dziesiątej wieczorem i musieli pracować do drugiej, trzeciej w nocy, czasami dłużej bo „było zamówienie”, niezależnie, że rano mieli zajęcia i całe popołudnie pracowali w polu.

- A jak sprawy seksualne?

- Tutaj niestety Filip nie jest zbyt doświadczony. Nie miał dziewczyny, nawet się z tego cieszy, bo inaczej trudniej byłoby mu odejść. Raczej są zwolennikami monogamii. Nie słyszał nic o żadnych rytuałach seksualnych. Choć seks jest dla nich niewątpliwie ważny. Bez tego, tak to zrozumiałem, nie można się w pełni rozwinąć. Na pewno idzie z góry presja by znaleźć sobie kobietę. Często swatają w ramach organizacji, ale zdarzają się też „werbunki na podłożu matrymonialnym”.

- To jest tam więcej kobiet? Dotąd żadnej nie widziałem, tylko żony Olka i Marka, nawet nie wiem, na ile są wtajemniczone.

- Są oczywiście. Kilka jest podobno nawet całkiem wysoko postawionych, były lub obecne kobiety tego guru. Ale generalnie to ideologia patriarchalna, kobieta jest uczniem mężczyzny i zasadniczo jest kiepsko traktowana. Mam też informację ważną dla ciebie: z tego co opowiadał Filip, wynika, że twój Marek nie jest zbyt poważany we Wspólnocie. Miał szczęście kiedyś zwerbować grono zdolnych uczniów, ale boją się, aby ich nie zmarnował i dlatego jest pod ścisłą kuratelą niejakiej Pauliny, żony samego Daniela.

- Ciekawe - stwierdził zaskoczony i nieco rozczarowany Jakub. Po chwili jednak dodał - Ale to może mieć też dobre strony. Informacje o mnie będą szły szybciej do góry niż byłoby to w przypadku bardziej kogoś mniej kontrolowanego. No i łatwiej może mi będzie wzbic się ponad niego.

- Racja. Widzę, że zasmakowałeś w awansowaniu.

- A sam Wielki Guru, dowiedziałeś się czegoś konkretnego o nim? - dopytywał Jakub.

- Z tego co mówił Filip, to człowiek o olbrzymiej wiedzy, ma tysiące książek w swoim domu z różnych dziedzin. Uważa się za największego mistrza w historii...

- A coś konkretnego? - przerwał Jakub. - Skąd się wziął, gdzie się uczył? Jakies tropy, którymi można by podążyć?

- Hmm, o to ci chodzi! Filip wspominał, że kiedyś zajmował się podobno leczeniem narkomanów, to był jeden z nielicznych wówczas ośrodków. Wspominał też, że różni znani astrologowie, chiromanci czy tarociści wróżyli mu, no i niby niesamowite rzeczy wychodziły z

tych horoskopów, że takim wielki mesjaszem niby jest. Ponoć z niektórymi znał się dość blisko, niektórych nawet zapraszał do siebie, do domu.

- Znasz jakieś nazwiska?

- Nie, ale z tych opowieści Filipa wynikało, że jak poszukasz na najwyższych półkach, to na pewno na nich trafisz. Czyli powinien być jednak znany w środowisku. Zresztą, jeśli ci zależy, spróbuję coś jeszcze z Filipa wydusić, choć może po prostu nie wiedzieć. Facet obsługujący kuchnię nie musi znać nazwisk ludzi, dla których gotuje.

- Świetnie, dzięki ci wielkie - zapalił się Jakub. Po dłuższej chwili jednak mina mu zrzęda. - O kurde.

- Co takiego?

- No bo jak on z nimi jest tak blisko, z tymi astrologami, to ja nie mogę z nimi rozmawiać! Doniosą mu niezwłocznie i jestem spalony, starczy, że niechący coś wspomną.

- Ha! Wiem co sugerujesz, że niby ja miałbym... - uśmiechnął się Michał chytrze, zabierając się do wycierania okularów - Pomyślimy, pomyślimy. Tylko co ja miałbym z tego?

- Trzeba by pogadać ze Śliwą, na pewno dałoby się jakiś temat magisterki z tego typu materiałów wydumać. Został ci cały rok. Wiesz, ta jedna grupa może być dla ciebie oknem na duży fragment polskiego niuejdzu.

- Cóż, brzmi nieźle, może mnie namówisz. Ale teraz mam na głowie referat.

- Lepiej się postaraj. Spotkałem dzisiaj Monikę przy kserografie w bibliotece z całym naręczem artykułów.

- Ja też dotarłem do paru ciekawych rzeczy, kolega właśnie mi tłumaczy fragmenty najważniejszej książki Margaret Singer. Może naszemu centrum uda się zdobyć pieniądze na jej wydanie. Myślę, że powinieneś się z nią zapoznać. Na przykład na temat hipnozy. To jeden z najważniejszych mechanizmów uzależnienia ludzi od sekt.



# CZEŚĆ III

## Rozdział XIII

W kolejną sobotę Jakub pojechał do Pracowni Marka z Olkiem i jego chłopakami. Z tygodnia na tydzień zrobił się nieznośny upał, jak na początek czerwca. Słońce świeciło ostro, stąd biała czapeczka stała się nieodłącznym atrybutem członków organizacji.

Od stacji kolejowej szli pieszo ostatni kilometr. Przy tej okazji Jakub mógł lepiej przyjrzeć się całej posiadłości. Dostrzegł teraz rzeczy, które przeoczył przy poprzednich wizytach, gdy wożono go samochodem na miejsce: obok głównego budynku wykopano fundamenty pod nowy, nieco mniejszy. Poniżej znajdowały się jeszcze jakieś mniejsze zabudowania gospodarcze, chyba dostrzegł też klatki z rodzaju tych, w których trzyma się króliki. Całość otoczona była wiśniowym sadem, a za płotem rozciągało się jeszcze parę hektarów pól należących do Marka.

Dla sekcji Olka zaplanowana była przebieżka w terenie. Olek na czele swej grupy pobiegł w kierunku oddalonego o parę kilometrów lasu. Jakub współczuł chłopakom, że muszą biegać w taki skwar. No, ale skoro mają być elitą ludzkości...

Marek z Jakubem udali się za nimi, rozmawiając w czasie marszu.

- Widzisz, w momencie, kiedy zaczynasz siebie traktować poważnie, kiedy zaczynasz się duchowo rozwijać, zaczynasz zmieniać rzeczywistość. Rozwój jest trudnym procesem. Na tej drodze pełno pułapek. Dlatego ludzie, którym się udało, a przynajmniej niektórzy, wybrani z nich, mają obowiązek pomagać na tej drodze innym. Bez takiego przewodnika rozwój jest praktycznie niemożliwy. Ja też, jak może wiesz, mam mistrza, ale on też, chociaż jest największym mistrzem obecnie chodzącym po ziemi, nawet on musiał mieć mistrza. A nawet, jako że postawiono mu niezwykle zadania, miał wielu mistrzów.

Jakub omal się nie potknął z wrażenia. Marek podtrzymał go jedną ręką.

- A widzisz! Jaki masz wniosek?

Jakub chwilę się zastanowił i odpowiedział, aczkolwiek dość niepewnym głosem.

- Mistrz pomaga uczniowi, gdy ten upada...

- Na pewnym poziomie masz rację. Tak dzieje się zwłaszcza na początku. A potem mistrz uczy ucznia jak nie upadać. Aby się uczyć, w ogóle aby się rozwijać, potrzebujesz zachowywać napięcie. Właśnie dlatego tyle sobie odmawiamy, tak ciężko ćwiczymy, żeby budować w sobie

napięciu. Czujność. Gdy zachowujesz czujność, nie dajesz sobą manipulować. Wiesz, co jest prawdziwą wartością, a co iluzją. Do tego jest właśnie potrzebny mistrz. Mistrz naciska na ucznia, uczeń znosi tę presję i to podnosi jego napięcie. I to idzie dalej. Uczeń naciska swoich uczniów, albo swoją kobietę, czy lepiej, babę, bo słowo „kobieta” pochodzi od „chlew”, tak jak „kobyła”, wiedziałeś o tym?

- Nie.

- Właśnie. A „baba” znaczy „pomocnica”. Bez mistrza nie jesteś w stanie zapanować nad swoją babą. A zgodzić się na równość, to oddać babie władzę.

- A kto naciska mistrza? - zaryzykował pytanie Jakub.

- Mój mistrz już nie potrzebuje ziemskich mistrzów. Przyjmuje nacisk bezpośrednio z kosmosu.

- Od Boga?

- Bóg ma ważniejsze sprawy niż zajmowanie się naszą małą planetą. Gdy mój mistrz osiągnął oświecenie, właśnie to sobie uświadomił, powiedział: „Boże, ja ciebie błagałem o pomoc, a to Ty potrzebujesz mojej pomocy!” Mistrz trwa w łączności z Systemem, z Białą Łożą niewidzialnych mistrzów. Tam też jest hierarchia. Nacisk. Mistrz, gdyby choć na ułamek sekundy poluzował, popuścił sobie, zniszczyłoby go to. Widzisz, na pewnym etapie ścieżki nie ma już odwrotu. Takiego człowieka przepelnia miłość, która ogarnia cały wszechświat i dlatego musi znosić napięcie, które zwykłego człowieka by zabiło. Widzę, że się wystraszyłeś? Spokojnie. Takich ludzi jak mój mistrz, którzy utrzymują ład świata, nie jest wielu. Na nich Bóg opiera swoje stopy. Pojawiają się co pewien czas w różnych narodach, przekazują im swoją naukę, kształcą ludzi i odchodzą. Na przykład Jezus. Działał tylko trzy lata, a zobacz, ilu dzisiaj ma uczniów. Mój mistrz też przyszedł, aby przeprowadzić dzieło, którego skutki będą się ujawniać przez najbliższe tysiąclecie. Czasy są takie, że nie może działać otwarcie. To zresztą było też już błędem Jezusa, dlatego musiał zginąć. Ty nie masz rodziców?

- Nie.

- To nie masz problemów jak inni chłopacy. Ale pojawią się z czasem. Gdy się rozwijasz, pojawiają się problemy, zawsze na twoją miarę. Ludzie zaczynają dostrzegać, że się zmieniasz. Niektórzy poddają się twemu wpływowi, stają się lepsi. Wrzucasz im pewne myśli, które działają jak komputerowe wirusy. Powoli, delikatnie ich zmieniają. Ale większość ludzi nie chce się

zmieniać. Będą z tobą walczyć. Na początku co rusz pojawiali się jacyś rodzice i mieli do Mistrza pretensje. Dlatego musimy się ukrywać.

Jakub przypomniał sobie, że podobne ostrzeżenie sformułował dla młodych adeptów Akademii Platon, mając zapewne w pamięci los swego mistrza Sokratesa. Widać, to bardziej uniwersalne zjawisko - gdy w życiu młodego człowieka pojawia się autorytet konkurencyjny dla tradycyjnych, konwencjonalnych autorytetów rodziców czy nauczycieli - oni widzą to, jako zamach na ich władzę. Stąd relacja mistrz uczeń zyskuje nieco charakter tajnego sprzysiężenia, w imię wyższych, duchowych wartości. Musi to być ekscytujące dla młodego człowieka - znaleźć wreszcie sojusznika w świecie dorosłych w swych walkach o prawo do wolności poszukiwań - typowych przecież dla wieku dojrzewania. Z pewnością znalezienie takiego mentora pomagało przeciąć pępowinę.

- Mój mistrz nie skończy tak, jak Jezus. Jest sprytniejszy - kontynuował Marek. - Dlatego też nie czyni cudów, za bardzo rzucają się w oczy, zapadają w pamięć. Też mógłby chodzić po wodzie czy uciszać wiatr. Ale po co? Jakie byłyby tego skutki?

- Takie jak w przypadku Jezusa... - wtrącił Jakub.

- Dokładnie. Dlatego musimy symulować. Symulacja jest przywilejem ludzi rozwijających się. Dlatego to, co robisz może być cenne dla Wspólnoty, to rozpracowywanie masonów. Rozumiesz zatem, że musimy chronić istnienie Wspólnoty tajemnicą.

Doszli do polany, na której ćwiczyli chłopacy Olka.

- Słyszałeś o tai chi? - zapytał Marek.

- Owszem. Ale nie ćwiczyłem nigdy.

- Warto, żebyś spróbował. Wiele chorób można zwalczyć przy pomocy chi. Mój mistrz przez wiele lat poruszał się na wózku, ale wstał z niego siłą woli, dzięki systematycznym ćwiczeniom. Olek! - na tą komendę Olek błyskawicznie wstał z podporu przodem i przybiegł do Marka.

- Tak?

- Widziałeś ostatnio mistrza, powiedz, w jakiej jest formie.

- Taak! - roześmiał się Olek i zaczął mówić z przejęciem - Normalnie, wszedł na samych rękach po linie, na sali gimnastycznej, pod sam sufit, a gdy zszedł, nawet nie miał zadyszki!

- A ma już prawie sześćdziesiąt lat - dodał Marek, by spotęgować wrażenie. - Do tego ani jednego siwego włosa. Gdy kiedyś byliśmy w Jarocinie, rzucił się na niego jeden taki skinhead.

Mistrz chwycił go za pięty i rzucił o stół. Stół się normalnie rozprysł pod tamtym - mówił z przejęciem - Facet zmykał, aż się kurzyło. Innym razem byłem świadkiem, jak złamał, słuchaj, taaaką metalową sztabę! Ma potężną moc. Tu już nie wystarcza siła fizyczna. Dlatego warto ćwiczyć chi. Ona rzeczywiście może uzdrawiać. Mistrz zresztą też uzdrawia, ale to w ostateczności. Woli, abyśmy się sami rozwinęli i sami uzdrowili, przy pomocy własnej chi. Waldek! - zwrócił się do jednego z uczniów Olka. - Naucz Kubę kilku prostych ćwiczeń tai chi. A ty ćwicz, pomóż swemu ciału wrócić do zdrowia.

Spokojne i monotonne ćwiczenia „Ósmiu kawałków brokatu”, które jak wiedział, należały raczej do systemu qigong niż taichi, dały Jakubowi czas do przemyśleń. Rozmowa, którą odbył, z jednej strony świadczyła, że przekroczył kolejną granicę, zdobył zaufanie dające mu dostęp do dalszych bezcennych informacji i wyższego poziomu organizacji. Z drugiej strony rozmowa ta mogła świadczyć, podobnie jak całe te ćwiczenia tai chi, że utknął w Pracowni na dobre, że jego plan przeskoczenia normalnych dróg awansu się nie powiódł.

\* \* \*

Jakub czuł, że znajduje się w niezmiernie istotnym momencie w swych relacjach z grupą. Ciągłe był na wstępnym etapie, gdzie nie wszystko było ustalone, ale właśnie stopniowo ograniczano mu przywileje nowicjusza. Teraz jeszcze może pytać i ewentualnie wykazywać się inicjatywą, a nawet do pewnego stopnia negocjować, ale coraz bardziej dawano mu do zrozumienia, że pytania te nie są na miejscu. Samo pytanie nie było na miejscu. Raz Marek powiedział nawet wprost „Ścieżka polega na słuchaniu, a nie na pytaniu”. Okazywało się, że na wyższych szczeblach, które teraz obserwował z dołu, w ogóle nie było miejsca do dyskusji. Był to zatem moment decydujący o jego dalszej karierze w organizacji, a przynajmniej ostatni, w którym mógł mieć na nią jakikolwiek wpływ. Pod tym względem grupa Marka, którego uczniów właśnie stopniowo poznawał, była nieporównanie bardziej rygorystyczna i zdyscyplinowana niż sekcja Olka. Chwilami panująca w niej dyscyplina traciła swój naturalny, nieprzymuszony charakter. Odkąd Jakub dowiedział się, że hierarchia wspólnoty nie kończy się na Marku, stało się jasne, iż musi w jakiś sposób go przeskoczyć. W tym celu jednak najpierw powinien przekonać go i jego przełożonych, że bardziej użyteczny byłby na innym polu, w ramach innych struktur. Musi zatem maksymalnie się wykazywać, aby nie utknąć w tej ślepej uliczce na następnych kilka lat.

Korzystał więc z każdej okazji, by spotkać się z Markiem i się przed nim popisać. Jednocześnie zaczął nieco lekceważyć Olka, czym go nieświadomie uraził. Niestety, z tego błędu zdał sobie sprawę poniewczasie, obserwując raczej jego konsekwencje, w postaci wyraźnego ochłodzenia ich relacji. O ile dotąd Olek był jego protektorem wobec Marka, teraz Jakub musiał sobie radzić sam. Odtąd rolę ulubieńca Olka przejął najnowszy nabytek sekcji - Mariusz, najmłodszy, ale fenomenalnie wysportowany.

Marek był dość sympatycznym człowiekiem. Pomimo swej potężnej budowy fizycznej nie reprezentował typu brutalnego i ospałego osiłka. Jego oczy zdawały się szczere, choć jego pewność siebie nieco sztuczna, niemal wymuszona. Zupełnie inaczej zachowywał się w stosunku do Olka. Było widać, że trzymał go krótko.

Siedzieli na fotelach w jego domu, popijając gorącą miętę. Rozmawiali oczywiście o masonerii.

- Niewątpliwie skupienie się na kształtowaniu elity jest doskonałym pomysłem ze strony masonów - referował Jakub. - Umożliwia to wywieranie wpływu w różnych sferach życia społecznego jednocześnie: w polityce, kulturze, mediach, gospodarce. Tym samym ukryty jest związek między tymi wszystkimi oddziaływaniami, co sprawia wrażenie, że mamy do czynienia z naturalnym procesem społecznym. Społeczeństwo po prostu dojrzało już do liberalizmu, do aborcji, do życia bez rodziny, bez więzi narodowych. Genialne jest też maskowanie. Rozmawiałem o tym z moim promotorem, mówił, żeby bardzo uważać, aby nie wpaść w spiskową teorię dziejów, gdyż będzie problem na obronie. To pokazuje skuteczność tej propagandy maskującej: to pan jeszcze wierzy w masonów, Żydów i cyklistów?

- Tak zapytał twój profesor?

- Nie, ale jego zdaniem taka postawa panuje w większości elity polskiej. Zwłaszcza ludziom wykształconym nie wypada wierzyć w takie sprawy. Nawet nie dlatego, żeby zostało udowodnione, że to bzdury, tego nawet nie wypada badać!

- Największym sukcesem szatana było przekonanie ludzi, że nie istnieje - spointował Marek, a po chwili zapytał. - To jak zamierzasz pisać pracę magisterską o masonerii?

- Jakoś to obejdę. Będę pisał o tajemnicy i jej znaczeniu w życiu społecznym. Oczywiście głównym przykładem będą loże masońskie.

- Dobry pomysł. A znasz się też na kodach, szyfrach? - spytał Marek, jakby mu coś przypomniała wzmianka o tajemnicy.

- Kiedyś się w to bawiłem. Koledzy pisali mi coś szyfrem, takim prostym, podstawianym, ja to łamałem. To dość proste, o ile szyfrujący zachował odstępy między wyrazami i jeśli dysponujemy wystarczającym fragmentem tekstu. Dziesięć, dwadzieścia zdań powinno wystarczyć.

- Jak to się robi?

- W języku polskim najczęściej pojawiającą się literą jest „a”. Szukamy zatem najczęściej pojawiającego się symbolu i podstawiamy. Najczęstszą kombinacją liter jest „nie”, często występuje też „prz”. Daje to nam kolejne litery. Dalej, to już łamigłówka.

- Może kiedyś będę miał dla ciebie małe zadanie. Ale to kiedy indziej.

Tak, to musiało być to. Ta kartka z zaszyfrowanymi wnioskami, o których opowiadał Filip. Widać Marek bał się ją przekazać, gdyż mogłyby tam być pewne uwagi rodzące niewygodne pytania. Poczekaj aż wejdziesz głębiej. Jakub zastanawiał się, czy nie zaryzykować i nie zapytać wprost, kim jest Marek i co za strukturę tworzą z Olkiem. Wiedział, że później to pytanie będzie niestosowne. Z drugiej strony mógł już przewidzieć odpowiedź: „wkrótce się dowiesz”.

- A wracając do masonerii, co powiesz o ich znaczeniu społecznym? - zapytał Marek. - Szczerze mówiąc, dotąd uważałem, tak jak większość socjologów, że w demokratycznym społeczeństwie, kiedy władza stale jest prześwietlana przez media, a dodatkowo co pewien czas zmieniają się rządzący, tego rodzaju spiski są niemożliwe. Dopiero, gdy uświadomiłem sobie sposób działania masonerii, że nie chodzi im o przejęcie władzy w jednej kadencji, ale o ukształtowanie całej elity politycznej danego kraju, bez względu na partie, w duchu pewnych ideałów, że jest to powolna praca wychowawcza, a nie prostackie kierowanie z tylnego siedzenia, raczej tworzenie metareguł, którym posłuszni są wszyscy rządzący, zacząłem się zastanawiać, czy to aby nie jest właśnie tak. Muszę jeszcze sporo poczytać, przede wszystkim przyjrzeć się dowodom. Relacjom byłych członków. Jeżeli rzeczywiście jest tak, że w masonerii istnieją kręgi wewnętrzne, które przy pomocy tylko sugestii sterują pracami łóż, kształtują przekonania członków, to wydaje się to bardzo potężną organizacją. Doskonałe zabezpieczenie. Choć jednocześnie, jak zauważył autor tej książki, utrudnia to bardzo skoordynowane działanie w konkretnej sytuacji politycznej.

- Nie o to im chodzi. Planują na dłuższą perspektywę. W Polsce tak naprawdę mamy dwie masonerie, angielską, tam należą ludzie z dawnej „Solidarności” i rumuńską, która skupia postkomunistów - powiedział Marek tonem kogoś, kto doskonale wie, o co im chodzi. Jakub

domyślił się, że chodziło raczej o romańską, a ściślej Wielki Wschód afiliowany do łóż francuskich. Po chwili milczenia Marek zapytał nieco tajemniczo. - A co myślisz o możliwościach walki z masonerią?

- Tutaj nie zgadzam się z autorem, że samą modlitwą i informowaniem można coś wskórać. Zwłaszcza, że masoni dyskretnie przejmują kontrolę informacji. Szczerze mówiąc, nie wiem jak walczyć z taką ośmiornicą. Ale walczyć trzeba, sądzę, że oni faktycznie zagrażają ludzkości.

- Dlaczego?

- Kluczowe jest ich główne, egzoteryczne hasło: „wolność, równość i braterstwo”. Równość jest iluzją, każdy człowiek jest inny, jedni lepiej uzdolnieni, a inni gorzej. O równości ludzi można mówić w przypadku, gdy odniesiemy ludzi do innych gatunków albo do Boga - Jakub teraz praktycznie zaczął cytować wykład Śliwińskiego o przeciwieństwie między Marksem a Nietzschem. - W sprawach ludzkich nie jest ważne to co ludziom wspólne, ale to co ich różni. Gdy ustanawiamy w jakimś państwie prawa, to ważny jest stosunek między poszczególnymi ludźmi, ich klasami a państwem, a ten stosunek jest bardzo różny: jedni płacą wysokie, inni niskie podatki, jedni mają wysokie kompetencje sterownicze, a inni niskie, jedni działają na rzecz dobra wspólnego inni troszczą się tylko o swój interes. Naturalny porządek polega na hierarchii, a przynajmniej na uwzględnieniu takich różnic. Masoni to ukrywają i wykorzystują do zdobycia władzy. Bo jeśli uprawnienia nie wynikają z obiektywnych zależności między ludźmi, ich grupami, to są konwencjonalne, można nimi dowolnie manipulować. Przyznawać prawa komu jest nam wygodnie i odbierać - gdy już wygodne nie jest. Podobnie ich dążność do pokoju, tolerancji, unikania konfliktów. Myślę, że to jest na dłuższą metę śmiertelne dla ludzkości jako gatunku, to zatrzymuje rozwój. Rozwój bierze się z walki, ze ścierania przeciwieństw. Oczywiście w granicach prawa naturalnego, bez niszczenia innych.

- Są trzy zasady prawa naturalnego: nie niszcz innych, nie niszcz siebie i nie daj siebie niszczyć - wtrącił Marek. - Ale masz rację, życie to walka. To jak walczyć z masonerią?

- Zastanawiam się - podjął Jakub po chwili - czy rozwiązaniem nie byłoby stworzenie jakiegoś przeciwieństwa dla masonerii, jakiejś antymasonerii, masonerii, która przekazywałaby przeciwne treści? - Jakub zamyślił się. - To trochę wewnętrznie sprzeczne. Można by przejąć sugestię jako narzędzie wpływu na otoczenie, ale wewnątrz organizacji trzeba by to zupełnie inaczej zorganizować... Masoneria to liberalizm, wolność, swoboda. Odpowiadają temu stosunki



wewnątrz loży - braterstwo, pozorna równość... Dlatego sterowanie wewnątrz musi być również dyskretne... Przeciwnością tego byłaby dyscyplina, posłuszeństwo... Trudno być posłusznym komuś kogo się nie zna, zatem relacje wewnętrzne muszą być jawne... Ale potrzebne są jakieś zabezpieczenia... Jakie?... Trzeba by ściśle rozdzielić poszczególne poziomy. Każdy zna tylko swojego przełożonego i tylko swój pion, dostaje tyle informacji, ile potrzebuje do realizacji zadania i ogólną wiedzę o celu całości. Trochę tak, jak w sycylijskiej mafii czy wywiadzie.

- Nieźle kombinujesz - powiedział Marek z uśmiechem. - Na dzisiaj dosyć, wrócimy jeszcze do tego tematu.

Jakub odniósł wrażenie, że rozmowa zakończyła się, ponieważ Marek nie wiedział, ile może mu powiedzieć. Z pewnością jednak, na tyle, na ile to od niego zależało, był zdecydowany wtajemniczyć Jakuba.

Jeszcze nigdy nie wracał do swego pustego mieszkania tak podekscytowany. Wyglądało na to, że jest o krok od celu, od poznania wprowadzającego w wewnętrzny krąg tej grupy, stania się jej pełnoprawnym członkiem, wtajemniczonym. A więc to tak siebie definiowali: quasimafia o strukturze wywiadu, ale w działaniu zewnętrznym stosująca masońskie metody? Miał nadzieję, że nie praktykują betonowych butów i tym podobnych fajerwerków. Marek na szczęście z dużym naciskiem cytował pierwsze prawo naturalne. Zresztą wszelka przemoc zagraża tajemnicy, nie tak nie zwraca uwagi jak tajemnicze zniknięcie. Filip wspominał, że kilka osób odeszło przed nim i nie słyszał, by kogoś z nich coś złego spotkało, oczywiście poza moralną degradacją. Ale ta niewiedza Filipa nie uspokajała do końca Jakuba. Wiedział, że ta niepewność będzie mu towarzyszyła przynajmniej dopóty, dopóki nie pozna najważniejszych tajemnic grupy, dzięki którym będzie mógł się zabezpieczyć i przewidzieć ich działania.

\* \* \*

- To nie jest szkoła uczniów. To jest szkoła mistrzów. - Marek mówił spokojnym, stanowczym tonem.

Jakub siedział na kanapie w Pracowni obok Olka. Oprócz nich w pokoju byli pozostali uczniowie Marka i ich żony, których Jakub zaczynał dopiero poznawać. Zajęte były wszystkie nadające się do siedzenia meble. Właśnie zjechali do Pracowni na weekend. Spodziewali się zwykłej „próby”, ale Marek, zamiast przeprowadzić następną pogadankę zwrócił się do Leona:

- Trzeba zrobić oprysk sadu i zebrać z pola resztę buraków. Jesteś odpowiedzialny. - Potem spojrzął na pozostałych - Wy macie go słuchać.

Marek pojawił się w ogrodzie dopiero wieczorem. Coś mu się nie spodobało. Jakub nie dosłyszał co, w każdym razie Leon już dłużej nie dowodził.

W sobotę od rana malowali płot i bramę od garażu. Dowodzenie przejął Waldek. Po dwóch godzinach zjawił się Marek i zaczął się przyglądać czujnym okiem sytuacji na „froncie”. Gdy zobaczył Waldka z pędzlem w ręku wybuchnął śmiechem.

- A ty co się tak rwiesz do roboty?! Masz kierować, a nie harować! Widzę, że nie chcesz przewodzić. Olek, teraz ty jesteś odpowiedzialny.

Olek też nie sprostął zadaniu i ta ograniczona władza po kolejnych dwóch godzinach wpadła w ręce Artura. Po kolejnych paru godzinach Marek zastał go przy wydawaniu poleceń.

- Co tak cicho?! Czy ty sam siebie słyszysz? Mów jak facet! Dlaczego Kuba nic nie robi? Nie potrafisz znaleźć dla niego zajęcia? W takim razie tracisz władzę, teraz odpowiedzialność przejmuje Wojtek.

Wieczorem cała gromada wkroczyła, teraz już pod wodzą Jakuba, do kuchni, gdzie zabrali się do przyrządzania posiłku.

Zadanie wydawało się proste: przyrządzić posiłek. Najpierw trzeba było rozbić całą procedurę na czynności dające się wykonywać równolegle, potem przydzielić je poszczególnym osobom. Czynności było mniej niż ludzi, w związku z czym musiał wymyślać dla nich jakieś pomocnicze czynności.

Jakub nigdy dotąd jeszcze nikomu nie rozkazywał. Nie przyszło mu to łatwo, musiał do tego przełamać różne wewnętrzne opory człowieka wychowanego w egalitarnym społeczeństwie. Pierwsze rozkazy brzmiały śmiesznie, jakoś nieadekwatnie, nienaturalnie. Dopiero, kiedy skupił się na zadaniu, wydawane innym polecenia stopniowo stawały się po prostu środkami do osiągnięcia wspólnego celu, niczym więcej. Trzeba było też przewyciężyć pokusę, aby samemu zaangażować się w pracę. Nie jest łatwo stać z boku, kiedy inni, nawet bardziej zaawansowani uczniowie pracowali w pocie czoła... a trzeba ich było jeszcze popędzać. Od czasu do czasu wymyślał jakieś ulepszenie, czasem wystarczyło inaczej rozmieścić pracujących, aby sobie nie przeszkadzali.

W zasadzie trzeba było zorganizować dwa równoległe zespoły, gdyż posiłki gotowano osobno dla mistrza i osobno dla innych. Jak się później przekonał, było tak w całej Wspólnocie. Mistrzowie zawsze jedli lepiej, choć rzadko dużo lepiej niż ich uczniowie. Zawsze jednak gotowano dla nich osobno, z większą troską i starannością, z najświeższych produktów. Tutaj

wszystko musiało być wykonane perfekcyjnie. Jakub raz widział, jak talerz z niedostatecznie podgrzaną burakową wylądował na głowie nieudolnego kucharza. Szynka na kanapkę musiała być podgrzana na parze. Nie jedzono niczego zimnego, wszystko musiało być ciepłe, aby niepotrzebnie nie pozbawiać organizmu energii.

Jakub spodziewał się, że i na niego znajdzie się jakiś haczyk, który pozwoli spróbować rządzenia innemu. Tak też się stało, pretekstem było niedostateczne tempo pracy. W ten sposób przez cały weekend każdy miał swoje dwie godziny władzy, niektórzy nawet dwa razy. Oczywiście, nie dotyczyło to kobiet, które z zasady miały rozwijać raczej posłuszeństwo. W niedzielę wieczorem odbyło się wspólne podsumowanie - „wnioski”. Ta rozwleczona na kilka dni „próba” okazała się dla wszystkich bardzo pouczająca, zapamiętali nie tylko swoje własne błędy, cały czas bowiem bacznie obserwowali innych, aktualnych kierowników i uczyli się także na ich niedociągnięciach.

Wracając autobusem z Pracowni, Jakub swoim zwyczajem wyjął z plecaka książkę. Czytał Tocqueville’a, Dawny ustrój i rewolucja. Fragmenty, na których przerwał, a teraz na nowo podjął lekturę uderzyły go adekwatnością do przeżyć minionych dni. Marek by powiedział: „Nie ma przypadków”. Wiedział, że ezoterycy nazywają to synchronicznością zdarzeń. Czytał o tym, jak ułożone były w czasach feudalizmu relacje między książętami a ich rycerzami i sam poczuł się jak wasal, który wraca z dworu seniora, gdzie uczył się rządzić pomagając swemu władcy. Oczywiście kiedyś musiało to trwać dłużej, nim rozkazywanie i wydawanie poleceń stało się czymś naturalnym, czymś, co nie poniża tych, do których rozkaz jest skierowany. Takie wydawanie rozkazów, sprawowana władza i odpowiedzialność musiały kształtować zupełnie inny typ człowieka. Tocqueville pisał o starych męskich cnotach, takich jak duma serca, ufność we własne siły, przyzwyczajenie do przebywania na widoku, które mimo degeneracji francuskiej elity trwały w przedstawicielach arystokracji. Częstokroć dużo lepiej znosili oni nędzę i upokorzenia związane z rewolucją niż członkowie klas mieszczańskich, a gdy szli na szafot, to z godnością, a nawet poczuciem humoru, wykonując przed katem i publicznością dworskie ukłony.

Ludzie z taką klasą mogą powstawać tylko w specyficznych warunkach, poddani surowemu wychowaniu, niemal tresurze, która władcze cnoty czyniła ich drugą naturą. Czy o coś takiego chodziło w przedsięwzięciu, w które się wplątał? Zaczynało mu się to podobać.

\* \* \*

- No i co o nim myślisz? - zapytała Paulina, rozsiadając się wygodnie na wiklinowym fotelu wyłożonym owczą skórą.

- Jest niezły - odpowiedział z przekonaniem Marek. - Cenny mózg. Do tego to facet z jajami. Zwłaszcza na tle innych uczniów Olka. Zaangażowany. Trochę by go podszkolić i byłby doskonałym mentatem. Gdy mówił, prawie jakby wpadał w mentacki trans. Rzuciłem tylko pytanie o zwalczanie masonerii i prawie dokładnie opisał mi naszą strukturę, wydedukował to z samej znajomości masonerii.

- No, bo Mistrz też tak to urządził. Żelazna logika - powiedziała. - I jak? Czyta kolejną książkę?

- Chyba mu się spodobało - Marek zamilkł, formułując w myślach pytanie, jakie miał zadać. - Chcę wiedzieć, jak mam go dalej prowadzić. Ja nie znam się na masonerii, trudno mi będzie utrzymać przewagę kompetencyjną.

- O to się nie martw. - A po chwili spojrzała mu w oczy i zapytała: - Zapanujesz nad nim?

Marek zawahał się, wiedział, że powinien powiedzieć, że tak, ale wiedział również, że w rzeczywistości będzie to dla niego bardzo trudne. Był w końcu tylko specjalistą od sztuk walki. Z drugiej strony prawdziwy mężczyzna, szkolony, powinien odważnie podejmować wyzwania, tylko tak się może rozwijać.

- Zapanuję - powiedział.

- Może nie będziesz musiał - Paulina uśmiechnęła się. Właściwa odpowiedź, choć nie do końca prawdziwa. Dostrzegła zawahanie w jego oczach, zresztą znała go zbyt dobrze, aby wiedzieć na co go stać. - Na razie wracaj do swojego kungfu. Porozmawiam z Mistrzem. Może damy go do Władka.

- Tak jest - odpowiedział Marek tonem dowodzącym, że wszystkie wątpliwości zostały już wyjaśnione.

- Na razie wiesz, co masz z nim robić. Doszlifuj go jeszcze. I zacznij szukać następnego, potrzebujemy ludzi tego typu. Przyjrzyj się chłopakom Olka. Jest już ciepło, bez sensu, aby ciągle ćwiczyli w sali, wyciągnij ich na świeże powietrze. Niech przywiezie swoich chłopaków do sadu, poćwiczycie sobie, a ty się im przyjrzyj. Przedstawi cię jako swego przyjaciela. Tylko żadnych „mistrzu”, pełna symulacja. Tylko Jakub ma wiedzieć, kim jesteś dla Olka. Tamci dowiedzą się z czasem.

Po chwili Paulina zapytała:

- A wracając do Kuby, jak sądzisz? Jest gotów?

Mężczyzna zamyślił się chwilę, mierzwiąc swą bujną, rudą brodę.

- Sądzę, że jakby na to czeka. To samo mówił Olek, treningi nie były dla niego tak ważne, choć się w nie bardzo angażował. Szuka czegoś głębszego.

- W takim razie dostanie. Gdy uczeń jest gotów, zjawia się mistrz - Powiedziała. Po chwili zaś dodała: - Jak tylko przyniesie ci kolejne wnioski, mam je dostać, w dwóch egzemplarzach.

- Tak jest.

## Rozdział XIV

W czasie, kiedy Jakub wiódł intensywnym żywot, awansując z ucznia ucznia ucznia tajemniczego mesjasza na ucznia jego ucznia, Michał rekonstruował jego biografię. „Dobrze, że Filip zapamiętał autora tej książki o narkomanach”. - Pierwsza wzmianka na piśmie o Danielu Drzewieckim z jaką się spotkał. Relacja pochodziła od postronnego obserwatora, nie zawierała wielu informacji. Ale tropy są cenne. Ksiądz Tadeusz, złoty w Częstochowie, Chełm i terapia narkomanów. To prowadzi w przeszłość, do połowy lat osiemdziesiątych, a może jeszcze wcześniej. Ciekawe, czy to była pierwsza próba założenia Wspólnoty przez guru Daniela. No i, co się stało z uczestnikami tamtych wydarzeń. Niestety tylko jedna osoba była wspomniana na tyle konkretnie, że Michałowi udało się ją odszukać. Niejaki Roman Sznajder, zamieszkały w Chełmie. Udało mu się zdobyć książkę telefoniczną Chełma, ale tam rodzin o takim nazwisku było kilkanaście. Nie pozostawało nic innego, jak dzwonić po kolei. Na szczęście już za czwartym razem trafił na jakiegoś dalszego krewnego i uzyskał obietnicę pomocy w kontakcie. Okazało się, że ów Sznajder już kilkanaście lat temu wyjechał do Krakowa i tam założył własną firmę. Ostatecznie uzyskał jego numer telefonu. Zastanowił się chwilę i przygotował notatki z pytaniami, położył obok czysty papier i długopis, po czym wykręcił podany numer.

- Wiesz, to za dużo powiedziane, że ja niby jakimś uczniem jego byłem, trochę się o niego otarłem, jak wielu ludzi w Ruchu. Poznałem go w Chełmie - zaczął swą opowieść - Najpierw tam się pojawił, nie miał jeszcze uczniów. Dokładnie nie pamiętam, może to był 1985 albo 1986 rok. Wówczas to w mieszkaniu takiej starszej nauczycielki, znajomej księdza Tadeusza odbywały się spotkania jego trzódki. Przychodzili tam różni hipisi, tacy zabląkani ludzie no i pojawił się tam też guru Daniel. Był bardzo krzykliwy, hałaśliwy, czasem nawet napastliwy, bardzo dominujący. Miał taki strasznie głośny śmiech. Zachowywał się tak, jakby chciał przewodzić, był niezwykle sugestywny. Barwna postać, ale raczej nieszkodliwa. Jakoś tak potrafił niektórych przekonać do siebie. Czy kierowała nim żądza władzy? - nie, wie pan, myślę, że to nie w jego przypadku. On był mimo wszystko jakiś szczerzy, w tym co robił. Może był tylko stuknięty?

- Czy jakoś się przedstawiał, mówił skąd się wziął?

- Przedstawiał się jako nauczyciel jogi. Mówił, że pośredniczy między Jezusem a Buddą. Ale ludzie słuchali go tak trochę z przymrużeniem oka. Mówił, że pracowało nad nim 16

mistrzów, czy starców, teraz już nie pamiętam. - A czego on nauczał, co mówił? - spytał Michał skrzętnie notując opowiadanie. - Swoich uczniów, którzy w sumie pojawili się dopiero później, uczył samodyscypliny, pamiętam, to słowo mi się wryło: samodyscyplina. Słuchałem tego, co mówił, myślałem nad tym, wiele z tych rzeczy było całkiem trafnych. Często mówił o miłości i podkreślał jej znaczenie. Nauczał tego, co w sumie dzisiaj już wszyscy mówią, że trzeba najpierw kochać samego siebie, aby móc kochać innych. Ułożył piosenkę, nauczył jej śpiewać swoich uczniów, a potem też księdza Tadeusza, któremu się ona bardzo spodobała, przejął ją i dalej uczył. To szło jakoś tak: Płoną ogniska w świecie, / O ludzie czy już wiecie / Że nowa miłość zmieni stare oblicze ziemi... Później było coś o czuwaniu, Czuwajcie, czuwajcie... i tak dalej.

Michał znał dobrze tę piosenkę, to ją właśnie pamiętał z ruchu oazowego. Zgadzało się co do słowa. Czy więc to Daniel wprowadził ją przez ks. Tadeusza do ruchu oazowego, czy sam ją wcześniej stamtąd zaczerpnął?

- Trzeba przyznać, że ksiądz Tadeusz całkiem dobrze go tolerował. No bo też Daniel potrafił człowiekowi pochlebić. Raz powiedział do niego coś takiego, byłem przy tym: „Ty wiesz, co to znaczy pomagać Bogu”. Potem pojawił się na zjazdach w Częstochowie. Od dawna, ksiądz Tadeusz organizuje takie zloty dla hipisów i różnej takiej zabłąkanej młodzieży. A więc guru Daniel się tam zaczął pojawiać, nosił ten swój czerwony strój, w orientalne szlaczki. Brał nawet udział w mszach, zresztą wówczas wszyscy w nich uczestniczyli czy to ateści, czy wierzący, czy tak sobie wierzący, a czasem nawet krysznaici. Budowaliśmy tam w lesie ołtarz z kamieni, poukładaliśmy takie bochny chleba na tym ołtarzu. Wtedy guru Daniel podszedł i je rozdawał, poczuł się takim współkapłanem. A ksiądz Tadeusz mu na to pozwalał.

Na innej mszy, to był koniec pielgrzymki, ostatnia noc na polu namiotowym, tam też wybudowaliśmy ołtarz na polanie w lesie. Wszyscy siedzieli wokół, panowała bardzo podniosła atmosfera. Był tam jeden podobny nawiedzony typ, taki samozwańczy kameduła, chodził w białym habicie własnej roboty. Zapytał, czy może coś przeczytać. No i zaczął czytać jakiś strasznie ciężki traktat teologiczny. Czytał, czytał i czytał. Aż ludzie się zaczęli niecierpliwić. Daniel podszedł do księdza i zapytał, czy może mu przerwać. No i jak dostał to pozwolenie podszedł do tamtego i mówi mu, żeby już przerwał czy jakoś tak. Tamten powiedział mu „Odwal się”. Już wtedy każdy miał dość tego czytania. Daniel coś mu na to, że nie może tak robić i zaczął mu przeszkadzać, w końcu zaczęli się szturchać, chwycili się za bary i skulali się z tego wzgórka. To był bardzo śmieszny widok, jeden ubrany na biało, drugi na czerwono z czymś

czerwonym na głowie, widzieliśmy tylko takie czerwono-białe kłębowisko. Zaraz wstali, padli sobie w ramiona z okrzykiem: „Kocham cię bracie”. Potem Daniel podszedł do mnie i powiedział z satysfakcją „A jednak mu przerwałem!”

Samemu, to było bardzo charakterystyczne, nie skupiał wokół siebie ludzi, to ksiądz Tadeusz przyciągał ludzi, a ten Daniel to wykorzystywał i starał się mu ich odebrać.

Potem zjawił się ze swoimi uczniami w roku 1986, to były... tak, trzy osoby, taka Urszula, dość atrakcyjna babka, słyszałem, że ją potem pchał gdzieś do kręgów rządowych, ale nie wiem czy to prawda. Był też taki jeden bardzo oddany mu uczeń - kontynuował weteran ruchu hippisowskiego - przezywali go Burak, bo przekonywał, że zamiast narkotyków czy alkoholu lepiej jeść buraki i tak do tych buraków przekonywał, że dostał ksywę Burak. Ma obecnie firmę w Gdańsku. Raz poobwieszał się butelkami i strzykawkami, zbił jakiś krzyż i się do niego niby przybił na ziemi. Tak przekonywał do rzucenia nałogu. Był też jeden Franek z Chełma. Bardzo się zaangażował, a potem też bardzo przeżywał odejście Daniela. Spotkania te były zresztą obserwowane przez milicję, władza się nami interesowała. Raz nawet mnie wezwali na przesłuchanie. Zadawano mi różne pytania i między innymi wtedy spytał ten prowadzący przesłuchanie, czy ja znam pana Drzewieckiego, mówię, że nie, nie znam takiego. No, on mówi, taki starszy, taki brodaty... Ja na to, że nie znam takiego. A on mówi, „on u was bywa, w tym lokalu, ja mówię „Acha, ten guru!”... No właśnie guru, On u nas nie bywa - mówię - to za dużo powiedziane. Po prostu czasem przychodzi. Powiedziałem im nawet, że odbieramy go jako intruza. Może trochę przesadziłem, ale kto tam wie, co on narozrabiał, nie chciałem, aby to rzutowało na księdza Tadeusza. Mówili, że się nim interesują, że na razie go obserwują. A jakie były tego skutki, już tego nie wiem.

- A jeśli chodzi o to jego leczenie narkomanów? Ponoć założył jakiś ośrodek leczenia narkomanów?

- Odwiedzałem go parę razy w tym, jak to mówisz, „ośrodku”, choć nie przyszłoby mi do głowy nazwać tego ośrodkiem. Była to zwyczajna nora, przypominała raczej melinę, chyba zresztą wyłudził ją od jakiegoś pijaka. Poustawiali kilka łóżek, trochę posprzątało i tyle. Ja sam nie miałem tego typu problemów, więc wpadałem tam towarzysko. Kilku kumpli wpadło w to gównno, wiesz, wtedy była w zasadzie tylko marycha, hasz i ta polska heroina, znaczy się, kompot ze słomy makowej. Chłopacy systematycznie jeździli w Bieszczady, do zagłębia makowego, tam też różne niewesołe rzeczy się działy. Wcześniej takie zagłębie było w Lednicy i Głogowie, gdzie



pod parasolem „wojsk bratnich” sprowadzano wszystko co się chciało. Na zlotach też wieczorami było widać tylko migotanie świeczek w namiotach, bo oni na tych świeczkach to sobie ten kompot właśnie wazyli. Ksiądz Tadeusz próbował im mimo wszystko pomagać, ale on w problem narkotyków bezpośrednio nie wchodził. Raz jeden inspektor przyjechał, patrzy co się dzieje, że ktoś gdzieś tam przyćpawa, inni, tam gdzieś się bzykają, gdzieś tam papierosy i pyta „Tadeusz, co ty na to?” A on mówi: „A ja jestem tu po to, żeby ich rozgrzeszać.” Mówię ci, normalnie „patologia miłości”, wszystkich akceptuje, nie osądza i tyle. Niektórzy pod jego wpływem przestawali ćpać, niektórzy potem do ćpania wracali, tak to już z nimi jest. A Daniel faktycznie, przynajmniej dwóm, no może trzem z nich pomógł, wiesz, on potrafił działać na ludzi. A to nie było proste. Tam nie było warunków, żeby robić normalny detoks jak w Monarze, ci ludzie by się pozarzynali. Więc trzeba było stopniowo ograniczać dawki narkotyku, a jednocześnie on im tam tą swoją ideologią tego Bô Yin Râ usiłował pokazać, że jest po co żyć. Czasami to działało. Zaczęło się to sypać, po jednej takiej śmiesznej scenie, którą mi chłopacy opowiadali. Siedzieli sobie z guru Danielem w tej melinie, coś tam im wykladał, a miał do tego samozaparcie niezwykle, a tam nagle wybiegł skądś szczur. Musiał być już chyba stary albo chory, albo nawąchał się jakiś oparów, bo za bardzo widać nie uciekał. A Daniel go wziął i, tak, tego, nogą, a tam wszyscy wiesz, hipisi, pacyfiści, co drugi to wegetarianin i ich serce zabolalo. On się później niby próbował tłumaczyć, że niby niechący, ale ci co to widzieli, to nie mieli wątpliwości, że on go nadepnął celowo. Jak to się mówi „żeby zabić”. No to była pierwsza taka ważna rysa na jego, że tak powiem, wizerunku.

Potem była jeszcze jedna taka sytuacja, dość nieprzyjemna, która - mnie przynajmniej - dość definitywnie do niego zraziła. To było z kolei na zlocie. Był tam taki Maciek, człowiek lata, jak to się mówi, wszyscy go lubili, zajmował się ponoć białą tantrą. Moim kumplem też, że tak powiem, był dość dobrym. Ale coś mu odbiło i zaczął wówczas Daniela, niby to rzucił mu wyzwanie. Na to jeden z uczniów Daniela podszedł i lekko pchnął go w okolice serca. Maciej padł nieprzytomny na ziemię, aż go musiało pogotowie zabierać. Potem uciekł ze szpitala i błąkał się po Polsce. Szukaliśmy go, ale nawet jego żona nie miała pojęcia gdzie jest. A Daniel wrzeszczał, że wygrał walkę, że ma większą moc, całe obozowisko słyszało. I to tyle moich kontaktów z guru Danielem.

Gdy to już się rozpadło, spotkałem takiego jednego narkomana Józefowskiego, był on bardzo zaangażowany, wierzył bardzo guru Danielowi. Zagadnąłem go: „Coś nie wyszło”?

Wtedy mi taką wiązką odpalił, jak jeszcze nikt nigdy. Potem strzelił sobie „złoty strzał”. Mocno to wtedy przeżyłem.

- Ktoś jeszcze popełnił samobójstwo?

- Nic o tym nie wiem. Samego Daniela już potem nie spotkałem, po prostu zniknął gdzieś pod koniec lat 80. Generalnie, narobił trochę szumu. Później przez jakiś czas rosły wokół niego plotki, mity. Chodziły słuchy, że para się czarną magią, i że żywi się złą energią w tajemnych praktykach duchowych, dzięki którym zachowuje młody wygląd mimo podeszłego wieku. Opowiadali też, że potrafi hipnotyzować i generalnie nic nie można mu zrobić, bo dysponuje potężną mocą. Ja raz go wprost zapytałem o tantrę, bo raz o tym wspomniał, to odpowiedział, że oczywiście, że jest tantrykiem. Może to nawet i czarna tantra była, taka co wiesz, przez medytację na cmentarzu uzyskuje się jakieś moce magiczne, a może tylko czerwona, seksualna, ale z białymi tantrykami się widać nie lubił. Często się zdarza, że osoby co praktykują białą bez porządnego przewodnictwa przechodzą na czarną, dlatego tantra w Indiach nie jest zbyt lubiana. Praktyki oparte na utożsamianiu się z Bogiem niejednokrotnie wzmacniają ego, a jeśli człowiek ma niedopracowany kręgosłup moralny, może stać się takim Lordem Vaderem.

\* \* \*

Doprawdy póki z tematyką ezoteryczną w księgarniach dostarczały wiele, zbyt wiele informacji. Michał bez większego trudu odnalazł z czterdzieści nazwisk praktykujących tarocistów, z dwudziestokilku astrologów i od groma chiromantów. Jak laik ma odróżnić „górną półkę” z której rekrutować się mieli znajomi guru Daniela?

- To rzeczywiście mały kłopot - powiedział Śliwiński, gdy Michał zwrócił się do niego z tym problemem. - Niech pan zrobi tak... - Michał silniej przycisnął słuchawkę do ucha i wyszarpnął notes spod góry papierów, znalazł jakiś ołówek i zamarł w oczekiwaniu. - Najprościej będzie panu z astrologami, to mimo wszystko najbardziej ścisła z dyscyplin ezoterycznych, o ile w ogóle można tu mówić o ścisłości. Niech pan sprawdzi w księgarniach, które nazwiska dominują na półkach. Niech pan zajrzy do jakiejś z tych książek, kto dla autora czy autorki jest autorytetem i wkrótce dotrze pan do ścisłego grona. Nie sądzę, by to było więcej niż trzy, cztery osoby w Polsce. Z tarocistami będzie trochę trudniej, spróbuję tu panu pomóc. A chiromantów to niech pan na razie odłoży, zupełnie nie mam pojęcia jak się wśród nich można rozeznąć.

Michał był rozczarowany. Profesor z pewnością mógłby sygnalizować paroma nazwiskami, a wysyłał go na poszukiwanie do księgarni. „Widać uznał, że skorzystam zdobywając pewną orientację w tych mętnych wodach...”

\* \* \*

- Pan chce pisać o ezoteryce i nie zna tego nazwiska?! Pan Wiesław Bopek, którego w końcu wymienił Śliwiński, gdy się spotkali po tygodniu, był początkowo dla Michała zagadką. Nazwisko to nic mu nie mówiło. Śliwiński spojrzał na niego z wyrzutem, jakby popełnił straszną gafę swoją pytającą miną. Michał gorąco podziękował za wskazanie tropu i czym prędzej zasiadł w bibliotece przed stanowiskiem z komputerem. Wystukał nazwisko pana Bopka w okienko wyszukiwarki katalogu bibliotecznego. Liczba wskazań zaskoczyła go. Okazało się, że Wiesław Bopek przetłumaczył chyba z pięćdziesiąt książek, i to nie tylko z ezoteryki klasycznej i współczesnej. Były to prace z dziedziny astrologii, psychologii transpersonalnej, jakaś książka z kręgów zbliżonych do Crowleya, coś o archetypach Junga, fundamentalne opracowanie filozofii szamanistycznej, podręcznik tarota, książka o związkach buddyzmu ze współczesną nauką. Był wydawcą pracy zbiorowej o psychotronice i wielu, wielu innych. Człowiek czytając książki, pomyślał Michał, zwraca uwagę na autora, a zapomina o tłumaczu. A przetłumaczenie książki nie zawsze jest działalnością tylko zawodową. Czasem może być momentem we własnych poszukiwaniach.

Na okładce jednej z zamówionych książek zamieszczono biografię pana Bopka. Jakież było zdziwienie Michała, gdy okazało się, że facet skończył psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, a potem zrobił doktorat z socjologii. Zjechał ponoć pół świata. Najpierw, poszukując wiedzy ezoterycznej, odwiedzał Indie i Tybet, potem był stypendystą znanej fundacji na Sorbonie. W późniejszym okresie jeździł już po Polsce w związku z wykładami, na które był zewsząd zapraszany. Okazało się, że na co dzień pracował w Muzeum Etnograficznym w Krakowie. Na stronie Muzeum udało mu się odnaleźć jego numer telefonu.

Gdy zadzwonił do słynnego znawcy ezoteryki i wymienił nazwisko Daniela, usłyszał w słuchawce złowrogie:

- O kurde.

Po długiej chwili milczenia Bopek dodał:

- No dobra. Ale w takim razie musimy się spotkać, mam tutaj panu wiele do powiedzenia.

To absolutnie nie jest rozmowa na telefon.

Umówić się nie było jednak łatwo. Michał miał i tak szczęście, bo był to pierwszy dzień po powrocie Bopka do kraju z wykładów w Detroit, a w najbliższym czasie kroił się kolejny wyjazd do Londynu na letnią szkołę ezoteryczną. Dopiero po powrocie ze Stanów między wykładem o wiedzy tajemnej Majów a sesją tarota dla pani minister Orłowskiej, znalazł chwilę na rozmowę z młodym socjologiem. Szczęśliwie się składało, że pewne sprawy sprowadzały go na Alma Mater Michała, co dawało okazję do spotkania.

Doszło do niego na Wydziale Matematyki, gdzie pan Bopek przymierzał się do pisania kolejnego doktoratu. Michał przyszedł nieco wcześniej i po kilkuminutowych negocjacjach z paniami z portierni udało mu się wypożyczyć jakąś salkę. Z kluczem w ręku oczekiwał na nadejście Wielkiego Maga. Miał ze sobą też jedną z ostatnich jego książek z zamiarem zdobycia dedykacji od sławnego człowieka.

Michałowi nie udało się dotrzeć do żadnego zdjęcia swego rozmówcy, ale mimo to, nie miał najmniejszych problemów z rozpoznaniem go w tłumie przechodniów. Miał na sobie koszulkę z barwnym wyobrażeniem czarownika, chyba Gandalfa z Władcy Pierścieni. Poruszał się krokiem człowieka ożywianego niegasnącą pasją. Mówił głębokim niskim głosem wprawnego gawędziarza. Inteligentne oczy osadzone w dużej, mięsistej twarzy rzucały na wszystkie strony przenikliwe spojrzenia. Oto słynny pan Bopek.

Energicznie uściśnął Michałowi rękę i dał się poprowadzić do budynku. Weszli do pomieszczenia seminaryjnego Zakładu Analizy Fraktalnej. Na wstępie pan Bopek wyjął swoje wahadełko i zabrał się do dokładnego przebadania stanu zdrowia Michała, co jemu się niezbyt uśmiechało. Sam prowadził niejednokrotnie pogadanki z młodzieżą w liceach dowodzące nienaukowości radiestezji. Zastanawiał się, czy zgadzając się na to „badanie”, nie posunął się za daleko. Stanowisko Kościoła w odniesieniu do radiestezji było jednoznaczne. Przypomniał sobie dylematy pierwszych chrześcijan: „jeść mięso poświęcone bałwanom czy nie jeść” i rozwiązanie świętego Pawła: jeśli nie wierzysz w bożki to jedz, chyba, że gorszysz tym maluczkich. W pomieszczeniu Zakładu Analizy Fraktalnej żadnych maluczkich nie było, a skoro Bopkowi sprawia to satysfakcję...

- Gratuluję zdrowia! - powiedział Bopek. - To rzadkość w naszych czasach. Niech pan tylko uważa na stawy. W każdym razie ciało nie powinno panu przeszkodzić w napisaniu tej pracy.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, bym nagrywał na dyktafon? - zapytał Michał, gdy już usiedli.

- Niechby pan spróbował nie nagrywać! Socjolog bez dyktafonu?! Nie ma sprawy, jeśli pan nie użyje tych informacji do jakiś niecnych celów, to nie ma sprawy.

Potem zaczęła się opowieść. Michałowi nie było dane się odezwać do końca spotkania.

- Po raz pierwszy spotkałem go na zjeździe Stowarzyszenia Psychotroników. Daniel właściwie kazał się nazywać Czterdzieści Cztery, długo nieznane mi było jego nazwisko. To było chyba w roku 1979 na jesieni, taak. Jego zachowanie już wtedy było bardzo charakterystyczne i typowe, choć nie był jeszcze znany. Zabierał głos, a nawet chyba przemawiał. Mówił bardzo głośno z dosyć dużą determinacją, powiedzmy charyzmatem, charyzmą typu wodzowskiego, który, jak pan wie, oddziałuje na słabszych. Chciałbym to szczególnie podkreślić, bo wydaje mi się to bardzo ważne, jeśli pan chce zrozumieć jego fenomen.

To, co mówił, nie było dużej klasy, był to ewidentny populizm, taak, ale zahaczało o coś, co można by określić jako ezoteryka, dlatego mnie to zainteresowało. Ale faktycznie, mówił tak głośno, że przeszkadzał. Wkrótce też zebrała się jakaś grupa na tym zjeździe i chciano go, krótko mówiąc, wypieprzyć. Gdzieś go w każdym razie nie chcieli wpuścić czy go wyrzucali... A ja mam taką jakąś krnąbrną naturę, że zawsze staję po stronie ludzi, przeciwko którym występuje władza. Namówiłem Andrzeja Nawrotkowskiego, dość sławnego astrologa, i się razem wstawiliśmy za Danielem do ówczesnego szefa tego Związku Psychotroników. Prezes był to człowiek z typu tych, którzy podzielają zdanie swego ostatniego przedmówcy, więc nie było problemu, by go przekonać. Uważałem, że jak się go weźmie „pod kuratelę”, to było wtedy modne słowo, to będzie można go uspokoić. Nie wiedziałem, co czynię! Tak więc go z Jędrkiem wybroniliśmy. On nam to zapamiętał i nigdy wprost przeciwko nam nie wystąpił. Bo rzeczywiście, miałby wilczy bilet na wszystkie imprezy ezoteryczne, jakie się wówczas odbywały, a nie było ich wiele. Z większości z nich już go chyba zresztą wcześniej wyrzucono, więc to była ostatnia szansa dla niego, by w światku ezoterycznym cokolwiek jeszcze zdziałać.

Tak więc sprawowaliśmy nad nim tę kuratelę, średnio nam to wychodziło, bo i tak robił, co chciał. Zamieszkał u Andrzeja w takim malutkim dwupokojowym mieszkaniu w bloku. U mnie zresztą też czasami bywał, wyżerał mi całe słoiki miodu, o które wtedy nie było łatwo, trzeba było kupować, dostarczać. Był generalnie człowiekiem złych manier, taak, nie dbał o to

zupełnie. Cały czas krążył między mną a Jędrusem i załatwiał jakieś swoje sprawy. Później chyba wynajmował jakieś mieszkanie.

Przede wszystkim na pewno szukał uczniów i to takich, na których mógł oddziaływać również hipnotycznie. Daniel hipnotyzował, nawet nie wiedząc. Nie lubię tego słowa, ale, uczciwie rzecz biorąc, ono musi tu paść: miał charyzmat przywódcy sekty. Mieliśmy z Jędrkiem niewielką szkółkę ezoteryczną, podebrał nam stamtąd dwie uczennice. On je po prostu, nazwijmy to łagodnie, zniewolił. Były to bardzo zdolne studentki. Mieszkały z nim, krótko mówiąc, były jego kobietami, nawet nie dziewczynami, ale kobietami do posługi. Taak. Szczególnie ważna tu jest Urszula, ona zaszła dość wysoko, również w kręgach władzy i biznesu. Bardzo mądra kobieta, natomiast od początku pod niesłychanie silnym jego wpływem. Później to trochę się poluźniło, ale wszyscy jego uczniowie byli mu bardzo wierni. Ostrzegałem ich, ale to się dopiero potem okazało, że łatwiej jest się do niego przywiązać niż od niego później odwiązać. Myślę, że on stosował różne manipulacje, w tym zakresie. Taak, to jest wpływ na całe życie, zniewolenie na całe życie. Oni właściwie nie mieli z nim żadnej dyskusji. Łamał ich. I tworzył z nich porządną, że tak powiem, hitlerjugend.

Na przykład ta Paulina, która obecnie jest z nim, taka chuda, dosyć wysoka, bardzo atrakcyjna. Nosila za nim teczki, papióry, wszystko. Zupełnie zniewolona. Taak. Ale oczywiście inteligentniejsza była Urszula. Gdyby jej pozwolił, to już by doszła do profesury, ale ciągle ją w coś angażował. Kończyła jakieś dobre katolickie liceum dla dziewcząt, nawet miała iść do zakonu. Pamiętam ją, taką spokojną, pełno wątpliwości w głowie, wiersze niezłe pisała. Aż ją Daniel przejął.

Ja wiedziałem, że on zniewala, uprzedzałem i wtedy on zaczynał okresowo ze mną walczyć. Ale szybko zorientował się, że ja tylko mówię i nie podejmuję żadnych działań, nie szkodziłem mu. Tak że potem on mi szkodził w bardzo nikły sposób. Nie zwalczał mnie, bo mu się nie kalkulowało, bo miałem do niego słabość. Oczywiście spiskował przeciwko mnie, tak samo jak przeciwko każdemu. Przeciwko Jędrkowi też oczywiście, ale cóż, nie można się tym przejmować zbyt, trzeba mieć dystans. Przysyłał ludzi na moje zajęcia, potem się okazało, że wszystko nagrywali, chociaż na to nie pozwalałem, ale do tego jeszcze wrócę.

Otóż właśnie dochodzimy do sedna. On chciał władzy, ale w specyficznym sensie, on chciał wziąć rząd dusz, taak. To nie ulega wątpliwości, mickiewiczowski rząd dusz, dlatego kazał się nazywać 44, że on jest przeznaczony i powoływał się gęsto na chiromantów, jasnowidzów,

że mu to niby wychodziło z horoskopu, co było, obawiam się, czystą formą manipulowania informacją. Zresztą niech pan sobie porozmawia z Andrzejem Nawrotkowskim, to panu powie o jego horoskopie, znajdzie go pan w Stowarzyszeniu Astrologów. Ale przede wszystkim on chciał osiąść zdolność manipulowania ludźmi, dla swoich celów władania światem. Lgnął dlatego do ludzi silnych, których musiał albo podporządkować sobie, albo zwalczyć. Jemu się tylko oczywiście wydawało, że ci ludzie mu się podporządkowywali, a to polegało po prostu na tym, że nie odzywali się, nie zaprzeczali mu stanowczo, bo, po pierwsze, to on ich potrafił wcale nie dopuścić do głosu, a po drugie, to pewnie sobie myśleli, co będą z takim typem dyskutować. Choć z drugiej strony mógł być dla nich pod pewnym względem interesujący, jako taki okaz. Przy tym on to cały czas mówił wprost, że będzie władał i manipulował wszystkimi. To też odstraszyło od niego wielu mądrych ludzi. Choć to mu trzeba oddać, że pod tym względem był w tej swojej manipulacji swoiście uczciwy, mówił, że manipuluje i mówił po co. Twierdził oczywiście, że dla dobra swoich owieczek.

On mi też wielokrotnie mówił, że ma potężnych sojuszników, że nimi manipulował, co oczywiście guzik prawda, bo znałem tych ludzi i rozmawialiśmy o nim wielokroć, tak, że wiem jak to wyglądało.

Trzeba jednak przyznać, że chciał chłonąć od mądrzejszych. Uczył się od różnych mądrych ludzi, ale ile się z tego nauczył, to już osobna sprawa. Od jednych usiłował wydusić sposoby sprawowania władzy, socjotechniki. Bardzo się też interesował socjocybernetyką, choć nie znał się na matematyce, więc to tylko dość powierzchownie zgłębiał. Od innych chciał przejąć, że tak powiem, stronę ezoteryczną: tarot, astrologię i radiestezję. Znaczący, on się tego sam nie nauczył, od tego miał te uczennice: Ulę i Paulinę. Dla Daniela tarot musiał być atrakcyjny, bo mógłby manipulować ludźmi, ale nie był w stanie zrozumieć tarota, zresztą astrologii też.

Pokazywał mi bibliotekę, która już wtedy była imponująca, to było wielkie osiągnięcie, indywidualnie zgromadzić taką bibliotekę. Taak. Na to musiało pracować bardzo wielu ludzi. Z tego względu chwala mu. Mówię to jako uczciwy naukowiec - naukowcem jest się ciągle, niezależnie, co wykonujesz, tak samo jak kurwa, to nie zawód - to charakter. Tak samo naukowiec to charakter i koniec. Jako naukowiec uważam, że to była wtedy jedna z najlepszych w Polsce prywatnych kolekcji ezoterycznofilozoficznych. Wtedy zrobił pewien błąd, pokazał mi kolekcję moich książek, ale to jeszcze nic, pokazał mi, kilkaset taśm z nagraniami moich wykładów, chociaż nie pozwalałem nagrywać. Były tam też wykłady innych najlepszych

polskich ezoteryków. Podobno przerabiał to ze swymi uczniami. No, to nie były najgorsze materiały. W zalewie tego różnego chłamu pseudowiedzy miały jakąś wartość. Ale kłopot polega na tym, że on kazał studiować na przykład Bopka, po czym udoskonalał Bopka. W tym momencie rzecz przestawała mieć sens, to zaczynało kierować się babską logiką, gdzie już wtedy wszystko można.

Interesował się rzeczywiście wszystkim chyba. W tej jego bibliotece, zresztą bardzo dobrze uporządkowanej, utrzymanej, była i socjologia, osobno psychologia, kulturoznawstwo, religioznawstwo, literatura źródłowa, w tym teksty różnych systemów religijnych... No i oczywiście cała klasyka ezoteryki: od jogi przez Gurdżijewa, Szaha, po tarot, też pewnie z magii by się sporo znalazło. Choć nie mogłem się temu za bardzo przyjrzeć, nie było czasu, to robiło wrażenie. To nawet nie chodzi, że on to wszystko znał, bo to raczej niemożliwe, trzeba by było umysłu geniusza! W tym przypadku bardziej był kolekcjonerem niż myślicielem, ale tacy kolekcjonerzy mają swoją wartość dla nauki, zwłaszcza gdy mają środki do poszerzania kolekcji. A on miał. Wiadomo skąd.

Gdy mówimy o jego poglądach ezoterycznych, to oczywiście trzeba powiedzieć o Bô Yin Râ. To była jakby jego ideologia. To była jego biblia. On zrobił sobie z tego katechizm. Taak. To są dość proste teksty, w porównaniu na przykład z Böhmem. Weiskał nam to stale do szkoły i myślał, że nas nim zainfekował. Ja to machnąłem, co to było dla mnie przeczytać, ja przecież ciągle czytam. Nie zrobiło to na mnie żadnego większego wrażenia. Do mnie to nie trafiało. To ezoteryka chwytliwa, ale trzeciorzędna z punktu widzenia powiedzmy filozofii. On natomiast się tego uczył na pamięć i kazał się uczyć na pamięć uczniom. Znaczy, kazał czytać w kółko, a że na głupców nie trafił, no to się prędzej czy później nauczyli. Osobna sprawa, że, mówiąc nieco złośliwie, trzeba być rzeczywiście geniuszem, żeby z tego Bô Yin Râ zrobić ideologię sekty. Jest to zadanie równie łatwe, jak zrobienie totalitarnej ideologii z nauk Gandhiego. Z drugiej strony, skoro torturowano i zarzynano ludzi w imię Jezusa, największego nauczyciela miłości, to znaczy, że można to zrobić z każdym tekstem. Jeśli się go traktuje na poziomie tekstu, a nie doświadczenia. A tak, obawiam się, było w przypadku Daniela. Nie twierdzę, że on niczego tam nie przeżył, ale to raczej nie pochodziło z przekazu Bô Yin Râ. Widzi pan, w związku z tym, ważna socjologicznie sprawa: to nie polegało w przypadku Daniela na tym, co głosił, to oczywiście trochę też przyciągało, ale przede wszystkim to był wpływ osobisty. Jak mówię, w



dużej mierze hipnotyczny. To pan musi dobrze zrozumieć. Zwłaszcza, jeśli pan miał się z nim kiedyś spotkać.

Ale, jeśli pan chce zrozumieć, co Danielowi siedzi w głowie, to tego Bô Yin Râ musi pan koniecznie parę książek przeczytać. To zresztą bardzo pozytywna postać, może niesprawiedliwie powiedziałem, że to trzeciorzędna ezoteryka, powiedzmy taka głęboko przeżyta wiedza, ale podana w przystępny sposób. Zwariować od niej raczej nikt nie zwariuje, od tarota to i owszem, można. Do mojego kolegi po fachu, takiego dalszego znajomego trzeba było sprowadzać egzorcystów z Rzymu, ale Bô Yin Râ to nikomu nie zaszkodzi, wielu ludzi buduje na tym swój rozwój i dobrze im z tym.

Z innych tradycji ezoterycznych, to Daniel mógł trochę znać jogę. Skąd? Na pewno z książek. Zrobił też chyba uprawnienia instruktora jogi w TKKFie. Ale przede wszystkim z książek. Chociaż, wie pan co, coś mi się przypomina, że kiedy zginął, zresztą w bardzo tajemniczych okolicznościach, Leon Kipora, to on to bardzo mocno przeżył, czyli mógł być z nim związany, ale to trzeba sprawdzić. Kipora, to był dziwny doktor docent, wydał fenomenalną książkę do jogi, oj, dwadzieścia lat temu. Jego trupa znaleziono w Bystrzycy pod Lublinem. Wygląda na to, że go sprzątnęły służby bezpieczeństwa. Był filozofem jogi, bardzo pozytywna postać, to był dobry człowiek, a przez to człowiek niewygodny. Zginął w dziwny sposób, ale jeśli Daniel go znał, to byłby to silny wpływ i dobry wpływ. Jest taki jeden jogin, Janusz Nowicki, on może coś o tym wiedzieć, chyba zresztą znał Daniela. To tak w ogóle niezbyt poważny facet, ale dla pana może być cenny, jako źródło informacji.

Ja, już tak kończąc, bo muszę jechać dalej, powiem tak: nie sądzę, żeby on komuś jakąś większą krzywdę zrobił poza tym, że manipulował ludźmi, ileś sierotek wybawił, które by się pewnie pogubiły w życiu, ileś zniewolił, ale tak obiektywnie patrząc, niektórzy ludzie chyba potrzebują zniewolenia. Parę duszyczek może wyciągnął z jakiegoś chaosu i kryzysu, paru ludzi przeczytało parę dobrych książek. Władzy nie dostał, a żadnych zbrodniczych zamiarów jej przejęcia nie miał. Innymi słowy, Daniel jest kochany chłopak. Umie Bô Yin Râ na pamięć. Natomiast tarota nie rozumie.

Michał był oszołomiony wielością informacji, szybko jednak się zreflektował i poprosił o dedykację w przyniesionej ze sobą książce pana Bopka. Wielki Mag zamaszystymi ruchami rozpiął się na całej stronie i wręczył książkę z szerokim uśmiechem. Umówili się, że jak pojawią się jeszcze jakieś pytania, to będą w kontakcie.

## Rozdział XV

Michał był bardzo zadowolony z siebie. Referat, tak jak sobie obiecał, wygłosił bez kartki, przywołując z pamięci całe fragmenty prac, rzucając nazwiskami i danymi. Udało mu się wiernie i z przygniatającą logiką odmalować napawający lekciem obraz procesu, który prowadził ludzi do sekt i czynił z nich bezwolne marionetki w rękach guru. To rzeczywiście było przerażające, że normalni ludzie porzucali rodziny i karierę, zaczęli podzielać wierzenia, które każdemu niezmanipulowanemu wydałyby się absurdalne, jak to o lądowaniu kosmitów na Ślęży, uczestniczyli w dziwacznych obrzędach, jak ten, gdy jeden z guru kazał swym wyznawcą pić wodę, w której wcześniej myli mu nogi.

- Bardzo dziękujemy panu Michałowi - powiedział profesor Śliwiński, gdy student usiadł już na swoim miejscu - że tak wspaniale przedstawił nam proces werbunku do sekt z perspektywy koncepcji koercyjnej.

Nawet doktor Remielski, który wyjątkowo zjawił się na seminarium, kiwał z uznaniem głową, a mina Jakuba najlepiej świadczyła o przytłaczającym wrażeniu, jakie wywarł na nim referat. Michał spojrzał z satysfakcją na Monikę, ale ona zdawała się nie podzielać tego powszechnego uznania. Uśmiechała się lekko i przerzucała szybkimi ruchami olbrzymi, niedomykający się skoroszyt pełen kserówek powkładanych w foliowe koszulki. Te pięć minut, a raczej czterdzieści pięć należało do niej. Jej pewność siebie zbijała Michała z tropu, ale starał się zachować kamienny wyraz twarzy.

- Teraz prosimy panią Monikę, która, jak sądzę, ma już świetny punkt wyjścia do koreferatu.

- Dziękuję. - Zaczęła. - Rzeczywiście, w referacie padły tezy, do których chciałabym się ustosunkować. Po pierwsze, Michał powiedział, że koncepcja ta jest powszechnie przyjęta. Trzeba by dodać, że przyjęta w środowisku osób zwalczających sekty, czy zajmujących się terapią byłych członków. Nieco inaczej kształtuje się obraz w środowisku naukowym. Sprawa wypłynęła przy okazji rozprawy sądowej, słynnej sprawy Molko przeciw Kościołowi Zjednoczeniowemu... ale nie będę tu tych thrillerów sądowych omawiać, bo to jest temat na odrębny referat czy powieść. Najważniejsze jest dla nas to, że teorię koercyjną w zastosowaniu do sekt odrzuciły Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne, Amerykańskie Towarzystwo

Socjologiczne, Amerykańskie Towarzystwo Psychiatrów i Stowarzyszenie Naukowych Badań nad Religią. Ostatecznie koncepcja ta została wykreślona z listy teorii naukowych dopuszczanych do stosowania w amerykańskich sądach.

Michał czuł narastający ucisk w żołądku. Zaczął nerwowo notować przychodzące mu do głowy kontrargumenty, choć po zapisaniu stwierdził, że są zbyt banalne, by wygłosić je tutaj publicznie. Monika kontynuowała, początkowo mówiąc dość cicho, stłumiona tremą, potem jednak szybko się rozkręciła, jakby zapomniała o obecności profesora i innych słuchaczy, zwracając się przede wszystkim do Michała.

- Druga kwestia, to teoria komercyjna zakłada, że techniki psychomanipulacji są tak niezwykle skuteczne. Zacznijmy od początku. Padło tu nazwisko Edwarda Huntera. Otóż nie jest tak, że on był tylko dziennikarzem, który opisał proces prania mózgu, jakiemu zostali poddani amerykańscy żołnierze w Korei. Hunter był specjalistą od wojny psychologicznej CIA i jej agentem wpływu. Jego publikacja na temat prania mózgu była częścią operacji specjalnej mającej wzbudzić w społeczeństwie amerykańskim lęk przed komunistami i nienawiść do nich. Jednocześnie miało to usprawiedliwić własne badania CIA nad praniem mózgu, czyli ściśle tajny program o kryptonimie MK Ultra, który zamknięto dopiero w 1974 roku. Stosowano tam hipnozę, elektrowstrząsy, tortury i narkotyki. Co dla nas najważniejsze: eksperymenty CIA zakończyły się niepowodzeniem. CIA nie udało się uczynić z człowieka „żywej marionetki”.

Michał nic o tym nie słyszał, wszystko to trąciło jakąś spiskową teorią, jakich pełno rozpowszechniały amerykańskie stowarzyszenia antyrządowe.

- Mogłoby wydawać się dziwne, że największemu mocarstwu nie udało się to, co udało się Chińczykom. Problem w tym, że skuteczność prania mózgu w Korei również nie była tak wielka. Schein podaje, że jedynie 16 procent więźniów nawróciło się na komunizm, przy czym większości po powrocie do ojczyzny wracał rozum. Jak zauważył z kolei Lifton, ci, co się nawrócili, w większości wcześniej mieli już lewicowe poglądy.

Michał znał doskonale nazwiska Scheina i Liftona, psychiatrów badających zwolnionych z komunistycznej niewoli Amerykanów, ale o tych danych nie słyszał. Znał tylko modele zniewolenia, jakie opracowali. Miał poczucie, że ktoś wkracza na jego teren. Brutalnie i bezlitośnie wydziera mu grunt pod nogami.

- Zwolennicy teorii koercyjnej, na przykład Singer czy Hassan, twierdzą jednak, że sekty wykorzystały trzydzieści lat rozwoju psychologii, by stworzyć znacznie skuteczniejszą metodę,

pranie mózgu „drugiej generacji”. - Michała zaczynał złościć coraz częściej pojawiający się w wypowiedzi Moniki ton ironii. - Ale gdyby to była prawda, już dawno wszyscy bylibyśmy członkami jakiejś sekty.

- Może jesteśmy? - zażartował doktor Remielski.

- Gdyby jakaś sekta powstała w roku 1953, i gdyby wprowadziła obowiązek, że każdy ma przy pomocy owych skutecznych technik zwerbować jedną osobę na rok, już dawno nie miałyby nikogo do nawracania, cała ludzkość znajdowałaby się już w jej szeregach.

- Dlaczego w tym akurat roku? - zapytał Michał, chcąc złapać jakikolwiek przyczółek do kontrataku.

- W tym roku zaczął działać Sun Myung Moon, założyciel Kościoła Zjednoczeniowego. A to właśnie ta organizacja najczęściej jest oskarżana o stosowanie psychotechnik manipulacji. - Monika, wyczuwając widocznie złość w głosie Michała starała się teraz mówić spokojniej. - Kościół ten był jednak również przedmiotem licznych badań socjologicznych. Wynika z nich, że najlepsze rezultaty osiągał on, werbując w ramach specjalnych warsztatów weekendowych. Oczywiście przyjeżdżali na nie ci, których już się jakoś udało zainteresować. I faktycznie, w ciągu tych kilku dni byli poddawani wszystkim tym procedurom, które Michał tak kompetentnie opisał: bombardowaniu miłością, nieustannej towarzyszącej obecności wyznawców, bezustannej indoktrynacji i tak dalej. Po tych warsztatach, dalsze zainteresowanie tą organizacją wyraziła jedynie co dziesiąta osoba. Po dwóch tygodniach zostało z tego osiem procent.

- Bardzo dokładnie przeczytałam autobiografię Hassana - podjęła po chwili Monika - i doszłam do wniosku, że to wcale nie znaczy, że owe osiem procent nawróciło się na moonizm w wyniku zastosowania tych technik. Hassan pisał wielokrotnie, że techniki te wzbudzały w nim opór i sprzeciw, czuł się przymuszany i usiłował się stamtąd wyrwać. Nawrócił się zaś, gdy był już od tej presji wolny, po kilku dniach samotnej modlitwy u siebie w domu i rozmowie z rabinem. Sądzę więc, że techniki te podziałały tak naprawdę na owe dwa procent kandydatów, którzy pierwotnie się zadeklarowali, ale wolni od presji otrzeźwieli, i już więcej się nie pojawili. - Monika kontynuowała, nie dając Michałowi odetchnąć: - Sekty nie są również tak skuteczne w kontrolowaniu swych członków. Okazuje się, że większość z nich odchodzi dobrowolnie po roku czy dwóch.

Michał gorączkowo starał się znaleźć jakąś lukę w rozumowaniu Moniki, ale po jednych argumentach zaraz padały drugie, zanim zdążył przemyśleć poprzednie.

- Przepraszam, że przerwę - wtrącił doktor Remielski - ale to w końcu sekty stosują, czy nie stosują owe psychotechniki? Bo skuteczność, to jakby oddzielna sprawa...

- Tak - weszła mu w słowo Monika - właśnie do tego przechodzę. Otóż problem tkwi w samej wieloznaczności tej koncepcji, bo co to znaczy technika? Potocznie rozumie się przez to zastosowanie wiedzy naukowej do zmieniania rzeczywistości. Ale gdy przyjrzeć się samej metodzie Cialdiniego, jaką zastosował do badania tych psychotechnik, to widać, że pojęcie to jest dwuznaczne. Technik tych szukał on wśród zwykłych ludzi, obserwował, jak jedni wpływają na drugich. Pisał też, że wszyscy stosujemy te techniki. I nie podał sposobu, jak odróżnić, czy ktoś stosuje technikę opartą na wiedzy naukowej, na przykład na opracowaniu Cialdiniego, czy na wiedzy potocznej, bo go rodzice tak wychowali, że jak się nie będzie porządnie ubierał, to ludzie go będą lekceważyli. Przy pomocy tej terminologii można w gruncie rzeczy opisać każdą relację, na przykład jak chłopak kupuje dziewczynie kwiaty, to można powiedzieć, że jego działanie opiera się na regule wzajemności.

- Można, ale to nie pozostaje bez konsekwencji - wtrącił profesor Śliwiński. - Zobaczcie państwo, że wtedy redukujemy całą złożoną relację społeczną do jednego wymiaru, wyłącznie utylitarnego. Tracimy z oczu uczucia tego mężczyzny, jego wychowanie, tradycję. Gdy mówimy o technice myślimy wyłącznie o efekcie, o celu działania. No i popełniamy psychiatryczne naznaczenie. Rzecz zwyczajną nazywamy psychiatrycznym terminem i od razu umieszczamy ją w podejrzanym kontekście. I wtedy, tak jak pani mówi, prawienie komplementów dziewczynie przez chłopaka może nam się jawić jako „bombardowanie miłością” zwłaszcza gdy zestawimy to z sytuacją po dwudziestu kilku latach małżeństwa. Gdy płaci rachunek w kawiarni czy za bilet w kinie, okazuje się, że posługuje się „regułą wzajemności”, chce wszak sprowokować reakcję odwzajemnienia, choćby w postaci przychylnego nastawienia.

- Ale przecież on nie był do tego szkolony! - Michał bronił swej obłączonej twierdzy.

- Czyżby? - zaśmiał się profesor. - Wszyscy byliśmy szkoleni! Nie uczono Pana przysłów „od rzemyczka do koziczka”, „jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B”? Nie odbierał Pan od rodziców lekcji dobrego wychowania, nie uczono Pana gościnności, wyrozumiałości w stosunku do nowopoznanych osób, reguł rządzących wymianą uprzejmości czy prezentów?

- Czyli wszyscy manipulujemy?

- Nie, bo to nie są techniki manipulacji, ale formy wpływu ludzi na siebie. Wszyscy się ich uczymy i je stosujemy, bo są skuteczne.

- A co, jeśli ktoś wykorzystuje wiedzę o tych formach, aby cynicznie wyrzucić na kogoś wpływ?

Profesor skinął na Monikę.

- Załóżmy - podjęła - że faktycznie samozwańczy prorok, który przestudiował Cialdiniego czy Hassana, zdobył dzięki psychomanipulacji kilkoro uczniów. Ale co dalej? Grupa przecież nie może poprzestać na tej skromnej garstce, dla samego proroka jest to w końcu dość krępujące być pod nieustanną obserwacją swych uczniów, którzy oczekują, że będzie stale wcieleniem doskonałości. Lepiej kazać im werbować następnych, przez co wzrośnie znaczenie i majątek sekty a tym samym i proroka. Ale jak mają werbować? Mogą robić to tak, jak potrafią - szczerze i naiwnie, w sposób amatorski i nieuczony.

- Oznacza to jednak kres stosowalności teorii psychomanipulacji - wtrącił Remielski.

- Prorok może im też przekazać swą wiedzę o technikach psychomanipulacji, aby werbowali kolejnych uczniów - powiedziała Monika. - Jednak czyż wtedy nie zdemaskuje sam siebie?

- Może ich przekonać, że należy stosować te techniki dla dobra ludzi, którzy mają być zwerbowani - odparł Michał.

- Ale czy wtedy, można jeszcze mówić o manipulacji, jeśli „manipulatorami” kierują szlachetne intencje? Jak odróżni tę manipulację od formacji, edukacji, szkolenia, kształtowania, pomocy w rozwoju? Stąd mam wątpliwości, czy można mówić w tym wypadku o manipulacji. Nawet Hassan przyznaje, że gdy nawracał innych, święcie wierzył w to, co mówił i że działa dla dobra tych osób.

- Ale pan Michał podał kilka przykładów bardzo przekonujących - powiedział Śliwiński, nie chcąc dopuścić do sytuacji intelektualnego linczu nad referentem. - Na przykład praktyki Hare Kryshna czy Rodziny.

- Ale większość z nich nie dotyczy sytuacji werbunku, ale kwestowania - odparła koreferentka. - Można zatem oskarżać sekty, że niezbyt uczciwie traktują niewiernych, ale nie, że w ten sposób zdobywają wyznawców. Psychotechniki działają wyłącznie na krótką metę, możemy dać się skusić reklamie i kupić bardzo drogą czekoladę. Ale nie kupimy jej drugi raz, gdy okaże się niesmaczna, albo po niej się rozchorujemy.

- Jednak, gdy weźmiemy model Liftona totalitarnego środowiska - znowu nie wytrzymał Michał - to przecież wszystko to się dokładnie pokrywa z relacjami członków sekt: kontrola

otoczenia, święta doktryna, mówienie upraszczającymi sloganami, nacisk na samooskarżanie się, nadprzyrodzone uprawomocnienie... Większość byłych członków sekt potwierdza, że stosowano wobec nich psychomanipulację.

- Tylko, że Lifton kończy swój artykuł stwierdzeniem, że wszystkie kultury stosują te metody, aby utrzymać swe wartości i organizację. Gdybyś wziął relacje byłych zakonników, to też by się wszystko pokrywało. Lifton nie potrafił powiedzieć, gdzie kończy się dozwolony, a gdzie zaczyna niedozwolony użytek z tych technik.

- Czyli można powiedzieć - odezwał się po raz pierwszy Jakub - że te elementy totalistycznego otoczenia, które wyróżnił Lifton, to narzędzia, stosowane przez grupę w celu przekształcenia swych członków, aby odpowiadali jej ideałom?

- Tak - odpowiedziała Monika. - I jeśli można jakoś wyznaczyć granicę, to byłaby to różnica między sytuacją, gdy osoba poddawana tym operacjom podziela ten ideał, czy też nie podziela. W tym drugim wypadku mamy właśnie do czynienia z mechanizmami przymusowej perswazji, gdy trzeba przymusem zmusić osobę do nauczenia się tego ideału i uznania go za obowiązujący. Sekty natomiast nie stosują przymusu.

- A przymus psychologiczny? - odparł Michał. - Nacisk grupy, mechanizmy konformizmu jak w eksperymencie Ascha, ulegania autorytetom, jak w eksperymencie Milgrama.

- Problem w tym, czy przyczyna jest proporcjonalna do skutku. Czy uwierzymy, że przy pomocy takich psychologicznych nacisków ludzie są w stanie oddać innym swoje życie.

Zapadła chwila ciszy, kiedy każdy w myślach szacował prawdopodobieństwo takiej decyzji, aż wreszcie odezwał się Jakub.

- Nie obraż się Michale, ale ja przychyliam się do stanowiska Moniki. To jest w końcu najważniejsza sprawa w życiu, przynajmniej dla tych ludzi - zbawienie duszy, i też uważam, że każdy nacisk, presja raczej odstrasza, odpycha. Tutaj ludzie są czuli i przewrażliwieni raczej na punkcie wolności, zwłaszcza ci, którzy do takich grup trafiają, którzy wcześniej porzucili Kościół katolicki często właśnie dlatego, że był zbyt opresyjny, że zostali do niego zapisani bez pytania o zgodę, gdy jeszcze nie mogli się sprzeciwić. A jeśli nawet owe techniki jakoś działają, to chyba na tych, którzy chcą być przekonani. W każdym razie nie wierzę, by kogoś można nawrócić wbrew jego woli.

- I jeśli można coś jeszcze powiedzieć - dorzucił po chwili doktor Remielski - to mi to całe rozumowanie bardzo przypomina pewne lewicowoanarchistyczne nurty w pedagogice, które

twierdzą, że wszystko jest przemocą, że nauczyciel w ogóle nie powinien niczego narzucać, tylko inspirować.

- Bezstresowe wychowanie - wtrąciła Monika.

- Chyba raczej antypedagogika - dorzucił Remielski. - Namnożyło się teraz takich różnych pajdocentrycznych koncepcji.

- A dlaczego się one panu nie podobają - zapytał Śliwiński. - Bo tak z głosu wnioskuje, że ich pan nie kocha?

- Wydaje mi się, że to najbardziej destrukcyjne nurty w cywilizacji. Od czasów Arystotelesa wiadomo, że człowiek jest zwierzęciem stadnym, każde stado, aby istnieć musi być względnie zwarte, a zatem wywierać jakąś presję na swych członków, a że jednocześnie składa się z osobników nierównych, to rzeczą najbardziej naturalną jest hierarchia i władza. Na co dzień się przecież stale z tym stykamy, ludzie od nas czegoś chcą a my od nich, wielu rzeczy nam nie wolno zrobić. Na tym chyba polega dojrzałość, by swą wolność znaleźć właśnie w takiej rzeczywistości, a nie gdzieś w oderwaniu od wszelkich presji i nacisków.

- Czyli co, sekty nie zniewalają i w ogóle są wspaniałe, nie tylko się zapisać, bo tam jest pełnia wolności i dojrzałości? - Michał już był wyraźnie zdesperowany.

- Nie, ja tego nie twierdziłam - odparła Monika. - Chodzi o to, by zrozumieć, jakie tu działają mechanizmy. Gdy policja dostanie meldunek o porwaniu samolotu przez terrorystów, to przecież kluczowe jest zrozumienie, jakiego rodzaju to są terroryści: czy są to wyrachowani gangsterzy, którzy będą żądali okupu, czy też fanatycy biegający po pokładzie z kałasznikowami i wrzeszczący „Al’ dżihad! Al’ dżihad!”. Koncepcja koercyjna zakłada, że liderzy sekt, bliżsi są tym pierwszym, że to wyrachowani manipulatorzy, którym chodzi tylko o pieniądze czy władzę. Ja jestem skłonna raczej zaliczyć ich do drugiego typu. Jeśli zachodzą jakieś nadużycia, to biorą się nie ze złej woli, ale z fanatyzmu.

- Ja to jeszcze muszę wszystko przemyśleć. Jeśli można, to za tydzień postaram się odpowiedzieć na te zarzuty Moniki - powiedział z głosem rezygnacji Michał.

- To już proponuję, aby się państwo spotkali poza seminarium, a przekazali nam ewentualnie wnioski w skrócie. Za tydzień mamy kolejny referat w planach, którego nie możemy przesunąć, z powodu wyjazdu doktora Remielskiego. W każdym razie to, że pan nadal trwa przy swoim zdaniu najlepiej dowodzi, że jest pan odporny na presję grupy czy autorytetu, więc możemy być spokojni, że żadna sekta pana nam nie podbierze.



- Chyba, że sekta profesora Millera - zaśmiał się Remielski, na myśl o charyzmatycznym wykładowcy socjologii kultury.

- Przede wszystkim jednak czekam na rezultaty pana przeszukiwań ezoterycznego światka.

\* \* \*

- To mówi pan, że pisze pracę - Janusz Nowicki spotkał się z Michałem w biurze, w swym zakładzie pracy, a był dyrektorem niewielkiej firmy spedytorskiej. Jego sposób bycia zupełnie zaskoczył Michała - nie miał w sobie nic z tych hinduskich guru z zapadniętymi policzkami, maślanym spojrzeniem wielkich, podkrążonych i półprzymkniętych oczu i pobłażliwym uśmiechem, który wyrażał cały ich stosunek do profanów. Kogoś takiego spodziewał się po ekspercie od jogi. Tymczasem pan Janusz wyglądał na człowieka po wielu, różnych przejściach, które pozytywnie przepracowane dają ten rodzaj pogody, mądrości i dystansu do siebie, własnych ograniczeń i własnych wyobrażeń na swój temat. Żadnej sztucznej pozy, fałszywej pokory, rozdymanego ego czy pretensji do pozycji mędrca. Początkowo spoglądał jednak na studenta dość nieufnie. - A kto panu w ogóle dał namiar na mnie, że ja niby miałem coś wspólnego z Drzewieckim?

- To wiem od pana Bopka, wspominał, że byliście panowie obaj, Drzewiecki i pan, uczniami Leona Kipora.

- Bzdura, coś mu się pomieszało. Daniel pewnie by bardzo chciał, ale nie sędzę, żeby miał coś wspólnego z Leonem. Leon nie miał uczniów, miał przyjaciół. Ma przyjaciół, bo dla nas nigdy nie odszedł. Daniela poznałem na takim obozie TKKFu, w ramach kursu dla instruktorów jogi. Intensywnie pracował wówczas nad czakramami, dostał w końcu niezłych odlotów, skakał i śmiał się krzycząc: „Jak mi się kundalini rusza!”. Od tego wydarzenia nie widziałem się z nim chyba ze dwa lata. Pamiętam jak z nim później rozmawiałem, to było chyba na jakiejś konferencji orientalistycznej. Był tam taki jeden docent, mój przyjaciel, jego nazwisko zmilczę. Daniel podszedł do nas i zaczął przekonywać, jak gdyby nigdy nic, że zjawił się na ziemi, aby kontynuować dzieło Buddy i Jezusa, czy jeszcze tam kogoś. Docent robił wielkie oczy, ale Daniela to nie zrażało. Widać cały czas był na odlocie.

- To znaczy?

- Wie pan, w rozwoju duchowym co jakiś czas następuje przebicie do nowych poziomów świadomości. To dość, powiedzmy, ekscytujący moment. Chrześcijanie nazywają to

nawróceniem albo „spotkaniem Jezusa”. Człowiekowi wydaje się, że złapał Boga za nogi, że znalazł ostateczne rozwiązanie tajemnicy istnienia i uniwersalny klucz do wszechświata. To oczywiście bzdura, ale to może dostrzec tylko ktoś, kto jest na nieco wyższym poziomie. Zwłaszcza pierwszy poziom inicjacji łączy się z potężnym kopem energetycznym, różne rzeczy się człowiekowi przydarzają, tak zwana synchroniczność zdarzeń, nowe możliwości, moce, nawiązuje się relacje z, jak to szamani nazywają, duchami opiekuńczymi. Tak jak w chrześcijańskim nawróceniu i okresie neofickim, dokładnie tak samo, wydaje się, że Pan Bóg za majtki człowieka prowadzi. Najczęściej wiąże się to z jakimś przekazem. I wtedy już człowiek zaczyna rozumieć, potrafi łączyć wszystko ze wszystkim, poziomy świata widzialnego z niewidzialnym. To taka forma samonawiedzenia, człowiek może w to wejść bardzo głęboko i później wierzyć, że otrzymał przekaz od starożytnych Druidów czy Atlantów. Rozmawiał pan z Bopkiem? To kolejny taki delikwent na odjeździe, zresztą mój przyjaciel. Dla niego kabała jest właśnie takim kluczem do wszystkiego. Danielowi wydawało się, że łączy jogę z sufizmem i z czymś tam jeszcze. Ale to są złudzenia, to tylko redukcja do wyższego poziomu ogólności, z której nic nie wynika. Człowiek tylko wpada w kolejny szablon pojęciowy. Tak samo chrześcijanin, gdy przeżyje osobiste nawrócenie: Jezus jest Panem i wszystko jest jasne. Coś nie gra? - to grzech pierworodny, gra? - łaska Boża, cały świat jest uporządkowany. Sam to przeżyłem, wiem jak to jest. Oddajesz się Jezusowi i już jakbyś połknął kawał nieba i posiadał najgłębsze zrozumienie.

- Pan przeżył nawrócenie? - zapytał zaskoczony Michał. - Oczywiście! - zaśmiał się Nowicki. - Modlili się nade mną chyba z godzinę, wyznałem Jezusa, a potem to był już jak niekończący się orgazm. Wszystko zaczęło się układać, cały czas z ręką Boga nad głową. Ale ja za stary wyga jestem, żeby w tym trwać, wkrótce i tak by się skończyło. Bo w drodze duchowej najważniejsza jest umiejętność samoobserwacji, nawet nie chodzi o samokontrolę, ale świadomość, że jestem właśnie na takim a takim etapie, że to a to się ze mną dzieje, żeby to zobiektywizować i nie wpaść po uszy. Tak. Przechodziłem to też. Muszę przyznać, że to bardzo przyjemny stan, no ale to nie o to przecież w tym wszystkim chodzi, żeby było przyjemnie. Ale gdy ktoś słucha takiego człowieka na odlocie, a sam nie miał takich doświadczeń, to wydaje mu się, że to jest mędrzec, guru, alfa i omega. Bo to rzeczywiście się wszystko logicznie niby zgadza. Jak pan trafił do Bopka, to pewnie też do Nawrotowskiego, to kolejny taki odlotowiec,

temu się wydaje, że astrologia wszystko tłumaczy, bo to takie ściśle, tam matematyka tyketyka, i wszystko działa, bo sam przecież chodzi według horoskopu, który sobie napisał.

- Takie samospełniające się proroctwo. A czy jest jakieś wyjście z tego stanu, „odlotu”?

- Oczywiście! Jedyne wyjście to brutalne zderzenie z rzeczywistością. Wtedy wszystko się wali - cały ten pozorny ład świata - i trzeba iść dalej, do następnego poziomu, formować na nowo. Jak mówili jogini, trzeba się skąpać w krwi swojego ego. Ale kto chciałby pozbawiać się wszystkiego, co osiągnął? Dlatego ludzie często izolują się od rzeczywistości. Daniel na przykład poszukał sobie uczniów, którzy go dość skutecznie odgradzili od rzeczywistości i utrzymywali swym bydlęcym oddaniem w dobrym mniemaniu o sobie samym. Chodzili za nim jak pieski, nosili mu żarcie, kapcie, wszystko. Mówiąc o uczniach, właśnie sobie przypomniałem jedną taką scenę, której byłem świadkiem. Danielowi przeszkadzało kilku pijaczków. To było na zlocie hipisów. Spał sobie, a oni mu koło namiotu burdę zaczęli robić. Wypełzył z tego namiotu, zaczął na nich niemilosiernie wrzeszczeć. No to ci dalej, bić się chcą. Daniel wtedy zaczął takie różne śmieszne ruchy rękoma wykonywać, wie pan, jak w tym kungfu, choć wtedy to jeszcze nie było znane. Tamci trochę się wahali, ale wtedy wyskoczyli z namiotów ci uczniowie Daniela i spuścili taki łomot tamtym, no, jak się patrzy. Obstawili go z czterech stron i też tym z swoim kungfu zaczęli do tamtych doskakiwać. Szybciuteńko się łobuzy zmyli. No, to zrobiło wrażenie wówczas na mnie. Potem rozmawialiśmy jeszcze parę razy, choć generalnie się z nim bardzo ciężko rozmawia, bo on zawsze ma rację, jest najmądrzejszym człowiekiem we wszechświecie i okolicach, który odkrył tę nową formułę wszystkiego.

- Ale uważa pan, że on przeżył jakieś faktyczne doświadczenie duchowe, że to nie jest tylko wiedza książkowa?

- Tak, to z całą pewnością. O tym się wprawdzie za bardzo w tych kręgach nie mówi, ale to się wyczuwa. Jak tak ze mną rozmawiał, to dość wyraźnie wyczuwałem przy nim kilku takich „kolesi”... duchowych przyjemniaczków... jeśli się pan domyśla o co chodzi... tak. To na pewno nie była tylko wiedza książkowa. Do jakiego poziomu dotarł, tego nie wiem, nigdy mnie to specjalnie nie interesowało. Potem zresztą go już nie widziałem. Współczuję mu w sumie. Też miałem swoje odloty, długo się potem musiałem zbierać, teraz to sobie jogę tylko dla zdrowia ćwiczę. Dobrze mi robi na kręgosłup. Ale starannie dobieram assany. Wie pan, różne moce duchowe usiłują sobie zrobić z nas karmę, one żywią się naszą energią, naszymi emocjami.

Twórcy jogi niektóre techniki powiązali właśnie z takimi mocami, egregorami, podobnie jak w niektórych ćwiczeniach falungong.

- Egregorami?

- Widzi pan, świat astralny składa się z iluś tam warstw. Najniżej jest sfera odbić, gdy tylko człowiek wyraża jakąś emocję, to właśnie tam się ona odbija. Te odbicia kumulują się w wyższych warstwach w postaci wyobrażeń zbiorowych. Zwłaszcza różne grupy religijne produkują takie wyobrażenia, od najmniejszych grup modlitewnych. Te zbiorowe wyobrażenia tworzą właśnie byty zwane egregorami, to takie myślokształty, które następnie się przejawiają na przykład w postaci objawień. Tak na przykład Matka Boska czy Jezus. Zastanawiał się pan, dlaczego gdy Jezus się objawia ma rany na dłoniach, a nie na przegubach? Przecież wiadomo jak krzyżowano w starożytności, jest fizycznie niemożliwe, aby ktoś mógł wisieć na krzyżu tak, jak to przedstawiają w kościołach, dłonie by się rozerwały. Tak samo stygmaty pojawiają się właśnie na dłoniach. Ale to w sumie nie ważne, czy to Wisnu czy Jezus, wyznawcy zawsze upodabniają się do swych bóstw - a one wszystkie chcą tego samego. Pamiętam bywałem na spotkaniach baptystów, widziałem jak się między nimi przechadzał i ludzie padali, to tu, to tam, kładli się i leżeli, a on żarł ich energię. Od razu mi się lampka alarmowa zapaliła.

- Mówi pan o „omdleniu w Duchu”?

- Tak to nazywają baptysci. Ale dla egregora, to po prostu ucztą. - Pan Janusz wzruszył ramionami, po czym rozparł się wygodnie w swoim fotelu dodając ze śmiechem: - A ja wszystkim egregorom mówię: walcie się!

\* \* \*

Jakuba mocno zaniepokoił ten telefon z Pracowni. Nawet nie to, że dostał polecenie niezwłocznego przybycia, ale fakt, że Marek zadzwonił osobiście, podczas gdy zwykle jego wezwanie przekazywała mu Wanda. Niepokojący był również ton głosu, w którym aż kipiało od napięcia. „Coś zbroiłem?” zastanawiał się, ale nie znajdował niczego, co by niepokoiło jego sumienie. Oczywiście oprócz tego, że od dłuższego czasu robił, siłą rzeczy, całą tę Wspólnotę w konia.

Gdy stanął przed Markiem, ten od razu przygwoździł go stalowym spojrzeniem.

- Doszły nas słuchy - zaczął mówić wolno i z naciskiem - że pewien socjolog, na uniwersytecie, prowadzi badania... Przedmiotem tych badań jest, podobno, nasza Wspólnota. -

Zrobił pauzę obserwując bacznie Jakuba. Jakubowi zaś dreszcz przeszedł po grzbiecie i poczuł ścisk żołądka. Nie mógł dać po sobie tego poznać... czyżbym już wpadł? „Wiedzą! To pewne.”

- Ta...ak? - Jakub udał zaskoczonego, choć głos mu zadrżał nieznacznie.

Marek nie zwrócił chyba na to uwagi i ciągnął.

- Wiesz, że w warunkach, w jakich musimy funkcjonować, pełnej symulacji, to dla Wspólnoty śmiertelne zagrożenie. - znowu zawiesił głos. - Nic o tym nie wiesz?

- Ja?

- A znasz może niejakiego Michała Szymczaka? - zapytał Marek.

„A więc chodzi o Michała? Ale czy wiedzą o mnie? Byliby aż tak dobrzy?” Musiał lawirować możliwie blisko prawdy.

- Tak, to mój kolega z roku - odparł.

- Wiesz może czym się zajmuje? - zapytał Marek.

- Wiem, że działa w jakimś centrum antysektowym - odpowiedział, starając się opanować drżenie kolan.

- I nie wpadłeś na to, żeby przyjrzeć się jego badaniom?! - A więc może tylko o to są na niego wściekli, że to nie on ich ostrzegł. - Żebyśmy musieli się o tym dowiadywać od osób trzecich, mając człowieka na socjologii!

Jak się można było spodziewać, po tym kazaniu nadeszła kolej na spowiedź, czyli „wnioski” Jakuba, w których ten przeszedł sam siebie w samokrytyce. Potem Marek, już udobruchany, zadał pokutę:

- Postaraj się delikatnie wyciągnąć od niego wszystko, co się da. Napisz możliwie szczegółowy raport. Albo poczekaj, lepiej weź to - powiedział, wyjmując z szuflady niewielki dyktafon.

- Cześć Michale.

- A, witaj Jakubie.

- Co porabiasz?

- Właśnie wracam od Śliwy. - A co tu masz? - A, to kolejny rozdział mojej pracy. - Można zobaczyć? - Jak tylko naniosę ostatnie poprawki Śliwy, będziesz pierwszym czytelnikiem.

- Ostatnie poprawki Śliwy prawie nigdy nie są ostatnie. - To fakt. Niby drobne, ale wymagałyby jeszcze roku studiów, gdyby je poważnie traktować.

- A o czym piszesz?

- A, o takiej jednej malutkiej sekcie, która nam się załęgła pod miastem.

- Co to za jedni?

- Małeńka grupka. Siedzą sobie tam, ćwiczą chińskie sztuki walki i jedzą burakową z czosnkiem.

- Coś takiego? A co wyznają?

- To jakiś kult mistycznej energii chi. Charakterystycznie się ubierają: zawsze nakrycie głowy, tylko naturalne tkaniny, okulary z filtrem przeciwko UV, wełniane pasy biodrowe pod koszulą dla ochrony niższych czakramów i tak dalej. Rzuca się też w oczy, że bardzo często czyszczą nos, stale mają pod ręką rolkę papieru toaletowego. Gdy kiedyś archeologowie rozkopią ich siedzibę nazwą to „kulturą papieru toaletowego”.

- A to w ogóle jest religia?

- Są też sekty parareligijne. A ci tworzą dość zwartą wspólnotę, ale raczej niegroźną. Prowadzą jakiś niewielki biznesik, uprawiają pole, sad, ale raczej się stamtąd nie wychylają.

- A mają jakieś rytuały? No wiesz, czarne czy zielone msze, pokłony w kręgu...

- Nie, napuszone teatrzyki to chyba specjalność sekt francuskich. Ale niektórym czynnościom przypisują podobną wagę. Nie zgadniesz jakim.

- Skoro nie zgadnę, to może mi powiesz?

- Gotowaniu burakowej.

- Co?!

- Tak, dobrze słyszysz. To musi się odbywać według ściśle określonej procedury, a czas mierzą stoperem. Dokładnie piętnaście minut. Jedzą to codziennie z czosnkiem, chlebem i białym serem. W ogóle jedzą tylko raz dziennie.

- Nic, tylko współczuć. A skąd w ogóle o nich wiesz?

- Spotkałem u nas w centrum jednego ich byłego członka. Strasznie trudno cokolwiek z niego wydusić, jest strasznie zastrachany. Ale dał mi kilka wskazówek. Poza tym robię szerokie tło socjologiczne, wiesz, sytuacja prawna, nastroje społeczne, na szerokim tle polskiego New Age'u i tak dalej. Właściwie to mi teraz zostało, trochę się zakopałem. Tyle tych ezoterycznych dyscyplin: astrologia, chiromancja, radiestezja, kryształy, aura... a w każdej są jakieś konkurujące autorytety.

- Hm, to podrzuć mi to co masz, jak już poprawisz, chętnie poczytam, dobra?

- Dobra. Na razie.

Jakub wyłączył magnetofon.

- Noooo, spisałeś się świetnie, - powiedział Marek, klepiąc Jakuba po plecach - to bardzo ważne informacje - dodał z naciskiem. - Musisz uważać na niego. To ma być praca magisterska tak?

- Tak - potwierdził Jakub. Po chwili dodał uspokajającym tonem: - Oznacza to, że po obronie wędruje do biblioteki na półkę między tysiące innych takich prac, których nikt nie czyta. Przeglądałem to zresztą następnego dnia, ale nie chciał mi pożyczyć. Zdecydowana większość to wstęp teoretyczny i tło socjokulturowe. Dalej jest niewiele więcej niż to, co mówił, co nagrałem. Porównuje to po prostu z różnymi sektami i religiami. Używa tych informacji raczej jako ilustracji do założonych tez.

- Skupił się na wątkach powierzchownych, czyli raczej nam nie zagrozi. Ale uważaj, czy nie będzie chciał czegoś opublikować, spróbuj go wtedy odwieść od tego - po chwili namysłu dodał: - Nie mógłby się zająć jakimiś poważniejszymi zagrożeniami? Tyle po szkołach teraz satanistów, ostatnio wchodzi do Polski ten ruch kabalistyczny. Dlaczego uparł się na nas?

- Teraz już trochę za późno, aby sugerować mu jakiś inny ruch. Powiem mu, że na magisterkę to ciekawe, bo chodzi w sumie tylko o to, by przeciwzyć myślenie naukowe, ale niezbyt nadaje się do publikacji, skoro ma tak mało informacji.

- Doskonale, w tym kierunku działaj. Melduj na bieżąco postępy.

Jakub jednak cały czas zachodził w głowę, skąd się dowiedzieli. Michał wykluczył Bopka i Nowickiego, od dawna nie utrzymywali bowiem kontaktów z Danielem. Może więc to jeden z kilkudziesięciu maili, jakie rozsyłał w tym czasie po Polsce, wbrew pozorom jednak trafił na właściwego adresata?

\* \* \*

Po tym, jak okazało się, że Wspólnota wie o Michale, koledzy przestali się z sobą spotykać w miejscach publicznych. Nie spodziewali się, by ktoś ich śledził, ale oprócz szczęśliwych, zdarzały się też w życiu pechowe zbiegi okoliczności, przed którymi lepiej się zabezpieczyć. Spotkali się więc tym razem w mieszkaniu Michała, który na pierwszy rzut oka wydał się Jakubowi nieco przybity.

- Coś się stało? Wyglądasz, jakbyś miał niestrawności. - Żebyś wiedział, intelektualne. Jakoś nie posłużyła mi rozmowa z Nowickim - powiedział Michał, zapadając się w fotelu. Po

chwili dodał z nutą złości - a myślałem, że to ty wchodzisz w niebezpieczne rewiry. Nic to, muszę się więcej modlić, obcując z takimi ludźmi.

- Co ci powiedział? - zapytał Jakub, popijając herbatę.

- A takie tam, wiesz, ezoteryczna interpretacje objawień, egregory i te sprawy. Wiesz, to było dziwne doświadczenie. Chrześcijaństwo ma własne wytłumaczenie różnych zjawisk paranormalnych. Ujmując rzecz najprościej albo jest to cud - gdy dzieje się to na chwałę Boga i jego mocą, albo działanie złych duchów. Tymczasem facet przedstawił mi teorię, która tak samo „z zewnątrz” i „z góry” spogląda na cuda, że to niby dzieło egregorów.

- Pamiętasz Spencera? Jaka jest różnica między Aaronem a kapłanami egipskimi?

- No powiedz - ponaglił rozdrażniony i zniecierpliwiony Michał.

- Żadna! Dla Egipcjan to, co robił Aaron było czarnoksięstwem, podobnie jak to, co robili kapłani egipscy dla Izraelitów. Cuda od czarów różnią się tylko perspektywą, z jakiej je postrzega obserwator, czy są przyjazne jego grupie czy wrogie. Nic na to nie poradzisz.

- Ale najbardziej zaskoczyło mnie - kontynuował Michał - że facet doświadczył nawrócenia, na którymś etapie swego życia uznał Jezusa za swego pana, przeżył wlanie Ducha, „powtórne narodzenie”, a potem to wszystko świadomie odrzucił. Nie myślałem, że to możliwe. Wiesz, może tłumaczyłbym to wszystko „tajemnicą nieprawości”, „grzechem przeciw Duchowi Świętemu”, zaszufładował faceta jako apostatę czy satanistę, ale jakoś mi to nie pasuje. Patrzyłem w jego oczy i... nie wiem. Jakoś mnie to wybiło... Chwilami czułem się, jakbym stał nad przepaścią i coś mnie w tę przepaść ciągnie.

Jakub milczał chwilę.

- Wiesz - zaczął ostrożnie, świadomy, że w tej dziedzinie wszelkie złote rady są zwykle mało skuteczne - niedawno czytałem biografię cesarza Juliana, którego chrześcijanie nazywają Apostatą. Tak sobie przypomniałem, gdy mówiłeś o szufładowaniu. Autorem był ksiądz, zresztą niezły historyk. Po zaznajomieniu się z tym cesarzem, zapalał do niego sporą sympatią, co zresztą nie jest niczym dziwnym, bo to wybitna i bardzo pozytywna postać. Co jednak ciekawe, ksiądz ten przez dużą część książki usiłował wykazać, że Julian tak naprawdę nigdy nie poznał autentycznego chrześcijaństwa, nie był chrześcijaninem, a zatem nie można go nazywać w sensie ścisłym apostatą. A jaki był jego koronny argument? Julian nie poznał prawdziwego chrześcijaństwa, bo gdyby poznał, to by go nigdy nie porzucił! Nie umierałby wolny od wyrzutów sumienia, z poczuciem dobrze przeżytego życia, nie żałując niczego, nie przejawiając



żadnych wątpliwości co do swego pogaństwa. Autor pyta czy umierałby tak spokojnie, gdyby kiedyś poznał Chrystusa?

Jakub przerwał ubawiony, ale zdał sobie sprawę, że Michał słuchał go jednym uchem, w roztargnieniu, najwyraźniej zafrasowany własnymi problemami. Przydałby się więc jakiś jasny morał.

- Tak, trudno jest spojrzeć na własną wiarę z zewnątrz.

W końcu, rozczarowany mizernym efektem własnej przemowy postanowił zmienić temat.

- A kogo teraz namierzasz?

- Niejaki Andrzej Nawrotkowski, astrolog - odparł Michał, wzdychając głośno.

- Wiesz coś o nim?

- Poszperałem w Internecie. Niewiele tam znalazłem, ledwie kilka wzmianek na Usenecie, ale od tych nitek dotarłem do większych kłębków, już w papierowych książkach. Dorobek nie aż tak imponujący jak Bopka, choć facet jest chyba równie szanowany w środowisku astrologów. Był psychoterapeutą, i aby sobie pomóc, włączył w terapię astrologię. Teraz zupełnie już zboczył w ezoterykę. Prowadzi na ten temat wykłady w całej Polsce.

- Prędzej czy później będzie musiał zawitać i do naszego miasta - stwierdził Jakub.

- Zgrałem ich program z sieci. Tak, są trzy daty. Najbliższa za dwa tygodnie.

- Astrologia - zamyślił się Jakub - czy sądzisz, że ludzki los może być zapisany w gwiazdach?

- Co ty bredzisz? Żaden wykształcony człowiek się na to nie zgodzi. Cała nasza kultura opiera się na wolnej woli. Inaczej masz determinizm, zwierzęcość. Zresztą większość współczesnych astrologów nie przeczy wolnej woli. Nazywają to astrologią humanistyczną, że niby pozycja planet w znakach zodiakalnych i w domach horoskopu wyznacza tylko potencjały. Ale wiesz, co jest najśmieszniejsze? Jeden z głównych reprezentantów tego współczesnego humanizowania ma na koncie trafną i niesłychanie precyzyjną predykcję, na co byli liczni świadkowie, zamachu Najwyższej Prawdy w tokijskim metrze. A przecież takie wydarzenie to splot tysięcy łańcuchów przyczynowoskutkowych, w większości z nich kluczowymi momentami byli ludzie. Co z ich wolną wolą? Jeśli można przewidzieć wolny wybór, to gdzie jest ta wolność?

- Jeśli masz rację i determinizm stoi w tak ostrej sprzeczności z wolną wolą, to jak w ogóle możliwa jest socjologia? Naukowa analiza ludzkich zachowań?

- Nie wiem sam - Michał zamyślił się. - To zresztą podobna kwestia do starego problemu teologicznego świętego Augustyna: skoro wiara w Boga jest łaską, podobnie jak wszelkie nasze dobre uczynki, to gdzie tu miejsce na człowieka? Zresztą to, że komuś udało się przewidzieć jakieś wydarzenie, nie musi oznaczać, że astrologia działa. Po pierwsze, na tysiące stawianych horoskopów zawsze może się znaleźć jeden trafny. Horoskop mógł być też tylko pretekstem dla jasnovidzenia.

- A jasnovidzenie, jak rozumiem, twoim zdaniem, nie wyklucza wolnej woli? To, że ktoś dziś widzi to, co zrobię za dwa tygodnie? - Jakub zbił tym pytaniem Michała z tropu.

- Wiesz, to jest generalnie problem istoty czasu...

- Dokładnie - podchwycił z błyskiem w oczach Jakub. - Wiesz co mnie najbardziej napawa sceptycyzmem co do tego humanistycznego dogmatu o wolnej woli? Nie astrologowie, ale moje własne doświadczenie. Powtarza mi się przynajmniej raz na miesiąc. Déja vu.

- A, w tym to akurat nie ma nic tajemniczego. Z tego, co mówią na ten temat psychologiczne autorytety, to po prostu złudzenie wywołane jakimś opóźnieniem mózgu w percypowaniu wrażeń pochodzących od zmysłów.

- Złudzenie? - zapytał z sarkazmem Jakub - ciekawe skąd pewność szanownych autorytetów, że jest to złudzenie? A co, jeśli ja wiem, gdzie widziałem to, co według nich właśnie mi się wydaje, że to już widziałem?

- Widziałeś? Gdzie? Miałeś wizje? - zapytał Michał.

- We śnie. Możesz mi nie wierzyć, nie potrafię tego udowodnić, ale mam „subiektywną” stuprocentową pewność, że już widziałem tę sytuację, w której później odczuwałem déja vu, że widziałem ją we śnie, że teraz tylko wyłoniła się z tych zakamarków pamięci, gdzie lądują wszystkie sny. Skoro dwa tygodnie temu widziałem tę sytuację, która teraz się wydarza, we śnie, z najdrobniejszymi szczegółami, łącznie z moim okrzykiem: „Przecież to mi się śniło!”, to znaczy, że wszystko to już się na jakimś poziomie dokonało, że czas, wolność jest złudzeniem.

- Uważasz, że to wystarczający argument przeciw wolnej woli?

- Dla mnie jest wystarczający, aby uparcie stawiać znaki zapytania przy słowach „wolność” czy „wolny”, a przynajmniej przy wszelkim przeciwstawianiu wolności determinizmowi. Wiesz, tak na własny użytek, wydaje mi się, że ludzka świadomość przypomina światła samochodu oświetlające jezdnię, której przecież nie stwarzają. A zatem może chrześcijaństwo się myli, twierdząc, że dramat ludzkiego życia rozgrywa się na planie woli?

- Skoro wola to złudzenie, to po co żyjemy? Jak możesz w ogóle żyć z taką myślą? Chce ci się rano wstawać z łóżka?

- Wiesz, to jak w tym dowcipie. Chłopak zamordował kolegę. Linia obrony była następująca: był niekochany w domu, nie doceniano jego ukrytych talentów w szkole, wpadł w złe towarzystwo, i tak dalej, krótko mówiąc, to społeczeństwo ukształtowało go na mordercę, on jest w sumie niewinny, bo czy to jego wina? Nie wybierał przecież w jakiej dzielnicy, w jakiej rodzinie się urodził. Na to sędzia powiedział: „Argumentacja obrony mnie w pełni przekonuje, ja rozumiem, że on w sumie może i jest niewinny, ale niestety, nic nie mogę na to poradzić, że mnie społeczeństwo ukształtowało w taki sposób, by takich łotrów jak on sadzać na krzesło elektryczne”. - Po chwili Jakub dodał. - Nie czuję żalu do świata, że jest właśnie tak urządzony, że ludzie skazani są na złudzenie wolnej woli. Nawet ja sam. Mimo tego, że wiem, iż wolna wola to złudzenie, nie oznacza, że potrafię żyć jakoś inaczej niż tak, jakby wolna wola istniała. Ja muszę żyć, myśleć, walczyć z wszystkimi siłami, bo taka jest moja natura, a nie dlatego, że tak decyduję. Nie wiem po co, ale może właśnie po to się żyje, by w końcu to zrozumieć? Może właśnie to poznanie jest celem?

Michał zamyślił się. Właśnie tak brzmiała dedykacja, którą mu wpisał Bopek: Michałowi, z najlepszymi życzeniami, by podczas realizacji własnej kariery przekraczał Granice Wiedzy, Świata własnego Wnętrza i Kosmosu w poszukiwaniu rozumienia sensu swego bytowania na tej planecie.

- A jak tam wypadła twoja rozmowa z Moniką? Zgodziła się z tobą spotkać?

- Zgodziła się, ale postawiła warunek, że będzie płacić za siebie, bym nie stosował technik opartych na regule wzajemności. - Zaśmiał się Michał.

- I co, przekonała cię? - drążył Jakub, wprawiając Michała w widoczne zakłopotanie.

- Wiesz, chyba tak. Zresztą za dużo kontrargumentów nie udało mi się znaleźć. Ale jednym, to mnie dobiła. Typowe retorsio argumenti. Już myślałem, że ją mam...

- Po tamtym koreferacie powinieneś wiedzieć, że nie ma z nią żartów. A o co poszło?

- Wiesz, przed tą rozmową sądziłem jeszcze, że nawet jeśli ta koncepcja nie była dość... adekwatna, to jednak przecież sprawdzała się w terapii wyjścia eksów. A, że terapia jest potrzebna to nie miałem wątpliwości. I wtedy przywołałem badania Conwaya i Siegemana.

- Nie słyszałem, co to za badania?

- Przebadali czterystu eksów i stwierdzili u nich występowanie syndromu, który nazwali chorobą informacyjną. Monika na to, że po pierwsze ci eksowie, to nie była reprezentatywna próba, bo trzy czwarte z nich była po przymusowym deprogramowaniu, a normalnie, nawet w Stanach jest ich nie więcej niż piętnaście procent. Po drugie, źle zinterpretowali swoje wyniki, bo natężenie tego syndromu zależy nie od długości pobytu w sekcie, ale od sposobu w jaki się ją opuściło. Pokazywała mi wyniki badań, okazało się, że najgorzej jest właśnie z tymi zdeprogramowanymi, ale już w przypadku tych, którzy byli poddani terapii wyjścia, które od deprogramowania różni się tylko tym, że nie stosuje się przemocy, różnica była trzykrotna.

- Czyli lekarstwo gorsze od choroby.

- Dokładnie. Musiałem przyznać, że wytłumaczenie jest tylko jedno: źródłem choroby informacyjnej jest wiara w psychomanipulację. Gdy to przemyślałem nie było to tak zaskakujące. To jakby ktoś po rozwodzie dowiedział się, że jego żona przez ostatnie kilka lat go zdradzała, że tak naprawdę od początku chodziło jej tylko o pieniądze.

- Albo, nie wiem czy czytałeś, jest taka powieść Lema, o człowieku, który po zażyciu narkotyku już nigdy nie był pewien, czy świat go otaczający jest rzeczywisty, czy to tylko narkotyczna halucynacja.

- Nie, tu jest nawet gorzej. Bo niezależnie czy świat, w którym żyję jest rzeczywisty, to jednak ciągle ode mnie zależy, w jaki sposób się zachowam. Ale ta cała teoria zakłada, że właśnie wolna wola, bez mojej wiedzy i świadomości może mi być zabrana. Że to mi się tylko wydaje, że ja coś chciałem, coś robiłem, a tak naprawdę byłem tylko czyimś narzędziem, przedłużeniem. Koszmar. Z drugiej strony eksowie chętnie to przyjmują, bo to najprostsze wyjście: zamiast wziąć odpowiedzialność za swoje dawne wybory, niechby i powiedzieć: byłem głupi, popełniłem błąd, wolą zrzucić wszystko na ultrasubtelne psychotechniki, których oczywiście łatwo się doszukać.

- Aleście mi zrobili pranie mózgu - powiedział Michał po chwili. - I jak ja teraz się pojawię w ośrodku?

## Rozdział XVII

W tym czasie Jakub, zgodnie z radą Śliwińskiego odwiedził bibliotekę uniwersytecką. Rzeczywiście było tam sporo książek Bô Yin Râ. Niestety, jako że były maszynopisami nie wypożyczano ich do domu, musiał siedzieć w czytelni, na co nie miał zbyt wiele czasu. Zamówił kilka pierwszych lepszych, których tytuły wydały mu się ciekawe. Przejrzał najpierw książkę o modlitwach. Śliwiński uczył, że badając grupę religijną, dobrze jest najpierw zrekonstruować strukturę jej symboliki przedmiotowej, czyli wszystkie obiekty sakralne, z którymi się liczy, którym oddaje cześć albo chociaż okazuje szacunek. W przypadku modlitw wystarczyło wyłapać rzeczowniki w wołaczu. Tutaj brzmiały one dość tajemniczo: dziękowano tam „Tworzącemu”, „Prawiecznej Miłości”. W potrzebie i strapieniu wzywano na pomoc „Wspomagające Moce”, „Wysokich Pomocników - Broniących Strażników”, „Kierowników Światła” albo też „w świetle”. Pojawiali się też „Świetlani Miłujący”, „świecący nauczyciele z najwznioślejszego Świata Światłości”, „Miłujący obrońcy”, „Tworzący Budujący Mistrzowie”, „Mędrcy Wiedzący”, „WiedzącoMiłujący”. Wszystko to brzmiało bardzo tajemniczo, ale potwierdzało częściowo przekazaną Jakubowi przez Michała relację Filipa. W stosunku do najwyższego obiektu kultu dominowały określenia dość abstrakcyjne, typu „Miłość”, „Światło”. Jednak między absolutem a ludźmi istniały zdaniem Bô Yin Râ jakieś życzliwe byty, będące posłannikami Boga, pomocnikami ludzkości, mistrzami. Takie istoty istniały, jak pamiętał Jakub, w prawie wszystkich systemach religijnych. W chrześcijaństwie ich rolą podzielili się aniołowie stróże i święci patronowie, w szamanizmie były duchy opiekuńcze, zwierzęta mocy, specjalne totemy, w buddyzmie dakinie, strażnicy, jidamy, a w pewnym mocniejszym sensie, bodhisatwy.

Zaczął czytać kolejną książkę. Z tytułu wynikałoby, że jest to podręcznik białej magii, ale autor musiał mieć chyba dość osobliwe pojęcie magii. Nie było tam bowiem żadnych zaklęć, pentagramów, pieczęci Salomona, żadnych formuł inwokacyjnych czy ochronnych.

Tym niemniej w książce tej było coś magicznego. Była to wypowiedź mistrza do anonimowego ucznia. Od pierwszych zdań Jakub poczuł się nią „trafiony”, czuł, że ów mistrz zwraca się do niego i wzywa go osobiście do podążania ścieżką ku Światłu. Ogarnął go tajemniczy i podniosły nastrój. Czuł, że za chwilę jego lektura niewiele będzie miała wspólnego z nauką analizą, zawahał się czy w związku z tym jej nie przerwać. Ale może właśnie

prawdziwe poznanie polega na tym, by dać się porwać? Może inaczej nie można zrozumieć pewnych rzeczy?

Czytał więc dalej. Było tam trochę nastroju mesjanistycznego oczekiwania, ale nie tyle na zbawiciela, który przyjdzie u końca świata co na przewodników, mistrzów. Książka obiecywała, że czuwający w ciemności w końcu ich spotkają. Z tekstu wynikało, że autor uważa sam siebie za członka owego tajemniczego grona. Pojęcie mistrza jednak nie odnosiło się najwyraźniej do relacji społecznej, jakiej konkretne wyobrażenie mógł wytworzyć sobie choćby na podstawie relacji między Olkiem a Markiem. Ci mistrzowie, takie przynajmniej Jakub odnosił wrażenie, nie potrzebowali dopełnienia w postaci uczniów. Mistrz, znaczyło kompletny człowiek, doskonała istota ludzka, posłana by służyć innym.

Im więcej Jakub czytał, tym trudniej mu było „zaszufladkować” religioznawczo tę tradycję. Fakt, było to bliskie teozofii czy antropozofii, a jednocześnie było w tym dużo judeochrześcijańskiej pokory względem Absolutu. Pojawiały się tam terminy orientalne, ale wszystko wydawało się „na miejscu”. To nie był żaden newage’owy synkretyzm. Wyglądało to na szczerze poszukiwanie owego mitycznego „wspólnego jądra” wszystkich religii, poszukiwanie nie tyle w świętych księgach, co we własnym wnętrzu. Autor, jak sam twierdził, używał po prostu terminów z innych tradycji do opisu rzeczywistości, którą znał skądinąd, z własnego doświadczenia.

W tomie tym znajdowało się też ciekawe opowiadanie. Był to dialog między uczniem a mistrzem. Pewne szczegóły wskazywały, że toczy się w Tybecie, choć mistrz chyba nie był po prostu buddyjskim lamą. Uczeń zapytał mistrza czemuż, skoro tak często powołuje się na słowa wielkiego Nauczyciela z Nazaretu, skoro wyraża się o nim tak pochlebnie, sam nie jest chrześcijaninem. Było to poniekąd pytanie o duchową użyteczność chrześcijaństwa. Mistrz zaprowadził ucznia do kamiennej, bardzo starej kolumny, ozdobionej starożytną mantrą om mani peme hung, która wskazywała pielgrzymom drogę do świątyni. Zapytał ucznia, czy nie lepiej byłoby usunąć stąd ten kamień i nie zamontować nowoczesnego, kolorowego, blaszanego drogowskazu? Uczeń był oburzony tym pomysłem. Zrozumiał jednocześnie, że mowa jest właśnie o Jezusie.

Jakubowi spodobała się ta myśl: Jezus jako drogowskaz do świątyni, postawiony przed tysiącami dla ludzi urodzonych właśnie w tej konkretnej cywilizacji. To oczywiście nie miało nic wspólnego z ortodoksyjnym chrześcijaństwem, ale czy odrzucając ortodoksję, nie wylał

dziecka z kąpielą? Czyż sam fakt, że chrześcijaństwo, według jego najgłębszego przekonania, opartego na licznych lekturach studiów naukowych, opacznie zrozumiało swego założyciela, dowodzi, że samo jest bezużyteczne w rozwoju duchowym? Oczywiście, jest też zupełnie odrębna kwestia: chrześcijaństwo nie istnieje poza historią, zawsze jest to jakieś konkretne chrześcijaństwo tej epoki i tego kraju. Ale również ono przenosi pewne przesłanie, w rytuałach, świętych tekstach, a raczej pomiędzy ich wierszami, jakąś uniwersalną prawdę o naturze ludzkiej, dzięki której trwa, niezależnie od historycznych uwarunkowań i socjologicznych zniekształceń, w które obrastało. Może faktycznie Duch Świata coś chytrze w nim przemycił? Co by to jednak mogło być?

\* \* \*

- Tak, Danielowi bardzo zależało na horoskopie, ale o żadnym horoskopie nie mogło być mowy, bo on nie wiedział nawet, kiedy się urodził, nawet dnia nie był pewien tak naprawdę! - Nawrotkowski okazał się sympatycznym panem w średnim wieku, pewnie o dziesięć lat młodszym od Bopka. Michał odwiedził go w domu, korzystając z wydłużonego weekendu. Astrolog mówił z pasją doświadczonego wykładowcy.

- Nie wiem, czy pan się orientuje w astrologii, ale mówiąc w skrócie, podstawą horoskopu jest kosmogram, czyli mapa nieba w chwili urodzenia. W chwili, a nie w tygodniu! Do tego potrzebna jest znajomość godziny z minutami. On tego nie wiedział, więc o żadnym horoskopie nie mogło być mowy. Na podstawie dnia, można podać jedynie parę ogólników, ale nie można tego nazwać poważną astrologią. Tylko ogólny rozkład potencjałów wynikający z usytuowania planet w znakach zodiaku i względem siebie, ale nie można nic powiedzieć o tym, gdzie konkretnie te potencjały się przejawiają. Nie można też oczywiście niczego sensownego powiedzieć o pozycji Księżyca, który w ciągu doby pokonuje kilkanaście stopni długości ekliptycznej. W tym czasie może zmienić znak zodiaku, przejść do następnego domu horoskopowego i wchodzić w rozmaite aspekty z innymi elementami kosmogramu. A Księżyc jest dosyć ważnym elementem, odpowiada za całą sferę uczuciowonieświadomą, instynkt, kieruje reakcjami w relacjach z otoczeniem. Można by oczywiście spróbować rektyfikacji, ale bez określenia choćby przybliżonej pory doby to jest jakieś 25 % szans na trafienie.

Danielowi mogłem powiedzieć jedynie, że jest bardzo silnym Skorpionem, że ma też silne elementy Koziorożca, że go w rezultacie ciągnie do władzy, że może być niebezpieczny, że przewodzi ludźmi. Że Skorpiony mają w związku z tym skłonność do manipulowania i tym

podobne. Zresztą te jego cechy, były bardzo widoczne i bez kosmogramu w jego zachowaniu. Miałem pełną zgodność między poznaniem astrologicznym a obserwacją psychologiczną. Z całą pewnością był bowiem niezwykle zdecydowanym człowiekiem, zwłaszcza w relacjach ze swoimi uczniami.

Bardzo charakterystyczna była jego reakcja, gdy mu to mówiłem: zrywał boki ze śmiechu i poklepywał się po brzuchu. Bardzo się mu podobało, że ja z niego robiłem takiego, można powiedzieć, Nadczłowieka. To bardzo dla niego typowe, obserwowałem go sobie, również jako psychoterapeuta: z jednej strony infantylny, z drugiej strony bardzo groźny, przez wpływ, jaki wywierał na innych. Ten wpływ był bardzo silny, obserwowałem to sobie z bliska, bo parę razy zapraszał mnie do siebie.

Podaję, że przejawiał tutaj cechy bardzo często spotykane u osób, które stoją na czele takich różnych grup. Taki ktoś stanowi dla nich pewien system odniesienia, źródło oparcia. To on wyznacza, co jest dobre a co złe, to on jest tym, który decyduje, to on jest tym, który wydaje rozkazy, polecenia, posyła ludzi tam czy siam, świat jest dla nich bardzo klarowny. No na pewno wiele osób zagubionych, którym brakuje autorytetu, uzależnionych, potrzebuje właśnie tego typu oddziaływania, ze strony tego typu osobowości. Prawdopodobnie też to było źródło sukcesów Marka Kotańskiego w jego ośrodkach Monarowskich, gdzie reguły gry były bardzo twarde: albo się ktoś podporządkowuje, albo nie. Podejrzewam, że właśnie w tym miejscu i w tej wspólnotce, zadziałał bardzo podobny czynnik.

Co jeszcze mogę o nim powiedzieć? Był rzeczywiście bardzo silnym Skorpionem. - Nawrotowski kliknął parę razy myszką, wpisał coś na klawiaturze i przekrzywił monitor, w stronę Michała - A to ważne, bo uwzględnimy techniki progresywne, weźmy najprostsza: jeden stopień to jeden rok. On się urodził dwudziesty któryś października, jeszcze silny Skorpion z pierwszego dekanatu, to po kilkunastu latach czy raczej dwudziestu kilku, progresywnie planety ze Skorpiona, zwłaszcza Słońce, jak pan widzi, wchodzi w Strzelca, tak, że jego późniejsze działania były określone właśnie przez ten znak, a Strzelec to są wizje, idee kolektywne, filozofia. Wtedy pewnie studiował wszystko co się dało. Zresztą erudycję ma nieprzeciętną. Raz byłem na jakiejś konferencji naukowej, gdzie Daniel też się wprosił. Kilkakrotnie zabierał głos w dyskusji. Potem słucham, a dyskutanci, którzy go nie znali, zaczęli się do niego zwracać per „panie profesorze”. A to byli sami tam docenci, profesorowie, pracownicy wyższych uczelni i faktycznie byli przekonani, że mają do czynienia z profesorem. Tak, wiedzą i erudycją może



imponować. Niezłe zresztą też sobie radził jeśli chodzi o pracę na źródłach, zwłaszcza, że miał do nich dostęp. W każdym razie, tę wiedzę, ale i ogólny obraz świata zdobył właśnie w swej fazie Strzelca.

Na kolejne trzydzieści lat, a to trwa na pewno jeszcze obecnie, gdzieś, ostatnie dziesięć czy więcej lat stał się progresywnym Koziorożcem, próbował manipulować historią, bo Koziorożec to struktura, myślenie systemowe. A więc zaczął tworzyć tę swoją grupę, zresztą może już wcześniej, ale teraz zaczął ją przeobrażać ze zwykłej sekty w swego rodzaju, używając języka cybernetyki społecznej, mafię polityczną. Przynajmniej taki miał zamiar, bo rezultaty, z tego co wiem, były raczej skromne. Tworzył struktury, aby wpływać na struktury, tu już nie chodziło o gnozę, o rozwój duchowy, ludzie dla niego stają się narzędziami oddziaływania społecznego. Swoją drogą ciekawe, jak to mu się udało. Większość ludzi z najbliższego sobie kręgu musiał przecież zwerbować jeszcze w swej fazie Strzelca, będą zatem reprezentowali typ „poszukiwaczy prawdy”, typ o dominujących motywacjach poznawczych, idealistycznych, nie jestem pewien, czy da się ich przerobić na potulne narzędzia.

No, ale jest przecież ciągle radikсовym Skorpionem, a Skorpiony to zdolni hipnotyzerzy. Koniecznie musi pan poczytać prace Leotaurusa, to najlepszy obecnie astrolog w Polsce, napisał świetny esej o Skorpionach i o hipnozie z astrologicznego punktu widzenia. Bez tego nie zrozumie pan Daniela. Niech pana nie zraża, że to jest napisane językiem ezoterycznym, symboliczny język astrologii potrafi być dużo bardziej adekwatny niż język niejednych współczesnych psychologów, którzy naturę ludzką wyprowadzali z eksperymentów na szczurach, i to dość prymitywnych eksperymentów, nawet jak na inteligencję szczurów. Jeśli pan szuka trafego opisu zjawiska, to może pan tam znaleźć wiele ciekawych uwag. Wie pan, bo Skorpion wyraża korzystanie z zasobów innych ludzi. Cybernetyka taki typ charakteru określa jako endostatyczny albo w skrajnej formie: endodynamiczny, gdyż niedobory własnej mocy fizjologicznej musi nadrabiać, pozyskując na różne sposoby z zewnątrz moc socjologiczną. Właśnie! I to tacy ludzie są zwykle wyposażeni w spore zdolności manipulatorskie! Ale pojęcie astrologiczne jest syntetyczne, czasem łączy w sobie organiczne sprzeczności, bo Skorpion to też odwaga, zdolność do maksymalnego wysiłku, to ktoś pełen namiętności, a nie tylko wycofany w mrok manipulator. W znak Skorpiona wpisana jest też tendencja do tworzenia grup. Co bardzo ważne, Skorpion skorpionowi nierówny. Leotaurus wyróżnił tam kilka form od Feniksa, najbardziej idealistycznej, która opanowała własne namiętności i wprzęgła je w służbę innym,

przez niższą, dumną i wojowniczą, dalej podstępą i bezlitosną w wykorzystywaniu innych ludzi, aż po autodestrukcyjną, opętaną przez własne żądze formę Pajaka. Daniel z pewnością aspiruje do najwyższej formy Skorpiona, ale nic tu nie jest pewne, może się okazać, że w wypchanym Feniksie siedzi stado robactwa. To widać po owocach. Bo skoro Skorpion hipnotyzuje, nawet nieświadomie, to hipnoza wywołuje określone, często bardzo negatywne skutki. Osoba, która się mu wtedy poddaje zwłaszcza przez dłuższy czas, staje się stopniowo całkowicie uległa jego woli, a to powoduje utratę pewności siebie, a nawet w ogóle niezdolność do podejmowania autonomicznych decyzji. Co najgroźniejsze, taka nieświadoma niczego osoba, może się sama usilnie przekonywać, że działa pod wpływem własnych decyzji. Tak czy inaczej, rezygnacja z autonomii prawie zawsze prowadzi do psychicznego i fizycznego wyniszczenia. Jak będzie pan miał okazję obserwować jego uczniów, to proszę zwłaszcza zwrócić uwagę na kobiety. Skorpiony posiadają tu na nie często wpływ niemal magnetyczny.

- A to się zgadza - wtrącił Michał. - O Danielu też tak opowiadają, że niejedną zniewolił. A on sam o sobie miał mawiać: „kobiety wiedzą, co dobre”.

- Dobrze - zaśmiał się Nawrotowski - to rzeczywiście do niego podobne. A Skorpionowi, to musi pan wiedzieć, wystarczy przejąć kontrolę w jednej tylko sferze. Potem cierpliwie i systematycznie poszerza zakres swojej władzy.

Kolejny ważny czynnik, który wpływa na powstawanie więzi między Danielem a jego uczniami, to fakt, że kontakt z tym „mesjaszem naszych czasów” był dla nich niezwykle dowartościowaniem. To jest niezwykle uprzywilejowanie, podnosi rangę, poczucie własnej wartości, daje poczucie bycia wybranym. To było widać w ich oczach, sposób, w jaki na niego patrzyli, jak wychodzili ze spotkania z tym swoim mistrzem. Jakby się pan czuł, gdyby ktoś przeniósł pana w czasie, i mógłby pan zostać osobiście uczniem Jezusa czy Buddy, co pan woli? Do tego dochodzi ta otoczka duchowości, którą dobudował jeszcze w fazie Strzelca, wrażenie głębi tego, co ludzie tam dostają.

Nie mam żadnych wątpliwości, że na poziomie świadomym Daniel był całkowicie przekonany do tego, co mówił. To robi duże wrażenie na uczniach, to jest efekt spójności przekazu. Ktoś, kto głęboko wierzy w swoje posłannictwo i wyjątkowość, rolę jaką ma odegrać, który zachowuje się, działa w sposób, który jest skuteczny, wkłada w to pełne zaangażowanie, silne emocje, wszelkie umiejętności i tak dalej. I nawet tego nie musi mówić, przekazuje to swoimi gestami, tonem głosu, całą mową ciała. No, ale przecież Hitler robił to samo! Też wierzył

w to, co mówił. Toteż z punktu widzenia na przykład psychologii religii, sam autentyzm jednak nie wystarcza. Osobiście nie czuję się natomiast kompetentny, by orzec, czy faktycznie miał, tak jak deklarował, kontakt ze sferą nadosobową. I jakiego typu to mógłby być kontakt. I z jakimi wymiarami tej sfery.

Jeszcze jeden czynnik może odgrywać znaczącą rolę w utrzymywaniu się takich grup oraz w tym, że „nauki” tam głoszone wydają się być rzeczywiście przekonujące. Mechanizm polega na tym, że w gruncie rzeczy Daniel mówił wiele rzeczy prawdziwych, ciekawych, intrygujących, czasami niedostępnych, między innymi na przykład jakieś strzępy informacji na temat spiskowych teorii dziejów. Wie pan, okazuje się, że wiele z elementów, o których on wspominał, później okazało się być prawdą publicznie znaną. Ostatnio na przykład oglądałem w BBC wystąpienie Billa Clintona sprzed jakiegoś czasu, gdzie przyznał przed Kongresem, że mimo oficjalnego zamknięcia kontynuowano przez ładnych 20 lat program Mind Control ULTRA. Nie wiem, czy pan się orientuje, to był program badań eksperymentalnych nad technikami prania mózgu, które wielu ludzi, poddawanych różnym wpływom, często bez ich zgody czy nawet wiedzy, przypłaciło zdrowiem, a nawet życiem. Na to są dokumenty. Podawali nieświadomym niczego ludziom LSD w herbacie i obserwowali, co z tego wyniknie. Albo gdy Daniel mówił, już z dziesięć lat temu, że historia, to tak naprawdę historia bankowości i operacji bankowych. Proszę sobie wyobrazić, że niedawno widziałem w księgarni książkę „Niecóż inna historia”, która w podtytule ma: „Operacje bankowe od starożytności do dzisiaj”. Muszę przyznać, że na mnie to zrobiło wrażenie. A to tylko wybrane przykłady.

Poza tym posiadał też sporo ogólnodostępnej wiedzy. Miał niezłą erudycję, przyznaję. Na młodego człowieka, który nie miał czasu tyle co on czytać, mogło to wywierać spore wrażenie. Mógł nawet nie zauważyć, jak do tych 90% prawdy wmieszało się 10% błędu.

Słyszałem, że wielu ludziom pomógł rzucić alkohol czy narkotyki, przedstawiał mi ich, opowiadali, w jakim byli dołku. Sądzę, że te osoby, nawet gdy odejdą od Daniela, to po zastanowieniu będą mu wdzięczne. To jego działanie na pewno miało olbrzymią wartość. Z drugiej jednak strony trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że czasami jest to mechanizm typu „zamienił stryjek siekierkę na kijek”: ktoś wprawdzie uwalnia się od uzależnienia od alkoholu czy narkotyków, ale uzależnia się od drugiej osoby, z czasem nie może już bez niej żyć, w rezultacie nadal jest niewolnikiem, choć nic o tym nie wie, ponieważ mu się właśnie wydaje, że

wyszedł z niewoli. Wyszedł z niewoli biochemii, ale dał się zakuć w kajdany zupełnie innego rodzaju, niewidzialne. Kodependencja została zresztą już dość dobrze opisana w literaturze.

Ale w tym wszystkim, nie potrafię nawet powiedzieć co, ale coś wzbudzało we mnie sympatię do tej postaci. Tak, że nawet jeżeli docierały do mnie później informacje dotyczące pewnych ekscesów, w których brał udział, czy był wręcz autorem, to myślałem o tym z pewnym uśmiechem sympatii, wyrozumiałości.

Gdy patrzę na niego jako psychoterapeuta dostrzegam w nim coś, co można by określić jako pewne zagubienie, dezorientację w myśleniu, a najprawdopodobniej też urazy, zranienia z przeszłości, które pozostawiły w nim swój ślad i później wpływały też na jego funkcjonowanie. Wydaje mi się na przykład, że bardzo newralgicznym punktem u niego jest poczucie własnej wartości. Jeśli się pan kiedyś z nim spotka, to na pewno uraczy pana, prędzej czy później, całą tyradą na temat tego jaki to on jest wspaniały i wielki. On to ciągle musiał powtarzać i co gorsza nie znał w tym żadnych granic. Raz nawet byłem przy tym, kiedy powiedział, że na nim Bóg opiera swą nogę, gdy on się zachwieje, to Bóg także. No więc tu musiał być jakiś poważny problem na tle poczucia wartości. Zastanawiam się, czy ta cała jego działalność w znacznym stopniu nie zmierza do tego właśnie, żeby próbować je wzmocnić. Miałem kiedyś zresztą podobny przypadek, opowiem panu. Zgłosił się do mnie na terapię były przywódca takiej grupy religijnej, jak on sam ją określił: sekty. Potem rzeczywiście skojarzyłem, że widziałem go w telewizji w jednym z filmów dokumentalnych. Powiedział mniej więcej coś takiego, że przyszedł do mnie ponieważ jest w stanie depresyjnym i on doskonale wie, co mógłby zrobić na tę swoją depresję, ponieważ robił to całymi latami, mianowicie był przywódcą. I on był w tym dobry, bardzo dobrze potrafił kierować grupą. Wtedy czuł się kimś, czuł się ważny, potrzebny, dowartościowany, wyjątkowy. Podobnie jak Daniel miał w swojej grupie byłych narkomanów, alkoholików, osoby, które uciekły z domu, nie radziły sobie w życiu. Pozbierał je i był dla nich guru. Ale był to człowiek, który osiągnął dosyć głęboki wgląd w mechanizmy, które nim rządziły. Powiedział też, że cały czas obserwuje zasysanie z tamtej strony, że „Grupa tylko czeka na mnie”, chyba do końca się nie pogodzili z tym, że odszedł, że ich zostawił. Ale nie chciał już tak żyć, to mu nie wystarczało, takie życie na huśtawce między depresją a byciem przywódcą sekty.

Jak mówię, zastanawiam się, czy w przypadku Daniela nie działa podobny mechanizm, choć akurat on sobie chyba tego jednak nie uświadamia. Nie oznacza to, żeby był nieautentyczny

w tych swoich zainteresowaniach sprawami religii czy duchowości. Ale na te autentyczne potrzeby bardzo łatwo nakłada się pewna patologia z różnymi deficytami, projekcjami. Może, gdybym miał dokładną datę jego urodzenia, potrafiłbym jakoś dociec konkretnych źródeł tych problemów, no ale nie ma i kropka.

Obawiam się, że on może w pewnym momencie stracić nad tym kontrolę, a może już stracił, wtedy już nie można mówić o rozwoju duchowym, ale o jego manowcach.

Hmmm, to by było chyba wszystko. Acha, jeszcze jedna rzecz mi się przypomniała. Jeśli chce pan zrozumieć jego socjotechniczny zamysł, jeśli chodzi o budowanie Wspólnoty, to koniecznie musi pan przeczytać sobie Diunę Franka Herberta. Dla Daniela to bardzo ważna książka, zmieniła mu myślenie o świecie, na niej się w dużej mierze opierał, tworząc tę swoją grupę. Miał u siebie w gabinecie nawet portret tego pisarza i na pewno komplet jego dzieł. Niektóre, te - których nie wydano w Polsce, tłumaczyli mu uczniowie. To bardzo ważna postać dla niego.

## Rozdział XVI

Michał postanowił omówić rezultaty swych dotychczasowych badań z promotorem. - Szczerze mówiąc, panie profesorze - podsumował - to mam trochę rozdwojony obraz. Z tego, co słyszałem od panów Bopka czy Nawrotkowskiego, wynikałoby, że ten Daniel to taki domorosły, samozwańczy prorok, nieszkodliwy dziwak, który tu i ówdzie liznął trochę wiedzy i przy jej pomocy zniewala ludzi. Człowiek, który ma nieco pomieszaną w głowie. Z drugiej strony trochę trudno mi zrozumieć, jak w takim razie mógł zdobyć taką władzę nad innymi, niegłupimi przecież ludźmi?

- Musi pan wziąć pod uwagę, że te opinie mogą też nie być do końca obiektywne. W końcu taki Bopek czy Nawrotkowski, to jakby konkurenci z branży ezoterycznej. Guru Daniel podbierał im też uczniów. Proponowałbym, aby pan przedwcześnie nie zaczął lekceważyć tego guru. Na razie zaledwie się pan otarł o jego fenomen. Może się okazać, że dopiero osobista obserwacja Jakuba da panu klucz do interpretacji jego wpływu. Pana dotychczasowi rozmówcy znali go tylko z zewnątrz. Żaden z nich nie uległ jego wpływowi. Byli obserwatorami, nie weszli z nim w głębszą relację. A tu mogły się ujawnić zupełnie inne jego cechy. Z tego, co pamiętam z relacji tego Filipa, wynika, że zupełnie inaczej zachowuje się w stosunku do swoich uczniów a inaczej w sytuacjach, gdy jest obserwowany przez postronnych. Musi pan przede wszystkim tego Filipa wziąć na warsztat oraz poszukać innych byłych członków.

Do tego dochodzi jeszcze jeden problem. Niech pan przeczyta sobie dowolny artykuł napisany przez jakiegoś młodego historyka socjologii, np. o Heglu. Sam fakt, że mówi o Heglu, czyli przechodzi w stosunku do jego myśli na poziom metadyskursu, może zrodzić wrażenie, że jest od Hegla mądrzejszy. Dostrzega przecież jakieś jego braki, osądza go przed trybunałem historii, ocenia jego wpływ, krytykuje jego język, sposób argumentacji. Ale wystarczy, że pan poczyta Hegla samemu, żeby przekonać się, że ów historyk to tylko mądrala, że Heglowi do pięt nie dorósł, że to, co uważał za błąd, to tylko jego własny błąd, bo po prostu Hegla nie zrozumiał albo nieżyczliwie zinterpretował. Niech pan się strzeże przedwczesnego przechodzenia na metapoziom. Dlatego właśnie zabraniam państwu czytania podręczników i każę od razu czytać dzieła klasyków.

To pierwszy problem. Jeszcze o jedno chciałem pana zapytać: kilka razy pojawiła się w tych relacjach jakaś Urszula. Musicie dowiedzieć się jej nazwiska. Wszyscy się o niej bardzo pochlebnie wypowiadali, i że niby wysoko zaszła. Skoro tak, to musi być w jakiś sposób widoczna: może uda się wam natrafić na jakieś ślady jej działalności? Obecnie trudno cokolwiek wskórać nie zostawiając za sobą śladów w mediach. No właśnie, a propos mediów. Sądzę, po trzecie, że warto by przejrzeć ówczesną prasę. Trudno mi uwierzyć, by takie akcje jak leczenie narkomanów, tak wyrazista obecność na imprezach młodzieżowych mogła pozostać niezauważona. Przecież to wymarzony temat na reportaż, zwłaszcza w tamtych czasach.

\* \* \*

- Zgadnij kogo widziałem! - Powiedział Michał w drzwiach. - Ducha? Elvisa? Uczciwego polityka? - Nie zgadłeś, mimo trzech prób - uśmiechał się tryumfalnie. - Widziałem guru Daniela!

- Co?! Gdzie? Jak? Kiedy?

- Spokojnie, nie osobiście niestety, ale wiem już jak wygląda.

Michał usiadł przy stole, na krześle podstawionym przez Jakuba i zaczął z miejsca opowiadać, zdejmując z siebie kurtkę.

- Wyobraź sobie - powiedział, ręce zajmując wycieraniem szkieł okularów - byłem wczoraj u Śliwy, znaczy chciałem pójść, ale się nie udało nam spotkać, gdzieś musiał wyjechać. No to, żeby mój przyjazd na uniwersytet nie okazał się zupełnie daremny, poszedłem na jedno seminarium o subkulturach młodzieżowych, które organizuje ten socjolog pedagogiki, Mrozowski, znasz go?

- Nie, nigdy nie miałem nic wspólnego z pedagogiką.

- Wiele nie straciłeś. Tak czy inaczej, jako że się trochę młodzieżą interesuję, a seminarium było otwarte, to poszedłem. Facet zrobił encyklopedyczny przegląd subkultur występujących w Polsce w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, od Jarocina do przystanku Woodstock. Pokazywał przeźrocza głównie zdjęcia, które sam kiedyś zrobił. W pewnym momencie pokazał jedno zdjęcie, niestety, nie chciał mi pożyczyć, powiedział, że zrobi mi odbitkę. Stał tam z jakimś brodatym facetem, szeroko się uśmiechającym, ubranym w czerwone poncho wyszywane w dziwne symbole. Od razu pomyślałem, że to twój znajomy. Tak mi go opisywali Sznajder i inni. Mrozowski chciał już przerzucić do następnego przeźrocza, to ja go szybko pytam, co to za subkultura.

- No i? - przynagłał Jakub.

- Powiedział, że to taki dziwak, który w połowie lat siedemdziesiątych włóczył się trochę z hippisami. Mówił, że to był taki człowiek z misją, chciał wyrwać ich z narkomanii. Opowiadał, że raz chciał im w ognisku spalić worek z marihuaną, nieźle się na niego wkurzyli.

- Ciekawe - przyznał Jakub. - Ale ciekawsze jest to, że podobno był kiedyś jakiś artykuł na jego temat, a raczej jego i jego grupy. Facet niestety nie pamiętał dokładnie gdzie i kiedy, wahał się między „Polityką” a „Razem”, wydawało mu się, że to musiało być już w stanie wojennym, choć nie był pewien. Może warto poszukać w gazetach czy z tego czasu nie ma jakiś artykułów na ich temat?

- Śliwa też to sugerował. Masz dzisiaj czas? We dwóch byłoby szybciej. Spróbujemy choć rzucić okiem, co?

- Czego się nie robi z miłości... do wiedzy!

\* \* \*

Całe popołudnie spędzili w czytelni czasopism. Podzielili się najważniejszymi tygodnikami: Jakub wziął „Politykę” oraz „Kobietę i życie”, a Michał „Razem” i „Wprost”. W milczeniu chłonili atmosferę tamtych lat. Ludzie szukający jakichś, choć niewielkich, przestrzeni wolności w sztywnych ramach ustalonych przez władzę. Widać było to także w sposobie relacjonowania zdarzeń przez dziennikarzy. Autor, redaktor, cenzor, cenzor wewnętrzny... Niektórzy przynajmniej szukali ciekawych zjawisk, starali się dobrze opisać to, co wolno było opisywać.

W pewnym momencie Jakub przyłapał się na tym, że nuci starą piosenkę z czasów swego liceum.

- Strzeżcie wilki, strzeżcie się przynęty, Strzeżcie wilki, strzeżcie się ludzkiej łaski, zastawił na was wróg zawzięty potrzaski.

- To Kaczmarek? - Zapytał Michał.

- Tak. Obława III, jeszcze trochę pamiętam. Łezka się w oku kręci.

- Ja tam zawsze wołałem Gintrowskiego.

- Mnie Kaczmarek dopiero ostatnio zaczął wkurzać, ale te stare kawałki były świetne. Tak czy inaczej musimy sobie zrobić kiedyś wieczór sentymentalny przy gitarach.

Szukali dalej. Jak dziwne wydawały się te pisma, bez afer, dziennikarskich śledztw, bez patrzenia politykom na ręce, ktoś mógłby pomyśleć, że to nie strach, że to takt.



- Popatrz, recenzja z Imperium kontratakuje, pamiętasz?

- No jasne! - Uśmiechnął się Jakub - na tym się wychowaliśmy. Klasyka New Age'u. Moc z tobą!

- I z duchem twoim.

Tak, Gwiezdne wojny stanowiły istotny element tamtych czasów. Odcisnęły na nich głębokie piętno, ukształtowały ich wyobraźnię. Opowieść o rozwoju duchowym w świecie, który tak sprzyja wierze w Moc jak niemal świat peerelowskich blokowisk. Zdał sobie sprawę, że film ten musiał współkształtować wyobraźnię Olka czy Filipa. A mówił też przecież o relacji mistrzuczeń, podobnie jak wyświetlany wówczas w telewizji serial o Robin Hoodzie, uczniu pogańskiego kapłana Herna. Nie wspominając już o modnych wówczas filmach kungfu, które na tej relacji opierały rdzeń swej akcji.

- Bingo! - wykrzyknął w pewnym momencie Michał. Trzecia godzina poszukiwań z krótką przerwą na kawę i wreszcie upragniony rezultat.

- Zobacz: „Zaprogramowani”, niezły tytuł, co? Brzmi cybernetycznie, on się ponoć zajmował cybernetyką. Zobacz! Są nawet zdjęcia!

Jakub w tym czasie łączywie chłonał linijki tekstu.

- Autor chyba spotkał się z Danielem!

Artykuł, a właściwie reportaż mieścił się na trzech stronicach, zawierał kolorowe zdjęcia, a opisywał najpierw spotkanie z Danielem w kawiarni. Najwyraźniej wywarło na redaktorze spore wrażenie. Jakub potrafił sobie wyobrazić jak się musiał czuć biedny reporter, bądź co bądź, „człowiek słowa”, gdy spotkał kogoś, kto go najzwyczajniej w świecie zagadał, zalał potokiem słów, nie dopuszczając do głosu. Z pewnością kręciło mu się mocno w głowie, gdy wychodził po tej rozmowie. Nic dziwnego, że nie zadowolił się tak pobieżnym kontaktem. Chciał bliżej zbadać to indywiduum. Wybrał się na wakacyjny obóz z Danielem i jego ekipą. Dalsza część artykułu zawierała nawet dość przekonujący opis życia codziennego uczniów „Wielkiego Gaduły”, szkicową charakterystykę jego poglądów, nawet fragmenty tekstów kilku piosenek. Co ciekawe, autor został nawet uraczony przez Daniela elementami jego spiskowej teorii dziejów. Wówczas oskarżenia o faszyzm czy antysemityzm nie należały jeszcze do głównego arsenału walki erystycznej ze strony obrońców poprawności politycznej. Ówczesna poprawność polityczna wzdłuż innych podziałów przeprowadzała swe granice. I inne słowa czy poglądy lądowały poza nimi.

- Mała niespodzianka - powiedział Michał. - Wynika z tego, że kiedyś nasze tajne bractwo nie było aż tak tajne.

# CZĘŚĆ IV

## Rozdział XIX

Wieczorem w Święto Niepodległości, nieoczekiwanie Jakub odebrał telefon. Dzwoniła Wanda, żona Marka, by zaprosić go do Pracowni. Miał się stawić nazajutrz w południe. Jakuba zaciekawiło, że kazała mu zabrać coś do notowania. Oznaczało to, że nastąpi ewidentnie przekazanie mu jakiś informacji. Tak, tym można przyciągnąć młodego uczonego.

Nie zawiódł się. Spotkanie odbywało się w największym pomieszczeniu w Pracowni. Brały w nim udział, oprócz wszystkich chłopaków Marka, jego żona, dwóch wybrańców z sekcji Olka, a także trzy inne dziewczyny, których Jakub dotąd nie poznał. Jedna z nich od razu przykuła jego uwagę. Była bardzo w jego guście. Miała długie włosy w kolorze ciemnej miedzi, bladą cerę, mały nosek lekko upstrzony piegami, zgrabną figurę i spojrzenie o poważnym wyrazie.

Zebrany nie dane było długo czekać. Razem z Markiem wkroczył jakiś mężczyzna, krępy blondyn z kocią bródką i lekko podkręconymi wąsami. Cała jego postawa wyrażała połączenie wielkiego opanowania i pewności siebie. Widać było, że Marek czuje względem niego pewien respekt, choć z pewnością nie była to uniżoność ucznia.

- Jak niektórzy z was już wiedzą, na imię mam Władek. Mistrz poprosił mnie, abym wam to i owo opowiedział z tego, co jest moją specjalnością. A zajmuję się masonerią. Nie wiem, co już wiecie, pewnie każdy posiada jakieś informacje. Bo każdy świadomie żyjący i rozwijający się człowiek musi wiedzieć, w jakich warunkach przyszło mu działać. Celem masonerii jest zbudowanie światowej republiki, a jak pokazuje przypadek Ameryki, w republice oficjalna władza jest tylko pozorem. O tym kto obejmie władzę, decydują ludzie nikomu nieznani. Spójrzcie na dwóch ostatnich prezydentów Ameryki. Niby byli wystawieni przez wrogie partie, a obaj, dziwnym trafem należeli do paramasońskiej organizacji Skull and Bones. Zdecydowana większość prezydentów USA należała albo do masonerii, albo do którejś z jej przybudówek. Tyle możemy się dowiedzieć, a ile informacji jest skrywanych przed samymi masonami? Partie polityczne są dla ludu, natomiast światem rządzą tajne organizacje. Ich interesy idą w biliony dolarów, oni nie mogą sobie pozwolić, by ich los zależał od kaprysów wyborców. Dlatego obstawiają i parzyste, i nieparzyste. Obecnie masoni nie muszą już być wszędzie. Ich dzieło żyje własnym życiem i służy ich sprawie. Ich ideologia jest powszechnie przyjmowana za

oczywistość w całym świecie Zachodu. Ci, którzy jej nie ulegają, są zaraz nazywani faszystami i ciemnogrodem, zostają spacyfikowani i odstawieni na margines życia publicznego. Modele życia, które się ludziom wrzuca, które się na masową skalę sprzedaje...

Jakub słuchał Władka, starał się skupić na toku jego rozumowania, ale coś mu w tym ustawicznie przeszkadzało. Przyłapał siebie na tym, że co jakiś czas ukradkowo zerka na ową dziewczynę siedzącą po drugiej stronie sali. Miał wrażenie, że ona również mu się przygląda, ale to było chyba tylko złudzenie. Sposób w jaki odgarniała włosy z czoła, delikatny uśmiech, którym reagowała na niektóre, najwyraźniej znane sobie fakty z wypowiedzi Władka, dziwnie Jakuba intrygował. Wysiłkiem woli znowu skoncentrował się na toku wykładu. Prelegent, a może kaznodzieja, dawała właśnie historyczne przykłady wpływu masonerii, rewolucja 1789, późniejsze ustawodawstwo francuskie, afera z włoską lożą P2 i inne powszechnie znane przypadki. W pewnym momencie rzucił jakąś żartobliwą uwagę, która wywołała powszechną salwę śmiechu. Gdy spojrział wtedy na tajemniczą nieznajomą poczuł, jak coś w nim gwałtownie topnieje. Kobiety nigdy nie są równie piękne, jak wtedy, gdy się śmieją. Władek w międzyczasie przeszedł od historycznej, do bardziej teoretycznej części swego wykładu.

- Pierwszym mitem upowszechnianym przez masonów, już zakorzenionym, jest mit indywidualizmu i osobistego wyboru. Ujmuje on człowieka, jakby był samotną wyspą. Masz realizować siebie, inni się nie liczą. Ego jest najwyższą wartością. Masz realizować siebie, dążyć do wolności - słowo to Władek wymówił z wyraźną nutą sarkazmu, co dało Jakubowi do myślenia - a wolność rozumie się jako możliwość wyboru. Wyboru między czym a czym? I rzeczywiście, ludzie w to wierzą! Kobieta dochodzi w pewnym momencie do wniosku, że już się nie realizuje w małżeństwie, zostawia faceta, dzieci, pracę, nie pyta się, jakie będą dla nich konsekwencje jej wyboru, a przecież dotkną one nie tylko jej rodziny. Jej mąż, zostawiony bez kobiety zacznie podrywać swoją sekretarkę, zacznie rozbijać jej małżeństwo. Dzieci, znerwicowane, zaczną ćpać, nabijać kabzę mafii. Jesteśmy powiązani milionami więzów z całym światem. Każda nasza decyzja wpływa na innych. Istnieje teoria matematyczna, zgodnie z którą, niewykluczone, że uderzenia motyle w dżungli amazońskiej mogą wywołać tajfun w Chinach. A co dopiero ludzki czyn, który skutkuje nie tylko na poziomie sił materialnych, ale też społecznych i duchowych.

Kuba zaczął rozważać czy nie podejść do nieznajomej rudowłosej po wykładzie? W normalnych warunkach by tak pewnie zrobił, teraz jednak opamiętał się. „Jakubie, ty uprawiasz grę! Nie można bezkarnie wprowadzać do gry elementu rzeczywistości!”

- Kolejnym mitem, jest mit niezmienności natury ludzkiej. Jesteś jaki jesteś. Społeczeństwo cię takim ukształtowało albo już się takim urodziłeś, koniec kropka. Zaakceptuj siebie takiego, bo tylko to ci zostaje. Jesteś gruby? Zaakceptuj swoją inność! Nazwij to puszystością, od razu poczujesz się lepiej. Nie możesz się rozwinąć, nie możesz się zmienić. Widzicie, dlatego wy jesteście tacy niebezpieczni. Jesteście dowodem na to, że ten mit jest iluzją, fałszem. Każdy z nas jest dowodem na to. Kim byliśmy, zanim poznaliśmy Mistrza? Kim bylibyśmy, gdybyśmy go nie poznali? Pamiętam Marka, jaki był słaby, przerażony, wszyscy nim pomiatali, a teraz patrzcie! Są wśród nas byli narkomani, sam byłem członkiem kontrkultury, należałem do popalającej trawki komuny trockistowskiej. Pełno wśród nas różnych odrzutów społecznych. Znacnie Witka, on mówi wprost. Spotkał Mistrza w dniu, kiedy podjął decyzję o samobójstwie. Taki właśnie jest Mistrz, jest zbieraczem śmieci. Wszyscy byliśmy takimi śmieciami, odrzuconymi przez społeczeństwo, niedostosowanymi do życia w tym bagnie, w tym szcurzym wyścigu. Mistrz nas odszukał, oczyścił. Przemienił śmieci w złoto. A złoto, choć słowo pochodzi od „zło - to”, gdy jest użyte na budowę świątyni - uświęca się. Manipulatorzy robią to samo w odwrotnym kierunku i na wielką skalę. Jeszcze na początku dwudziestego wieku Amerykanie byli narodem oszczędnych, pracowitych i niezależnych ludzi. Byli doskonałymi pracownikami, ale właściciele koncernów zdali sobie sprawę, że na ludziach tych nie można zarobić. Powstała wówczas psychologia masowej konsumpcji, wypracowała najrozmaitsze techniki marketingu, nauczono ludzi zaciągać kredyty konsumpcyjne - coś dawniej nie do pomyslenia. I w ciągu dekady stworzyli zupełnie nowy typ człowieka, który jeśli akurat nie zarabia - musi kupować.

Teraz Jakub kiwał głową przypominając sobie, że o tych przemianach amerykańskiego kapitalizmu opowiadał obszernie doktor Ziutek na konwersatoriach z socjologii gospodarki. „Czy ona się czasem do mnie nie uśmiechnęła?”

- Aby umożliwić tego typu manipulacje rozpowszechnia się kolejny mit: neutralności. Wmawia się ludziom, że rządy, państwowe instytucje, a przede wszystkim mass media są neutralne, nie służą żadnym interesom. Mówi się nawet, że kapitał nie ma ojczyzny. Ale gdy spojrzycie na świat obiektywnie, zobaczycie, że coś takiego jak neutralność nie istnieje. Ludzie

stykają się, realizując swoje interesy, a interesy te najczęściej są sprzeczne z interesami kogoś innego. Mogłoby się wam wydawać, że my tutaj prowadzimy taką niewinną działalność, dążymy do dobra, wobec czego cóż można by nam zarzucić? Tymczasem musicie być świadomi, że otaczają nas siły wrogie rozwojowi. Idziecie ulicą, zewsząd atakują waszą świadomość i podświadomość reklamy, które nakłaniają was, byście ulegali własnym żądom, byście „poszli na całość”, „wrzucili luz”. Bardzo wielu ludzi ma interes, abyście byli słabi. Sprawa waszego rozwoju jest dla nich kwestią konkretnych pieniędzy. Musicie zdawać sobie sprawę, że stanowicie dla nich zagrożenie. Jeśli żyjecie świadomie, chcąc nie chcąc pobudzacie świadomość innych ludzi. Jeśli plan Mistrza się powiedzie, to ten eksperyment społeczny w jakim bierzemy udział jako Wspólnota może zmienić oblicze tego świata, potrwa to z pewnością wiele dziesiątków lat, ale jest taka szansa i obawiam się, że to jedyna szansa. Tak, więc są siły w świecie, którym bardzo zależy, abyście się nie rozwijali. Wasz los zależy tylko od więzi z Mistrzem, z waszym mistrzem, a przez niego z Mistrzem Danielem. Bez tego będziecie jak te ślepe i milczące owce prowadzone do strzyżenia. Albo się służy pasterzom, albo jest się owcą, albo się uwalnia owce. A wtedy mogą was okrzyknąć wilkami, bo niszczyacie zagrody. Nie ma neutralności. Aby ludzie uwierzyli w neutralność, głosi się kolejny, bardzo ważny mit: mit braku konfliktu społecznego. Słyszycie na każdym kroku o szukaniu tego, co łączy a nie co dzieli, o potrzebie dialogu ponad podziałami, o budowaniu mostów a nie murów, o harmonii, pokoju, spokoju, który został nawet kanonizowany, jako święty spokój. Integrowanie ludzi jest rzeczą słuszną, niczego innego nie robimy. Ale integracja może przebiegać na różnych gruntach. Jeśli nie opiera się na rzeczywistych wartościach, jeśli jest tylko maskowaniem rzeczywistych konfliktów wartości - wówczas jej celem nie jest budowanie, ale usypianie czujności.

„Przecież miłość to tylko popęd seksualny, czyż nie...? Tylko, że popęd zwrócony na drugą, żywą osobę, przestaje już być tylko popędem.”

- Zapytacie jak oni to robią, jak upowszechniają swoje mity? Podstawowym narzędziem są oczywiście środki masowego przekazu. Aby manipulacja była skuteczna, musi być ukryta. Tak więc piąty mit ukrywa właśnie narzędzie manipulacji. Jest to mit pluralizmu środków masowego komunikowania. Ludziom wydaje się, że media są wolne, że panuje wśród nich pluralizm i dzięki temu, mogą oni za ich pośrednictwem poznawać rzeczywistość. Konkurencja między mediami miałaby być gwarancją wolności. Ale czego dotyczy konkurencja? Media walczą o to, kto pierwszy poda daną informację. Tę samą informację. Niby mamy u nas dwa, trzy dzienniki, dwa,

trzy opiniotwórcze tygodniki, ale wszyscy piszą to samo, w dużej mierze tak samo, gęsiego, jeden za drugim. Oczywiście, najczęściej starają się podawać prawdziwe informacje. Ale bardzo rzadko istotne. Gdy jakaś gazeta zamieszcza faktycznie istotną informację, to zwykle na szóstej, siódmej stronie, drobnym drukiem, nigdy nie na pierwszej. Pamiętajcie o tym, czytając gazety: pierwsza strona mówi nam o gazecie, o tym co ona uznaje za ważne, a nie o rzeczywistości. Dlatego Mistrz specjalnie szkoli pewnych ludzi, w dochodzeniu do istotnych informacji, w wyłuskiwaniu tego, co faktycznie ma znaczenie, a co najczęściej toczy się pod powierzchnią zdarzeń, czasami tylko się przebijając, ale wtedy tylko ci, co wiedzą czego szukać potrafią takie „przebiecie” dostrzec.

Jakub zorientował się w pewnym momencie, że wykład się zakończył. Władek zwrócił się do Marka, by „odebrał wnioski od swoich ludzi”. Miał też później wyegzekwować, aby każdy nauczył się na pamięć „pięciu mitów”. Zaczęli po kolei wstawać i po wykonaniu ukłonu mówić swoje wnioski. Jakub zdał sobie sprawę, z powagi sytuacji, od tych wniosków mogło wiele zależeć, musi się skupić i coś wymyślić, coś głębokiego. Poczul, jak krople potu wystąpiły mu na czoło. Na szczęście był ostatni w kolejce. Żadna myśl nie przychodziła mu jednak do głowy, a raczej zapchany był myślami, tylko wszystkie wydawały mu się wyjątkowo banalne.

Gdy przyszła na niego kolej wstał i poczul, że drżą mu łydki. Milczał, panicznie usiłując coś poskładać w myślach.

- No powiedz szczerze, co o tym myślisz - ponaglił go Marek.

„Szczerze? może to jest wyjście?” - pomyślał Jakub i wziął głębszy wdech.

- Szczerze mówiąc, to nie widzę w świecie żadnej siły, która zdolna byłaby powstrzymać procesy zapoczątkowane przez masonów - Wykrztusił z siebie. Poczul pokusę, by dodać „oczywiście oprócz Mistrza”, ale w ostatniej chwili zdecydował się zagrać *va banque*. Jak szczerść, to szczerść. Kątem oka dostrzegł, że wszystkie oczy zwracają się na niego z zaciekawieniem i jakby niepokojem. Marek również sprawiał wrażenie zaniepokojonego wypowiedzią Jakuba. „Wsadziłem kij w mrowisko. Zanegowałem pośrednio ich wiarę w sens tego, co robią?”

Tylko Władek się uśmiechnął i zadeklamował:

- I dasz ich wszystkich wygubić za młodu, I pokolenie nasze zatracisz do końca? - Patrz! - ha! - to dziecię uszło - rośnie - to obrońca!



Wskrziesiciel narodu, Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy, A imię jego będzie czterdzieści i cztery.

Jest taka siła. Najpotężniejsza siła we wszechświecie. To moc tkwiąca w człowieku, w każdym z nas. Pragnienie bycia kimś więcej, kimś lepszym, pragnienie życia w szczęściu, pragnienie kochania naprawdę, rozumnej miłości. Pragnienie bycia silnym, odważnym. Zobacz jak złożonego planu, jak misternej manipulacji trzeba było, aby w ludziach przytłumić te pragnienia. Ale one w ludziach tkwią. Co nie znaczy, że łatwo będzie je przebudzić. Dlatego właśnie został posłany Mistrz. To wielkie szczęście dla nas, dla nas konkretnie i dla Polski, że właśnie tu urodził się ktoś taki, kto wie jak to przeprowadzić - powiedział Władek a potem kontynuował ściszywszy głos. - Mistrz, jeszcze w latach siedemdziesiątych ułożył Plan. Konsultował go z najwybitniejszymi polskimi uczonymi, filozofami, antropologami, socjologami, cybernetykami społecznymi, psychologami. Do realizacji Planu potrzeba czterdziestu czterech doskonale wyszkolonych, oddanych sprawie ludzi o najwyższych kompetencjach. Rozmieszczenie tych ludzi w kluczowych miejscach społeczeństwa zapoczątkuje przemiany, które z czasem ogarną cały glob. Właśnie dlatego trening, jaki przechodzimy musi być tak surowy, czasem nawet okrutny. Ale o tym, nie rozpowiadajcie nikomu. Polska jeszcze leży na peryferiach świata, ale już pojawiają się agenci wpływu różnych organizacji.

„Próba” się najwidoczniej zakończyła. Jakub wolno opadł na krzesło. Napięcie stopniowo z niego uchodziło. Rzucił okiem na dziewczynę po drugiej stronie sali. Przeszła mu jednak jakoś ochota na amory. Teraz Marek z Władkiem rozmawiali na stronie, zauważył, że zerkają na niego od czasu do czasu. Po chwili skinęli na niego, by podszedł.

- A więc to ty jesteś Jakub - powiedział Władek. - Dużo o tobie słyszałem. Czytałem twoje wnioski o masonach. Ciekawe. Mógłbym ci pomóc w dotarciu do pewnych materiałów, jeśli chcesz.

- Uznaliśmy, że lepiej będzie, gdy teraz Władek przejmie twoje szkolenie - wtrącił się Marek. - Co ty na to?

„Guzik prawda, ‘uznaliście’. To musiało być uzgodnione znacznie wyżej. Marek by mnie dobrowolnie nie oddał.”

- Zgadza się - odpowiedział. Włożył wiele trudu w tę krótką odpowiedź. Nie mogła zabrzmieć zbyt entuzjastycznie, bo to by obraziło Marka. Zabrzmiała właśnie tak, jak powinna: spokojnie, stanowczo, poważnie. Władek uśmiechnął się i poklepał Jakuba po ramieniu.

- Podobasz mi się. Myślę, że się dogadamy. Zadzwoń do ciebie i się umówimy. Mamy wiele do obgadania.

Jakub zauważył jeszcze „mimoходом”, że za Władkiem wychodzi jeszcze kilka osób, między innymi owa dziewczyna, co mu tak zamąciła w głowie. Poczuł, że serce mu mimo wszystko zabiło mocniej.

Wracając autobusem do domu, starał się poddać autoanalizie własne reakcje. Poczuł się jak jakiś młokos. Niewątpliwie wynikało to z jego braku doświadczenia w relacjach z kobietami. W przeszłości zdarzało mu się zakochać, ale zawsze jak dotąd nieszczęśliwie. Potem zatopił się w nauce i na dobrą sprawę w tej sferze życia był ciągle nastolatkiem.

Plan. Jakub o mało nie parsknął śmiechem, gdy usłyszał o tych „czterdziestu czterech sprawiedliwych”. Czy ci ludzie mają pojęcie, jak funkcjonuje współczesny świat? Jak trudno przewidzieć rozwój wypadków, nie mówiąc o ich kontrolowaniu? Ciekawe, jakie jest socjologiczne uzasadnienie tej liczby „czterdzieści cztery”, poza „objawieniem” Mickiewicza? Dlaczego nie dwanaście, albo czterdzieści cztery tysiące? Ta ostatnia liczba brzmiałaby dużo bardziej sensownie i wiarygodnie.

\* \* \*

Jedną z pierwszych lektur jaką Jakub dostał od Władka była Diuna. Władek przekonywał, że jej autor, Frank Herbert był wysokiego stopnia masonem i zawarł w niej wiele z masońskiej filozofii polityki.

- Zobacz sam, komu tę książkę zadedykował! - powiedział Władek, wręczając Jakubowi opasły tom.

Jakub przeczytał:

- Ludziom, których trudy wynoszą ponad idee w królestwo „tworzywa rzeczywistości” - ekologom krain bezwodnych...

- Widzisz? Napiszesz szczegółowe wnioski z tej książki, dobrze ją przestuduj. Za dużo w niej nie podkreślaj, bo to utrudnia drugą lekturę, w której zupełnie inne rzeczy mogą cię uderzyć. A tę książkę przeczytasz nie jeden raz. Najlepiej zdobądź sobie własny egzemplarz.

Jakub początkowo spodziewał się, że trochę się rozerwie przy lżejszej literaturze. Była to wszak science fiction. Wielokrotnie słyszał o tej powieści we Wspólnocie, ale dotąd nie dane mu było ją przeczytać.

Wbrew pozorom od sf do ruchu religijnego nie jest tak daleko, jak mogłoby się wydawać. Czyż opacznie rozumiana science, o którą łatwo w popularnym New Age'u, nie staje się właśnie science fiction? Jakub często natrafiał we współczesnej literaturze ezoterycznej na wzmianki bez przypisów, że „fizycy nuklearnymi dawno udowodnili...”, na przykład obecność prany w przestrzeni między elektronami a jądrem atomowym. Niewątpliwie osiągnięcia współczesnej nauki i techniki, zrozumiałe w pełni tylko dla nielicznych „wtajemniczonych” pobudzały wyobraźnię. Stąd też tak liczne grupy nawiązujące „duchowe” kontakty z UFO. Na Zachodzie było nawet kilka wspólnot założonych przez byłych pisarzy sf. W miarę lektury zaczął sobie jednak uświadamiać, że ten wypadek jest nieco odmienny. Bo też i inna była to nieco sf, jeśli chodzi o Diunę. O ile element fiction dotyczył tego, co w zwykłej sf chciało uchodzić za science, czyli całej warstwy technicznokosmicznej, o tyle warstwa science była jak najbardziej poważna. Ale nie chodziło o pseudofizykę czy paratechnikę, tylko o wiedzę z pogranicza socjologii, socjocybernetyki, socjoekologii, religioznawstwa czy psychologii.

Niewątpliwie dla niewyszkolonego oka nacisk został w książce położony na ekologię, ale Jakub już nauczył się spoglądać głębiej. Od czasów Spencera wszak zjawiska biologii służyły za najbardziej oczywistą ilustrację bardziej złożonych zjawisk społecznych. Tak, gra sił politycznych, a przede wszystkim niezwykle nacisk położony na jakość ludzi, którymi te siły dysponują, jakość płynąca ze starannego wykszolenia, to mogło się Danielowi spodobać. Czy to możliwe, aby to właśnie Diuna podsunęła mu pomysł takiej a nie innej formuły Wspólnoty? Przedstawiony w książce żeński zakon Bene Gesserit wykazywał wiele cech wspólnych z przedsięwzięciem Daniela.

\* \* \*

- Skąd pan to ma?! - zapytał zaskoczony profesor Śliwiński, gdy zdał sobie sprawę, co trzyma w ręku. - To wewnętrzne dokumenty loży, oryginalny zbiór „desek” z ostatnich dwóch lat! - Jakub tylko uśmiechał się tajemniczo. - Świetne, doskonała robota, proszę to dla mnie skopiować. No to ma pan materiał na kolejny rozdział. „Masońska filozofia dyskrecji”.

- Mam jeszcze kilkadziesiąt artykułów, nazwijmy to, egzoterycznych, opublikowanych w tym ich piśmie, które nawiązują do problemu. Nic tylko siadać i pisać.

- Doskonale. Doskonale. Skąd pan to ma? - Śliwiński w tej chwili się domyślił. - Aha, ten pana nowy mistrz!

- Tak. Należy do Wielkiego Wschodu Polski. Daniel go tam wysłał na przeszpiegi. Przyjaźni się z paroma masonami wyższych stopni. Prawdziwa kopalnia wiedzy. Wspomniał mi, że sporo masoników znajduje się w Ciężeniu.

- Tak, zupełnie o tym zapomniałem, to uniwersytecki dom pracy twórczej. Z tego co wiem, większość jest po niemiecku, sporo po angielsku. Zna pan, któryś z tych języków? No to sobie pan poradzi. Powinni pana wpuścić, na pewno znajdzie pan coś ciekawego. A wie pan kto jest autorem tego zbioru?

- Nie. Któż taki?

- Adolf Hitler. Był wrogiem masonerii i gromadził archiwa ze wszystkich łóż jakie zlikwidował w Europie. Większość spoczęła właśnie w Ciężeniu. Tak mi przynajmniej opowiadano, choć osobiście widziałbym w tym rękę raczej Himmlera, jak pan wie, był on zafascynowany okultyzmem i różnymi sekretnymi doktrynami, wysyłał nawet ekspedycje do Tybetu.

- Masoni nie chcieli odzyskać tego księgozbioru?

- Oczywiście że chcieli. Przyjechała nawet delegacja z loży w Gdańsku, ale gdy zobaczyli, ile tego jest, stwierdzili, że taki zbiór posiada ogromną wartość jako całość, i nie ma sensu go rozbijać. Niech się pan tam przejedzie, załatwimy jakąś delegację, jakieś pieniądze na pobyt, uzgodnimy z zarządcą. Jakby były jakieś problemy proszę powiedzieć, będę interweniował albo dam panu jakiś glejt. Rozmawiałem kiedyś z opiekunem tych zbiorów, oprowadził mnie po nich, bardzo sympatyczny człowiek.

## Rozdział XX

Jakub odłożył słuchawkę. Telefon od Władka zaskoczył go. Rozmawiali krótko, właściwie tylko otrzymał polecenia natychmiastowego spakowania się na dwudniowy wyjazd. O co mogło chodzić? Dokąd wyjeżdżali? Jakub miał nadzieję, że oto nadszedł ten dzień, kiedy dostąpi kolejnego wtajemniczenia - pozna samego Daniela, Guru, Mistrza, Mesjasza. Mogło to oznaczać przełom w badaniach, dostęp do informacji bezpośrednio ze źródła.

Zaczęło się już ściemniać, gdy Władek podjechał pod blok swoim granatowym passatem. Jakub już czekał na dole. Wykonał dyskretny ukłon, czemu odpowiedział uśmiech mistrza. Wrzucił torbę na tylne siedzenie i chciał usiąść na siedzeniu obok kierowcy.

- Usiądź z tyłu, prześpij się, czeka nas długa droga.

Jakub położył głowę na swojej torbie i usiłował zasnąć. Po jakiejś godzinie coś go obudziło, ktoś wsiadł na siedzenie obok kierowcy. Bez słowa podał rękę Władkowi. Dalsza droga odbywała się w milczeniu. Jakub znowu zasnął.

Obudził się, gdy byli w jakimś dużym mieście. Panowała ciemna noc rozświetlona latarniami i światłami samochodów. Chyba niedawno padało, bo asfalt był mokry od późnojesiennego deszczu, co zwiększało tylko liczbę refleksów.

- Obudziłeś się? - spytał Władek, odwracając lekko głowę do tyłu - To dobrze. Niedługo będziemy na miejscu.

Kluczyli trochę ulicami. Jakub starał się zorientować, gdzie się znajdują. Spojrzał na rejestracje samochodów zaparkowanych na poboczu. Warszawskie. A zatem to może być ważny dzień.

Zaparkowali pod jakimś budynkiem, który wyglądał na szkołę. Stało tam już kilka samochodów. W środku, w korytarzu spotkał Olka i dwóch jego bardziej zaawansowanych uczniów. Poza nimi było sporo ludzi, których widział po raz pierwszy. Najmłodszy mogli mieć około dwudziestu lat, najstarsi może i czterdzieści. Władek kazał mu poczekać w hallu, dzięki czemu mógł się trochę poprzyglądać. Sprawiało to wrażenie bałaganu, ale wkrótce zdał sobie sprawę, że nikt nie krząta się bez celu. Rozpoznał może z pięć grup ludzi, które realizowały odrębne zadania. Jedni nosili krzesła, inni jedzenie. Odrębna grupa zabrała się do przenoszenia jakiś plecaków schodami na dół, chyba do szatni. Wkroczyła też niewielka grupa niosąca czarne

futurały na instrumenty muzyczne: gitary, skrzypce i chyba akordeon. W tym momencie wrócił Władek i zabrał Jakuba z powrotem na parking.

- Masz tu kluczyki. Będziesz pilnował samochodów - Wskazał na dwa Volkswageny busy, dużego fiata, opla i jeszcze jakiś samochód, którego marki nie rozpoznawał. - Za godzinę ktoś cię zmieni. No, trzymaj się i bądź czujny.

Jakub posłusznie wsiadł do samochodu Władka. Był pod wrażeniem tego, co zobaczył. Naliczył jakieś czterdzieści osób, a co jakiś czas do budynku wchodziły kolejne grupki. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy to członkowie Wspólnoty. Wskazywało na to ich zachowanie i ubiór. Głośny, nieskrępowany śmiech, który dobiegał od nich, gdy tylko zniknęli za drzwiami. Zauważył też, że jeden mężczyzna wchodząc, wykonał pełny ukłon w stronę jakiegoś brodatego mężczyzny, widocznie swego mistrza. Wielu mężczyzn zresztą nosiło brody, choć nie wszyscy.

Taka organizacja! A socjologowie nic o tym nie wiedzą! Czy ktokolwiek o tym wie? Czuł się jakby wkraczał do nieoznaczonej na mapie jaskini, gdzie jeszcze żaden człowiek, pardon - socjolog, nie postawił stopy. Takie miejsca opisywano dawniej na mapach: hic sunt leones.

Przez całą godzinę nic się nie wydarzyło. Zmiennikiem okazał się znajomy z sekcji Olka. Wy tłumaczył Jakubowi, gdzie ma się udać.

Spotkanie odbywało się w szkolnej auli. Ludzie siedzieli na krzesłach w kręgu i śpiewali. Jakub usiadł na miejscu wskazanym mu przez Władka. Śpiewowi przewodniczył mężczyzna, którego jeszcze nie poznał. Jako jeden z nielicznych nie nosił brody. Grał na gitarze i śpiewał mocnym, głębokim, pełnym emocji głosem. Jakub wyjął swój śpiewnik i usiłował odszukać tekst śpiewanej właśnie piosenki. Była to jedna z tych, których nie śpiewano u Olka. Udało mu się dołączyć do śpiewających przy ostatniej zwrotce. Z kolejnymi piosenkami było lepiej, zwłaszcza, że powtarzali je kilkakrotnie. Było ich tyle, że nie miał szans, by się ich nauczyć. Zwrócił jednak uwagę na jeden szczegół - większość piosenek wykonywanych tego wieczoru w śpiewnikach była opatrzona inicjałami W.W. oraz J. S. zapewne oznaczające autora tekstu lub muzyki. Śpiewali głośno, tak że zaczęło go w końcu boleć gardło. Władek, siedzący obok, poradził mu, by śpiewał przeponą, a nie gardłem.

Po prawie dwóch godzinach wspólnego śpiewu nadszedł widać czas na drugi punkt programu. Weszła wysoka kobieta, w średnim wieku, elegancko ubrana jednak zachowująca się wyjątkowo swobodnie. Kilka osób wstało i wykonało w stosunku do niej ukłon. Kobieta mistrzynią! Co więcej przeprowadziła następnie pogadankę dla całej Wspólnoty i „odebrała

wnioski” od wszystkich obecnych. Włączając w to Marka, Władka i innych. Na wstępie przedstawiła się jako Urszula. A zatem to jest ta ulubiona uczennica Daniela! Jakubowi jej twarz wydała się dziwnie znajoma, choć nie mógł sobie przypomnieć skąd. Powitała wszystkich, którzy pierwszy raz są na „rekreacji”. „Rekreacja”, zatem tak nazywała się ta impreza, wnioskował Jakub. Czyli praktykują też pewne elementy zbiorowego odreagowywania.

W jej nauczaniu Jakub rozpoznał naukę o biegunowości Bô Yin Râ. Nauczała, że wszystko, nawet Bóg sam, składa się z bieguna męskiego i żeńskiego, które współdziałając, tworzą nowe życie. Ale była istotna modyfikacja, której nie pamiętał z ksiązek niemieckiego mistyka. Pierwiastek żeński, jako pospolitszy został jednoznacznie podporządkowany męskiemu. O ile u Bô Yin Râ panowała między nimi harmonia, to w nauczaniu Urszuli obowiązywała relacja podlegania. Jakubowi nie trzeba było tłumaczyć, jakie były tego konsekwencje społeczne: kobieta jako reprezentantka materii musi się w pełni poddać mężczyźnie jako reprezentantowi ducha. Dawało to strukturę skrajnie patriarchalną. Dalszy wykład Urszuli w pełni potwierdził te domysły. Co więcej, pojawiło się dodatkowe uzasadnienie do czego zaprzęgnięto znaną już Jakubowi teorię spiskową: to masoni dążyli do maksymalnego osłabienia pierwiastka męskiego w kulturze, do rozbicia i osłabienia mężczyzn, aby móc nimi łatwo manipulować.

Jakub z dużym wahaniem, ale musiał przyznać, że coś w tym jest. Niewątpliwie od kilkudziesięciu laty można było zaobserwować swoistą „rewoltę” matriarchatu w naszej kulturze. Oczywiście wielki Max Scheler powiedziałby, że to tylko odreagowanie po dwóch tysiącach lat jednostronnej dominacji patriarchalnego ascetyzmu. Zresztą masoneria, jeśli to jej przypisać rolę sprawczą w tej „rewolucji” nie wymyśliła nic nowego. Cały ten matriarchat tkwił już w chrześcijaństwie: troska o ubogich, biednych i słabych, swoiste dowartościowanie maluczkich, egalitaryzm, to wszystko już było w nauczaniu pierwszych uczniów proroka z Nazaretu, choć patriarchalne plemiona germańskie nigdy nie traktowały tego zbyt poważnie. Zresztą już wcześniej zostało przykryte cienką warstwą rzymskiego etosu arystokratycznego, którego nosicielami stali się biskupi. Socjaliści dokonali tylko niewielkiego rozszerzenia pojęć. Chrześcijaństwo głosiło równość wszystkich wobec Boga, socjalizm po prostu wyrzucił Boga i została równość wszystkich.

A zatem guru Daniel chciał się przeciwstawić tej tendencji. Szkoda, że nie dążył do syntezy, tak jak Bô Yin Râ, ale zbudował antytezę. Antyteza jest zawsze bardziej uzależniona od tezy, mniej w niej wolności i mądrości.

Wydaje się jednak, że ten destrukcyjny dla mężczyzn trend musiał dotknąć samej Wspólnoty, skoro naukę tę musiała głosić kobieta, mistrzyni. A może chodziło o to właśnie, aby ich, facetów, zawstydzić?

Sama Urszula nie zrobiła na Jakubie dobrego wrażenia. Bił od niej jakiś emocjonalny chłód i bezwzględność, nie dostrzegał u niej ani śladu naturalnej kobiecości, o której tak rozprawiała. Niewątpliwie była to osoba, dla której wydawanie rozkazów stało się drugą naturą, a może nawet czymś więcej. W sposobie w jaki mówiła, przebijał ten zły typ idealizmu, który jest w stanie poświęcać każdy konkretny na ołtarzu abstrakcji. Jednocześnie tkwiła w tym niezwykła inteligencja. Była bardzo elokwentna, mówiła ze swobodą, której mógłby jej pozazdrościć niejeden ze znanych Jakubowi profesorów. To, co mówiła, sprawiało wrażenie przemyślanej i spójnej całości. Tak, niewątpliwie była przekonująca, przynajmniej dopóki ktoś nie zacząłby zadawać pytań o podstawy całej tej doskonale harmonijnej konstrukcji teoretycznej, bo te akurat były w dużej części ezoteryczne. Jakub doszedł do wniosku, że ktoś o takim pomieszaniu inteligencji z fanatyzmem w innej epoce mógłby być zdolnym inkwizytorem.

\* \* \*

Tym razem nic nie było tak, jak zwykle. Zaczęło się od tego, że już przy wyjeździe z miasta, zepsuł się samochód którym jechali z Władkiem, Markiem i Olkiem.

- Zmiana planów - stwierdził Władek - musimy się przesiąść na pociąg.

- Następny do Warszawy odjeżdża o 11.34 - stwierdził zawsze doskonale poinformowany Olek, zaglądając do swego notatnika.

- Mamy zatem 15 minut.

Jakub spodziewał się, że zaraz padnie pytanie, kiedy jedzie następny, wydawało mu się niemożliwością zdążyć przez pół miasta w kwadrans. Zaskoczyli go, dla nich było to widać w zasięgu możliwości. Aby nie było zbyt łatwo, należało zatańczyć do pociągu jeszcze skrzynkę pełną buraków, które to zadanie spadło oczywiście na Olka i Jakuba. Mistrzowie narzucili tak ostre tempo, że nie było czasu zmienić rąk, w które drewniana skrzynka wrzynała się niemiłosiernie swą masą. Jak błogosławieństwo niebios Jakub przywitał widok podjeżdżającego autobusu, dzięki któremu choć jeden przystanek skrócili sobie drogę. Nie zwracał uwagi na zadziwione spojrzenia współpasażerów, kierowane na dziwną ekipę nosicieli buraków. Dalej pozostało jeszcze jakieś osiemset metrów ostrego biegu. Mistrzowie poganiali swych uczniów, nawet gdy zegar na budynku dworca wskazywał już z oddali 11.35. Dobiegli na miejsce pięć



minut później. Gdy Jakub usiłował złapać oddech usłyszeli, głos z megafonu, obwieszczący, że „spóźniony pociąg do Warszawy stoi gotowy do odjazdu na peronie pierwszym”.

- Dalej! - krzyknął Marek, na co porwali z Olkiem skrzynkę i pobiegli na peron.

Gdy tylko wskoczyli do pociągu, usłyszeli za plecami gwizdek konduktora wzywający pociąg do odjazdu.

- Te! Komandos! - gdy usiedli już w przedziale, Władek z Markiem roześmiali się na widok Jakuba. Rzeczywiście, był niemiłosiernie spocony, zasapany i w ogóle ledwie żywy. Po raz pierwszy poczuł się niestosownie w swoim moro. Tai chi nie dawało jednak wystarczającej zaprawy dla takich wyczynów.

- No, zdążyliśmy - stwierdził Władek, zmieniając temat - Widzicie? Nie ma przypadków, System czuwa!

Ta „rekreacja” różniła się od innych, których już kilka zaliczył w ostatnich miesiącach. Jakub zauważył to, kiedy tylko wszedł do sali. Ludzi było więcej niż zwykle. Wynajęto także większe pomieszczenie. Przeczuwał, że coś się święci. Od razu zagnano ich do roboty przy przygotowywaniu jedzenia. Na te działania wygospodarowano część pomieszczenia w rogu, gdzie już stały poustawiane kuchenki gazowe. Pracy było tyle, że mistrzowie musieli zakasać rękawy na równi ze swymi uczniami. W pewnym momencie, gdy ramię w ramię z Władkiem obierali i kroili buraki, do sali wszedł jakiś starszy człowiek. Wszyscy spojrzeli nań z zaciekawieniem, ale nie przerywali swej pracy.

- To profesor Sokołowski - szepnął Władek - jest zaprzyjaźniony ze Wspólnotą.

Kilku ludzi obskoczyło staruszką, pomogli mu się rozebrać, po czym odprowadzili do innego pomieszczenia.

- Nie jest „umowny”? - zapytał Jakub.

- Jest, oczywiście. Ale to „oswojony umowny”. Specjalista od psychologii polityki.

Jakub nie pytał dalej. Domyślał się, czego może od profesora chcieć Wspólnota, z pewnością czerpano od niego wiedzę, a jego obecność podnosiła autorytet Daniela. Sam pewnie też odczuwał satysfakcję z tego pozornego wpływu na rzeczywistość, z kontaktu z młodymi ludźmi, musiał mu pochlebiać ich szacunek.

Po pewnym czasie do sali wszedł kolejny starszy człowiek.

- Profesor Wójtowicz, cybernetyk - poinformował Władek.

Buraki już czekały pokrojone na zagotowanie się wody, gdy do sali wszedł trzeci mężczyzna.

- A to jest... - zaczął Władek, ale Jakub już zerwał się na równe nogi.

Nawet, gdyby nie znał go ze zdjęcia, nie miałby wątpliwości, że to „wilk Alfa” Wspólnoty. Wszyscy jak jeden organizm drgnęli, zerwali się z miejsc i walnęli pięścią w dłoń w geście pokłonu. Jakub spontanicznie dał się porwać temu odruchowi, może dlatego, że stale oczekiwał tego kluczowego momentu.

Władek podbiegł do swego mistrza, pomagając mu się zdjąć płaszcz. Po chwili spod grubego futra ukazał się Guru Daniel. Nie był wysoki, ale potężnie zbudowany. Jeśli wierzyć Markowi i Władkowi, że ma blisko 60 lat, to trzymał się imponująco dobrze. Chodził energicznie, był wyprostowany, miał głęboki, doniosły, choć chwilami niewyraźny głos. Z hukiem klaskał w dłonie, aby się rozgrzać i co chwila szturchał kogoś ze swych uczniów. Spod gęstego zarostu przeświecał szeroki uśmiech, a nad ustami widniał duży nos. Włosy miał gęste i jednolicie czarne, żadnych śladów siwizny.

Wszedł do sali w towarzystwie dużo młodszej ciemnowłosej kobiety. Była szczupła i atrakcyjna, roztaczała wokół dumne i władcze spojrzenia, poganiając tego czy owego. To musiała być jego partnerka, Paulina.

Po przyjęciu raportów od Urszuli i reszty swych palatynów Daniel wziął Władka pod rękę i zaciągnął na stronę. Jakub nie spuszczał z nich oka. Ich rozmowa sprawiała wrażenie przyjacielskiej pogawędki, najwidoczniej Władek musiał czymś rozbawić swego mistrza. Rozmowa toczyła się w najlepsze, a profesorowie czekali. Gdy zaczynał się jej drugi kwadrans Jakub doszedł do wniosku, że relacje między nimi różnią się znacząco od tego, co łączyło Daniela z innymi uczniami. Władkowi daleko było do uniżoności Marka czy nawet Urszuli, ewidentnie cieszył się znaczną sympatią swego mistrza. Ale z drugiej strony, z tego co zdążył się zorientować, będąc już od jakiegoś czasu jego uczniem, nie cieszył się też takim zaufaniem. Specjalnie go to nie dziwiło. Władek był zbyt inteligentny, by dać się zagonić do pozycji „nosiciela kapci”, ale też zbyt niezależny, by powierzyć mu poważniejsze zadania, prawdziwą władzę. Dostawał uczniów na przeszkolenie, potem kierowano ich gdzie indziej, zanim się do niego przywiązali. Na dawnych królewskich dworach mądry władca uczyniłby z niego swego błazna, jedyne, któremu wolno było być czasem mądrzejszym od króla, ale tylko dlatego, że sam nie miał żadnej władzy.

Po pół godziny rozmowy Władek zaczął zerkać na Jakuba i wreszcie skinął na niego, aby podszedł.

Jakub wiedział, co powinien zrobić - wykonał z pełnym zaangażowaniem przepisowy ukłon skierowany do tego człowieka. To zatem jest centrum Wspólnoty. Nadszedł wreszcie ten wyczekiwany moment, że spojrzy w jego twarz.

Mężczyzna zwrócił uwagę na Jakuba i przemówił:

- To ty jesteś Jakub? Słyszałem o tobie. Nasz młody specjalista od masonerii. Trzeba się pilnie uczyć od wrogów, dokładnie studiować ich metody. Trzymaj tak dalej i nie daj się babie - mówił doniosłym tubalnym głosem, z lekkim wschodnim akcentem, poklepując Jakuba po barku. W tym czasie Paulina szeptała mu coś do ucha. - Nie masz baby? Spokojnie, znajdzie się. Ufaj. Gdy będziesz autentyczny, System się zatroszczy o wszystko, co ci potrzebne do rozwoju. Studiujesz socjologię? To dobrze. Wiesz, że socjologię wymyślili Żydzi, aby móc obsiadywać intratne posady uniwersyteckie, a jednocześnie zajmować się poważniejszymi rzeczami, robieniem interesów czy sterowaniem społecznym. I do dzisiaj, zobacz, ilu pozorantów wykorzystuje ją tylko do tego, aby móc na swojej wizytówce dodać „dr”, bo to w biznesie pomaga. Dobra, a teraz pokaż swój sohbet.

- Co takiego? - Jakub nie wiedział, o co chodzi.

- No zaśmiej się!

- Ha, ha - Spróbował Jakub.

- Głośniej! Mocniej!

- HA, HA, HA!!

- Lepiej już, ale postaraj się bardziej!

- BUUHAHAHAHAHAHA!!! BUUHAHAHAHAHAHA!!! BUUHAHAHAHAHAHA!!!

- Dobra, na pierwszy raz wystarczy. Musisz jeszcze poćwiczyć.

Jakub czuł mrowienie w całym ciele i ciepło wybijające mu na twarzy. „Czyżby to ta energia? A więc na tym polega ta joga śmiechu” - pomyślał. Nie jest to więc jedynie technika rozbijania spotkań wrogich organizacji. Co ciekawe, na ludziach stojących wokół niego śmiech nie zrobił większego wrażenia, widać tego typu praktyki były dość powszednie.

Potem Mesjasz zniknął w drzwiach pomieszczenia, do którego udali się profesorowie. Co jakiś czas tylko donoszono mistrzowi półmiski z owocami czy różnymi specjałami. Reszta „rekreacji” była już względnie rutynowa, prowadzenie przejęła Urszula. Jakub nie mógł się

zresztą skupić na tym, co mówiła. Jego myśli bez reszty pochłonięte były autoanalizą, obserwacją własnego przeżycia. Nie zostali z Władkiem na wspólnej uczcie, musieli wyjść nawet przed częścią z odebraniem wniosków, by zdążyć na pociąg.

Przez długą drogę powrotną, kiedy Władek chrapał na siedzeniu obok, Jakub miał o czym myśleć. Usłyszał ledwie kilka zdań z ust guru Daniela, ale wywarły one na nim wielkie wrażenie. Musiał teraz zrozumieć ten efekt, jego mechanizm, odpowiedzieć sobie na pytanie, jedno z najistotniejszych pytań socjologii religii: czym jest to, co Weber nazwał charyzmą i na czym polega jej wpływ? To, co przeżył, było tylko najprostszym wrażeniem wywartym przez tego człowieka. Ale był pewien, że już w nim kryje się klucz do całej Wspólnoty, a może nawet do zrozumienia zjawiska religijnych. Trudno mu było się jednak skupić.

Z pewnością był miły, ocenił Jakub. Starał się nawet być uprzejmy, czarował swoim szerokim uśmiechem. I cały czas patrzył prosto w oczy. Dzięki temu jakby lokował się na jednej płaszczyźnie z słuchaczem, angażował go w rozmowę. Ale gdy mówił, nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, kto wie naprawdę. Emanowała z niego jakaś siła. „Myśl kategoriami socjologicznymi - skarcił siebie - a nie metafizycznymi”. Potrafił narzucić innym rolę bezwolnego słuchacza, ucznia. Ale jak on to robił? Jakub zdał sobie sprawę, że nie potrafiłby mu przerwać ani zakwestionować jego opinii. To musiała być jakaś forma wpływu, myślał gorączkowo, narzucanie roli, wpychanie innych w rolę podległą, relację zależności... Na pewno pewną rolę odegrało otoczenie, entuzjazm całej wspólnoty niewątpliwie zarażał, niczym panika w tłumie. Ciekawe, czy oddziaływanie Daniela byłoby równie mocne, gdyby byli sami. No, ale pierwsi uczniowie zapewne byli sami. Jakub czuł, że w swych rozmyślaniach miota się w kółko między pojęciami, które to samo mówią, nic nie wyjaśniając.

Przede wszystkim musi odzyskać wewnętrzny spokój, obiektywizm, dystans do własnego przeżycia, wrócić do siebie. Michał by poradził modlitwę. Modlitwa rzeczywiście może wzmocnić zakorzenienie w swoim własnym micie. „Ale ja nie jestem chrześcijaninem, ewangelia nie jest moim mitem. Ostatni mój kontakt z religią to buddyzm”. Nawet nie zauważył, jak zaczął w myślach powtarzać formułę schronienia, której się kiedyś nauczył. Przyjmuję schronienie w lamie, przyjmuję schronienie w Buddzie, przyjmuję schronienie w dharmie, przyjmuję schronienie w sandze. Z czasem formuła zaczęła przykuwać jego uwagę, przypomniał sobie towarzyszącą jej medytację. Po chwili widział już wewnętrznym okiem tęcze światło padające na niego od Karmapy, złote promienie przenikające go od Buddy siedzącego po prawej stronie

Drzewa Schronienia, przeproczyste wychodzące z ksiąg zawierających buddyjskie nauki niosące wyzwolenie wszystkim istotom. Wreszcie spowiło Jakuba białe światło płynące od Awalokiteśwary, którego cztery ramiona symbolizowały doskonałą miłość, współczucie, współradość i bezstronność. Symbolizuje on wszystkich tych, którzy towarzyszą nam na drodze do oświecenia. Jakub zastanowił się, czy Władek, Marek, Olek, Daniel są właśnie jego towarzyszami w tej drodze? Wyraził przed obliczem Buddy takie życzenie i kontynuował medytację. Wracał spokój. „Michał albo jakiś bardziej fanatyczny chrześcijanin powiedziałby, że wyganiem diabła Belzebubem” zaśmiał się w myślach. Z jaśniejszym już umysłem wrócił do swoich rozmyślań.

We własnej reakcji zaskoczyło Jakuba, że w pierwszej chwili przyjął za dobrą monetę krytykę własnej profesji. Zaniepokoiło go to. Czyżby już uległ hipnotycznemu wpływowi Daniela? Czy to dlatego, że w ogóle pierwszym ludzkim odruchem w kontakcie z drugim człowiekiem jest mu wierzyć? A może dlatego, że „coś” w tym było? Po chwili doszedł do wniosku, że było to dość małe „coś”. To prawda, że niemal połowa klasyków socjologii była pochodzenia żydowskiego: Marks, Durkheim, Simmel, Tönnies. Ale, wedle tego, co wiedział, pierwszym nowożytnym socjologiem był Hegel. To on po raz pierwszy od starożytności połączył dwa dotąd rozdzielone nurty, w jakich socjologia się rozwijała: empiryczny nurt w ramach historii z teoretycznym nurtem w obrębie filozofii. To Comte stworzył podstawy metodologiczne socjologii, oddzielając ją od myślenia ideologicznego, a Spencer wypracował do dziś obowiązującą siatkę pojęciową. Tocqueville, Pareto, Weber, Znaniecki czy Scheler wedle wiedzy Jakuba nie byli Żydami, a ich zasługi są może większe, przynajmniej dla teorii.

To prawda, że socjologia stała się ofiarą inwazji różnych modnych bzdur a często też przechowalnią dla leni i nieudaczników, ale winić za to Żydów? Sprawa była prostsza: materia, którą para się socjologia, ma taki stopień złożoności, który fizyka dostrzegła w zwykłej materii dopiero po ponad dwudziestu wiekach rozwoju. Socjologia musiała od takiego stopnia trudności zaczynać, czy zatem nie jest naturalne, że dużo trudniej robić to dobrze? Co byłby w stanie wymyślić Newton, gdyby mu jego zderzające się ciała w połowie drogi zmieniały zdanie, gdyby za każdym razem zachowywały się odmiennie, zmieniały swą masę i inne właściwości w trakcie eksperymentu? Socjolog ma na wstępie do czynienia z rzeczywistością kilkunasto, a może kilkudziesięciowymiarową: musi, a raczej powinien, uwzględnić przecież dziesiątki różnic między ludźmi, a przynajmniej te najistotniejsze: dochód, udział we własności środków produkcji

i pracy, miejsce w społecznym podziale pracy, wykształcenie, doświadczenie zawodowe, wychowanie i kulturę osobistą, uczestnictwo w kulturze niskiej i wysokiej, płeć, wiek, wyznanie i stopień zaangażowania religijnego, poglądy polityczne i stopień politycznej aktywności, stan cywilny czy też ogólnie, sytuację seksualnoprokreacyjną, narodowość i wiele innych, z których część się przecież nieustannie zmieniała. A na to wszystko trzeba jeszcze nałożyć sytuację historyczną: stopień rozwoju danego społeczeństwa, jego wewnętrzne i zewnętrzne skonfliktowanie, relacje, sytuację gospodarczą, demograficzną, polityczną. W epoce globalizacji liczba czynników wpływających na zachowanie poszczególnych ludzi jeszcze lawinowo rosła, bo dochodził wpływ społeczeństw nie tylko z bezpośredniego sąsiedztwa własnego kręgu cywilizacyjnego, ale także z zupełnie innych cywilizacji. I bądź tu Einsteinem albo choć Keplerem!

A zatem merytorycznie Daniel miał tylko część racji. Ale to, co się mówi, to przecież tylko niewielka część komunikatu. A zatem trzeba rozważyć formę wypowiedzi i jej kontekst.

Kontekst niewątpliwie nie był bez znaczenia. To prawda, że Jakub był już od dawna przygotowywany do tego spotkania. Od tygodni słyszał o Wielkim Mędrca, Największym Geniuszu i inne takie. Niewątpliwie z socjologicznego punktu widzenia część tych historii były to mity, czyli opowieściami mającymi na celu wzbudzenie wiary w rzeczywistość nadprzyrodzoną, albo chociaż mającą pewne elementy nadprzyrodzoności. Opowiadano mu mity poświadczające nadprzyrodzone właściwości czy moce Daniela. Nie podejrzewał, by była to jakaś świadoma strategia z ich strony. Po prostu, skoro już wiedział o Mesjaszu języki im się rozwiązały, mogli nieskrępowanie dzielić się z Jakubem swoją miłością do Mistrza. Wiele z tych opowieści mogło mieć jakieś poparcie w rzeczywistości, choć niekoniecznie takie, w jakie wierzyli ci, którzy mu je opowiadali. To, że kogoś uzdrowił, że potrafił swych uczniów wzmacniać energetycznie na odległość, to mogła być czysta autosugestia ich, albo jego, jak z tą opowieścią, że odparł atak magiczny ze strony jakiś satanistów.

Tak czy inaczej Jakub nie wierzył w serwowane mu mity, podchodził do nich z pełnym dystansem. Nie stąd wypływała zatem siła przekonywania Daniela wobec Jakuba. O ilez mocniej jednak spotkanie z takim mistrzem musiało zatem oddziaływać na kogoś, kto dopuszczał tego rodzaju zjawiska. Ale na ten kontekst Daniel nie mógł zresztą liczyć na początku działalności. Musiał opierać się na sile własnej osobowości.

Tym, co zrobiło na Jakubie największe wrażenie, była niewątpliwie pewność siebie starszego jegomościa. Ani krzty zawahania czy wątpliwości. Nie dostrzegł nawet najmniejszego cienia, który świadczyłby o dystansie do roli. Tak, ten człowiek w pełni się utożsamiał z postacią, którą odgrywał, absolutnie wierzył w to, co robił. Był przy tym człowiekiem w pełni przytomnym, żadnych widocznych objawów schizofrenii, oderwania od „tu i teraz”. Pod tym względem sprawiał wrażenie w pełni normalnego.

Jakubowi przypominał się fragment Nietzschego, który pisał, że ludzie wierzą tym, którzy sami silnie wierzą w to, co mówią, przynajmniej w momencie, kiedy to mówią. To wiara w siebie „jest tym, co tak cudownie i przekonująco przemawia do otaczających”.

Tak, z pewnością wiara w siebie, ale co ważniejsze - silna wiara w siebie. Tego ilościowego aspektu nie można pominąć. Siła wiary daje moc jej wpływu. Ktoś taki jest jak rzeka porywająca za sobą innych, nie oglądając się nawet za siebie. Z pewnością musi on silnie wpływać zwłaszcza na osoby będące na życiowych zakrętach, w chwilach zwątpienia, a ruchy takie często odnoszą największe sukcesy w epokach, gdy całe społeczeństwo jest w takim stanie. „Logiczne. Gdy nie widać kierunku, gdy panuje anomia, ktoś, kto stanowczo i z wewnętrznym przekonaniem wskaże kierunek może znaleźć posłuch.”

„Jak mogę się oprzeć temu wpływowi, sam będąc w gruncie rzeczy wykorzeniony?” Ogólna dyrektywa byłaby prosta: nie rezygnować z własnego rozumu i woli. Ale jak to przełożyć na konkretne zachowania w sytuacjach, w których wymagano od niego bezwzględного posłuszeństwa? „Co ja tu robię? - zadał sobie pytanie - służę nauce? Czy Nauka jest wystarczającym uzasadnieniem, aby wystawiać się na takie ryzyko, skoro ów Daniel faktycznie potrafi tak przywiązać do siebie ludzi”? W to już Jakub zaczynał bowiem wierzyć, obserwując ludzi we Wspólnocie, ich bezwzględną uległość, choć przecież były to, z tego co się orientował, osoby w większości nieźle wykształcone. „Czy w każdej sytuacji nauka pozostanie dla mnie wystarczająco żywym ideałem, wartością nadającą kierunek mojemu życiu, bym mógł się oprzeć temu żywemu człowiekowi? Lekarze, którzy ryzykują życie, prowadząc badania nad śmiertelnościami chorobami, kierują się dobrem ludzkości... Może właśnie o to mi chodzi? Trudno nie zgodzić się z argumentacją Daniela, że ludzkość nie idzie ku lepszemu pod rządami masońskiej ideologii. Może postawić nad sobą wartość, której również on, przynajmniej werbalnie, się podporządkowuje? To da mi możliwość w każdej chwili osądzenia go, czy jest wierny tej wartości. A kto osądza, zyskuje dystans. Kto osądza, nie rezygnuje z własnego

rozumu... Jednocześnie podległość zasadzie, jak to opisał Simmel, daje więcej autonomii niż podleganie jednostce”. Nazwał to „Testem Wyższej Zasady”.

Ciągle jednak brakowało Jakubowi wielu elementów układanki. Jak jednak ktoś psychicznie normalny może uwierzyć, że sam jest mesjaszem? Może faktycznie przeżył jakieś mistyczne doświadczenie, to tłumaczyłoby tę jego wiarę w siebie: skoro Bóg we mnie uwierzył, objawiając się... Mało mu jednak było wiadomo o faktycznej przeszłości tego człowieka. Opowiadali mu, że Daniel czterokrotnie osiągnął oświecenie. Czy był to mit, czy coś było w tym na rzeczy? Niewiele mówili mu natomiast na temat jego życia, zanim został wielkim mistrzem. Cóż, dla wyznawców kwestie te są mniej interesujące niż cuda, które prorok czyni. Również dzieje Jezusa zaczęto spisywać dopiero kilkadziesiąt lat po jego śmierci, a opowieści dotyczące jego dzieciństwa należą do najpóźniej dodanych, przemilczają też najważniejsze lata jego formacji i więcej w nich zmyśleń niż historii.

Inna sprawa - nie wszystkie osoby, które doświadczają przeżyć mistycznych, zostają mesjaszami. Skąd wzięło się w nim przekonanie, że otrzymał konkretną misję? Tego nie sposób wytłumaczyć nie poznając historii tego człowieka, skąd się wziął, w jakiej tradycji kształtował. Zadanie Michała stawało się coraz ważniejsze.

\* \* \*

Wyjazdy do Warszawy odbywały się właściwie co tydzień. Ale jeszcze tylko trzy z nich miały charakter „rekreacji”, czyli wielkiego wspólnotowego zjazdu, rozpoczynającego się śpiewem i kończącego się wspólną biesiadą, na których zresztą Jakub z Władkiem nie zostawali.

Okazało się, że awaria samochodu była zbyt poważna, by nawet po naprawie, wypuszczać się nim w dalszą trasę. Marek natomiast nie mógł ich wozić, gdyż zaczął zabierać na imprezy wybranków ze swej drużyny. Musieli zatem polubić podróże koleją, które zresztą zwykle nie były zbyt uciążliwe, jeśli tylko znalazło się miejsce siedzące w przedziale, a zwłaszcza jeśli miało się odpowiednią lekturę.

Kulminacyjnym punktem każdego zlotu była „próba” prowadzona przez Urszulę, a jeden raz przez Daniela. Jakub pierwszy raz widział Mesjasza wygłaszającego wykład. Nie było to może tak dobrze poukładane jak pogadanki Urszuli, czasami brakowało spójności logicznej, ale niewątpliwie było podparte większą liczbą źródeł, często trudno dostępnych. Daniel angażował też w wykładanie większą dawkę emocji, co nie zawsze korzystnie wpływało na jasność jego wyводу.



W czasie swego wykładu twierdził, że obie wojny światowe zostały zaplanowane przez klub żydowskich przemysłowców i finansistów. Pierwsza wojna pozwoliła tylko zdobyć środki, które zainwestowano w drugą wojnę, najpierw sponsorując dojście do władzy Hitlera, a potem napuszczając na siebie dwa giganty: Niemcy i ZSRR. Jakub słyszał wprawdzie o roli takich korporacji jak Flick KG, Daimler, BMW, Volkswagen, Krupp czy Siemens w finansowaniu partii nazistowskiej, jednak teza, że właścicielami tych wszystkich przedsięwzięć byli Żydzi, śmieszyła swą karkołomnością. Czytał gdzieś także, że dwóch żydowskich dyrektorów generalnych największych komercyjnych banków Niemiec w pewnym okresie hojnie sponsorowało NSDAP. Było to skądinąd zrozumiałe, ruch syjonistyczny często wykazywał paradoksalnie zbieżne interesy z pewnymi formami antysemityzmu. Do czasów holocaustu największym przecież zagrożeniem dla narodu „wybranego” były nie tyle prześladowania, co asymilacja, w wyniku której naród ten tracił często najzdolniejszych swych członków. Antysemici byli pod tym względem użyteczni: kierując się naiwną, etniczno-rasową koncepcją narodu przypominali co poniektórym o ich „prawdziwych korzeniach”, o których tamci najchętniej by zapomnieli. Miał tego świadomość twórca syjonizmu Toedor Herzl, gdy wiązał powstanie swego ruchu z antysemityzmem. Od tych wszystkich często wątpliwych powiązań dość daleko było jednak do tezy, że to Żydzi wywołali wojnę. A może Daniel używa terminu „Żydzi” w sensie metaforycznym, a nie etnicznym, zastanawiał się Jakub. Może rozumie przez to po prostu kapitalistów, ludzi, którzy zysk stawiają ponad wszystko? Przypominało to trochę socjoekonomiczne pojęcie żydostwa jak u młodego Marksa w Kwestii żydowskiej. Przekonaniu o historycznej roli Żydów w nauczaniu Daniela nie towarzyszyło bowiem nic, co mogłoby być interpretowane jako nienawiść rasową. Co więcej, sam Daniel przyznawał się do żydowskiego pochodzenia i robił to z dumą. Później Jakub dowiedział się, że Daniel zaopiekował się też jednym starym Żydem, doktorem historii. Co się dokładnie wydarzyło, tego mu się nie udało dowiedzieć, w każdym razie było to w bardzo krytycznym momencie życia tego człowieka, kiedy cały świat mu się zawalił, a bliscy zostawili samego. Daniel wysyłał mu kartony z jedzeniem, zapraszał do siebie w gościnę, gdzie długie godziny rozmawiali o żydowskich obyczajach. Jakub, który raz z Władkiem po niego pojechali, podsłyszał, jak Daniel mówił do gościa: „...wreszcie możemy mieszkać u siebie, a nie u jakiś gojów”.

Na ostatniej rekreacji, zorganizowanej w sylwestra, były nawet tańce, do których przygrywała „grupa instrumentalna” ze skrzypcami i akordeonem. Jakub nie cierpiał tańca.

Bardzo bliskie jego sercu było powiedzenie klasyka socjologii Herberta Spencera: „No Spencer ever dances”. Może przełamałby się, gdyby pojawiła się na horyzoncie owa piękna nieznajoma, ale ostatnio chyba, jak na złość, przeniesiono ją do Marka, a dziewczyny z Pracowni rzadko jeździły na rekreacje. Teraz również, jak zaobserwował, do Volkswagena busa zmieściły się tylko Wanda, Magda, żona Olka i żona Łukasza. Tym niemniej była to okazja do czynienia ciekawych obserwacji, z których wprawdzie nie mogłaby powstać nowa wersja słynnej książki Bronisława Malinowskiego *Życie seksualne dzikich*, ale na część rozdziałiku w pracy doktorskiej materiału się zebrało, zwłaszcza jeśli uwzględnić śpiewane wówczas pieśni, które dość precyzyjnie rozstrzygały kwestie relacji damskomęskich. No, może poza kwestiami ściśle łóżkowymi, które, na ile się zdążył zorientować, pozostawione były w gestii bezpośrednio zainteresowanych. Obserwował nieco wymuszoną pewność siebie młodych adoratorów, zaloty, nieco w sarmackim stylu, kobiety piszczące w tańcu, nastrój święta, choć nie karnawału. Było jasne, że na jedno skinienie mistrza każdy z tych młodych mężczyzn pobiegłby, nawet nie oglądając się na niewiastę, która jeszcze przed chwilą była obiektem jego starań - podobnie zresztą kobiety. Interesującym zjawiskiem były często natrętne zachęty ze strony przełożonych, których i on by pewnie nie uniknął, gdyby Włodek w tym czasie nie był „na audyencji” u Daniela. Tak, presja na łączenie się w pary była silna. Z tego co opowiadał Filip, często posuwano się do dość arbitralnego swatania, stąd też niektórzy, gdy tylko zdali sobie z tego sprawę, robili co mogli, aby samemu znaleźć sobie kogoś odpowiadającego ich gustom, często poza Wspólnotą, wewnątrz której wybór był ograniczony.

## Rozdział XXI

Kuba jest szalony, pomyślał Michał, przechodząc przez cmentarną bramę. Rozumiem, że nie chce, by nas zobaczono razem, ale dlaczego musiał wybrać akurat cmentarz i to akurat o tej porze? Wprawdzie do północy było jeszcze dwie godziny, niemniej jednak było już ciemno, choć oko wykol. Na złość wąski sierp księżycy zasłoniły chmury. W końcu to moja wina. To ja dałem mu sygnał, że musimy się skontaktować. Ale dlaczego musiał wybrać punkt numer trzy, a nie jeden albo dwa?

W ostatnich miesiącach opracowali system dyskretnej komunikacji, dzięki czemu udało im się skopiować trochę dokumentów wewnętrznych podebranych z domu Olka, Marka czy Władka tak, że ci się nie zorientowali. Posługiwali się głównie mailami spreparowanymi tak, by wyglądały na typowe reklamówki masowo zaśmiecające pocztę. Tym razem to Michał miał ważną nowinę dla Jakuba.

- Witaj harcerzu! - usłyszał Michał za swoimi plecami. Podskoczył ze strachu, zanim jego mózg rozpoznał głos przyjaciela.

- Wariat. Dlaczego musieliśmy się spotkać właśnie tutaj? - zapytał z wyrzutem.

- Nie mów, że się boisz? Myślałem, że tak wytrawnego egzorcysty duchy nie tykają, hi, hi, hi. Właśnie jadę do Pracowni, Władek kazał mi pomóc chłopakom w robocie, ponoć jest jakieś bardzo pilne zamówienie. Za pół godziny mam autobus z tamtego przystanku. Lepiej schowajmy się głębiej, bo nie wiem, czy ktoś jeszcze nie pojedzie, a tu za bardzo jesteśmy widoczni na tle śniegu. - Przeszli wybrukowaną alejką mijając stare przedwojenne nagrobki zamożnych mieszczan. Były na tyle okazałe, że dawały świetne schronienie i wytłumiały głos. - No, to co słyhać, co się stało?

- Niechący mamy quasideksperyment socjologiczny. Musisz maksymalnie zintensyfikować obserwację, mogą się dziać ciekawe rzeczy.

- Co się stało? - zapytał zaintrygowany Jakub.

- Filip rozrabia. Wiesz, gorliwość neofity - Jakuba zaskoczył dystans jaki okazał Michał wobec szczerej żarliwości religijnej. Ten zaś ciągnął: - Zaniepokoił mnie już, kiedy odwiedziłem go ostatnim razem, ponad miesiąc temu. Wyobraź sobie, był to piątek, facet cały dzień nic nie jadł, ścisły post o chlebie i wodzie. Pytam go: dlaczego tak ostro? On coś kręcił. Zobaczyłem

jego modlitewnik na półce, przejrzałem sobie. Patrzę na koniec, a tam są doklejone jakieś strony, coś po łacinie. Pytam, co to jest. Mówi, że to egzorcyzmy. Wyobraź sobie, facet odmawia je co piątek, o północy w intencji nawrócenia Daniela i spółki.

- I co, działa? - zaśmiał się Jakub. - Nie śmieję się, posłuchaj dalej. Nie wiedziałem o tym, ale ostatnio udzielił wywiadu jakiemuś dziennikarzowi - Jakub momentalnie przestał się uśmiechać. - W tym tygodniu ukazał się dodatek do miesięcznika Posłanie poświęcony sektom.

- Co to za pismo?

- Ogólnopolskie, młodzieżowe, zbliżone do ruchu odnowy charyzmatycznej - rzucił Michał i wrócił do swojej opowieści. - Myśl o tym, co chcesz, może to przypadek. Ja wierzę, że nie do końca. Jak to mówią ezoterycy?, synchroniczność zjawisk? Zdarzyło się, że pewien młody ksiądz w jednej ze szkół średnich w naszym mieście postanowił pójść na łatwiznę i zamiast przygotowywać normalną katechezę kupił tę gazetę i dał do przeczytania na lekcji niektóre wybrane artykuły kilkorgu uczniom. Traf chciał, że wybrał też artykuł oparty na zwierzeniach Filipa, trochę zresztą zniekształconych, jak mi się żalił. I traf chciał, że dał go do przeczytania na głos niejakiemu Mariuszowi.

- Mariusz? - oczy Jakuba zajaśniały w ciemnościach.

- Tak, to ten Mariusz, uczeń Olka - ciągnął Michał, zadowolony z efektu, jaki zrobiły jego słowa na przyjacielu. - Nie muszę ci mówić, że głos mu się w trakcie nieco załamał. On i jego dwóch przyjaciół przybiegło od razu do naszego ośrodka, totalnie rozbici. Zwłaszcza Mariusz. Usiadł i zaczął opowiadać o sobie, w sumie zacząłem mu współczuć. Ten artykuł odebrał mu wszystko, co dawało sens jego życiu... Był zaangażowany?

- O tak, bardzo. Ma, delikatnie mówiąc, dysfunkcyjną rodzinę, która może by nawet nie zauważyła, gdyby się wyprowadził. Toteż praktycznie cały wolny czas poświęcał Wspólnocie. Była całym sensem jego życia, jego drugim, ale chyba prawdziwszym domem.

- To było po nim widać. Totalnie zdruzgotany. - Wyglądało na to, że Michał mu faktycznie współczuł. Zaskoczyło to Jakuba. Dotąd był dość bezwzględny w stosunku do „sekcjarzy”. Czyżby zaczął dostrzegać za nimi ludzi, z ludzkimi potrzebami? Widać rozmowy z głównymi ezoterykami kraju, a przede wszystkim z Filipem, wywarły na nim swój wpływ.

- I co z nim? - zapytał Jakub.

- Przyszedł ojciec Marcin. O nic nie pytał, spojrzął i wziął go do spowiedzi. Chłopak wyszedł odmieniony. To było wczoraj. Dzisiaj widział się z tym Olkiem. Oświadczył mu, że odchodzi. Zwróć uwagę, co się będzie działo. Może być bardzo ciekawie.

- Acha, Michał! - zawołał za znikającym już w mroku przyjacielem.

- Tak?

- Mógłbyś może porozmawiać z Filipem, facet się jeszcze pogubi. Narobi głupot.

- Jasne.

\* \* \*

Przed Pracownią stały cztery samochody. Był samochód Olka, Marka, ale też jakieś dwa na warszawskich rejestracjach. W samym domu nie było jednak zbyt tłoczno. Wyglądało na to, że wszyscy zajęci są swymi zwykłymi czynnościami, część najwidoczniej szykowało się do snu. Wyczuł jednak, że uwaga wszystkich koncentrowała się w jakiś sposób w niewidocznym z korytarza miejscu pokoju. Postąpił dalej i dostrzegł tam, tak jak się spodziewał Daniela. Przechadzał się po domu i zaglądał domownikom przez ramię, rzucając jakieś komentarze czy uwagi.

Jakub stanął w progu i wykonał zwyczajowy ukłon. Daniel uśmiechnął się do niego i zaczął już bez uśmiechu.

- Słyszałeś co się stało? Obsmarowali nas w prasie. Że niby jesteśmy sektą - Daniel był widocznie zmartwiony. Potem dodał z naciskiem - Nie mamy nic wspólnego z sektami, z New Age'em. W ogóle nie jesteśmy religią! Religie dzielą ludzi, my chcemy ich łączyć!

- Idź do garażu, pomóż chłopakom - powiedział Marek.

W garażu, wzdłuż prowizorycznego blatu ułożonego na dwóch dużych kartonach, siedzieli czterej uczniowie Marka. Po blacie przesuwali kartoniki, w których poszczególne osoby umieszczały elementy zestawów z narzędziami, wyjmując je z postawionych za sobą kartonów. Przy pracy śpiewali dobrze już znane Jakubowi pieśni. W końcu „taśmy” stał Olek, zamykał kartoniki i pakował je do większego kartonu.

- O, cześć Kuba! - powiedział machając do niego - chodź pomożesz mi.

Jakub stanął obok i zaczął pomagać Olkowi. Praca była monotonna, po kilkunastu powtórzeniach ruchy stały się automatyczne. Przypomniawszy sobie utopijne rozważania ojca socjologii Comte'a, który uważał, że dzięki monotonnej pracy robotnicy mogli poświęcić się w większym stopniu rozważaniom filozoficznym. Niezależnie od tego, czy Comte miał rację, Jakub

ucieszył się, że mógł przemyśleć to, co się właśnie działo. Był niezmiernie ciekawy, jak ten medialny atak wpłynie na Wspólnotę. Zgodnie z socjologiczną teorią powinien ją skonsolidować, można się było spodziewać wzrostu dyscypliny, centralnego sterowania, wrogiego nastawienia do otoczenia, wzmocnienia i tak już wyraźnej przewagi relacji pionowych, hierarchicznych nad poziomymi. Z drugiej strony nie był to atak zbyt silny. Fakt, że sam Daniel pofatygował się z Warszawy, dowodził raczej jego lęku przed dekonspiracją niż faktycznego zagrożenia. Ten cały artykuł, przynajmniej tak twierdził Michał, nie identyfikował przecież Wspólnoty jednoznacznie, nie było w nim żadnych specjalnych wskazówek, które umożliwiłyby powiązanie go z konkretną grupą ludzi. Co więcej, jak zauważył sam autor, opowieść ta brzmiała tak nieprawdopodobnie, że przypominała bardziej film szpiegowski niż relację o faktycznie zaistniałych zdarzeniach.

Po trzech godzinach pracy nadszedł czas posiłku. Aby nie przerywać pracy jedli na zmianę. W pierwszej turze do kuchni zostali wezwani Leon i Waldek.

Po chwili Artur musiał wyjść na chwilę za potrzebą, więc zostali z Olkiem sami. Jakub postanowił to wykorzystać, zaryzykował i zagadnął Olka wprost, co się wydarzyło, zawsze warto mieć różne wersje wydarzeń.

- Znałeś Filipa? To był uczeń Marka. Coś mu odbiło i zaatakował Wspólnotę. Mistrz jest wściekły, bo poszedł do dominikanów. Dlatego przyjechał, chce z nimi porozmawiać - wyjaśnił, a po chwili dodał ściszym głosem: - Nie rozumiem Filipa, po każdym bym się tego spodziewał, ale nie po nim. Nie wiem, dlaczego chce zniszczyć Wspólnotę. Przecież tyle nam zawdzięcza! Jak on mógł przejść na drugą stronę?! - Olek wzruszył z bezradnością ramionami. Potem dodał z rezygnacją w głosie: - Trudno, jakoś sobie poradzimy, będziemy musieli głębiej zejść do podziemia. Najprawdopodobniej będę musiał zlikwidować swoją sekcję.

Warto było zapytać, pomyślał Jakub, teraz z kolei ja muszę ostrzec Michała. A zatem to nie tyle artykułu wystraszył się Daniel, co związków Filipa z dominikanami, wciągnięcia Wspólnoty na ich „czarną listę” niebezpiecznych sekt.

Gdy najedzeni wrócili do garażu, Olek skinął na Artura i Jakuba i udali się do kuchni.

Wtedy ją zobaczył. Poznał ją od razu, choć stała do niego tyłem, zmywając naczynia. Przypomniał sobie, że śniła mu się tej nocy. Usiadł za stołem jakby śnił nadal czy znowu, z trudnością odrywając oczy od cudownej linii jaką tworzyła jej szyja i ramiona, od jej rudych włosów, luźno przewiązanych i przerzuconych do przodu...

Obejrzała się, widać poczuła na sobie jego spojrzenie. Jego mina musiała być dziwna. Dobrze, że chłopacy skupieni byli na pałaszowaniu zawartości własnych talerzy, więc niczego nie zauważyli. Ona jednak spojrzała mu prosto w oczy.

- Coś nie w porządku?

- Nie... tego... śliczna ta zupa...

- Co?! - nie dowierzała własnym uszom.

- Chciałem powiedzieć: pyszna! - ale jego odpowiedź zagłuszył śmiech chłopaków. Olek szeptał z rechem do Artura - „On chciał powiedzieć ‘śliczna dupa’! Buhahaha!”

W tym momencie do kuchni wszedł Władek.

- Zamknąć się, Mistrz już śpi. A ty Kuba zbieraj się, natychmiast.

Jakub był wściekły, na siebie, na Freuda i na Władka.

Gdy już ubrał kurtkę w przedpokoju pojawiła się ona.

- Masz tu swoją śliczną zupę - powiedziała, podając mu słoik i uśmiech. Jakub przeczuwał, że tej nocy trudno mu będzie usnąć.

\* \* \*

Okazało się, że Michał wiedział już o planowanej wizycie Daniela w klasztorze dominikanów. Aby nie przyjeżdżać na próżno, guru umówił się z ojcem Marcinem telefonicznie, a ten oczywiście zadbał, by zarówno Michał, jak i brat Patryk byli pod ręką.

Michał już o 17 czuwał na posterunku. Filipa nie było, ale był Mariusz, zresztą służył do mszy. Michał zauważył, że w pewnym momencie poblądł, a jego ruchy stały się sztywne i nerwowe, co mogło oznaczać tylko tyle, że goście już są, a wśród nich musiał rozpoznać kogoś znajomego. Michał, który siedział w ławach w prezbiterium wraz z paroma zakonnikami, którzy z różnych powodów nie mogli być na mszy konwentualnej, zaczął się pilnie rozglądać po kościele. Gdyby miał obstawiać, wskazałby na brodatego jegomościa w ubraniu o nieco orientalnym stylu siedzącego w pierwszej ławce. Zachowywał się dość przyzwoicie do momentu we mszy, w którym wszyscy wierni odmawiali Ojcze nasz. Człowiek ten zaczął modlić się praktycznie na cały głos. Niemal wykrzykiwał kolejne frazy modlitwy. Wywołało to ciche poruszenie wśród wszystkich uczestników mszy, ale ojciec Marcin z zimną krwią rozdał komunię.

Po mszy miało być spotkanie w Zapiecku, jednej z salek duszpasterstwa szkół średnich. Michał udał się tam, a po chwili przybiegł przerażony Mariusz, mówiąc: „Już są!” Do salki

weszło dwóch mężczyzn, podczas gdy trzeci, młodszy, pozostał na zewnątrz. Młodszy jawnie usługiwał starszemu, wyszukał mu krzesło i wyłożył je kocem, który miał ze sobą. Stał za plecami starszego, gdy ten usiadł i spokojnie czekali. Ojciec Marcin wkrótce wrócił ze swojej celi i podszedł do obu przybyszów. Przez dłuższą chwilę żywo rozmawiali. Michał żałował, że stał tak daleko, bo nie dochodziły go żadne głosy. W pewnym momencie, ku zaskoczeniu Michała obaj goście uklękli i dominikanin zaczął modlić się nad nimi. Ostatecznie spotkanie modlitewne poprowadził ktoś inny, a ojciec Marcin skinął na Michała i udali się wraz ze starszym z gości do innej, niewielkiej salki. Po drodze dołączył do nich brat Patryk.

Usiedli w niewielkim pomieszczeniu. Daniel Drzewiecki, jak się przedstawił, usiadł również i ku zaskoczeniu wszystkich zdjął buty, w których przyszedł i włożył na nogi lekkie skórzane pantofle. A to ci gość, pomyślał Michał, przychodzi i ceremonialnie zmienia obuwie!

Był bardzo spokojny. Zdziwiająco spokojny. Siedział wyprostowany i mówił wyraźnie, głębokim głosem. Co rzucało się w oczy, wcale przy tym nie gestykulował. Dużo trudniej jednak było Michałowi zrozumieć, co konkretnie guru chce powiedzieć. Z pewnością chciał przekonać ojca Marcina, że się myli, uważając jego grupę za sektę. Przekonywał wytrwale. W pewnym momencie użył argumentu, który zaskoczył wszystkich, że podobno, coś, kiedyś, zakładał, zamierzał zrobić, czy zrobił razem z księdzem Blachnickim. Nazwisko założyciela Ruchu Światło Życie było wszystkim znane, ale trudno było im je zestawić z postacią siedzącą przed ich oczami. Daniel Drzewiecki mówił w sposób niejasny, trudno było wywnioskować, co dokładnie zaszło czy zająć miało między nim a twórcą oaz. Mówił, że ma na to dokumenty i wyjął nawet z torby tekturową teczkę. Co rusz brał tę teczkę mówiąc, że ma dokumenty i odkładał ją zaraz, nie otwierając. Gdy ojciec Marcin próbował przycisnąć go, aby jednak je pokazał, jakoś się wykręcił i oczywiście teczka wylądowała w jego torbie. Cała rozmowa wywierała na Michale wrażenie jakiejś gry w ciuciubabkę, trochę tego, trochę tamtego, raz miło, raz niemiło, troszkę sensacji, troszkę zupełnej szarości. Facet się po prostu wił i wymigiwał, mieszał, stale zmieniał wątki. Ale jak już miał być jakiś konkret to się okazywało, że go nie było. Raz nawet powołał się na nazwisko jednego znanego biskupa, że niby ma jego błogosławieństwo i poparcie. Tego było już trochę za wiele.

Wtedy Daniel zorientował się, że on mówi swoje, a oni nadal uważają swoje. Zaczął zdradzać pewne zdenerwowanie, złość, w jego głosie i ruchach wreszcie pojawiła się jakaś ekspresja. Zaczął nawet podnosić głos, odnosiło się wrażenie, że upór jego słuchaczy po prostu



go obraża. Nawykł widać do tego, że wszyscy mu ulegają, a tu ktoś mu się opiera. To musiało być dla niego nieznośne. Wyszedł z salki ewidentnie wściekły i obrażony.

- „Czeski film” - brat Patryk wyraził uczucia wszystkich.

Wieczorem spotkali się Michał, ojciec Marcin, brat Patryk. Przyszedł nawet Filip, choć nikt go nie powiadomił. Wszyscy sprawiali wrażenie totalnie wyczerpanych. Brat Patryk żalił się, że w miejscu, gdzie siedział Daniel nie można się modlić, zostawił tam jakiś „zły wpływ”. Ojciec Marcin dodał, że dzwonił do wspomnianego biskupa. Okazało się, że faktycznie pamiętał Drzewieckiego z czasów komunistycznych, od początku uważał go za bardzo niebezpiecznego człowieka.

- Podobnie było też pewnie z Blachnickim, który miał pecha usiąść z nim przy jednym ognisku i już został jego współnikiem - powiedział Michał.

- Myślisz, że faktycznie się znali?

- Nie wiem, ale coś w tym może być. Wiem, że śpiewają jedną z piosenek oazowych, skądś się to wzięło. Ktoś od kogoś ją przejął, niewykluczone, że za pośrednictwem księdza Tadeusza z Chełma, ponoć się jej nauczył właśnie od Drzewieckiego.

- Może - skwitował zmęczony dominikanin. - Teraz to nieważne. Facet ewidentnie instrumentalnie używał nazwisk, by dodać sobie wagi.

\* \* \*

Gdy tego dnia Jakub z Władkiem przyjechali do domu Marka, zastali wszystkich stojących, jakby ich ktoś przed chwilą oderwał od różnych zajęć. Wszyscy w napięciu wsłuchiwali się w słowa Daniela:

- Opowiadają, że nauczał nadstawiania drugiego policzka! Bzdury! On uczył miłować bliźniego jak siebie samego! Jak siebie! A ci sentymentalni kłamcy, ci manipulatorzy przebrani w szaty sług Bożych zrobili z niego mięczaka, tak sentymentalnego jak oni sami. Oni chcą, by ludzie byli tacy jak oni, wtedy będą mogli nimi manipulować! Słuchajcie, kim był Jezus: on skręcił z rzemieni bicz, wpadł do świątyni i wypieprzył stamtąd wszystkich tych sprzedawczyków! To jest mój Jezus! I żaden księżulo mi go nie odbierze! Słuchajcie! On chciał mnie spowiadać! - Tu zaśmiał się swym charakterystycznym głębokim śmiechem. - Mnie! On nigdy nawet nie słyszał o poziomach, na których ja się muszę spowiadać. Co on wie o Bogu?! Nigdy nie będę klęczał przed żadnym człowiekiem!

To powiedziawszy guru wspiął się po schodach i zamknął się w pokoju, który odstąpił mu na te dni Marek. Potem wszyscy mieli spisać wnioski z tego, co mówił Daniel i generalnie z całej sytuacji z Filipem.

Wkrótce po tym wydarzeniu do śpiewnika wspólnotowego trafiła nowa piosenka:

W świętych murach, przed ołtarzem

W samotności skargi ślesz

Chłód dookoła cię otacza

Chłód na wskroś przenika cię

Martwe rzeźby dookoła

Martwy stajesz się ty sam

Wtem znienacka ktoś zawoła

Ja zbawienie tobie dam

Jeśli przyznasz, żeś jest słaby

Grzech przeniknął cię na wskroś

Że ty sam nic nie dasz rady

O zbawienie Boga proś

Ref.

To nie dla mnie taka droga

Umartwienia, udręk, skarg

Radość życia wskaże Boga

Ożywianie wskaże szlak

## Rozdział XVIII

Michał rzucił się w wir poszukiwań, które dzięki wskazówkom Jakuba, i zgodnie z logiką „kuli śniegowej”, nabierały tempa. Udawało mu się dotrzeć do kolejnych byłych członków grupy Daniela, którzy często dawali namiary na następnych albo sugerowali ciekawe tropy. Niestety, nie wszyscy chcieli współpracować równie chętnie jak Filip, czasami rezultatem poszukiwań było kilka zdań w zdawkowym mailu, prosta deklaracja przez telefon, że „to było dla mnie tak przykre doświadczenie, że absolutnie nie chcę do tego wracać”. Zawsze to jakaś informacja. Nie wszystkie spotkania zostały uwiecznione na taśmie, gdyż niektórzy na widok dyktafonu reagowali tak, jak opisywani przez dziewiętnastowiecznych podróżników dzicy na widok aparatu fotograficznego, któremu przypisywali moc skradzenia duszy. Tylko jedną rozmowę Michał zarejestrował z ukrycia, miał w związku z tym wyrzuty sumienia i wahał się. Był to jeden z najwyższych funkcjonariuszy Wspólnoty, osobisty uczeń Daniela i szef jednej z podstruktur. Michał przejechał pół Polski na spotkanie z nim, wiele sobie po tym obiecywał, na miejscu jednak, gdy zwyczajowo poprosił o pozwolenie na nagrywanie, spotkał się z odmową. Poniekąd rozumiał taką reakcję, sam bałby się powierzać tego typu sekretów nieznanemu człowiekowi. Prowokacja czy podstęp stanowiły jedne z głównych instrumentów pracy dziennikarzy. Michał jednak tłumaczył sobie, że gdyby rozmówca go lepiej znał, na co nie było czasu ani warunków, z pewnością by mu zaufał, bo nie miał przecież żadnych nieczystych intencji. Zawsze z najwyższą troską ukrywał w cytatach wszelkie szczegóły mogące zdradzić czyjąś tożsamość. Mimo moralnej niejednoznaczności, zdecydował się wtedy, podczas gdy gospodarz robił herbatę, mimo wszystko uruchomić dyktafon ukryty dyskretnie w kieszeni. Nagranie nie było najlepszej jakości, ale niewątpliwie było jedną z najcenniejszych zdobyczy. Co ciekawe, człowiek ten, mimo wielu lat, jakie upłynęły od jego rozstania z Danielem, nadal wierzył w jego niezwykłość, wyjątkowy talent i wiedzę. Michał dowiedział się od niego wielu interesujących szczegółów, które wskazywały na obiecujące tropy. Na przykład, że we wczesnym okresie, kiedy Daniel używał jako przykrywki ruchu studenckiego współpracował ponoć z człowiekiem o nazwisku Błażej Gniewko. Nie było łatwo do niego dotrzeć, ale w końcu znalazł jego adres emailowy, a w każdym razie osoby o takim samym nazwisku.

Styl i forma odpowiedzi, która otrzyma zdradzał dość artystyczną duszę: sz. p. forum poszukiwań studenckich żeńszeń, w którym to środowisku działałem m.in. ja i grupa drzewieckiego uległo rozproszeniu wiele lat temu, zostało rozwiązane jeszcze sporo przed transformacją. z tego co wiem, również grupa Drzewieckiego nie ukrywa się tylko, od lat nie istnieje, nie jest w tym wyjątkowa. dokumentację forum na nieszczęście pożyczyłem osobie, która wkrótce zniknęła mi z oczu razem z rzeczoną dokumentacją, a ja zaniedbałem jej odszukania, wówczas, gdy to mogłoby się udać. utraciłem kontakt z tamtymi kolegami, stąd też kiedy próbowałem przed laty odtworzyć dokumentację, okazało się to niemożliwe. po ludziach tych niczego bym się zresztą nie spodziewał, drzewiecki rozmywał się dla nich w tzw. kulturach wschodu - czy raczej stanowił polską wersję wschodniego folkloru, od którego większość trzymała się z daleka. jestem im podobny i nie nadaję się na sprawozdawcę. moja wiedza na temat drzewieckiego z czasem uległa pomieszaniu i zatarciu tak dalece, że nie chcę dziś jej referować, nie tylko zresztą z powodu ryzyka grubych pomyłek i zafałszowań, ale też ze względu na dobra osobiste drzewieckiego. z tych powodów nie pomogę panu gniewko.

Michała zaintrygowała zwłaszcza wzmianka o „dobrach osobistych”. Sugerowała istnienie jakiś niezbyt korzystnych dla tych dóbr faktów. Odmowa była jednak na tyle jednoznaczna, że trzeba było do nich dotrzeć innymi drogami.

Zresztą roboty miał dosyć z tymi, którzy chcieli współpracować.

\* \* \*

Michał przesłuchiwał już ostatnią taśmę. W sumie udało mu się dotrzeć, do dwóch uczniów Olka i kilku z wyższego poziomu: czterech Marka, jednego od Władka, jednego od Henryka i dwóch od Karola. Dotarł również do dwóch osobistych uczniów Daniela z dawnych czasów. Do tego dochodziło kilka osób, które o mały włos nie zostały członkami Wspólnoty, ale względnie wcześniej się wykruszyły. Ich imiona chwilami się już mu mieszały, więc na dużym arkuszu brystolu zaczął rysować schemat socjometryczny obrazujący strukturę władzy Wspólnoty.

Najmniej wiedzieli uczniowie Olka, ale i w ich wypowiedziach dostrzegał pewne nici, które mogą poprowadzić do całkiem ciekawych kłębków.

Każda taśma zawierała inną historię, ale dawało się rozpoznać w tych biografiach pewien wzorzec. Różne były okoliczności werbunku, ale wydaje się, że nie był to nigdy werbunek czysto „ideologiczny”, który zasadzałby się na atrakcyjności samej idei, jak u Świadków Jehowy, ale

niemal zawsze „personalny”. Ludzie ci szli za osobą, za żywym człowiekiem. Dlatego że im imponował, że był dla nich wzorcem. Nie od razu poddawali się jego panowaniu, nie była to żadna ucieczka od wolności, jak się spodziewał. Mistrz był dla nich źródłem rzeczywistych wartości, za które byli gotowi płacić wolnością. Przede wszystkim oczekiwali pomocy w rozwiązaniu swoich problemów, najczęściej typowych dla tego wieku problemów emocjonalnych czy egzystencjalnych wynikających ze światopoglądowego zagubienia. Pożądali autentycznej wiedzy o sprawach duchowych, wiedzy, która pozwoliłaby im zrozumieć lepiej świat, siebie, Boga, ale też ezoterycznej wiedzy, którą dałoby się praktycznie zastosować. Niektórzy dali się pociągnąć samym charyzmatem przywódcy.

Najbardziej jednak Michała interesowały powody odejścia ze Wspólnoty, one ujawniały bowiem główne rysy na konstrukcji Daniela. Uczniowie Olka, z którymi rozmawiał, odeszli w konsekwencji publikacji Filipa. Sprawa dość prosta - byli nie do końca wtajemniczeni i wystraszyli się tego, co by ich czekało, gdyby zostali. Ale ci, co odeszli od Marka, Karola czy Władka dużo głębiej doświadczyli organizacji społecznej stworzonej przez Daniela. I mieli dużo ciekawsze powody do odejścia. Otóż po paru trudnych latach formacji zaczęli dojrzywać do tego, by działać na szerszych polach. I faktycznie byli kierowani do poważniejszych zadań. Oczywiście nie od razu odnosili sukcesy, początkowo popełniali błędy, ale w końcu działalność zaczynała przynosić im satysfakcję, zaczęli się realizować w danym fragmencie aktywności Wspólnoty. Ale właśnie wtedy Daniel wpadał na nowy pomysł i kierował ich do zupełnie innych zadań. Mechanizm był prosty: Mistrz wpadał na genialny pomysł, angażował ludzi, odrywając ich jednocześnie od realizacji jego poprzedniego pomysłu i niezależnie czy akcja się powiodła czy nie, po pewnym czasie wpadał na kolejny pomysł. Wyglądało na to, że człowiek ten mógłby obdzielić pomysłami na życie, zadaniami indywidualnymi i zbiorowymi przynajmniej parę setek ludzi, podczas gdy dysponował co najwyżej kilkudziesięcioma, przynajmniej według szacunków Michała. Większość z nich jednak wymagała jeszcze długotrwałego szkolenia, tylko garstką mógł się efektywnie posługiwać. Przypominał w tym szalonego arystokratę, który przeczytałszy w młodości za dużo książek zaczyna używać swego majątku na pisanie własnej sztuki. Nie zadowala się jednak piórem i atramentem. Pisze sztukę, używając własnej władzy nad innymi, obdziela ich wymyślonymi przez siebie rolami i stwarza w ten sposób swój własny świat przedstawiony. Działalność sterownicza jako forma twórczości literackiej. A w każdym razie dramatycznej.

Konsekwencją, której sam Daniel nie dostrzegał, zresztą może go to nie interesowało, było to, że większość tych ludzi miotanych od zajęcia do zajęcia odczuwało tłumioną frustrację. Nie mieli już nastu lat, pożenili się, mieli dzieci, którym trzeba było zapewnić byt, a tymczasem dostawali do odegrania nową rolę wywracającą ich dotychczasowe życie do góry nogami. Nic dziwnego, że ludzie odchodzili. Przypominał sobie, co powtarzał wielokroć Śliwa na wykładach: żadna struktura społeczna nie może przetrwać, jeśli nie realizuje interesów swych członków. Ludzie Daniela mieli interes trwać przy nim, dopóki ich szkolił, ale nie potrafił ich efektywnie użyć do zadań, które jednocześnie rozwijałyby ich i zaspakajały ich potrzeby, dlatego trwanie przy nim było dla nich coraz trudniejsze. Wówczas nie trzeba było wiele. Wystarczył jakiś kryzys na ich styku z rzeczywistością bardziej realną niż wizje Daniela: problemy rodzinne, finansowe czy zdrowotne. A o te nie było trudno. Zwłaszcza, że funkcje kierownicze często zmuszeni byli obejmować ludzie niekompetentni, a co gorsza, z własnymi problemami psychicznymi. A problemy emocjonalne przełożonego plus władza równa się dużo większe problemy u podwładnych.

Wstępne przesłuchanie taśm pozwoliło wyodrębnić najważniejsze problemy, z którymi miał się zmierzyć. Teraz należało nadrobić lektury, które pomogą mu je rozwiązać. Zabrał się za Webera, Le Bona i Schelera, aby zrozumieć sam fenomen charyzmy.

## Rozdział XXII

Mistrz Daniel siedział właśnie przy wielkim stole w swojej pracowni i rysował zamaszystymi ruchami schematy blokowe, które najtrafniej wyrażałyby jego nowe przemyślenia. Kładł właśnie podwaliny pod nową naukę, syntezę mistyki i prakseologii. „Już za to powinni mi przyznać doktorat”, myślał, rysując czerwonym mazakiem strzałki prowadzące od aksjomatów do fundamentalnych tez jego systemu. Określał, który czynnik jest konieczny, a który wystarczający, zachodzące między nimi zależności wynikania lub opozycji. I najważniejsze: punkty gdzie można przyłożyć dźwignie! Tylko, czy ktokolwiek będzie w stanie to zrozumieć? Robił już wykład swoim uczniom, skrzyknął wszystkich tutaj, na strych, rozrysowywał i tłumaczył. Rezultat był niestety marny. Tylko kilkoro zapamiętało wyrwane z kontekstu zdanie, którego sensu najwyraźniej nie rozumieli. Co za beznadziejne miernoty. I cóż z nimi można osiągnąć? To nic, znajdzie słuchaczy. Dobrze, że jest jeszcze Władek i Ula, ale mają zbyt ważne zadania, by ich teraz angażować. Zaprosi docenta Walniewicza albo profesora Kuśnińskiego.

- Czego?! - zawołał w odpowiedzi na pukanie do drzwi.

- To ja, Artur - usłyszał.

- Wejdz. Czego chcesz?

Artur wykonał zamaszysty ukłon, waląc z hukiem pięścią w dłoń, z mocnym wydechem, aż się usmarkał.

- Ja chcę coś powiedzieć - powiedział stanowczo. Widać długo nosił się z zamiarem tej rozmowy.

Daniel usiadł na jednym z wyściełanych skórą foteli zwrócony w jego stronę. Cokolwiek niezwykle zachowanie jak na ucznia. Chce coś powiedzieć. Niech mówi.

- Martwię się Filipem. Zaszkodzi i rozwali całą ekipę Olka. Postanowiłem, że coś trzeba z tym zrobić. Wpadłem na pewien pomysł.

- No mów wreszcie! - ponaglił go zaintrygowany mistrz. Ten Filip to rzeczywiście problem. Zwłaszcza po tym ostatnim artykule.

- Ja z Filipem, trochę tak... jakby to powiedzieć... nieoficjalnie się kumplowałem. Często rozmawialiśmy, potrafiłem się z nim dogadać. Myślę, że będę mógł mieć na niego jakiś wpływ, i

ja... chcę coś zrobić... żeby zobaczyć, co on chce zrobić... i czy jest jakaś szansa zatrzymania tego procesu.

Daniel zamyślił się. Z tego Artura będą ludzie. Wykazał troskę o Wspólnotę. Przyznał się nawet do tego, że naruszali razem dyscyplinę. Kto by pomyślał, że z takiego popuszczania sobie może kiedyś wyniknąć coś dobrego.

- Dobrze. Zgadzam się. Musimy cię tylko przygotować, żebyś się nie dał. Widziałeś, co się stało z uczniami Olka. Ten nowy mistrz Filipa, ten zakonnik, ojciec Marcin, trzymaj się od niego z daleka, żeby cię nie przekabacił!

- Nie, nie przekabaci mnie - powiedział stanowczo uczeń.

- No nie bądź taki pewien. Hanka raz wpadła pod wpływ takiego jednego, odprawiał nad nią te swoje czarymary. Musiałem jej potem energię odwracać wahadłem, bo jej księżulo namieszał. Nie daj się tym chrześcijańskim sentymentom! A teraz idź już, mam dużo pracy. Jeszcze o tym będziemy musieli porozmawiać, zanim pojedziesz. Paulina cię przygotowuje.

Po wyjściu chłopaka zaczął się przechadzać po swoim przestronnym strychu.

Tak, myślał, trzeba go będzie porządnie przygotować. Uodpornić na te różne sztuczki, żeby nie dał się zamotać. Trzeba za wszelką cenę wybadać zamiary tego Filipa, a najlepiej go jakoś zneutralizować, uspokoić. To naturalne, że uczeń zwraca się przeciwko mistrzowi. Arystoteles wystąpił przeciwko Platonowi, Marks przeciwko Heglowi, Jung przeciwko Freudowi. Rozrabia tak beztrzesko, bo nie wie, jakie stanowi zagrożenie. Nie ma pojęcia, jak daleko sięga Wspólnota, jak wiele ludzi jest zaangażowanych. Jak wielka Sprawa się waży. Nie upilnował go Marek, nie upilnował. Poniesie tego konsekwencje.

Dobrze, jeśli uda się użyć przeciw Filipowi jego własnego sentymentu do Artura. Byle tylko przestał rozpowiadać na prawo i lewo. Artur musi mu uświadomić konsekwencje takiego postępowania, że niszczy egzystencję dziesiątków ludzi, odbiera im sens życia, który odnaleźli we Wspólnocie. Może go to ruszy? Może zaproponować mu układ? Gdy rozmawiałem z nim przez telefon zarzucał mi, że szkodzę Kościołowi. Śmiał mi cytować pismo: „kto nie zbiera - rozprasza”. A jest przecież też napisane: „kto nie jest przeciwko mnie, jest ze mną”. Niech mu Artur zaproponuje „pakt o nieagresji”. Ja zostawię w spokoju Kościół, a on mnie.

Zawiesił wzrok na obrazie wiszącym u belki sufitowej. Płótno samego Bô Yin Râ. Przedstawiało lemury, złe duchy, które zwodzą rozwijających się. Przypomniał sobie tamtą scenę sprzed lat, kiedy umierał jego mistrz. Daniel zapytał go po raz ostatni: „Czy jestem mesjaszem?”



Nie usłyszał odpowiedzi. Mistrz tylko smutno popatrzył na niego. Chwile potem już nie żył. Nawet on się na mnie nie poznał, a miał przecież tak olbrzymi wgląd duchowy. A cóż dopiero Filip, głupi dzieciak.

Ale tacy jak ja, którzy pojawiają się na ziemi raz na tysiąclecie, gdzie mają szukać kogoś, kto by potrafił objąć umysłem ich wielkość? Chyba tylko Władek naprawdę mnie rozumie, ale on jest zbyt krnąbrny. Nawet Ula bardziej wierzy niż pojmuje.

\* \* \*

Filip chętnie zgodził się na spotkanie z Arturem. Zawsze czuł, że nadają na podobnych falach. Nie miał pojęcia, czego Artur chciał, domyślał się wprawdzie, że został do tego spotkania „zadaniowany”, ale w głębi duszy miał też nadzieję, że przy okazji uda mu się zasiać w przyjacielu ziarno, które może kiedyś...

„Przyjaciół”, jakie to niestosowne słowo w kontekście stosunków, które panowały we Wspólnocie. Przechadzając się po miejskim parku, a raczej prześlizgując z cienia do cienia - słońce piekło bowiem niemiłosiernie - Filip zdał sobie sprawę, że choć stale słyszał o integrowaniu, o łączeniu, to mistrzowie postępowali głównie według zasady divide et impera. Oficjalnie o żadnej przyjaźni nie mogło być mowy, wszelkie stosunki poziome były bowiem ograniczane do niezbędnych, zredukowane do relacji czysto rzeczowych, interesownych. Jediną prawdziwą więzią była i miała być więź z mistrzem. Mówiono stale o autentyczności i szczerości, ale dotyczyło to wyłącznie stosunku do mistrza. Uczeń odcięty w ten sposób od innych gotów był zrobić wiele, właściwie wszystko, aby zaskarbić sobie uznanie guru. Stąd powszechne donosicielstwo każdego na wszystkich. „Chcę zgłosić, że widziałem X w mieście kiedy jadł pączka”. „A Y ma w domu magazyny pornograficzne”. Może mistrz doceni moją spostrzegawczość, troskę o innych? Po złożeniu takiego meldunku, przez chwilę można się było poczuć kimś ważnym. Mistrz zwrócił uwagę na ucznia, wysłuchał, co miał do powiedzenia, pochwalił. W rezultacie nikt nie ufał nikomu, bo cokolwiek powiedział, mogło być użyte przeciwko niemu. Oczywiście po to, aby przyczynić się do jego rozwoju. W rezultacie ludzie rzadko z sobą rozmawiali. To, co związało się między Filipem a Arturem, było pod tym względem czymś wyjątkowym. Obaj czuli w związku z tym wyrzuty sumienia, wiedzieli, że mistrzowie zinterpretowałyby ich rozmowy jako trwonienie cennej energii na czcze gadulstwo, popuszczanie sobie, niedopuszczalne wyluzowanie. Ale nie sympatii jaka się między nimi spontanicznie związała, stwarzała zbyt silną pokusę, aby jej od czasu do czasu nie ulec,

zwłaszcza gdy obaj byli oddelegowani do jednej z licznych nudnych i monotonnych prac na polu czy w magazynie. Instynktownie obaj też unikali wchodzenia na pewne tematy czy schodzenia na pewne poziomy intymności, co mogłoby postawić drugiego w kłopotliwej sytuacji, gdyby został wezwany „na rozmowę”. Na takiej rozmowie mistrz nie popuścił, dopóki nie wy dobył z ucznia najskrytszych myśli, najdrobniejszych grzechów wobec wspólnotowych zasad, najmniejszych przypadków popuszczania sobie. Wszelkie bariery wstydu czy zewnętrznej lojalności rozpadały się pod jego bezwzględny naciskiem, uczeń zostawał obnażony do kości.

Wreszcie dostrzegł w oddali białą czapkę Artura dziarskim krokiem zmierzającego w stronę umówionego miejsca spotkania. Ciekawe, czy ktoś ich będzie obserwował?

Uścisnęli sobie dłonie, uśmiechając się do siebie szeroko. Tak ja dawniej, choć mieli świadomość, że jest to poniekąd uścisk ponad linią frontu, a może i innymi, głębszymi granicami.

- Wiesz, bardzo zaskoczyłeś mnie, odchodząc - zaczął po dłuższej chwili Artur. - Nigdy bym nie uwierzył, że zwiejesz. Ty! Po tylu latach! Nie potrafię zrozumieć. - pytanie w jego oczach wydawało się szczere - co się stało?

- Nic. A raczej wszystko to, co skłoniło mnie do odejścia, to nic, to głupstwa, to nie ważne - odparł Filip.

- A co jest ważne?

- To, co zdarzyło się później - zaczął, ale urwał, jakby przygotowywał się do powiedzenia czegoś trudnego.

- Czyli?

Filip postanowił uderzyć z grubej rury, uznał, że to może być jedyna szansa, aby prawda przemówiła, aby uratować przyjaciela.

- Spotkałem Boga. Arturze - zaczął mówić z coraz większym zaangażowaniem - to on mnie uwolnił spod wpływu Daniela, obdarzył wolnością. Inaczej pewnie bym wrócił prędzej czy później albo oszalał. Wiesz jaki wpływ miał na nas Daniel. Tylko dzięki temu spotkaniu z Bogiem żyję, przestałem się bać. Znasz nauczanie. Nikt, kto tak daleko zaszedł nie może sobie tak po prostu bezkarnie odejść, mówiono nam, że to absolutnie niemożliwe, a teraz spójrz na mnie! Żyję, nie zwariowałem, jestem szczęśliwy! - Filip mówiąc, patrzył w oczy Arturowi, ale ze zdziwieniem spostrzegł, że jego słowa nie robiły na nim większego wrażenia.

- I dlatego, w imię Boga, chcesz teraz zniszczyć wszystko to, co przez tyle lat razem tworzyliśmy? Czy my robimy coś złego? Staramy się pomagać ludziom! Oczywiście, każdemu

zdarzy się popełniać błędy, tak jak wobec ciebie je popełniono, ale przynajmniej coś robimy, staramy się czynić dobro.

- Czy może dobro wyrosnąć z kłamstwa? Przecież Daniel ogłosił się mesjaszem! A przecież to totalna bzdura, był i jest tylko jeden mesjasz, Jezus Chrystus! Wszystkie proroctwa do niego właśnie się odnoszą. I powiem ci, że on naprawdę żyje! Że przekształca ludzkie życie i może też przekształcić twoje - Filip włożył w tę wypowiedź wiele serca, ale znowu natrafił na mur.

- Zaczynasz mówić jak jakiś nawiedzony protestant. A jednocześnie sam niszczysz, podważasz czyjeś starania, sens całego życia. A przecież Bóg jest tym, kto łączy, buduje, tworzy, a nie niszczy!

- Jezus powiedział: „nie przyniosłem na ziemię pokój, ale miecz, przyszedłem, aby poróżnić ojca z synem i matkę z córką”. Nie może być wspólnoty między kłamstwem a prawdą, nie można razem iść w dwóch przeciwnych kierunkach.

- Ale przynajmniej można się wzajemnie nie atakować - rozmowa zaczynała ujawniać, jak wiele się zmieniło między nimi. Artur, zrezygnowawszy z dalszych prób zrozumienia Filipa, przeszedł do „programu obowiązkowego” - Daniel chce ci zaproponować układ. Mówił, że zarzucasz mu, iż niszczy Kościół...

- Co? - zdziwił się Filip. Nie przypominał sobie, aby kiedyś podobny zarzut podnosił. - Co za bzdura. Jakąż on ma moc, aby móc zaszkodzić Kościołowi?

- Nie wiem, mówił, że to mu zarzucasz.

- A! - przypomniał sobie - już wiem, skąd mógł wpaść na taki pomysł. W rozmowie przywołał fragment z Biblii, że kto nie jest przeciw nam, ten jest z nami. Ja na to mu inny, że kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam, kto nie zbiera ten rozprasza. Jak mówi jeden dominikanin, Pan Bóg, w swojej mądrości, różne rzeczy powiedział.

- W każdym razie proponuje taki układ, że on odczepi się od Kościoła, a ty miał byś odczepić się od niego. Chodzi przede wszystkim o to, abyś przestał pisać takie artykuły.

- To nie był mój artykuł, dziennikarz spisał po prostu moją relację, zresztą niedokładnie i z błędami. - Po chwili Filip powiedział - Wiesz, ja generalnie nie szukam sławy ani zemsty. Jeśli ktoś mnie pyta to mówię, bo czuję, że mam obowiązek mówić.

- Czyli z własnej inicjatywy nie będziesz przedsięwziął żadnych ataków?

- Na dziś dzień nie zamierzałem. Robienie wokół siebie szumu nie jest niczym przyjemnym. Jestem już tym zmęczony. Ale na przyszłość obiecać nie mogę, bo nie mogę jej przewidzieć. Gdybym na przykład dowiedział się czegoś o Danielu, czego dzisiaj nie wiem, co by zmieniło moją ocenę jego intencji, wtedy, kto wie...

- Myślę, gdy mówimy o przyszłości, że kiedyś zrozumiesz, że dziś jesteś niesprawiedliwy i jeszcze podziękujesz Danielowi za wszystko, co dla ciebie zrobił, a o czym teraz nie pamiętasz.

\* \* \*

Michał siedział już od kwadransa na kanapie u Filipa. Był nieco zaskoczony entuzjastycznym przyjęciem, jakie go spotkało. W zachowaniu gospodarza wszystko wskazywało na to, że rzadko miewał gości. Michał poczuł się trochę winny, gdy to sobie uświadomił. Chłopak, odkąd zerwał ze Wspólnotą Daniela, był z pewnością bardzo samotny.

„Zostawiliśmy go samemu sobie” - pomyślał.

- Co porabiasz, tak w ogóle - zapytał, gdy już siedzieli przed talerzem z ciastkami i filiżankami z gorącą herbatą.

- Zacząłem od września studia na teologii.

- Świetnie. Wydawało mi się, że już coś studiowałeś?

- Tak, medycynę, ale to oni wybrali mi ten kierunek, zupełnie mnie to nie interesowało. Dwa razy powtarzałem pierwszy rok. Rzuciłem studia zaraz po mojej ucieczce, moim wyzwoleniu. Chciałem wstąpić do dominikanów, ale mnie nie przyjęli. Może to i dobrze... - zamyślił się.

- Tak to często bywa, że nie zawsze to czego chcemy, jest dla nas dobre, a zdarza się, że to jest dobre, czego nie chcemy.

Po chwili wahania Filip odpowiedział:

- Wiesz, chciałem oddać Panu wszystko, zupełnie. Byłem na to gotowy. Ale zastanawiam się dzisiaj, czy faktycznie dałbym radę... Wiesz, o czym mówię.

- O celibacie? - Michał uśmiechnął się delikatnie. Milczenie rozmówcy było potwierdzeniem. - Chciałeś kochać Boga „niepodzielną miłością”? Tak jakby kochanie ludzi umniejszało miłość Boga. Nie martw się. Może na studiach kogoś poznasz. Studiuje tam wiele porządnych dziewcząt. Bądź dobrej myśli. A co tam drukujesz? - Od dłuższego czasu Michała intrygował dochodzący z pokoju obok rżący dźwięk starej drukarki.

- Ulotki. Sam zobacz - podał gościowi jeden arkusz z pękatej teczki leżącej opodal.

STRZEŻ SIĘ SEKT brzmiał napis na ulotce. Michał przypomniał sobie, że widział takie ulotki poprzyklejane na plakatach zapraszających na kurs orientальной medytacji czy na wykład o Wedach.

- To taka moja mała prywatna krucjata - powiedział Filip z nieśmiałym uśmiechem. Ale Michał się nie uśmiechał.

- Krucjata? Co chcesz przez nią osiągnąć.

- Jeśli choć jedna osoba nie zmarnuje sobie życia tak jak ja...

- Uważasz, swoje życie za zmarnowane?

- No, przynajmniej całą młodość.

Michał zamyślił się. Po chwili powiedział.

- Znasz historię życia Mojżesza? - zapytał.

- Czytałem Biblię. Wyprowadził Izrael z niewoli egipskiej.

- Tak, ale kim był wcześniej?

- Wychował się na dworze faraona.

- Wiesz, ile lat tam spędził? Tego nie ma w Biblii, ale żydowska tradycja mówi, że czterdzieści lat.

- Czterdzieści lat! - zrobiło to na Filipie wrażenie.

- To była tylko pierwsza szkoła Mojżesza. Uczył się od pogańskich kapłanów, używał życia z Egipcjankami, obracał się kręgach rządowych. Nie wiemy nawet, czy pamiętał, że jest tak naprawdę Żydem. Ale kiedyś się tego dowiedział. Odwiedził więc swoich rodaków. Wiesz, jak to się skończyło, zabił Egipcjanina i musiał uciekać. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin stracił wszystko, pozycję, majątek i kochanki. Trafił na pustynię Madian, gdzie poznał miejscowego kapłana Jetro, poślubił jego córkę i pasał jego owce. Zgadnij jak długo. Tak, kolejne czterdzieści lat, przynajmniej według żydowskiej tradycji. To się krótko mówi: czterdzieści lat. Ale wyobraź sobie czternaście tysięcy sześćset dni, a dzień w dzień: owce, Jetro, żona, owce, Jetro, żona, owce, Jetro, żona. Wyobrażasz sobie? A teraz mam do ciebie pytanie: czy uważasz, że te osiemdziesiąt lat, zanim Mojżesz spotkał Boga, były to lata stracone? Czy sądzisz, że potrafiłby dać swemu ludowi tak mądre prawo, gdyby się nie kształcił u najmądrzejszych ludzi w Egipcie. Czy potrafiłby nimi rządzić, gdyby nie był oswojony od najmłodszych lat z polityką? Czy sądzisz, że wystarczyłoby mu siły charakteru i cierpliwości, gdyby nie przeszedł twardej szkoły

życia na pustyni, gdzie każda kropla wody jest na wagę złota, gdzie musiał troszczyć się o wielkie stada? Przemysł to.

Filip, głęboko poruszony, myślał dłuższą chwilę.

- Chcesz powiedzieć, że Bóg zaplanował jakoś mój pobyt w tej sekcie? Że to miało czemuś służyć? Czemu?

- To jest właśnie pytanie, jakie powinienes sobie zadać. Jakie powinienes zadać Bogu. Przemódl to. Bóg pisze historię naszego życia w porzrzuconych wersetach. Dopiero z czasem zaczynamy doczytywać się w niej sensu - widać było, że słowa Michała zrobiły na Filipie głębokie wrażenie. Mimo swoich dwudziestu kilku lat zachował jakimś sposobem wrażliwość nastolatka. Może to skutek niedawnego nawrócenia?

Pomodlili się wspólnie, a potem Michał powiedział:

- Jeśli chcesz faktycznie być krzyżowcem Pana, to mam dla ciebie lepszą propozycją niż to - powiedział, oddając mu ulotkę.

- Jaką?

- Zwalczając zło, wikłasz się w nie. Wiem coś o tym, bo mamy ten problem stale w naszym centrum, musimy mieć się na baczności, by się w nim nie uwikłać za bardzo, by zło nie stało się główną treścią naszego życia, nawet przez to, że je zwalczamy. Dlatego działamy też na innych frontach, szerząc dobro, głosząc Dobrą Nowinę.

- Mam zostać misjonarzem? Wyjechać do Afryki? - Michał zobaczył w jego oczach, że Filip byłby na to gotów.

- Niekoniecznie. Rozejrzyj się wokół, ilu chrześcijan, którzy chodzą co tydzień do kościoła faktycznie przeżyło spotkanie z Jezusem, takie jak twoje? A ilu w ogóle nie chodzi do kościoła? Ilu ludzi cierpi, gdyż nie widzi sensu swego życia? Ale żeby im pomóc nie wystarczy chęć. Trzeba podejść do tego fachowo. Ja też mam dla ciebie ulotkę - powiedział podając Filipowi niewielki folder.

- Szkoła Nowej Ewangelizacji. Kurs Filipa. To dla mnie? Specjalnie dla mnie?

- Nie! - zaśmiał się Michał. - To się tylko tak nazywa, ale możesz to traktować jako imienne zaproszenie. Zobaczysz, jak to robimy. Potem są dalsze kursy, które przygotowują cię do ewangelizacji, a z czasem możesz zostać włączony do zespołu.

Wychodząc od Filipa, Michał nie miał jednak wesołej miny. Cieszył się tylko, że akurat z prowadzenia tego kursu udało mu się wymigać, zrobią to inni. Nie wyobrażał sobie, aby mógł

teraz nauczać o Bożej miłości, tłumaczyć jaka to ona bezwarunkowa, że góry mogą przeminąć, a ona nie przeminie, że Bóg bierze nas sobie na ręce jak najczulszy ojciec i przytula do twarzy... On tej miłości w sobie nie czuł. Przemineła? Pewnie nie. Wszak Pan powiedział: „kogo Kocham, tego karcę i ćwiczę”, więc pewnie to jest tylko... „tylko”!... ta „noc duchowa”, którą opisywał Jan od Krzyża. Może powinien się zmusić i mimo wszystko głosić? Wszak papież mówi: „wiera umacnia się, gdy jest przekazywana”. Sam tego właśnie doświadczył, gdy występował wobec Filipa jako „katolicki guru”. Ale czy to nie jest samooszukiwanie się, taka „psychotechnika”, autohipnoza? Czy wiara nie powinna płynąć z serca do ust a nie z ust do serca?

Całe lata starał się ustrzec swej wiary, zgłębiał ją, modlił się, a gdy przychodziły wątpliwości mocniej się modlił i intensywniej studiował. Zstępowało wówczas światło ducha, które w cudowny, pełen słodczy sposób rozświetlało najbardziej zagmatwane i złożone zagadnienia. Bo wszak najważniejsza i tak jest miłość! Gdy Kochasz, wszystko inne się zmienia, staje się jasne, radosne, pełne sensu. Zwłaszcza w pierwszym okresie, po własnym nawróceniu doświadczał na co dzień działania Miłości. Bóg strzegł i błogosławił, obdarzał łaskami... Teraz wszystko ucichło, zamarło. Michał zaś zaczął opadać z sił. Miał odczucie, że wciska sam w siebie wiarę jak jakiś zewnętrzny, obcy przedmiot. Najgorsze było w tym to, że jego relacja z Bogiem, umiłowanym Jezusem okazywał się być absolutnie poza sferą jego wpływu. Jakby nie miało znaczenia czy się modli, czy grzeszy. I tak działa się wola Boga.

„Muszę się ukorzyć jeszcze bardziej, jak Hiob, Bóg jest moim Panem, ja jego niewolnikiem”, powtarzał sobie w duchu. Ale słowa, choć wydawały się w pełni prawdziwe, słuszne i zbawienne, sprawiały mu jednocześnie ból. Jakoś postawa nurzającego się w prochu niewolnika, jakiej widać Bóg od niego wymagał, kontrastowała z tym, co sam głosił o boskiej miłości i jej ojcowskim charakterze. Uczył wszak innych zwracać się do Boga wzorem Jezusa: „Tatusiu”.

## Rozdział XXIII

Gdy minął czas „rekreacji”, podróżowali z Władkiem do domu zamieszkiwanego przez samego Guru. Był to spory budynek na peryferiach Warszawy. Wszystkie mieszkające tam rodziny zajmowały kondygnacje zgodnie ze swym miejscem w hierarchii Wspólnoty. Mistrz Daniel z Pauliną rezydowali na przestronnym i jasnym strychu. Cały był zastawiony regałami pełnymi książek i dużymi stołami do pracy o regulowanej wysokości. Piętro należało do Henryka i Haliny. Henryk był szefem całej struktury ekonomicznej. Trzymał żelazną ręką Roberta - swoją prawą rękę, który wraz z żoną Hanką, uczennicą Urszuli, ulokował się na parterze. Po domu krzątało się poza tym kilkoro dzieci, jedno Henryka, pozostałe Roberta i Hanki. Jakub właściwie tam wówczas zamieszkał w niewielkiej „kanciapie” w suterynie na poziomie garażu, a potem przeniósł się do małego pokoju na parterze, przeznaczonego dla gości.

Władek również przeprowadził się w tym czasie do Warszawy, ale widywali się już rzadziej. Doraźną „opiekę” nad Jakubem przejęła Paulina, a pewnym zakresie też Henryk, jako gospodarz domu i szef firmy, w której Jakub miał pomagać w wolnych chwilach.

Do obowiązków Jakuba należała jednak przede wszystkim praca w kuchni pod nadzorem Pauliny. Pamiętał opowieść Filipa, której wysłuchał z taśmy dostarczonej mu przez Michała. Zaczynał go rozumieć. Zupełnie jak na chińskich filmach. Zmywanie naczyń jako droga do doskonałości. Gotowanie kaszy jako ćwiczenie duchowe. Przyrządzanie burakowej jako test dyscypliny wewnętrznej. A gdy do kuchni wpadała Paulina, mogło to przerodzić się w szkołę przetrwania. Nie było wówczas miejsca na błędy, rozkojarzenie, wykonywanie czegoś w tempie choćby trochę mniejszym niż maksymalne. Błąd mógł skończyć się nawet parodniową karną głodówką, nie licząc „prób”, „wniosków” i złośliwych uwag.

W porównaniu z relacją Filipa Jakub zaobserwował znaczącą poprawę jakości wyposażenia spiżarni. Dotyczyło to przede wszystkim produktów kupowanych z myślą o Danielu. Były to wszystko towary pierwszej jakości, świeże, z wszelkimi atestami, bez konserwantów czy innej chemii, często z ekologicznych gospodarstw, a do tego w ilościach, które przekraczały potrzeby nie tylko Daniela, ale wszystkich domowników. Ale nie dla zwykłych domowników produkty te były przeznaczone. Miały czekać w gotowości na każdy możliwy kaprys Mistrza. W związku z tym mnóstwo jedzenia się po prostu marnowało. Jakub nie



miął zbyt rozwiniętej wrażliwości egalitarystycznej i dlatego potrafił zrozumieć, że „wilk Alfa” ma najlepsze możliwe jedzenie na jakie stać stado, ale nie potrafił pojąć zwykłego, bezmyślnego trwonienia energii stada. Gdy w pewnym okresie objął niemal pełny zarząd nad kuchnią, usiłował wprowadzić zwyczaj, że przy kolejnej dostawie świeżych produktów, wszystkie starsze rozdaje się gościom przyjeżdżającym na weekend. Robił to oczywiście za plecami Pauliny, której kontrola nad kuchnią stała się wówczas raczej okazjonalna. Gdy spostrzegł, że na przykład Marek z chłopakami, którzy przyjechali w odwiedziny, do pracy albo po naukę do swego guru, zaczynają szykować się do wyjazdu, przygotowywał im paczki z jedzeniem i wciskał w wyjściu „od szefa kuchni” albo po prostu kazał zabierać sobie, ile kto potrzebuje. Oczywiście długo nie trwało, jak sprawa się wydała. Doniósł jeden z obdarowanych, konkretnie Olek, który też przywoził ze sobą czasem najzdolniejszych uczniów. Zresztą sympatia Olka w stosunku do Jakuba znacznie zmalała ostatnimi czasy, odkąd ten ostatni błyskawicznie piął się po szczeblach hierarchii we Wspólnocie. Spisał nawet, jak się okazało, „raport” na temat zachowania Jakuba w stosunku do jego chłopaków. Jakub podejrzewał, że niechęć musiał pozyskać sobie zbyt dużą sympatię jego uczniów, w związku z czym ich prawowity mistrz poczuł się zagrożony w swej pozycji, a raczej może nawet całkiem po ludzku zazdrosny. Faktycznie, obdarowani chłopacy chętnie nawiązywali z Jakubem rozmowę, opowiadali, co tam słychać w Pracowni, demonstrowali nowe taolu, jakiego się uczyli. Mogło się to nie podobać Olkowi. I nie tylko jemu. W każdym razie któregoś wieczoru Paulina wpadła do kuchni z wrzaskiem, że Jakub rozdaje jogurty Mistrza.

- Mistrz musiałby zjadać cztery jogurty dziennie przez tydzień, aby dla niego zabrakło. A to chyba niezdrowe... - próbował się tłumaczyć.

Oczywiście tłumaczenie nie zostało przyjęte, w ogóle tłumaczenie się było już nieposłuszeństwem. Formą ostentacyjnej odmowy uznania porządku hierarchii. Za karę więc przez miesiąc nie będzie jadł jogurtów, a przez najbliższy tydzień nie będzie jadł wcale, jedynie kubek soku z buraków wieczorem. Zanim Paulina sobie poszła kazała Jakubowi wykonać „sohbet”, aby „zyskał dystans do własnej głupoty”.

Wniosek, jaki z tej sytuacji wyciągnął, a który to wniosek naturalnie różnił się od tego spisane dla Pauliny, był taki, że w tak zwanej Wspólnocie nie ma absolutnie miejsca na jakiegokolwiek wspólnotowe relacje poziome, przyjaźń, poufałość, koleżeństwo. Wspólnota polega na związku z przełożonym i tylko te pionowe relacje były uprawnione.

Zaczął się też domyślać, jakie było znaczenie owego sohbetu. Zazwyczaj domagano się go w celu „odreagowania” jakiegoś wcześniejszego intensywniejszego nacisku psychicznego. Często jednak zachęcano, aby śmiać się niezależnie od okazji. Wychwalano zdrowotne zalety śmiechu. Jakub wiedział też jednak, że śmiech powoduje wydzielanie w organizmie znacznych ilości endorfin, tak zwanych „hormonów szczęścia”, które pomagają w łagodzenie różnego rodzaju bólów. Nie różnią się w oddziaływaniu na system nerwowy od morfiny. Można więc powiedzieć, że Daniel, aby złagodzić skrajne warunki życia we Wspólnocie narkotyzuje swych wyznawców, każąc ich organizmom wytwarzać swoje własne, naturalne narkotyki. W sumie nie zauważył bowiem, by sam Daniel jakoś często demonstrował sohbet. Śmiech, jako narzędzie manipulacji? W sumie jednak Daniel nie wyglądał na aż tak cynicznego typu.

Samemu Danielowi w sumie jednak zazdrościł. Mistrz całymi dniami siedział w otoczeniu swego potężnego księgozbioru wyczytywał z niego różne mądrości, schodził na dół i ogłaszał je swoim wiernym wyznawcom. Czasami zapraszał ich do siebie na strych. Jakub wtedy prawie nie mógł oderwać wzroku od książek. Ale nie tylko książki przyciągały jego wzrok. Stała tam na przykład wielka tybetańska figura, przedstawiająca któregoś ze Strażników, gniewnych aspektów Umysłu Buddy. Widać Daniel opacznie dojrzał w niej jakiegoś demona, bo rzeźba miała wycięte trzecie oko i kilka innych czakramów, „aby nie mógł szkodzić”. Była tam też rozwieszona duża plansza z wyrysowaną sylwetką człowieka, na której zaznaczono wszystkie punkty akupunkturowe i meridiany, czyli kanały energetyczne. Pod sufitem Jakub dojrzał dwa spore obrazy, które od razu skojarzyły mu się z malarstwem Bô Yin Râ. Czy to możliwe, by to były oryginały?

Czasami wieczorami odwiedzała Daniela Urszula. Wtedy wszystkich, nawet Paulinę, wypraszał i razem snuli swoje Wielkie Plany. Wściekłość oficjalnej konkubiny świadczyła, że Mistrz z Urszulą nie ograniczają się tam tylko do snucia planów.

Raz Urszula widać przyniosła wyjątkowe dobre wiadomości, bo guru Daniel wręcz promieniał.

- Kupujemy pałac! Ula załatwiła fundusze.

Faktycznie Urszuli udało się zdobyć jakoś fundusze, ze środków jakiejś niemieckiej fundacji i kupiła zapuszczony neoklasyczny dworek pod miastem. Przed rokiem 1989 była to siedziba PGRI, potem gmina zrobiła z niego szkołę. Szkoła okazała się zbyt droga w utrzymaniu i zdecydowano ją zlikwidować, przenosząc dzieci do innej. Oficjalnie miało to być centrum

konferencyjne, a jednocześnie siedziba stowarzyszenia, którego szefową była Urszula. Przy okazji mogło tam na poddaszu i w pobliskich czworakach zamieszkać kilka rodzin jej uczniów, a i sale konferencyjne się przydadzą. Plany były jednak dużo ambitniejsze, przynajmniej takie Jakub odniósł wrażenie z pełnych znaczących przemilczeń wypowiedzi Daniela. Sprawiał wrażenie, jakby już prawie podbił świat. Miały się z tym wiązać jakieś międzynarodowe kontakty, zapraszanie wybitnych osobistości i wiele jeszcze ważnych, choć nieokreślonych bliżej spraw. Jakub nie brał udziału w pracach remontowych, bo w tym czasie zrodziła się koncepcja nowego przedsięwzięcia, w które został zaangażowany wraz ze swoim mistrzem.

Pewnego wiosennego dnia Daniel zszedłszy na dół, wpadł na grupkę dzieci, które biegały po korytarzu. Na jego widok wszystkie zamarły w bezruchu.

- Ha! Rozrabiacie!?

Dzieci spojrzwały po sobie przerażone. Na ich szczęście pojawiła się Jolka, uczennica Karola i studentka pedagogiki, którą oddelegowano do opieki nad dziećmi pod, zazwyczaj permanentną, nieobecność ich matki, Hani. Daniel spojrzął na nie gniewnie, potem jednak odesłał je i zwrócił się do Jolki.

- Co, nie możesz ich upilnować? Romek rozrabia co?

- Tak. Wczoraj w nocy zorganizował resztę i zrobili w nocy włamanie do lodówki. Podżerali placek, który Paulina dla Mistrza upiekła.

- Coś takiego?! No tak, moja krew! - Zaśmiał się Daniel, a przysłuchujący się z kuchni Jakub nie był pewny, czy się przesłyszał. - Ile one mają lat?

- Janek pięć, Franek w tym roku skończy siedem. Robert i Ewa już skończyli. Od września pójdą do szkoły.

- Szkoły? - zamyślił się. - Niedobrze. Szkoła tylko zabija kreatywność w dzieciach. Trzeba by coś wykombinować, nie damy ich wykastrować. A może założymy własną szkołę? O, to dobry pomysł, jest trochę dzieci we Wspólnocie, parę osób się znajdzie z uprawnieniami do nauczania... Dzwońcie po Urszulę!

Teraz się okaże - pomyślał Jakub - jakie są faktyczne możliwości pani guru Urszuli.

\* \* \*

Obrona pracy magisterskiej poszła Jakubowi doskonale. Recenzent był zachwycony, uznał, że praca jest lepsza od niejednego doktoratu, który czytał, choć nie omieszkiał ostrzec Jakuba przed spiskową teorią dziejów. To nie był żaden zarzut, zarówno promotor, jak i sam

Jakub intensywnie pracowali nad tym, aby nic w pracy nie trąciło tego typu sposobem myślenia. W każdym razie zyskali pełne poparcie profesora Zgorzeleckiego w staraniach o miejsce na studiach doktoranckich od przyszłego roku akademickiego. Śliwiński zdawał sobie jednak sprawę, że poparcie to jest niestety dalece niewystarczające. Inni kandydaci byli wspierani przez potężniejsze figury w instytucie, dlatego na długo przed rozstrzygnięciem konkursu ostrzegł Jakuba:

- Zadam Panu pytanie, które swego czasu zadawał kandydatom na uczonych nasz mistrz, Max Weber: czy potrafi Pan znieść, nie załamując się i nie gorzkniejąc wewnętrznie, że będzie Pan pozostawać w cieniu gorszych od siebie: miernot, konformistów i karierowiczów?

Jakub pamiętał jak brzmiała prawidłowa odpowiedź:

- Tylko moje powołanie jest dla mnie ważne - wyrecytował z pamięci, ale ze szczerym przekonaniem.

## Rozdział XXIV

Pod koniec czerwca Jakub, nieoczekiwanie został sam z poleceniem, by pilnować domu tak długo, aż ktoś go nie zmieni. Pokusa, aby zajrzeć, gdzie tylko się da, była ogromna i Jakub oczywiście jej uległ. Niestety większość drzwi pozamykano na klucz. Zostawiono mu do dyspozycji tylko kuchnię i pomieszczenie, w którym mieszkał. Żałował, że na studiach nie wybrał sobie praktyk w więzieniu albo chociaż w domu poprawczym. Michał nauczył się przy tej okazji operować wytrychem. Pozostawało mu praktykować stoickobuddyjską akceptację „rzeczywistości taką, jaką jest”, czytanie książek i pielęgnacja ogródka, a było co robić, bo wyglądał na dość zaniedbany. W jego centrum znalazł pięć dużych krzaków, o których opowiadał Filip. Ustawione były w pięciokąt, co Jakubowi niezbyt dobrze się kojarzyło z pentagramami przejętymi przez satanistów jako swoisty znak kultowy obok odwróconego krzyża. Oczywiście znaczenie pentagramu było dużo szersze, stosowany był też jako symbol zdrowia i harmonii, doskonałości i mocy magicznych. Danielowi bliższe zapewne było znaczenie nadane przez Pitagorejczyków, dla których wyrażał on mistyczną harmonię ciała i umysłu, a także ziemskiego pierwiastka kobiecego, z duchowym męskim.

Na trzeci dzień wieczorem zjawił się Władek. Przywiózł zmiennika, dość otyłego chłopaka, ucznia Karola, natomiast Jakuba zabrał samochodem daleko poza Warszawę. Jechali długo drogą wśród pustych już pól. Jakub przespał znaczną część trasy, ocknął się, gdy wjeżdżali w jakiś las. Po pół godzinie kluczenia coraz węższymi drogami wjechali na polanę ze sporym domem pośrodku. Była tam jeszcze jedna drewniana chata i coś, co wyglądało na wychodek.

Na polanie kłębiło się od ludzi. Większość ćwiczyła tai chi, czy raczej chikung, a konkretnie znane Jakubowi „Osiem kawałków brokatu”. Kobiety krzątały się wokół kamiennego pieca ustawionego na palenisku stanowiącego swoistą kuchnię polową. Byli ludzie Marka i Olka, a także kilkunastu innych mężczyzn. Niektórych z nich Jakub kojarzył z „rekreacji”. W cieniu za domem, pod drzewem Jakub dostrzegł grupę siedzących na turystycznych fotelach ludzi, wśród nich był też Daniel, ubrany cały na biał.

Wypakowali z Waldkiem swoje rzeczy z samochodu, zanieśli je do jednego z pomieszczeń w domu. Władek udał się w stronę leżakujących, a Jakubowi kazał dołączyć do reszty. Ćwiczenia prowadził szczupły mężczyzna o rzadkiej brodzie i włosach, które Jakubowi

przywodziły na myśl wyliniałą sierść jakiegoś zwierzęcia. Jako, że już zmierzchało, nie minęło dużo czasu, gdy padło hasło „posiłek” i wszyscy skierowali się za dom, w kierunku kuchni. Stały tam dwa długie stoły z prowizorycznymi ławami z desek ustawionych na pieńkach. Trzeba się było wykazać sporą zręcznością, aby samemu nie spaść ani nie zrzucić towarzyszy wstając. Wkrótce na stołach znalazły się garnki z burakową i z kaszą.

Siedział obok tych wszystkich brodatych mężczyzn w bawełnianych czapeczkach, nad miską burakowej z kaszą, przegryzając czosnkiem i chlebem z białym serem. Przyłapał się w pewnym momencie, że zaczyna się czuć jak u siebie, jak „wśród swoich”. Dochodzący zewsząd zapach igliwia, ogniska, lekki orzeźwiający wiatr szumiący nad głowami w koronach drzew jeszcze potęgowały to wrażenie. W tej chwili, przez moment, zaczął żałować, że jest tutaj poniekąd tylko „na niby”, jako „obcy”, który ma strzec swej wewnętrznej obcości niezbędnej do zachowania obiektywizmu, że tak naprawdę nie może poczuć się do końca „jednym z”. Ze Wspólnoty, jak siebie nazywali. Socjologiczny termin „wspólnota” - Gemeinschaft, zaczął nabierać dla niego nowych znaczeń, o ileż bardziej konkretnych niż w opisie Ferdinanda Tönniesa. Przepajał się zapachem ognia i potu, nabierał ostrego smaku czosnku i czerstwego chleba. Brzmiał gromkim basowym śmiechem i piskiem kobiet klepanych w pośladek. Była w nim i ciężka praca, i walka ze wspólnym wrogiem, i wesoła zabawa. A tuż obok: drzewa, wiatr, pachnąca życiem ziemia. W takim środowisku gromady ludzkie żyły przez poprzednich ponad sto tysięcy lat, zanim neolityczni rolnicy wymyślili miasta. Jakże względna jawiła mu się w takim miejscu różnica między naturą a kulturą. Ta kultura, prosta i surowa, była tak bliska naturze, choć jednocześnie tak ludzka...

Gdy Jakub nakładał sobie dokładkę, zobaczył nadchodzących drogą z głębi polany Marka, Olka, Władka, Henryka i jeszcze dwóch innych mężczyzn z wyższych szczebli hierarchii, a wszyscy nieśli łopaty. „Elita zagnana do brudnej roboty?” pomyślał zaskoczony Jakub. Po chwili usiedli do drugiego stołu, a kobiety przyniosły dla nich posiłek. Oprócz burakowej i kaszy zauważył jednak i garnek z mięsem. „Wcale się z tym nie kryją! - pomyślał - To niewątpliwy sukces: po rewolucji francuskiej wbudować ludziom na powrót wyczucie elity i jej naturalnych przywilejów.”

Potem, gdy zapadł już mrok, wszyscy usiedli przy rozpalonym opodal ognisku, przyniesiono gitary, akordeon i zaczęły się śpiewy. Daniel już spał, w związku z tym obowiązek utrzymania dyscypliny spoczął na jego uczniach. Była już druga w nocy, śpiewali wszystkie

piosenki ze śpiewnika już czwarty raz, a jakoś nikt się nie kwapił do snu. Grającego na gitarze Witka, którego znał już z „rekreacji” jako wspólnotowego barda, zmienił Marek z akordeonem i wszyscy śpiewali dalej. Jakub zaczął podejrzewać, czy nie ma tu miejsca jakaś ukryta rywalizacja, w stylu „kto pierwszy odpadnie, jest mięczakiem”, ale nie dostrzegł żadnych tego oznak. Również gdy o trzeciej Henryk zabrał swoich chłopaków i udał się do domu, reszta ciągle śpiewała, zdając się tego nie zauważać. „Może po prostu są tak spragnieni wspólnego śpiewania? W mieście nikt by im nie pozwolił tak się wydzierać”. Gardło odmawiało mu już posłuszeństwa - „Bo nie śpiewasz przeponowo” - jak pouczył go znowu Władek. W końcu również on się zmęczył i zabrał Jakuba na spoczynek. Nalali sobie ciepłej wody z gara pozostawionego w tym celu na ciepłym jeszcze popiele i odeszli w głąb łąki, by umyć zęby. Gdy skończyli trzyminutowe szczotkowanie, zgodnie z modelem, Władek wskazał na niebo. Jakub podniósł małe ze zmęczenia, ale już przywykłe do ciemności oczy i doznał szoku. Nigdy jeszcze nie widział takiego mrowia gwiazd. W mieście gwiazdy bywały widoczne. Tutaj gwiazdy świeciły! Droga Mleczna wyraźnie rozcinała środek nieba. Chwilę się gapili w milczeniu. Miał wrażenie, że ta nieskończona przestrzeń przyciąga go, wzywa. Poczul infantylne pragnienie, aby wzlecieć i zostawiwszy za sobą wszystko bez lęku zanurzyć się w czarnej głębi i lecieć wolny, mijając gwiazdy i planety, ścigać się z kometami, przecinać mgławice z prędkością myśli zostawiać za sobą coraz to nowe galaktyki...

- Znasz się na gwiazdach? - zapytał Władek. - Popatrz, tam jest Wielka Niedźwiedzica, a tu na Drodze Mlecznej po kolei: ta wielka litera W to Kasjopeja, potem trochę dalej Łabędź, a w drugą stronę idąc Perseusz. Trochę niżej, zobacz, tam, takie małe skupisko gwiazd - to Plejady.

Stali tak kilka minut, gapiąc się i chłonąc Nieskończoność, po czym Władek obrócił się i odszedł bez słowa. Jakub stał jeszcze chwilę, ale wówczas poczuł, że nadchodzi jego własny „demonstróż”. Poczul ogarniające go uczucie samotności, zwielokrotnione wrażeniami tego dnia: wspólnotowym posiłkiem, śpiewem. Teraz obudziło się znowu z głębi duszy przyzwane pięknem nieba. Cóż z piękna, gdy nie ma go z kim dzielić? Uciekając przed tymi uczuciami, dogonił Władka, który właśnie wchodził do domu. Zaprowadził go na poddasze i wskazał jakiś siennik. Jakub zawiązał się w śpiwór i błyskawicznie zasnął.

\* \* \*

Rano obudziło go pianie koguta. Był zdziwiony, że czuje się tak wypoczęty, mimo iż tak późno się kładli. „Cóż to powietrze robi z organizmem!” Gdy podniósł się, zobaczył, że wcale

nie jest tak wcześnie. To musiało być któreś już pianie koguta. Na poddaszu spało jeszcze dwóch mężczyzn, jeden przy tym dość głośno chrapał, ale większość sienników była pusta. Gdy zszedł na dół, zobaczył, że niektórzy jeszcze myją zęby, inni natomiast już ćwiczą. Wkrótce do nich dołączył. Tym razem ćwiczenia prowadził Marek, były energiczniejsze, oparte na podstawowych technikach karate, za co Jakub był wdzięczny - jesienne słońce miało już trudności z wyganianiem nocnego chłodu spośród drzew. Potem Marek poprowadził ich na przebieżkę po lesie. Jakub nie lubił biegać, zwłaszcza na długie dystanse. Na szczęście tempo, w jakim Marek prowadził było dość bliskie jego naturalnemu rytmowi, przez co nie męczył się tak jak niektórzy z jego towarzyszy z innych odłamów Wspólnoty, dla których „Osiem kawałków brokatu” musiało być najintensywniejszą formą kultury fizycznej.

Gdy wrócili, na podwórku panowało poruszenie. Okazało się, że pod dom zajechał stary żuk wyładowany betonowymi dachówkami. Ktoś przyniósł z domu torbę pełną roboczych rękawic. Niebawem podawali sobie z rąk do rąk, „taśmowo”, dachówki i układali je pod ścianą domu. Wkrótce nadjechał drugi samochód z przyczepą wyładowaną deskami. Zapowiadał się pracowity dzień. Podzieleni zostali na dwa zespoły: jeden, pod kierownictwem Henryka, zajął się wymianą starych keramzytowych płyt na dachówki, drugi, pod wodzą Władka, od wewnątrz ocieplął dach wełną mineralną. Jakub zorientował się, że robota z kryciem dachu jest bardziej zaawansowana, Henryk musiał tu już pracować od kilku dni, a wczorajsza przerwa była zapewne spowodowana brakiem materiału. Na poddaszu, z którego wcześniej usunięto wszystkie sienniki i śpiwory, Władek podzielił ludzi na zespoły: jeden przycinał wełnę i folię, drugi umieszczał wełnę pod dachem i przypinał folię tapicerskim zszywaczem. Sam Władek z Jakubem przybijali deski.

- Masońska robota - powiedział w pewnym momencie - spójrz na to pod tym kątem.

Pracowali aż do wieczora, z krótkimi przerwami na wypicie szklanki miętowej herbaty. Około osiemnastej wezwano ich na posiłek. Tym razem jedli rotacyjnie, zastępując się nawzajem przy robocie. Gdy zaszło słońce, Henryk skończył pokrywać dach i przyszedł zobaczyć jak sobie radzą na poddaszu. Przyniósł z sobą dodatkową lampę i zaczął uważnie przyglądać się gotowej już ścianie, wodząc po niej ręką.

- Doskonała robota - stwierdził z zadowoleniem. - Dzisiaj skończymy. Ty Władek lepiej żebyś się przespał, jak nie chcesz wyładować w rowie, gdy będziecie wracać. My sobie poradzimy.

- Dobra. Jakubie, obudzisz mnie o pierwszej.



- Tak jest.

Henryk przejął od Władka narzędzia i dowodzenie. Jakub zorientował się, że mu się bacznie przygląda.

- Ej, Kuba, a ty młotka nie umiesz trzymać? - odezwał się w pewnym momencie z uśmiechem. - Jak myślisz, po co on ma tak długi trzonek? Dla ozdoby? Dlatego ciągle wykrzywiasz gwoździe! Trzymaj za koniec trzonka, wtedy główka pada pod prostym kątem do deski. Uderzasz: raz, dwa i wbite! Patrz! Jasne? - spokojnie, wesoło i stanowczo pouczał Henryk.

- Tak jest - powiedział Jakub. Rzeczywiście, prosta modyfikacja techniki od razu dała rezultaty. Gwóźdź pogrążył się w desce ledwie po dwóch prostych uderzeniach, ani myśląc o „skokach w bok”. Kątem oka dostrzegł wówczas, że Władek jeszcze stoi na schodach i przygląda mu się. Nie widział jego twarzy, bo stał w mroku, ale wyczuł, że coś tutaj nie gra. Domyślił się, o co może chodzić. Uczniowi nie wolno było przyjmować nacisków od nikogo, oprócz własnego mistrza i oczywiście samego guru. Do osób nie związanych taką relacją należało się zwracać we wspólnotowej konwencji, która zastąpiła „umowne” „proszę”, czyli: „chcę abyś mi podał to a to”, „mam interes do tego a tego”. Henryk zlekceważył tę zasadę, a Jakub biernie to zaakceptował. Powinien się postawić Henrykowi? A może w oddziale Henryka panowały inne zasady? Jakub podejrzewał, że dla pochłoniętego robotą Henryka sytuacja ta rządzi się swoimi własnymi prawami i jakimś sposobem wyzwała się spod zwykłych wspólnotowych reguł. Może po prostu, wcielając się w szefa zespołu pracowników, zapomniał o swojej godności mistrzowskiej? Na szczęście praca trwała dalej w milczeniu, jak to bywa w zgranych zespołach, gdy pomocnicy odgadują z wyprzedzeniem potrzeby głównego wykonawcy i nie było ponownej konieczności rozstrzygnięcia tego dylematu.

Skończyli trochę przed północą. Zauważył, że większość ludzi nie spała, ale chyba nie dlatego, że przeszkadzało im stukanie młotków. Coś się szykowało. Wkrótce, gdy wszyscy zebrali się przed domem, pojawił się Daniel i krzyknął: „Idziemy!” Jakubowi przemknęło przez myśl, że powinien może obudzić Władka, ale z drugiej strony miał wyraźną instrukcję: o pierwszej. Idąc uświadomił sobie, że coś się z nim niedobrego stało, że jego własny osąd utracił nieco na samodzielności, przywykł do ścisłych poleceń i działania według „modelu”. Miał tylko nadzieję, że nawyk ten ograniczony jest w miejscu i czasie do tej sytuacji, że wychodząc z niej, „odzyska siebie”.

Po paru minutach marszu doszli na miejsce. Na przeciwnym skraju łąki znajdował się wykopany duży dół, a raczej niewielki basen wypełniony wodą, na oko dziesięć metrów długi i pięć szeroki. To tutaj widać pracowali wczoraj palatyni Daniela.

- To moja taoistyczna świątynia! - powiedział Daniel z szerokim uśmiechem. - Rozstawcie się dookoła. A gdzie jest Władek?

- Kuba! - wrzasnęła Paulina - wrywaj po Władka!

- O mistrzu swoim zapomniał! - zaśmiał się Daniel.

Jakub pędził co sił i wkrótce wrócił z rozspanym nieco Władkiem.

- O!, szybki jest! Kto nie ma w głowie, ten ma w nogach - powiedziała Paulina z uśmiechem. - Władek, przyłożysz mu potem za to, że o tobie zapomniał.

W międzyczasie Daniel z Henrykiem siedząc w kuckach, ustawiali coś na ziemi. Wszyscy stali dookoła basenu w mroku łagodnym przez delikatne światło zachodzącego księżyca w kwadrze. Po chwili dojrzał niewielki płomyk zapalki rozświetlający ciemność pod nogami Daniela. Widać usiłovali rozpalić ognisko, Henryk pochylił się, by dmuchając dostarczyć ogniowi tlenu, za co oberwał od Daniela po głowie.

- Co ty wyrabiasz?! Ogień jest święty, nie wolno na niego pluć!

- Nie plułem, dmuchałem - bronił się odruchowo Henryk.

- Chcesz powiedzieć, że w twoim oddechu nie ma w ogóle pary wodnej?! Wynos się! Władek choć tutaj, daj coś do... - Władek błyskawicznie podał mu podkładkę do notowania, którą wachlując, Daniel szybko rozpalił płomień.

Do niewielkiego pierwotnie stosiku gałązek dołożyli kilka większych i wyprostowali się. Chociaż nazwał to miejsce „świątynią”, zachowanie Daniela w niczym nie przywodziło na myśl nabożnego skupienia arcykapłana. Był rozluźniony, krążył wokół ognia, poprawiając konstrukcję ogniska. W końcu wydał się zadowolony z własnego dzieła. Strzelający coraz wyżej ogień rozświetlił jego sylwetkę. Wówczas Jakub dojrzał, że zamiast zwykłej białej koszuli ma na sobie białe ponczo, na którym było wyhaftowane... wielkie uśmiechnięte słoneczko! Było oczywiście jeszcze trochę innych symboli: dojrzał po jednej stronie sześć przerwanych, a po drugiej sześć ciągłych linii, czyli pochodzące z Icingu heksagramy oznaczające Niebo i Ziemię.

- Dobra, pali się. A teraz wnioski! Po kolei, Henio... nie, za karę sobie poczekasz, najpierw Hania.

Jakub nie za bardzo rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi: wszystko co się stało, to postawienie ludzi w pewnej sytuacji, a raczej w pewnym otoczeniu... To ma być już cała próba? Może coś zostało powiedziane, gdy pobiegł po Władka? A może Daniel taką ma po prostu metodę? Czyste nauczanie sytuacyjne. A zatem przekazu należało domyślić się samemu. Hani szło to niezłe. Po wykonaniu tradycyjnego ukłonu w stronę mistrza powiedziała:

- W taoistycznej świątyni mistrz dokonuje pojednania żywiołów. Każdy ma swoje miejsce, nie mieszają się, choć na siebie wpływają. Ziemia, powietrze, woda, ogień i człowiek, jako zjednoczenie ich wszystkich, a jednocześnie piąty żywioł: duch.

- Świetnie, następny - zakomenderował Daniel, po czym szepnął do Pauliny. - Zimno, daj mi coś...

- Kuba, chodź no tutaj - powiedziała szeptem, a gdy podbiegł na wezwanie, poinstruowała go: - Skoro tak ci dobrze idzie bieganie, to skocz do pokoju mistrza, tam na łóżku jest pled. Przynieś go w te pędy.

- Tak jest.

Biegnąc w stronę zabudowań, mniej więcej w połowie drogi, Jakub dostrzegł w mroku za drzewami jakiś błysk. Zwolnił, by mu się przyjrzeć i wówczas, gdy już wyciszył swój oddech, do jego uszu zaczęły docierać strzępy rozmowy.

-... widziałeś co oni... można... wykopali dół... nie pytali...

-... przekabacili Dudka, Czapla też już biega... trzeba coś zrobić!

- Trzeba zawiadomić Drużynowego.

Z każdym krokiem słowa stawały się wyraźniejsze, aż w końcu dostrzegł jakieś dwie postacie skryte w mroku.

- Nie zachowują się już jak goście, ale jakby byli u siebie. Nikt ich nie prosił, aby robili dach. Trzeba zawiadomić Łosia. W zeszłym roku było tak samo, Drużynowy zagroził, że ich wyrzuci, dopiero się uspokoili.

- Zadzwonimy z wioski, masz kartę albo żetony na telefon?

- Tak jest!

- Idziemy.

Głosy umilkły, latarka zgasła, a postacie zaczęły się oddalać drogą w głąb lasu. Przez chwilę myślał, że może to miejscowy „element” planujący włamanie, ale z przebiegu rozmowy domyślił się, że muszą to być jacyś harcerze. Wzmianka o wykopanym dole i dachu wskazywała,

że rozmawiali o działalność ludzi Daniela. Rzeczywiście zachowywał się jak u siebie, Jakub nigdy by nawet nie pomyślał, że Wspólnota przebywa w tym uroczym i odludnym miejscu w gościnie. Musi przy najbliższej okazji zameldować o tej podsłuchanej rozmowie Władkowi. Póki co, miał jednak pilniejsze zadanie. Mesjasz marzył.

Wszedł do większego z budynków i otworzył drzwi po prawej, tak jak mu wytłumaczyła Paulina. Oczywiście nie mógł się powstrzymać, aby nie rozejrzeć się po pokoju Daniela. Starał się przede wszystkim zapamiętać tytuły książek, które leżały w różnych miejscach, zgodnie z zasadą, pokaż mi swą biblioteczkę, a powiem ci kim jesteś, a raczej... a będę wiedział kim jesteś. Z gigantycznego księgozbioru zgromadzonego w podwarszawskim domu trudno był cokolwiek wywnioskować. Podróżny zbiór mógł lepiej odzwierciedlać przynajmniej bieżące zainteresowania. Były tam najróżniejsze pozycje: Zmierzch Izraela Rolickiego, Kandydatom na polityków Gładkowskiego, Jak sterować ludźmi Kosseckiego, Sternicy świadomości Schillera, stare, bibułowe wydanie Volkoffa, Dezinformacja jako oręż wojny, Lampart di Lampedusy, Dobry Łysiaka, czyli czytał też jakieś powieści, był też ksiądz Poradowski...

Wtem usłyszał na korytarzu wołanie, na dźwięk którego serce podskoczyło mu do gardła.

- Halo! Jest tu kto? - głos był dziewczęcy choć stanowczy, o miłej barwie. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Tak? - zawołał i chwycił co prędzej pled, po który przyszedł. Drzwi się otworzyły i zobaczył... ją! Wyglądała na potwornie zmęczoną i rozbitą. Jej rude włosy były rozczochrane, jakby przedzierała się przez krzaki. Po chwili wpatrywania się w jego twarz, chyba go rozpoznała, bo w nagłym wybuchu entuzjazmu rzuciła mu się na szyję.

- Jakub! A zatem jestem na miejscu! Od osiemnastej błędę po tym cholernym lesie! Myślałam już, że przyjdzie mi nocować w krzakach. Ale ulga, to było straszne. Szłam według tego, co mi wyrysowała Wanda, ale chyba sama kiepsko już pamiętała drogę.

- Skąd znasz moje imię? - zapytał, gdy już mógł wykrztusić z siebie słowo.

- No jak to, przecież bywałeś w Pracowni, wszyscy cię tam pamiętają. Widzieliśmy się już kiedyś, pamiętasz?

- Oczywiście - odpowiedział szybko - pierwszy raz, gdy Władek miał wykład. Ale ja nie znam twojego imienia.

- Anna. Wiesz co, usiądę na chwilę, padam ze zmęczenia. Sześć godzin jazdy pociągiem, potem las...

- W kuchni powinna być jeszcze burakowa, podgrzeję ci.

- Fajnie. A jest śliczna? - zapytała z dźwięcznym śmiechem.

Jakub, w którym zakotłowało nagle od nadmiaru myśli i nieoczekiwanych uczuć, zaśmiał się również, ale nic nie powiedział. Odszukał garnek w lodówce i wstawił na gaz. Zauważył gęsią skórkę na jej bladych ramionach.

- A ty tak na krótki rękaw? Zimno już jest.

- Gdy rano wychodziłam z domu było gorąco, nie sądziłam, że droga tak długo potrwa.

- Weź to, bo się przeziębisz - powiedział, podając jej swoją bluzę, którą miał obwiązaną wokół pasa.

- Świetnie - powiedziała zakłopotana. Nie mogła przecież powiedzieć „dziękuję”, bo to „umowne” słowo, a we wspólnotowym slangu nie było dla niego odpowiednika. - Oddam, gdy się znowu spotkamy.

- Mam nadzieję - odpowiedział, ale zdał zaraz sobie sprawę z dwuznaczności tej odpowiedzi więc, na wszelki wypadek dodał - Nie, że oddasz, ale że się spotkamy.

Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Tak długo jej nie widział! Teraz niemal nie mógł oderwać od niej wzroku. Miała niebieskie oczy.

Zaczął odzyskiwać pewność siebie i poczucie rzeczywistości.

- Holender, ale nalać zupełną już będziesz sobie musiała sama, mam coś do załatwienia.

- Rany - Anna również otrzeźwiała - właśnie, ja też, przecież po to przyjechałam. Słuchaj, gdzie są wszyscy?

- Tam, przy świątyni, znaczy się, właśnie tam idę...

- KUUBAA!!! - Jakub zrobił przerysowaną minę, jak uczeń wyciągany za ucho spod ławki. Ton głosu Pauliny nie wróżył niczego dobrego. Po chwili wrażenie to potwierdziła jej mina, kiedy już wpadła do kuchni. - Podżerasz?!

Po chwili jednak opanowała się, gdy zauważyła Annę, która poderwała się i plasnęła pięścią w dłoń w ukłonie.

- No tak, cóż mogłoby cię zatrzymać, ha. To taki z ciebie łajza - mówiąc to, przeszywała Jakuba wzrokiem z chytrym uśmieszkiem. Potem nie spuszczać z niego oczu, zwróciła się do Anny. - A ty, co tu robisz?

- Wanda mnie przysłała. Nad Pracownią była wichura, zerwała dach, wszystko zalane. Dzieci zabraliśmy do sąsiadów. Wanda została pilnować, a mnie przysłała po pomoc.

- Totalny kataklizm - powiedziała z lekkim uśmiechem. - Dobra, zajądaj burakową, a ty Kuba ze mną.

Wzięła od niego pled i ruszyli ostrym marszem w stronę „świątyni”.

- Co, babę zobaczyłeś i znowuż o mistrzu zapomniałeś?

Jakub nie odpowiedział. Fakt, spotkanie to było tak niespodziewane, że stracił głowę. Ciągle nie mógł opanować splątanych emocji, choć marsz przez chłodny mrok pozwalał nieco ochłonać.

Gdy dotarli na miejsce, Paulina odciągnęła Daniela na stronę, by przekazać mu wieści. Jakub zauważył, że pod koniec relacji spojrzeli na niego. Paulina nie zaraziła jednak Daniela swoim uśmiechem, bo ten spojrzał na niego i gromkim głosem przemówił.

- Kuba!!!, kiedy dziesięć tysięcy lat temu mężczyźni zbudowali pierwszą świątynię, nad jej wejściem napisali wielkimi na metr literami „BABOM WSTĘP WZBRONIONY”. Pomyśl dlaczego. Władek odbierze od ciebie wnioski. Pojedziecie naprawiać jeszcze jeden dach, z tym Henryk da sobie już radę. Marek, dom wam zalewa!

- Władek chodź na chwilę - na ustach Pauliny co rusz pojawiał się ten chytry uśmieszek, kiedy patrzyła na Jakuba - twój uczeń was spakuje.

Gdy Jakub już zwinął śpiwory i zapakował wszystkie rzeczy swoje i Władka do plecaków, udał się do kuchni. Zdążył się tylko uśmiechnąć do Anny, gdy za plecami usłyszał głos Władka:

- A tu cię ciągnie, pakuj plecaki do samochodu. A ty Anno, jak zamierzasz wrócić do Pracowni? Marek ma komplet, może zabierzesz się z nami?

- Chętnie - powiedziała zmęczonym głosem.

- No, to zbieraj się, usiądziesz z tyłu, będziesz mogła sobie pospać.

\* \* \*

- No to Jakubie, jakie masz wnioski z wczorajszego dnia? Już świtało, a Jakub właśnie się przebudził. Po mijanych drogowskazach zorientował się, że byli jeszcze ze dwie godziny drogi od Pracowni. Był wdzięczny Władkowi, że pozwolił mu pospać po tak ciężkim dniu, choć nie od razu udało mu się zasnąć.

- Zacznij od młotka, a skończ na świątyni. - A zatem ostatnią wpadkę z Anną Władek zostawił na potem, kiedy będą sami. - No, zaczynaj, po co młotek masonowi.

- Młotek dla masonów jest symbolem zjednoczenia siły fizycznej z intelektualną. Jest symbolem energii służącej do przeistoczenia kamienia nieociosanego w kamień ociosany, czyli ucznioprofana w masona. Trzonek zrobiony z drewna oznacza, że siła powinna być ograniczona, nie brutalna - Jakub cieszył się, że może się popisać swoją wiedzą, oczywiście przed Anną. - Młotek jest atrybutem mistrza. Na innym poziomie narzędzia masońskie miały mniej alegoryczne, a bardziej symboliczne znaczenie i tak młotek oznaczał po prostu sumienie, tak jak pion - prawo moralne, węgielnica - gorliwość i wierność zasadom sprawiedliwości i moralności, cyrkiel - miłość bliźniego, a kielnia - łagodność.

- Przestań pracować pamięcią, rusz mózgiem! Dlaczego w ogóle masoni zostawili sobie takie śmieszne symbole, młotki, kielnie, węgielnice, piony, cyrkle?

- Treść ideologiczna przekazana w formie symbolicznej oddziałuje głębiej, bo trafia nie tylko do intelektu, ale jest też przedmiotem doznań, wyobraźni. Były też dobrym narzędziem mnemotechnicznym. Te konkretne symbole przetrwały, bo nadali im inne znaczenie, bardziej moralne, filozoficzne. Jako symbole były wieloznaczne, więc można je było różnorodnie interpretować na kolejnych stopniach wtajemniczenia.

- Czyli równie dobrze mogłyby to być zupełnie inne, dowolne, acz odpowiednio wieloznaczne symbole? Na przykład wóz, góra, drzewo, bawół?

- Chyba tak.

- Anno, a co ty o tym myślisz? Uczyłem cię chyba.

- Samo to, że za symbole służą narzędzia, też coś znaczy. Czemuś służy. Może prowadzić do przeniesienia sposobu myślenia. Tak jak myśli murarz o łączeniu cegieł, ciosaniu kamienia, odmierzaniu terenu pod budowę, mason myśli najpierw o kształtowaniu siebie, jako dojrzałej osobowości, traktuje siebie jako przedmiot obróbki, a potem przenosi to też na świat zewnętrzny, na społeczeństwo.

- Świetnie. Moja szkoła - stwierdził z zadowoleniem Władek. - A jaki jest ten sposób myślenia murarza, budowniczego? Słyszałeś o czymś takim jak wyobraźnia realna? Anka, wytłumaczysz mu zaraz, kiedy wrócę - Władek podjeżdżał właśnie na stację zatankować benzynę. - Zostańcie - powiedział po zatankowaniu, idąc zapłacić do pawilonu. Jakub obrócił się do Anny i powiedział.

- Niezła jesteś. Kto cię tak wyszkolił?

- Najdłużej byłam właśnie u Władka - powiedziała zakłopotana pochwałą.

- No, Anka, zaczynaj - powiedział Władek po powrocie.

- Wyobraźnia realna polega na tym, że wyobrażam sobie to, co mam zrobić, stan rzeczy po moim działaniu i to robię.

- A czym się różni od zwykłej fantazji?

- Że do wyobrażania sobie muszę użyć całej mojej wiedzy o tym, co wchodzi w grę. Całe moje doświadczenie z tymi przedmiotami, materiałami. One rządzą się swoimi prawami, a ciało uczy się ich nieświadomie. Wyobraźnia realna uwzględnia tę wiedzę. W wyobraźni modeluję najpierw stan rzeczy, o który mi chodzi i stopniowo, kolejnymi ingerencjami doprowadzam do zgodności między modelem wyobrażonym a rzeczywistością.

- Widzisz Jakubie? Ania jako ogrodniczka lepiej wie, co to znaczy pracować narzędziami - powiedział Władek. - Na socjologii nie uczą takiego myślenia - Jakub nie powiedział, że nie do końca jest to prawdą. Akurat Śliwa uczył ich podobnego stylu myślenia, uczył traktować pojęcia socjologiczne jako narzędzia, środki do poznania rzeczywistości. Posługiwać się modelami teoretycznymi czy typami idealnymi i przymierzać je do rzeczywistości.

- Jakub jest socjologiem? - spytała wywołana ogrodniczka. - Też mieliśmy socjologię, w ramach humanizowania przyrodników. Niestety nie dane mi było jej polubić. Mam poprawkę w przyszłym tygodniu. Trudno mi wyobrazić sobie nudniejszy przedmiot.

- Z kim miałaś wykład? - zapytał Jakub widząc, że Władek skończył z nim temat wniosków.

- Żywczyński.

- A, to wszystko tłumaczy.

- Co to za człowiek? - zapytał Władek.

- Miłośnik postmodernizmu, gdy go słucham, mam wrażenie, że sam siebie nie rozumie. Tak naprawdę wygaduje same banały, ale stara się to powiedzieć takim językiem, aby nikt nie zrozumiał i takim tonem, aby wszystkim wydawało się, że mówi coś bardzo, bardzo mądrego i odkrywczego. Jego to faktycznie trudno zadowolić.

- Może Jakub mógłby ci pomóc? - zaproponował Władek. - Chętnie! - Anna się wyraźnie ucieszyła, co nappełniło Jakuba nadzieją, ale też niepokojem. Przeczynał, że sytuacja nabrzmiewa, że będzie zmuszony podjąć decyzje, które nie tylko na badaniach mogą zaciążyć...



## Rozdział XXV

W kolejne dwa dni uporali się z naprawą dachu, na tyle, że doprowadzili go do stanu, w którym dom został zabezpieczony przed dalszym niszczeniem. Wówczas Włodek powiedział do Jakuba:

- Uzgodniłem z Markiem, masz trzy dni, aby przygotować Annę do egzaminu. Za trzy dni wrócę po ciebie. - A potem dodał szeptem, aby nikt poza Jakubem go nie słyszał. - Mam nadzieję, że nie zużyjesz tego czasu tylko na socjologię. Nie zmarnuj tej szansy.

- Tak jest mistrzu.

Jakub zabrał się do dzieła bardzo systematycznie. Poprosił o trochę czasu na przejrzenie notatek Anny. Nie trwało to długo, bo nie było ich wiele. Z własnego doświadczenia wiedział, jak trudno notować to, co mówił Żywczyński. Ale najważniejszego się dowiedział: jakie tematy poruszał. Zestawił je po swojemu, według tradycyjnego, prostszego i bardziej logicznego układu. Wypunktował najważniejsze zagadnienia, a potem spędził ponad godzinę, aby przypomnieć sobie albo wymyślić jakieś możliwie wyraziste przykłady. Tego nauczył go Śliwiński, że bez przykładów teoria łatwo przekształca się w abstrakcję dość luźno unoszącą się nad rzeczą, że dopiero przykłady wyposażają poszczególne kategorie w konkretny sens.

W końcu był gotów.

Zaprosił więc Annę do pokoju. Przyszła po chwili z notatnikiem i długopisem. Uśmiechała się uroczo.

- Wybawiłeś mnie od zmywania - powiedziała na wstępie z uśmiechem.

- Mam nadzieję, że socjologia w końcu okaże się ciekawsza.

- Nisko postawiona poprzeczka. Trudno, aby coś było nudniejszego od zmywania. No, zaczynajmy, zegar tyka, jesteś moją ostatnią szansą przed czwartkiem.

- W porządku. Zaczniemy od początku, czyli od pytania, co to jest socjologia. Najpierw rzut oka z góry na to o czym powiemy. A więc po pierwsze nie ma czegoś takiego jak socjologia, a jeśli jest, to nikt na pewno nie wie, czym to jest. Po drugie, żeby dowiedzieć się czym jest socjologia, trzeba się przyjrzeć temu, co robią socjologowie. Wtedy okaże się, że nie ma socjologii, są przynajmniej dwie socjologie: empiryczna i teoretyczna. Po trzecie, gdy przyjrzymy się jeszcze bliżej, okaże się, że jest wiele, bardzo wiele różnych socjologii:

fenomenologiczna, funkcjonalistyczna, strukturalistyczna, neomarksizm, i wiele innych. Po czwarte, że wszystkie te socjologie są jednak socjologiami. To weźmiemy na początek...

\* \* \*

Jak radził Włodek, robił wszystko, aby Anna się nie nudziła, starał się być dowcipny, czasami dobierał nieco frywolne przykłady. Początkowo śledził dokładnie jej spojrzenie, na ile nadaża za jego wywodem, potem jednak stwierdził, że jest to przesadny środek ostrożności. Pytania jakie zadawała świadczyły, że dała się wciągnąć przez logikę wywodu, bo czasami go wyprzedzała. W pewnym momencie stwierdził, że korepetycje mogą się skończyć nieco przedwcześnie. W pierwszym dniu udało im się przerobić połowę materiału. Na zakończenie usłyszał:

- Rzeczywiście, myliłam się co do socjologii. Szczerze mówiąc - dodała szeptem - szkoda, że mnie tam nie posłali.

- To nie ty wybrałaś ogrodnictwo?

Tylko wymownie na niego spojrzała spod brwi.

Drugiego dnia wpadł na pomysł, aby lekcję odbyć na łonie natury. Marek był tym zaskoczony.

- Przecież w zamkniętym pomieszczeniu łatwiej się skoncentrować!

- Może, gdy trzeba wkuć jakiś materiał. Socjologia nie polega na wkuwaniu, tylko na widzeniu rzeczywistości w pewien sposób, na umiejętności myślenia, kojarzenia, temu nadmiar bodźców zewnętrznych nie przeszkadza, raczej pomaga. U nas często profesorowie przeprowadzają lekcje „na trawce”.

- „Na trawce”?! Do czego to już doszło... - Marek wyglądał na zgorzonego demoralizacją kadry naukowej.

- Miałem na myśli, na zielonej trawce, na trawniku.

- Aha, chcecie iść na łąkę?

- Właśnie.

Marek nie był przekonany, zresztą dla samego Jakuba te tłumaczenia nie były przekonujące. Tym niemniej dostał wolną rękę. Był piękny wrześnieowy dzień, słońce wprawdzie przygrzewało jeszcze ostro, ale wiał lekki orzeźwiający wietrzyk. Zabrał koc i czekał przy wyjściu na Annę. Wybiegła w końcu. Miała rozpuszczone włosy, w ubiorze też zaszły znaczące zmiany. Wczoraj oderwał ją od zmywania, teraz się widać przygotowała. Skromnie, ale kobieco,

już nie spodnie, ale długa spódnica, nie tshirt, ale błękitna koszulka, koszulka zapinana na guziczki... Czy aby ta lekcja socjologii, nie stanie się elementem ich rytuału godowego, zalotów, gry wstępnej?

Po chwili jednak przyszło otrzeźwienie: „Cholera, w co ja się pakuję! To już nie zabawa!” Gonitwa myśli jaka nim owładnęła sprawiła, że na chwilę zrobił się posępny.

- Coś się stało? - Nie, nic, myślę nad dzisiejszą lekcją. - Mam nadzieję, że będzie równie ciekawa, jak wczorajsza. - Postaram się - powiedział i znowu zamilkł. Czuł się wewnętrznie rozdarty. Jego rozum podpowiadał mu, iż powinien zachować wewnętrzny dystans, że zaangażowanie tego rodzaju postawi go przed koszmarnie złożonymi problemami. Jednocześnie nigdy chyba jeszcze nie był niczego tak pewien, jak tego, że chce się zaangażować, że dziewczyna może okazać się prawdziwym sensem jego całego uwikłania we Wspólnotę. Wobec tej pewności, wobec magii Afrodyty, której właśnie ulegał, rozum wydawał się być małym, zgrzybiałym skrzatem. Jakub kazał mu się wypchać ze wszystkimi etycznymi czy praktycznymi argumentami, jakie mógłby podnieść. Podjęta decyzja przywróciła mu czystość umysłu, odblokowała wolę.

- To może zaczniemy od powtórki z wczoraj?

- Eee, wolałabym coś nowego. Ja to naprawdę wszystko pamiętam i rozumiem.

- Twoja decyzja, tylko nie chcę słyszeć, że cię wyrzucili ze studiów przez socjologię.

- A ja bym chciała to usłyszeć. Może wówczas trafiłabym na coś ciekawszego. Naprawdę wkuwanie warunków uprawy poszczególnych odmian krzewu agrestu nie jest czymś pasjonującym.

- Wolter powiadał, że człowiek tym różni się od szympansa, że potrafi robić również rzeczy nudne i uciążliwe, choć mi osobiście bliższy jest pogląd Platona, że nie należy obrzydzać nauki przez zmuszanie do niej.

- Już lubię tego Platona.

- Jak ci się podoba tamta łączka? - zapytał, wskazując pobliską połąć soczystej zieleni.

- Wiesz, znam tu lepszą, tam, pod lasem - Ciekawe, czy dlatego, że była lepiej osłonięta przed wzrokiem ciekawskich?

Po drodze musieli przeskoczyć rów oddzielający łąkę od szosy. Skoczył pierwszy i wyciągnął ku niej rękę. Z dużym wdziękiem wylądowała mu w ramionach. Poczuł na sobie ciepło jej ciała i gotujące się w nim samym hormony. „Kiedy byłem tak blisko jakiegokolwiek kobiety?”

Ona również poczuła się chyba zakłopotana, bo ruszyła w kierunku ściany lasu. Ale nadal trzymali się za ręce.

Z nauki tego dnia niewiele wyszło, tyle, co udało mu się streść w drodze powrotnej. Przez większość czasu leżeli na kocu w cieniu i całowali się namiętnie. Rozmawiali o wielu różnych sprawach, ale akurat nie o socjologii. Potem po prostu leżeli przytuleni do siebie i obserwowali białe obłoki przesuwające się po niebie ponad koronami drzew. Znaleźli się.

\* \* \*

Była ciepła wczesnojesienna noc, a rozgwieżdżone niebo nad głową, widoczne mimo natrętnej poświaty miasta, tworzyło niesamowitą atmosferę, pełną spokoju i wzniosłości. Michał starał się wyrobić w sobie nawyk nocnych spacerów, choć zdawał sobie sprawę, że to tylko nędzna namiastka kultury fizycznej. Ale polubił spacerowanie przede wszystkim dlatego, że dawało mu to okazję być chwilę sam na sam z sobą. Z Bogiem. Stało się to dla niego ważne, czuł, że te spacery coś istotnego zmieniają w jego życiu. Za radą Ericha Fromma zaczął przepracowywać różne momenty ze swej biografii albo też badał swe wnętrze, szukając jakiś irracjonalnych lęków, pod powierzchnią których kryły się najczęściej poważniejsze problemy. Nazywało się to autonanalizą. W połączeniu ze spontaniczną modlitwą, która stawiała go mentalnie przed obliczem Najwyższego było potężnym instrumentem rozwoju wewnętrznego.

Od pewnego czasu jednak to, co było przyjemną, bo przynoszącą konkretne rezultaty rutyną stało się koszmarem. Ilekroć bowiem zaglądał do swego wnętrza, znajdował tam tylko dochodzący z mrocznych głębi ból. Czuł się coraz bardziej, coraz przeraźliwiej samotny. Uświadomił sobie, że z innymi ludźmi łączyły go wyłącznie cienkie nici współpracy, interesów, obowiązków. Nawet Kuby, który zresztą wyjechał, nie mógłby nazwać przyjacielem, przynajmniej nie w staroświeckim znaczeniu tego słowa. A rozpaczliwie pragnął dzielić z kimś swe życie. Miał wrażenie, że bez tego jest ono puste. Od kilku tygodni czuł, że pogrąża się stopniowo, ale nieuchronnie w „chorobie na śmierć” jak Kierkegaard nazwał rozpacz.

Najgorsze było to, że Bóg milczał, że Bóg nie chciał zapełnić tej pustki sobą ani nikim innym. Czy Bogiem rzeczywiście można by zapełnić tę pustkę?

„Może gdybym był aniołem, ale jestem ssakiem z krwi i kości, ssakiem stadnym, który potrzebuje do życia innych!”, wołał do Boga, który milczał. Obserwując narastanie tego stanu, doszedł do wniosku, że nie wytrzyma tego długo.

Przypomniał sobie wiersz, który kiedyś wynotował, aby objaśnić uczestnikom kursów katechezę o roli wspólnoty:

Bywało drzewiej, że malarze myśleli jak ludzi poprawić snuli więc fantazje o piekielnej karze.

Czegóż tam nie było: płomienie i smoła kotły, widły... dużo by prawić dość, że na człeku cierpła skóra goła.

Aby mnie nawrócić prostsze malowanie: pusty pokój cisza samotność czekanie,

Gdy wchodził po schodach w jego mieszkaniu zadzwonił telefon. Szybko przekręcił klucz w drzwiach, nie chciał przegapić wiadomości od Jakuba, zwłaszcza, że teraz najprawdopodobniej musiał być w Warszawie. Zawsze miło z kimś pogadać, nawet jeśli nie zapełni to pustki, to choć na chwilę odwróci od niej uwagę.

- No cześć Kuba, co słyhać? - powiedział.

- Słuchaj, mam ważną nowinę. Pamiętasz, o czym ostatnio rozmawialiśmy, o związkach damskomęskich i tak dalej?

- O odgórnym swataniu w sektach, no, pamiętam.

- A więc chyba mnie to spotkało.

- Cooo?! - Michał nie posiadał się ze zdumienia. - Chcą cię wyswatać? Dlaczego nagle zaczęli się troszczyć o twoje życie płciowe?

- Oni zawsze przywiązywali do tego dużą wagę. Wywodzą to chyba z tantryzmu. Ich zdaniem mężczyzna nie może się rozwijać bez kobiety. Jakies takie sprawy energetyczne. Ale nie wiem co zrobić. Nie chcę.

- Rozumiem, że nie chcesz teraz przerwać badań, gdy jesteś tak blisko centrum, faktycznie szkoda by zmarnować tyle trudu - powiedział Michał, żeby zyskać czas do namysłu. - Wiesz, ale to byłoby nieuczciwe, gdybyś się z kimś tak instrumentalnie wiązał, nie możesz się jakoś tak wymigać?

- Może i mógłbym, ale tu jest drugi problem. Ona mi się naprawdę podoba. W gruncie rzeczy, to nie oni mnie wyswatali.

- Co ty, zakochałeś się?! - Michał był zaskoczony. Dotąd nigdy nie dostrzegł u Jakuba jakiś większych przejawów romantyzmu, kierowania się uczuciami, zwłaszcza romantycznymi. Jak mu kiedyś wyznał, po kilku nieudanych próbach nawiązania relacji tego typu postanowił na pewien czas zająć się czymś poważniejszym, poczekać, co życie przyniesie. Nie były to żadne

śluby kawalerskie, ale świadomie podjęta decyzja, zgodna zresztą z logiką, że najtrudniej znaleźć szczęście, gdy się go uparcie szuka. Teraz ton głosu, jaki słyszał w słuchawce, świadczył, że Jakub był zakochany po uszy.

- My, „ludzie prawdziwie rozwijający się”, nigdy się nie zakochujemy - odpowiedział Jakub. - To „rozwała”, niczego nie daje i tak dalej ble, ble, ble. To tak dla twojej wiadomości. Tak, że muszę zachowywać zimną krew i kamienną twarz. Ale masz rację. Stało się. A to mi trochę komplikuje sprawę.

- W każdym razie nie daj się ożenić - chwilę się znowu zastanowił i dodał. - I generalnie, przemyśl to jeszcze. To będzie już realna więź łącząca cię z nimi. To będzie już trudno zerwać. Postawisz ją w trudnej i bolesnej sytuacji: alboalbo.

- Wiem, wiem. Ale już i tak chyba za późno. W każdym razie dzięki.

„A to ci heca!” - pomyślał Michał. „Jakub Wolski zakochany! Po co on w ogóle dzwonił, przecież i tak decyzję już podjął? Pakuje się w cholernie trudną etycznie sytuację. Przyda mu się „wsparcie z powietrza”. Zaczął grzebać po kieszeniach i po chwili wydobył niewielki różaniec o drewnianych paciorkach „No to oremus!” pomyślał, ale w tej chwili, opadło go zniechęcenie, smutek, beznadzieja, jakby sobie o czymś przypomniał... Czyżby już nie potrafił się modlić?

## Rozdział XXVI

Śliwiński bardzo ucieszył się z telefonu Jakuba. Sam miał do niego zadzwonić. Z drugiej strony ton głosu w słuchawce bardzo zaniepokoił profesora. Jeszcze nigdy nie słyszał go tak roztrzęsionego. Czyżby jego badania zostały zdemaskowane? Śliwiński uprzedzał go, że angażuje się za głęboko. Ale z drugiej strony rozumiał go doskonale. Była to niezwykła okazja przeniknięcia dla nauki obszarów, które zwykle skrywa najściślejsza tajemnica, zwłaszcza, że awansował w organizacji dość szybko. Wystarczyło mu dwa lata, aby dostać się w bezpośrednie otoczenie przywódcy!, podczas gdy z relacji Filipa wynikało, że zwykle trzeba do tego przynajmniej dwukrotnie dłuższego okresu szkolenia. Widać, że organizacja ta była wciąż elastyczna i potrafiła docenić zdolnych ludzi.

Było jeszcze pół godziny do umówionego spotkania, ale Śliwiński zobaczył już Jakuba przez okno chodzącego w kółko po dziedzińcu nerwowym krokiem. „Niepokojące. Coś się stało, mam nadzieję, że nic mu nie grozi”, pomyślał profesor i zamachał do Jakuba, by już przyszedł.

- Dzień dobry panie Jakubie! Mało pana nie poznałem, zapuścił pan brodę, i coś w ogóle, kiepsko pan jakoś wygląda, cóż się stało? - zapytał, gdy ten już nieśmiało wszedł do pokoju.

- Ja... dzień dobry. Ja... ja nie wiem, czy mi się zmysły nie mieszają...

- Spokojnie panie Jakubie, napije się pan herbaty? Może kawy? Niech się pan poczęstuje ciastkiem - Śliwiński był już poważniej zaniepokojony. Najpierw to zapalenie opon mózgowych, a teraz... Grunt to go sprowadzić na ziemię, jedzenie doskonale się do tego nadaje, ciało przypomina sobie o rzeczywistości, a za nim też umysł. Gdy Jakub już popijał kawę, przegryzając ciastkiem, Śliwiński zapytał ponownie:

- Niech pan powie po kolei, co się stało.

- Widziałem jak on, ten Daniel, unosi się w powietrzu, wisiał pół metra nad ziemią! - Jego mina wyrażała jeden wielki znak zapytania.

- I dlatego pan uważa, że mieszają się panu zmysły? - zapytał profesor z delikatnym uśmiechem.

- Jak to możliwe?! Przecież obowiązują jeszcze jakieś prawa, grawitacja, przyroda, przecież to nie może być, że on... to mi się musiało przewidzieć, to nie może być prawda...?

- Że zacytuję pewnego sławnego urzędnika rzymskiego, który dostał się do chrześcijańskiego credo, więc w końcu jego słowo coś znaczy: „A czymże jest prawda?” Spokojnie panie Jakubie. Mówił pan, że on jest joginem. W jodze zdolności paranormalne pojawiają się na jednym z etapów rozwoju duchowego i to wcale nie na najwyższym. Głupcem jest, powiadają mędrcy, kto na tym etapie poprzestaje albo co gorsza tylko po to uprawia jogę, aby go osiągnąć.

- Pan o tym mówi, jakby to było możliwe, żeby to się faktycznie działo...? Czy pan widział kiedyś coś takiego? - Jakub był wyraźnie zbity z tropu. Spodziewał się widać wszystkiego, lecz nie tego, że profesor przyjmie to, co widział za dobrą monetę.

- Osobiście nie, ale profesor Dwornicki, piętro wyżej, filozof, opowiadał, że widział coś takiego na kursie medytacji transcendentalnej. Nie mam powodów, by mu nie wierzyć. Zresztą, panie Jakubie, przecież kręcił się pan u buddystów, to nie czytał pan ich opowieści o tym, co wyczyniają lamowie? Jakaś tam lewitacja to dla nich bułka z masłem. Bez przesady, panie Jakubie, nie ma powodu do niepokoju. Jeśli facet lubi sobie polatać, no to na zdrowie. To jeszcze nie dowodzi, że jest mesjaszem!

- No ale... ale jak pan to godzi z naukowym obrazem świata? - zapytał spokojniejszy acz chyba jeszcze bardziej zmieszany Jakub.

- A co to jest „naukowy obraz świata”? Nauka wymyśliła sobie pewne narzędzia poznania, zaczęła przy ich pomocy badać swe otoczenie. Ale czy to, co nauka widzi, to rzeczywiście „świat”, cały świat? Czy nie jest tak, że nauka otwiera nasze oczy na pewne sfery rzeczywistości, a zamyka na inne? Więcej pokory młody kolego, jako uczoney musi pan mieć więcej pokory w stosunku do rzeczywistości. Naturalnie, trzeba podchodzić do badań z poznawczym optymizmem, wierzyć, że nam się uda, ale nie można zakładać, że wszystko, już teraz da się do końca wyjaśnić. Po panu przyjdą inni, którzy staną przed tym zadaniem i może kiedyś... pojawią się następne pytania, które będą dla nich nie do pojęcia, o których my w ogóle nic nie wiemy.

Jakub milczał zamyślony. Po chwili zapytał jeszcze raz.

- Ale czy to znaczy, że mamy do badań naukowych zacząć teraz używać wahadełka, horoskopów?

- No nie, panie Jakubie, nie o to chodzi. Należymy do kasty uczonych, bycie członkiem tej kasty oznacza podporządkowanie się pewnym rygorom. Kto się im nie podporządkowuje



wypada z kasty, a jeśli uda się mu w niej przetrwać, gdyby na przykład wcześniej zdobył sobie wysoką pozycję, to może tylko niszczyć.

- Nie rozumiem. Co, jak niszczyć?

- No, po prostu, będzie gadać farmazony w majestacie nauki. Będzie psuł to, o co w nauce chodzi - Śliwiński sam poczuł, że mówi nieco niejasno. - Widzi pan, nasza kultura dzieli się na pewne królestwa czy lepiej sektory. Każdy z nich podporządkowany jest jakiejś naczelnej wartości. Sztuka pięknu, polityka dobru wspólnemu, nauka prawdzie. Tak było kiedyś. Teraz zróżnicowanie tych wartości postąpiło jeszcze dalej. Zwłaszcza w ramach nauki, są różne prawdy. Nauka nie zajmuje się na przykład problemem: jaki naprawdę sens ma życie, prawda sensu przynależy do religii i filozofii. Nas interesuje prawda faktu, związku, relacji, przyczyny i skutku, i tak dalej, wie pan to przecież doskonale. Możemy mówić, że jakaś formuła naukowa jest piękna tylko w sensie metaforycznym, ale nie możemy prawdy podporządkowywać pięknu ani takim czy innym interesom. W każdym razie musimy się pogodzić, że nauka nie jest bogiem wszechwiedzącym, że natura kryje przed nami tajemnice, których dzisiaj, a może nigdy nie poznamy. Tak, że proszę się nie przejmować, że pan widział coś niezwykłego, ja bym się nawet cieszył.

- To mi po prostu przewróciło mój światopogląd... Ale dziękuję, pan profesor ma rację. Tylko muszę to wszystko przemyśleć, poukładać sobie.

Śliwiński już spokojniejszy przesiadł się z krzesła na fotel i rozpoczął rytuał nabijania fajki.

- A co pan porabia, tak poza obserwowaniem lewitujących proroków? Mieszka pan tam, gdzie zwykle?, ostatnio coś nie mogłem się do pana dodzwonić.

- Teraz mieszkam w Warszawie. Szukają tam dla mnie pracy.

- Mieszka pan u tego guru? Nieźle, szybko pan awansuje.

- Mieszkam w tym samym domu, ale w sumie rzadko go widuję. Obecnie guru Daniel w ogóle rzadko się pojawia. Ograniczył swą aktywność, chyba z powodu wieku. Przesiaduje całymi dniami na strychu, długo leży w łóżku, do późna ślęczy nad książkami. No i oczywiście ćwiczy jogę. Z ludźmi się prawie nie widuje, co jakiś czas tylko zejdzie na dół i zabiera się do organizowania ludziom życia. Jak na razie zajmuję się kuchnią i pomagam w firmie tego Henryka.

- Co pan konkretnie robi?

- Szczerze mówiąc, nic przyjemnego. Gdyby nie to, że i tak nie mam obecnie za co żyć, to bym się w to nie bawił. Konkretnie, to handluję na Stadionie Tysiąclecia odzieżą.

- Czytałem niedawno reportaż na temat ludzi tam pracujących, strasznie ciężka praca. Podobno muszą wstawać na czwartą.

- To by nie było takie złe, do tego się można przyzwyczaić. Problem w tym, że nasi guru nie pozwalają tego odespać. To znaczy ja mam akurat łżej, pamiętają chyba o mojej słabej głowie, ale chłopak, z którym tam pracuję, praktycznie cały dzień później jest na nogach, robi zakupy dla Państwa Mesjaszów. Aż cud, że wpada czasem do swojej żony.

- A wpada? - Wpada. Mają pięcioro dzieci. - Które z ojca nie mają za bardzo pożytku - profesor wydał się tym zmartwiony. Potem westchnął i stwierdził sentencjonalnie - Mawiają, że każdy ma takie życie, na jakie zasługuje. Ale te dzieci? Na kogo one wyrosną? No cóż. Pan jednak niech się nie da za bardzo wykorzystać. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że się pan aż tak głęboko wejdzie. Czy nadal traktuje pan to jak badania, czy już może chodzi o coś więcej?

- Ilekroć jestem chwilę sam w mieście, wpadam do jakiejś kafejki Internetowej i spisuję swoje obserwacje. Wysyłam to do Michała i na jeszcze jedno moje konto. Wolę nie mieć przy sobie niczego na papierze.

- Słusznie - odrzekł profesor, choć zauważył, że Jakub wykręcił się od odpowiedzi. - Niech pan to jeszcze przedyskutuje z Michałem, w zasadzie już kończy swoją pracę, zresztą bardzo ciekawą.

- Tak, z Michałem i tak muszę się skontaktować.

- To będzie świetna praca doktorska. Obiecuję panu, że zrobię co w mojej mocy, aby pan mógł ją dokończyć już w normalnych warunkach. Przykro mi, że nie dostał pan miejsca ze stypendium, a jedynie miejsce bezstypendialne, i to jako ostatni. Widzi pan, uprzedzałem pana. Układy, układziki, ja niestety nigdy nie byłem w tym za mocny. Po habilitacji zbyt często mówiłem kolegom wprost, co myślę o ich dokonaniach, odtąd większość mnie nie lubi.

\* \* \*

Rozmowa z profesorem trochę Jakuba rozluźniła. Każdy szpieg musi od czasu do czasu podzielić się z kimś swoimi tajemnicami. To daje wielką ulgę i pozwala kontynuować grę pozorów. A stało się to ostatnio dość trudne. Ciągłe czuł szok związany z tym, co zobaczył, kiedy przez gapiostwo wszedł na strych Daniela bez pukania. Całe szczęście, że nie został zauważony. Nie dało się jednak ukryć bladości twarzy i ogólnego roztrzęsienia przed Pauliną. Pomysł z

wyjazdem na okresowe badania do neurologa był genialny. Zajrzał do swego mieszkania. Otworzył okno, żeby trochę wywietrzyć. Trzeba by trochę odkurzyć, na co jednak zupełnie nie miał nastroju. Ciągłe czuł się nieposkładany. Gdy po raz pierwszy pocałował Annę wkroczył do Wspólnoty mocniej niż planował. To, co ostatnio zobaczył, nadwyrężyło mocno asekuracyjne powiązania łączące go ze światem zewnętrznym, światem zdrowego rozsądku.

Usiadł w swoim starym fotelu i zamyślił się nad rozmową ze Śliwą. A zatem istnieje inna rzeczywistość?, czy inny aspekt tej rzeczywistości? Niby wszyscy o tym mówili, buddyści, szamaniści, nawet Michał, ale Jakub dotąd upierał się, by rozumieć to „jakoś tak metaforycznie”, jako poetycki opis doświadczeń psychicznych. To, co zobaczył zeszłego wieczoru na strychu u Daniela, nie było „jakoś metaforyczne”. Albo sam zwariował, albo ktoś go zahipnotyzował, albo... Najdziwniejsze było to, że profesor od razu przyjął tą trzecią możliwość. Zaskoczył tym Jakuba.

Czy z tego coś wynika, zapytywał siebie, dla mojej pracy, dla mojego życia? Mam posypać głowę popiołem i iść grzecznie do spowiedzi? Albo zrobić dziesięć tysięcy pokłonów jak buddyści w ramach praktyk wstępnych nyndro? Wiedział, że nie ma dla niego miejsca w żadnej określonej wspólnotie religijnej, z drugiej jednak strony odczuwał w sobie potrzebę przetworzenia tej nowej świadomości, świadomości rzeczywistości nadprzyrodzonej, przetworzenia w „coś”, z tego musi „coś” wynikać, jakieś konsekwencje. Zdawał sobie sprawę, że wiedząc to, co wie, nie może żyć tak jak dotąd. Z drugiej strony, jako socjolog, był świadom, że nie będzie żadnych trwałych konsekwencji, jeśli nie będzie przynależności, jeśli nie będzie kościoła czy zboru, ummy, sanghi czy jakby to zwać. Siedział we własnym mieszkaniu, a jednak jakby bezdomny, w jego świadomości mieszkali Jezus, Budda, Laotsy, a jednak żadnemu nie mógł powiedzieć: czuj się jak u siebie w domu.

A propos domu. Trzeba by zadzwonić do Michała. Podniósł się i zaczął odgrzebywać aparat spod stosu książek, przy okazji je nieco układając. Bałagan ten zrobił przy ostatnich przenosinach, gdy musiał rozstrzygać błyskawicznie dylemat - wziąć ze sobą czy zostawić. Większość wolał zostawić, bo nigdy nie wiadomo, czy jakiś mistrz nie połaszczy się i nie zechce poszerzyć swej biblioteki. W końcu kabel telefoniczny niczym nic Ariadny doprowadził go do telefonu. Teraz musiał jeszcze odnaleźć swój notes z zaszyfrowanymi numerami telefonów.

- Witaj Michale. Posłuchaj, mam do ciebie jedną sprawę.

- Tak?

- Czy nie mógłbyś się zaopiekować moim mieszkaniem? W sumie, jak chcesz, mógłbyś tam zamieszkać.

- Wiesz, to się świetnie składa, ostatnio strasznie się pożarłem z rodzicami. Zaczynają mnie coraz bardziej wkurzać, nie potrafią się przestawić i przestać mnie traktować jak dziecko.

- Świetnie. Mógłbyś teraz do mnie wpaść? Pogadamy, przekażę ci klucze.

- Dobra, zaraz będę.

Michał na szczęście mieszkał niedaleko od Jakuba, znali się zresztą z podwórka niemal od dzieciństwa. Po kwadransie przyjaciel siedział już naprzeciw w fotelu i popijał herbatę, którą Jakub w międzyczasie zaparzył. Jakub aż się cieszył, że będzie miał chwilę rozrywki, uwielbiał się kłócić z kolegą, choćby dla samej sztuki. Tym chętniej, że Michał często przybierał postawę, którą Jakub określał jako papieską, czyli taką, jakby posiadał pewność nieomyślności swych poglądów. Jakaż to była frajda powbijać mu trochę szpilek i, skłaniając do myślenia, nieco popsuć dobre samopoczucie.

- Rozumiem, że wyprowadzasz się na stałe do Warszawy? - zaczął Michał.

- Owszem. Nie na wieki wieków, ale kilka miesięcy, może nawet rok zjeżdżie. Szykuje się tam dla mnie praca.

- A co ze sprawami sercowymi?

- Znosi się niestety na to, że przez jakiś czas będzie to miłość dorywczo-korespondencyjna - odpowiedział z kiepsko skrywanym rozczarowaniem Jakub. - Mam nadzieję choć raz na miesiąc się stamtąd wyrwać, wtedy się zobaczymy.

- Czekam niecierpliwie.

- Nie z tobą. Mówię o niej! Z tobą - to zobaczymy, ile czasu będzie. I tak jesteś trzeci w kolejce po Śliwie.

- Jasne, rozumiem. Wcale się nie dziwię - powiedział Michał, udając, że żart ten go śmieszy.

- Śliwa mówił, że niedługo się bronisz. A co planujesz potem? Doktorat?

- Bronię się za miesiąc. U nas na socjologii nie mam żadnych szans. Mam tu opinię klerykała. Zresztą egzaminy są już w lipcu, a znasz tempo pracy ze Śliwą, nie przepuści, aż będzie w pełni zadowolony. Chcę spróbować na teologii. Nie mają tam żadnego socjologa. Rozmawiałem już z dziekanem, czytał fragmenty mojej pracy. Wygląda na to, że mam szansę na etat wykładowcy.

- Świetnie! Mam nadzieję, że zostawią ci trochę czasu, abyś mógł napisać jakiś doktoracik?

- Sądzę, że tak. Mam nadzieję, że się dostanę... Słuchaj, ja właśnie... - widać było, że ma jakąś prośbę. - No właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Korzystając, że się spotykamy, może ostatni raz na dłuższy czas. Jak wiesz, przy staraniach o tego typu posadę dobrze widziane są jakieś publikacje. Mam pomysł, żeby napisać artykuł na podstawie mojej magisterki. Mogę cię o coś w związku z tym zapytać, o tę twoją sektę?

- Śmiało - ożywił się Jakub. Nie miał ochoty prostować tym razem określenia „sektą”.

- Po pierwsze, trzeba by jakoś nazwać tę sektę, to znaczy grupę. Myślę, że to tobie powinien przypaść ten zaszczyt, nie uważasz?

- Oni sami nazywali się Wspólnotą.

- Wiesz, to trochę kiepsko brzmi. Zwłaszcza, że wspólnota kojarzy się z pewnym egalitaryzmem, jak bractwo, jak w greckich thiasoi.

- Coś ty - sprzeciwił się Jakub - Tönnies wyróżnił ze trzy typy autorytetu we wspólnocie, ojca, wodza i mistrza. Zresztą niewątpliwie było to bardziej „wspólnotą” niż „stowarzyszeniem”.

- Może i tak, ale autorytet to jeszcze nie hierarchia. Zresztą wspólnota to za ogólne określenie. Rodzina jest wspólnotą, sąsiedzi stanowią wspólnotę... To musi być coś mocniejszego. Wszystkie takie grupy twierdzą, że tworzą wspólnotę. Wierzę, że wymyślimy coś, co by lepiej ich charakteryzowało.

- Trudne zadanie mi dajesz. Mam nadzieję, że mi pomożesz?

- Do roboty.

- Może trzeba by po arystotelesowsku? Genus proximum i differentia specifica? - zastanawiał się Jakub.

- Do jakiego gatunku byś ich zaliczył?

- Wzorują się na masonerii z jednej strony, a z drugiej na hierarchicznych ścieżkach ezoterycznych, chyba głównie na sufickich.

- Więc może „Loża” jakaś tam?

- Loże zostawmy masonom. Może lepiej bractwo? - zaproponował Jakub.

- „Bractwo” ma za bardzo egalitarne konotacje, to musi być coś dopuszczającego hierarchię - stwierdził Michał. - Podobnie ze „wspólnotą”, choć sami tak o sobie mówili. A co powiesz na „Związek”?

- Tak jak „Związek Pitagorejski”? Brzmi niezłe, ale za słabo. - Może „Zakon” jakiś tam?

- Cóż, zakonami nazywają się organizacje, które podejmują dożywotnie zobowiązania, żyją według ustalonej reguły... Tutaj podjęte zobowiązania były wprawdzie dożywotnie, ale nie do końca świadomie podejmowane. Reguły życia codziennego były żelazne, choć nie spisane. - „Zakon 44” napisał Jakub na kartce. - Może być. Przynajmniej do czasu, gdy nie wymyślimy niczego lepszego.

- Zakon czterdziestu czterech czy zakon czterdzieści cztery?

- Zgodnie z planem miało być czterdziestu czterech, ale okazało się że to jest tylko prywatna własność pana zwącego się „Czterdzieści cztery”. Kiedy planujesz oddać ten artykuł?

- Chciałbym do końca miesiąca. Najpóźniej na początku przyszłego. Może choć przyjmą do druku przed tym konkursem.

- Dobra. O co jeszcze chciałbyś zapytać?

- Zgodzisz się, że pojęcie sekta odnosi się do organizacji szkodliwych. Mogą być mniej lub bardziej szkodliwe. A jak byś ocenił tę sektę, znaczy, grupę? Jeśli na przykład powiemy, że sataniści składający ofiary z ludzi to 6 a świadkowie Jehowy to 1, to ile byś dał tej grupie?

- To nie jest takie proste, Michale. To nie takie proste. Najpierw musisz powiedzieć, dlaczego jakaś grupa jest według ciebie szkodliwa, na czym może polegać szkodliwość takich organizacji.

- No wiesz? Zgodzisz się chyba, że grupa religijna, która nawołuje do samobójstwa jest szkodliwa, prawda?

- A bo ja wiem? Ludzie stale się zabijają. Czy nie mają prawa robić tego z motywów religijnych? Czy jeśli iluś ludzi zabija się z powodu zawodu miłosnego, to zakazesz ludziom się zakochiwać?

- Ależ z ciebie cholerny darwinista! - zaśmiał się Michał. - Przecież musi być jakaś hierarchia wartości! Gdy postawimy jakąś wartość ponad życie ludzkie, to mamy już despotyzm, totalitaryzm.

- Co ty wygadujesz! Twierdzisz, że życie jest najwyższą wartością?

- No tak! - Michał zaczynał wątpić, czy kolega mówi poważnie. - Tak przynajmniej naucza Kościół.

- Nie, przyjacielu, wydaje mi się, że za słabo znasz nauczanie własnej religii. Gdyby życie było faktycznie najwyższą wartością, to Jezus, Szczepan i wszyscy ci chrześcijańscy męczennicy

byli bandą kretynów, a może nawet zbrodniarzy. Chyba tego nie twierdzisz? - Michał był zbity z tropu. - Życie samo w sobie posiada tylko wartość biologiczną, nie uważam, żeby życie człowieka było więcej warte niż zwierzęcia...

- Przesadzasz! - przerwał Michał.

- ... jeśli nie nada mu się jakiegoś ludzkiego sensu.

- Nie, no tak nie można!

- No może rzeczywiście troszkę przesadzam. Ale co do jednego się może zgodzisz: nie powiesz przecież, że życie, które nie ma sensu jest tyle samo warte co życie piękne, sensowne? Inaczej ludzie nie szukaliby sensu życia. A co nadaje sens życiu, jeśli nie jakaś idea, świecka czy religijna, ale idea? Skoro życie czerpie wartość z idei, to nie widzę nic złego z poświęcania życia dla idei. To jest sensowne!

- To chcesz powiedzieć - odparł Michał - że będąc lekarzem, pozwoliłbyś, by ci się nastoletnia jehowitka wykrwawiła na śmierć na stole, bo nie życzy sobie transfuzji, a rodzice ją w tym popierają?

- To, co ja bym zrobił jako lekarz, nie ma nic wspólnego z tym, że uważam, że ona ma prawo oddać swoje życie. A skąd ty masz tę stuprocentową pewność, że ona się w ten sposób nie zbawi?

- Dobrze - podjął po chwili namysłu Michał - skoro nie chcesz ich ocenić jednoznacznie, na skali, to zrobimy rozbiórkę na czynniki pierwsze, zgoda?

- Zgoda, pytaj.

- To czy wiesz coś o tym, aby namawiali do zabijania, samobójstwa i tak dalej?

- Nie, absolutnie - odpowiedział stanowczo Jakub. - Namawiają raczej do rozmnażania. Śpiewają nawet, czytałeś to, że życie to obowiązek. Tylko sam Daniel mówi, że już nie ma obowiązku żyć, bo zrealizował to, czego wymaga się w życiu od człowieka.

- A jak z seksem, słyszałeś o molestowaniu, jakiś ekscesach?

- To trudniejsze pytanie. Szczerze mówiąc, trudno mi to rozgryźć. Z pewnością kładą duży nacisk na wierność. Ponoć ktoś został wyrzucony, bo zdradzał żonę. Myślę, że to pewna forma rekompensaty dla kobiet, za ich nędzne położenie, to że gwarantują im, iż faceci będą w stosunku do nich uczciwi. Ale z drugiej strony, seks to chyba nieco inna sprawa. Wiesz, to są moje przypuszczenia, domysły, nikt mi tego wprost nie wyłożył, ale myślę, że czasami relacje seksualne nie do końca pokrywają się z małżeńskimi, czy partnerskimi. Myślę, że to ma związek

z tantrą, pojmowaniem seksu jako narzędzia doskonalenia duchowego. Ania opowiadała mi, że przez przypadek widziała kiedyś Urszulę w łóżku z kimś, kto bynajmniej nie był jej mężem.

- A kim?

- Uczniem. Sądzę też, że Daniel chyba praktykował takie zaawansowane „szkolenie seksualne” w stosunku do niektórych kobiet ze Wspólnoty.

- Widziałeś coś?

- Nie. Ale sam wspominał, że spośród dzieci we Wspólnocie kilkoro jest jego, choć wiem, że żadne Pauliny. Wiesz, oni to mówią nawet całkiem wprost, że seks jest najważniejszy, że tam przejawia się najczystsza forma energii. Trochę mi to czasem pachnie seksoholizmem albo jakąś manią. Ale nie sądzę, by kogoś do czegoś zmuszali w tej sferze.

- Tak czy inaczej, były pewne nadużycia seksualne - Michał chciał ewidentnie ująć rzecz prosto i jednoznacznie.

- Co to znaczy nadużycia? Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś się na coś skarżył, a zatem wszyscy to akceptowali. Nie nazywaj nadużyciem wszystkiego, co nie zgadza się z twoją etyką seksualną.

- A jakie ty przyjmujesz kryterium nadużycia? - zapytał Michał, najwidoczniej trochę zniecierpliwiony.

- Mi bliskie jest sformułowanie buddyjskie: nie krzywdzić nikogo działaniami seksualnymi - powiedział spokojnie Jakub.

- A czy buddyści spiąją z dziećmi, czy mają wiele żon, czy mają kochanki?

- O dzieciach nic nie wiem. Zdarza się, że niektórzy jogini mają po kilka żon, to stara tradycja. Generalnie, jeśli coś nie rani innych osób, to nie jest zakazane. Co nie znaczy, że każdy buddysta mógłbym mieć dwie żony. Wymagałoby to, aby obie reprezentowały pewien stopień rozwoju duchowego, na tyle znaczny, że zazdrość nie stanowiłaby problemu. A on sam musiałby osiągnąć taki poziom wglądu, aby obie uczynić szczęśliwymi. No, ale zostawmy buddyzm. Uważam, przynajmniej z tego co się dowiedziałem dotąd, że nie było tam nadużyć seksualnych. Nie stosowano przemocy, a zatem każdy mógł odmówić.

- Rzeczywiście mógł? Filip mówił, że Daniel zniewala ludzi.

- Tak, zniewala, jak cholera. Oczywiście. Ale to nie była przemoc.

- A czy nie uważasz, że samo zniewolenie jest czymś szkodliwym, negatywnym?



- Nie fetyszyzuj wolności, przyjacielu. Niektórzy ludzie potrzebują zniewolenia. Państwo zniewala przestępców, lekarze zniewalają psychicznie chorych, w jednostkach elitarnych też łamie się wolę rekrutów i tak dalej. Kościół też nakazuje i zakazuje, czy to nie jest ograniczenie wolności? Fakt, że tam zniewolenie jest skrajne. Ci ludzie gotowi są prawie na wszystko. Ale może oni tego potrzebują?

- Jak możesz tak mówić! - tutaj Michał był już oburzony. - Toż to jakiś faszyzm! A kto ma decydować o tym, czy ludziom potrzebne jest zniewolenie?

- Oni sami, wyłącznie oni sami! Nie denerwuj się, przecież tylko rozmawiamy. Oni sami decydują o tym, czy potrzebują zniewolenia. Robią to, oddając dobrowolnie swoją wolność człowiekowi, którego uznali za godnego zaufania.

- A może człowiekowi, który ich po prostu oszukał - nie ustępował Michał.

- Niewykluczone. W takim razie idź do nich, udowodnij im, że są okłamywani, ukaż im prawdę! Wiesz co, to jest dopiero totalitaryzm - chcesz decydować, co jest prawdą, której prawdzie ludzie mogą się poświęcić, co mają robić ze swoim życiem. Totalitaryzm, to traktowanie ludzi jak dzieci, za których trzeba myśleć! A kto ciebie ustanowił ich rodzicem? - Tutaj Jakub się nieco zezłościł.

- Dobra, zgadzam się, że nie można przymuszać ludzi do takiej czy innej prawdy, ale można im pomóc ją dostrzec - stwierdził Michał.

- Można. Daniel też uważa, że im po prostu pomaga dostrzec prawdę.

Michał zamilkł na chwilę. Ta rozmowa zupełnie nie toczyła się po jego myśli. Był dalej od odpowiedzi na swe pytania niż przedtem.

- Jak myślisz, dlaczego ludzie oddają mu swoją wolność? - zapytał już spokojnie. - To są w gruncie rzeczy dwa pytania. Dlaczego jemu i dlaczego oddają wolność - powiedział Jakub. - Jeśli chodzi o to drugie, to myślałem nad tym trochę ostatnio. Dochodzę do wniosku, że trafiają tam ludzie szukający, to znaczy tacy, którzy nie mają żadnej idei nadającej sens ich życiu. Ta idea musi być dla nich oczywiście do przyjęcia. Dlaczego ta idea, a nie inna, to oczywiście problem dla socjologa wiedzy. Wielu odczuwa też potrzeby innego rodzaju. Tych nazwałbym nie „poszukującymi”, ale „zagubionymi”. Ludzie często nadwrażliwi, nieprzystosowani, którzy potrzebują takich właśnie warunków aby dojrzeć. Możliwe, że niektórzy są pod pewnymi względami trwale upośledzeni. Tak jak rodzą się ludzie bez nogi, może rodzą się też ludzie niezdolni do samodzielnego życia. Dlaczego natomiast ufają akurat Danielowi? Nie wiem, czy

teraz potrafię na to odpowiedzieć. Facet ma niewątpliwie wielką charyzmę, posiada też realną przewagę nad innymi w wielu dziedzinach. Do tego dochodzą jakieś zdolności hipnotyczne, możliwe, że sobie tego nie uświadamia...

- Zaraz, zaraz - przerwał Michał. Jak można nie wiedzieć, że się kogoś hipnotyzuje? To przecież jest jakaś procedura, „powieki stają się ciężkie, odlatujesz, adin, dwa, tri” i tak dalej. Jak to nie uświadamia sobie?

- Miałem na myśli trochę szersze rozumienie hipnozy, jako sugestii.

- Bopek chyba o tym wspominał, choć go wtedy nie rozumiałem.

- Sam nie wiem, czy to dobrze rozumiem. Zastanawiam się, czy faktycznie te zjawiska są skutkami właśnie tego, co zwykle ludziom kojarzy się z hipnozą. Może to hipnoza jest szczególnym przypadkiem pewnego bardziej ogólnego zjawiska? Zjawiska polegającego na mniej lub bardziej dobrowolnej rezygnacji z własnej woli, z zastąpienia własnej woli wolą innej osoby.

- Woli i rozumu oczywiście.

- Tak, a to oznaczałoby rezygnację z rdzenia własnej osobowości.

- Jakby ktoś taki stawał się dodatkowym ciałem kogoś innego. To jak jakaś forma opętania, choć opętania nie tyle przez demona, czy ducha zmarłego, ale przez ducha żywego człowieka.

- Ja bym to porównał do działania wirusa komputerowego. Ktoś wprowadza do twojego myślenia pewien program, sposób myślenia, który następnie instaluje kolejne moduły, zyskuje autonomię i przejmuje kontrolę. Stopniowo, w ramach długotrwałego programowania. Nie obędzie się oczywiście bez pewnej uległości ucznia, ale ją można na różny sposób kupić, wystarczy zresztą pozyskać uległość w pewnej sferze, potem trzeba tylko tę sferę umiejętnie i delikatnie poszerzać. Tę „lukę” można wykorzystać do wprowadzenia do świadomości ofiary swojego „programu”.

- Dokładnie tak Filip opisywał swój stan podczas pierwszej, nieudanej „ucieczki” sprzed kilku lat: dlatego nie mógł odejść, a nawet gdy odszedł, to jakby pozostawał. Nadal był dokładnie takim samym człowiekiem. Myślał, działał tak, jak go nauczył mistrz, nadal był jednym z nich. Programy pracowały w nim, aż do momentu, gdy na modlitwie „komputer mu się zawiesił”.

- Ale to nie tylko to. Daniel sam często namawia, aby go sprawdzać. Wręcz chełpi się tym, że żyje dokładnie według tego, co naucza. Wielu znasz takich na przykład księży?

- Dość wielu - powiedział stanowczo Michał.

- No tak, bo ty znasz chyba legiony księży. Ale zwykli ludzie przywiązani do swojej parafii nie mają takiego wyboru.

- Chrześcijaństwo, to podążanie za Chrystusem, a nie za księdzem.

- I dlatego różni guru zawsze będą mieli chętnych. Ludzie chcą też kogoś żywego, z kim mogliby się utożsamić, za kim podążać. Obejrzyj sobie, jest taki nienajnowszy film oparty na legendach arturiańskich pod tytułem, jeśli się nie mylę, Excalibur. Tam bardzo ładnie pokazali pierwotną relację między rycerzem a królem. Aktorzy to dobrze zagraли. Wiesz, to takie uczucie, w demokracjach tępione, ale archetypowe, miłość do przywódcy, cześć dla króla, wodza.

- Weberowska charyzma - potaknął Michał.

- Tak - zgodził się Jakub, ale po chwili się zawahał. - Tak i nie. Bo gdy mówisz o Weberze, mówisz o teorii. Orzekasz o czymś ze sporego dystansu. A to jest bardzo głębokie przeżycie. Gdy spotykasz się z kimś, kto jest urodzonym przywódcą, kto jednocześnie reprezentuje ideę, która cię przekonuje, odzywiają się bardzo głębokie struny w twojej duszy.

- Ty to też chyba przeżyłeś?!

- Po to tam wchodziłem, czyż nie? - Jakub uśmiechnął się. - Ale nie martw się, nie „przekręcili mnie”. Natomiast ty wyglądasz na zupełnie przekręconego, co najmniej przez dziurkę od klucza. Co się dzieje Michale? - zapytał stanowczo, ale spokojnie.

- Jestem chyba chory - powiedział Michał po dłuższej chwili milczenia wypełnionego wahaniem i westchnieniami.

- Co konkretnie ci dolega?

- Pamiętasz zajęcia z psychopatologii? Karen Horney nazywała to neurotyczną potrzebą miłości.

Jakub spojrział na kolegę ze zdziwieniem. Po chwili zapytał.

- Pamiętam, że kiedy próbowałeś mnie ewangelizować, mówiłeś, że miłość Boga jest jak ocean, przepraszam, że zapytam prosto z mostu... jeszcze ci mało?

- Bóg obecnie milczy.

- Z tonu twego głosu wnioskuję, że się pogniwaliście... Rozumiem, że modliłeś się, aby jakoś rozwiązał twój problem...

- Sześć lat codziennie. I nic.

- Wiesz - Jakub zaczynał odczuwać irytację - mówię to jako poganin: gdybym ja wierzył w jakiegoś boga, potrzebowałbym czegoś od niego, złożyłbym mu w ofierze jałówkę. Jeśliby nie zrobił tego, o co prosiłem, zmieniłbym boga! Zaczyna wkurzać mnie ten twój Jezus. Najpierw obiecuje niewysłowioną miłość, wmawia swym owieczkom jakie to one słabe, nędzne i grzeszne, każe oddać się sobie w niewolę, a potem nawet porządnie nie troszczy się o swoich niewolników.

- Jakub przestał perorować dopiero, gdy zobaczył łzy w oczach Michała.

Michał najbardziej na świecie pragnął wyjść z pokoju, ale wiedział, że musi zostać i odeprzeć te zarzuty, nie mógłby wrócić do domu ze świadomością, że takie słowa pozostały bez odpowiedzi. Ale jaką odpowiedź mógł dać Jakubowi? Mógł go zarzucić setką cytatów biblijnych, tylko, że przy jego obecnym stanie ducha wszystkie brzmiałyby jak ciche frazesy. Zresztą Jakub nie wierzył w Biblię. Najbardziej przerażało go, że sam mógłby pomyśleć, że być może Kuba ma rację. Spojrzał na siebie, na swój stan ducha i nie dostrzegł żadnej różnicy między sobą, a tymi wszystkimi ofiarami sekt, z którymi się spotyka, którym pomagał. Tak samo zagubiony, pełen bezsensownych wyrzutów sumienia, urojonych dylematów, przerażony własnymi wątpliwościami... Jezus jako toksyczny guru? Czuł, że kielich się przepelnia, że zaczyna dojrzywać do jakiejś decyzji.

Wyszedł od Jakuba bez słowa, tylko go uspokajając gestem.

Czas porozmawiać poważnie z Bogiem.

Wróciwszy do domu zamknął się w pokoju. Do późna w nocy zmagął się z myślami. Potem klęknął, chcąc się modlić, ale słowa więzły mu w gardle, wznoszone dłonie opadały bezwładnie. Zebrał się w sobie i postanowił napisać do Boga list.

Boże mój Panie jeśli jesteś moim Panem Bogiem jeśli faktycznie dajesz Egipt, Kusz i Sabę w okup za mnie jeśli coś znaczą dla ciebie.

To nie będę twoim uczniem jeśli nie będziesz mi Ojcem

Amen

Pisząc te słowa Michał wznosił się wysiłkiem wszystkich ścięgien swej duszy ponad własny ból i gorycz. Wszelkie uczucia zniknęły, powiało chłodem czystego rozumu i woli. Stał tak, jako czysty duch wobec Ducha czystego, w pełni świadomy daru, jakim jest absolutna wolność mówienia „tak” i „nie”. Teraz stawia Bogu ultimatum, na poważnie, bo chce, aby Bóg go traktował poważnie. „Nie mogę być uczniem Boga - powiedział w myśli - świadczyć o Jego

miłości nie doświadczając jej. Dwa tygodnie, Panie. Jeśli nic się nie zmieni...” Nie dokończył myśli, nagle zdjęty przerażeniem. Co, jeśli...? Ale decyzję już podjął.

Nazajutrz obudził się z zupełnie innym stanem ducha. Podjęta decyzja skonsolidowała rozbite kawałki jego psychiki. Przeżywał dni względnego spokoju. Gdy jednak pomyślał o napisanym liście ogarniał go niepokój, uświadamiał sobie swoje szaleństwo - „Zbuntować się przeciwko Bogu!” Z drugiej strony nie mógł się wycofać, zaprzeczyłby sam sobie, własnej zdolności do prawdziwie wolnej decyzji, może była głupia, egocentryczna, ale była jego własna. Stanu, który go do niej doprowadził również sobie nie wymyślił. „Nie stanę się masochistą, nie zacznę czerpać rozkoszy z własnego upodlenia”.

„Ale jeśli się okaże, że nawet z Bogiem nie umiem się dogadywać, że nawet On jest mi obcy, cóż warte będzie moje życie i jaki będzie ono miało sens? Moja relacja z Ojcem okaże się powtórzeniem mojej relacji z ojcem. Jakże wielka to będzie samotność. Czy Bogu rzeczywiście na mnie zależy?”

Miał dwa tygodnie, aby zająć się czymś innym. Trzydzieści dni, ściśle mówiąc, pod decyzją była data dwudziestego szóstego lipca.

\* \* \*

Dziewiątego sierpnia Michał wyszedł z konfesjonału w kościele ojców bernardynów. Wolnym krokiem wszedł między ostatnie ławki, ukląkł i zamarł w bezruchu. Trwał tak bezmyślnie zawieszony wzrok w powietrzu, przygarbiony, z obojętną twarzą. Co pewien czas poruszał ręką, jakby próbując wzniesić ją w geście modlitwy, ale po chwili opadała mu ona bezwładnie. Gdy po godzinie msza się rozpoczęła, nie wstał, nie odpowiadał księdzu. Gdy nadszedł moment konsekracji i podniesienia, zgarbił się tylko jeszcze bardziej.

Od tego dnia nie chciał rozmawiać o Bogu, przestał ewangelizować, stracił też zapal do działalności w ośrodku antysektowym. A gdy ojciec Marcin odgórnie decyzją został zastąpiony ojcem Ozeaszem, który wprowadził tam własnych ludzi i własne metody pracy, zaczął się stamtąd wycofywać. Gdy Filip zapytał go, czemu nie działa już w Szkole Nowej Ewangelizacji, odpowiedział po dłuższej chwili wahania, że utracił pewne niezbędne do tego kompetencje. Ale nie sposób było wyciągnąć dalszych wyjaśnień.

Więcej za to czasu spędzał w bibliotece i przed komputerem intensywnie przerabiając swoją pracę.

## Rozdział XXVII

Jakub wątpił, żeby przez te parę miesięcy udało się założyć szkołę, niemniej jednak Urszula musiała dysponować sporymi wpływami, bo faktycznie pierwszego września szkoła ruszyła jako Prywatna Szkoła EkonomicznoEkologiczna. Jakub dowiedział się mimochodem, że ta uczennica mesjasza zajmowała ponoć dość wysokie stanowisko na warszawskim wydziale pedagogicznym, a przez to była szanowana w kuratorium, gdzie zresztą ulokowała swego jednego ucznia w dziale programów.

W szkole tylko część nauczycieli było członkami Wspólnoty. Reszta była „umowna”. Dyrektorem został Władek. A Jakub także miał pracę. Dopóki nie zrobił kursów pedagogicznych, pracował jako sekretarz. Układał plany zajęć, odbierał telefony i zajmował się całą resztą papierkowej roboty. Był pod ręką i okiem Władka, ale i odwrotnie, mógł go obserwować. Raz z najwyższym zdziwieniem zauważył, że jego mistrz przyrządza sobie kawę. Mina Jakuba musiała w pełni oddać jego zaskoczenie, bo Władek poczuł, że musi się usprawiedliwić.

- Mi wolno, mam niskie ciśnienie - powiedział. Nie wyglądał na specjalnie zakłopotanego. - Ale ty nie naśluduj.

- Może też bym dostał pozwolenie - odparł z uśmiechem Jakub - też mam niskie ciśnienie i bardzo lubię, lubiłem kawę.

- A niby od kogo chciałbyś dostać pozwolenie? - zapytał Władek i dla Jakuba stało się jasne, że jego mistrzowi nikt pozwolenia nie dał, że zrobił to na własną rękę, a zatem, że jest heretykiem. Postanowił to sprawdzić, a okazja nadarzyła się jeszcze tego samego wieczora, gdy odwoził Jakuba po pracy.

- Przeczytałeś już tę książkę, którą ci pożyczyłem? - zapytał Władek.

- Tak. Bardzo ciekawa, ale mam pewien problem... - Jakub udał wahanie, czekając na zachętę, a gdy nie nastąpiła, postanowił kontynuować. - Napotkałem w niej na szereg faktów, które nie zgadzają się z tym, co Daniel nauczał o masonerii - powiedział, uważnie obserwując każde drgnienie na twarzy Władka. Czyżby lekki ślad uśmiechu?

- A co konkretnie?

- Książka ta przedstawia rewolucję francuską jako realizację programu literatów, pisarzy, którzy nigdy nie mieli dostępu do praktyki rządzenia. Stąd abstrakcja w ich doktrynie i

nieliczenie się z rzeczywistością przy reformach, na przykład przy podziale kraju, według linii, wszystko zgodnie wyłącznie z logiką, wywiedzione z abstrakcyjnych zasad, „rozumu”, jak to nazywali. Skądinąd wiemy, że ci ludzie byli też masonami. Wynikałoby z tego, że masoni nie dysponują aż tak głęboką wiedzą sterowniczą. To, że udało im się pokierować rewolucją było skutkiem, tak przynajmniej wynika z tej książki, raczej ogólnych warunków historycznych, bardziej nawet błędów administracji królewskiej niż przewagi informacyjnej masonów. Może zatem nie należy aż tak obawiać się masonerii? Chyba, że rozwinęli się pod tym względem od osiemnastego wieku... Ale znając inne ich posunięcia, to wydaje mi się, że to raczej pewne stronnictwo ideologiczne niż grupa socjotechników...

- Posłuchaj, jedna uwaga generalna, w odniesieniu do Daniela. Jest to człowiek genialny, ale niestety bez specjalnego warsztatu naukowego. Przeczytał tyle książek, że ty do końca życia miałbyś problemy, żeby to nadgonić. Te wszystkie informacje wrzucone do takiej głowy dają w rezultacie mnóstwo bardzo interesujących pomysłów, inspiracji. Wiele z nich jest po prostu genialnych, choć naukowe przeprowadzenie ich dowodu byłoby bardzo trudne. Fakty wiążą się na poziomie nadświadomym albo podświadomym, często bardzo trafnie. Ale są też i mniej... genialne tezy, wyprowadzone, nazwijmy to, siłą rozpędu. Spróbuj tak to traktować i korzystać ile się da. W tej osobie masz dostęp do swoistego banku informacji, nie mówiąc już o bibliotece, którą ma u siebie. Na twoim miejscu zarywałbym nocki, mając dostęp do takich książek. Ja ciągle coś sobie pożyczam do mojego doktoratu - Gdy dojeżdżali już na miejsce Władek spojrzął Jakubowi w oczy i dodał jeszcze: - Wiesz, tego nie usłyszysz tu od nikogo i lepiej zachowaj to dla siebie.

Heretyk!

\* \* \*

Gdy spotkali się jeszcze w sierpniu w bibliotece, Jakub uznał, że Michał chyba jakoś rozwiązał swoje wewnętrzne problemy. Wyglądał lepiej niż ostatnim razem, choć stracił na pewno pewną lekkość czy wesołość jaka towarzyszyła mu, od kiedy się znali. Zastanawiające, że przestał też uporczywie polerować swoje szkła. Nie, żeby dopuszczał do ich totalnego zabrudzenia, ale czyścił je szybko, bez dawnego namaszczenia.

- Kuba! Dawno cię nie widziałem na seminarium. Co się stało? Ciągle rozrabiasz z tym swoim guru? - zapytał Michał.

- Owszem. Trochę mnie to absorbuje. Trudniej mi się wyrwać z Warszawy. Przepróś ode mnie Śliwę.

- Co robicie?

- Przerabiamy mnóstwo bardzo ciekawych informacji dla Daniela. Porażające.

- Na jaki temat? O masonerii?

- Nie, o świeższych ale może ważniejszych sprawach. O centrum sterowania globalną zmianą społeczną, o Światowym Rządzie, o manipulacjach potężnych korporacji. O demograficznych konsekwencjach rewolucji feministycznej sterowanej przez te korporacje. O New Age. Przy tym masoneria to tylko trybik, już trochę zardzewiały. Oczywiście wszystko staram się sprawdzić.

- O, a to ciekawe. - Michała zainteresowała zwłaszcza jedna wzmianka. - I co odkryłeś, na przykład o New Age?

- Zastanawiałeś się kiedyś, jaki jest kierunek społecznej przemiany, którą zamierza wywołać New Age? - zapytał Jakub szukając czegoś w książce z którą przyszedł. - Pamiętasz ich pierwsze manifesty, Konspiracja Wodnika Ferguson i tym podobne, wszędzie tam podkreślają, że przemianie indywidualnej świadomości ma towarzyszyć przemiana, transformacja świata i stosunków społecznych.

- Zgadza się. Przede wszystkim poprzez zniesienie chrześcijaństwa.

- Niezupełnie i nie tylko. Widzisz, problem leży w tym, że dzisiaj zwykliśmy New Age utożsamiać z jego ludową wersją, z magią kryształów, runami, medytacją energii drzew, jarmarczną astrologią, wszelkimi popłuczynami z zachodniej i wschodniej ezoteryki, z UFO, i tak dalej. Ale podobnie jak katolicyzm to nie tylko kult obrazów, świętych miejsc, sól świętej Agaty i medalik Benedykta, jest też „wysoki” katolicyzm, tak jest też „wysoki” New Age.

- Huxley, Capra, i tacy tam?

- Dokładnie. A wiesz skąd się oni wzięli? Co mają ze sobą wspólnego?

- Średnio, znaczy się, nie wiem.

- A mówi ci coś nazwa Esalen? - Jakub najwyraźniej znalazł wreszcie szukaną zakładkę. - Ośrodek w Big Sur w Północnej Kalifornii? To posłuchaj, co o tym centrum pisze ów Capra: w przypadku wszystkich twórców nurtu „Nowej Świadomości” taką kulturotwórczą funkcję spełnia w ostatnim dwudziestolecu kalifornijski instytut Esalen. Jeśli o Kalifornii mówi się czasem, że stanowi „retortę” nowych idei dla Stanów Zjednoczonych, jak dla innych krajów, to o Esalen



można powiedzieć, że jest on nieustającym źródłem surowców badawczych dla tej retorty. Warto dodać, że instytut ten prowadzi od ponad 10 lat bardzo owocnie rozwijającą się współpracę i wymianę naukową z Akademią Nauk ZSRR i radzieckimi instytucjami pozaakademickimi w różnych dziedzinach wiedzy, także tej na pograniczu badań ściśle naukowych i nie mieszczących się w obecnym paradygmacie.

- To między innymi dlatego - ciągnął Jakub nie zamykając książki - Gorbaczow w czasie wizyty w Stanach w 1990 pierwsze kroki skierował właśnie do Esalen. Widzę, że nie dowierzasz, to uwzględnij choć listę nazwisk badaczy tam działających: Abraham Maslow - psychologia humanistyczna, Fritz Perls - psychoterapia Gestalt, Grof, czyli LSD i psychologia transpersonalna, Bateson, czyli systemowa terapia rodzin, Watts, który chciał połączyć chrześcijaństwo z buddyzmem, Lilly - ten od delfinów i wynalazca komory deprivacyjnej, a bywał tam też - uwaga - ten stary kretyn Skinner. A pomysłodawcą wszystkiego był Michael Murphy, wykształcony w Stanford i w jednym z aśramów w Indiach, który - uważaj - w 1962 roku wpadł na pomysł by w swojej posiadłości organizować seminaria poświęcone wschodniej i zachodniej psychologii, religii i filozofii. - Już ci się przejaśnia?

- No dobra, to poważny ośrodek i Mekka New Age'u, ale zaczęłeś zdaje się od przemiany świata?

- Nie tylko Mekka, ale i Rzym. Słuchaj dalej: Esalen zostało założone w celu stworzenia przestrzeni, która umożliwi indywidualną i zbiorową przemianę, prowadzącą nasze społeczeństwo do realnej emancypacji...

- Ale jak? - wtrącił niecierpliwie Michał.

-...Ta rewolucja ma być delikatna, wewnętrzna i religijna, jest ona dyfuzyjna, nie posiada własnej organizacji, ale jej wyznacznikiem są „centra wzrostu”, których struktura oparta jest na modelu Instytutu Esalen... Pytasz jak? Dopiero niedawno na to wpadłem. Otóż nie chodzi o to, co oni nauczają, czy ich poglądy czy programy są bardziej lewicowe czy prawicowe. Dużo istotniejsze jest, jak oni to robią! Jakimi metodami. Same metody mają swoją siłę modyfikującą. Bo przed Mekką w Esalen, w 1946 roku była jeszcze Jerozolima, NTL, National Training Laboratories. Założył go socjopsycholog Kurt Lewin i - uważaj - po ucieczce z nazistowskich Niemiec za misję swego życia uznał znalezienie sposobu, dzięki któremu ludzkość mogłaby uniknąć w przyszłości podobnego kataklizmu. Doszedł do wniosku, że źródłem nazizmu była ludzka skłonność do autorytarnego posłuszeństwa. Rozpoczął poszukiwania metody, aby tę

zdolność z ludzkiej natury wykorzenić. Wyobrażasz sobie, jako socjolog, społeczeństwo, w którym wykorzeniono zdolność do posłuszeństwa?

- O rety! Totalna anarchia!

- Tylko pozornie! Tak naprawdę, społeczeństwo maksymalnie sterowne. Zewnątrzsterowne - pamiętasz Reismana, coś o tym pisał w Samotnym tłumie. Ludzie, którzy od dziecka nauczeni są nikogo nie słuchać, nie mają żadnych korzeni, żadnych trwałych punktów odniesienia. A więc po pierwsze nie muszą walczyć z własną przeszłością, na przykład z tradycją, aby się wyzwolić, bo nic ich nie krępuje. To daje maksymalnie słabą wolę. Po drugie masz czysty relatywizm, wszystko można, ale nie ma żadnych kryteriów. Choć mają alergię na wszelki autorytaryzm, nakazy, rozkazy, polecenia, to nie mają żadnych zabezpieczeń przed sugestią, zwłaszcza ze strony grupy, rówieśników, osób popularnych. Zresztą nie musisz ich do niczego namawiać, dajesz im „wybór” między dwoma albo dwudziestoma dwoma alternatywami, które sam wyznaczasz! Wystarczy, że powiesz, że coś jest modne, fajne, cool.

- Dobra, dobra! - przystopował Jakuba Michał - ciągle nie odpowiadasz, w jaki sposób to ma się dokonywać.

- Powtarzam, same techniki, same procedury - przekonywał Jakub. Zamknął swą książkę i teraz wygrzebał z plecaka ksero jakiegoś artykułu. - Nie mieliście w ramach zajęć z psychologii treningu interpersonalnego? Tych zabaw w głaskanie, publiczne wywnętrzanie się na gorącym krześle, praca z ciałem, „wyraź swe emocje”, maltretowanie poduszek i inne tego typu.

- Mieliśmy, cały Dzień Sportu na to zszedł na drugim roku.

- Jeden dzień, to nie dużo. Normalnie są to wielodniowe seminaria. Wszystkie te techniki opierają się na technikach inspirowanych przez psychoterapie typu encounter, które powstały w Esalen, słuchaj: Zaprojektował mechanizm „planowanej przemiany” ludzkości poprzez oddziaływanie „agentów przemiany”: psychologów, terapeutów, pracowników socjalnych, szkoleniowców, socjologów.

- Wiesz co, rozumiem, że intencje mieli antyautorytarne i po to wymyślili te techniki, ale ciągle nie kojarzę, jak takie ćwiczenia miałyby prowadzić do takich celów. Przecież mimo wszystko mniejszość ludzi miało do czynienia z tymi terapiami.

- A mówią ci coś określenia: „przełam tabu” albo „zdemaskuj tabu”, „bądź otwartym”, „powiedz to otwarcie”, „wyraź skryte uczucia”, „nie tłamś swych prawdziwych uczuć”, „znajdź swój własny styl”?

- Brzmi jak slogany reklamowe albo nazwy talkshow.

- Dokładnie, a są to slogany, którymi operują te terapie, one wręcz stamtąd pochodzą! Wszystkie te terapie czy szkoły pedagogiki mają „przełamywać bariery”, „schematyczne zachowania”, „zahamowania”, „falszywy wstyd”, czyli innymi słowy wszelkie pozostałości tradycyjnego, opartego na zasadach czy wartościach wychowania w imię „otwartości”, „tolerancji” czy „krytycznego myślenia”. Ciągłe się powtarza, „nie można sobie wszystkiego odmawiać”, mając na myśli: „nie powinno się sobie niczego odmawiać”. Wystarczy, że trochę dziennikarzy, terapeutów, księży, a przede wszystkim zaś nauczycieli przejdzie parę takich kursów i już masz bigos...

- A co tym masz przeciwko krytycznemu myśleniu? - zapytał zaskoczony Michał, któremu akurat styl myślenia kolegi z niczym innym się nie kojarzył.

- Poczytaj sobie Platona. Krytyczne myślenie, gdy się go naucza dzieci, to te się tym „bawią jak szczeniaki i czerpią dziką radość szarpiąc każdego i obalając wszelkie cudze poglądy”. A potem już sami w nic nie wierzą, niczego nie wyznają, w rezultacie produkujesz zblazowanych cyników. Zanim się człowiek zacznie uczyć krytycznego myślenia, musi przede wszystkim ze wszystkich sił umiłować prawdę, mieć charakter, aby do niej bezkompromisowo dążyć, cierpliwość i pokorę.

- Z czego ty to wszystko bierzesz, o tych terapiach? - zapytał Michał już nieco zaintrygowany. Gdy Jakub pokazał mu plik kartek Michał, zaczął przyglądać się ostatniej stronie. Znowu nabrał sceptycyzmu. - Widziałeś przypisy w tym artykule? Wszystko z dwóch książek, o autorach nigdy nie słyszałem. Wiesz coś o nich? Sprawdziłeś te informacje? Coś tu nie gra. Przecież to naciągane, jaka jest skala oddziaływania tych technik, przecież są też inne rodzaje terapii, ci z Esalen nie mają przecież monopolu, ilu ludzi się na to nabierze? Jak możesz opierać się na tak kiepskich przesłankach?!

- Przesadzasz, czasem głębszą prawdę trzeba odgrzebać, to krecia robota...

- To dla tego nie masz czasu na poważną naukę - powiedział cicho Michał. Był wstrząśnięty. Co się dzieje z tym Kubą? Jak mógł wdepnąć w takie gówno? - Po co się tym zajmujesz? Chcesz z tego zrobić doktorat? Przecież nikt ci tego nie dopuści. Spiskowa teoria dziejów? Znasz uczonego, który by się nie roześmiał na to hasło?

- Wiesz, to nie takie proste. Pal licho naukę, ale jeżeli ta spiskowa teoria jest słuszna... Zadawałeś sobie to pytanie? A co, jeśli jest słuszna? A co, jeśli większość tych nadętych

profesorów się myli, po prostu dlatego, że nie miało odwagi zadać sobie pytania: „a co, jeśli się mylę?” Oznacza to, że nasza cywilizacja jest śmiertelnie chora.

- Jeśli tak, to rozumiem, że nie zechcesz zaangażować się w imprezę, którą organizujemy ze studentami. - Michał był od pewnego czasu opiekunem grupy studentów różnych kierunków studiów zbierających się na swego rodzaju nieformalnym kole naukowym na wydziale teologicznym.

- Jaką?

- Cykl seminariów „Dialog między religiami drogą do pokoju w trzecim tysiącleciu”.

- Wiesz... - Jakubowi wyraźnie zrzedła mina. Myślał chwilę, potem z wolna zaczął wyklądać swoje poglądy na ten temat, tak jak zwykł to robić, czyli w formie głośnego myślenia. - Ostatecznie jest to cholernie trudny problem. Dialog, typowa masońska metoda. Taaak, to trzeba cholernie mocno przemyśleć. Wydaje się, że religie stanowią jakiś ratunek, ostoję pewnych zdrowych tendencji. Jednak sam dialog między religiami niekoniecznie musi być czymś dobrym, tak jak mieszanie miodu z musztardą. Jako socjolog wiesz, że każdy kontakt z odmiennym światopoglądem powoduje relatywizację własnego, zwłaszcza, gdy się samemu nie jest głęboko zakorzenionym. Gdy dialog uprawiają elity, jest to nieszkodliwe, zresztą zawsze to robiły. Rozsądne elity utrzymywały ten dialog w tajemnicy, po prostu studiowały dzieła innych kultur, przekładały je na własny język, na własne pojęcia i popularyzowały już jako własne osiągnięcie. Intelktualnie niezbyt uczciwe, ale socjologicznie bardzo mądre. Dzisiaj jest to bardzo trudne. Jeśli do świadomości przeciętnych wyznawców na przykład chrześcijaństwa dojdzie, że jego elity prowadzą równorzędny dialog z hinduistami, znaczyć to będzie, że własne elity stawiają te religie na równi. Skoro każda religia głosi coś innego, a jednocześnie każda jest równie dobra, to ich twierdzenia wolno traktować z przymrużeniem oka. Dialog zatem osłabia ideologicznomoralny system sterowniczy danego społeczeństwa. Wiesz, może gdybym był władcą świata, widziałbym to inaczej, wolałbym mieć jedną wielką religię albo wiele słabych. Ale teraz jakoś... Masz rację, nie przyłożę do tego ręki. - Nim rozstali się, dodał jeszcze. - Może byście lepiej zorganizowali konferencję na temat katastrofy demograficznej? Za sto lat, muzułmanie mogą nie mieć z kim prowadzić dialogu. - Po chwili jednak zmienił zdanie i dodał z chytrym uśmiechem. - Wiesz, nie przyłożę ręki, ale, jeśli pozwolisz, chętnie przyjdę na wasze spotkanie. Tylko muszę się jakoś wyłgać Władkowi.

- A jak tam twoje poszukiwania korzeni zakonu? - zapytał po chwili Jakub - pewnie już nie masz na to czasu?

- W zasadzie moja kula śniegowa utknęła w zaspie. Chwilowo brakuje mi już pomysłów.

- To może podsunę ci jeszcze jeden trop. Daniel często wspomina swoich mistrzów, mówi o nich z wielkim szacunkiem. Niestety, nic konkretnego. Nie znam żadnych nazwisk ani miejscowości. Ale z tego, co opowiada wynika, że byli jakoś powiązani z tradycją Bô Yin Râ. Może warto by rozejrzeć się w tym środowisku, Michale? Może zostawili jakichś innych uczniów?

- Nie wygląda to na łatwe zadanie, ale spróbować mogę.

\* \* \*

- Wiesz - zagadnął Michał Jakuba, gdy zostali sami w sali seminaryjnej - zachodzę w głowę po co przyszedłeś, skoro nie zgadzasz się z ideą, nie zabierałeś głosu, a przecież mogłeś nas przekonywać, że pomysł jest zły. Nawet nie głosowałeś.

- Dotknąłeś sedna, a nawet tego nie zauważyłeś - odparł Jakub. - Dla mnie to była najczystsza obserwacja naukowa naturalnego eksperymentu socjologicznego.

- A co takiego badałeś?

- Skuteczność masońskiej manipulacji.

- A ty znowu swoje! - westchnął Michał, przewracając oczami. Miał już po dziurki w nosie nowej obsesji Jakuba, ciągłego szukania spisków. Zaczynał się coraz bardziej obawiać o przyjaciela. Znużonym głosem, gdyż w głębi duszy odczuwał jednak ciekawość, zapytał. - No i co zaobserwowałeś? Obserwacja potwierdziła hipotezy?

- W stu procentach - Jakub uśmiechał się chytrze.

- Chcesz powiedzieć, że manipulowałeś nami na masońską modłę? - To zaś wydało się Michałowi absolutnie niemożliwe, bo Jakub siedział przez cały czas w milczeniu i bezruchu, więc dodał - Albo może na sali był jakiś inny mason?

- Prawie sami masoni. Anonimowi masoni. Z tobą na czele.

Michał uznał, że Jakub i tak mu za chwilę wszystko wyjaśnił, więc czekał w milczeniu. Jakub jednak zapytał:

- A ty jak oceniasz to zebranie?

- A dziękuję, średnio.

- Znowu trafiłeś w sedno. Dokładnie średnio. Wszystko zostało ślicznie uśrednione.

- No dobra, to powiedz mi, dlaczego jestem masonem.

- Masonem i to wiodącym. Agentem wpływu. Stałeś się nim, gdy powiedziałaś, zaraz na początku do Andrzeja „Wiesz, ty jesteś takiego zdania, ja to szanuję, ale pozwolę się z tobą nie zgodzić, uważam, że ble, ble, ble”.

- No i?

- Od razu postawiłeś się na jednym poziomie ze studentem z drugiego roku, a zatem egalité!

- Ojej, a co, miałem go zjechać od razu, że gada bzdury? Nie chciałem zrażać młodszego kolegi.

- Ale zobacz, jego opinii nie przeciwstawiłeś argumentów, a jedynie własną opinię. Zignorowałaś chłopaka, pod pozorem szacunku. Tym samym wprowadziłaś do gry pewną zasadę: wszyscy są równi i mają prawo do własnych opinii, niezależnie od związku z rzeczywistością. I co dalej się działo? Przypomnij sobie jak potraktowali Waldka - Waldek był studentem piątego roku, który odpoczywał po przeprowadzeniu badań do pracy magisterskiej.

- Hmm, no zakrzyczano go, jeśli dobrze pamiętam.

- Dokładnie! Że za wysoko stawia poprzeczkę, że nudzi, po prostu, że to nie wypali. A zauważ, że ze wszystkich głosów jego był najsensowniejszy, najtrzeźwiejszy, miał w końcu największe doświadczenie naukowe. Ale gdy wprowadziłaś zasadę egalité, nikt już nie pytał o kompetencje: wszyscy są równi! Studenci pierwszego, drugiego czy czwartego roku. A jednocześnie, gdy tak ustawiłaś reguły zaczęły się liczyć opinie, widzimi się, a nie fakty, nie argumenty. O ile co do faktów można by się dogadać, coś ustalić i podjąć decyzję, to opinię każdy miał inną. Pamiętasz, ta dziewczyna w niebieskiej bluzce chciała zająć się badaniami dialogu z żydami, tamten blondyn, nie pamiętam jak się przedstawił, uważał, że ciekawsza jest kwestia islamu, jedni chcieli zrobić badania empiryczne, inni zaprosić na pogadankę jakiegoś eksperta, a jeszcze inni obrać formułę referatów, którą okrzyczano jako przestarzałą i nadmiernie akademicką. Słyszysz? Nadmiernie akademicką! I zdanie to padło w murach uniwersytetu, na zebraniu koła naukowego! Wszyscyście się wymienili własnymi pomysłami, równie dobrymi oczywiście. Koniec końców od razu miałaś na sali kogelmogel. Wreszcie ktoś trzeźwo zauważył, że warto by wybrać jakiegoś przewodniczącego, który by pokierował zebraniem. I kogo wybraliście?

- Franka, starostę twojego roku zresztą.

- No pewnie, Waldek był już zniechęcony, a Franek zawsze jest chętny, aby być w centrum, choć do powiedzenia za wiele nie ma, generalnie zgadza się na wszystko, byleby tylko sam zajmował eksponowane stanowisko.

- Dlaczego sam się nie zgłosiłeś? Każdy mógł.

- Po co? Na takich imprezach wiadomo, że figura prezesa to tylko dekoracja. Przecież chodzi tylko o ustalenie woli powszechnej. Każda grupa musi mieć jakiś cel. A jak wyznaczyć cel, gdy jest tyle sprzecznych opinii? Trzeba coś poddać pod głosowanie. Ale co? Coś trzeba zredagować. Coś trzeba napisać za innych. Ale czy typ taki jak Franek wie jak się do tego zabrać? Czegóż on bardziej pragnie w tym momencie niż tego, aby mu ktoś podpowiedział co konkretnie ma napisać? W większych zgromadzeniach, jak nikt nie wie, co zrobić, to powołuje się komisję, a w komisji powtarza się cały mechanizm: bezradny przewodniczący szukający przekonujących doradców. Wy to tylko odtwarzacie w mikroskali. Michale: byle mason w stopniu czeladnika mógłby sobie teraz to wasze zgromadzenie owinać wokół dowolnego palca rąk czy nóg.

- No co ty, przecież tak funkcjonuje większość zebrań! - bronił się Michał. - Chcesz powiedzieć, że wszystkimi nimi sterują masoni?

- Nie uciekaj ad absurdum! Naturalnie, że nie. Masoni wprowadzili tylko metareguly, rozumiesz, władza strukturalna. Ale dzięki temu teoretycznie wszędzie mają przygotowany grunt. Wszędzie, gdzie przyjmuje się reguly równości członków i wolności wypowiedzi niezależnie od merytorycznych racji. A jedno się wiąże z drugim. Bo już sama równość zakłada abstrahowanie od rzeczywistości, bo w rzeczywistości wszyscy są przecież różni. Zazwyczaj na to miejsce podpowiadacza wcisną się jakieś zwyczajne podejrzanе typki, które już wyczują przed jaką alternatywą postawić głosujących. Czasem wystarczy przecież wprowadzić jedno dodatkowe zdanie, ba, wyraz, aby umożliwić koledze zrobienie milionowego interesu.

- Na szczęście nie u nas, może w sejmie.

- Nie u was, powiadasz? To co ostatecznie przegłosowaliście?

- Że celem koła będzie zgłębianie niuansów relacji międzyreligijnych, a najpierw zajmiemy się badaniem relacji między protestancką mniejszością niemiecką a polską, katolicką większością na przykładzie jakiejś przygranicznej wioski czy miasteczka.

- A dlaczego akurat tym? - Jakub nie przestawał się uśmiechać, czym jeszcze bardziej rozdrażniał Michała.

- Bo uznaliśmy, że jest to prostsze zagadnienie, pozwoli nam nabrać wprawy przed zajęciem się bardziej skomplikowanymi. - Michał bronił sprawy jak własnej.

- To powiedz mi jeszcze, drogi Michale, kto na przerwie został z Frankiem w sali, aby mu pomóc w redagowaniu waszej woli zbiorowej?

- Nie wiem, nie zwróciłem uwagi - stwierdził Michał. - Ale zaraz, jak wchodziliśmy, to obok siedział Ryszard.

- Zgadza się. Co o nim wiesz?

- Student socjologii, pamiętam go jako straszego lizusa i wazeliniarza. Wyznaje zasadę, że pewne odcinki życia trzeba przejść w czyjejs dupie. Dlatego pisze pracę u dyrektora waszego instytutu.

- Właśnie, który jest jednocześnie kierownikiem w Zakładzie Mniejszości Narodowych. A wiesz, mój drogi Michale, że jest to praca na temat stosunków polskoniemieckich? - Michał był wyraźnie zaskoczony. - I tak wygląda ta twoja wola powszechna.

- No nie, to nie może być tak proste, w końcu trzeba to jeszcze zawsze przegłosować, tego nie da się zrobić tak arbitralnie! - Michał zaczynał się złościć. - Ostatecznie to wszyscy podjęliśmy decyzję, mogliśmy odrzucić ten wniosek.

- Michale. Za każdą z dziesięciu propozycji można by podać kilka dobrych argumentów. Ale wy się tylko przekrzykiwaliście i wymienialiście równoprawnymi opiniami. A zatem wygrała ta propozycja, za którą argumenty udało się wygłosić, a potem zapisać, a o to zadbał Rysiek. Franek był przecież przekonujący, to akurat potrafi, gdy chce, a wielu uczestników samemu nie wiedziało czego chce, chcieli w związku z tym przede wszystkim, aby jakaś decyzja już zapadła, aby coś sensownego się wreszcie wydarzyło. Najprościej było głosować za. Tak więc w rezultacie przyjęcia reguł równości członków i wolności wypowiedzi miałeś najpierw anarchię, potem eliminację najcenniejszych, najbardziej kompetentnych, a jednocześnie najbardziej realistycznie myślących członków. Potem oddanie pozornej władzy w ręce figuranta, ustalenie woli wspólnej na poziomie największego banału i ogólnika oraz wytyczenie planu zgodnie z interesami najbardziej cynicznego intryganta. Oczywiście zmiana nie może być gwałtowna, ale masoni są cierpliwi i załatwiają swoje sprawy przez dziesięciolecia, metodą małych kroczków. Liberté! Egalité! Fraternité!

Aux armes citoyens, Formez vos bataillons.

Marchons! Marchons!



Qu'un sang impur

Abreuve nos sillons

Jakub wychodząc, nucił Marsylianę.

# CZEŚĆ V

## Rozdział XXVIII

Pani magister Joanna Kaszubska przechadzała się po klasie obserwując jak dzieci rysują na zadany temat. To była jej pierwsza praca podjęta zaraz po studiach. Na uniwersytecie nikt nie przygotował jej na takie trudności wychowawcze. Słyszała o problemach z utrzymaniem dyscypliny, z koncentracją, powszechnie roztrąbiono już „dobrą nowinę” o Zespole Nadaktywności Ruchowej, wiedziała jak pracować z dyslektykami, dysgrafikami, dyskalkulikami i wszystkimi innymi rzeczywistymi czy pozornymi ofiarami nowych chorób cywilizacyjnych jakie trapiły współczesną edukację. Ale coś takiego? Największym problemem okazało się zidentyfikowanie problemu. Najpierw rzucały się jej w oczy tylko pewne poszczególne zachowania, którym mogła zarzucić tylko to, że są dziwne. Z czasem zauważyła, że te „dziwne” zachowania pojawiają się tylko u części dzieci. „Może dzieci teraz takie są? - Myślała. - Słyszałam od koleżanek, że szkoła jaką pamiętamy to już archeologia.” Tylko to, co opowiadały jakoś nie pokrywało się z tym, co obserwowała. Co więcej, dzieci te przejawiały względem siebie jakąś formę solidarności, była między nimi jakaś więź. Próbowала je pod tym kątem wypytać, tłumaczyły, że są z zaprzyjaźnionych rodzin, ale w tym było coś jeszcze. Te dzieci były jakies takie znerwicowane, sztywne, jakby zablokowane czy załęcznione? Nazywała to na swój użytek quasiautyzmem. Miały też spore zaległości jeśli chodzi o znajomość otaczającego świata. Raz jedno z dzieci, tych „normalnych”, opowiedziało dowcip: „Co to jest: czarne, białe, czarne, białe, czarne, białe, bum?” Nikt nie wiedział. Odpowiedź brzmiała: „Zakonnica spadła ze schodów”. Mały Robert zapytał „Zakonnica? Chyba dżdżownica?”, „No nie, zakonnica!”, na co Robercik z przekonaniem „Nie ma takiego zwierzęcia”.

Sytuacji takich było więcej.

- A teraz dzielimy się na grupki - wydała polecenie. - Każda musi wybrać najładniejszy rysunek. No szybko! - trzeba było uczyć dzieci demokratycznych procedur choć dyrekcja szkoły akurat na to nie kładła żadnego nacisku, raczej była to kwestia nowoczesnych programów.

- Czy wszystkie grupy już wybrały?, tak? Dobrze, teraz siadamy na swoich miejscach. Niech te dzieci, których rysunki zostały wybrane podejść do tablicy. Dobrze, pokażcie teraz wszystkim swoje prace.

Następnie dzieci głosowały i wybrały najładniejszy rysunek. Maleńka Zuzia nie posiadała się ze szczęścia. Pani Joanna posadziła ją sobie na kolanach i wpisała jej wielkie słoneczko do dziennika. Gdy podniosła oczy znad dziennika zobaczyła, że przeszywają ją cztery spojrzenia. Oou!, światelko alarmowe, o co chodzi? Chciały słoneczka? Nie, to chyba nie o to chodziło. To nie byli nawet reprezentanci grupki. To te z quasi - autyzmem.

- O co chodzi, chciałyście też słoneczko? - zapytała z pewnym wahaniem.

Udała się do sekretariatu. Dowiedziała się, że pana dyrektora nie ma. Był tylko ten sekretarz.

- Panie Jakubie - nie wytrzymała, musiała się przed kimś wygadać - z tymi dziećmi coś jest nie w porządku, podejrzewam jakieś problemy w rodzinie czy coś... - poprosił ją, aby usiadła i napiła się kawy. - Niech pan sobie wyobrazi, zrobiłam konkurs na najładniejszy rysunek. Gdy wpisywałam słoneczka w dziennik wzięłam tą malutką Zuzię na kolana. By pan widział wzrok tych dzieci. Potem się na mnie rzuciły!

- Chciały panią pobić? - zapytał zaskoczony Jakub.

- No co pan?! Chciały mi się wdrapać na kolana! Tuliły się do mnie, ale tak jakoś nieporadnie, jakby nigdy tego nie robiły!

\* \* \*

W sumie nie powinno to Jakuba dziwić. Metody wychowawcze, jakie zaprowadziła we Wspólnocie Paulina, która zresztą nie miała własnych dzieci, będące prostym przeniesieniem na relację rodzic-dziecko relacji mistrzuczeń dawały tak niewiele miejsca czułości, jakimkolwiek pozytywnemu kontaktowi fizycznemu, że dzieci musiały tak reagować. Były zgłodniałe, znerwicowane, często moczyły się w nocy. Paulina o tym wiedziała i, co trzeba jej oddać, robiła wszystko co w jej mocy, aby problem zgłębić i mu zaradzić. Jakub wiedział jednak, że gdy w jakiejś książce natrafiła na wzmiankę o potrzebie czułości w stosunku do dzieci, odrzucała to jako „masońską manipulację”. Nie zgadzało się to z nauczaniem mistrza, a zatem było złe. I kropka.

Całe szczęście, że nie wszystkie matki we Wspólnocie były tak „rozwinęte” jak na przykład Hanka, by stale poświęcać dzieci na rzecz „rozwoju”, a wiele też lekceważyło sobie zalecenia wychowawcze Pauliny, szczególnie zaś właśnie to, by nie okazywać dzieciom żadnej czułości. Widać tysiące lat ewolucji gatunku brały w nich górę. Te dzieci nie miały aż takich problemów emocjonalnych.

Nauczycielka po rozmowie z dyrektorem, który zapewniał ją, że te dzieci są normalne, nawet normalniejsze od pozostałych zwolniła się z pracy przy pierwszej okazji, gdy znalazła inną posadę.

W owym czasie jeden z członków Wspólnoty, Józef, studiował pedagogikę. Pracę magisterską poświęcić miał skuteczności niekonwencjonalnych metod stosowanych w szkole, metod wypracowanych przez Paulinę. Jakub widział go chodzącego po szkole z papierami, ankietami, coś tam notującego, testującego dzieci, jednak nie słyszał nic o rezultatach. Gdy w sierpniu Daniel ogłosił, iż Józef nosi już tytuł magistra, samemu zapytał go przy okazji o rezultaty badań. Ten wziął go na stronę i nieco ściszym głosem wyjaśnił, że to była kompletna klapa, że dzieci, poddane wspólnotowemu szkoleniu wypadły znacznie gorzej niż dzieci nieszkolone. Nic dziwnego, że wyniki badań okryte zostały tajemnicą.

\* \* \*

Jakub dostawał „przepustkę” na wyjazd z Warszawy raz, najwyżej dwa razy w miesiącu. Mógł ją przeznaczyć na spotkanie z Anną i na wizytę u Śliwińskiego. Daniel popierał bowiem uzyskiwanie tytułów naukowych, zwłaszcza, jeśli nie wiązało się to z jakimś znaczącym uszczupleniem czasu przeznaczanego na jego zadania. Dwa dni w miesiącu były do zaakceptowania. Nieraz zdarzało się jednak, że kontakt ze Śliwińskim ograniczał się do telefonu w przerwie między kolejnymi miłosnymi zapomnieniami. Upajali się sobą, a wtedy wszystkie inne sprawy bledły, schodziły na plan dalszy. Tylko przy Annie mógł być sobą, mógł pozwolić sobie zapomnieć o swej roli ucznia i o swej roli wewnątrz roli - badacza.

Tym niemniej, przy okazji tych wizyt w Pracowni, Jakub ze zdziwieniem spostrzegł, że Markowi ubyło przynajmniej czworo uczniów od czasu ucieczki Filipa. Na wyższych piętrach hierarchii zresztą też ubywało ludzi. Naturalnie informował o tym Michała, a ten razem z Filipem wszczynał poszukiwania. Nie było to łatwe. Zazwyczaj byli członkowie starannie się ukrywali, zwłaszcza w początkowym okresie po odejściu, chcąc przeczekać w spokoju pierwszą reakcję Wspólnoty, która zachowywała się wówczas jak kochanka, która nie chce przyjąć do wiadomości, że romans się już skończył. Na szczęście wiedzieli, że Filip jest już „po drugiej stronie”, tak, że gdy u ich rodziców, czy na dawnych mieszkaniach, zostawił wiadomość z prośbą o oddzwonienie, odzywali się prędzej czy później. Michał na powrót wciągnął się w te śledztwa, choć nowe źródła odwlokły mu nieco finalizację pracy magisterskiej, którą udało mu się obronić we wrześniu. Ale nawet potem przeprowadzał jeszcze wywiady i szukał. Wprawdzie doktorat

planował zrobić na inny temat, ale może pojawiłaby się szansa na wydanie tej magisterki, stąd zawsze warto ją było uzupełniać. W każdym razie mógł się wykazać w nowym miejscu pracy prowadzeniem badań we współpracy z innym ośrodkiem badawczym.

Same obserwacje Jakuba też nabierały tempa. W czasie wolnym od pracy w szkole, jako zastępca Pauliny pełnił obowiązki szefa kuchni i od czasu do czasu zanosił Danielowi na strych jedzenie, a wtedy miał okazję do osobistego z nim kontaktu. Stopniowo zaczynał się uodparniać na jego „hipnotyczny” wpływ. Obserwował go w codziennych sytuacjach i słuchał jego nauczania. Niektóre były tak bzdurne, że Jakub tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał śmiech. Na przykład, gdy Mesjasz przekonywał, śmiertelnie poważnie, że Bodhidharma, wielki patriarcha buddyzmu chińskiego był Żydem z Sardynii, który udał się do Chin, aby zrobić na tubylcach interes albo, że święty Tomasz z Akwinu był uczniem sufiiego ibn Chalduna, których chyba dlatego miał być sufim, że nosił arabskie nazwisko, pomijając to, że żył niemal wiek po świętym Tomaszu. Jakuba raził zwłaszcza totalny brak jakiegokolwiek warsztatu naukowego. Ten człowiek z pewnością nie skończył nigdy żadnych studiów. Czytał mnóstwo, to prawda, ale też chyba nie miał narzędzi, aby ocenić, co jest wiarygodne, a co pozostaje w dość swobodnej, niemal poetyckiej więzi z rzeczywistością. Najgorsze, że wszyscy, może z wyjątkiem Władka, wydawali się przyjmować każde zdanie, które wypływało z jego ust, jako najszczerzą prawdę, przy czym większość była magistrami, a było ponoć we Wspólnocie ze dwóch doktorów! Rację miał widać Śliwa, gardłując się na różnych zjazdach o kryzysie humanistyki polskiej.

Na szczęście nie wszystkie nauki Wielkiego Mistrza opierały się na tak karkołomnych spekulacjach okraszonych mocno naciąganą etymologią, zupełnie oderwaną od historii danego języka. Było tam całkiem sporo zdroworozsądkowej mądrości w stylu sufickorabinackim. A także, co Jakuba intrygowało, sporo wiedzy naukowej. Wielu reprezentantów New Age’u zaprzęgało do swej ideologii naukę, ale większość z nich posiłkowało się opacznie zrozumianymi hipotezami nauk przyrodniczych, natomiast Daniel zaczytywał się w humanistyce. Było ciekawe usłyszeć jak jakiś dobrze znany fragment z książki Fromma, Masłowa czy Junga w ustach Wielkiego Proroka staje się niemal świętą doktryną!

Z pewnymi koncepcjami Daniela mógł się nawet zgodzić, jak na przykład z jego krytyką innych niż jego własny nurtów ekologicznych: „Jak można być tak naiwnym, w imię dobra zwierząt zaprzeczać podstawowym prawom biologii, z jednej strony głosić niby ochronę środowiska, a z drugiej bratać się z Pacyfistami i Tęczowymi, którzy przecież są formacjami

jawnie antybiologicznymi! Jeśli się akceptuje, że życie to wartość, to trzeba zaakceptować też prawa rządzące życiem. A do tych praw należy walka między osobnikami tego samego społeczeństwa, w której osobnik biologicznie cenniejszy zwycięża i może się rozmnażać. Widzicie, na czym polega manipulacja? Słuszny postulat, aby nie niszczyć innych osobników tego samego gatunku przekształcają w pusty irenizm. To samo ze społeczeństwami. To normalne, że to społeczeństwo, które stworzyło efektywniejszą formę organizacji, podbija słabsze. Tymczasem oni się na to obrażają, że bogatsze mocarstwo wykorzystuje nieudolnie rządzoną republikę bananową, ci wszyscy pacyfiści, anarchiści i antyrasiści. U ich podłoża leży idiotyczny dogmat o absolutnej równości wszystkich cywilizacji. Ciekawe, czy zachowaliby swą wiarę, skwiercząc na rożnie u ludożerców. Ta ich naiwność podważa możliwość jakiegokolwiek czynnej polityki zagranicznej i wewnętrznej polityki emigracyjnoasymilacyjnej. Nie nauczyły ich niczego krwawe jatki, jakie urządzają sobie nawzajem opuszczone przez kolonistów plemiona afrykańskie, nie przekonuje ich islamski terroryzm. Tolerancja, tolerancja, tolerancja. Niech spróbują nauczyć tolerancji białe ciała krwi, przecież wirus też chce żyć, bakterie to też istoty żywe, pewnie też coś odczuwają!”

Pokazał wówczas słuchaczom fotografię z gazety przedstawiającą młodego Żyda w tałasie, modlitewnym szalu, z liściem palmowym w rękę. Stał na tle czołgu, a przed nim leżał karabin oparty o stos artyleryjskich nabojów. Na Jakubie wielkie wrażenie zrobiła jego twarz. Stał w skupieniu, z zamkniętymi oczami, z pewnością się modlił. W jakiś sposób jego twarz jednoczyła wyraz pokory wobec Najwyższego oraz poczucie wyższości w stosunku do innych ludzi. „To dziś jedyny, suwerenny naród, który wie, co to znaczy uprawiać politykę! Szkoda, że myślą tylko o sobie, nawet kosztem reszty ludzkości”.

Jakub jako socjolog musiał się w dużej mierze zgodzić z Danielem. Mógłby wprowadzić dużo łatwiej pogodzić się z tym stanem rzeczy, spojrzeć z dystansu: no cóż, cywilizacja Zachodu widać zachorowała na śmiertelną chorobę. W sumie to normalna kolej rzeczy: cywilizacje rodzą się, kwitną i umierają (na podobne zresztą choroby). Ale Jakub mimo wszystko wolał czytać Nietzschego od Koranu. Ciągłe zresztą się zastanawiał, na ile cała ta manipulacja, którą tropił z Władkiem, jest przyczyną, a na ile skutkiem uprzedniej degeneracji społeczeństw, które jej ulegają? Na przykład współczesna popularność subkultury homoseksualnej. Mniejszości homoseksualne, miały tę zaletę, że same się biologicznie eliminowały (o ile im nie pomagać). Zresztą Jakub miał własną teorię na temat pochodzenia homoseksualizmu. Doszedł do wniosku,

że jest to jeden ze sposobów, w jaki populacja, której przyszło żyć w zbyt korzystnych warunkach ogranicza własną liczebność. Gdyby wszystkie relacje seksualne wiązały się z prokreacją, szybko doszłoby do przeludnienia.

Niewątpliwie najtrudniej było weryfikować sensacje Daniela dotyczące spisków, Żydów i masonów. Niewątpliwie podstawą jego światopoglądu w tej dziedzinie były przedwojenne publikacje antymasońskie i antyżydowskie. Jego opowieści z jednej strony często brzmiały nieprawdopodobnie, ale z drugiej strony niejednokrotnie wyglądało na to, że dysponuje on faktycznie unikalnymi materiałami. Władek i kilka innych osób tłumaczyło specjalnie dla niego sprowadzane z zagranicy książki. W każdym razie nie znając jego źródeł, ich powagi, Jakub nie mógł zweryfikować tych elementów doktryny Wspólnoty, umieszczał ją więc między wiedzą a bajkami.

Zresztą od czasu do czasu pewne wydarzenia, które przedostawały się do publicznej wiadomości, czyniły te opowieści starego guru przynajmniej prawdopodobnymi. Po niektórych aferach, które zaczęły wstrząsać Polską, pojawiły się nawet głosy, że spiskowa teoria polityki okazuje się być teorią najlepiej opisująca polską rzeczywistość. Co prawda większość z tych afer to oczywiście spiski na podłożu ekonomicznym, różne formy bandyckiego kapitalizmu. Ale skoro one są możliwe, to czy organizacja o celach ideologicznych nie mogłaby przeprowadzić własnej sprawy w podobny sposób?

Początkowo Jakub odnosił wrażenie, że zyskiwał coraz większe zaufanie Daniela. Z czasem jednak zmienił zdanie. Podśluchał parę rozmów, uczestniczył w kilku wymianach zdań na temat różnych osób i doszedł do wniosku, że na dobrą sprawę Daniel nikomu nie ufa. Przypominał w tym wielkich dyktatorów spoglądających na każdego z nieufnością, węszących wszędzie szpiegów, zdrajców i wrogów. Jako pełniący okazjonalnie funkcje kamerdynera Jakub, wnosząc poczęstunki, wielokrotnie słyszał, jak Daniel, wobec kolejnego gościa, bezlitośnie krytykował osobę, która właśnie opuszczał jego dom. Jedna taka wypowiedź wydała mu się szczególnie znacząca.

- Tak - powiedział kiedyś Daniel do Marka - ci uczniowie Olka, to już inne pokolenie, nie można im ufać, są za bardzo zniszczeni przez cywilizację. Użyjemy ich do obsługi firm, będą kierowcami, sprzedawcami. Absolutnie nie można ich dopuszczać do informacji o naszych ważniejszych akcjach. Do działalności poważnej jesteście wy, nawet nie wasi uczniowie, oni mają wam tylko pomagać. Ale wy jesteście figurami, oni pionkami. Ja jestem graczem.



Z tego, co Daniel mówił, wynikało, że jego myślenie socjotechniczne, wbrew napuszonemu wypowiedziom o tysiącletnim wpływie jaki wywrze na ludzkość było niesłychanie doraźne. Jego projekt Wspólnoty nie zawierał, jak się wydawało, żadnego mechanizmu, który gwarantowałby samoodtwarzanie jej struktury. Z drugiej strony wypowiedź ta dawała niewielkie szanse na dalszy awans Jakuba w strukturze dostępu do informacji.

\* \* \*

Od dłuższego czasu Michał usiłował skontaktować się z Jakubem, tajemniczo wspominając, że dokonał niezwykle istotnych odkryć. Jakub w końcu zjawił się u niego, ten był tak podekscytowany, że nawet zapomniał zaproponować koledze herbaty, tylko zaciągnął go do pokoju i posadził na fotelu naprzeciw stolika zawalonego starymi książkami i papierami.

- No to opowiadaj, cóż tam odkrył - zagadnął Jakub. - A więc, od którego to „a więc” podobno się nie zaczyna, słuchaj: spotkałem człowieka ze środowiska przedwojennych popularyzatorów Bô Yin Râ.

- O kurde! To ktoś taki jeszcze żyje?

- Tak, pan Turczynowicz. Ma dobrze ponad osiemdziesiątkę. To bliski znajomy jednego z tłumaczy Bô Yin Râ.

- Czy słyszał coś o Danielu?

- Więcej, zna go osobiście. Lepiej - przyjaźnił się z tak zwanym mistrzem Daniela.

- Dlaczego „tak zwanym”? - zaciekał się Jakub.

- Może zaczę od początku. Idąc na to spotkanie, myślałem, że Daniel zrobił taką małą schizmę w stosunku do struktur Bô Yin Râ.

- Tak można było wywnioskować z jego opowieści - przyznał Jakub.

- Otóż po pierwsze, nie miał w stosunku do czego robić schizmy. Żadna struktura nie istnieje. - ciągnął Michał, widząc wrażenie, jakie wywiera na koledze. - Po drugie, żadna struktura nie może istnieć. To jest bardzo wyraźny testament duchowy Bô Yin Râ: nie tworzyć absolutnie żadnych grup na bazie jego nauki.

- O w mordę! Nie wierzę! Przecież Daniel stale cytował Bô Yin Râ, że „gdzie dwóch lub trzech zgromadzonych jest w imię moje...”

- Owszem, ale w tym momencie zapewne przerywał cytowanie. Wystarczy jednak przeczytać kolejne zdanie - przerwał Michał, sięgając po jedną z książek leżących na stoliku:

„Lecz niech nigdy nie będzie ich więcej niż «dwu lub trzech», spotykających się gwoli wzajemnej wymiany swych doświadczeń duchowych...”, i dalej:

„Natomiast szukający nie powinni nigdy łączyć się w «gminy», albowiem żadna gmina nie jest możliwa bez przymusu wiary, podczas gdy rozwój duszy właśnie najbardziej nie znosi najmniejszego przymusu zewnętrznego”.

- Pokaż! - Jakub podbiegł do fotela Michała i uklęknął obok, aby zobaczyć tekst na własne oczy. - Rzeczywiście! Ale to nie są książki, które dają nam do czytania...

- Albo tutaj - teraz Michał sięgnął po plik kartek spiętych spinaczem - „tym bardziej ubolewam nad rozpowszechnionym wciąż jeszcze wśród innych ludzi zapatrywaniem, jakobym żywił niedorzeczny zamiar torowania drogi jakiemuś nowemu wierzeniu religijnemu lub też skupienia dookoła siebie bezkrytycznego koła wierzących” i tak dalej. A tu pisze o swych związkach z masonerią czy innymi ezoterycznymi stowarzyszeniami:

„nie byłem nigdy uczniem żadnego członka czy osoby związanej z tego rodzaju organizacjami czy stowarzyszeniami, ani nawet kogoś zaprzyjaźnionego z podobnymi zrzeszeniami. Nigdy mi też na myśl nie przychodziło „zakładanie” jakichkolwiek tego rodzaju zakonów, chociaż wszystkim szczerze dążącym do rozwoju duszy chętnie udzielałem rady i pomocy, której ja tylko udzielać mogłem”.

- Tak więc, mój drogi - podjął Michał po chwili - guru Daniel nie jest schizmatykiem, jest czystej krwi heretykiem. Turczynowicz to bardzo mocno podkreślał: to, co nauczał Daniel, nie ma nic wspólnego z duchem nauk Bô Yin Râ. Pokazywał mi masę innych cytatów, z których to bardzo jednoznacznie wynikało.

- Tak - stwierdził Jakub - Daniel jest zbyt genialny, aby być wierny jakiegokolwiek ścieżce poza tą, którą sam wymyślił. Wybrał dla nas kilka bezpiecznych książek a resztę schował na strychu. Dzięki temu mogłem uchodzić za mistrza tradycji Bô Yin Râ

- Dokładnie - kontynuował Jakub - Ale jeszcze nie skończyłem, bo jest jeszcze „po trzecie”, co wiąże się z tym, co po drugie: nie ma czegoś takiego jak „mistrz tradycji Bô Yin Râ” - zrobił małą pauzę, po czym ciągnął. - Daniel po prostu przyczepił się do człowieka, który studiował te dzieła, uznał się za jego ucznia i stąd to całe nieporozumienie. Ale w ramach tej tradycji nie istnieje coś takiego jak relacja mistrzuczeń, przynajmniej nie na planie fizycznym. Turczynowicz Pokazywał mi dziesiątki cytatów, które wskazują, że przekaz tej tradycji odbywa się wyłącznie na planie wewnętrznym, czyli inaczej mówiąc, ja sam odkrywam przez lekturę

ksiąg Bô Yin Râ i przez próbę wprowadzania ich w życie wewnętrzne kierownictwo niewidzialnych nauczycieli. Absolutnie nikt nie ma prawa w imieniu nauki Bô Yin Râ mówić: zrób to a nie rób tamtego. Byłaby to herezja na miarę okrzyknięcia siebie nowym Jezusem w chrześcijaństwie.

- Ale dokładnie to robił Daniel!

- Tymczasem nie ma nic bardziej obcego, wręcz wrogiego duchowi nauki Bô Yin Râ jak zewnętrzna dyscyplina, hierarchia, organizacja czy dogmaty.

- A skąd on zna Daniela, ten Turczynowicz? - zapytał Jakub, gdy już wszyscy z grubsza ochłonęli.

- Poznał go bardzo dawno temu, jeszcze przed założeniem przez niego Wspólnoty. Daniel musiał już wcześniej zetknąć się z książkami Bô Yin Râ, wówczas gorączkowo szukał kontaktu z wszystkimi ludźmi związanymi z tą tradycją. Odnalazł jakimś cudem Turczynowicza, a ten w początkowej naiwności poznał go ze swoim starszym przyjacielem, Tomaszewskim, którego Daniel wybrał sobie na mistrza. Tak więc Daniel się starego człowieka uczeplił, pielęgnował go, chłonąc jego słowa, a może też mając skrytą nadzieję, że otrzyma z jego ręki jakieś upoważnienie do nauczania czy coś w tym rodzaju. Ale raczej nie dostał nic oprócz jakiś obrazów i książek w spadku. Turczynowicz podejrzewa, że szukał jakiejś legitymizacji ezoterycznej dla swoich planów, bo odtąd mógł mówić o sobie, że jego źródła to tradycja Bô Yin Râ. Później zresztą, już po śmierci Tomaszewskiego zjawiał się też u Turczynowicza, chcąc przed uczniami stwarzać wrażenie, że utrzymują ze sobą kontakt. Tomaszewski wierzył, że uda mu się Daniela „naprostować”, czemu Turczynowicz był od początku przeciwny. Od kiedy zobaczył, że zbiera wokół siebie uczniów, to już musiało być... tak, to było po śmierci Tomaszewskiego, zerwał z nim wszelkie stosunki.

- Co mówił o Danielu?

- Generalnie, że to człowiek chory umysłowo, którego powinno się, dla jego dobra, poddać leczeniu psychiatrycznemu.

- Czyli mamy rozszyfrowanego przynajmniej jednego z mistrzów Daniela, okazuje się, że najprawdopodobniej go nie było - podsumował Jakub. - A co z drugim?

- Na trop wpadłem właściwie przypadkiem. Na święta odwiedziłem dziadka w Wiśle. Wisła, to jak wiesz, kolebka polskiej ezoteryki. Przed wojną krzyżowało się tam wiele nurtów. Mój dziadek był kiedyś kustoszem tamtejszego muzeum i bardzo wiele wie, a co ważniejsze zna

kilku żyjących jeszcze ludzi, którzy tamte czasu pamiętają. Spędziłem tam cztery dni wysłuchując najrozmaitszych wspomnień. Lampka alarmowa zaświeciła mi się, gdy ktoś wspomniał Eleusis. Zacząłem to drążyć, więc starsi panowie poznali mnie z jednym jeszcze starszym panem, który...

- No, nie dręcz mnie wstępami! - niecierpliwił się Jakub.

- W każdym razie, z tego, co się dowiedziałem, Śliwa miał dobre przeczucie: korzenie Daniela faktycznie tkwią w Eleusis.

- Daniel należał do Eleusis?

- Nie, coś ty, na to jest za młody, przestali działać w dwudziestoleciu, wkrótce po odzyskaniu niepodległości.

- A co to właściwie było, to Eleusis?

- Mieli na celu wyzwolenie narodu na drodze moralnej odnowy, w duchu polskiego mesjanizmu. Zaborcom przedstawiali się jako ruch trzeźwościowy, propagujący abstynencję od alkoholu, tytoniu, lubieżności i hazardu.

- Daniel dopisał do tego narkotyki.

- Ale chyba nie tylko to stamtąd przejął...

- Zaraz, jak przejął, mówiłeś, że nie był członkiem. Sorry, ale jestem już zmęczony, nie nadążam. Dzisiaj cały dzień byłem w trasie.

- Po kolei. Eleusis przestało działać, ale ludzie przecież nie rozplynęli się w powietrzu. Daniel trafił na jednego z liderów, niejakiego Koronkiewicza. Był on współpracownikiem Lutosławskiego, ale potem włączył się w ruch harcerski.

- Chyba skautowski?

- Nie, właśnie, to ważne! Ludzie z Eleusis chcieli stworzyć model konkurencyjny dla BodenPowella - podkreślił Michał.

- A co im się w nim nie podobało?

- Wiesz, to co proponował BadenPowell to swego rodzaju łagodniejsza wersja hitlerjugend, szkolenie przystosowane dla dzieci, ale mające na celu wytworzenie dobrego mięsa armatniego. Zresztą on sam pracował dla angielskiego wywiadu. Elsi, czyli członkowie Eleusis, chcieli za wszelką cenę uchronić dzieci przed użyciem ich do celów militarnych czy politycznych.

- Jak pokazuje historia Szarych Szeregów - wtrącił Jakub - nie udało im się.

- Tak, pod tym względem kłapa. Dziś harcerstwo w ich wersji to zdecydowana mniejszość.

- Wróćmy do Daniela. Został harcerzem?

- Poznał Koronkiewicza, ale w samym harcerstwie nie mógł brać bezpośrednio udziału, bo zachorował na HeinegoMedina.

- Faktycznie, jego nogi wydawały mi się zawsze nienaturalnie chude jak na takiego atletę.

- Bo właśnie przy tej okazji, w celach rehabilitacyjnych, zainteresował się kulturystyką, a za namową Koronkiewicza też jogą.

- Co to była za joga?

- Raczej zwykła zdrowotna hathajoga z ćwiczeniami oddechowymi, prawdopodobnie najpierw w wersji opracowanej przez Lutosławskiego.

- I co dalej?

- Nic. Koronkiewicz wkrótce zmarł, ale zostawił mu w spadku potężną bibliotekę. Z tego co wiem, było tam mnóstwo tłumaczeń literatury ezoterycznej, gnostycznej. W dwudziestoleciu mnóstwo tego drukowano. O jodze, magii, hipnozie, czytaniu z rąk, gwiazd. Z tego co mi opowiadano wiele z tych książek to rzeczy dość nieaktualne, ale były też takie, że ciarki przechodziły. Jak w każdej bibliotece Elsa musiało tam być też sporo literatury mesjanistycznej.

- Zapewne też książki Bô Yin Râ? - podsunął Jakub.

- Tak, to bardzo prawdopodobne, że pierwszy kontakt z tymi książkami miał przez Koronkiewicza, ale na serio przejął się tym później, gdy odnalazł Tomaszewskiego i uczynił z niego swego mistrza. W każdym razie szukał legitymizacji. Czyli nie czuł się zbyt pewnie z własnymi pomysłami skoro jej potrzebował.

- Ale z drugiej strony Jezus też poszedł do Jana Chrzciciela po potwierdzenie.

- W każdym razie takie są jego korzenie. To co później, to już raczej od niego pochodzi.

Siedzieli chwilę w milczeniu. W pewnym momencie Jakub sobie coś przypomniał.

- Wiesz co Michale, ale chyba z harcerstwem też coś musiał mieć później wspólnego. Byłem w jednym takim miejscu, szczerze mówiąc, nawet nie wiem gdzie to było, bo spałem gdy mnie tam wieźli, gdzieś głęboko w lesie. Były tam zabudowania, które zajmowaliśmy i nawet remontowaliśmy. Ale niechcący podsłyszałem rozmowę, z której wynikało, że były własnością harcerzy. Wyglądało na to, że nie są zbyt zachwyceni pobytem tam Daniela. Nigdy zresztą później już nie słyszałem o tym miejscu. Wygląda na to, że był u nich w gościach, ale gościna

została wypowiedziana, skoro okazało się, że Daniel naruszył jej prawa. Z jego strony wyglądało na to, że liczył na przejęcie tej posiadłości, metodą od rzemyczka do koziczka. To w jego stylu. Ewidentnie się tam szarogęsił.

- Powołał się pewnie na znajomość z Koronkiewiczem i może mu udostępnił jakąś swoją placówkę. Któryż drużynowy nie chciałby poznać kogoś, kto był osobistym uczniem człowieka legendy, posłuchać anegdot na jego temat.

- Zastanawiam się - podjął po chwili Jakub - czy możemy do końca wierzyć temu Turczynowiczowi. Mamy do wyboru dwa świadectwa: Drewniewiczza i Turczynowicza. Obaj mają interes przedstawiać to tak, jak przedstawiają - zauważył. - Turczynowicz - bo nie chce, aby imię Bô Yin Râ kojarzyło się z sekciarstwem, Daniel, bo jest bardziej wiarygodny jako ktoś, kto otrzymał przekaz, uprawnienia do nauczania z jakiejś linii. Chyba jednak do końca się nie dowiemy jak było naprawdę.

- No nie poddawajmy się tak szybko - sprzeciwił się Michał - choć nie będziemy mieli pewności, możemy ocenić jeszcze wiarygodność świadków. Za Turczynowiczem mocno przemawiają jednak fragmenty z Bô Yin Râ. Przeciwno Danielowi to, że nieraz mijał się z prawdą, a przynajmniej mocno koloryzował.

- Masz rację - przyznał Jakub. - Z drugiej strony, może tak trzeba? Czyż gdyby święty Paweł nie „przekształcił” nauki Jezusa, to czy zyskałaby ona posłuch w całym Cesarstwie? Czy gdyby święty Hieronim nie skorygował tu i ówdzie Pawła, czy panowałaby tak długo?

## Rozdział XXIX

Jakub siedział w swoim pokoju i czytał kolejną książkę o masonerii. Ostatnimi miesiącami zrobiło się w domu wyjątkowo spokojnie. Henryk rano wyjeżdżał do miasta w interesach, jego chłopacy tylko czasami wpadali po towar, potem jechali go rozwozić. Daniel coraz rzadziej schodził ze swojego poddasza, ale stał się jeszcze bardziej wybredny, jeśli chodziło o posiłki. Raz Jakub przypłacił tygodniową głodówką jajecnicę, którą z wielką starannością zrobił dla guru, a która mimo to okazała się nieco za tłusta i zaszkodziła jego układowi pokarmowemu.

Zdziwił się więc, gdy dojrzał przez okno, jak pod dom zajechał granatowy passat. „Władek - ucieszył się - co on tu robi o tej porze?” Dawno go w sumie nie widział. Ale jego ciekawość nie została od razu zaspokojona. Władek bez słowa udał się na strych Daniela. Zabawił tam dość długo. Po jakiejś godzinie zjawił się u Jakuba i usiadł na krześle naprzeciwko.

- Jakubie - zaczął wyjątkowo poważnym tonem. - Właśnie zerwałem swą relację z Danielem. - Jakub oniemiał, nie wiedział co powiedzieć. Władek w tym czasie kontynuował - Już od dłuższego czasu obserwowałem, że celem tego okrętu jest jego kapitan. Do niedawna było to jeszcze zabawne, można się było czegoś nauczyć. Teraz możliwości się skończyły, więc nie widzę sensu w dalszym trwaniu w tym układzie.

- Co się stało? - zapytał zaskoczony Jakub.

- Nie wiem czy to dostrzegłeś z twojego poziomu, ale Urszula w zasadzie przejęła Wspólnotę. Stopniowo wszystkich przejmowała. Sam Daniel zresztą do tego doprowadził. Wczoraj na przykład usłyszałem przez telefon, że odtąd podlegam bezpośrednio jej. Właśnie się upewniłem co do tego, że taka była jego intencja.

- Nie zgadzasz się na to? - zapytał Jakub, czując, że musi wykorzystać tę wyjątkową chwilę maksymalnie, wyciągnąć z Władka, ile tylko się da.

- Wiesz, ona mu do pięć nie dorasta. To dziecinada - prychnął zirytowany. - A Daniel... Daniel też się bardzo zmienił.

- Jaki był dawniej?

- Wiesz, znam go już kopę lat, od 1978 roku, kiedy zaczynał jako instruktor jogi w TKKF. To był człowiek totalnie skupiony na jednej idei: poznać, jakich warunków potrzebuje człowiek,

by osiągnąć pełnię, by się rozwinąć, dojrzeć. Przystudiował chyba wszystko, do czego był wówczas dostęp, zarówno z ezoteryki wschodniej i zachodniej, jak psychologii czy systemów pedagogicznych. Wytworzył własne, dość oryginalne podejście, wypracował metody. Dawne próby, to było coś! Prawdziwe przeżycia, przerabiał człowieka głęboko, do kości, tego się nie zapomina. Obecnie próba to tylko gadanie i gadanie o gadaniu, gadanie o tym, co powinno się przeżywać, zastępowanie wielokrotnym wypowiedaniem słowa „przeżyłem” jakiegokolwiek przeżycia. Już mu się nie chce. A Urszula, jedyne co potrafi to już właśnie tylko gadać. Wiesz - kontynuował Władek - pal licho, że w tym, co mówił, często koloryzował czy przesadzał, ale generalnie było to często bardzo trafne, roztropne, zwłaszcza te wszystkie sprawy dotyczące pracy nad sobą, wymagań, dyscypliny, samodyscypliny, identyfikacji z rolami mężczyzny i kobiety. Gdy mówił o tym, jak bardzo zaburzona jest rola mężczyzny, jak Polska jest krajem właściwie bez mężczyzn, to wszystko dokładnie zgadzało się z moimi obserwacjami. Zwłaszcza na tle tych wszystkich zniewieściałych joginów z rozmydlnym wzrokiem, jego propozycja była sensowna. Poznanie mechanizmów rozwoju uwrażliwiło go na drugą stronę: badał korzenie manipulacji, techniki manipulatorów i kombinował, w jaki sposób ludzi przed tym zabezpieczyć. Miał obsesję na tym punkcie, ale ona właśnie z tego wynikała, z troski o ludzi.

Chociaż dysponował tak fenomenalną wiedzą i pamięcią, tak pamięć miał zadziwiającą, potrafił cytować całymi stronami, dosłownie, to jednak nie było to nigdy tylko gadanie. Wykazywał olbrzymią determinację jeśli chodzi o przekazywanie wiedzy, potrafił całymi godzinami nauczać nawet całkiem prostych chłopaków, wierząc, że im tę wiedzę wleje albo chociaż cząstkę z niej. Ale jeśli mu się to udawało, to dlatego, że oddziaływał na emocje. Opierał się na wiedzy, i ostatecznie też ją przekazywał, ale wiążąc to mocnym ładunkiem emocji. Tak zaaplikowana wiedza faktycznie zmieniała. A jednocześnie tworzyła relację z uczniem. Budował silną więź z uczniem. Walczył o ludzi, starał się, zabiegał o nich, a gdy który się zabląkał, wracał do umownego życia, to faktycznie się tym przejmował. Było widać, że ludzie są dla niego ważni. Był człowiekiem, który służył. - Władek widać pogrążył się we wspomnieniach, a Jakub cieszył się, że to przed nim postanowił wygadać się z tego, co mu jak widać leżało na sercu od dość dawna. - Potrafił całe noce nie spać, czuwając przy wyjących z bólu narkomanach. Z pieniędzy nie wziął ani grosza dla siebie, wszystko wydawał na swoją misję i był w tym dość oszczędny, szanował pracę swych ludzi.



- To się zmieniło - zauważył Jakub, przypominając sobie paletę przeterminowanych jogurtów, które rano wyrzucił.

- On się zmienił. Jakiś czas temu, niedawno, doszedł do wniosku, że mu też się coś od życia należy, że już zrobił swoje i nadszedł czas na konsumowanie deseru jego życia. Ostrzegalem go przed tym. Sam widziałeś jak ostatnio zdziaśniał. Prawie już się nie rusza ze strychu, Urszula odizolowała go do uczniów, a jego jedyny kontakt z ludźmi zaczyna polegać na tym, że oni go obsługują, tak jak ty albo Paulina. Facet przestał już walczyć, wydaje mu się, że sprawuje jeszcze jakąś kontrolę, bo Urszula mu czasem opowiada co robi. Zaczął wydawać pieniądze, uznał, że zapracował. Zobacz, że zaczyna mu brakować czasu, aby się spotkać z ludźmi, już nie robi prób. Teraz tylko książki się liczą, zobacz jak się nimi poobstawiał. Kolejny mur izolujący od świata, mur z regałów. Staje się dziwadłem, zaczyna odjeżdżać, żyć w świecie coraz większych fikcji. Boję się o niego.

- To dlaczego odchodzisz, zamiast mu pomóc?

- Zostając, tylko bym utwierdzał jego coraz bardziej fałszywy obraz siebie. To tak jak z alkoholikiem, jedynym wyjściem jest wywalić faceta z domu, aby zetknął się z twardą rzeczywistością. Niestety, często jest to kontakt z dnem. Daniel też żadnej perswazji nie zaakceptuje, ma na to zbyt rozdęte ego, nie potrafiłby usłuchać rady od ucznia. Choć pewnie by udawał, gdyby chciał go zatrzymać, gdyby był mu do jakiś celów potrzebny. Tak więc ani mu nie mogę pomóc, ani nic z tego mieć nie będę, będę tylko narzędziem pani o dość wątpliwej kondycji moralnej i kompetencjach. Nie, ja dziękuję.

Jakub słuchał poruszony, ale nie mógł się powstrzymać, aby nie zapytać jeszcze o jedną rzecz.

- Pamiętam, jak się poznaliśmy w domu Marka, zapytałem cię, w jaki sposób Daniel może przeciwstawić się globalnej manipulacji. Wtedy opowiedziałeś mi o...

- Wiesz - odparł Włodek - o to samo go przed chwilą zapytałem. Chciałem go zobaczyć, zrodziły się we mnie wątpliwości, czy aby faktycznie jest tak doskonały, czy nie wymaga jednak uzupełnień, bo wydaje mi się, że we Wspólnocie nie idzie ku lepszemu. Zaoferowałem mu nawet pomoc. On na to zerwał się, zaczął chodzić w tą i z powrotem z zaciętą miną, w końcu sięgnął jakąś drewnianą szkatułę z regału i dalej kroczył z nią pod pachą. Potem, tak jak to ma w zwyczaju zaczął wykrzykiwać: - Najlepsi uczeni polscy doradzali mi przy Planie! A ty przychodzisz i chcesz go poprawiać... Za kogo ty się uważasz!?! - To dlaczego Plan nie działa? -

zapytałem go. - Dlaczego twój wpływ społeczny zamiast rosnać i się pogłębiać zawęża się? Ludzie odchodzą, uniezależniają się, niektórzy przechodzą na drugą stronę, zwracają się przeciwko tobie... Domyślasz się, co powiedział: - Zdrajcy! Słabeusze! Mam się na nich oglądać?! Nie mam zamiaru poświęcać im ani chwili dłużej! Położył szkatułkę na stole, nie wypuszczając jej z rąk i dalej przekonywał: - Ten Plan, uwzględnia zmianę okoliczności, już 1983 przewidzieliśmy upadek komunizmu i nadejście kapitalizmu, uprzedzałem, że ta zgnilizna z nim nadejdzie. Plan jest słuszny! Potrzebuję tylko...

- Czterdziestu czterech ludzi, aby go wykonać? - wtrącił Jakub. - Dokładnie. - ciągnął Władek - Tłumaczę mu, że aby ludzie do czegoś posłużyli, trzeba ich znaleźć, przeszkolić i, co trudniejsze, utrzymać. Do tego potrzeba stworzyć im takie warunki, aby realizowali Plan, nie niszcząc siebie, realizując własny, również bezpośredni interes. Plan, który jest skrojony dla aniołów, to kiepski plan. Ale nie chciał słuchać. Odniósł szkatułkę i umieścił ją na dawnym miejscu. To tyle. Ja się stąd wypisuję. Tobie również to radzę - dodał, zawieszając głos w oczekiwaniu na odpowiedź Jakuba. - Wiesz, ten człowiek potrafi od siebie uzależnić na różne sposoby. Możesz już później nie mieć możliwości odejścia. Albo będzie to dużo trudniejsze niż możesz sobie wyobrazić.

Jakubowi jednak przebiegło przez myśl koszmarnie podejrzenie, że może to tylko ostatnia próba, którą Władek uzgodnił z Danielem? Może od jego reakcji zależy dopuszczenie go do jakiejś wyjątkowej inicjacji, tajemnicy? Władek wyglądał na autentycznego, to co mówił, brzmiało spójnie, ale czy mógł zaufać człowiekowi, który przeszedł takie szkolenie? Nie mówiąc o tym, że nie zamierzał w tej akurat chwili odchodzić, miał po temu kilka powodów, z których kontynuacja badań wcale nie była najistotniejszym. A z drugiej strony zależało mu na podtrzymaniu relacji z Władkiem. Mimo wszystko się chyba zaprzyjaźnili.

- Nie jestem jeszcze gotowy do podjęcia takiego kroku - powiedział w końcu.

Początkowo Władek był tym zmartwiony, po chwili jednak jakby sobie o czymś przypomniał.

- Rozumiem. Anna.

\* \* \*

Ledwie samochód Władka zniknął za zakrętem, rozległo się pukanie do drzwi kanciapy. Jak można było przewidzieć, była to Pauliana. Z pewnością wizyta Władka u Jakuba nie

pozostała niezauważona. Z pewnością też nie była faktem, który można było zlekceważyć, którego konsekwencjom nie trzeba było przeciwdziałać.

- Mistrz chce z tobą rozmawiać - powiedziała, przyglądając się uważnie Jakubowi. Swoją kwestię wyraziła dużo łagodniejszym niż zwykle głosem, z delikatnością zaskakującą u kogoś, kto był (oczywiście za plecami) przezywany „Drzeryja”.

Nie starał się specjalnie ukrywać swego wzburzenia. Decyzja Władka wywarła na nim silne wrażenie, przede wszystkim dlatego, że się jej zupełnie nie spodziewał. Choć, z drugiej strony, Władek zawsze wydawał się we Wspólnocie być trochę nie na miejscu, zawsze był heretykiem, ale jednak udomowionym heretykiem.

Wspinając się za Pauliną po schodach, zastanawiał się jaką strategię przyjąć. Wiedział, jaki będzie finał rozmowy: oczywiście da się przekonać. Ale korzystniej wydało mu się możliwie drogo sprzedać swą skórę. Nie mógł jednak również przeszarżować, bo zyskałby opinię „niepewnego”, na którego trzeba uważać.

- Usiądź Jakubie - powiedział Daniel, wskazując jeden ze swych foteli.

- Wolę postać - Jakub starał się, aby Daniel w jego głosie mógł odczytać niewyraźną nutę hardości. Niech wie, że decyzja Władka coś jednak dla niego znaczyła.

- Jak chcesz. Wiesz, że twój mistrz właśnie mnie zdradził. Przeszedł na drugą stronę. Chcę, żebyś wiedział, że doceniam to, że z nim nie odszedłeś.

Daniel wydał się Jakubowi człowiekiem przynajmniej o dziesięć lat starszym, niż gdy go wiedział ostatni raz. On również, niewątpliwie, boleśnie przeżył odejście swego ulubionego ucznia. Czego by teraz nie mówił.

- Spodziewałem się tego. Od dawna kombinował za moimi plecami. Podburzał innych. Nie tylko ciebie namawiał do odejścia. Ale tak już jest. Byłoby dziwne, gdyby ktoś taki ostatecznie się nie zbuntował. Zawsze chadzał swoimi drogami - dodał cierpko.

Jakub milczał. Nie dawał po sobie poznać czy akceptuje, czy pozostaje sceptyczny co do oceny Daniela.

- Nie wiem, co ci naopowiadał, ale sądzę, że warto, abyś usłyszał też zdanie drugiej strony.

- Powiedział, że nie ma i nigdy nie było żadnego planu, że to blef - odparł Jakub, dodając znak zapytania w wyrazie twarzy.

- Od chwili, gdy przekroczył próg, wiedziałem, że podjął już decyzję, że niczym go nie będę w stanie przekonać. Szkoda na niego moich słów. Sentymentalny idealista.

Ku zaskoczeniu Jakuba Daniel podniósł się z fotela i podszedł do regału. Sięgnął drewnianą szkatułę z górnej półki i ustawił na stole. „Teraz mnie poszczuje?” - zastanawiał się Jakub. A jednak Daniel otworzył ją wyjętym z kieszeni kluczykiem i zaczął przebierać w jej wnętrzu.

- Podejź Jakubie - skinął ręką. Podał mu fotografię. - Poznajesz?

- Po lewej to oczywiście były prezydent. Tego po prawej nie znam.

- To Karol, mój uczeń. Zapytaj Ani, opowie ci o nim, jakie akcje razem robili. Ale ona nie ma pojęcia o najważniejszych. Zapewniam cię, że to nie jest przypadkowe zdjęcie.

Rzeczywiście, Karol, krępy mężczyzna z bujną brodą i w białej czapeczce dzierzył pęk wędek. Stali nad brzegiem morza, a w tle widać było fragment jachtu. Karol trzymał poufale prezydenta pod rękę, natomiast prezydent dumnie wznosił olbrzymią rybę, której gatunku Jakub, jako kompletny laik, nie potrafił zidentyfikować. Poniekąd obaj trzymali swoje trofeum i oba przynosiły chwałę.

- Wiele udało mu się załatwić. Dla nas i dla Polski - powiedział, podając Jakubowi kolejne zdjęcie. - A tego poznajesz? Nie, tego raczej nie znasz. Z tym uczniem nie obnoszę się specjalnie.

Kolejne zdjęcie przedstawiało sytuację zdecydowanie bardziej oficjalną. Obecny prezydent gratulował właśnie wysokiemu i szczupłemu mężczyźnie we fraku.

- To doktor Zieliński. Obecnie wiceminister zdrowia. Z jego pomocą udało mi się ocalić życie czterdziestu tysiącom ludzi. Zrobiliśmy wielką akcję antynikotynową. Udało nam się zmniejszyć liczbę palaczy w Polsce z 70 do 30 procent. A to tylko wierzchołek góry lodowej.

- Nad przyszłym prezydentem też już pracuję. Nikt o nim nie pamięta. Przed dziesięciu laty zepchnięto go w cień, ale zobaczysz, że wkrótce przyjdzie na niego kolej. Pierwszy się na nim poznałem. Gdy usłyszałem, że zna na pamięć Politykę jako zawód i powołanie Webera, wiedziałem, że warto w niego zainwestować. Już od roku Jurek podrzuca mu modele. Wiesz, że Jurek jest dentystą i to jednym z najlepszych. Wyobrażasz sobie lepszą sytuację? Facet leży na fotelu z rozdziawioną gębą, nie może nic powiedzieć, może tylko słuchać! - Danielowi stopniowo poprawiał się humor, gdy obserwował wrażenie, jakie wywierał na Jakubie. - Jurek, niby tak od niechcienia, wrzuca mu modele o władzy, kierowaniu, a jak trzeba coś podkreślić, to go

wiertelkiem głębiej w ząbek! Ciągłe jest jeszcze dość osamotniony, ale pracujemy już nad zapleczem dla niego.

Daniel, ciągle się śmiejąc, zamknął swą szkatułę i odniósł ją na miejsce. Potem usiadł i spojrzał ciepło na Jakuba.

- To jak, Jakubie. Pomożesz mi? - zapytał, patrząc mu w oczy. - Czy odejdziesz za Władkiem?

Jakub uśmiechnął się.

- A jak mogę pomóc?

Daniel momentalnie się ożywił, oczy mu zabłyszczały, wyprostował się na krześle.

- Mam pewne plany wobec ciebie. Skoro się zgadzasz, to możemy rozmawiać. Za jakiś czas zapiszesz się do Stronnictwa PatriotycznoLudowego. To nie jest duża partia, ale ma struktury. Niestety, jest wrogo nastawiona do naszego kandydata. Z twoimi talentami w ciągu roku dojdiesz do bezpośredniego otoczenia prezesa.

- Miałbym przeprowadzić dywersję?

- Zobaczymy. Ale pierwotny plan jest inny. Stronnictwo to powstało jako odłam od Ruchu PatriotycznoLudowego, który popiera naszego kandydata. Twoim zadaniem byłoby doprowadzić do ponownego zjednoczenia tych partii. Jeśli napotkasz zbyt silny opór, wtedy pomyślimy. Takie ruchy są bardzo podatne na rozłamy. Każdemu liderowi wydaje się, że zjadł wszelkie rozumy. Jak sprawdzisz się w tym zadaniu, dostaniesz poważniejsze. Możliwości są wielkie. Ludzi mało. A nawet ci którzy są, nie zawsze dorastają talentami do zadań. Ale myślę, że sobie poradzisz. Wkrótce przechodzimy do kolejnego etapu planu. Kilku moich najzdolniejszych uczniów stanie się „śpiochami”. Zaczną działać na własną rękę, tylko luźno kierując się planem. Wykorzystując własne zdolności, dojdą tak wysoko jak się da. I wówczas ich obudzimy...

Daniel ponownie wstał i podszedł do swojego wielkiego sekretarzyka, który kiedyś wykonał dla niego Marek. Powrócił po chwili.

- Mam coś dla ciebie - powiedział, podając mu oprawioną w ramkę rycinę. Przedstawiała brodatego mężczyznę, o dużych oczach i wysokim czole, ubranego w strój szesnastowiecznego szlachcica. - Poznajesz?

- Nie - odparł szczerze Jakub.

- Jak to nie - Daniel był wyraźnie rozczarowany. - Toż to Florentyńczyk, wielki Machiavelli! Czegóż was tam uczą na tej socjologii - dodał ze złością.

- Posłuchaj - kontynuował po chwili - Goethe powiedział kiedyś coś takiego: każdy musi obrać sobie bohatera, z którym by współpracował wznosząc się na Olimp. Od dzisiaj to jest twój bohater.

- Mistrz jest moim bohaterem - odparł Jakub, wykorzystując okazję, by się podlizać.

- Tak, ale ja nie jestem politykiem. Skoro masz być moim agentem w polityce, musisz mieć bardziej konkretny wzorzec. Pewnie czytałeś Księcia na studiach. Ale czytać to za mało. Teraz musisz tę książkę przestudiować, aż się jej nauczysz na pamięć. Tam są gotowe modele! Bez tego nie puszcę cię do poważnych zadań.

## Rozdział XXX

Anna była wściekła. I naczynia, które zmywała, niewątpliwie to odczuwały. „O, właśnie schodzi ten dureń, Marek, i będzie udawał wielkiego mistrza. Wielki Pan na Pracowni! A nie mówiłam?, oczywiście niesie pod ręką jakąś książkę. Co tym razem? De Bono oczywiście. Jak nauczyć myśleć swoje dzieci. Tak, to rzeczywiście na jego poziom. Dlaczego nas tu traktują jak dzieci? Przecież to nie jest żadna wielka wiedza, to wystarczy raz przeczytać i zrozumieć, a oni nas z tego odpytują jak w jakiejś szkółce. To na pewno pomysł Pauliny, ona się „specjalizuje” w dzieciach. Jakaż była dumna, kiedy udało jej się wyleczyć małą Danę z autyzmu! W którą ją sama zresztą wpędziła. O ile to rzeczywiście był autyzm i o ile rzeczywiście ją wyleczyła. Świetnie, tylko dlaczego nas traktuje tak samo? Kiedyś podobno przezywali ją „Drzeryja”, bardzo adekwatne, cóż ona innego potrafi niż drzeć ryja?”

Przypomniała sobie trudną sytuację sprzed roku, kiedy Daniel zapytał ją zniecierpliwionym, czy Paulina jej imponuje. Oczywiście, że nie imponowała, wierzyła wprawdzie, że jest wielką mistrzynią, ale dotychczas jakoś się to nie przejawiało, trochę mało miała okazji tego doświadczyć. Teraz jednak już wiedziała, że to Wielki Pic. Tak Paulina, jak i Marek.

„Ale to nic, myślała sobie, przynajmniej ja będę uczciwa i autentyczna. Nawet, jeśli wszyscy wokół oszukują, to ja sprawdzę naukę Daniela. To znaczy, że będę dla nich problemem. Nie będę grała w tę ich szopkę, pod tytułem «Wielki Mistrz Marek». I niech nie myśli sobie, że wystarczy mnie zbić czy związać, jak Justynę. Albo udowodni, że naprawdę jest mistrzem, albo będzie miał ze mną problemy. Najwyżej znowu za karę nie zabiorą mnie na spotkanie z Mistrzem.”

Anna cofnęła się myślami do czasu, kiedy przez wspólnych znajomych poznała Karola, innego ucznia Daniela. Była wówczas w bardzo kiepskim stanie, żyła w chronicznej depresji. Bardzo jej wówczas pomógł, przez co ciągle czuła do niego wielką wdzięczność. Delikatnie i taktownie wszedł w rolę opiekuna i terapeuty. Zgodziła się na to, a nawet tęskniła za taką relacją od dłuższego czasu, a jego osobowość odpowiadała jej, jego pewność siebie, spokój, konkretność, choć nie rozumiała tego, co z nią robił, nie miała wówczas pojęcia o energii, leczeniu. Pojawiał się zawsze w najgorszych momentach, niczym na jakieś niewypowiedziane wezwanie, kierowany jakimś siódmym zmysłem.

Zwłaszcza jeden taki kryzys zapadł jej w pamięci. Straciła wtedy na tyle chęć do życia, że przestała jeść, właściwie tylko leżała i płakała pragnąc umrzeć, bo nie mogła zdobyć się na samobójstwo. Nic ją już nie obchodziło: ani rodzina, ani przyjaciele, ani szkoła. I wtedy zjawił się znowu i swoimi metodami postawił ją na nogi. Dużo do niej mówił i poobijał trochę mięśnie, co okazało się wtedy dla niej prawdziwym błogosławieństwem, bo pomogło wróci do rzeczywistości i w jakiś sposób przywróciło energię. Potem pilotował ją, aż z tego dołka w końcu wyszła, przychodził, rozmawiał z nią. Wówczas też zaczynał się stopniowo dzielić wiedzą ezoteryczną. Dla niej była to prawdziwa inicjacja, świadome wejście w świat przeżyć, które zawsze, jak sięgnąć pamięcią, jej towarzyszyły, ale których dotąd nie rozumiała. Różne odczucia, przecucia, różne „odbioru”, które się jej zdarzały, budziły w niej tylko lęk, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Wydawało się jej, że jest psychicznie chora, co zresztą skutecznie potwierdzała jej rodzina, szczególnie matka, powtarzając stale, że „ty to jesteś taka dziwna i w ogóle, taka nadwrażliwa i...”

Próbowała wyjaśnienia swych przeżyć szukać po różnych książkach, ezoterycznych tradycjach, ale wydawało jej się, że wszystkie one sobie wzajem przeczyły. Przede wszystkim zaś bała się zawierzyć autorom tych książek, nie znała ich, nie wiedziała, kim oni w zasadzie byli, skąd czerpali swą wiedzę, czy z doświadczenia czy z zasłyszania, czy jej stosowanie komuś zaszkodziło czy pomogło, czy oni sami ją sprawdzili? Nieufność budził zwłaszcza jednostronnie pozytywny obraz tych praktyk, jak je przedstawiali ich adepci, żadnych ostrzeżeń, same ochy i achy. A Anna przeczuwała, że to bardzo poważna i prawdopodobnie niebezpieczna sprawa. Zresztą przekonanie to czerpała także z własnych doświadczeń, w których nie raz było z nią źle. Stąd nie trzeba było ją przekonywać o konieczności pomocy i przewodnictwa. Trudno jej było zaakceptować jakiegokolwiek książkowego pomocnika czy przewodnika.

Nie miała takich oporów względem Karola, był to człowiek z krwi i kości, mogła mu patrzeć w oczy, gdy mówił, mogła obserwować jego życie. Pomagając jej, dowiódł, że jest osobą szlachetną, bezinteresowną. A potem zaczął jej przekazywać wiedzę, która pozwalała jej zupełnie inaczej spojrzeć na siebie niż narzucało jej otoczenie. Dla niego nie była chora, tylko miała w sobie coś cennego! Na przykład głęboką intuicję czy odczuwanie energii. Ale wiedza ta była też spójna, a przed sobą, w zasięgu ręki, miała żywy przykład jej skuteczności. Wprowadził ją w świat, który zaczął ustawiać zupełnie inaczej życie. Nie próbował ją w nic wciągnąć. To ona sama chciała głębszego zaangażowania. Któregoś dnia Karol podszedł do niej i powiedział prosto



z mostu: „Kiedy uczeń jest gotowy, zjawia się mistrz. Ja jestem mistrzem. Jeśli chcesz, mogę cię uczyć”. Właściwie nie musiał jej do niczego przekonywać, tak naprawdę czekała, by usłyszeć to, co miał jej do powiedzenia, była już przygotowana. Gdy kazał jej rzucić palenie i alkohol właściwie się ucieszyła. Sama od dłuższego czasu czuła się z tym źle, czekała tylko na jakiś bodziec, by dokonać tej zmiany. Rzucić palenie? Żaden problem. Wyprowadzić się z domu? Żaden problem. Zresztą co to był za dom?

Tak, Karol rzeczywiście jej imponował. Na samym początku, upomniał ją, że nerwowo bawi się palcami. Zauważyła kiedyś, kiedy raz spotkali się w kawiarni, że sam robi to samo. Powiedział jej, iż to dlatego, że ma w sobie tak rozbudzoną energię, iż gdyby skupił się w pełni na niej, nie wytrzymałaby. Proszę bardzo, powiedziała. I rzeczywiście, skupił się na niej, a ona poczuła potężny ucisk na głowie, jakby ktoś jej włożył ołowiany hełm. Czuła, jak pot występuje jej na czoło i czym prędzej dała mu znak ręką, aby przestał.

I potem też, wspólne akcje, kiedy robili zadymy na tych różnych spotkaniach u rebirthingowców, krishnaitów czy radżajoginów. To było niezwykle, on faktycznie sobą coś reprezentował, był odważny, mądry, chciała się od niego uczyć. Swoją twardą szkołą poukładał i wzmocnił jej osobowość. Nabrała wiary w siebie, zaczęła panować nad swymi emocjami, nie była już taka „nadwrażliwa”.

Jako kobieta nic do Karola nie czuła. On tylko raz zasugerował czy nie miałyby ochoty przejść z nim na inną płaszczyznę. Zdarzyło się im raz rozmawiać o seksie, to był w zasadzie wykład, a nie rozmowa. Przedstawił te kwestie bardzo jasno. Z jego słów wynikało, że na planie ezoterycznym kobieta jest w pełni zależna od mężczyzny i jego energii. Bardzo logicznie dowodził w oparciu o całą teorię czakr i kanałów energetycznych, że w zasadzie bez męskiej energii, kobieta nie ma prawa normalnie żyć, funkcjonować. A wymiana tej energii dokonuje się oczywiście poprzez stosunek seksualny. Prawdziwy Mistrz musiał oczywiście doskonale panować nad tymi energiami, dzięki czemu mógł na tej drodze pomagać różnym kobietom. Jak się później okazało, niezależnie od jego czy ich relacji małżeńskopartnerskich. Była to swego rodzaju terapia seksem. Karol stwierdził wówczas, że dolegliwość, na jaką się wtedy uskarżała ma właśnie podłoże w zakłóconym obiegu energii, na co receptą byłby tego typu „zabieg”. Zaproponował Annie tego typu pomoc, ale ona nie wyraziła zainteresowania. Dała mu jednoznacznie do zrozumienia, że nie jest zainteresowana taką relacją. Wiedziała, że od

dłuższego czasu szukał sobie kobiety, ale pod tym względem w ogóle jej nie interesował. Gdy nie wyraziła chęci, niczego to nie zmieniło, dalej była uczennicą, on mistrzem.

Ale, wkrótce potem, kiedy przedstawił ją Mistrzowi, nieoczekiwanie zabrano ją mu. Dla jej dobra. Przeniesiono ją pod opiekę Władka. Nie był tak charyzmatyczny jak Karol, i nie przywiązywał takiej wagi do rozwoju energetycznego, ale za to był lepiej wykształcony, inteligentniejszy. Wiele się od niego nauczyła, pod jego „dozorem” przeczytała wiele książek, jej myślenie wskoczyło kilka poziomów wyżej. Potem miała podlegać Paulinie, kobiecie samego Daniela. W pierwszej chwili wydawało się to nawet awansem. Być tak blisko Mesjasza. Ale Paulina... Hmm, delikatnie mówiąc, nie dogadywały się z nią i ostatecznie, po miesiącu, usłyszała, że ma teraz mieszkać u Marka, bo tam potrzeba ludzi do pracy, „aby wzmocnić strukturę ekonomiczną”. Poczula to jako totalną degradację, a może nawet swoistą zemstę Pauliny, karne zesłanie.

Najgorsze, że przez to rozdzielono ich z Jakubem!

Teraz widywali się tak rzadko... Czula się przy nim autentycznie szczęśliwa, chyba pierwszy raz w życiu. Gdy leżała w jego ramionach obserwowała, jak coś się w niej układa, jakby faktycznie te męskie i żeńskie energie harmonizując się w rezonujących wibracjach, leczyły ją. Tym razem Daniel nie popełnił błędu w swataniu. Bo oczywiście nie miała żadnych złudzeń, że Jakub dostał polecenie, by się nią zająć. Wykonał je bezbłędnie, więc chyba jednak z wewnętrznym przekonaniem. Uśmiechnęła się na wspomnienie „pięknej zupy” sprzed roku. Tak, już wcześniej musiał zwrócić na nią uwagę. To nie było wyłącznie polecenie. Na tle innych facetów we Wspólnocie jest jednak trochę dziwny. Nie jest na pewno w pełni autentyczny, ewidentnie kombinuje, choć trudno go było na czymś przyłapać. Nie było to raczej zwykłe popuszczanie sobie, a jeśli nie to, cóż to mogło być? Widać było, że do niektórych rzeczy jest nieco zdystansowany. Choć jednocześnie tak jak ona sprawy rozwoju duchowego zdawał się traktować w pełni poważnie. Co ważne, nigdy jej nie uderzył.

Inne miały mniej szczęścia. Naturalnie mogły odmówić, nikt nikogo, teoretycznie, do niczego nie przymuszał, jedynie „sugerowano”. Bardzo sugestywnie: „jeśli nie chcesz chłopca, znaczy masz jakiś problem, jesteś zablokowana, nieautentyczna”. Na przykład Hanię uczennicę Urszuli wydali za Roberta, ucznia Henryka. O czym oni mogli ze sobą rozmawiać? Miał jej opowiadać o dostawach towaru, ile kartonów z pędzlami musi zawieźć do Radomia? Ona mu oczywiście niczego nie mogła mówić, bo u Urszuli wszystkie modele były tajne. Mogli razem

tylko robić dzieci. Mieli czworo, choć podobno w jednym pomógł im Daniel. Rzeczywiście, mały Romek zdradzał pewne podobieństwo do Mistrza w wyglądzie i w temperamencie. Kombinator. A jednocześnie, choć nie był wcale najstarszy czy najsilniejszy, ewidentnie wykazywał zdolności przywódcze.

W każdym razie Anna postanowiła być autentyczna. Do głowy jej nie przyszło, żeby odejść, a gdyby przyszło, to i tak nie miała dokąd. Rodzice, gorliwi katolicy, wyrzekli się jej, gdy „zamieszkała w sekcie”. Krewni tym bardziej się nią nie interesowali. Nie miała też już żadnych przyjaciół poza Wspólnotą. Odejście więc w ogóle nie wchodziło w grę. Trwała więc w swym postanowieniu, by być posłuszna i uczciwa, tak jak dotąd. Łatwiej byłoby pewnie oszukiwać tak jak wielu wokół, ale ona naprawdę wierzyła. Gorzej, że ostatnio zaczęła obserwować niepokojące sygnały ze strony swego organizmu. Coś z sercem, z żołądkiem... Dziwnie, realizowała wszystkie modele zdrowotne funkcjonujące we Wspólnotie: zdrowa żywność, ubiór tylko z naturalnych tkanin, okulary i kremy z filtrem przeciw UV, ćwiczenia tai chi, gimnastyka, czyszczenie nosa, pas na biodra, modele higieniczne regulujące jak często myć którą część ciała i tak dalej. Teoretycznie zdrowie nie powinno się więc pogarszać...

\* \* \*

Od nowego półrocza pod jednym chociaż względem sytuacja Anny się poprawiła. Okazało się bowiem, że w Warszawie trzeba będzie zamknąć szkołę. Po tym jak Władek zrezygnował, kierownictwo objęła Hanna, uczennica Urszuli i zaczęła wprowadzać w szkole nowe porządki. Część nauczycieli zwolniła i zatrudniła młode stażystki, po studiach, zresztą same kobiety, gdyż liczyła, że nimi łatwiej będzie można sterować. Rodzice zaczęli zabierać swe dzieci, zaniepokojeni kiepskimi efektami nauczania, a także dziwnymi opowieściami o tym, co się w szkole dzieje. Ostatecznie udało się wszelkie konflikty rozwiązać polubownie, nikt o nic nie oskarżał nikogo. Ale tym samym zniknął powód, dla którego Jakub pozostawał w Warszawie. Oddelegowany, ponoć czasowo, do pracy w pionie ekonomicznym, zamieszkał z Anną w jednym z niewielkich pokojów wydzielonych na strychu w „folwarku” Marka.

Jakub odebrał te przenosiny podobnie jak Anna wcześniej - jako zesłanie. Faktycznie przeszedł pod dozór Marka. Oczywiście nie było mowy o samodzielnym kontynuowaniu modeli, które robił z Władkiem, choć wcześniej wspominał jej, że są niezwykle wciągające. A modele te wciągnęły go, w szkole też dobrze sobie radził, a teraz nagle rzucają go na wieś. Praca jako szofer w firmie Olka - czyż jest sposób, aby potraktować to inaczej niż degradację? Wygadał się

raz, że sądził, iż to raczej Annę sprowadzą z powrotem do Warszawy. Widać pieniądze są teraz bardziej potrzebne do prowadzenia „Gry” Daniela niż ludzie.

Był jedynym plusem, jaki ją spotkał u Marka.

\* \* \*

Poranne powietrze wpadające przez uchylone okno orzeźwiło Jakuba, który zerwał się z łóżka na dźwięk budzika. Jako szofer posiadał pewne przywileje, mógł chadzać spać pierwszy, choć nie mógł powiedzieć, by sześć godzin snu w pełni go zadowalało. Było jeszcze zupełnie ciemno, kiedy mył zęby i wypijał obowiązkowe pół szklanki wrzątku, za przykładem guru głośno siorbiąc. Dla doenergetyzowania. Zabrał z lodówki przygotowany dla niego słoik burakowej z kaszą na dzisiejszy wieczorny posiłek. Było to raczej zabezpieczenie niż realny wikt, bo w zasadzie zawsze, gdy dojechał już na miejsce, był częstowany świeżym wywarem z buraków, a często załapał się na coś konkretniejszego: jajecznicę na boczku, bigos. W sumie Jakubowi taka praca odpowiadała. Wprawdzie całą zapłatą był wikt, opierunek i dach nad głową, ale gdy utracił prawo do renty po rodzicach i tak nie miał alternatywy. Mógł przy okazji trochę pozwiedzać, no i miał dużo częstszy kontakt z Anną, niż przez poprzednie pół roku, kiedy pracował jako sekretarz.

Świtało, gdy przemierzał podwórko. Zajrzał najpierw na tył samochodu. Chłopacy wypchali go szczelnie kartonami, musieli pracować całą noc, aby przygotować tyle towaru, zważywszy, że zamówienie nadeszło późnym wieczorem. Umieścił plecak na sąsiednim siedzeniu, a sam usadowił się za kierownicą. Była starannie obszyta skórą, co miało chronić przed szkodliwym promieniowaniem plastiku. Na przedniej szybie, obok obowiązkowych okularów przeciwsłonecznych, świeża rolka białego papieru toaletowego używana do oczyszczania nosa (które również miało energetyzować przy okazji udrażniania zatok), a u suwaków regulujących ogrzewanie w kabinie zwiślała foliowa reklamówka na „smarkawki”. „Kultura papieru toaletowego”. Zajrzał do schowka, czy są wszystkie niezbędne faktury i wykazy, spojrzął na mapę, przypominając sobie czekającą go trasę i odpalił silnik. Gdy jego volkswagen transporter mknął pustą jeszcze drogą, ponownie zajrzał do schowka i wyjął magnetofonową kasetę. Ileż dałby teraz za Wagnera, Mozarta! Był tylko Witek. Włączył. Lepsze to niż nuda mijanych drogowskazów. Zresztą muzyka ta miała swój urok, teksty też dawały do myślenia, niektóre były całkiem na poziomie.

Niech będę prosty, prosty jak skała, jak dawne zbroje

Bym się wbrew słońcu nie porozdawał księżycom swoim

Niech będę jasny, jasny jak ogień co trawi zale  
Spopiela marność i miazdzy trwogę na nagiej skale  
Niech się we mnie rozżarzy płomień  
Niech się we mnie rozżarzy płomień  
Pałac wszystko, co nie jest Tobą  
Niszcząc wszystko, co nie jest Twoje

Po dwóch miesiącach kursowania między różnymi punktami na mapie Polski wiedział już, czego może się spodziewać. Wszędzie obowiązywał ten sam Wzorzec, którego zasadnicze rysy opisał już na folwarku Marka, podczas okresu bycia jego uczniem. Niezależnie od tego, czy dana wspólnota usytuowana była na zapadłej wsi czy w niepozornej willi na obrzeżach wielkiego miasta, wszędzie częstowano go zupą burakową, widział posłuszne kobiety, brodatych mężczyzn w białych czapczkach, drewniaki, papier toaletowy, te same pieśni, gromki śmiech rozlegający się po zakamarkach domów, co jakiś czas „kłaśnięcia”, gdy uczeń wykonywał ukłon przed swym mistrzem, waląc pięścią w dłoń, niczym wojownik z Shaolinsi albo inne „kłaśnięcia”, kiedy mistrz okładał ucznia utwardzając mu mięśnie. Wszędzie wrażenie, jakby wchodził do dobrze nakręconego mechanizmu. Wszystkie wspólnoty funkcjonowały też nieco jak średniowieczne siedziby feudałów, którzy zapraszali swych wasali, aby służyć na ich dworze, uczyli się trudnej sztuki rządzenia, ale jednocześnie aby im usługiwali i dla nich oraz na nich pracowali. Wasale zaś czynili to, pozostając związanymi z nim głęboką osobistą więzią.

Z drugiej strony dostrzegał też różnice, świadczące, że poszczególni mistrzowie, czyli uczniowie Daniela, różnili się pod pewnymi względami w sposobie, w jaki realizowali Wzorzec. W jednej ze wspólnot zauważył ze zdziwieniem, że członkowie noszą na rękach elektroniczne zegarki, co jak wiedział było zabronione (promieniowały ponoć rakotwórczo). Niektóre ze wspólnot realizowały Wzorzec z bezduszną dosłownością, inni bardziej rozsądnie. Początkowo podejrzewał, że to osoby ze skrywanym poczuciem niższości wykazują największy dogmatyzm, z czasem dostrzegł też jednak jeszcze inne zależności, które komplikowały pierwotny obraz.

Podsumowując w myślach te obserwacje, dojechał wreszcie na miejsce. Było już prawie południe i wszyscy byli od dawna na nogach. Zaparkował przed garażem przy siedzibie firmy Henryka, dał jego chłopakom klucze i faktury, a sam udał się do kuchni, napić się ciepłej mięty. Henryk trzymał swoich bardzo krótko, „prawdziwy dziewiętnastowieczny bezduszny kapitalista”, określił go Jakub w duchu. Ale jego pracownicy nie zorganizują nigdy wiecu, aby

domagać się, jak ci w Nottingham w 1860 roku ograniczenia dnia roboczego dla mężczyzn do 18 godzin na dobę. Z drugiej strony był człowiekiem, na ile Jakub potrafił ocenić, najbardziej racjonalnym, przejawiał najmniej fanatyzmu, jeśli chodzi o te wszystkie drobne reguły porządkujące życie we Wspólnocie Daniela. Jakub był pewien, że bez problemu dostosowałby się do warunków normalnego kapitalizmu, jeśliby dojrzał w tym korzyść albo został przymuszony.

Wkrótce do kuchni zszedł sam szef i przekazał mu nowe zadanie. Nowy cel podróży: mieszkanie Urszuli. Jakub miał tam tylko zawieźć gotówkę od Henryka. Nie wiedział, ile tego było, wszystko miał zaszyte w płóciennym pasie, który miał zapiąć pod koszulą. Razem z grupą swoich najbliższych podwładnych „cesarzowa” - jak ją przezywał sam Daniel, zajmowała wielkie mieszkanie w starej kamienicy w śródmieściu. Swoją drogą był ciekawy, jak wyglądało życie w tym najbardziej chyba żywotnym oddziale Wspólnoty, który stopniowo podporządkowywał sobie pozostałe. Tam przecinały się największe pieniądze i największa realna władza. Dotarł na miejsce po godzinie, na szczęście nie było daleko. Wszedł do środka i stał się mimowolnym świadkiem wstrząsającej sceny.

Zobaczył jak w folwarku Urszuli rozumiano Danielowy model „wychowywania” dzieci. Oczywiście sama „cesarzowa” dzieci nie miała, był to pięcioletni syn jednej z jej uczennic, Tadek. Takiej bezwzględności, graniczącej niemal z okrucieństwem, nie widział Jakub ani u Daniela, ani u żadnego z jego uczniów. Nie było to może dla niego zupełnym zaskoczeniem, bo to i owo słyszał, pojawiały się jakieś wzmianki, sugestie gdy mowa była o Urszuli i dzieciach. Filip też coś wspominał. Ale pogłoski te nie przygotowały go na ten widok.

A rodzice stali obok i patrzyli otępiałym wzrokiem. Było to dla Jakuba tak drastyczne złamanie wszystkich wyobrażeń dotyczących „instynktu macierzyńskiego” czy gatunkowo wpisanej „troski samicy o młode”, że zaczął podejrzewać, czy aby z Urszulą wszystko w porządku w sensie mentalnym. Potężna władza we Wspólnocie, i nie tylko, jaka skupiała się w jej rękach, musiała widać potężnie wpłynąć na jej psychikę, stać się jej narkotykiem, jej sposobem życia.

Gdy zupełnie rozbite emocjonalnie i zapłakane dziecko wreszcie w odruchu instynktu samozachowawczego okazało upragnione przez Urszulę posłuszeństwo, ta skupiła się na Jakubie. Sposób, w jaki odebrała od niego pas z banknotami wskazywał, że pieniądze nie miały dla niej nadrzędnej wartości. Lekką ręką wrzuciła pas do szuflady i uznała sprawę za zamkniętą.

Nikt tym razem nie zaprosił Jakuba na burakową, choć już była pora posiłku. Dostał zamiast tego kolejne polecenie. Miał natychmiast przywieźć Ryszarda, jednego z bardziej prominentnych uczniów Urszuli, pracującego w Urzędzie Miejskim. Widać było, że coś wisi w powietrzu, u wszystkich wyczuwało się jakieś napięcie. Urszula była wzburzona, a sytuacja z małym Tadkiem była raczej tego przejawem niż przyczyną.

„Z pewnością ludzie tak bezwzględni są potrzebni do pewnych zadań - pomyślał, wsiadając do samochodu - ale powinno się ich trzymać z daleka od dzieci”.

Wychowanie dzieci we wspólnotach było w ogóle bardziej „spartańskie” niż „ateńskie”. Było czymś niecodziennym w czasach konsumpcyjnej demokracji, gdzie panował model „beztresowy”, ale nie aż tak niezwykłym jak w niektórych głośnych fundamentalistycznych ruchach parachrześcijańskich, gdzie dzieci nie posyłano w ogóle do szkoły czy trzymano zamknięte pod schodami. Wychowanie takie byłoby pewnie całkiem naturalne w purytańskich gminach Nowej Anglii, a jeszcze w przedwojennej Polsce byłoby czymś w pełni zrozumiałym. Z pewnością, o dzieci się zazwyczaj troszczono. Chodziły do szkoły, zawsze ktoś się nimi opiekował, kontrolował. Jakub nie zauważył, by były niedokarmione, choć słodczy pewnie nie widziały na oczy. Oczywiście, były kary cielesne, tak jak w stosunku do dorosłych, polegające na „utwardzaniu” mięśni. Były jednak wymierzane w sposób kontrolowany, dostosowany do wytrzymałości dzieci, którą miały też podnosić. Dzieci nie były przedmiotami, na których dorośli wyładowywali swą frustrację czy histerię. Z pewnością, dzieci tam traktowano poważnie, choć bez przesady. Jak to tłumaczył Daniel, byli to też normalni ludzie, z dokładnie tymi samymi problemami co dorośli, tyle, że przeżywanymi na niższym poziomie. Dzieciom należało w zasadzie tylko zapewnić warunki do rozwoju, natomiast nie mogły stać się główną treścią życia rodziców, jak w rodzinach nadopiekuńczych, w których panowała swoista paidokracja, „rządy dzieci”.

O powszechnym we Wspólnocie obowiązywaniu takich reguł był przekonany do teraz.

Ale nawet wzięwszy model w formie idealnej, Jakub żywił co do niego sporo wątpliwości. Żaden z tych młodych rodziców nie został wychowany przy pomocy metod, które stosował względem swych dzieci. W tych warunkach model ten był dla obu stron czymś sztucznym. Najgorzej, gdy dogmatyzm w stosunku do zaleceń guru przytępiał zdrowy rozsądek i dzieci zaczynano traktować zbyt poważnie. Jakub widział takie rodziny, gdzie dzieci wykazywały ewidentną nerwicę, co stanowiło jawną obrazę dla nauk Mistrza, dla którego

wyleczenie z nerwicy było niemal punktem honoru, a diagnozowanie jej u umownych ulubionym sposobem ich dyskredytowania. Ostatecznie jednak nie tylko nie uchronił dzieci przed nerwicą, ale je w nią dość często, choć mimowolnie, wpędzał. A może to w wydaniu rodziców nauki uległy skażeniu cywilizacją? Widział raz, jak matka siedmioletniej Ali, robiła jej „próbę”, choć sama była, na oko Jakuba, kobietą niezbyt uporządkowaną, co się zresztą wkrótce potwierdziło, gdy uciekła od męża z przypadkowo spotkanym kolegą ze studiów. Wróciła, gdy ten ją wykorzystaną porzucił, a że zostało jej wybaczone, jej uległość tylko się wzmożła. W stosunku do Ali mogła jednak dowolnie dowodzić swej wyższości. Choć brakło jej bezwzględności Urszuli, również na wiele sobie pozwalała. Ala, nie mogąc wytrzymać histerycznej presji matki, zsiusiała się na oczach wszystkich.

Jednego model Daniela nie uwzględniał, a raczej uwzględniał negując: emocjonalnych potrzeb dzieci z jednej strony a uczuć rodzicielskich z drugiej. Chłód emocjonalny w stosunku do dzieci, coś nie do pomyślenia w większości cywilizacji ludzkich, tutaj był normą, postulatem. Jakub podejrzewał, że mógł wyrządzić nawet więcej szkód, niż niekontrolowana histeria tej, czy innej matki. Tymczasem negowane we Wspólnocie uczucia rodzicielskie stanowiły zwykle pewne zabezpieczenie, którego braku doświadczył boleśnie tak Tadek jak i wcześniej Ala.

Ale Jakub widział też drugą skrajność, gdzie z nadmiernym dogmatyzmem realizowano drugie zalecenie guru: dzieci nie powinno się wychowywać, wychowanie to manipulacja, to samo życie nauczy je życia. Gdy jednak połączy się trudne, surowe warunki, chłód emocjonalny oraz brak jakiegokolwiek sterowania normatywnego, przykazań, norm, reguł, mamy sytuację, którą trafnie opisał Golding we Władcy much. Te z kolei dzieci stawały się bardzo sprawnymi w grze o przetrwanie zwierzątkami, okrutnymi i zachłannymi.

Od pierwszego spojrzenia w zachowaniu Ryszarda coś uderzyło Jakuba. Nie uśmiechnął się nawet, jego ruchy było trochę na wyrost, zbyt zamaszyste, spojrzenie wyrażało lekceważenie, rozdrażnienie, a może gorycz? Jakub bez trudu zdefiniował sytuację: Ryszard jest „na buncie”!

Po dłuższej chwili nerwowego milczenia Ryszard zaczął mówić.

- A ty, co? Niech zgadnę, pewnie jesteś na nogach od piątej, tak wyglądasz, i co, nie masz dosyć? Chapać dla zaspakajania cudzych ambicji, nabicia cudzej kabzy? Ty przynajmniej masz uczciwą pracę, choć zapewne nie wiesz, że na twoje nazwisko utworzono firmę, ale przynajmniej nie musisz wisieć u klamek tych wszystkich obrzydliwych tłustych szych. U ich drzwi powinny wisieć kropielnice, ale zamiast wody święconej powinny mieć wazelinę. I po co to wszystko? O



to miało chodzić? Mieliśmy tworzyć nową ludzkość, elitę, straż dla wspaniałych ideałów, mieliśmy walczyć z manipulacją a nie manipulować. Ty tego nie możesz pamiętać, ale zaczynaliśmy od akcji na rzecz integracji niepełnosprawnych, robiliśmy rajdy gimnastyczne dla starszych ludzi, a jeszcze wcześniej leczenie narkomanów, pomoc dzieciom z domu dziecka, my naprawdę pomagaliśmy ludziom... Co z tego zostało? Żal! Robimy w konia innych, aby mistrzowie robili nas. Potrafią się tylko naśmiewać z ludzi, jak popełnią błąd i używać ich jak narzędzia. Gdy zechcesz odejść, okrzykną cię wariatem, człowiekiem, który odrzucił prawdę, wybrał śmierć, jest zakłamany, zmanipulowany. Zmanipulowany! Jak w jakiejś sekcie!

Jakub słuchał tego wszystkiego, nie przerywając, pozwalał rozgoryczonemu Ryszardowi się wygadać. Sam fakt, że pozwalał się wieść na spotkanie z Urszulą świadczyło, że nie zerwał jednak jeszcze wszystkich łączących go ze Wspólnotą nici. Albo przynajmniej, że ma jakiś interes. Kolejne słowa wszystko wyjaśniły.

- Wyłożyłem na ten pieprzony biznes wszystkie pieniądze, moje i żony. Sprzedaliśmy mieszkanie. Zadłużyłem się. Teraz już jestem problemem, nie jestem potrzebny, trzeba coś ze mną zrobić, narzędzie się zepsuło, zużyło. A moje życie?

Wysiadając z samochodu, Ryszard spojrzał jeszcze Jakubowi w oczy i powiedział:

- Najlepiej pryskaj stąd, jak tylko będziesz miał okazję, tak jak Władek, dobrze mi kurde radził. A przynajmniej trzymaj się jak najdalej od Urszuli. - Obrócił się i zniknął na klatce schodowej. Jakub zaś zawrócił samochód i skierował się w kierunku zachodzącego słońca. Kiszki marsza mu grały, a w głowie odczuwał lekki mętlik. Będzie musiał zatrzymać się gdzieś na parkingu, podgrzać zupę z kaszą na gazowej butli i przespać się trochę. Zostało mu jeszcze ładnych kilka godzin drogi.

Mógł w międzyczasie przemyśleć to, co go spotkało. Wszystko wskazywało na to, że zaczyna dochodzić do głosu „czynnik różnorodności”. Daniel musiał posługiwać się zbyt filozoficzną koncepcją człowieka, zapomniał, że ludzie są różni, jedni kierują się przede wszystkim motywacjami materialnymi, inni idealnymi czy poznawczymi. Początkowo trafiali do niego ludzie zagubieni, nieporadni życiowo, którzy w wyniku jego szkolenia stawali się zaradni. Ale trafiało też sporo idealistów. Po nadejściu kapitalizmu Daniel z Urszulą zaczęli wypychać jednych i drugich do polityki i biznesu. O ile ci pierwsi udział w nie do końca czystych operacjach w realnym świecie znosili nieźle, to u drugich musiało to wywoływać dysonans i gorycz. Zwłaszcza jeśli ewidentnie poświęcano ich osobisty interes.

W każdym razie Włodek miał rację, wszystko zaczęło kręcić się wokół Urszuli, pieniądze szły do niej, władza wychodziła od niej. Podobnie zaczynała monopolizować wpływy zewnętrzne.

Teoretycznie polityczna władza służyć miała Urszuli tylko do zdobycia pieniędzy, a pieniądze do zdobycia bardziej subtelnej władzy, społecznej. Jakub nie wątpił, że nie o pieniądze chodziło. Każdy, kto wszedłby do mieszkania któregoś z mistrzów organizacji Daniela, musiał być zaskoczony spartańskimi warunkami, w jakich żyli. Wszystko, co potrzebne, w obfitych ilościach, ale niczego, co zbyt kowne.

Władza, władza, władza. Czy dla Urszuli nadal jest tylko środkiem dla poprawiania ludzkości?

A co by się z nim stało, gdyby Daniel zrealizował swoje obietnice i faktycznie skierował go do działalności politycznej? Był to oczywiście bluff, co do tego nie miał żadnej wątpliwości już w momencie, gdy Daniel składał swą propozycję. Tym niemniej miał nadzieję, że „obcując z demonami”, jak politykę określał Weber, zachowałby nieco więcej człowieczeństwa.

## Rozdział XXXI

Śliwińskiego zastał na dyżurze. Był chyba jedynym pracownikiem instytutu, który zawsze stawiał się w ustalonych godzinach do dyspozycji studentów, nawet w wakacje, a tym bardziej w trakcie roku akademickiego.

- Mam takie pytanie - zaczął profesor, jak już usiedli przy gorącej herbacie. - Czy nie lepiej byłoby, by pan nieco poluźnił swoje kontakty z tą grupą? Pan się bardzo zaangażował, boję się powiedzieć, że za bardzo, bo to poniekąd rozumiem, ale czy pan jest pewny, że się to panu nie wymknie spod kontroli?

- Sam o tym myślałem - odpowiedział Jakub, widząc szczerze zatroskaną minę profesora. - Wiem już tyle, że nie sądzę, bym mógł się dowiedzieć wiele więcej. Moja historia w tym układzie zatoczyła koło. Obiecywali włączenie do jakichś poważniejszych zadań, ale okazało się to blefem, mającym na celu zatrzymanie mnie. Teraz jestem trochę uwiązany od nich ekonomicznie. Zatrudnili mnie w firmie Olka. Tak, że odchodząc, musiałbym znaleźć jakąś pracę.

- Tutaj mam być może dla pana dobre wiadomości. Przejaśnia się niebo nad panem, przynajmniej u nas w instytucie. Dyrektor zaczyna się martwić o braki kadrowe. Tak się szczęśliwie dla pana, choć w ogóle nieszczęśliwie złożyło, że w ostatnim roku zmarło dwóch starych profesorów, jeden odszedł na emeryturę, a dwaj młodzi doktorzy wyjeżdżają za granicę, jeden docent przeniósł się na prywatną uczelnię, gdzie będą mu płacić dwa razy więcej, u nas chce mieć tylko pół etatu, wie pan, dla prestiżu. A doktor Wieczorek, jak pan pewnie czytał w gazetach albo słyszał na korytarzach, został ukarany odebraniem stopnia za plagiat i wydalony z Instytutu. Z drugiej strony zwiększono liczbę studentów przyjmowanych na socjologię. Jest duża szansa, że po wakacjach dostanie pan stypendium. A może nawet, co byłoby dużo lepsze, uda się załatwić etat asystenta, trochę więcej obowiązków dydaktycznych, ale pewniejsza pozycja. Proszę tylko do końca maja napisać podanie. Zdąży pan? Ma pan jeszcze tydzień. Potem jest sesja i musiałby pan czekać do końca wakacji na decyzję rektora.

- O, to świetnie, to zmienia postać rzeczy! - ucieszył się Jakub. - W takim razie będę mógł się stamtąd zwijać. Nie chciałbym tylko swym odejściem za bardzo wpłynąć na samą grupę. - Jakub nie wspominał, że był znacznie ważniejszy powód jego tam trwania.

- Może pan po prostu na razie poluźni swe relacje? Bez drastycznego zrywania? - zapytał Śliwiński.

- Obawiam się, że to już raczej niemożliwe. Z poziomu, na którym jestem nie można odejść połowicznie. Zresztą coraz więcej osób odchodzi. Moje odejście wpisywać się więc będzie w ogólniejszy trend.

- A jaki wzorzec przyjmie?

- Wzorzec?

- Zwykle z ruchów tego rodzaju odchodzi się na jeden z trzech sposobów, podobnie zresztą jak z rozstaniem małżonków. Jedni odchodzą po cichu, tylnymi drzwiami, zwyczajnie pakują się i znikają. Inni stawiają sprawę jasno, badając, czy można coś jeszcze wynegocjować, zmienić, stawiają jakieś ultimatum. Trzecia grupa idzie na ostrą konfrontację, ale nie po to, aby coś zmienić, ale by uczynić odejście szybszym. Chcą oszczędzić sobie wszelkich podchodów, namawiania, „a może byś został” i tak dalej.

- Wśród osób, które odchodzą z tej organizacji, dominuje raczej strategia pierwsza.

- A dlaczego pana zdaniem odchodzą?

- Chyba ta organizacja się już kończy. Przywódca rzuca się między pomysłami, niczego nie doprowadza do końca. Realną władzę i tak przejęła Urszula. Nie mają chyba obecnie żadnej ustalonej metody rekrutacji poza zwykłą biologiczną reprodukcją. Nie wiem nawet, czy gdziekolwiek rekrutują.

- O, to bardzo niebezpieczne w przypadku organizacji tak małych, a w dodatku tajnych! Przecież to oznacza pełne zamknięcie, izolację. Tak jak elita, która nie dopuszcza świeżej krwi, degeneruje się! Sądziłem, że przywódcy tej pana organizacji posiadają elementarną wiedzę sterowniczą.

- Prawo Vilfredo Pareto - przypomniał sobie Jakub. - Ale sądzę, że oni nie chcą stworzyć trwałej organizacji. Swoim członkom mówią wprawdzie co innego, ale to był raczej pomysł na jednorazową akcję, która miała zapoczątkować szersze, nie sterowane już zmiany. Ponoć istniał specjalny Plan, opracowany przez różnych wybitnych naukowców specjalnie dla Daniela. Szczerze mówiąc, nie wiem, kto go opracowywał ani nawet, czy rzeczywiście istnieje.

- Może warto by się tego jeszcze dowiedzieć?

- Ma pan rację panie profesorze. Rzeczywiście, trochę ostatnio za bardzo dałem się ponosić biegowi wydarzeń, który zresztą był niezmiernie ciekawy, a za mało sam zadawałem pytań. Naturalnie pytań badawczych. Tam pytań nie zadaje się wprost, nie jest to akceptowane.

- Dobrze, jakby pan sobie zaplanował, jakie informacje są panu jeszcze potrzebne, aby mieć możliwie pełny obraz grupy.

\* \* \*

Michała nie zastał w domu. Otworzył własnymi kluczami, które na wszelki wypadek miał ze sobą. Nie zauważył większych zmian w umeblowaniu, z największym zdumieniem zobaczył jednak przed lustrem w łazience dwie szczoteczki do zębów. Dawno się nie widzieli, ale czy aż tak jest do tyłu z życiem przyjaciela? Wprawdzie Michał nigdy nie był wylewny w tematach damskomęskich, zazwyczaj nie miał zresztą o czym mówić, ale tym bardziej o takiej zmianie chyba by mu powiedział. Ostatnio jednak zrobił się strasznie zamknięty w sobie, milczący i posępny. Jedyne o sprawach naukowych dawało się z nim jeszcze konkretnie porozmawiać. Przed czym tak uciekał w naukę - zastanawiał się Jakub - bo nie miał wątpliwości, że to ucieczka.

Postanowił, że poczeka na przyjaciela. Ostatni autobus do Pracowni odchodził niedługo przed północą. Miał więc kilka godzin. Usiadł na swoim starym fotelu. Odruchowo sięgnął po książkę z plecaka, ale po chwili ją odłożył. Uświadomił sobie, że ma ważną pracę do wykonania, wewnętrzną.

Odejść ze Wspólnoty.

Od początku wiedział, że ten moment kiedyś nadejdzie, ale decydując się na podjęcie badań, nie przypuszczał nawet, że chwila ta zastanie go w takiej sytuacji. Nie miał wątpliwości, że Śliwiński ma rację. Wrażenie, że marnuje czas towarzyszyło mu od czasu, gdy został zdegradowany do roli kierowcy na posyłki, ale nasiliło się w ciągu ostatniego tygodnia. Śliwiński zadał odpowiednie pytanie w odpowiednim momencie. Wiedział, że nie będzie łatwo rozstać się z tymi wszystkimi ludźmi. Z niektórymi się nawet zżył. Wspólnota przez te dwa lata była jego domem, niemal rodziną. Ale nie to, że teraz znów stanie sam wobec życia było jego głównym problemem.

Sam?

Już nie taki sam.

Śliwa miał rację, ostrzegając go na początku. Nie był już tym samym człowiekiem. Długotrwałe podleganie czyjejs władzy zmniejszyło jego pewność siebie. Obserwacja i kontakt z

tak różnymi typami ludzkimi, spośród których niejedna przypominały typy spod ciemnej gwiazdy, pozbawiły go wiele z jego młodzieńczej naiwności. Zmienił się też jego stosunek do sfery nadprzyrodzonej. O ile wcześniej specjalnie w nią nie wierzył, to teraz miał pewność, że „coś” istnieje, ale jednocześnie wolał trzymać się od tego z daleka. Ze zbyt bliska obserwował do czego kontakty z tą sferą mogą prowadzić, nie wyłączając Michała i Filipa. Pewny był, że gra z mocami, które kryją się po tamtej stronie rzeczywistości, nie jest grą na uczciwych warunkach, że moce te najprawdopodobniej więcej korzystają niż dają w kontakcie z ludźmi.

Sam? Była tylko jedna więź, która realnie wiązała go ze Wspólnotą, której nie chciał zerwać. Anna. Jak zareaguje, gdy dowie się o jego podwójnej roli we Wspólnocie? Czy nie straci jej szacunku, gdy ujawni, że jego pobyt we Wspólnocie był „tylko” badaniem.

Ale czy był tylko badaniem?

I najważniejsze pytanie: Czy Anna zgodzi się z nim odejść?

Jedyny sposób aby poznać odpowiedzi na te pytania, to zmierzyć się z rzeczywistością. Tę decyzję musi podjąć sam. Musi ją podjąć, a co z tego wyniknie dla nich, będzie osobnym problemem.

Stając przed tą koniecznością uświadomił sobie, że każdy koniec jest początkiem.

Że jednocześnie otwiera się przed nim nowa przestrzeń wolności. „Wreszcie!”

Przypomniawszy sobie wiersz, który powtarzał sobie często w momentach takich jak ten.

Od nowego rozdziału dziś swe życie zaczynam

Choć tytułu mu jeszcze nie nadam

Nad nowymi morzami ducha skrzydła rozpinam

Znów się wznoszę i znowuż upadam

Znowu nudne opisy, znowu akcja szalona

Proza życia z liryką się brata

Znowu chodzę do pracy, znowu miłość spłoszona

Głodna miota się, szuka i bada

Klamka zapadła.

\* \* \*

W tym momencie usłyszał jakieś głosy za drzwiami i chrzęst zamka w drzwiach. - Kuba?!  
- Michał nie posiadał się z radości. - O wilku mowa! Dopiero po chwili Jakub rozpoznał osobę, która towarzyszyła przyjacielowi. Tak, to była Monika! Zmieniła się bardzo, zapuściła włosy,

które teraz miała ułożone w modną fryzurę podkreślającą delikatny owal jej twarzy, na której dostrzegł delikatny makijaż. Miała na sobie długą, ciemnobrązową, elegancką spódnicę i obcisłą bluzkę. Wygląda na to, że Michał wyleczył ją z feminizmu, ale czy przy okazji nawrócił na chrześcijaństwo?

- Witam! - Jakub podał rękę przyjacielowi i uściśnął wyciągniętą do niego dłoń dziewczyny. - Dobrze was widzieć. No właśnie, „was”, dlaczego ja znowu o niczym nie wiem?! - powiedział z teatralną pretensją w głosie.

- Myślałem, że ci wspominałem - Michał wybąkał swą standardową wymówkę. - Chyba się nie gniewasz, że zaprosiłem Monikę?

- No, co ty! Dorośli jesteście! Róbta co chceta! - śmiał się. - Ale to nie to, co... - ciekawe dlaczego Michał czuł, że musi się tłumaczyć. Monika też była ewidentnie zakłopotana, jakby ich na czymś przyłapał.

- Ja nic nie myślę. Nie ważne - ostentacyjnie chciał zmienić temat. - Ja przyjechałem w pewnej ważnej sprawie... - zaczął.

- Chwilę, to może najpierw my - przerwał Michał. - Chcielibyśmy cię poinformować, oficjalnie i nieoficjalnie, że ja i Monika, zamierzamy się pobrać. I chcielibyśmy cię prosić na świadka.

- No to mazel tow! Winszuję, gratuluję! - ucieszył się Jakub i zwrócił się do Moniki z zapewnieniem. - Znam tego faceta dość dobrze. Obstawiam, że nie popełniasz błędu. Kiedy to się stanie?

- We wrześniu - odpowiedziała.

- I w związku z tym mamy jeszcze jedną sprawę, chyba nie będziemy już mogli tak intensywnie zajmować się twoim mieszkaniem. Rodzice Moniki kupili nam kawalerkę. Właśnie kończymy remont.

- A nawet to się dobrze składa, bo chciałem was wyrzucić! - zaśmiał się Jakub.

- Siadaj, mam co nieco w lodóweczce! - powiedział Michał. Już chciał powiedzieć „czuj się jak u siebie w domu”, ale ugryzł się w język.

- Opowiadajcie, co tam słysząc, dawno się nie widzieliśmy!

- Dobrze, Monika obroniła już magisterkę. Ojciec załatwił jej pracę w Bibliotece Uniwersyteckiej - Jakub dostrzegł, że Michałowi nieco niezręcznie było się przyznać, że również jego wybranka musiała posługiwać się takimi metodami jak protekcja, dlatego zauważył:

- Dzisiaj bez znajomości w zasadzie nie znajdziesz pracy. Niby ogłasza się konkursy na różne stanowiska, ale ich wyniki ustalane są zanim przesłucha się pierwszego kandydata. Takie życie! A propos życia, życie zakonne mocno mi się już znudziło. Niedługo stamtąd odchodzę. Nie wiem tylko jak to rozegrać z Anią. Właśnie w związku z tym mam do ciebie sprawę. Ważną. Kryptonim „Ucieczka z Alcatraz”.

- O Kurde! Kiedy?

- Nie znam dnia ani godziny. Czekam na najlepszy moment.

- Dobra, zobaczę, co da się zrobić. Chatę możemy już w zasadzie zwolnić. Rozumiem, że będziesz potrzebował transportu.

- Bardzo by się przydał. Pieszko wydostać się stamtąd raczej trudno. A ich wozów wolałbym nie musieć pożyczać, wiesz, to by wzmogło ich furię. Postaram się w miarę wcześniej dać ci jakoś znać...

- Może byś sprawił sobie wreszcie komórkę?

- Nie mam chyba na to pieniędzy. Musiałbym ją ukrywać, gdyż tylko wybrani mogą się nie posługiwać. Choć faktycznie byłby to najlepszy sposób komunikacji...

- Pożyczę ci moją, i tak mało kto do mnie dzwoni. Wykasujesz sobie kontakty, w razie gdyby wpadła w niepowołane ręce, wyłączysz dzwonek, a jak będziesz potrzebował transportu napiszesz wiadomość na telefon Moniki. Lepiej się go naucz, zanim wykasujesz.

- Świetny pomysł. - Jakub z wdzięcznością przyjął dość toporny aparat.

- Spieszysz się gdzieś?

- Niespecjalnie.

- Dawno się nie widzieliśmy, chętnie bym wykorzystał tę chwilę przed burzą...

- Śmiało, pytaj.

- Zrobić wam kawę? - zapytała Monika, widać świetnie orientująca się w kuchni Jakuba.

- Ja dziękuję, lepiej, aby nikt nie wyczuł zapachu zakazanej używki. Ale herbatę chętnie.

- Powiedz mi - zapytał Michał, gdy już siedzieli we troje w fotelach popijając herbatę - jeśli chodzi o samego Daniela, rozumiesz już na czym polega to, że ludzie za nim idą?

- Czyli zapytujesz, czym jest ta mityczna weberowska charyzma?

- Właśnie. To znaczy pomijając już, co Weber sam przez to rozumiał, bo to już sobie opracowałem, chodzi mi o zjawisko. Zabieram się za nowy artykuł, na razie mam tylko od strony teoretycznej.



- To coś, co mnie od początku nurtuje. Dobrze, że pytasz, pomożesz mi to przemyśleć, a raczej przemyślimy to wspólnie. - powiedział z entuzjazmem Jakub, wyjmując swoje zaszyfrowane notatki.

- Chętnie.

- Po pierwsze, kiedy byś go spotkał, spojrzał w oczy, to pierwszą rzeczą, która robi wrażenie jest na pewno to, że masz pełną spójność między tym co mówi, a tym co przekazuje ciałem. Mówi z pełnym zaangażowaniem, nie dostrzeżesz u niego żadnego dystansu w stosunku do tego, co mówi.

- Czyli wierzy we własne nauczanie.

- O tak, z pewnością. Ale to nie wszystko. Bo on tę pełną wiarę w siebie wyraża, a to jest zaraźliwe. Jest cholernie pewny siebie. I z taką samą pewnością mówi zarówno rzeczy oczywiste, jak i prezentuje swe spiskowe teorie, czy też obwieszcza o swym mesjańskim posłaniu przez niebios.

- Chyba nie każdemu, który głosi, że jest mesjaszem i sam w to wierzy, ludzie dają wiarę.

- Racja. Musi też coś sobą reprezentować. W sumie to od tego się zaczyna. Facet najpierw wzbudza podziw.

- W czym można go podziwiać? Erudycja?

- Erudycja zwykłych ludzi raczej onieśmiela, nie mają kompetencji, by ją naprawdę docenić. Na niektórych to oczywiście działa, na przykład na Władka, Ulę czy Paulinę. Ale zwykłych ludzi zjednuje innymi cechami osobowości.

- Na przykład?

- Nieustrasżoność. Słyszałem wiele historii opowiadanych z autentycznym podziwem, jak to Daniel stawiał czoła różnym oprychom, satanistom, skinom, narkomanom. Zwłaszcza w początkowej fazie, gdy osobiście włóczył się po Polsce z uczniami.

- Mawiają, że tylko wariat niczego się nie boi - odparł sceptycznie Michał, ale po chwili, jakby doznał jakiegoś przeblýsku, dodał: - Wiesz, była nawet taka teoria socjologiczna, która powstanie sekt tłumaczyła chorobą psychiczną. Prorokzałożyciel, w wyniku ostrej psychozy ma wizje, które wydają mu się rozwiązaniem jego problemów. Dlatego lgną do niego ludzie, którzy mają te same problemy. Cierpią na to samo.

- Ciekawe. Nie wiem tylko, dlaczego nazywasz to teorią socjologiczną. Dla socjologii jest raczej nieprzydatna. Po pierwsze: co to znaczy „chory psychicznie”, a kto jest zdrowy? Mieliśmy

wykłady z psychopatologii, ty chyba też. Pamiętam jak w zasadzie większość z nas na roku chodziła potem po korytarzach i wymieniała się uwagami, jakie to choroby psychiczne posiada. U normalnych ludzi występują te same procesy, tylko o mniejszej intensywności. Między zdrowiem a chorobą jest tutaj dość płynna granica.

- A jednak istnieje.

- Tylko ktoś ją musi stwierdzić. A zatem jest do pewnego stopnia arbitralna i uwarunkowana kulturowo. Chodzi mi o to, że psychiatra przy pomocy tych swoich kategorii mógłby z każdego z nas zrobić człowieka z problemami. Zresztą tak się robi, nie słyszałeś o tych aferach, gdy rodzina chciała ubezwłasnowolnić dziadka i skierowała go do psychiatry, wysyłając wcześniej pękatą kopertę? Tylko, że większość ludzi, bez wykształcenia psychiatrycznego jakoś jednak potrafi odróżnić ludzi normalnych od nienormalnych.

- Niby jak?

- A ty tego nie potrafisz?

- Potrafię, tylko trzeba to nazwać! - Ha, właśnie - przyznał Jakub i zaczął przechadzać się po pokoju. - Myślę, że kluczowa jest tu praktyka. W praktyce mamy kontakt z rzeczywistością, ludzie widzą, czy sobie radzisz z rzeczywistością, czy nie, czy właściwie używasz noża i widelca, czy też mylisz żonę z kapeluszem.

- Trochę upraszczasz.

- Ludzie upraszczają. I zauważ, że właściwie nikt spośród tych, którzy znali Daniela, nawet ci, którzy mu nie ulegli, nie uważał go za wariata.

- No, niektórzy dostrzegali w nim jednak jakieś problemy psychiczne.

- Problemy owszem, ale nie zaburzenie kontaktu z rzeczywistością. Myślę, że to jest ważne. Gdy widzisz, że facet jest normalny, radzi sobie w życiu, wykazuje różne konkretne kompetencje, to gdy usłyszysz któregoś dnia z jego ust, że jest mesjaszem, nie odrzucisz tego tak łatwo i jednoznacznie. Na podstawie jednego zdania nie ocenia się kogoś jako świra. Zwłaszcza w kontekście religijnym, gdzie z natury jesteśmy gotowi wierzyć w rzeczy niezwykle. Zresztą jak jesteś w stanie udowodnić komuś, że nie jest mesjaszem? Do tego dochodzi to, że jednak z natury ufamy ludziom.

- Mówisz, że nie da się sprawdzić, czy ktoś jest mesjaszem, ale przecież Weber pisał, że prorok musi udowodnić swą charyzmę.

- Niby jak?

- Cudami.

- Chcesz do koncepcji socjologicznej wprowadzić cuda? - zapytał ze sceptycyzmem w głosie Jakub.

- Powiedzmy „zdarzenia, które ludzie uznają za cuda”. Czy Daniel coś takiego wykazywał?

- Słyszałem wiele takich opowieści, trochę też widziałem. Wiele z tego da się wyjaśnić sugestią, ale nie wszystko. Moim zdaniem, są też przypadki ewidentnie nadprzyrodzone. Tylko, że tutaj jako socjolog nie możesz wchodzić. Zresztą nie musisz. Wiesz jaki był najpospolitszy cud w wykonaniu Daniela?

- Niech zgadnę, wyginanie łyżeczek?

- Wskrzeszanie zmarłych.

- Co??? - Michał aż się poderwał. - Chyba nie dosłownie.

- Jasne, że nie. Ale ludzie, którzy pogrążeni byli w różnych nałogach, którzy nie widzieli sensu swego życia, żyli w bezsilności i marazmie, spotkanie z Danielem traktują jak nowe narodziny. To co się potem zaczyna, pozostaje w tak jaskrawej sprzeczności z ich życiem przed, że odczuwają to jako w istocie nowe życie, prawdziwe życie, przeciwstawiając to śmierci. A kto ma władzę nad życiem i śmiercią?

- Bóg.

- Dokładnie. I tu masz klucz do stopniowej deifikacji tych różnych mesjaszy. Przemieniają życie, dają nowe życie, zatem ich moc pochodzi od Boga.

Michał zamyślił się. Nie był pewien, jak taka koncepcja ma się na przykład do wiary chrześcijańskiej, ale wydawała się sensowna.

- Tylko, że wiesz, te cuda też wszystkiego nie wyjaśniają - kontynuował Jakub. - Tak naprawdę większość wierzy w proroka zanim dokona cudu, a wielu mimo cudu nie wierzy. W ewangeliach masz sporo takich opisów. Apostołowie podążali za Jezusem bez żadnego dowodu, potem cuda tylko utwierdzały ich wiarę, ale faryzeusze i uczeni w piśmie żądali znaku, chociaż cuda ich i tak nie przekonały, bo człowiek, który dopuszcza możliwość cudu zawsze może jeszcze zapytać jak oni: czyją mocą to czynisz?

- A zatem guru jest uczciwy, przynajmniej subiektywnie. Do tego wierzy w siebie, a nie da się stwierdzić w pierwszym odbiorze, że jest psychicznie chory, no to skąd ta jego wiara?

- Wiesz, myślę, że on może faktycznie coś tam przeżył. Coś, co go przekonało o słuszności własnej misji.

- Czyli to nie było doświadczenie wybrania do misji?

- Nie, myślę, że nie. Staralem sobie poskładać jego biografię z fragmentów, które przy różnych okazjach rzucał i wydaje mi się, że on najpierw chciał walczyć z manipulacją, po tym, jak rozpoznał problem, dopiero potem doświadczył oświecenia - tak mi się wydaje na podstawie jego oficjalnej wersji. To doświadczenie mistyczne dla samego delikwenta stanowi dowód, że jego cel jest właściwy, a droga słuszna, że on sam jest wybrany. Bo przecież Bóg nie pozwalałby sobie doświadczyć komuś, kto błądzi. A skoro Bóg jest ze mną, to mogę osiągnąć wszystko.

- A skąd sam pomysł na misję?

- No właśnie, to ważny problem. U podstaw leży pewnie jakieś konkretne wydarzenie z biografii, osobiste zetknięcie się ze złem. Każdy chce dobra i walczyć ze złem, ale zwykli ludzie widzą trochę zła tu, trochę tam. Tutaj to musiało być jakieś bardzo konkretne spotkanie z wrogiem, choć nie mam pojęcia, co to mogło być. Ktoś taki spotyka swego wroga i potem to samo zło zaczyna widzieć wszędzie. Daniel spotkał się z zawodowymi manipulatorami, zapalał do nich nienawiścią i postanowił poświęcić życie walce z nimi.

- Że też mu się chce.

- Właśnie! To kolejna rzecz. Bo to po pierwsze facet o potencjalnie bardzo silnej woli. Myślę, że to się jakoś wiąże z trudnym dzieciństwem, a przynajmniej poważnymi trudnościami, które musiał przezwyciężyć, w trakcie czego właśnie wzmocnił się jego charakter. Masz więc „naładowany akumulator”, a spotkanie z wrogiem, jakimś przedmiotem nienawiści nadaje tej woli określony kierunek, cel, może ten nadmiar energii sam szuka sobie ujścia. Dopiero potem przychodzi oświecenie, które go utwierdza.

- I guru zakłada nową religię?

- Nie zaczyna od zera. Najpierw musi znaleźć jeszcze dla siebie miejsce w rzeczywistości, znaleźć jakąś formę dla swego działania. Szuka tradycji, w którą mógłby się wpisać, która by go uznała. Dlatego Jezus szukał potwierdzenia u Jana Chrzciciela, dlatego Hitler wstąpił do NSDAP, a Daniel, hmm... sądzę, że dla niego tego funkcję pełniła tradycja Bô Yin Râ.

- A co z teorią hipnozy? Wspominałeś o tym kiedyś, zresztą wielu z moich rozmówców - ezoteryków przypisywało Danielowi zdolności hipnotyczne. Jak to wyjaśnisz?

- Myślę, że to dość dobrze harmonizuje z tym, co powiedziałem. Zobacz, czy moglibyśmy kontynuować rozmowę, gdyby tutaj, do pokoju wszedł tygrys? Nie, nie potrafilibyśmy się skupić na niczym innym. To nie chodzi tylko o strach, może podobnie byłoby, gdyby zjawiała się jakaś niezwykła piękność. W każdym razie na wejściu mamy jakąś niezwykłą, niecodzienną cechę, jakieś niekonwencjonalne zachowanie czy coś podobnego. To niepodzielnie przykuwa uwagę.

- A skupienie uwagi jest pierwszym etapem hipnozy.

- Dokładnie. Potem następuje proces stopniowego przejmowania kontroli. Daniel robił to może nie do końca świadomie. Po prostu mógł rozmawiać z tobą, ale był facetem, który nie dopuszczał innych do głosu, przekonywał, mówił, kierując całą swoją uwagę na ciebie, wpatrując się w ciebie. Gdy nie miałeś wiedzy, aby na bieżąco go kontrolować, czegoś nie rozumiałeś, jego gadanie po prostu ciebie oszalało. Bezwiednie podążałeś za nim, bo nie miałeś okazji przejawiać własnego „ja”. Swoją osobowością stopniowo wypiera więc twoje ja. Gdy takie „podążanie za mistrzem” dobrze przeciwczyłeś, twoje „ja” właściwie zanika. Oczywiście zaczyna się stopniowo, od rzeczy ewidentnie słusznych. Mistrz pomaga ci uporządkować życie, poskładać do kupy psychikę, zdrowie. W ten sposób zyskuje autorytet, a ty chętnie oddajesz mu władzę, aby organizował resztę twego życia.

- A jednak niektórzy odchodzą.

- Ja wkrótce też zamierzam.

## Rozdział XXXII

Jakub siedział na kanapie, czytał książkę i kątem oka obserwował, jak Anna krząta się w kuchni. Jego Anna. Nigdy nie myślał, że może spotkać kogoś takiego w takich okolicznościach, że może się w takiej sytuacji zakochać. Opanował już do perfekcji udawanie przed mistrzami i towarzyszami „autentyzmu”, „zaangażowania” tego wszystkiego, czego od niego wymagano. Jak mówią socjologowie, doskonale wpasował się w społeczną rolę zaangażowanego ucznia. Przynajmniej w tych wymiarach, gdzie nie mógł się z rolą utożsamić. A od czasu „zsyłki” do Pracowni najczęściej nie mógł. Teraz musi jeszcze udawać przed nią, a to już trudniejsze. Tak jak inni faceci we Wspólnocie musi ją szkolić, jak nazywano faktyczne łamanie woli, być surowy i wymagający, podczas gdy w głębi duszy wolałby...

Jej samej też nie było wygodnie w roli, jaką przypisała jej Wspólnota, roli dobrej żony. Formalnie nie byli małżeństwem, formalności nie były potrzebne, skoro Jakub nie miał rodziny, a Anną rodzina się nie interesowała. Ale role, modele nie były uzależnione od formalności prawnych. Dobra żona ma się troszczyć o męża. Ma mu przynieść nakrycie głowy, gdy ten o tym zapomni, wychodząc na słońce. Ma go okrywać ciepłym swetrem, gdy ognisko zacznie dogasać, ma być bezwzględnie posłuszna, gotowa w każdej chwili przerwać w połowie wykonywaną właśnie czynność, aby przybiec na wezwanie pana i mistrza. Annie się to ewidentnie nie podobało. Nie, żeby widziała coś złego w tych różnych przejawach troski, drażniło ją to, że była do tego w sposób, jak uważała, sztuczny przymuszana. Nawet nie przez Jakuba, co przez innych, Marka, Wandę, Paulinę, no i w pewien dyskretny sposób przez inne kobiety we Wspólnocie, które wprawdzie nic nie mówiły, nie wolno im było na nią naciskać wprost, ale w pewien charakterystyczny sposób na nią patrzyły. A czasami potrafiły donieść to i owo na przykład Wandzie. Dla nich było to już wszystko oczywiste. Wyznaczały wzorzec roli dobrej żony, starały się go ucieleśniać.

Jakub widział jak Anna się męczy, współczuł jej, choć wiedział, że nie wolno mu okazać współczucia. Powinien zachować maskę. Gdyby zaczął jej okazywać współczucie, czy w ogóle, gdyby był inny w stosunku do niej a inny na zewnątrz, straciłby jej szacunek, był tego pewien. Tego nie chciał. Chociaż czy szacunek oparty na czymś nieautentycznym jest coś warty? Miał jednak nadzieję, że w międzyczasie zawiąże się i okrzepnie między nimi więź głębsza, która

obejdzie się ostatecznie bez tego wynikającego z roli szacunku, który i tak wkrótce legnie w gruzach, gdy pozna jego drugą tożsamość. Czy będą mieli dość czasu? Zresztą odnosił coraz częściej wrażenie, że Anna dostrzegала jego dystans do roli, że ją to w pewien sposób bawi. Sama robiła się coraz bardziej harda i trudna do ujarznienia przez narzuconych jej przełożonych. Coraz częściej stawiał się Wandzie czy Markowi, chociaż tylko w tych sytuacjach, gdy racja ewidentnie była po jej stronie. Obrywała za to, bo układy w Pracowni bynajmniej nie były oparte na posiadaniu racji, i nie o słuszność tu chodziło.

Nadszedł czas, by to przerwać. Jednak pytanie czy ze nim odejdzie, czy też będzie musiał odejść od niej, nie dawało mu spokoju. Gdyby się nie zgodziła, gdyby wybrała lojalność wobec Wspólnoty, musieliby się rozstać, co napawało go przerażeniem. Może nawet władze organizacji zgodziłyby się na „małżeństwo mieszane”, ale tylko po to, aby mieć narzędzie nacisku na Jakuba, zwłaszcza, gdy już dowiedzą się o jego badaniach. Taki związek z agentką Wspólnoty byłby swoistą zemstą losu. Nie wyobrażał sobie dzielić życia z kimś, dla kogo zawsze będzie numerem drugim, kto zawsze będzie bardziej lojalny wobec kogoś trzeciego, wobec mistrza. Zresztą byłby to bardzo burzliwy związek, pozbawiony czułości, zaufania, w którym sama Anna byłaby bezustannie rozdarta i rozdierana przez Jakuba z jednej i Daniela z drugiej strony. Kto by wygrał to przeciąganie i jakim kosztem dla Anny? Nie, to wydawało się najgorszym rozwiązaniem. Jeśli sprawy miałyby tak wyglądać, lepiej odejść i liczyć na to, że z czasem sama podejmie decyzję zerwania ze Wspólnotą, a wtedy może uda się odbudować wzajemne zaufanie. Zastanawiał się, czy sam by jej uwierzył, gdyby pewnego dnia przyszła do niego i oświadczyła, że porzuciła mistrzów, czy nie zachowałby jakiegoś podejrzenia, że jest po prostu zadaniowana do inwigilowania go?

Ale decyzję już podjął: jutro wyłoży karty na stół. Jak tylko wróci z miasta. Musi wcześniej załatwić parę spraw, pogadać z Michałem. Jutro. Jutro świat się zawali albo nastanie Nowa Era.

\* \* \*

Po powrocie z cotygodniowego obchodu księgarni Jakub w Pracowni zastał tylko Wandę.

- Podgrzej sobie owoce, a potem idź na pole - powiedziała.

Posłusznie udał się do kuchni i zaczął podgrzewać resztki wymieszanego z jabłkami i bananami makaronu, jakie pozostały na dnie w sporym garnku. Tak wyglądał pierwszy i jedyny aż do wieczora posiłek mieszkańców Pracowni. Olek wspominał kiedyś, że zwyczaj ten

wprowadzono rok temu. Wcześniej musiała wystarczać tylko wieczorna wyżerka, trudno bowiem nazwać ten posiłek kolacją. Każdy jadł dosłownie tyle, ile tylko mieściło mu się w dość przez to rozepchanym żołądku, a nawet nieco więcej, odreagowując całodzienną głodówkę. Niektórzy z trudem wstawali potem od stołu.

Jakub nałożył sobie ciepłej, rozklejonej już przez kilkakrotne podgrzewanie papki na miskę i zaczął jeść, gdy do kuchni wpadł wściekły na coś albo na kogoś Marek.

- Jeszcze tutaj?! Natychmiast na pole! - krzyknął. Rzucił tylko okiem na rozpoczęty właśnie posiłek Jakuba.

- Co? Żal ci? - skomentował chwilę wahania Jakuba - już cię nie widzę!

„Jak w klasztorze - pomyślał Jakub - skryba na dźwięk dzwonka przerywa pisanie w połowie litery, ćwicząc posłuszeństwo względem przełożonego, będącego uobecnieniem woli Boga. Amen”. Bez dalszego marudzenia dołączył do reszty pielących grządki. Słońce paliło niemiłosiernie, toteż wszyscy byli stosownie ubrani: w jasne koszule, z przeciwsłonecznymi okularami na nosach i obowiązkowymi bawełnianymi białymi czapczkami na głowach. Co jakiś czas smarowali się kremem z filtrem przeciw UV. Jakub przyjrzał się pracującym, ale nie zauważył nigdzie Anny. Zastanowiło go to, teoretycznie powinna już wrócić z zajęć. „Ciekawe, co ją zatrzymało” pomyślał. Zauważył natomiast jednego nieznanego mu mężczyznę. Był bardzo wysoki, ale jednocześnie przeraźliwie chudy. Nosił wyjątkowo długą, nawet jak na Wspólnotę brodę, która jednak nie przydawała mu męskości, była bowiem młodzieńczo rzadka. Wydawało mu się, że inni odnosili się do niego z pewnym lekceważeniem czy pobłażliwością.

Praca trwała aż do zmroku. Udało im się oczyścić z chwastów całe pole buraczane i ponad połowę marchwiowego. Zebrali chwasty na stos i ruszyli w stronę domu. Jakub czuł narastające ssanie w żołądku. Starał się zapanować nad mięśniami, które zaczynały drżeć z braku glukozy. Wiedział, że to chwilowy kryzys, wkrótce minie i pozostanie samo uczucie głodu.

Olek zaproponował, aby uprzyjemnić sobie marsz wspólnym śpiewem, zwrócił się w związku z tym do nieznanego Jakubowi chudzielca.

- Piotr, może ty zaproponuj jakąś piosenkę? Najlepiej taką, którą wszyscy znają.

Piotr spojrzał otępiąłym wzrokiem na Olka, zdawało się, że chwilę się namyślał, a potem zaintonował:

- Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my... - zaczął i nie skończył, gdyż przerwała mu salwa śmiechu. Śmiech jeszcze nie umilkł, gdy Leon szepnął na stronie do Jakuba:



- Piotr nie jest do końca normalny. Marek przejął go ze struktur Henryka. Strasznie go tam wykorzystywali.

- A co mu dolega?

- Któż to wie? - rzucił przyspieszając kroku i przerywając w ten sposób rozmowę.

Gdy dotarli na miejsce, czekały ich nowe instrukcje.

- Faceci do garażu, składać zamówienie, jest sporo do roboty. Baby do kuchni. Na podjeździe przed bramą do garażu stały już stosy kartonów z narzędziami do złożenia w zestawy i zapakowania w kartony. Bez zbędnego ociągania się, ustawili prowizoryczny stół, na którym zaczęli rozkładać części zestawów. Po chwili wszyscy już pracowali, w milczeniu przesuwając zestawy po stole i tworząc w ten sposób swoistą taylorowską taśmę. Jakub kątem oka przyglądał się otępiałym ze zmęczenia i głodu towarzyszom. Jak udało się skłonić tylu dorosłych, wykształconych ludzi do tak niewolniczej pracy? Nie dostrzegał ani cienia buntu czy zniechęcenia w ich twarzach. Totalne posłuszeństwo. Tylko czy to jeszcze miało cokolwiek wspólnego ze szkołą ezoteryczną? Dzień ten nie był przecież żadnym nadzwyczajnym. Tylko raz w tygodniu zamiast składania w garażu odbywał się trening. Czy ktoś w ogóle miał czas, aby czytać Bô Yin Râ? Jakub uzmysłowił sobie, że nie widział jeszcze w Pracowni nikogo poza Markiem czytającego inną książkę niż podręcznik akademicki związany z kierunkiem studiów, a i to bardzo rzadko.

Po jakimś czasie przez drzwi garażu zajrzała Wanda.

- Leon i Kuba idźcie się najeść, potem zaraz wracać.

Podążyli za Wandą z szerokimi uśmiechami do kuchni.

- Tu macie kaszę, na gazie stoi burakowa. Weźcie sobie ser z lodówki - powiedziała, wychodząc z kuchni.

Jakub wyjął z szafki miski, a Leon już mieszał chochlą w garnku. Po chwili siedzieli nad dymiącymi porcjami zupy. W połowie drogi jaką odbywała pierwsza łyżka Jakuba od powierzchni zupy do ust, do kuchni wpadła Wanda.

- Kuba! Gdzie masz spis książek?!

Jakub pobiegł poszukać plecaka. Gdy wrócił z wymiętymi notatkami usłyszał:

- Co to ma być?! Dlaczego jeszcze nie przepisane?! Mistrz ma się rozczytywać w tych bazgrołach?! Natychmiast przepisać! Za karę nie zjesz już nic dzisiaj. Zaczynasz sobie popuszczać!

Posłusznie skierował się do swojego pokoju. Wchodząc po schodach dostrzegł jeszcze przez okno Annę przekraczającą bramę. Była obładowana kilkoma wypchanymi reklamówkami. Odetchnął z ulgą, nic się nie stało, po prostu dostała do zrobienia zakupy, dlatego tak późno wróciła.

Gdy zapisywał kolejne tytuły czarnym długopisem, na gładkiej kartce, drukowanymi literami, wszystko zgodnie z „modelem”, czuł, że zbliża się do jakiejś granicy, że pomalutką ma już tego dosyć. Stał mu przed oczami Śliwiński, który podczas wykładu wyjaśniał zjawisko alienacji: „O ile anomia jest chorobą nadmiaru wolności przy braku poznawczonormatywnych środków jej wykorzystania, to alienacja oznacza niedobór wolności. Rzeczywistość stawia opór naszej woli, dlatego wiemy, że jest rzeczywistością. Ale gdy ten opór rzeczywistości nie maleje albo co gorsza nasila się w miarę intensyfikowania naszych wysiłków, mamy do czynienia z alienacją. Człowiek wyalienowany czuje się w społeczeństwie jak w betonowej celi, której ścian nie może rozbić ani przesunąć. A jednak, w przypadku rzeczywistości społecznej alienacja jest prawie zawsze złudzeniem, stanem umysłu. Czujemy się wyalienowani dlatego, że wierzymy, iż nasze życie musi wyglądać tak jak wygląda, że niczego nie można zmienić. Niewątpliwie największą siłą alienującą jest religia. Gdy wierzymy, że to Mojra czy karma, że to Bóg sam zdecydował o naszym obecnym losie, pozycji społecznej, sytuacji matrymonialnej - nic już nam nie zostaje, tylko się podporządkować. Religia może też w pewnych sytuacjach być oczywiście potężną siłą dezalienującą, jak w przypadku teologii wyzwolenia czy innych rewolucji religijnych, gdy osądza się instytucje społeczne przed boskim trybunałem...”

„Test Wyższej Zasady”.

Czy Daniel sprostaby temu testowi? Miał od pewnego czasu wrażenie, że dane mu był obserwować dwie Wspólnoty. Jedna jeszcze nie odeszła, druga jeszcze nie wszędzie zapanowała. Pierwsza była Wspólnotą ludzi kształcących się w rozumianej po starogrecku cnotie, tak jawiłaby się Wspólnota tym, którzy by słuchali „tego co się mówi”. Ci jednak, którzy by zamknęli uszy, i obserwowali „co się robi” ujrzeliby zupełnie inną rzeczywistość. Ta druga Wspólnota była sprawnym mechanizmem formalnie zaprogramowanym na realizację Planu Mesjasza, a faktycznie - któż wiedział jakiego planu? Tutaj ludzie nie byli już celem, byli środkiem do celu. Ów cel jednak wydawał się tak odległy, że konkretne ludzkie życia były pożerane przez różne, niewielkie cele, pomysły, inicjatywy, które coraz trudniej było powiązać w

jakąś spójną całość. Dlatego ludzie w coraz większym stopniu zaczęli udawać, oszukiwać. Siebie samych, siebie nawzajem i oczywiście przełożonych.

Jakub zamierzał poczekać jeszcze na Annę, aby dowiedzieć się, co powiedział lekarz na jej bóle brzucha, ale mijały kolejne minuty, a Anna nie przychodziła do ich pokoju. Uznał, że już nie może dłużej zwlekać i zszedł po schodach na dół.

W głównym pokoju Pracowni zastał dziwną scenę. Anna stała ze łzami w oczach przed stołem, na którym znajdował się aparat telefoniczny przełączony na tryb głośnomówiący. Na kanapie siedziała Wanda i przysłuchiwała się rozmowie. Z głośnika telefonu dobiegał wrzaskliwy głos Pauliny.

- Popuściłaś sobie!!! Takie są skutki oszukiwania! Gdybyś była autentyczna, nie miałabyś problemów! Widzisz jak się kończy udawanie!!!? Głupia babo, niszczysz siebie!!! Zrób z sobą porządek, ile razy można ciebie korygować! Nie chce mi się z tobą gadać. Rozczarowałaś mnie. Od dzisiaj masz jeść burakową trzy razy dziennie i nic innego przez miesiąc. Jasne?!

Anna nabrała powietrza w płuca i opanowała płacz.

- Tak - powiedziała stanowczym głosem.

- Dobra, daj mi Wandę.

Jakub spojrział na swoją dziewczynę pytająco, ale ona tylko musnęła go łzawym wzrokiem i wyszła z pomieszczenia. Położył spis książek przed rozmawiającą Wandą i wyszedł również.

- Anka, co się stało? - rzucił za nią.

Przystanęła na chwilę, nie odwracając się, ale potem puściła się po schodach do góry, do ich pokoju. Dogonił ją po chwili.

- Co się stało? - zapytał ponownie w wejściu. Siedziała na tapczanie i płakała rzewnie. Kucnął przed nią, ujął jej dłonie i powtórzył spokojnie pytanie.

- Mam już tego dosyć. Wszystko się wali. Ja już nie wiem, co robię źle! - powiedziała przez łzy. - Byłam dziś u lekarza. Wykrył mi wrzody na żołądku. Podejrzewa nawet coś poważniejszego, ale jeszcze nie ma wszystkich badań. Mówił, że to na podłożu psychosomatycznym.

Serce podeszło mu do gardła, czuł, że zaczyna kręcić mu się w głowie. Poważniejszego? Usiadł obok niej, otoczył ją ramieniem.

- Paulina uważa, że to dlatego, że oszukuję. Ale ja nie oszukuję! Ja już nie wiem, jak mogłabym być jeszcze bardziej autentyczna? Co ja robiłam nie tak? Realizuję wszelkie modele, jestem posłuszna, chyba, że Marek sam wykracza poza model i niszczy, a nikt mi nie odbierze prawa do obrony siebie. O co w tym wszystkim do jasnej cholery chodzi? - pytała przez łzy z wyraźną nutą pretensji w głosie. Ta pretensja powiedziała Jakubowi, że przebrała się w niej miarka. Była to ewidentna oznaka buntu. Ale nie hysterii. Widział we Wspólnocie kilka kobiet, które pod wpływem niesprawiedliwego nacisku wpadały w histerię. Anna była już tylko zdesperowana. To nie był problem oczekiwań, wyobrażeń, ale realnej rzeczywistości, która się o siebie upomniała. Spojrzała mu w oczy - Jakubie, ja się zaczynam bać. Co, jeśli okaże się że mam raka? Przecież będą mnie tu leczyć zupą burakową i jeszcze większym naciskiem... Ja nie chcę umierać! Nigdy w życiu tak bardzo nie chciałam żyć!

Godzina wybiła.

- Ile masz pieniędzy? - zapytał.

- Co??? - przestała momentalnie płakać zbита z tropu. Jakub zdał sobie sprawę, że trochę niezręcznie zaczął. Odgarnął jej zmoczone łzami włosy i spojrzał prosto w oczy.

- Powiem tak. Wynoszę się stąd. Bardzo chcę - powiedział z naciskiem - abyś odeszła ze mną. Podjąłem tę decyzję wcześniej, chciałem ci to dziś powiedzieć, ale w tej sytuacji nie mam już żadnych wątpliwości. To ciebie niszczy, a ja nie mogę patrzeć, jak jesteś niszczona. Chcę być z tobą. Gdybym sądził, że trwanie tu jest dla ciebie dobre, może bym jeszcze wytrzymał, ale teraz sprawa jest jasna. Skoro realizujesz uczciwie model, który ma ci służyć, a on cię niszczy, to znaczy, że to nie z tobą jest coś nie w porządku, czego by Paulina nie plotła. Coś jest nie tak z modelem. Odejdiesz ze mną?

- Idę z tobą! - powiedziała po chwili zastanowienia.

W Jakubie serce podskoczyło z radości po tym, jak opadł z niego ciężki gład niepewności.

- Poczekajmy jeszcze ze dwa dni. - powiedział, przytulając ją mocno. - Zorganizuję to. W tej chwili nie mam nawet na bilet. Do tego czasu symulacja w symulacji, jasne?

- Jasne - odpowiedziała mu z niepewnym uśmiechem.

\* \* \*

Były to dziwne dwa dni dla Anny. Uczestniczyła w życiu Pracowni, jak gdyby nigdy nic, ale jednocześnie przeżywała jakąś wewnętrzną wolność, jakiś dystans do tego wszystkiego. Raz nawet nie wytrzymała, gdy Wanda miała o coś pretensje - roześmiała się jej w twarz. Bidula nie

wiedziała, co o tym myśleć. Jakub spojrział na nią wtedy z lekką naganą, ale potem w pokoju śmiali się z tego do rozpuku. Podłyszeli, jak Wanda melduje przez telefon do Warszawy, że „histeria Anny dramatycznie się nasila”.

Nie wiedziała, co Jakub kombinuje, ale dzięki tej ich słodkiej tajemnicy jej zaufanie do niego wzrosło na tyle, że nie musiała o wszystkim wiedzieć, nawet nie chciała.

Drugiego dnia wieczorem już spakowała wszystkie rzeczy do toreb, w plecak i do reklamówek. Położyła się trochę wcześniej spać, na szczęście nie było tej nocy żadnego „zamówienia” od Henryka i spółki. Ich plany pokrzyżowało, a raczej odroczyło polecenie dla Jakuba kolejnego wyjazdu do Warszawy.

Jakub miał zawieźć jakieś ważne dokumenty dla Urszuli, a po drodze zajechać do Henryka i przekazać mu kilka kartonów z towarem, które nie zmieściły się w poprzednim transporcie.

## Rozdział XXXIII

Szykował się nudny, rutynowy wyjazd. Całą drogę czuł się w kabinie swego „służbowego” Volkswagena, jakby siedział na igłach. Że też nie udało mu się wykręcić od tego wyjazdu. Przedłużająca się niepewność działała na niego przygnębiająco. Dusił więc mocno pedał gazu, aby jak najszybciej zrobić, co do niego należy i od jałowego planowania przystąpić do realizacji planów. Odczuwał też pewien niepokój, zostawiając Annę samą w tym momencie. Nie był do końca pewien jej decyzji. Czy zachowa ich tajemnicę, gdy ktoś ją porządnie „przyciśnie”, odwoła się do praw duchowego posłuszeństwa, obowiązków autentyczności, zagrozi strasznymi konsekwencjami ze strony Mocy, Systemu? W końcu uznał, że to chorobliwa wyobraźnia podsuwa mu takie podejrzenia. Ostatecznie nigdy nie jest tak, byśmy w pełni panowali nad jakąkolwiek sytuacją. Trzeba mieć zaufanie do losu, Opatrzności, innych ludzi. W końcu poza siłami, których się w życiu obawiamy, działają też te nam przychylnie, zbieżne z naszymi zamiarami. Niestety, często przewidzenie wyniku ich konfrontacji staje się zadaniem dla matematyki chaosu. Ludy prymitywne, jak te, które opisywał Malinowski, w takich sytuacjach stosowały magię. Umożliwiała im ona spoglądanie z optymizmem w przyszłość, uruchamiała ukryte w nich same siły osobowości, dzięki czemu faktycznie sprawiała, że lepiej sobie radzili w sytuacji próby. Jakub żałował, że nie zna żadnego magicznego rytuału, który przywróciłby mu spokój ducha, tym mocniej więc naciskał pedał gazu.

W połowie drogi zatrzymał się przy przydrożnym zajeździe i zaczął przeglądać przesyłkę dla Urszuli. Były to bilanse sporządzone przez jednego z księgowych lokalnego oddziału firmy Henryka dla fundacji zarządzanej przez Urszulę. Nie znał się na finansach, ale już wkrótce doszedł do przekonania, że wszystko to miało dość luźny związek z rzeczywistością. Większość wydarzeń tam opisanych - z tego co wiedział Jakub - świadczonych usług czy wiązanych inicjatyw nigdy nie miało miejsca. Ciekawe, jak te wszystkie bajki przełknie urząd skarbowy. Kwoty widniejące w tych papierach nie były szczególnie wysokie, przynajmniej w porównaniu do tych, jakimi zwykle obracały fundacje, czy jakie były w obiegu między przedsiębiorstwami podobnej wielkości. Ale Jakub nie miał wątpliwości, że sumowały się one ostatecznie do poważnej kwoty.

W końcu dotarł do celu, zaparkował przed znaną już sobie z ostatniej wizyty kamienicą i zadzwonił przez domofon.

- Kto tam? - odezwał się głos, którego wśród potoku trzasków płynących ze starego głośnika nie rozpoznał.

- Jakub. - Jaki Jakub? - Ja do Urszuli - powiedział nieco zbity z tropu. Sądził, że spodziewano się go, skoro wioził tak ważne ponoć dokumenty. Co więcej, głos w domofonie wydał mu się cokolwiek obcy. Dodał więc na wszelki wypadek: - Czy tu mieszka Urszula Pawłowska?

- Proszę wejść - usłyszał, zanim w chwilę później elektromagnes zwolnił blokadę drzwi. Wbiegając po schodach, uświadomił sobie, że przecież we Wspólnocie nikt do nikogo nie zwracał się w ten sposób. Słowa „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam”, wszelkie okazywanie grzeczności, zostały przecież przez Daniela wyklęte, jako „pusta konwencja”, maska, którą ludzie zakrywają swoje „prawdziwe ja” tak jak swoje realne intencje i interesy. Tymczasem usłyszał „Proszę wejść”. Ciekawe. Czyżby Urszula miała gości?

Tymczasem w drzwiach czekała na niego starsza kobieta, w szlafroku, z papilotami na głowie, w trzęsącej się ze zdenerwowania ręce trzymała jakąś białą kopertę. Czyżby jednak, mimo wielokrotnego sprawdzania, pomylił mieszkania?

- Pan jest znajomym pani Pawłowskiej? - zapytała.

- Mam do niej sprawę... - odpowiedział, uciekając od jednoznacznej odpowiedzi.

- Pana może też oszukała? - zapytała starsza pani, cała drżąc z poirytowania.

- Mam nadzieję, że nie. A panią... - zawiesił głos chcąc w ten sposób zachęcić rozmówczynię do wyznań.

- Myślałam, że pan może też. Niestety nie wiem, gdzie teraz mieszka pani Urszula - imię to wypowiadała z wyraźnym przekąsem. - Wyprowadziła się bez uzgodnienia czegokolwiek tydzień temu. Zalegała mi z czynszem od pół roku. Czy myśli pan, że uregulowała cokolwiek? Gdzie tam! Ja ją do sądu pozwę! W poniedziałek zresztą przyszedł listonosz, przyniósł dla niej ten list polecony, mnie nie było, ale córka - bezmyślne dziewczę - odebrała. Może pan to weźmie? Dziękuję. No więc okazało się, że pan, bardzo miły zresztą, bo był tu wczoraj, który wynajmował im mieszkanie przede mną, gdzieś na Woli. No więc, jemu też zalegają na kilkanaście tysięcy. Gdy zagroził procesem, oddali ledwie pięć! Zapowiedział, że założył sprawę, może się dołączyć. To właśnie jest wezwanie do sądu dla pani Urszuli. Niech pan jej przekaże, że

jeśli do jutra mi nie zwrócą całej kwoty, ze mną też będą mieli do czynienia. Żadnych obietnic, że w przyszłym tygodniu! Albo jakichś żalonych kwot co dwa miesiące. Już dosyć się tego nasłuchałam w ostatnich miesiącach. Jutro wszystko albo wojna. Niech jej tak pan powie! Przecież, do cholery, na biedną nie trafiło! - pani w papilotach gniewała się coraz bardziej. - Wdział pan jak ona chodzi ubrana? Jakimi samochodami jeździ? Zresztą, co mnie to obchodzi, nie moja sprawa, byleby płaciła. Może za dużo gadam, ale sam pan widzi. Jak tak można starą kobietę wykorzystywać?

- Niech się pani uspokoi - powiedział Jakub delikatnym głosem - jestem pewien, że wkrótce się wszystko wyjaśni.

- Mam nadzieję. Nie jestem konfliktową osobą, ale to już przechodzi ludzkie pojęcie. No, niech pan już idzie i przekaże jej ten list. Do widzenia panu.

Jakub zachodził w głowę, o co w tym wszystkim chodzi. To jakoś nie trzymało się kupy. Dlaczegoż Urszula miałaby nie płacić tym ludziom? Spodziewał się usłyszeć przekonującą wersję od samej zainteresowanej już wkrótce.

Nie miał pojęcia, gdzie szukać Urszuli, nikt mu nie powiedział, że zmieniła lokum. Może wyprowadzili się do tego kupionego dworku? Remont się ślimaczył, ale teraz już powinien wedle wszelkiego prawdopodobieństwa się skończyć. Na wszelki wypadek odszukał w komórce numer do Hanki, uczennicy Urszuli i jej prawej ręki. Jej samej nie chciał kłopotać. Faktycznie, oczekiwano już go, po drugiej stronie Wisły.

Nie bez trudu przedostał się przez miasto, o mały włos unikając przy tym stłuczki. Ciągle nie mógł się przyzwycząić do sposobu, w jaki Warszawiacy traktują innych uczestników ruchu drogowego. Z ulgą wydostał się z tego kotła i już tylko świadomość konieczności wracania tą samą drogą psuła mu przyjemność prowadzenia po świeżo wyremontowanej drodze.

Wkrótce wjeżdżał do posiadłości Urszuli. Niewielki dworek nosił jeszcze ślady niedawnego remontu. Tu i ówdzie leżały kupy gruzu czy zamknięte resztki worków z wapnem. Trawnik był zarośnięty i podobnie jak cała flora - puszczony na żywioł, najprawdopodobniej z braku ludzi, którzy mogliby mu poświęcić czas.

Ku swemu niezadowoleniu dowiedział się, że Urszuli nie ma na miejscu, wróci dopiero za dwie godziny. Nie było wyjścia, musiał czekać, polecenie było jednoznaczne - miał przekazać dokumenty do rąk własnych. Usadowił się więc w kącie olbrzymiej kuchni, nieopodal wejścia, przy niewielkim stoliku służącym jako stanowisko do krojenia chleba i zabrał się do lektury.



Jednocześnie znad stronic książki obserwował ukradkiem wchodzących i wychodzących domowników. Jak się zorientował, pod okiem Urszuli mieszkało tu jeszcze kilka małżeństw: Hanna z mężem, Bartek z żoną Jadwigą i jeszcze jedno małżeństwo, które Jakub znał tylko z widzenia. Poszczególne rodziny zajmowały tu czworaki usytuowane obok dworku. Jedyne kuchnię, jak się wydaje, prowadzili wspólną. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt go niczym nie poczęstował, nawet o miętę musiał się sam upomnieć. Wkrótce okazało się dlaczego: przechodząc przez kuchnię z czajnikiem, przyuważył jak Jadwiga otwierała lodówkę - w środku było zupełnie pusto za wyjątkiem kilku zwiędniętych marchewek i niewielkiego pudełka z resztkami smalca. Tylko na pierwszej, najwyższej półce było pełno różnych artykułów, starannie poukładanych i popakowanych w hermetyczne pojemniki. Znając wzorce panujące we Wspólnocie, domyślił się, że to musi być półka Urszuli. Tymczasem Jadwiga chwilę stała, bezradnie usiłując zaczepić wzrok na jakimkolwiek przedmiocie z niższych półek, po czym zerkając kątem oka na Jakuba, zaczęła coś grzebać na półce Urszuli. Udało jej się wyszukać kostkę białego, śmietankowego sera, który był już z brzegów na tyle mocno pożółknięty, że Urszula pewnie by go nie tknęła. Tym niemniej, po odkrojeniu brzegów udało się Jadwidze to i owo odłożyć. Pozostałą, większą część zawinęła i schowała na miejsce. Jakub poczuł w tym momencie, że ktoś za nim stoi. To była Hania, która musiała już od pewnego czasu przyglądać się Jadwidze, zaraz jednak zniknęła w korytarzu.

Jakub, choć był nieco głodny, nie zazdrościł bynajmniej Jadwidze tego starego twarogu, nawet jej trochę współczuł, zwłaszcza, że - co sobie właśnie uświadomił - podobnie jak reszta domowników nie wyglądała za dobrze. Była nie tylko bardzo szczupła i miała mocno podkrążone oczy. Jej cera też nie prezentowała się najlepiej. Sprawiała wrażenie, jakby samo poruszanie łączyło się dla niej z bólem.

Potem do kuchni wtoczyła się gromada dzieci z Hanią. Dzieci właśnie skądś przyszły, co było widać po ich ożywieniu, wszystkie trzymały różne foliowe torebki, które układały na stole. Hania wyjęła garnek i zaczęła wrzucać ich zawartość. W pierwszej chwili Jakub nie wiedział, co to jest, dopiero z podsłuchanej rozmowy zorientował się, że były to marchwiowe i jabłkowe wióry z sokowirówki, które dzieci wyprosiły w marketach, do których zostały wysłane. W osłupieniu maskowanym intensywną lekturą przyglądał się jak Hania wszystko to gotuje, a potem wspólnie, w milczeniu, zjadają zachłannie pomarańczową papkę. Czuł, że wszystko się w nim kotłuje, nie mógł pojąć tego, co widział. „Nic dziwnego, że zaczynają przypominać stado

wilków, których ktoś namówił do przejścia na wegetarianizm. Za to jeśli chodzi o rozmnażanie zaczynają wykazują energię życiową królików, co też nie dziwi, skoro żywią się jak króliki”.

Kuchnia wkrótce opustoszała, a Jakub mógł zagłębić się w lekturze. Trudno mu się jednak było skupić, „folwark” Urszuli rodził zbyt wiele pytań. Z jednej strony odremontowana w luksusowym stylu posiadłość ze sporym kawałkiem terenu, z drugiej niezapłacone rachunki, wynędniali i głodni ludzie, odżywiający się produktami, które inni przeznaczali na śmieci. Pod tym względem miejsce to stanowiło swoisty ewenement na tle innych podwspólnot Wspólnoty. I dawało nie najlepsze świadectwo o lokalnej władczyni. U Marka odżywiali się znacznie lepiej. Raz nawet kupili całą świnię i zamówili rzeźnika, dzięki czemu mieli zapasy doskonałych wędlin na miesiąc dla wielu rodzin. Czego by nie powiedzieć o Marku, potrafił zatroszczyć się o ciała swoich uczniów, nawet, jeśli ich dusze wymykały mu się z rąk.

Zaczął się już robić szaro, gdy usłyszał wjeżdżający na dziedziniec samochód. Nie zatrzymując się przed głównym wejściem, przejechał i zaparkował z tyłu. Miał nadzieję, że - jeśli to była Urszula, bo to jej pokoje znajdowały się z tyłu - zostanie szybko poinformowana o jego obecności.

Przez najbliższe kilkanaście minut dochodziły go odgłosy intensywnej krzątaniny, co zwiastowało rychłe załatwienie sprawy. Wkrótce do kuchni weszła Jadwiga - na co Jakub poderwał się z miejsca, sądząc, że przyszła po niego właśnie. Ona jednak skierowała się prosto do lodówki, nawet nie spojrzawszy na Jakuba, i wyjęła ów zżółknięty ser, po czym zniknęła w korytarzu. Jakub domyślił się co się stało. Jego podejrzenia znalazły potwierdzenie po paru minutach, gdy Jadwiga wróciła - tym razem faktycznie, aby mu przekazać, że Urszula go oczekuje. Gdy mijał ją w korytarzu dostrzegł, że cały ser miała rozsmarowany na głowie. Tak, w tym domu ściany miały wiele uszu i oczu. A własność „cesarzowej” była święta.

Urszula siedziała rozparta w biedermeierowskim fotelu wyłożonym skórą przeglądając, jakieś papiery.

- Połóż to tutaj - zwróciła się do Jakuba, wskazując stojący opodal stolik. Jakub wyłożył na nim obie pękate teczki. - Zaglądałeś do środka?

- Wiem co mi wolno, a co nie - odparł, a jako, że Urszula nic nie odpowiedziała, postanowił zmienić temat. - Właścicielka mieszkania, które wynajmowaliście, prosiła, abym to przekazał. Groziła też procesem, jeśli nie dostanie swoich pieniędzy do jutra.

Urszula wzięła list i rzuciła okiem na nadawcę. Wtedy dotychczasowy spokój zniknął z jej twarzy.

- Wiesz co to jest?! Po jaką cholere to wzięłeś?! Kazał ci ktoś? Przecież to wezwanie do sądu! Co za kretyn! O czym ty myślałeś?! Wiesz czego chcą ci ludzie!? Przecież oni chcą pieniędzy! Naprawdę sądzisz, że potrafią je lepiej użyć od nas? Pieniądze to forma energii! Jak chcesz się energetycznie rozwijać, gdy nie szanujesz energii Wspólnoty?! Wypuszczasz energię obcym ludziom! Jak sądzisz, komu oni służą? Czy służą Systemowi? Przecież to umowni! Wsparłeś przez swą głupotę Antysystem! Szatana! - Po chwili uspokoiła się, widać przyszło jej do głowy rozwiązanie problemu: - Pojedziesz i odwieziesz ten list tej kobiecie. Powiesz, że mnie nie znalazłeś i nie wiesz, gdzie mieszkam. Jasne? - A teraz powiedz, jakie masz wnioski.

Jakuba zatkało. Cały ten wywód stanowiący w gruncie rzeczy niezbyt wyrafinowaną racjonalizację zwykłego szwindla stał w tak rażącej sprzeczności z wszystkim czego uczył Bô Yin Râ, czego uczyli go mistrzowie we Wspólnocie z samym Danielem na czele, o tym, że w świecie działa bezwzględne prawo zachowania energii, że kto czerpie niesłuszne zyski w jednym obszarze, temu natura sama odbierze energię w innym, a kto daje, temu System zwróci z nawiązką. Zgodnie z tym prawem uczono go, że gdy nie będzie miał biletu na przejazd tramwajem, a będzie zmuszony nim pojechać, to następnym razem powinien odbić podwójnie i wyrównać dług. Że powinien bezinteresownie pomagać innym, a wtedy sam spotka się z pomocą innych ludzi, których System postawi na jego drodze... Tymczasem Urszula zdawała się praktykować zupełnie inną maksymę, zgodnie z którą cel uświęca środki. Co prawda i sam Daniel tłumaczył, że złoto użyte na budowę świątyni się uświęca, ale odnosił to do ludzkich żądz i namiętności, które trzeba okiełznać i ukierunkować, była to więc jakaś forma tantryzmu. Uczył jednak jednocześnie, że nie tylko nie należy siebie niszczyć i nie pozwalać sobie niszczyć innym, ale też nie wolno niszczyć innych. Nigdy nie słyszał nic, co usprawiedliwiałoby tą „urszulańską” kazuistykę, zgodnie z którą naciąganie innych jest służbą Bogu. A teraz jeszcze miał wygłosić przed tą kobietą wnioski! W Jakubie zaczął wzbierać gniew. Milczał, co zostało, słusznie zresztą, odebrane jako odmowa.

- Jeszcze się buntujesz? Zrobiłam ci próbę, więc mów wnioski!

Ona nazywa to „próbą”?! Gniew w Jakubie narastał. Odparł z podobnym naciskiem:

- Uczono mnie, by nie przyjmować nacisku od nieswojego mistrza. Nigdy nie byłeś moją mistrzynią i nie będziesz, dopóki Daniel tak nie postanowi.

Urszula z trudem ukryła zaskoczenie taką odpowiedzią. Nie zmieniła jednak swej pozycji na fotelu, przybrała tylko surowy wyraz twarzy i chciała właśnie coś powiedzieć, gdy szczęśliwie dla Jakuba zadzwonił jej telefon komórkowy. Spojrzała na wyświetlający się numer rozmówcy i rzuciła tylko do Jakuba:

- Zjeżdżaj. Jeszcze się rozliczymy.

Wychodząc, Jakub usłyszał jeszcze tylko:

- Dobry wieczór panie ministrze, tak... oczywiście pamiętam o panu, tak... jesteśmy umówieni... Oczywiście, że rozmawiałam z premierem, tak... obiecał poparcie... naturalnie, że pamiętam... ależ pan miły...

Jakuba zaskoczyła sprzeczność między grzecznym teraz tonem jej głosu, pełnym uprzejmości, by nie powiedzieć uniżoności, a wyrazem twarzy i zupełnie rozluźnioną postawą jej ciała, którą postronny obserwator mógłby odczytać jako pełne pogardy lekceważenie dla rozmówcy. „Cholernie niebezpieczna kobieta, dla niej kłamać to jak oddychać” - pomyślał z niechęcią - „Rację miał Ryszard, by trzymać się od niej jak najdalej”.

Jakub zabrał szybko swoje rzeczy i wsiadł do samochodu. Domownicy nie wiedzieli, jaki był rezultat rozmowy z Urszulą, więc nikt go nie zatrzymywał. Po chwili jechał już z powrotem.

\* \* \*

Jakub wrócił po północy, znacznie szybciej, niż się spodziewał. W telewizji był o tej porze jakiś ważny mecz reprezentacji narodowej, więc drogi były niemal puste. Zajechał przed bramę, ale zaparkował na zewnątrz. Z niepokojem zauważył bowiem stojący na podjeździe przed domem samochód na warszawskich rejestracjach. Kolor i marka się zgadzały. Mogło to znaczyć tylko jedno: przyjechał Daniel. Anny nie było w ich pokoju, udał się więc do głównego budynku Pracowni.

W kuchni zastał Olka, który pałaszował olbrzymią miskę pełną kaszy wymieszanej z burakową. Cisza, jaka panowała w domu, tylko wzmogła jego niepokój.

- Nie wiesz może, gdzie jest Anna? - zapytał.

Olek oderwał się zaskoczony od miski, z trudem przełknął olbrzymi kęs i powiedział z szerokim uśmiechem:

- Właśnie wezwał ją do siebie Daniel. Na leczenie - dodał, znacząco mrugając okiem.

- Nie wiedziałem, że jest też bioenergoterapeutą...

- Hi, hi, raczej seksoterapeutą! - Olek o mało się nie udławił ze śmiechu.

Jakub poczuł jak ogarnia go uderzenie mdłości, kolana zaczęły mu się trząść, jego plecak opadł na podłogę. Musiał się szybko opanować, „Nie jestem bezradny, to tylko gra, tylko rola, muszę tylko wrócić do siebie” - powtarzał w myślach. Opadł na krzesło i zastosował swoje stare ćwiczenie, które zazwyczaj pozwalało odzyskać dystans do rzeczywistości: „Ludzkość istnieje od dwustu tysięcy lat, składa się z miliardów byłych i obecnych istnień, które wszystkie miały swoje dramaty, po mnie przyjdą dalsze miliardy bilionów: czym jest ta chwila? Czym jest ludzkość, krótka przygoda jednej niewielkiej planety, krążącej wokół jednej z dwustu miliardów gwiazd na brzegu jednej ze stu miliardów galaktyk?” Ze wszystkich sił skupił się na tej myśli, tylko od maksymalnego skupienia zależała skuteczność tej techniki. „Najważniejsze to wyobrazić sobie najgorsze możliwe konsekwencje i wewnętrznie zgodzić się na nie”. Wstał, czując, że mdłości ustąpiły, jego umysł się oczyścił, ale tylko po to, by mógł, już świadomie, pozwolić ovladnąć się zupełnie innej namiętności: czuł wzbierający w nim gniew, poczekał jeszcze sekundę, aż jego fala dotrze do mózgu.

- A ty dokąd - Olek chwycił go za ramię, wstając od stołu. Jakub nie myślał. Gdyby myślał, nie zadziałałby tak błyskawicznie. Z półobrotu uderzył z całej siły swego gniewu Olka łokciem w mostek. Cios łokciem należy do najsilniejszych uderzeń jakie można zadać, zwłaszcza, gdy wyprowadzony jest z obrotu. Stąd Olek, choć znacznie silniejszy od Jakuba, uległ temu argumentowi, przynajmniej na chwilę tracąc oddech i równowagę.

Jakub, nie czekał, aż się wygrzebie spod stołu i nie oglądając się więcej za siebie, ruszył korytarzem w kierunku schodów wiodących do pokoju Daniela. Czuł, że z każdym krokiem był gotów na coraz więcej, coraz mniej się liczyło.

Na schodach zobaczył Paulinę, broniącą dostępu do komnaty jej pana, męża i mistrza. Zaalarmowana hałasem dobiegającym z kuchni zerwała ze ściany jeden z mieczy Marka i zbiegła po schodach.

- Kuba - warknęła ostrzegawczo, gdy w półmroku dostrzegła wyraz jego oczu i czerwień jego twarzy - wracaj do kuchni.

Jakub nie dając sobie ani przeciwniczce czasu do namysłu, rzucił się z całą swoją szybkością na Paulinę.

- Spierdalaj suko!

Nie zdążyła zadać ciosu, tylko wystawiła miecz w kierunku nacierającego Jakuba. Przechwycił dłonią klingę, szybko skrócił dystans, zostawiając ją z boku i z całej siły uderzył

barkiem w Paulinę, przewracając ją na schody. Gdyby to był prawdziwy miecz samurajski, pewnie pożegnałby się z palcami. Szczęście mu jednak sprzyjało, była to tania polska podróbka, nawet specjalnie nienaostrzona. Tylko ograniczyła strażnicze ruchy. Samymi piętami, paznokciami i zębami zwojowałaby dużo więcej. Jakub nawet nie starał się wyrwać jej tego żelastwa z rąk, tylko pociągnął ją za nie w dół. Jednocześnie podstawił nogę, wytrącając z równowagi i ponownie przewracając u podnóża schodów.

Jakub usłyszał za sobą kroki nadbiegającego z odsieczą Paulinie Olka, więc szybko podniósł miecz, który tamta upuściła i zakręcił nim młynek Olkowi przed nosem. Ten zawahał się, wiedział, że miecz to ulubiona broń Jakuba, widział na treningach, co potrafi z nią wyczyniać. Paulina nie widziała.

- Bierz go! - wrzasnęła na Olka.

Wówczas jednak akcja na parterze została nagle przerwana, jak na sygnał reżysera, hałasem, który rozległ się na górze. Drzwi do pokoju Daniela rozwarły się z trzaskiem i wybiegła nimi Anna, a zaraz za nią ryczący z gniewu Daniel.

- Głupia baba!!! Chcesz zdychać na raka, rzygać kałem?! Proszę bardzo, wracaj do tego swojego mięczaka!!! Paulina, do mnie!!! - Wrzasnął z wściekłością, zatrzasnął drzwi. Najwyraźniej nie zwrócił uwagi na to, co się rozgrywało u podstawy schodów.

Podnosząc się, Paulina rzuciła tylko nienawistne spojrzenie Jakubowi i posłusznie pobiegła na wezwanie.

- Olek, choć tutaj - krzyknęła jeszcze.

Anna ku zaskoczeniu Jakuba nie rzuciła mu się z płaczem na szyję, tylko zeszła jak gdyby nigdy nic ze schodów i zainteresowała się rozciętą ręką Jakuba. Ten jednak pociągnął ją do wyjścia.

Olek próbował zagrozić im drogę, na co Jakub zapytał tylko:

- Dostałeś polecenie nas zatrzymać czy iść na górę?

Minęli Olka stojącego z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Miotał się między obowiązkiem dyscypliny, a pragnieniem osobistego rewanzu. Jakub chwycił swój plecak i wyszli z domu. Kątem oka przyjrzał się Annie. Nienaganny stan jej ubrania wskazywał, że Daniel nie zdążył nawet niczego spróbować ze swych terapeutycznych technik.

Wbiegli przez garaż po schodach do swego pokoju. Jakub chwycił dwie najcięższe torby.

- I tak wszystkiego nie weźmiemy - stwierdziła Anna.

- To wybierz to, co najcenniejsze - odpowiedział Jakub, znikając w mroku schodów.

Anna przerzuciła sobie torebkę na pasku przez ramię, ubrała plecak, chwyciła dwie reklamówki i podążyła za Jakubem.

Spotkała go przed wejściem.

- Dużo zostało? - zapytał.

- Tylko plecak z książkami - odpowiedziała.

- Poczekaj...

No tak, pomyślała ze złością, ten to książek nie porzuci. Woli zaryzykować spotkanie z Olkiem, który pewnie właśnie otrzymuje instrukcje. Niczego nie pragnęła bardziej, niż znaleźć się jak najdalej od Pracowni. Wszystko co opóźniało... Ale Jakub już wracał po schodach. Stał jeszcze przy drzwiach od garażu, gdzie stał zaparkowany wóz Marka, włożył klucz w zamek i... ułamał go. Podobnie postąpił z kłódką w bramie, która więziła samochód Daniela. Za bramą stał już gotowy Volkswagen Transporter, którym przyjechał.

- Pożegnaj się - powiedział, zamykając za nią furtkę.

Nie miała absolutnie ochoty na żadne pożegnania. Chciała wreszcie stąd zniknąć.

W kompletnej ciszy i ciemności zapakowali torby na tył. Wtedy usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi, a potem głos Olka.

- Kuba! Gdzie jesteś? Usłyszeli, że wspina się po schodach do ich pokoju. Wkrótce odkryje ich ucieczkę. Niestety Anna, przyzwyczajona do jeżdżenia maluchem zbyt mocno trzasnęła drzwiami. Jakub odpalił samochód i ostro ruszył. Dojechali do głównej drogi i skręcili w stronę miasta.

Wkrótce jednak, ku zdziwieniu Anny, zawrócili, a potem zjechali z głównej drogi i wjechali w las.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Spodziewam się pościgu, w końcu pożyczyłem ich samochód. Oni zaś spodziewają się, że pojedziemy do miasta. Nie będą mogli się szybko wydostać z Pracowni, bo popsulem im zamki. Ich pierwszym pomysłem, będzie wezwać Leona albo Waldka z samochodem, a najpewniej ich obu. Osobiście wolę unikać konfrontacji, zwłaszcza teraz, gdy są maksymalnie wkurzeni.

Uświadomił sobie, że jechał właśnie przez las, który przed kilkoma laty przemierzał pieszo, w przeciwnym kierunku. Od tamtego czasu poznał ten las całkiem nieźle. Zaparkował

blisko polany, na której często ćwiczyli z Markiem. Wiedział, że Marek przychodzi tu codziennie, aby samotnie ćwiczyć taolu. Wyjął z plecaka komórkę i wystukał SMSa.

- Wsiądźmy, musimy poczekać.

Usiedli obok siebie na przewróconym pniu drzewa. Jakub objął Annę ramieniem i przytulił mocno. Ten uścisk wycisnął z niej strumień łez, jakby przełamał adrenalinową barierę na uczuciach, które w niej kotłowały. Po chwili jednak zaśmiała się przez łzy:

- Zgadnij, gdzie go kopnęłam!

Poczuł w tej chwili, że zawibrowała komórka w jego kieszeni. Spojrzał na wyświetlacz: „Potrzebna krew grupy AB rh plus, zadzwoń: 031 5 505 055”.

- Może byś się przespała? Z tyłu wozu jest przytulne legowisko. Mamy jeszcze trzy godziny. Obiecuję odpierać ataki.

- Czy mógłbyś się położyć ze mną? - zapytała, a on z chęcią na to przystał, w końcu nie miał nic innego do roboty. A w lesie czuł się bezpieczny.

\* \* \*

Budzik powinien zadzwonić o wpół do czwartej, ale nie było mu dane. Jakub musiał się widać obudzić wcześniej. Krzątał się wokół butli gazowej, poruszał się z najwyższą ostrożnością, by nie narobić hałasu. Potem delikatnie dotknął Annę.

- Nie śpię - powiedziała i podniosła się. Mimo wszystko ta chwila snu dobrze jej zrobiła. Sen najmocniej rozdziela terażniejszość - dzisiaj od przeszłości - wczoraj.

Podał jej coś zawiniętego w papier.

- Masz, jedz. - Był to chleb z serem. - Śniadanie do łóżka - powiedział, cicho chichocząc. Po chwili podał jej jeszcze kubek z herbatą. Nie z miętą, ale z prawdziwą, czarną herbatą yunnan, jakiej nie piła już od wielu lat.

- Herbata? - zapytała zaskoczona. Jej smak niósł w sobie czystość źródlanej wody, przywodził na myśl Himalaje.

- Nie powinnaś pić mięty. Pobudza wydzielanie soków żołądkowych - szepnął.

Zauważyła, że Jakub spogląda przez tylne okno. Po chwili mrugnął dwa razy latarką w kierunku drogi, którą przyjechali. W oddali ukazały się światła samochodu.

- Już jest - powiedział. - Zbieramy się.

- Co jest? - zapytała.

- Nasz transport.



Zaczęli wynosić torby i reklamówki z samochodu. Gdy wszystko znalazło się przed samochodem powiedziała z westchnieniem.

- W sumie to nasze całe gospodarstwo domowe. Niewiele tego.

- Od tego zaczynamy - powiedział. - No, niezupełnie tylko od tego - myśląc o tym, co zostawił w swoim mieszkaniu.

Zamknął samochód, a potem sam wspiął się po linie, którą kiedyś zamontowali, by wzmacniać sobie ramiona. Na górze przyczepił kluczyki i zsunął się na dół.

Światła samochodu powoli się zbliżały.

- Kasjopeja - Jakub patrzył w gwiazdy. - Tam na Drodze Mlecznej. A tam dalej Łabędź.

W końcu nadjechał pojazd, którym okazał się być mały fiat, w mroku nie rozpoznała koloru. Zatrzymał się tuż obok nich. Otworzył się bagażnik, a chwilę potem z samochodu wysiadł jakiś wysoki, szczupły chłopak.

- Witam - powiedział.

- Poznajcie się: Michał - przedstawił Jakub. - Anna.

- Dużo o tobie słyszałem - powiedział Michał, ściskając jej rękę.

- Kłamie. Wcale mu dużo nie mówiłem.

- Nie kłamałem, ale żartowałem, to duża różnica - odparł ze śmiechem. - A nie był to czczy żart, bo zawierał w sobie element przygany. Przygany wobec ciebie.

„Cóż za gaduła” pomyślała Anna „Chociaż w sumie wydaje się sympatyczny, jak na umownego”.

- Dawajcie te toboły - Michał przeszedł do konkretów, otwierając szerzej bagażnik.

W bagażniku zmieściły się tylko trzy reklamówki, resztę bagaży ulokowali na tylnym siedzeniu, gdzie usiadła też Anna. Za siedzeniem Michała niestety nie zmieściło się za dużo, gdyż zajmował ze swymi długimi nogami prawie całą lewą stronę.

Zrozumieli, dlaczego Michałowi tyle trwało dotarcie do nich, od kiedy stał się widoczny. Maluch był starym gruchotem i wydawał niepokojące dźwięki na każdej dziurze, których pełno było na leśnej drodze.

Po chwili jechali już po autostradzie, rozcinając długimi światłami czerń nocy.

- Jak wam się spało? - zapytał Michał.

- Prawie wcale.

- Nie dziwię się. Ale żeście mi zafundowali przejażdżkę. Jeśli umiecie się modlić, to się módlcie. To stary samochód...

Nie zdążył wypowiedzieć tych słów, gdy samochodem coś szarpnęło.

- O Kurde! - krzyknął Michał, gdy maluch zaczął nagle wytracać szybkość - mówiłem, żebyście się modlili! Cholera, pewnie znowu zerwała się linka gazu, psia krew.

Zatrzymał samochód na poboczu i wyłączył silnik. Ukrył na chwilę twarz w dłoniach. Musiało mu być wstyd za swój wehikuł.

Po chwili rozpoczął oględziny samochodu. Okazało się, że to pękł pedał w miejscu, gdzie zaczepiona była linka.

- To nie jest zupełnie źle - powiedział. - Mam pomysł. Linka gazu idzie tą kolumną między siedzeniami. Podczepimy ją do tej wajchy od ssania. Słyszałem, że tak można zrobić. Jechaliście kiedyś samochodem na ręcznym gazie? No, to pojedziecie.

Realizacja tego pomysłu zajęła pół godziny. Trzeba było odkręcić obudowę przy świetle latarki. Odczepili linkę ssania i zaczepili tę od gazu. Zrobili próbę, a gdy okazało się, że mechanizm funkcjonuje, prowizorycznie zamontowali obudowę. Anna odetchnęła z ulgą. Przez czas, kiedy chłopacy krzatali się wokół linki, ona myślała tylko, czy nie zbliża się czasem pościg. Dopiero odgłos silnika malucha ją uspokoił. Jakub też wyraźnie odetchnął z ulgą, siadając na swoim miejscu.

Potem już jechali spokojnie. Wjeżdżając do miasta, Jakub i Anna usiedli niżej, aby nie było ich widać.

Michał włączył magnetofon i z niewielkiego głośnika zamontowanego z tyłu popłynęła wesola muzyka. Były to protestanckie pieśni, śpiewał chyba jakiś chór, a w każdym razie grupa ludzi, którym przewodniczył mężczyzna, ewidentnie nawiedzony. Co chwila wykrzykiwał „Halleluiah!”, „Glory!, My Lord!, Let’s pray!” i tak dalej. Śpiewali nawet ładnie. Wyglądało to na zapis spotkania modlitewnego. Annie zawsze było daleko do chrześcijaństwa, zwłaszcza tego w wydaniu rodziców. Ale ta muzyka była pełna wolności i radości. W tej chwili była za nią szczerze wdzięczna.

- Już jesteśmy prawie na miejscu - powiedział Michał, gdy wjechali w jakieś blokowisko.  
- Mówiłeś, że jakim samochodem przyjadą? Zielonym Fordem? - Zapytał w pewnym momencie.

- Zgadza się.

Numery rejestracyjne też się zgadzały.

- No, to już czekają. Wejdziemy przez drugą klatkę, od tyłu, a do naszej przejdziemy piwnicą. Niczego nie zauważą. A jak nie będziecie palić świateł, to poczekają sobie jeszcze długo.

Z pomocą Michała udało im się zabrać wszystkie torby i siatki za jednym razem. Wjechali windą na trzynaste piętro. Michał niestety nie mógł znaleźć kluczy. Wtedy, ku zaskoczeniu Anny, Jakub wyjął swoje i otworzył drzwi. Była zbyt zmęczona, aby żądać wyjaśnień.

- Co zrobiłeś z Moniką? - zapytał Michała.

- Spędzamy uroczy weekend u jej rodziców pod miastem. Urwałem się, żeby was przywieźć i zaraz jak naprawię ten cholerny pedał, to tam wracam. Spodziewajcie się naszych odwiedzin po południu, powiedzmy o trzeciej. Mamy sporo do obgadania. Musimy liczyć się, że nie dadzą za wygraną. A tymczasem macie pełną lodówkę. Dobranoc!

- Ej, Michał! - zawołał za nim Jakub.

- Co?

- Czy twoi teściowie mają może łącze internetowe?

- Nie, ale niedaleko jest całodobowa kafejka internetowa.

- Miałbym do ciebie jeszcze jedną prośbę. Mógłbyś wysłać jednego SMSa przez bramkę na stronie? Zaraz napiszę ci treść i numer telefonu.

Michał spojrzał na podaną sobie kartkę.

- W porządku, za jakieś trzy godziny dostaną wiadomość zachęcającą ich do wzięcia udziału w konkursie w leśnym wspinaniu się po linie z nagrodą w postaci Volksvagena.

- Dzięki! Za wszystko.

# CZĘŚĆ VI

## Rozdział XXXIV

Obudziła się przed Jakubem. Była już prawie trzynasta. Poleżała chwilę u boku swojego mężczyzny. Spał jak zabity. Potem ostrożnie wstała i udała się do łazienki. Przemyla sobie twarz.

Gdy spojrzała w lustro dotarła do niej nagle z pełną siłą świadomość podjętej decyzji, jej nieodwołalności, tego, jak bardzo ta decyzja związała ją z Jakubem. Czy potrafi żyć poza Wspólnotą? Co ma z sobą zrobić? Jak ułożyć kolejny dzień, skoro nie pójdzie już na pole, ani nie będzie gotować burakowej dla mistrza? A potem? Czy kontynuować nie przez nią wybrane studia, czy szukać pracy? Z czego się będą utrzymywać? Czy ma oczekiwać odpowiedzi na te kłębzące się pytania od Jakuba? Jak ułożą się ich relacje? Czy będą dalej realizowali wyuczone modele ról kobiety i mężczyzny, do jakich zostali zaprogramowani przez Daniela? Czy potrafią być kobietą i mężczyzną inaczej? Jaką chciałaby być kobietą dla Jakuba? Jakim chciałaby, żeby był dla niej Jakub? Daniel zawsze uczył, by w każdej sytuacji szukać punktów odniesienia. Miała tylko jeden taki punkt: chciała być z Jakubem, choćby nie wiem co.

Gdy wróciła z łazienki usiadła w samej koszuli nocnej przy biurku Michała. Stała tam fotografia całkiem ładnej dziewczyny. To pewnie ta Monika. Obok monitora komputera wznosił się pokaźny stos książek, z przyzwyczajenia rzuciła okiem na ich grzbiety. A to ciekawe, wszystkie dotyczyły sekt. Tylko na samym wierzchu leżała dość sfatygowana książka pod tytułem Wspomnienia Szamana. Ciekawe. Były tam jakieś zakładki. Otworzyła na pierwszej i zaczęła czytać podkreślone fragmenty. Zorientowała się, że to o jakimś hipisie.

„Jak co roku jadę do Częstochowy, na zlot. Z namiotów bije zapach marihuany. My, stara gwardia zupełnie już nie możemy się dogadać z kompociarzami, coraz mniej mają wspólnego z Ruchem, przyjeżdżają tylko, aby poćpać. Pojawia się nowy prorok. Niejaki guru Daniel...” Tutaj serce Anny zabiło mocniej. To ten Daniel? „... Ubiera się w dziwaczny czerwony płaszcz wymalowany w jakieś tajemnicze symbole. Jego nauki nazywają się Baingra. Nie mam pojęcia z czym to się je. Jego uczniowie są mu ślepo oddani. Chodzi to tu to tam, wrzeszczy i bulwersuje. Zaatakował jakichś chrześcijan, którzy postawili krzyż i ogłaszali, że „Jezus jest Panem”, co nie było dla nikogo żadną specjalną nowiną. Ten Daniel ogłosił, że jest antychrystem, przewrócił im krzyż i w ogóle atakował ich jako fałszywych proroków, moim skromnym zdaniem agresywnie i głupio. Trochę mnie wkurzył. Stałem w ich obronie, tak po prostu, z poczucia sprawiedliwości.

Chyba mu się spodobałem, bo po chwili klótni roześmiał się i mocno uściśnął mi rękę. - Mądrała jesteś! Tylko pilnuj się, abyś nie skończył jako fałszywy prorok, jak ci! - Ludzie z Ruchu, którzy o nim wcześniej słyszeli, ostrzegają mnie, bym miał się na baczności, bo posiada on ponoć tajemniczą moc. Ludzie, którym tak ściśnię dłoń łamią sobie potem kości...”

Potem było coś o czarnej magii. Na końcu jeszcze uwaga:

„Dziwna postać ten guru Daniel. Do dziś nie wiem, co o nim sądzić. Świr i na pewno źle skończy. Ale właściwie fajny człowiek. Naucza robiąc ludziom błazeńskie kawały, nawet mądre i pouczające. Niestety ma tych swoich uczniów, którzy traktują to ze śmiertelną powagą, wciąż tłumaczą sobie, co mistrz chciał naprawdę powiedzieć i w jego imieniu chcą podbijać świat.”

Z podnieceniem przerzuciła parę stron do następnej zakładki:

„Msza księdza Tadeusza. W tym roku msza wypadła świetnie. Są na niej wszyscy, bez względu na to, kto co wyznaje, Daniel i jego uczniowie, a nawet krisznowcy, pełna jedność. Niestety przyjeżdża milicja i każe zwijać namioty oraz natychmiast wyjeżdżać. Daniel łapie za mikrofon księdza Tadeusza i woła: - W imieniu milicji obywatelskiej nawołuję do podporządkowania się rozkazowi władzy! - Wszyscy się śmieją z żartu. Tylko niektórzy uznali, że Daniel to kapuś.”

Następna zakładka:

„Dowiedzieliśmy się od przyjaciół z Monaru, że Guru Daniel założył przy okazji swej wspólnoty wyznawców Boingra lecznicę dla narkomanów w Chełmie. Wielu pacjentów Monaru tam jechało i chwalili sobie ten ośrodek.”

Ostatnia zakładka:

„Przychodzą złe wieści na zakończenie roku z Chełma z ośrodka guru Daniela. Nie wiadomo co naprawdę się stało. Chyba były jakieś konflikty w komunie. Koniec końców Guru Daniel zostawił komunę, ośrodek, uczniów i pacjentów, i tyle go widziano. Narosło sporo plotek, że zdefraudował jakieś duże pieniądze, że kilka osób popełniło samobójstwo. Nie zdziwiłbym się, byli ponoć skrajnie załamani, całym sensem ich życia był guru Daniel i nagle sobie poszedł, zostawiając ich bez słowa. Ale na pewno wiem tylko o jednym samobójstwie. Można się było tego spodziewać, kiedy jeden świr leczy innych świrów. I tak ofiar było mało. Po jego odjeździe komuna się rozpadła, ludzie włączyli się po mieście ćpając jeszcze mocniej...”

Anna była wstrząśnięta. Nic nie wiedziała o tym etapie działalności Daniela, ani tym bardziej, że związana z nią była śmierć człowieka. On powiedziałby pewnie, że biedak był sam

sobie winien, że widać był za słaby, by podołać życiu. A jak ja bym się zachowała, zadała sobie pytanie, powiedzmy dwa lata temu, gdyby Daniel zniknął? Albo gdyby się jakoś znacząco skompromitował? Z pewnością jej świat również by się zawalił.

Ale teraz wszystko się zmieniło.

Stopniowo do umysłu Anny dochodziła jednak jeszcze jedna myśl, która wstrząsnęła nią niepomiernie bardziej. Zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje, i gdzie to przeczytała. Dlaczego Michał miał tę książkę założoną na tych stronach? Michał, przyjaciel Jakuba! Czy Jakub o tym wiedział? O co chodzi!?

Jej wzrok padł na korkową tablicę zawieszoną po lewej stronie biurka. Wyglądało to jak drzewo genealogiczne. Przysunęła krzesło bliżej. Na samej górze małe kółko, w którym ktoś napisał „Daniel”. Biegły od niego strzałki do kółek: „Urszula”, „Paulina”, „Henryk”, „Władek”, „Marek”, „Karol” i tak dalej, od nich następne strzałki do następnych kółek... To struktura Wspólnoty! Drżąc z przejęcia zaczęła wodzić palcem po schemacie, szukając siebie?, Jakuba? Ani Jakuba, ani jej jednak nigdzie nie było, ani pod Markiem, ani pod Olkiem ani pod Władkiem... O co chodzi, do cholery?!

- Nie znajdziesz tam siebie - usłyszała głos zza pleców.

Odwróciła się powoli, spoglądając Jakubowi prosto w oczy. Nie unikał jej spojrzenia.

- Co to jest?! Kim wy do diabła jesteście?! Jesteście z policji?

- Odpowiem na wszystkie twoje pytania, tylko się uspokój - powiedział mocnym, stanowczym głosem. - Od dzisiaj koniec z udawaniem. Ale jedno ci powiem od razu, bo to najważniejsze. To, co było między nami, istota tego, była zawsze prawdą.

Długo nie mogła dojść do siebie po pierwszym szoku.

- I poświęciłeś prawie dwa lata życia dla jakichś idiotycznych badań? - zapytała z niedowierzaniem. - Rozumiem, gdybyś pracował dla rządu, wywiadu, ale tak po prostu, z ciekawości?

- No, wypraszam sobie, dlaczego uważasz, że moje badania są idiotyczne? Czy pragnienie zniszczenia albo władzy, są dla ciebie więcej warte niż pragnienie poznania, zrozumienia?

Milczała chwilę, zbierając myśli, już chyba setny raz. To Daniel wpoił jej, że każda teoria, która nie daje się zastosować w praktyce, jest „masturbacją intelektualną”.

- I mam ci wierzyć, że ja nie byłam tylko elementem tych badań? Jakimś eksperymentem?

- Tylko ze względu na ciebie nie odszedłem stamtąd od razu z Władkiem i pozwoliłem, by „zesłali” mnie do Marka - powiedział spokojnie.

- Dlaczego? - zapytała, zdając sobie sprawę, że to niezbyt sensowne pytanie.

- Może to zabrzmiało banalnie, ale trudno: ponieważ cię kocham - powiedział równie spokojnie, ale jakby głębiej zagłębując w jej oczy, a może otwierając je na jej spojrzenie. Dziwnie to brzmiało „kocham cię”. Faceci we Wspólnocie nigdy by tego nie powiedzieli swoim kobietom. Czy był szczery? Jego głos nieznacznie zadrgał. Widać też nie nawykł do takich wyznań.

- Jak mam wierzyć komuś, kto przez ostatnie dwa lata kłamał na prawo i lewo? - nie ustępowała.

- To nie jest tak, że do końca i zawsze kłamałem. Może brzmi to, jakbym się tłumaczył...

- Tłumacz się! - rozkazała z lekkim uśmiechem. W zasadzie mu wierzyła. Chciała mu wierzyć, choć nie mieściło się to wszystko w głowie. Jako członkini Wspólnoty czuła się oszukana, ale... przecież już nie była członkinią Wspólnoty.

- Nie wiem jak ci to wytłumaczyć. W zdecydowanej większości spraw byłem tak samo autentyczny jak większość ludzi we Wspólnocie, poddawałem się tym samym reżimom, realizowałem te same modele. Nie było tak, że w dzień głodowałem a nocami podjadałem czekoladowe batony.

- Czyli na poziomie dyscypliny byłeś szczery. Ale na innych poziomach nie? A co z najważniejszym, z autentyzmem, z posłuszeństwem? My otwieraliśmy przed mistrzami swoje serca, spowiadaliśmy się z najskrytszych myśli, a ty się zastanawiałeś, co powiedzieć, aby...

- Nie! Nie do końca. Powiedzmy tak: dla mnie te dwa lata były tym, czym dla ciebie będą się musiały stać, aby nie były czasem straconym, również na poziomie duchowym.

- Mów jaśniej.

- Od początku podchodziłem do tego jako do pewnego etapu mego rozwoju, etapu, który ma początek i koniec. Podałem się tym reżimom również dlatego, że uważałem, że podporządkowując się im przez pewien czas, będę lepszym człowiekiem, że to mnie rozwinie. Granicą tego autentyzmu było tylko to, że wiedziałem, że to ja zadecyduję, kiedy odejść, że cały czas zostawiłem sobie te trochę wolności, by móc odejść w każdej chwili. Wy sobie tej wolności nie pozostawialiście i dlatego musicie uciekać. No i oczywiście nikt nie wiedział, że mam w tym też i inny cel, poznawczy. Poznawałem nie tylko grupę, ale też siebie.



Milczała dłuższą chwilę, nerwowo przechadzając się po pokoju. Potem usiadła i milcząco wpatrywała się w niego czasem z niedowierzaniem kręcąc głową, jakby przywoływała wszystkie wspomnienia dotyczące Jakuba i wiązała je według nowego klucza.

Potem wstała, niczym sędzia, który zakończył obrady i gotowy był na wydanie wyroku. Wolno podeszła do niego. Usiadła mu na kolanach i szepnęła do ucha:

- Powiedz to jeszcze raz... - Kocham cię. Michał zastał ich gotujących jakieś wyszukane danie i podjadających w międzyczasie co lepsze smakołyki z lodówki. Jakub zajadał się kielbasą czosnkową, wykrzykując „Precz z burakami!”, a Anna wcinała lody. Cóż, wyposzczeni. Michał mógł wreszcie przyjrzeć się Annie w świetle dziennym. Musiał przyznać, że Jakub miał dobry powód by nie odejść wraz z Władkiem. Wreszcie. Już groziło mu, że od tych poważnych ksiązek na dobre zeszywnieje. Anna była jeszcze trochę spięta. Uświadomił sobie, że dawniej pewnie by jej zaproponował spotkanie na przykład z ojcem Marcinem i urządziłby maleńkie egzorcyzmiki, to mogłyby ją nieco „przezyścić” duchowo. Potem wszystko jest prostsze, przynajmniej przez pewien czas. Ale teraz nie był pewien, czy taka droga jest rzeczywiście drogą na skróty.

Monika z entuzjazmem dołączyła do Wielkiego Pichcienia. W końcu potężny półmisek ze spaghetti stanął na stole, roztaczając wokół kuszące wonie czosnku i majeranku.

Sielankowy nastrój przerwał dzwonek telefonu.

- Telefon? - zapytał Jakub.

- Tak, włączyłem, jak wróciliśmy. Spokojnie. Monika, wiesz co masz mówić?

Monika podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Ania? - Zapytał kobiecy głos po drugiej stronie.

- Jaka Ania? Nikt taki tu nie mieszka - powiedziała i szybko odłożyła słuchawkę.

Telefon zadzwonił po dłuższej chwili jeszcze raz.

- Dzień dobry, mówi Mariusz, czy zastałem Kubę - tym razem głos był męski.

- Pan Jakub jest właścicielem tego mieszkania, ale obecnie tu nie mieszka - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

- Wyręczasz się Moniką w brudnej robocie! - zawołał ze śmiechem Jakub.

- Dlaczego brudnej? - bronił się Michał. - Czy w którymś momencie skłamała? Przecież tu nie mieszkacie, jeszcze! Przecież nie możesz nazwać jednej nocy zamieszkiwaniem. A propos, jaki jest kolejny punkt twojego planu?

- Planu? W sumie jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

- Mam dla was pewną propozycję, ale musicie zdecydować się szybko.

- Śmiało, o co chodzi? - zachęciła go.

- Co byście powiedzieli na parę dni w Rzymie? - zaproponował. - Pojutrze zaczynają się tam Światowe Dni Młodzieży, to taki zlot modlitewny katolików. Nie bójcie się, udział w modłach nie jest obowiązkowy. Większość uczestników i tak w tym czasie imprezuje. Mam znajomego, który organizuje autokar z naszego miasta, wczoraj dzwonił do mnie i pytał, czy nie chciałbym pojechać, bo wypadło mu dwóch uczestników.

- Brzmi ciekawie, ale nie wiem czy nas stać.

- To kosztuje grosze. Ale nie gwarantują luksusów. Noclegi w szkołach, a kuchnia opiera się na wojskowych konserwach. Muzea watykańskie będą zapchane, ale jest tam wiele romantycznych miejsc. Szczególnie polecam wam Ostię, starożytne miasto ruin na wschód od Rzymu.

- To świetny pomysł - powiedział Jakub.

- Dobrze wam to zrobi, podleczyte zszarpane stresami nerwy, zwłaszcza Ani jest to teraz bardzo potrzebne. Tobie zresztą też Jakubie, - dodał Michał - sam sobie tego nie uświadamiasz. Tyle czasu w konspiracji, ukrywanie się, udawanie, nie mówiąc o wszystkich tych „atrakcjach”, które i tak mieliście zagwarantowane jako uczniowie guru Daniela. A nie były to zdrowe atrakcje, jak pokazał przykład Ani.

W sumie, to taki ich miesiąc miodowy - pomyślał. Miesiąc miodowy ze speczadaniem. Będą musieli na nowo nauczyć się ze sobą żyć.

- W tym czasie wokół rozpęta się zapewne małe piekielko - ostrzegał Jakub. - Na klatce będą wystawali jacyś ludzie, co jakiś czas telefon. Wielkie poszukiwania na uczelni typu „ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”. - Nie przejmujcie się tym. Niech się państwo guru podenerwują, są tak „odporni emocjonalnie”, że im to nie zaszkodzi. Lepiej będzie, gdy zgubią nasz ślad.

- Tylko wróćcie na wesele!- powiedział Michał.

- A, właśnie, odnośnie do wesela - zwrócił się z zakłopotaniem Jakub do Michała, odciągając go na stronę - możemy pomówić? Może skoczmy kupić coś na kolację.

- A nam zostawicie sprzątanie?! - udała oburzenie Monika. - Dobra, idźcie.

Gdy wyszli już na ulicę, Jakub powiedział:

- Wiesz, myślałem nad tym, ale nie mogę być waszym świadkiem, przynajmniej, jeśli mówimy o ślubie kościelnym.

- Czemuż to? - zapytał zasmucony Michał.

- Bo jestem niewierzącym.

- Wiesz, to będzie ślub cywilny. Monika pochodzi z rodziny ateistycznej, nawet nie została ochrzczona, a mi nie chce się załatwiać biskupiej dyspensy.

Jakub otworzył szerzej oczy ze zdumienia. Nie zdawał sobie sprawy, że spadek zaangażowania religijnego Michała zaszedł tak daleko. Nie skomentował tego, zresztą Michał nie dał mu szansy, zadając kolejne pytanie.

- A w jakim sensie jesteś niewierzący? Jesteś ateistą? - Po prostu nie jestem chrześcijaninem. Wiesz, myślę, że mogę powiedzieć o sobie, że jestem jednocześnie ateistą, panteistą i politeistą.

- Ależ ty masz namieszane! - odparł z uśmiechem Michał. - Wytlumacz.

- Wierzę, że istnieje wielu bogów, takich jak Jezus czy Wisznu, dlatego jestem politeistą, ale uważam, że są to w najlepszym razie istoty ambiwalentne i wolę się od nich trzymać z daleka. Żaden z nich nie jest jednak tym, co przez pojęcia Boga pojmują monoteiści, nie jest Absolutem. Wierzę w Absolut, ale sądzę, że jedynie wszechświat jako całość można za taki uznać. Tyle, że to Absolut bezosobowy, dlatego jestem panteistą. Jest on niewysłowiony, bo jak głosi Mądra Księga, „tao, które można wyrazić słowami nie jest prawdziwym tao”. Lepiej milczeć. I właśnie dlatego, że nie uważam, by stosowne było mówić o nim, że jest na przykład osobą, jestem ateistą.

- Ale w jaki sposób modlisz się do takiego bezosobowego Boga?

- Nie modlę się. Po co? O co? Przecież i tak stanie się wszystko, co musi się stać. I dobrze! Nie żałuję żadnej minuty mojego życia, ani minuty z historii ludzkości. Każdej chwili mówię: tak!

- No tak, te twoje déja vu. Tak się tobie objawił ten Bóg?

- On się nie objawił, on się objawia, jest wszędzie, nie trzeba go szukać! Szukałem go długo, czytałem długo, próbowałem różnych dróg, kiedyś byłem nawet chrześcijaninem, pamiętasz? Ale to wszystko tylko formy, które ludzie sobie wymyślili, aby uchwycić coś, czego uchwycić się nie da. Ja wiem, jako socjolog, że ludzie muszą te formy wytwarzać.

- Ale jeśli nie masz żadnej, jak to mówisz, formy to nie ma też żadnych norm, reguł, skąd wiesz, jak żyć?

- Czy naprawdę to takie trudne? Trzeba realizować to, co życie stawia jako nasz obowiązek.

- Czyli?

- Naprawdę masz z tym problem, czy tylko się przekomarzasz? Przede wszystkim stawaj się tym, kim się jest! Być szczęśliwym!

\* \* \*

W przeddzień wyjazdu zadzwonił Śliwiński. Wieści były dobre. Rektor wyraził zgodę na zatrudnienie Jakuba na etacie adiunkta i to nawet z datą wsteczną, od początku lipca, co Śliwiński wywalczył, osobiście interweniując. Gdy Jakub zdradził zamiar wycieczki do Włoch, profesor nie posiadał się z oburzenia.

- Jak to na pięć dni? Toż to barbarzyństwo! Musi pan koniecznie zostać dłużej, zwiedzić wszystkie muzea, kapitolińskie, watykańskie, Palazzo Altemps, wille Nerona, Palatyn, Panteon, Ostię... Naprawdę, gorąco doradzam przedłużyć pobyt. Mam w Rzymie przyjaciela, profesora Massimo Zoccatelli, proszę się do niego zwrócić, historyk masonerii, więc będziecie mieli wspólne tematy. Na pewno pozwoli wam u siebie zamieszkać na kilka dni, ma wielkie mieszkanie, zaraz do niego napiszę. Pieniądzy na powrót panu starczy z zesłomiesięcznej pensji, a gdyby panu zabrakło, proszę dać znać, z przyjemnością pożyczę.

\* \* \*

Wkrótce po zajęciu miejsca w autokarze niemal pożałowali swej decyzji o wycieczce. Otyły franciszkanin zaczął bowiem przez pokładowy mikrofon, przy wtórce swych akolitów z duszpasterstwa, zawodzić smętne pieśni z Taizé. Na szczęście wkrótce z tyłu autobusu odezwały się odgłosy protestu i wkrótce wszyscy zasnęli.

Na miejscu, wkrótce po zakwaterowaniu i śniadaniu z puszek odłączyli się od grupy. Całe miasto było skrajnie zatłoczone, wszędzie pełno było roześmianej i hałaśliwej młodzieży. Nie tego pragnęli. Skorzystali z rady Michała i wykupili bilet statkiem wycieczkowym do Ostii. Tam przynajmniej panowała cisza.

Spacerowali między malowniczymi, porośniętymi mchem ruinami antycznego miasta portowego. Wielkie pinie i cyprysy chroniły przed ostrym słońcem. Jeszcze przyjemniej było w mrocznych mitreach, które z zaciekawieniem oglądali. Chłonęli atmosferę starożytnych świątyń i bawili się odgrywając rzymską rodzinę w pozabawionych dachu pomieszczeniach mieszkalnych.

- Julio Antonino, może zjedlibyśmy dziś na obiad pieczonego bociana z oliwkami?

- Dobry pomysł Marku Flawiuszu, poślę zaraz niewolnika na targ. Każę mu też kupić trochę jaskółek na kolację i butelkę garum, wczoraj kucharka zużyła resztę zaprawiając te ośle wymiona. A co tam słyszeć na forum?

- Doprawdy nic, czym byś się musiała kłopotać, moja miła. Podejdz lepiej do mnie, czas oddać się sprawom bogini naszej Wenery...

- Nie mam ochoty, mój miły, przysyłę ci za to tę uroczą Libijkę, którą wczoraj kupiłam za dwa denary.

- Przecież to bezzębna starucha, cuchnąca kozim mlekiem! Jesteś okrutna...

Spacerowali przytuleni wokół zanurzonej wśród drzew świątyni Saturna, gdy w pewnym momencie Anna powiedziała:

- Wiesz, tak sobie myślę, o tej mojej chorobie. Wydaje mi się, że zauważyłam taki dziwny mechanizm... Nie wiem, jak to sprecyzować, ale zobacz: gdy przyjechaliśmy z Warszawy do Marka, wylądowałam na samym dole hierarchii. Przedtem, z tego co mówiła Wanda, to Wiesio był najsłabszy, podobno zwariował i uciekł. Wcześniej jak odwiedzałam z Karolem Marka, to Filip był takim popychadłem, też uciekł.

- Najsłabszy jest takim kozłem ofiarnym?

- To samo było też u Daniela - kontynuowała swoje rozważania - tam też najsłabszy najmocniej zawsze obrywał. Byś widział, co się działo, gdy przyjeżdżał Marek! Daniel często prawie rzucał nim po ścianach - Jakubowi trudno to sobie było wyobrazić - Zastanawiam się, na ile to było świadome. Nie wiem, może uzasadniali to tym, że najsłabszy wymaga największego nacisku, aby go wzmocnić? A może to nieświadomie?

- Może każdy Robinson potrzebuje swego Piętaszka, każdy pan niewolnika? Im bardziej Alfa poniżej Omegę, tym sam sobie wyda się potężniejszy, jego względna miara wielkości wzrośnie. Ten najsłabszy jest zerem, im niżej jest to zero, tym wyżej ja jestem nad poziomem zera.

- Może to o to chodzi - zgodziła się.

- Myślę, że ta cała Wspólnota była skonstruowana partacko, więcej chciejstwa niż namysłu. Trudno mi ocenić Daniela jako guru, jako mistrza duchowego, bo go od tej strony już nie doświadczyłem, ale jako socjotechnik był, moim zdaniem, partaczem.

- Albo materiał miał kiepski? Z tego wynikałoby, że guru też z niego raczej kiepski. Gdyby znał się na ludziach, to nie stawiałby kogoś takiego jak Paulina czy Marek na tak odpowiedzialnych pozycjach we Wspólnocie.

- Wiesz, Paulina i Marek, potrafię ich zrozumieć, robili co mogli. Ale chyba największą i najważniejszą pomyłką jest Urszula. A on jej tak ufa!

- Czy było coś, w czym był naprawdę dobry? Co ciekawe, przecież spotykał się z różnymi postaciami, w tym dziwnym świecie uważanymi za wielkie, wybitne: najlepsi astrologowie, tarociści, magowie, a jakoś nikt się na nim nie poznał, nie zauważył, jaki to on jest wspaniały, ciekawe, nie uważasz?

- Szybko nabierasz dystansu. Jak już zobaczysz wszystkie braki Daniela i Wspólnoty, czeka cię jeszcze jedno, trudniejsze zadanie - powiedział Jakub.

- Jakie?

- Dostrzec zalety i wszystko to, co mu zawdzięczasz.

Anna tylko skrzywiła swoje śliczne malinowe usta i stwierdziła.

- To pójdę obejrzeć walki gladiatorów. Może dziś też rzucą kogoś z tej chrześcijańskiej sekty lwom!

Nagadali się już przez ostatnie cztery dni i noc. Teraz cieszyli się tylko swoją obecnością. Spacerowali nad brzegiem Jeziora Albańskiego. Było samo południe, więc wokół panował niezmierny spokój, żadnych ludzi. Zeszli trochę z drogi i wspięli się na niewielkie wzgórze, skąd roztaczał się piękny widok na jezioro. Usiedli obok siebie w cieniu na trawie, chłonąc roztaczającą się wokół panoramę, podczas gdy wiejący od wody delikatny wiatr chłodził ich przyjemnie. Wkrótce Anna zasnęła, a on przyglądał się jej w milczeniu. Zauroczył go kontrast między rudym kolorem jej włosów a czystą zielenią mchu. Wtem, na gałęzi, ledwie dwa metry dalej, przysiadł niewielki ptak. Na pierwszy rzut oka nie było w nim niczego nadzwyczajnego, ale Jakub, obserwując energiczne ruchy jego głowy, jego cienkie nóżki, drobne skrzydełka oniemiał z zachwytem, uzmysławiając sobie, że to niewielkie ciało, funkcjonujące lepiej niż najdoskonalsze mechanizmy wytworzone przez człowieka, zawiera w sobie całość życia. Zdało mu się to w tej chwili największym cudem i tajemnicą. Jakub powstał, stanął na niewielkiej skale, pozwalając przenikać się światłu słońca i oddechowi jeziora. Ogarnął wzrokiem rozpościerające się przed nim i nad nim przestrzenie mieniące się świeżą zielenią lasów i żółtawo połyskującymi skałami. Na widok tych niezmiernych przestrzeni odczuł

wolność, jakiej dotąd nie doświadczył. Nigdy wcześniej nie był tak szczęśliwy. I wtedy zobaczył Boga, zobaczył Go w tym wszystkim, tu i teraz, w górach, w lesie, ptaku, Annie, chmurach, trawie, ścieżce, zapachu ogrzanego przez słońce igliwia, szumie drzew, wszystko to, nagle, objawiło mu się jako Jego ciało, jako Jego przejaw, tak potężny, konkretny, zachwycający, że w piersiach wezbrał mu gromki i radosny śmiech, a z oczu spłynęły łzy. Czuł, jakby wszystkie ścięgna i mięśnie jego duszy prostowały się i prężyły radośnie w tym słońcu. Czuł, że ma skrzydła! I rozpostarł skrzydła swej duszy od wschodu do zachodu błogosławiąc cały świat, taki, jaki jest, błogosławił słońce i góry, lasy i łąki, obejmował błogosławieństwem wszystkich ludzi, złych i dobrych, nędznych i wielkich, ich życie i śmierć, ich radości i rozpaczę, ich rozkosze i cierpienia, ich podłość i szlachetność, zbrodnie i prawość. „To wszystko tak właśnie ma być, to wszystko jest dobre!” Wszystkiemu, co ogarniała jego wyobraźnia mówił „Tak”, dziękował za każdą chwilę w ludzkiej i przedludzkiej historii, a każdej, która miała nadejść, mówił „Przyjdź! Ale nie spiesz się, bo Tu i Teraz jest Bóg!”

Anna podeszła zadziwiona, a on pociągnął ją na trawę. I kochali się tam, w krainie Muz i nimf, bez pośpiechu, bez wstydu, nie przejmując się zazdrosnymi spojrzeniami driad i satyrów. Potem leżeli nadzy w słońcu, wpatrując się w chmury. I widzieli w nich same dobre wróżby.

Profesor Zocatelli przyjął ich entuzjastycznie. Był to już emerytowany uczonec, ale i tak większość swego czasu spędzał w bibliotekach, które jak zapewniał były i tak znacznie lepiej klimatyzowane niż jego mieszkanie. Dał im do dyspozycji pokój z podwójnym łóżkiem, w którym za dnia było niemiłosiernie gorąco, za to w nocy, po otwarciu wszystkich okien dało się spać, pod warunkiem, że spało się nago, jedynie pod prześcieradłem. Z rozmów o masonerii nic nie wyszło, nie tylko dlatego, że rzadko się z profesorem widywali, ale też sam Jakub stracił dla tego typu problemów wszelkie zainteresowanie.

Gdy już odpłynęła z Rzymu hałaśliwa masa uczestników modlitewnego zlotu, mogli wreszcie oddać się zwiedzaniu muzeów. Jakuba teraz interesowały jednak tylko starożytności, potrafił długo wpatrywać się w marmurowe posągi, a nawet nagrobki. Zwiedzał wprawdzie wraz z nią ekspozycje mistrzów renesansu, ale zdawał się tracić błysk w oczach, ilekroć jakkolwiek eksponat liczył mniej niż półtora tysiąclecia.

Raz długo wpatrywał się w obrzydliwie oszpeconą przez chrześcijańskich fanatyków starożytności rzeźbę i wtedy ze zdziwieniem dostrzegła, iż w jego oku pojawiła się łza. Milczący hołd nieznanemu bóstwu.

Innym razem chyba z kwadrans milcząco medytował dumne oblicze Ateny. Wreszcie odezwał się:

- Wiesz, jeśli kiedyś miałbym mieć jeszcze coś wspólnego z jakąś religią, jeśli miałbym czcić jakichś bogów, to tylko takich. Wzniosłych bogów rozumu i mocy. I miłości, nie jakiejś abstrakcyjnej, anielskiej, ale bogów miłości konkretnej, do żony, kochanki, rodziny, ojczyzny. W takich bogach człowieczeństwo jest ubóstwione, a nie przykrawane według czyjegoś widzimisię. To nie bogowie abstrakcyjnej ludzkości, ale żywych ludzi, bogowie życia.

\* \* \*

W czasie, kiedy Jakub z Anną odpoczywali, Michał z Moniką musieli stawić czoła wściekłym i zaniepokojonym członkom Wspólnoty. Posyłano coraz to innych ludzi, telefonowano o najdziwniejszych porach. Widać przywódcy Wspólnoty nie dali wiary, że Jakub zostawił swoje mieszkanie. Ostatecznie jednak, jeszcze przed powrotem Jakuba, wszystko ucichło, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Później okazało się, że Jakub, przewidując takie zachowania, sam zadzwonił do Pracowni i w krótkiej rozmowie z jedyną obecną Wandą, zagroził policją, jeśli się od nich nie odczepią. Nie wiadomo czy faktycznie się tego przestraszyli, czy po prostu skierowali swe poszukiwania w region Polski wskazany przez numer kierunkowy, jaki się wyświetlił przy telefonie Jakuba. Ten był zdania, że jego ostra deklaracja pozbawiła ich nadziei na jakiegokolwiek negocjacje, więc po prostu pogodzili się ze stratą. Bo oczywiście nadal nie mieli pojęcia o podwójnej grze Jakuba.

Michał z Moniką odwiedzili Jakuba po miesiącu, już jako wstępnie nacieszone sobą młode małżeństwo. W jego gospodarstwie domowym widać było poważne zmiany, pojawiły się obrazki na ścianach, kwiaty na stole, serwetki. „Hmm, widać już rękę Ani” stwierdził Michał. Zastanawiali się z Moniką, czy na obiad dostaną ową słynną burakową, ale rozczarowali się, była pomidorowa. Po obiedzie Michał nie wytrzymał i pochwalił się:

- A propos, wiecie, że wyszedł już ten mój artykuł? Przyniosłem wam egzemplarz. Kubie się z pewnością nie spodoba, ale starałem się napisać rzetelnie.

- Dawaj. I spodziewaj się polemiki! - powiedział z uśmiechem Jakub.

Artykuł rzeczywiście nie należał do szczególnie „wolnych od wartościowania”, ale Michał po Weberowsku oddzielał wartościowanie od faktów, to nawet Jakub musiał uznać. Zresztą same fakty dla wierzących katolików były jednoznaczne. W artykule Michał przyznał też uczciwie, że „odkrywcą tej grupy jest Jakub Wolski”, który „przeprowadził długotrwałe badania



metodą obserwacji uczestniczącej”. Wspomniał, że ich wyniki niebawem zostaną opublikowane. Tak jak zdecydowali, grupę nazwali roboczo „Zakodem 44”.

Anna z Moniką chyba się polubiły. W czasie kiedy Jakub czytał i na bieżąco polemizował z tezami Michała, poszły na spacer, a przy okazji do pobliskiego marketu. Widać było, że Monika od dłuższej chwili nosi się z jakimś pytaniem, ale nie ma dość odwagi, by je zadać.

- O co chcesz spytać? - zachęciła swą rozmówczynię Anna.

- Wiesz, nie wiem, czy to nie jest za intymne pytanie, za trudne dla ciebie po tak krótkim czasie, jak nie chcesz, to nie dopowiadaj...

- No powiedz, o co chodzi? - przynagliła Anna uśmiechem, dając do zrozumienia, że jest osobą wystarczająco asertywną, by nie mówić, jeśli nie ma ochoty.

- Bardzo mnie nurtuje jedna sprawa, bo ja się trochę interesuję kwestiami kobiecymi, to znaczy naukowo, jako socjolog, no i, jakby to powiedzieć, bo Michał, już się streszczam, z tego co mi Michał opowiadał, to sytuacja kobiet była w tej sekcji, no, fatalna. Po prostu aż trudno uwierzyć, jak można to było znosić. Ja niczego nie twierdzę, nie chciałabym cię jakoś urazić, ja po prostu nie mogę tego zrozumieć.

- A konkretnie to, co jest tu trudnego do zrozumienia?

- To straszne, jak oni was wykorzystywali, jakiego bezwzględnego posłuszeństwa wymagali.

- Od facetów również - odparła Anna. - Wydaje mi się nawet, że mistrz od swego ucznia wymagał więcej niż uczeń od swojej żony.

- Ale facet miał zawsze pod sobą kobietę, którą mógł pomiatać.

- A kobieta czasami dziecko. Zresztą nie zapominaj, że kobieta też miała pewną władzę nad uczniami swego męża, przynajmniej pod jego nieobecność.

- I to was, dziewczyny, w tym pociągało? Władza? - zapytała z niedowierzaniem Monika.

- Coś ty! Nie, przynajmniej mi nie o to chodziło. To nie było pomiatanie dla samego pomiatania. Miałyśmy świadomość, że to czemuś służyło. Gdy przestałam wierzyć, że służy, odeszła. Zresztą akurat ze strony Jakuba nie obrywałam tak, jak inne obrywały od swoich facetów. W zasadzie, to nigdy mnie nie uderzył.

- No, to co wy w tym widziałyście? Ja bym chyba po jednym dniu uciekała, gdzie pieprz rośnie.

- To nie byłyby takie proste. Trzeba mieć dokąd uciec. A co, gdy zerwałaś relacje z rodzicami albo po prostu rodziców nie masz. Musisz mieć pieniądze, a gdy nie masz pieniędzy, a oczywiście nie masz pieniędzy, bo skąd - jak możesz przeżyć?

- Czyli brutalny przymus ekonomiczny. Marks by się uśmieł.

- Nie tylko. Ja ci tylko mówię, że nie byłoby łatwo uciec. Ale każdy miał też jakieś powody by zostać. Gdybyś miała do wyboru żyć w piekle, umiarkowanym piekle powiedzmy, ale z innymi ludźmi, lepszymi lub gorszymi albo żyć w niebie, ale zupełnie sama? Było tam ciężko, ale mimo wszystko byliśmy wspólnotą, przynajmniej dawniej, bo potem to może „wspólnotą” trudno by to było do końca nazwać, powiedzmy grupą, grupą ludzi, którzy się znali, jeśli nawet nie wszyscy się lubiliśmy, to jednak się zżyliśmy. Było poniekąd jak w rodzinie, też nie lubi się wszystkich ciotek, ale to rodzina. Dla wielu Wspólnota była jedyną rodziną, jaką mieli. Dla wielu była lepsza niż ta, którą mieli. Dostawali w skórę za to, że coś przypalili, że się gdzieś spóźnili, a nie dlatego, że ojciec był pijany.

- Wiesz, rodziny się nie wybiera, ale w naszych czasach męża można. Wy nie mogłyście.

- Z tym, to akurat było różnie. Ja miałam szczęście, bo mnie tam wyswatali z facetem, jakiego pewnie sama bym sobie nie znalazła. Ale to różnie bywało. Niektóre kobiety bywały po prostu dawane, jak jakiś koń albo nie wiem samochód facetom, którzy akurat nie mieli „baby”. Dość różnym facetom. Chociaż seks, mniej lub bardziej dobrowolny zawsze tworzy jakiś związek z drugą osobą. Nie jest wszystko jedno, z kim się idzie do łóżka. I kobiety się faktycznie wiązały z tymi mężczyznami. Czasami wchodziły w schemat, który znały z domu rodzinnego, że kobieta po prostu musi znać swoje miejsce, nawet się niczemu nie dziwiły.

- No, więc co kobieta może widzieć w czymś takim? Skoro ani z tego pieniędzy, ani specjalnej władzy, ani prawdziwej miłości...

- Widzę, że jesteś zwolenniczką starochrześcijańskiej teorii, że kobiety nie mają duszy? - zapytała lekko ironicznie Anna, zbijając Monikę z tropu.

- Co? Nie, nie, absolutnie, zresztą Kościół tak nigdy nie nauczał, chyba islam albo judaizm.

- Z tego co wiem, to w szóstym wieku miał jednak spore wątpliwości w tym temacie.

- Chyba wiesz to od Daniela? Tak myślałam, to podobne do jego teorii. Też kiedyś o tym słyszałam od feministek, dopiero Michał mi to wytłumaczył, a nawet pokazał materiały. A więc to nie zupełnie tak. W roku 585 odbył się synod i był to jedyny przypadek, gdy jakiś biskup

podjął ten temat, miał wątpliwość, czy kobietę można określić słowem homo, skoro oznacza ono tak człowieka, jak i mężczyznę. Szybko przywołano go do porządku, wskazując na historię o stworzeniu. Konkretnie Księgę Rodzaju, gdzie hebrajskie Adam odnosi się tak do mężczyzny, jak i do kobiety. Tej całej historii nawet nie ma w aktach tego soboru, wiadomo to tylko z relacji historyków, którzy opowiadają ją jako anegdotę na temat niezbyt rozcigniętego duszpasterza. Nic nie pisali o żadnych dyskusjach na ten temat czy wątpliwościach. Pewnie, że zawsze znajdzie się jakiś mizoginiczny teolog, ale... właściwie to dlaczego mi to zarzucasz? Wcale tak nie twierdziłam.

- Mówiłaś o pieniądzach, karierze, tak, jakby kobieta nie miała żadnych potrzeb duchowych. Ja też chciałam rozumieć siebie i świat, szukałam czegoś więcej niż tylko ten wyścig szczurów. Miałam różne wewnętrzne problemy, których nie rozumiałam. Coniedzielną, śmiertelnie nudną mszą jakoś mi tych potrzeb nie zaspakajała.

- I co, oni ci je zaspokoili?

- W zasadzie chyba tak. Początkowo, to było jak objawienie, to naprawdę uporządkowało świat. No, może objawienie to złe słowo, raczej jak przypomnienie, anamneza - tak to się chyba nazywa. Bo w dużej mierze było to zgodne z tym, do czego sama doszłam w swych poszukiwaniach. Wcześniej sporo czytałam różnej ezoterycznej literatury, chodziłam na wykłady. Nie wiedziałam tylko jakie z tego można wyciągnąć praktyczne wnioski, jak się tym żyje i jak to wszystko poukładać. Próbowałam coś sama, ale moje problemy tylko się pogłębiły, byłam jeszcze bardziej uwikłana. Czułam, że jestem bliska szaleństwa, że dłużej tego nie wytrzymam. Chciałam, aby mi ktoś pokazał jak się rozwijać. Ja czekałam właśnie na coś takiego. Wiesz, w zalewie tego różnego chłamu, który już wtedy był, a teraz jest go jeszcze więcej, tych różnych bzdur, to naprawdę było sensowne. Pamiętam, że kiedyś, zanim poznałam swego mistrza, jeden taki samozwańczy mędrzec przekonywał mnie, że u niego na balkonie wylądowało UFO, a inny tłumaczył, że koty nie mają czakramów, bo one energię kosmiczną zlizują z sierści. Potem z Karolem byłam na spotkaniu z taką jedną joginką, siedziała i przekonywała, że jest duszą. Karol wtedy wstał i zapytał, „A czy jak pani sra, to też jest pani duszą”? Oni mieli taki dosadny sposób wysławiania. Tak, że to wszystko, co mi przekazywał początkowo jawiło się w porównaniu z tamtym jako bardzo trzeźwe, rozsądne i spójne, choć ezoteryczne, wyjaśniało moje problemy wewnętrzne. Generalnie Karol mnie poskładał, wzmocnił, opanowałam skłonności różne takie, wiesz, depresyjne.

- A potem?

- Potem też się długo wszystko zgadzało. To było dość logiczne - posłuszeństwo i szczerłość jako warunki rozwoju, dyscyplina jako pomoc dla naszej słabej woli. Na pewno było już trudniej. Okazało się, że aby się rozwijać trzeba wykonywać wiele różnych całkiem przyziemnych czynności. To też nie było takie dziwne, to w sumie naturalne, że jak się mieszka z jakimiś ludźmi, to trzeba za coś żyć, że wchodzi w grę po prostu rzeczywistość materialna. Trzeba posprzątać, gotować, zarobić na jedzenie, na ogrzewanie. Wielu idealistów to odstrasza, bo muszą zejść na ziemię i zacząć godzić ideały z materią, a to bolesne.

Dopiero później zrozumiałam, że to już mogło niekoniecznie zawsze służyć zapewnieniu warunków do rozwoju, co raczej czymś ambicjom. Zaczęłam się po prostu czuć używana, traktowana instrumentalnie. To już nie była zwykła komuna, gdzie się jeszcze czuje jakąś współodpowiedzialność, ale jak plantacja z niewolnikami pod pejczem.

Nikt się w to nie angażuje, aby być wykorzystywanym, ale pozwala się wykorzystywać, aby osiągnąć jakieś wyższe wartości, przynajmniej dopóty, dopóki wierzy, że to faktycznie jest ta droga. Wierząc, kobieta, i chyba w ogóle każdy, jest w stanie bardzo dużo znieść. Przy okazji oczywiście kształtowali też inne potrzeby, które obiecali zaspokoić. Na przykład mocno kładli nacisk na to, że tylko we Wspólnocie będziemy mogli znaleźć prawdziwych facetów, którzy by w dodatku byli uczciwi, nie zdradzali. Tak długo, jak facet był uczciwy względem swego mistrza, musiał postępować fair ze swą kobietą. No to czekałyśmy na tych superfacetów, aż ich mistrz wreszcie wyszkoli.

Wiesz, moja kuzynka była przez dwanaście lat w zakonie. Nasłuchałam się od niej rzeczy, które aż tak się nie różniły od tego, czego ja doświadczyłam. To się w zakonie nazywało ubóstwo, posłuszeństwo i czystość. Kobieta po doktoracie, a w imię posłuszeństwa kilka lat pracowała w pralni. Nabawiła się egzemy, ale w imię ubóstwa nie mogła się doprosić o krem. My chodziłyśmy koło naszych facetów, a one koło księży. Ale my to chociaż coś z tego miałyśmy, bo na szczęście nie wymagano od nas czystości seksualnej, a im nawet za to nikt, tak po ludzku, nie podziękował. Opowiadała mi w jaki sposób księża traktują zakonnice. Nas trzymano krótko, niektórzy faceci bardzo krótko, ale mimo wszystko, nawet w najgorszym traktowaniu można było dostrzec jakąś życzliwość, może opacznie rozumianą, ale przynajmniej facet nas zauważał, traktował jako człowieka, poświęcał swoją uwagę. A księża to się tych zakonnice po prostu boją, zwłaszcza jak któraś młoda i ładna, i nie daj Boże, wykształcona.

- Wysłanniczka diabła - przytaknęła Monika. - Dokładnie. Stanowi zagrożenie dla ich czystości. Kusi, jak wąż w raj. Oczywiście ksiądz tak samo stanowi zagrożenie dla siostry. Ale ona, naturalnie, nigdy nie pomyśli o nim jako o wysłanniku szatana czy wężu - kusicielu. Dłonie kapłana są święte! W ogóle nie powinna o nim myśleć jako o mężczyźnie. O to zadbała już przełożona. Wiesz jak?

- Nie, mogę się tylko domyślać.

- Nie zgadniesz. Moja kuzynka odkryła to przypadkiem. Zauważyła, że po obiedzie zawsze zaczyna boleć ją głowa. Zakon był ubogi, więc sądziła, że to z oszczędności dają im coś nieświeżego. Sprawa jednak się powtarzała, przełożone zbywały jej skargi, w końcu miała takie migreny, że czuła iż dłużej nie wytrzyma. Przeorysza dała jej raz pieniądze na kwiaty do kościoła, a moja kuzyneczka zamiast do kwaciarni czy na bazar to na dworzec. Wróciła za te pieniądze do domu, do mojego wujostwa. Ciotka patrzy z przerażeniem i nie poznaje. Dziewczyna wyglądała jak duch, chuda niemiłosiernie, otepiała, migrena taka, że wymiotowała, gdy tylko miała czym.

- Może to były bóle na podłożu psychosomatycznym? - przerwała Monika - psychoanaliza mówi chyba, że to stłumiona nienawiść tak się objawia.

- Powód był bardziej banalny. Zabrali ją natychmiast do prywatnej kliniki, tam jej zrobili kompleksowe badania. Gdy zaczęła jadać z rodzicami, migreny dziwnym trafem jej przeszły. Gdy w końcu nadeszły wyniki, okazało się, że ma we krwi stężenie bromu kilkakrotnie przekraczające normę.

- Bromu? Skąd się wziął?

- Sole bromowe, to takie tanie środki uspokajające hormony. Lekarz myślał, że po prostu przedawkowała, a ona, że od miesiący nie brała żadnych tabletek, że nawet by nie wiedziała co, ani nie miała za co sobie kupić.

Bo tak samo jeśli chodzi o ubóstwo - kontynuowała Anna - gdy mi opowiadała, że dostała od ekonomki sto złotych na całe wakacje i nie za bardzo wiedziała co to za pieniądze, bo nie miała z pieniędzmi w ogóle do czynienia, o wszystko musiała prosić, o buty, podpaski, mydło. Każda paczka z domu była konfiskowana na rzecz zakonu. No to dokładnie tak samo jak we Wspólnocie. Wszystko było wspólne, o wszystko trzeba było, nie prosić, ale „zgłaszać interes”. Chociaż później, gdy już byłam z Jakubem, to oczywiście był taki zaczątek naszego minigospodarstwa domowego. Bo my to już później bardziej funkcjonowaliśmy jak gmina

żydowska niż jak zakon. Wspólnota rodzin, wzajemna pomoc i kontrola. Ale single, którzy nie znaleźli sobie nikogo, to w sumie tworzyli jakby taki zakon. W zakonie też, niby chodzi o duchowość, ale w rzeczywistości to roboty jest tyle, że siostrzyczki nawet czasu zajrzeć do Biblii nie mają. A ty myślisz, że my mieliśmy czas czytać Bô Yin Râ? Tyle co sobie człowiek od snu odjął, o ile ze zmęczenia był w stanie sobie coś odjąć, bo często przysypiało się na siedząco w autobusach. Raz widziałam, jak jeden chłopak od Marka jechał autobusem, miejsc nie było, więc uwiesił się poręczy i tak mu się oczy zamykały, kolana uginały i wtedy trzeźwiał w ostatniej chwili i dalej. Potem oparł się plecami o coś i normalnie spał na stojąco.

I wiesz, co jeszcze było podobne? Teraz mi się to przypomniało. W zakonie, tak jak tam... źle patrzono na przyjaźń. Spróbowałam się raz zaprzyjaźnić z jedną taką dziewczyną. Od razu nas rozdzielili, że niby się nawzajem „rozwalamy”.

- Nie rozumiem, jak przyjaźń może rozwalać? I co rozwalać.

- Bo widzisz, chodziło o to, żeby utrzymywać „napięcie”, czujność umysłu. Gdy z kimś ci się dobrze rozmawia, tak jak mi teraz, to ci dobrze, rozluźniasz się, tracisz to napięcie, popuszczasz sobie. Wszelkie gadanie o nieistotnych rzeczach było popuszczaniem sobie.

- To o czym rozmawialiście?

- Wiesz, w zasadzie to teoretycznie nie było miejsca na rozmowy. Tylko wzajemne informowanie się o potrzebach: chcę, żebyś podała mi chleba, potrzebuję kartkę papieru i tak dalej.

- To jakieś barbarzyństwo!

- Oczywiście tak było w teorii, bo w praktyce, to zdarzało się czasem pogadać, zwłaszcza jak się z kimś pracowało albo studiowało na tym samym kierunku.

- Cóż, nic dziwnego, człowiek jest dzoon politikon, zwierzęciem towarzyskim.

- Najgorsze jednak w tym było to, że nieraz się zdarzyło, że ta osoba, z którą sobie przed chwilą tak miło gadałaś, potem na ciebie najzwyczajniej nakablowała. Chyba tylko po to, aby przez chwilę być zauważoną przez mistrza.

Monika starała się przez dłuższą chwilę ogarnąć myślą wszystko to, co usłyszała.

- Zupełnie nie potrafię pojąć - powiedziała - jak można się zaangażować w coś takiego. Rozumiem w coś wejść, ale przecież jeśli człowiek ma odrobinę zdrowego rozsądku, to chyba widzi, co jest grane i stamtąd szybko ucieka!

- Rozsądek i religia! - zaśmiała się Anna - nie sądzisz, że to się wzajemnie wyklucza? Przecież gdy słuchasz mitu, czytasz świętą księgę spodziewasz się wszystkiego: że ludzie będą chodzić po wodzie, będą ożywać zmarli, bogowie będą zstępować w ognistych chmurach. Gdy idziesz do kościoła, to słyszysz, że ksiądz zamienia chleb w ciało. I wierzysz w to, choć to niezbyt rozsądne.

- Wiesz, mi chodzi o rozsądek w ufaniu drugiemu człowiekowi.

- Ale to z założenia nie ma być zwykły człowiek! On się ogłosił mesjaszem. A jeśli nie jesteś katoliczką, nie wierzysz w żadną... nie wiesz za bardzo w co wierzyć, to jak sprawdzisz, czy ten człowiek jest mesjaszem czy nim nie jest?

- A po co w ogóle szukać jakiegoś człowieka, przecież każdy ma własny rozum.

- Daniel mawiał, że kto kieruje się własnym widzimisię, ten ma osła za przewodnika. Widzisz, ja nie umiem jeździć na łyżwach. Próbowalam się nauczyć sama, ale obtłukłam sobie tylko kolana. Ale wystarczyło kilka drobnych wskazówek i już zaczęłam jeździć. Może to my jesteśmy jacyś dziwni, ale pomyśl, może to coś nie tak jest z naszą kulturą, cywilizacją, że nie daje pewnych i wiarygodnych przewodników w tych sprawach, które są najtrudniejsze, najważniejsze. Jak żyć, jak ułożyć sobie życie w zgodzie z Bogiem, jak dojść do poznania Boga i jego planów? Co jest cnotą, którą warto rozwijać? Jak ułożyć sobie życie z partnerem życiowym. Tego nie uczy nikt, choć może powinni rodzice. Kościół uczy tylko masy, żaden ksiądz nie weźmie odpowiedzialności za konkretne jednostki, problemy życiowe. Jak samemu coś takiego wyrozumieć?

Monika nie powiedziała już nic. Dopiero gdy były już w windzie zapytała:

- Powiedz mi jeszcze tylko, żałujesz tego wszystkiego?

- Nie żałuję, że to przeżyłam, choć za nic w świecie nie chciałabym tam wrócić.

## Rozdział XXXV

„To niezwykły dzień!” pomyślał Filip, wsiadając do windy. Pan dokonuje wielkich rzeczy, gloria Tibi Domine! Wczoraj dowiedział się, że kilka miesięcy temu odszedł Olek! W Pracowni został tylko Łukasz z żoną, no i Marek z Wandą i dziećmi. Ale Artur i Justyna odeszli już pół roku po Filipie, Leon i Asia rok temu, Maciej, no i Jakub z Anią, jeszcze przed nimi. Wszyscy smakowali już wolności! Czyż to nie wspaniałe?

Dzisiaj mieli mały „zjazd weteranów”. Ciekawe, jakie mają nowiny z „tamtej strony”, czy kogoś spotkali, jak im się udało ułożyć sobie życie. Szkoda, że nie spotkali Pana, o ileż łatwiej byłoby, gdyby otworzyli się na jego moc! Moc Ducha, który wszystko oczyszcza, wszystko przebacza, wszystko leczy delikatnym tchnieniem miłości...

W drzwiach przywitał go Artur, co zaskoczyło Filipa, zapuścił włosy, które miał teraz związane na karku. Był już Jakub, ostatnio chyba się zaprzyjaźnili z Arturem, obaj interesują się szamanizmem, niestety. Przyszła też Justyna, była odwiedzić ich dziecko do rodziców Artura. Zapowiadał się długi wieczór.

- Leon dzwonił, że nie może przyjechać. Teraz jest cholernie zapracowany. Ale będzie Maciej i ma wpaść Olek.

Porozmawiali trochę o codziennych problemach młodych małżeństw, w czym Filip, jako kawaler, siłą rzeczy, nie mógł specjalnie uczestniczyć. Dotarł Maciej, a chwilę po nim wszedł, a właściwie wpadł Olek. Zachowanie Olka było dla Filipa sporym zaskoczeniem. Nie tak go zapamiętał. Teraz ukazał twarz niesamowitego luzaka, dowcipnisia. Zachowywał się, jakby za wszelką cenę chciał być duszą towarzystwa. Wszedłszy postawił na stole parę butelek piwa. Stale żartował, choć niektóre z jego kawałów wcale nie przypadły Filipowi do gustu. Na przykład kiedy rzucił: „Chodźcie zadzwonimy do Pauliny, mam jeszcze gdzieś jej numer!” Filip za dużo przeszedł pod „kuratela” tej kobiety, by nawet teraz, przy okazji żartu, chcieć usłyszeć jej głos. Na samą myśl o tym, przebiegał go zimny dreszcz.

Olek odszedł ze Wspólnoty ostatni, miał więc najświeższe nowiny z Pracowni, dlatego też naturalnie zdominował rozmowę.

Nowiny były elektryzujące. Z tego, co mówił Olek, wynikało, że Wspólnota jest na krawędzi rozpadu. Daniel okazał się być coraz bardziej kosztownym przedsięwzięciem.



Wymyślał coraz to nowe, coraz bardziej absurdalne akcje. Ostatnio podobno zażyczył sobie czajnika ze szczerego złota. Chyba to przebrało miarę i szef pionu ekonomicznego wyrzucił go z domu! Aż trudno było Filipowi w to uwierzyć. Henryk wyrzucił Daniela! Pamiętał go jako oddanego ucznia, który zawdzięczał Mistrzowi wyleczenie z narkomanii, a tu taka „czarna niewdzięczność”! A zatem pion ekonomiczny w zasadzie się uniezależnił, działa odtąd jako zwykła firma. Wcześniej odszedł stamtąd Robert, prawa ręka Henryka, oczywiście zaraz jego Hankę wydali za kogoś innego. Szkoła już dawno przestała działać, a przynajmniej ludzie Wspólnoty w niej.

W zasadzie po incydencie z Henrykiem Daniel już tylko rozrabiał. To pokłócił się z sąsiadami, to prawie pobił jakiś świeżych uczniów, którzy z gorliwości chcieli nagrać na dyktafon jego wywody, a już dna sięgnął chyba u buddystów. Filip częstokroć jeździł tam z Markiem pomagać przy budowie ośrodka, bo Daniel chciał dobrze żyć z buddystami. Uważał, że jest tam „autentyczny przekaz mocy”.

- A więc mówię wam - opowiadał Artur - raz zrzucił jakąś dziewczynę z huśtawki i wtedy go wyrzucili!

- Nie wiedziałem, powiedz dalej! - zaintrygowało to Olka.

- No chwycił ją za włosy i zrzucił.

- Co? Dlaczego?- dopytywał się Jakub.

- Bo jakąś mantrę źle śpiewała albo też jakąś zakazaną, niewłaściwą czy coś tam. W każdym razie zrobiło się straszne zamieszanie, mówię wam. Daniel wrzeszczy, ta dziewczyna też, przybiega Paulina i wrzeszczy „Artur, Marek!”, bo go prawie chcieli pobić, a wiesz jacy są buddyści, no, krzepkie chłopaki, to nie są jacyś tam asceci. Jak ktoś wykona te kilka tysięcy pokłonów, to krzepę mieć musi. W końcu pobiegli po lamę. Przychodzi lama i mówi: „No more crazy people here. Daniel, you must go home!” Ciężko mu było wyjechać, to było widać. Siedział taki smutny na ławce. Aż przyszedł jeden buddysta, chyba mu się go żal zrobiło, słyszałem jak mówił, „No co, narozrabiałeś Piekarz, tym razem ci się nie upiekło, co?” No to się zabrał i pojechali.

- Piekarz? - Filip nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

- Tak, no wiesz, on cały na białło chodził ubrany, z tą swoją białą czapeczką, to go przezwali „Piekarz”.

- Potem chyba jeszcze raz tam byli, ale musieli stamtąd uciekać, Leon opowiadał - dodała Justyna.

- Gonili ich? - zapytał Olek.

- No, mówię wam, pościg samochodowy, Marek wtedy prowadził, narozrabiali tam jeszcze jakoś inaczej, ale to mnie już tam chyba nie było wtedy. Obrazili się na nich. A wcześniej to tego jedzenia im tam nawoziliśmy, nie?

- No! To jedzenie i te wyprawy, ja pierniczę, bajka! - powiedział Olek.

- My rozbieraliśmy ten dworek wtedy, pamiętasz? - ożywił się Filip. - Ty byłeś wtedy jeszcze? - zdziwił się Olek. - No, przyczyniłem się do rozwoju sanghi buddyjskiej w Polsce, wybudowali tam potem stupę.

- A najbardziej wkurzyli się chyba, jak ty z Anią uciekliście - Maciej zwrócił się do Jakuba. - Mówię wam, normalnie jaki gnój, że podobno Paulinę pobiłeś czy co?

- Tak, widziałem tę scenę, ale odjazd, mówię wam - dorzucił Olek.

- Potem chodzili w piekieni. Nie wiedzieli, o co chodzi, normalnie myśleli, że się wystraszyliście tylko, czy coś, a jak już pokapowali, żeście prysnęli, mówię wam, jak się wkurzył!

- Chociaż to było jeszcze nic. Jeszcze bardziej zaczęli panikować, kiedy ukazał się ten artykuł - powiedział Olek.

- Ten, po moim odejściu? - zapytał Filip.

- Ten też, ale jeszcze bardziej kiedy ukazał się ten, tego kumpla Kuby, nie pamiętam jak się nazywał, też socjolog. Uznali, że Jakub z nim współpracuje, że mu podrzuca fakty. Pomagałeś mu? - zapytał Olek.

- Cóż, czemu nie - powiedział Jakub. - Szczerze mówiąc, sam zastawiałem się, czy czegoś nie napisać.

- No, to dobry pomysł! - zaciekawiał się Artur. - Ktoś powinien to opisać, co przeżyliśmy. Ktoś, kto sam w tym był, a nie tylko słyszał.

- Może inni się już nie nabiorą na takiego szarlatana - przyznała Justyna.

- Czyli, jakbym czegoś potrzebował, mogę na was liczyć? - zapytał Jakub nieśmiało i z nadzieją.

- No jasne!

- A ciekawe, co Witek - zmieniając temat, wtrącił Artur.

- Maciej, coś wiesz o Witku? Czy on kręcił się jeszcze później? - zapytał Filip.

- Nie, nie, już później nie - odpowiedział Maciej.

- Ja pamiętam ostatni raz Witka kiedy u Daniela w domu, tam pod Warszawą, siedział na półpiętrze, a ten mu kazał grać chyba z cztery albo z pięć godzin bez przerwy.

- To był budowany dopiero ten dom dla niego, to był wczesny etap, też pamiętam - powiedział Artur.

- Nie to było później trochę, dom już na pewno stał, ja jeszcze widziałem Witka raz, rozmawiali z Danielem, miał bardzo smutną minę - Dorzucił Filip.

- On naprawdę nieźle śpiewał - powiedziała Justyna.

- Miał fajny głos. - Te piosenki ruszały, nie da się ukryć - skwitował Artur. - Zwłaszcza te, które pisał Janusz.

- Bardziej dziewczyny się rajcowały niż my, powiedzmy sobie szczerze - powiedział Olek.

- Hm, ee... - chyba się z nim nie do końca zgodził Artur.

- Wy też żeście się rajcowali - zaprotestowała Anna.

- Ale nie aż tak, nas aż tak nie ruszało - upierał się Olek.

- Każdy na swój sposób się rajcował - odparła.

- No właśnie - Artur zakończył spór.

- A o Januszu coś wiecie? Miał ponoć jakieś problemy z żoną, z tego co wiem - zapytał Olek.

- W Internecie znalazłam jego nazwisko - odpowiedziała Justyna - To było ogłoszenie o wieczorze poetyckim w Detroit, w tamtejszym polonijnym domu kultury.

- Co on robi w Stanach?

- Wynikało z tego, że mieszka. Wydaje też swoje poezje, podobno jest dość popularny wśród polonii, nawet go ponoć tłumaczą na angielski.

- Ciekawe, czy mieszka z żoną czy z kochanką - zaśmiał się Olek. - Może z obiema!

- Albo z żadną. Bo tę kochankę, Ilonę, to akurat widziałam niedawno w Warszawie z jakimś innym facetem.

- Wiecie co mnie zastanawia? - podjął po chwili Artur. - Bo, że my się daliśmy nabrać, to jakby nie dziwota, młode szczawiki byliśmy, ale tacy ludzie jak Witek, Janusz, Władek, Karol, to

byli w sumie inteligentni ludzie. Władek zrobił chyba doktorat, tamci też wszyscy studia pokończyli, jak oni w to wdepnęli i dlaczego w tym tkwili?

- Wiesz, bo ich życie też się nieco różniło od naszego - zauważył Filip. - Oni nie zapyłali od rana do nocy. W sumie prawie każdy urządził się prawie tak, jak sam Daniel, tylko na mniejszą skalę. Każdy zorganizował sobie taki mały dwór, ludzie dla niego pracowali, on sobie siedział, czytał książki, wymądrzał się. Też bym tak chciał. A, że raz na jakiś czas dostali od Daniela w skórę...

- Karolowi - wpadł mu w słowo Artur - to nawet raz żebro złamał!

\* \* \*

Tak, to dla Jakuba było bardzo cenne spotkanie. Długo wahał się, czy ujawnić swą prawdziwą „rolę” we Wspólnocie. Ostatecznie jednak zdecydował się milczeć. Coś takiego powinno się mówić w cztery oczy albo wcale. Jak zauważył jeden z Jakuba ulubionych klasyków socjologii, Georg Simmel, w zgromadzeniu każdy uczestniczy tylko niższymi elementami swej osobowości. Wtedy też chyba najłatwiej o różne zjawiska ze sfery psychologii tłumu, wzajemne зараżanie emocjami, podsycanie namiętności. Jakub wolał nie ryzykować, ludzie ci byli dla niego zbyt cenni, zbyt inspirujący, nie tylko jako obiekty badań.

Dużo na przykład dał Jakubowi do myślenia jeden z ostatnich wątków rozmowy „weteranów”. Rzeczywiście, nie docenił roli muzyki. Analizowali z Michałem teksty, ale sama muzyka też nie była bez znaczenia. Pamiętał, jakie na nim samym wrażenie wywarły niektóre piosenki. Nie wszystkie. Po konsultacjach z innymi „weteranami” udało mu się zidentyfikować autorów większości. Największe wrażenie niewątpliwie wywierały na nim piosenki Witka, nie tylko poetycką głębią, bo teksty pisał Janusz, ale też warstwą muzyczną, o niej również dało się powiedzieć, że przenikała do głębi. O tym, że muzyka, sama jej harmonia, rytm może być narzędziem wpływu na ludzi, Jakub wiedział już od Platona. Nieprzypadkowo wielki prasocjolog pewne tonacje dopuszczał, jako wywierające pożądany wpływ na strażników swej Politei, inne, jako osłabiające ich charakter, odrzucał. Z drugiej strony Durkheim i jego uczniowie powiedzieliby, że muzyka jest też czynnikiem integracji Wspólnoty. Takie wytłumaczenie nie do końca satysfakcjonowało Jakuba. Ta muzyka stanowiła dla członków Wspólnoty Daniela coś więcej, była obietnicą autentycznego rozwoju duchowego, głębokiego przekazu ezoterycznego, którego ochłapy dostawali w rzeczywistości. Była jednym z głównych kanałów, którymi płynęło do uczniów, zwłaszcza tych niżej usytuowanych w hierarchii, owo „coś więcej”. Czy muzyka

integrowała? Znacznie silniejsze więzi, jak sam zaobserwował, zawiązywały się w czasie wspólnej, ciężkiej pracy, wspólnych posiłków czy ćwiczeń, gdzie stykali się bezpośrednio, twarzą w twarz, ramię w ramię z sobą, a nie tylko ze wspólną ideą.

Muzyka. Słowa pieśni śpiewanych we Wspólnocie mówiły wiele o radości. O tym, że trzeba się radować. Jakub w melodii wyczuwał jednak zupełnie inne nastroje. Był w nich tłumiony, niemal przekrzykiwany smutek, jakaś wymuszona radość przy pełnej świadomości beznadziejności sytuacji, jakby ktoś, z wielkim samozaparciem porywał się na zadanie wielokrotnie przekraczające jego możliwości. Były też pieśni zagrzewające do walki, oczywiście walki z własną słabością. Ale wzbudzały raczej zawziętość niż nadzieję zwycięstwa. Kierowały gniew przeciwko otaczającemu złu na wewnętrzną aktywność, pracę, przekształcały gniew, nadając mu konkretny cel. Same nie dawały prostego ujścia gniewowi jak muzyka rockowa. W tym kontekście nie dziwił pomysł akcji w Jarocinie, o których wspominał reportaż z „Polityki”, marzenie o przekierowaniu bezmyślnej agresji, choćby wybranych jednostek z tłumu młodzieży, do celu poprawy świata. Przypomniawszy sobie scenę tańca pogo pod jarocińską sceną. Biegający we wszystkich kierunkach ludzie ciężkimi „glanami” orzający pod sobą ziemię i wzniesający tumany kurzu, zderzający się ze sobą, często dość brutalnie - obraz dzikiej nieokiełznanej energii, musiał w oczach Wielkiego Gracza uchodzić za marnotrawstwo wołające o pomstę do nieba. Nic dziwnego, że wysłał tam swoją ekipę, a nawet sam pojechał.

Przyjrzał się jeszcze twarzom utrwalonym na zdjęciach w reportażu. Nadal niewielu z nich potrafił zidentyfikować. Tylko Urszulę, Henryka, Paulinę i Karola. Kim byli ci pozostali? Postanowił skorzystać z nawiązanych niedawno znajomości. Wrzucił artykuł na skaner i po chwili na pulpicie spoczywały ikony zdjęć poszczególnych członków Wspólnoty. Wybrał najlepsze zbiorowe ujęcie, pozostało już tylko załączyć do maila i rozesłać „listy gończe” albo też ogłoszenia z cyklu „ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...” W sumie najwięcej powinien wiedzieć Olek, do niego więc wysłał najpierw. Zrobił to w formie żartobliwego konkursu, „Zgadnij kto to”. Konkursy były starym narzędziem socjologicznym.

Odpowiedź Olka przyszła następnego dnia wieczorem.

„Ula, Heniu, Paulina, Karol, Robert, reszty nie poznaję.”

A zatem ten po lewej, to Robert. Jakub nie widział go nigdy przedtem, słyszał tylko, że był mężem Hani, pracował w pionie ekonomicznym, ale uciekł ze Wspólnoty, zabierając z sobą samochód pełen towaru, „jako rekompensatę”. Podobnie jak paru innych członków pionu

ekonomicznego poświęcał Wspólnocie nie tylko czas. Pierwszą fazę rozwoju firmy stanowiły wyjazdy do Niemiec, do pracy. Uczniowie Daniela pracowali na budowach albo grając na ulicach na akordeonie. Zarobione pieniądze i kupione samochody stanowiły kapitał inwestycyjny Wspólnoty. Robert włożył wszystko, co zarobił za granicą, własny samochód i wszystkie oszczędności. Oczywiście ta forma „rozliczenia” jaką obrał Robert nie znalazła zrozumienia i został obwołany we Wspólnocie cynicznym oszustem. „Cyniczny” było we Wspólnocie bardzo popularnym epitetem. Jakub czasami odnosił wrażenie, że częste powtarzanie go w stosunku do innych miało, niczym magiczne zaklęcie, chronić przywódców przed tym grzechem.

## Rozdział XXXVI

Przed dużą, dwukondygnacyjną willę ukrytą wśród gęstej roślinności zajechał ciemnozielony mercedes. Włączyło się oświetlenie uruchamiane widać czujnikiem zbliżeniowym reagującym na ruch. Ktoś wyjrzał przez oszklone drzwi i po chwili wyłonił się z nich ubrany w czarny sweter brodaty mężczyzna, który spiesząc zbiegając ze schodów, wkładał na głowę wełnianą czapkę. Zabierał się do otwierania bramy.

- Nie trzeba - rzuciła mu władcym głosem kobieta, która właśnie wysiadła z samochodu. Ubrana była w bardzo elegancki, ciemnowiśniowy płaszcz i duży fioletowy kapelusz. - Zaparkuj przed bramą - rozkazała swemu kierowcy, zadziwiająco szczupłemu młodzieńcowi. - Potem idź się ogrzać do kuchni.

Kobieta nie była już młoda, ale bardzo zadbana i szykowna. Stanowczym krokiem wkroczyła po schodach. Ktoś otworzył przed nią drzwi wejściowe. Była to niska kobieta o ostrzyżonych na krótko blond włosach. Gdy tylko zamknęła drzwi za gościem, uderzyła pięścią w dłoń. Widać, że łączyła je relacja mistrzuczeń.

- Co tam słyhać Hanno, wszystko dobrze? - zapytała mistrzyni. Mimo iż się spieszyła, gotowa była poświęcić chwilę uczennicy.

- Wszystko dobrze - zwięźle odpowiedziała Hanna.

- Idź powiedzieć, że przyjechałam.

- Pobiegł już Marek.

- Dobrze. Trzymaj się - powiedziała na odchodnym.

Szła po schodach, nie zatrzymując się już. Na półpiętrze minęła ją nieco szczuplejsza i wyższa kobieta, milcząca i najwyraźniej wściekła. Wyniosłym spojrzeniem zmierzyła gościa, a potem starała się go nie dostrzegać. Z wyraźną niechęcią pokonywała schody.

„Pójdzie do kuchni i powyżywa się, dając wycisk chłopakom. Cóż, taki jej los. Powinna wreszcie rozwiązać sobie ten problem z zazdrością. To takie niedojrzałe” - pomyślała, wspinając się na piętro kobieta w kapeluszu, który w przytłumionym świetle wydawał się dość kiczowaty z tą koronkową tasiemką.

Zapukała i weszła, gdy zza drzwi usłyszała zaproszenie. Znalazła się w dużym, przestronnym, starannie wykończonym drewnianą boazerią pomieszczeniu.

- Witaj Ula! - zawołał brodaty, starszy mężczyzna, siedzący w fotelu przed wielkim stołem. - Cieszę się, że mogłaś przyjechać. Marek, możesz już iść do kuchni.

- Cześć Daniel.

- Cieszę się, że cię widzę. - powiedział, wstając. Podeszli do siebie i objęli się. - Coś rzadko mnie odwiedzasz ostatnio. Ale to dobrze, sama już wiesz, co masz robić. Ty jesteś numer jeden, ja już jestem numer zero.

- Cóż jest warta jedynka, której nie zwielokrotni zero? Jak ci się podoba dom? - zagadnęła.

- Wygodny, trochę ciasniej niż u Henryka, ale mam wszystko, czego mi potrzeba. Zresztą wiesz, że dużo nie potrzebuję, dawniej, gdy była taka konieczność, potrafiłem żyć o chlebie i wodzie całe miesiące, teraz też bym mógł.

- Miejmy nadzieję, że nic się takiego nie stanie. Póki co, starcza na to, co najważniejsze. Hanna się dobrze sprawuje?

- O tak, jest bardzo pomocna.

- Słyszałam, że mamy problem? - zapytała Urszula, siadając naprzeciwko.

- Tak, owszem. - zaskoczył ją ton jego głosu, przebijało w nim pewne zmęczenie czy zniechęcenie.

- To o co chodzi? - zapytała Urszula, gdy już siedzieli na kanapie, czule się obejmując.

- Chodzi o Kubę, tego socjologa, słyszałaś o nim? Przyjeżdżał na rekreacje z Władkiem.

Pamiętasz?

- Pewnie, że go pamiętam, mieliśmy małe spięcie.

- To masz, przeczytaj.

Urszula wzięła od niego kartkę z kserokopią artykułu.

- To o nas? - Zapytała po chwili czytania. - To on napisał?

- Nie, ale zobacz początek drugiego akapitu.

- Grupę tę odkrył przed dwoma laty Jakub Wolski. Podjął się wieloletnich badań metodą obserwacji uczestniczącej, w oparciu o które przygotowuje obecnie dysertację doktorską.

- Wszystko wskazuje na to, że ten Kuba nas wykiwał, a to od początku były jego badania!

- Po chwili dodał nieco spokojniej, ale z nie mniejszą zawziętością - Nadal pisze o nas. Wiemy, że bada twoje kontakty.



- Cholera. - była spokojna, choć widać, że wiadomość ta nie była jej obojętna. - Zamierza nam zaszkodzić? - zapytała.

- Chyba tak. Wygląda na to, że przyjaźni się z autorem tego artykułu, już wcześniej mieliśmy sygnały, że się znają. On działa w tym dominikańskim centrum informacji o sektach. Poznałem go. Nie jest przyjaźnie nastawiony. Chrześcijański fanatyk. Skumali się z Filipem, pamiętasz, uczeń Marka, co też nam narobił bigosu artykułem. Ale jak ten Jakub zrobi doktorat, a jest już tego bliski, jego może ktoś potraktować poważniej. Chyba trzeba by go utemperować. Głupiec, nie wie, co może zniszczyć. Paulina chce tam jechać. Myślała o tym, żeby porozmawiać jeszcze z Filipem.

Urszula zamyśliła się. Te pomysły nie napawały ją entuzjazmem.

- Wiesz co, Daniel, lepiej nie. Pozwól, że sama się tym zajmę. Zrobię to po mojemu. Użyję moich ludzi. Daj mi wszystko, co masz o tym Kubie i o Filipie. Przekaż wszystkie kontakty. Przemyślę jak to załatwić i zadzwonię do ciebie jeszcze, zanim zadziałamy. Aha, muszę się jeszcze spotkać z Markiem, on znał go najlepiej.

- Sądzę, że jest jeszcze jedna osoba, z którą powinnaś porozmawiać, aby mieć pełny obraz sytuacji. Może okazać się bardzo przydatna, nie tylko jako informator.

- W porządku, niech się ze mną skontaktuje.

\* \* \*

Wyszedł od Urszuli skrajnie wyczerpany. Spojrzał na zegarek, była czwarta w nocy. Czterogodzinna narada jaką we troje właśnie odbyli stanowiła pracowite zwieńczenie intensywnego dnia. Dziesiątki kartek z wnioskami, jakie Jakub przekazał kiedyś Władkowi, które poddawali teraz starannej analizie, nie na wiele się zdały. Marek też okazał się niezbyt spostrzegawczym obserwatorem. Więcej wynikało z własnych obserwacji Władka zawartych w jego raportach dla Daniela. W oparciu o nie ustalili jakiś plan działania.

„Ależ nas załatwił - pomyślał - że też się nie zorientowałem. Tak szybko załapał o co chodzi, co należy mówić, jak się zachowywać.”

Nie od początku czuł, że coś tu nie gra. Ale szybki awans Jakuba, i zmiana jego postawy już zaczął wzbudzać jego podejrzenia. Nawet nie chodziło o to, że w stosunku do innych, którzy od lat harowali we Wspólnocie było to pewną niesprawiedliwością. Uważał wtedy, że było to niebezpieczne dla samego Jakuba. Teraz okazało się, że nie tyle dla Jakuba, co dla Wspólnoty. Gdy Jakub zniknął z Anną zastanawiał się, czy nie było w tym i jego winy. Nie dostrzegając jednak

żadnego znacniejszego uchybienia ze swojej strony. To odejście wydawało się jakieś nienaturalne, dziwne, nikt nie dostrzegł u Jakuba żadnego kryzysu, kombinowania, osłabienia, jakie zwykle towarzyszą myślom o ucieczce. Nagle, jak gdyby nigdy nic, po prostu zniknął. Mogło oczywiście chodzić o tę scenę z Anką, ale przecież wtedy do niczego nie doszło. Słabsi faceci wytrzymywali gorsze rzeczy.

Teraz wszystko stało się jasne. To nie była niesprawiedliwość mistrzów, ale oszustwo Jakuba. Ależ cyniczna perfidia. A jednak okazało się, że Władek, ten stary mądrała, popełnił błąd w szkoleniu. Wbrew modelowi starał się szkolić Jakuba przede wszystkim w metodach konspiracji, w socjotechnice, w technikach sprawnego myślenia. To wszystko obróciło się teraz przeciwko Wspólnocie. Tymczasem trzeba było przeprowadzić zwyczajne szkolenie z dużym naciskiem na autentyzm, z łamaniem woli i pełnym, głębokim programowaniem modelami.

Przypomniawszy sobie jak wyglądało jego własne szkolenie w tym względzie. Najpierw musiał sprostać wszystkim wstępnym testom, co trwało dwa lata harówki w kuchni. Gdy już został przyjęty na ucznia przez pełny rok nie odstępował Mistrza na krok, towarzyszył mu wszędzie, przy pracy, ćwiczeniu, spaniu, jedzeniu, wydalaniu, kąpieli. Spał na sąsiednim łóżku. Był cały czas pod jego czujnym spojrzeniem i sam czujnie obserwował mistrza. Przez ten czas „przeziąknął” Mistrzem, który stał się niemal jego alter ego. Odtąd, cokolwiek robił, czuł na sobie jego spojrzenie. Początkowo nie odczuwał tego jako zbyt przyjemne doznanie. Ale później, kiedy już zasady Mistrza stały się jego własnymi myślami, duchowa obecność przy nim stała się czymś naturalnym, a nawet czerpał z niej siłę, była mu oparciem.

Jedna próba szczególnie zapadła mu się w pamięć, była przełomowa. Mistrz zapytał go o coś. On zawahał się przy odpowiedzi. Sprawa był wstydliva, chodziło o problem z masturbacją. Mistrz zakazywał takiego trwonienia energii seksualnej, ale osobie samotnej, jaką był wówczas, gdy uciekła od niego żona, przestrzeganie tego zakazu nie przychodziło łatwo. Gdy tylko mistrz dojrzał wahanie w jego oczach rozgniewał się i zaczął drzeć na nim ubranie. Pamiętał to uczucie, kiedy Mistrz szarpnął za jego koszulę, urywając parę guzików, a w miejscu pozostałych rozrywając tkaninę. Potem rozerwał mu podkoszulek, spodnie. Po chwili stał przed swym mistrzem zupełnie nagi. U stóp leżały strzępy jego ubrania. Stał tak i zdawał sobie sprawę, że to ubranie było symbolem tego, co hamowało jego autentyzm, tego co ukrywało go przed Mistrzem. Stał tak nagi, początkowo wstydząc się swej nagości, potem jednak, w miarę jak przychodziło zrozumienie, wstyd mijał. Opuścił wzdłuż boków ręce zasłaniające dotąd genitalia. Stał teraz jak

otwarta księga przed swym mistrzem. Nie było już żadnych kłamstw, tajemnic, wstydu. Po tym doświadczeniu mógł już znieść wszystko.

Tak, w tym kierunku należało rozwijać Jakuba, tego by nie wytrzymał albo by się zdemaskował, albo by uciekł. Ale on wydawał się tego nie potrzebować, wydawał się taki autentyczny! Wówczas dałby głowę, że Jakubowi faktycznie zależy na rozwoju duchowym. Tymczasem Marek jeszcze go bronił, że niby to rozsądnych chłopak, bez destrukcyjnych inklinacji. Zobaczymy.

## Rozdział XXXVII

- Wiesz Michale, wczoraj zdarzyło się coś ciekawego - Jakub wstał i poszedł do swego pokoju, a po chwili wrócił z zadrukowaną kartką papieru. - Wieczorem sprawdziłem sobie pocztę. Był tam jeden mail, który mój program przez pomyłkę uznał za spam, więc nie zwróciłem na niego uwagi. Przyszedł już ze dwa dni temu, zobacz:

„Witam Cię Jakubie, Mieliśmy przyjemność już kiedyś się spotkać. Na Twój ślad trafiłam, przeglądając strony uniwersytetu w poszukiwaniu starych znajomych. Zauważyłam ze stron, na których jesteś obecny, że zajmujesz się m.in. problematyką sekt i tajnych organizacji. Ja również interesuję się tym zagadnieniem. Jestem aktualnie w Twoim mieście na kilka dni, czy mogę poprosić Cię o jakiś kontakt telefoniczny, by móc zadzwonić? Jeśli jesteś na miejscu, chętnie spotkałabym się z Tobą, by porozmawiać na temat naszych wspólnych zainteresowań.

Pozdrawiam

Hanna Żakowska”

- Nie wiedziałem, że widniejesz gdzieś na uniwersyteckich stronach - powiedział Michał doczytawszy do końca.

- Nie widnieję. Ciekawe, prawda? Nazwisko Żakowska nic mi nie mówiło, nie przypominałem sobie żadnego spotkania z kobietą interesującą się sektami. Znasz mnie, nie jeżdżę przecież na konferencje, ani nie utrzymuję kontaktów z inkwizytorami. Znałem tylko jedną osobę o tym imieniu, choć nie pamiętałem jej nazwiska. Skojarzenie to wydało mi się zbyt nieprawdopodobne, by dać mu wiarę, więc nie zastanawiając się długo, odpisałem krótko, podając numer telefonu. Wiesz, wstań na chwilę, włączę komputer, coś ci pokażę.

Jakub uruchomił przeglądarkę, wszedł na stronę wyszukiwarki i wklepał „Hanna Żakowska”.

- Zobacz co znalazłem dziś rano - była tylko jedna strona, na której widniało to imię i nazwisko. Było to zaproszenie na konferencję dotyczącą dialogu społecznego. Organizatorem tej konferencji była firma konsultingowa „Terminus” z Warszawy. Pod zaproszeniem podpisane były dwie osoby, w tym pani Żakowska jako wiceprezes. Jakub wskazał palcem widniejące obok nazwisko pani prezes Terminusa: była to niejaka Urszula Romanowska. - To nazwisko było mi już znane. Zdarzyło mi się pełnić dla niej funkcję listonosza. - Wprowadził je do wyszukiwarki.

Tutaj trafić było dużo więcej. Większość odnosiła się do gazet biznesowych czy prawniczych. Wśród odsyłaczy był jeden na stronę fotograficznej agencji prasowej. Otworzył stronę w nowym panelu i czekał aż wczytają się zdjęcia. Po chwili powiedział do Michała obserwującego w spokoju jego ruchy:

- Przedstawiam ci aktualną przywódczynię Zakonu 44. \* \* \*

Jakub uznał, że o przebiegu sytuacji warto poinformować profesora. Zdjęcia Urszuli nie wywarły na nim jednak wrażenia, jakiego się Jakub spodziewał. Wydawał się doskonale bawić, oglądając je.

- To tak wygląda prawa ręka samego Mesjasza - Śliwiński spojrział na pierwsze zdjęcie.

- Dopóki nie zobaczyłem zdjęcia, nie wiedziałem o kogo chodzi. Tam nie posługiwaliśmy się nazwiskami.

- O, a tutaj z premierem prezentuje się znacznie lepiej. Sądziłem, że jest młodsza. Ale stara się trzymać szyk i klasę, to trzeba jej przyznać. Choć ma nieco starodawny gust. Dlaczego na przykład uparcie zakłada te wielkie kapelusze?

- Podejrzewam, że to jej symbol władzy, dominacji.

- Mężczyźni podobne kompleksy wyrażają, kupując sobie wielkie samochody - zachichotał profesor, aż z jego fajki uniół się obłok popiołu, pokrywając całe biurko drobinkami nadpalonego tytoniu. Profesor jednak nie był tym zakłopotany, otrzepał tylko zdjęcia i kontynuował zabawę. - Skądś znam tego pana, tak to rektor Wyższej Szkoły Czegośtam, chyba w Toruniu. A to prezes Stowarzyszenia Wolnych Mediów. Śmietanka. I profesor Truszczuk. Co to za uroczystość?

- To przyznanie nagrody związanej z szerzeniem dialogu społecznego.

- I co jeszcze pan znalazł?

- Przyjrzałem się różnym organizacjom, w których działa Urszula. Znalazłem ich z tuzin. Niektóre wydają się całkiem wpływowe inne chyba fikcyjne, bo poza powstaniem nic nigdy nie przedsięwzięły. W trzech z nich zajmuje pozycję w zarządzie. Wydaje się, że skupiają się na trzecim sektorze.

- W polityce i gospodarce im nie wyszło, więc zabrali się za organizacje pozarządowe. - dobry humor nie opuszczał profesora.

- Dokładnie takie odniosłem wrażenie. A jeśli chodzi o biznes czy politykę, to starają się usytuować raczej na szlakach przepływu informacji niż kapitału czy władzy.

- Słusznie, perspektywiczne myślenie - przyznał Śliwiński. - Wchodzimy wszak w erę społeczeństwa informacyjnego. A jak pan ocenia skuteczność ich działań? - zapytał już nieco poważniej.

- Nie dostrzegłem, aby gdziekolwiek wpłynęli na „bieg dziejów”. Próbowali wzmocnić jakieś nowe pomysły w dziedzinie relacji pracodawca-pracownika, chyba na wzór japoński, ale ich inicjatywa szybko padła. Sukcesy odnoszą tam, gdzie udaje im się wpisać w główny nurt, podczepić pod jakąś akcję, która i tak by się pewnie odbyła. Na przykład akcje antynikotynowe, które już od pewnego czasu trwały, nawet na szerszą skalę w Europie.

- Czyli „bezsilny duch” święci tryumfy?

Jakub spojrział z pytającą miną na profesora. Nie miał pojęcia, o czym mówi.

- Widzę, że nie odrobił pan zadania domowego. Mam na myśli Maxa Schelera...

- A, jego socjologię wiedzy, wiem, pamiętam, „teoria bezsilnego ducha”. Idea nie może zmienić rzeczywistości, może tylko przyhamowywać albo odblokowywać realne siły społeczne - Jakubowi jakby zaskoczył trybik w mózgu.

- Doskonale. A jednak pan czytał.

Jakub zamyślił się nad tym, co sam przed chwilą powiedział.

- A pan profesor jak uważa, czy organizacja taka jak ta, w ogóle byłaby w stanie faktycznie wpłynąć na rzeczywistość? Czytałem sporo o różnych tajnych organizacjach, same przechwalają się potężnymi wpływami, wyobraźnia ich wrogów jeszcze te wpływy potęguje. Wydaje się, że w paru momentach faktycznie to i owo im się udało...

- Ciekawy problem. Wydaje mi się, że ci akurat są przede wszystkim zbyt nieliczni. Nie stanowią realnej siły społecznej. Dwie, trzy osoby, nawet jeśli obracają się w najwyższych kręgach mogą co najwyżej załatwić to lub owo dla swej organizacji, ale nie są w stanie realnie wpłynąć na inne struktury. Raz poznałem oficera dawnego wywiadu, zdradził mi w wielkiej tajemnicy, że aby kontrolować przekaz takiej na przykład naszej telewizji, trzeba by umieścić w niej około setki agentów, zwłaszcza na szlakach przepływu informacji. Inna sprawa, że struktury krystalizują się wokół pewnych żywotnych interesów. Musieliby usadowić się na jakimś nurcie interesów, realnej tendencji społecznej i przekonać tych ludzi, że potrafią lepiej pokierować nimi dla ich dobra. Dzięki temu mogliby przejąć kontrolę nad tym nurtem. Ale tylko tak długo, jak...

- Jak długo będą realnie przyczyniać się do jego zaspokajania. Prawo Spencera-Durkheima.

- Dokładnie. Nie są w stanie zmienić realnych podstaw istnienia danej organizacji, konkretnych interesów, którymi kierują się członkowie - Śliwiński był zadowolony z poziomu swego ucznia. Szybko pojmował. - Jak to ładnie powiedział Rousseau: „Bezpodstawny urok tworzy węzeł przejściowy, tylko mądrość tworzy trwałe więzy”, mądrość, czyli tutaj zgodność z rzeczywistością i umiejętność zaspokajania żywotnych interesów.

- A jeśli chodzi o władzę strukturalną, tworzenie reguł? Na przykład masoneria wprowadziła dość skutecznie tą swoją równość, wolność i braterstwo.

- Pozornie tak to się wydaje, rzeczywiście - uśmiechnął się profesor. - Ale z drugiej strony, jak pan wie, wszystkie instytucje społeczeństwa produkcyjnego, kapitalistycznego, wzorują się w mniejszym lub większym stopniu, prędzej czy później, na kluczowej jego instytucji: rynku. A na rynku od dawien dawna funkcjonowały równość stron transakcji, wolność jej zawierania, a to wszystko możliwe jest tylko w sytuacji panującego pokoju, zawieszenia działań antagonistycznych, czyli w stanie braterstwa. Generalnie, trochę to przypomina dylemat jajka i kury, ale ja, na starość mam coraz mniej złudzeń. Bycie graczem, to tylko iluzja, w rzeczywistości można być tylko świadomym pionkiem. - Profesor zamilkł, przyglądając się Jakubowi w zamyśleniu. Po chwili zmienił temat:

- Niech pan powie, czy poszedł pan w końcu na to spotkanie?

- Naturalnie. Spodziewałem się negocjacji. Podejrzywałem, że będą chcieli mnie nakłonić, abym się nimi nie zajmował. To oczywiście nie wchodziłoby w grę. Ale byłem gotowy negocjować. Zaskoczyli mnie, muszę przyznać. Hanna zaczęła rozmowę jakby nigdy nic, dużo, bardzo dużo mi opowiadała o swych problemach z dziećmi, jak to trzeba je chronić przed sektami, zwłaszcza przed satanistami czy kabalistami, dopiero po pół godzinie, jakby mimochodem wspomniała, że już od roku nie ma nic wspólnego z Danielem.

- Wierzy pan jej?

- Nie. Choć w czasie rozmowy nie miałem stuprocentowej pewności, że kłamie, nawet zacząłem się wahać czy nie przesadzam z podejrzliwością. Może to i dobrze, bo zachowywałem się w rezultacie autentyczniej. Potem sprawdziłem, pewne informacje, jakie mi podała i okazały się nieprawdą. W każdym razie udałem przed nią, nie wiem czy przekonująco, że to kupuję. Szczerze mówiąc, byłem nieco zbity z tropu, nie wiedziałem co zrobić. Z drugiej strony po wyjściu z tej kawiarni dotarło do mnie, że całe jej zachowanie było bardzo dwuznaczne, a jednocześnie bardzo typowe dla ich agentów. W każdym jej ruchu było widać, że to nie ona jest

autonomicznym podmiotem, że realizuje po kolei bardzo szczegółowe zalecenia przełożonych, że jest „zadaniowana” na rozpracowanie mnie. Nawet, jeśli tylko mówiła, to po to, aby mnie obserwować, badać moją reakcję...

- Może trzeba było zagrać w otwarte karty?

- Chyba jednak nie. Po pierwsze nie miałem jeszcze pewności, a ujawniając swe podejrzenia, sprowokowałbym ją do zmiany taktyki, zaczęłaby grać lepiej i nie odsłoniła się aż tak bardzo. Bo kilka rzeczy, które powiedziała dzięki temu, gdy je potem przemyślałem, porównałem z modelowym zachowaniem i motywacjami innych „eksów” rozwiało me wątpliwości. Po drugie, dopóki oni wierzą, że ja jej wierzę, mam kontrolę nad informacjami, które mogę im wysyłać. Uważają, że mają ze mną kontakt, przy pomocy którego mogą mnie kontrolować. Dopóki w to wierzą, nie będą szukać do mnie innych dróg dostępu, może trudniejszych do przejścia. Gra w grze wewnątrz gry.

- Niech pan mi powie, kim jest ta Hanna?

- To prawa ręka Urszuli. Ja znałem ją słabo, ale z taśm Michała wynika, że to jej główny agent do zadań specjalnych. Wyjątkowo bezwzględna i fanatyczna osoba. Wierzę, że na polecenie Urszuli oddałaby własne dzieci, o które zresztą zupełnie nie dba. Jest przy tym niesłychanie elokwentna. Jej głównym talentem jest jednak to, że potrafi skłamać kilkanaście razy w jednym zdaniu.

- To pewnie też doskonale potrafi okłamywać samą siebie? - uśmiechnął się gorzko profesor.

- Ale mam też inny problem. Hanna, uczennica Urszuli, napisała do mnie maila pięć godzin po tym, jak ja wysłałem zdjęcia Urszuli do Olka.

- Podejrzewa pan, że jest nożycami a Olek stołem?

- Z jednej strony to w ich stylu. Z drugiej wydaje się to nieprawdopodobne, zważywszy na jego zachowanie. W tej wspólnotce istniały szczegółowe reguły, co do pokarmów, uzasadniane racjami zdrowotnymi, ale o sile religijnego tabu. Tymczasem on pije piwo, wcinając słone orzeszki, jak gdyby nigdy nic.

- Ale on przecież wie, że pan zna te tabu, może celowo je łamie, aby się uwiarygodnić. Może też tabu się rozluźniło ostatnimi czasy albo generalnie agenci działają na innych zasadach.



- Tak sobie właśnie pomyślałem. W każdym razie nie mam pewności. Jeśli jest agentem, to dużo bardziej przekonującym niż Hanna. Na wszelki wypadek zacznę dokładnie kontrolować wszelkie informacje, jakie mogą wypływać ode mnie do Olka.

- Niech pan uważa. Żeby pan nie wpadł w paranoję - profesor znowu się zaśmiał. - Spiskowe teorie potrafią usidlić nawet całkiem zdolne mózgi. Czytał pan Wahadło Foucaulta? Koniecznie! Niech to będzie dla pana ostrzeżenie.

- Proszę się nie gniewać za mój dzisiejszy nastrój - powiedział profesor, dostrzegając pewne rozdrażnienie u Jakuba - ale właśnie dowiedziałem się o zabawnej sprawie, właściwie to tragicznej, ale nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Innymi słowy wielka afera, hi hi hi... Zaraz panu opowiem. Zna pan Wieścińskiego? Taki znany socjolog gospodarki, mówiliśmy na niego cegła, bo jako pierwszy kupił sobie telefon komórkowy, a były one wówczas wielkości cegły. Często bryluje w telewizji, taki typowy malkontent, z tych, co jak powiedział Tacyt, myślą krytyczne nastawienie do rządzących z obiektywizmem. Właśnie się dowiedziałem, że ów pan chciał sobie dorobić trochę pieniędzy do sławy i postanowił wydać ponownie swój stary podręcznik. Żeby się lepiej sprzedało, uzupełnił o kilka rozdziałów dotyczących najnowszych tendencji. Widać nie chciało mu się samodzielnie ich już napisać, bo ponoć przepisał je z jakiegoś kanadyjskiego podręcznika. Ukazało się to jakiś rok temu. Miał łotr pecha, bo sprawa się właśnie wydała. I to jego własna doktorantka na to wpadła! Za jego plecami załatwiła sobie stypendium w Ontario, tam miała prowadzić zajęcia, bierze obowiązujący podręcznik, czyta i oczom nie wierzy. Oni się uczą z Wieścińskiego! No ale data wydania jakby nie ta, nazwisko na okładce też... Wyobraża pan sobie? Zuch dziewczyna! Nie wystraszyła się, tylko szybko zmieniła promotora, zgłosiła komu trzeba i teraz Wieściński musi się tłumaczyć, oj gęsto tłumaczyć. Jest nadzieja dla nauki, skoro takie będzie przyszłe pokolenie.

- Panie Jakubie, jeszcze jedna sprawa - podjął profesor po chwili milczenia. - Dobrze, jakby pan przed doktoratem coś opublikował. Chyba nawet jest taki formalny wymóg. Tego musi się pan dowiedzieć. Generalnie uważam, że to bez sensu. Gdyby wszyscy doktoranci mieli publikować, to by czasopism socjologicznych nie wystarczyło w kraju i na świecie. Zwłaszcza, że coraz więcej doktoratów się ostatnio produkuje. Ale warto, aby się świat dowiedział o pańskim badaniu. To ważne także w kontekście pańskiego przyszłego zatrudnienia. Dużo czasu nie zostało, zwłaszcza, jeśli się uwzględni długotrwałość cyklu wydawniczego, więc niech się pan pospieszy.

- Postaram się coś przygotować. A ma pan profesor pomysł, gdzie konkretnie mógłbym to zamieścić?

- Na przykład w „Studiach Religioznawczych”. Skoro chce pan zajmować się socjologią religii, to dobrze, aby pan dał się poznać właśnie w tych kręgach.

\* \* \*

„Cześć Olek, mam do ciebie prośbę. Przygotowuję artykuł na temat naszej ekswspólnoty. Potrzebuję kilku informacji, a jako że ty odszedłeś ostatni, zwracam się do ciebie. Załączam listę pytań.

Jakub”.

Dotychczasowe uparte milczenie Olka zdawało się potwierdzać hipotezę o tym, że jest wtyczką Wspólnoty. To już trzeci mail jaki do niego wysyłał. Próby dodzwonienia się na jego komórkę również spęłzyły na niczym. W końcu za piątym razem Olek odebrał, ale tylko po to by powiedzieć, że nie może rozmawiać, i że oddzwoni później. Nie oddzwonił. Oczywiście to nie jest żaden mocny dowód, ale poszlaka - owszem. Jakub traktował te maile jako swoisty eksperyment socjologiczny. Jak powiedział profesor, uderzył w stół, czekał teraz ponownie na dźwięk nożyc. Odezwały się. Musiał poczekać kilka dni, ale reakcja była dokładnie taka jak się spodziewał.

Odezwała się ponownie Hanna i rozmawiając na spotkaniu o tysiącu mniej lub bardziej ważnych spraw wspomniała, że ktoś jej opowiadał, że podobno Daniel strasznie się rozchorował, że wyjechał na leczenie do Francji, że w zasadzie to już Wspólnota nie istnieje, Daniel został sam, zupełnie bez wpływu. Jego uczniowie usamodzielnili się, każdy zajmuje się własnymi sprawami, działają w biznesie, polityce, nauce. Podobno rozmawiała z niektórymi. Twierdzili, że powodem ich odejścia była niespójność ideologii Daniela. Ergo, Wspólnota nie istnieje, Daniel jest nieznaczącym, schorowanym starcem na peryferiach społeczeństwa. Nie jest to żaden temat dla socjologa.

Bardzo chcieli, aby tak myślał. Jakub z łatwością odczytał ten komunikat.

Kolejne dni Jakub poświęcił na odwiedziny każdego z „eksów” z osobna, spodziewając się, że Zakon 44 może zacząć na nich naciskać, aby broń Boże nie udzielali Jakubowi żadnych informacji. Faktycznie w jednym przypadku go ubiegli, na szczęście nieskutecznie. O reszcie prób takich nacisków dowiedział się później. Stosowali różne metody: od delikatnego i subtelnego zastraszenia przez próby oczernienia Jakuba jakimiś naciąganymi historiami. W tej

sytuacji nie miał wyjścia i wyznał wszystkim swój realny powód wejścia przed laty do Wspólnoty. Niektórzy nie chcieli wierzyć, u innych wzbudziło to podejrzliwość, czy nie pracuje dla służb specjalnych. Na szczęście szczerą rozmowa pozwoliła przezwyciężyć te reakcje. Część czerpała nawet nieco mściwej satysfakcji z tego, że Jakubowi udało się wywieść Zakon w pole jego własnymi metodami.

Jakub chciał jak najprędzej uzupełnić wywiady Michała, które były w zasadzie czystymi narracjami autobiograficznymi, o pewne istotne z jego perspektywy szczegóły. Nie wszyscy byli równie chętni do współpracy. Po tygodniu dysponował jednak dodatkowo siedmioma wywiadami i kilkoma obiecującymi dalszymi tropami do ludzi, którzy na różnych etapach zetknęli się z Danielem.

\* \* \*

- Cześć Kuba! Olek mówi, poznajesz? - Jasne, cześć, co słyszeć? - Słuchaj, ale narozrabiałeś, bo ty tę pracę piszesz nie, o naszych wspólnych znajomych, tak?

- Powiedzmy.

- No, słuchaj, bo się właśnie odezwali do mnie, mówię ci, stale wydzwanają, strasznie spanikowani, wiesz, jak to oni... Słuchaj, nie wiem czy wiesz, ale Daniel teraz we Francji jest, i on się boi, wiesz, że mu coś nabroisz... Mówię ci jaki odłot, jechałem właśnie z Bydgoszczy i całą drogę, chyba z godzinę mi nawijali. To nawet niezła zabawa, mówię ci. Sobie tak patrzę, pod tym kątem jakie oni wybiegi negocjacyjne stosują...

- I czego chcieli?

- Wiesz, oni koniecznie chcą się z tobą skontaktować, najlepiej się spotkać, wiesz, mówił, że może przyjechać, i sądzę, że faktycznie jest tak scykany, że przyjechałby, koniecznie chcieli twój numer telefonu albo adres. Ja powiedziałem, że nie dam, dopóki nie zapytam ciebie.

Jakub zamyślił się. Nie miał ochoty na żadne spotkanie z Danielem. Wiedział też, jak przebiegają jego „rozmowy” przez telefon. Powiedział więc:

- Wiesz co, nie. Jak chcą czegoś ode mnie, niech napiszą maila. Masz mój adres? Zresztą jest na stronie uniwerku.

- Dobra, w porządku. Przekażę im jak zadzwonią. Ale wiesz, ja bym się zastanowił, czy się jednak z nimi nie spotkać. To mógłby być świetny materiał, wziąłbyś sobie dyktafon, ukrył gdzieś w ciuchach, miałbyś taaakie nagranie, mówię ci, ekstra. Wiesz, bo jakbyś chciał, to dostałem na urodziny taki fajny dyktafonik cyfrowy, mówię ci, niezła zabawka, trzynaście godzin

nagrywania, wielkości długopisu, no może trochę większe, z wyjściem USB, on by nawet nie zauważył, że go nagrywasz. Ja go w sumie nagrywałem, jak chcesz, mogę ci to wrzucić gdzieś na FTP, sobie ściągniesz, mówię ci, zajebiste nagranie. Trochę je tylko wyczyszczę, bo fragmentów w ogóle tam nic nie słyhać tylko jakieś trzaski... - „Jaką przynętą można zwabić naukowca w pułapkę? - informacją”.

- Nie, wiesz, nie potrzebuję czegoś takiego, wiesz, że wobec mnie zastosowałby skrajną symulację i dezinformację, a taka wypowiedź nie miałaby żadnej wartości. Niech piszą. Sądzisz, że on naprawdę wyjechał z kraju?

- Mógł się wystraszyć, mówię ci, on jest na serio spanikowany.

- Powiedz Olek, czego oni się tak boją?

- Wiesz, oni uważają, że się będziesz mścić za tę sytuację z Anką, że w ogóle jesteś dominikańskim szpiegiem i takie tam...

- Aha, to już wiem, na czym stoję, dzięki! Nie zapomnij mi wrzucić tego nagrania, chętnie posłucham, masz mój adres. Nie musisz tego czyścić, sam sobie z tym poradzę.

- Dobra, w porządku.

- Dobra stary, muszę kończyć. Trzymaj się.

- No, to na razie.

A jednak Olek to wtyka. Teraz był już prawie na 100% pewien. Ta wiedza może się przydać.

## Rozdział XXXVIII

„Temat: Przesyłka Od: sekret@netmail.pl Do: jakub.wolski@ksr.kk.edu.pl Są rzeczy, o których jeszcze bardzo mało wiesz. O pewnych rzeczach nie mówi się każdemu napotkanemu człowiekowi. Pozdrawiam PS Dziękuję za ujawnienie skrzynki, chętnie skorzystam.” „Ha!, skąd my to znamy?” - zaśmiał się w duchu Jakub. - „Proponuje mi grę pod tytułem «Naprawdę Bardzo Wielka Tajemnica»„. Jakub nie miał najmniejszej ochoty na dialog przy pomocy konspiracyjnego języka aluzji, głęboko brzmiących i wieloznacznych, które mają tylko oneśmielić rozmówcę „głębią wiedzy Mistra” i „złożonością tajemnic, które przeniknął”.

„Temat: Re: Przesyłka

Od: jakub.wolski@ksr.kk.edu.pl

Do: sekret@netmail.pl

Szanowny Panie/Pani

> Są rzeczy, o których jeszcze bardzo mało wiesz.

Naturalnie, człowiek uczy się całe życie. Zwłaszcza, jeśli nauka jest jego zawodem i powołaniem.

> O pewnych rzeczach nie mówi się każdemu napotkanemu człowiekowi.

Czyśmy się kiedyś spotkali?

> Dziękuję za ujawnienie skrzynki, Ujawnienie? Mój adres jest publicznie dostępny na stronie: <http://www.ksr.kk.edu.pl/ksiazkaadresowa.php>

PS Przypominam, że w naszej cywilizacji nie odpowiada się na anonimy, a ich pisanie świadczy o tchórzostwie albo o nieczystym sumieniu. Dlatego jeżeli się Pan/Pani nie przedstawi, nie będę odpowiadał więcej na Pani/Pana maile, a adres skąd będą nadchodzić dodam do adresów zablokowanych.

Pozdrawiam.

Jakub Wolski”

„Nie będę grał na jego warunkach” pomyślał i wysłał maila.

Gdy wrócił kolejnego dnia wieczorem po zajęciach odebrał maila następującej treści:  
Temat: Nieporozumienie Od: sekret@netmail.pl Do: jakub.wolski@ksr.kk.edu.pl Witam serdecznie, przepraszam za nieporozumienie, sądziłem, że się domyślisz. Przed Tobą nie muszę

ukrywać swej tożsamości. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, podeślę Ci trochę tekstów, na których się opieram, wiele Ci wyjaśnią.

Daniel Drzewiecki

Gdy skończył czytać, zauważył, że program pocztowy ciągle ściąga wiadomości, a raczej drugą z czterech wiadomości, jakie trafiły na jego skrzynkę. Bynajmniej nie wyglądało na to, by szybko skończył. Jakub poszedł do kuchni zrobić sobie kawę, lubił sam ją mielić na staroświeckim ręcznym młynku, który pozwalał ustalić precyzyjniej niż młynki elektryczne grubość mielenia. Gdy wrócił z dymiącym kubkiem ze zdziwieniem spostrzegł, że nawet połowa z tej drugiej wiadomości nie została jeszcze ściągnięta. Pomyślał nawet, że coś się zawiesiło na łączu, ale gdy sprawdził przepustowość okazało się, że bajty w niezłym jak na modem telefoniczny tempie spływają do komputera. Nie pozostało nic innego, jak cierpliwie czekać. Po kwadransie mógł wreszcie przeczytać wiadomość. Zawierała kilkadziesiąt zeskanowanych stron z jakiejś książki. Jakub rzucił okiem na skany, wszystkie były obrócone do góry nogami. Ale wkrótce, kiedy tylko obrócił skany do pozycji, w której nadawały się do czytania, mógł zapytać tylko sam siebie: „O co chodzi?”- zastanowił się, „Zabrał się za moją edukację?” Kolejna wiadomość, jak można było wywnioskować z postępu paska sygnalizującego stan ściągnięcia, musiała być przynajmniej tak samo duża jak ta. A nie była bynajmniej ostatnią. „Czy on myśli, że nie mam czego czytać?” Niechętnie zabrał się jednak do lektury. Z każdą stroną zwiększał jednak tempo i wkrótce już tylko „kartkował” kolejne skany. Były to rozważania niewiedomego autorstwa na temat znaczenia literatury w samorozwoju. Gdy czekał, aż trzecia wiadomość spłynie na konto, Anna wróciła z zajęć. Podzielił się z nią wiadomością o nawiązaniu kontaktu z Danielem. Rzuciła okiem na „przesyłkę”, nad którą ślęczał Jakub i zaśmiała się:

- Wiesz o co chodzi? Chce cię załatwić jak Trurl i Klapaucjusz dyplomowanego zbrojce Gębona!

- O czym ty mówisz? - zapytał zaskoczony Jakub.

- Nie znasz Cyberiady? Nie czytałeś widać lektur w szkole. Od tego zaczęła się moja edukacja u Władka. Trurl i Klapaucjusz to dwaj konstruktorzy. W czasie jednej z podróży galaktycznych wpadli w sidła zbrojcy Gębona, który tym się różnił od innych, że był zbrojcą dyplomowanym, łasym nie tyle na pieniądze, co na informacje - taki typ uczonego zbieracza - i aby się wydostać skonstruowali specjalnego „demona drugiego rodzaju”, który produkował masę informacji na różny temat, jakkolwiek zupełnie bez związku z czymkolwiek, po prostu taki

teleexpress non stop i w ten sposób zakopali go w stosie papierowej taśmy. Niezły sposób na unieszkodliwienie naukowca - zarzucić go masą informacji. Założymy się? Jutro rano będziesz miał następnych parę takich przesyłek. Zrobi wszystko, abyś do wiosny się z tego nie wygrzebał. A jak wiesz, ma co skanować.

- Też przeczuwałem, że o to mu chodzi.

Kolejny dzień w pełni potwierdził hipotezę o „strategii na Gębona”. Jakub na wszelki wypadek sprawdził stan swego konta przez stronę www, aby nie zablokować sobie komputera na godzinę. W skrzynce znajdowały się cztery kolejne maile o objętości po pięć megabajtów każdy. Jego modem ściągałby je dwie godziny. Trzeba było to przerwać bo zbankrutuje płacąc słono za każdą minutę transferu. Ściągnie to sobie później na uczelni i przeniesie na dyskietkach. Póki co przesłał bez ściągnięcia na komputer ostatnie, nie przeczytane maile od Daniela na swoje awaryjne konto, które nie było obsługiwane przez jego program pocztowy i wykasował je z uczelnianego serwera. Teraz mógł już zabrać się za pisanie odpowiedzi.

„Temat: Re: Przesyłka

Od: jakub.wolski@ksr.kk.edu.pl

Do: sekret@netmail.pl

Drogi Danielu, niestety, z powodu załączonych skanów, Twoje maile przekraczają możliwości odbiorcze mojej skrzynki oraz moc modemu. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś ograniczył ich objętość, a najlepiej zaprzestał wysyłania mi całych książek mailami. Prowadzę korespondencję z wieloma ludźmi, a Twoje maile zapychają moją skrzynkę i mi to uniemożliwiają. Po drugie, z tego co przeczytałem: jestem jeszcze początkującym uczonym, chyba średnio obdarzonym przez naturę/Boga, bo nie za bardzo pojmuję co te cytaty, które mi przysłałeś, mają wspólnego z Tobą i/lub mną?

Jakub Wolski”

Wieczorem, gdy wrócili z Anną z kina, uruchomił komputer. Musiał przyznać, że ciekawość w nim narastała, co też teraz wymyśli Wielki Guru. Znowu kilka maili, tym razem jednak znacząco krótsze, to już nie były skany, ale zwykłe listy.

- No i co? - niecierpliwiła się Anna. - Co tym razem?

- Hmm, poczekaj - powiedział Jakub, wczytując się w zawartość listu. - Wygląda na to, że teraz popisuje się erudycją.

- Ostatnia twoja odpowiedź zabrzmiała widać impertynencko. Chce, abyś nabrał dla niego respektu.

- Tak, ewidentnie. Posłuchaj: pomagając wielu uczonym w pisaniu prac magisterskich, doktorskich i habilitacyjnych doszedłem do wniosku, który jest konkluzją w wielkim kwantyfikatorze, że już począwszy od Arystotelesa nauka wpadła w pułapkę czynienia opisów zjawisk dla samego opisywania, a pomija badania nad najgłębiej ukrytymi społeczno-politycznymi mechanizmami sprawczymi, co jest niestety w interesie wielu oligarchów i optymatów. Biedny Arystoteles, sam nie wiedział, jak bardzo nagrzeszył. A dalej jeszcze mocniej obrywa: Ta świnią Arystoteles odciął Teofrasta od przekazu Platona. Zniszczył tym samym stosunek do narzędzi myślenia. Sokrates uczył „myślenia tkacza”, które ratowało psychikę przed bałaganem, ponieważ osnowa i wątek chroniły stałe zasady. Trzeba było go zabić, aby to zmienić, i tak dalej. Niezłe - przyznał po chwili namysłu. - Nazwijmy to strategią, „dlaczego jestem taki mądry”.

- Nie czytałam Sokratesa.

- Nic dziwnego, nie napisał żadnej książki. Jego naukę przekazał Platon.

- Ale zabił go Arystoteles?

- Sam się zabił, narażając się pewnym politykom. Daniel zarzuca Arystotelesowi, że zabił go po raz drugi.

- Tak było?

- Likejon padł przed Akademią, czyli Arystoteles sam zszedł do grobu na długo przed Platonem. Pozostał tam prawie do średniowiecza w przeciwieństwie do Platona, który się chrześcijanom spodobał.

- Czyli jednak Platon górą, a Daniel bzdury pisze?

- Wiesz, Platona to jeszcze przed upadkiem Akademii w szóstym roku większość wykształconych ludzi czytało jako niezłego literata, wzorzec pisarstwa raczej niż filozofii. Akurat Arystoteles tu specjalnie winien nie jest. O! Słuchaj dalej, teraz robimy salto mortale do Machiavella: Nie przypadkowo prof. dr hab. Struński porównuje Arystotelesa z Machiawellim, pisząc, że „Polityka” dorównuje „Księciu”. Stagiryta dorównuje Florentczykowi? Przecież ten mu nawet do pięt nie dorasta! Czy ten mędrzec w ogóle czytał Arystotelesa?

- A kto to jest ten profesor jakiś tam?

- Struński. Nie mam pojęcia, pierwsze słyszę.



- Sprawdzę w encyklopedii - zaofiarowała się.

- Raczej w „Nauce Polskiej”, to wielkie tomisko pod szafą. Ale słuchaj dalej, Machiavelli, wprowadził do języka nauki słowo „REVOLUTIO”, nadając mu wysoką wartość, a jednocześnie zakłócając czystość pojęcia i znaczenie dotychczasowego słowa „ewolucja”. Dodatkowo nadał wysoką rangę pojęciu „MUTAZIONE”, czyli „ZMIANA” przez to też osłabił pojęcie ewolucji. Ciekawe. Teraz znowu o Platonie: „w połowie lat 70., głęboko przestudiowałem dzieło „Państwo”. Ty, jak wynika z planu twych wykładów, odczytujesz go jako socjologa, a ja jako mędrca głęboko wtajemniczonego w tajniki makro - i mikrokosmosu, widzialnego i niepostrzeżanego, szyfrującego w wielu kodach swój ukryty przekaz. Może zauważyłeś wagę jego ostrzeżeń koniecznie niezbędnych przy zakładaniu państwa i jego dalszym prowadzeniu?” Fakt, u Realego czytałem o ezoterycznych naukach Platona, tyle, że tego co najważniejsze z zasady nie powierzał pismu, chyba, że mu się wymknęło, na zasadzie nieświadomego przejawiania się sił osobowości. Zresztą, trzeba by znać grekę, żeby dostrzec tam jakieś kody. Nie sądzę, aby Daniel znał choćby angielski. Nie musieliby mu tłumaczyć.

- Znalazłam, Struński to historyk prawa z Łodzi.

- Daniel czytał wielu takich, z takimi też pewnie konsultował swój mityczny Plan.

- Czytał jakiegoś Struńskiego, ale Arystotelesa nie - dodała nie bez nuty satysfakcji.

- Ty też nie - odparł. - A warto.

- Ja nie ogłaszam siebie mesjaszem.

- No, nie obrażaj się - dodał, całując ją w ucho. - Chodź, napiszemy odpowiedź.

- Co chcesz mu napisać?

- A, sprostuję kilka faktów.

- Że Arystoteles zmarł przed Platonem?

- Obaj żyją i mają się dobrze. Jeśli się ich czyta.

\* \* \*

Temat: 1 Od: sekret@netmail.pl Do: jakub.wolski@ksr.kk.edu.pl Obawiam się, że nie do końca zdajesz sobie sprawę, ze znaczenia tego, w czym brałaś udział. Tymczasem fakty są porażające. Mogę dostarczyć Ci setki dowodów, świadczących o postępującym na globalną skalę programie przekształcenia ludzkości w stado potulnych owieczek.

Ta świadomość narastała we mnie już od wczesnej młodości, a wraz z nią sprzeciw wobec tej bezdusznej manipulacji. Byłem wówczas ateistą, głęboko zaangażowany w ZMP, gdzie

brałem intensywnie udział we wszystkich kursach wiedzy o społeczeństwie. Słuchałem wówczas wykładów najwyższych działaczy partyjnych i przodowałem w dyskusjach. Wtedy zobaczyłem obłudę tych wszystkich sekretarzy z KC, którzy troszczyli się nie o społeczeństwo, ale o własne szklarnie, cynizm moich „kolegów” karierowiczów z ZMP, postanowiłem, że poświęcę życie ratowaniu ludzi od tej trucizny. Pochłaniałem do 50-ciu książek rocznie, czego zarejestrowane ślady pozostały w moim dzienniku z wyszczególnieniem dat, a nawet godzin na poszczególny tom. Później w nieprzypadkowy sposób poznałem mego mistrza, największego mistyka na ziemi, o czym jeszcze wtedy nie wiedziałem. Nie odrzucił mnie, mimo mego ateizmu i chociaż użyłem całej znanej mi wówczas sztuki erystycznej, wybił mi z głowy Lenina z resztą tej hołoty, pokazując, że wspaniałe zasady dialektyki Marksa nie obsługują własnego systemu. Byłem rozdarty. Mistyka, mimo płynności swych argumentów, których nie da się potwierdzić w sposób konkretny, nęciła mnie swą wielopiętrową abstrakcją. Spotkanie z mistrzem odmieniło moje życie.

Temat: 2

Od: sekret@netmail.pl

Do: jakub.wolski@ksr.kk.edu.pl

Gdy po raz pierwszy spotkałem agentów Programu, nie mieli pojęcia, kim jestem i wygadali mi się ze swoich zamiarów. Włosy mi dęba stawały, gdy opowiadali o planach narkotyzowania tego naiwniutkiego kraiku. Nie znali mojego stosunku do nich i nie wiedzieli, że sami są sterowani przez różne ośrodki w Kalifornii z tymi łajdakami Learem i Grofem, którzy obiecywali młodym raj narkotyczny. A za nimi stali jeszcze inni. Narazałem życie, walcząc z nimi. Handlarze kompotem nie żartowali. Cała ta działalność alkoholizowania, nikotynizowania i narkotyzowania Polaków była tylko pochodną Programu sterowanego przez pozapolskie ośrodki światowego rządu. Mam na to wszystko dowody i świadków.

Potem Wspólnoty używałem do walki z sektami. Zapytaj się Władka, Karola czy Marka, jak rozwalali spotkania, na których młodych naiwniaków werbowano do organizacji sterowanych z Kalifornii. Byłem świadkiem, jak buddyści rozpijali dzieciaków piwem i na nich zarabiali, sam się z tym lamą pobiełem. Zajmowałem się też młodzieżą z poprawczaków, wielu wyprowadziłem na prostą drogę.

Ty też wiele mi zawdzięczasz, zmężniałeś, nie jesteś jak ci chrześcijanie rozwalani na kisiel przez oazy, masz wspaniałą kobietę, nie jesteś pedałem.

Henryk przestał ćpać.

Karola wyprowadziłem z przestępczej subkultury - a twierdzili, że usunięcie tak głębokich rejestratów jest niemożliwe!

Filip służy Kościołowi, Witek wydaje kasety, chociaż nigdy tak naprawdę nie był moim uczniem, tak jak Włodek stale udawał. Ale nie możliwe jest to, co jest niemożliwe.

Tak, że radzicie sobie w życiu - o nic innego mi przecież nie chodziło! Ocaliłem tyłu, ile się dało, dalej pójść nie mogłem, bo doprowadziłoby to do otwartej konfrontacji z agentami Programu, a życie mi miłe. Nie powiem jak to zrobiłem, ale półtora miliona Polaków nie pali, dziesiątki tysięcy nie ćpa. Resztę zabiorę do grobu.

Anna od dłuższego czasu czytała mu przez ramię, ale w pewnym momencie nie wytrzymała:

- No, ja też nie ćпам dzięki niemu!

- Nie wiedziałem, że ćpałaś? - zdziwił się Jakub.

- Ależ oczywiście, w drugiej klasie liceum koleżanka dała mi spróbować trawki na prywatce, odlotu wprawdzie nie miałam, ale potem tak mnie rozboleła głowa, że mi wystarczyło do dzisiaj.

- Uważasz, że koloryzuje?

- I to jak! Może dziesięciu ludziom pomógł, sześćdziesięciu starał się pomóc, ale daleko coś do tych tysięcy. Nawet jeśli robił, a raczej tylko inspirował jakieś kampanie antynikotynowe, to przecież nic by z tego nie było, gdyby z Zachodu nie przyszła moda na niepalenie.

- No, ale z „sektami” walczył, sam byłem świadkiem - odparł Jakub, ale po chwili dodał. - Chociaż Michał by pewnie powiedział, że po prostu walczył z konkurencją.

- Dokładnie tak było. No i te sekty mają się jednak dużo lepiej niż on, zauważ. To też trochę świadczy o jego skuteczności. Niezbyt wielu ludzi tak naprawdę odciągnął, bo wielu widziało na pierwszy rzut oka, że sam jest nie lepszym oszołomem.

- No, ale parę osobników i osobniczek jednak do kupy poskładał, musisz przyznać, różne zagubione duszyczki, osoby, które same nie wiedziały czego chcą. To mu trzeba przyznać i pamiętać.

- Może warto, abyś mu jednak przypomniał o paru ludziach, których zniszczył, którym zaszkodził, którzy do dzisiaj muszą walczyć z nocnymi koszmarami, te wszystkie rodziny, które

rozbił, ludzkie automaty, bez emocji i uczuć jakie wyprodukował, o tych dziewczynach, które zgwałcił...

- Zgwałcił!? - Jakub otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- A jak byś nazwał stosunek z kobietą, która uważa ciebie niemal za wcielenie Boga? Czy sądzisz, że tu jest jeszcze miejsce na dobrowolność?

- No, ale przymusu chyba bezpośredniego nie używał.

- A co za różnica? Najpierw związał psychicznie, potem złamał, potem wykorzystał.

Co za różnica czy użył przemocy na początku, czy dopiero przed stosunkiem? Moim zdaniem, to była tak czy inaczej jakaś forma przemocy.

- Trochę przesadzasz.

- Tak uważasz? - w głosie Anny dało się zauważyć narastającą złość. - Dla mnie to po prostu stary zbereźnik!

- A może było odwrotnie? Może to kobiety do niego lgnęły? To znane zjawisko przynajmniej od czasów Montanusaku, że wokół charyzmatycznego guru gromadzi się wianuszek wyznawczyń wpatrzonych w niego jak w alfę i omegę. Któryż facet oparłby się takiej pokusie?

- A ty nie bądź taki patriarchalny! Zawsze wszystko zsocjologizujesz. Wszędzie widzisz mechanizm, a to byli ludzie!

- Dobra, chcesz mu wygarnąć, to mu sama to napisz, ja idę zrobić sobie kawę, chcesz też?

- Poproszę - powiedziała, siadając do komputera.

Jakub był zaskoczony reakcją Anny. W sumie dawno nie rozmawiali na ten temat, nie zdawał sobie sprawy, że faza odrzucenia przebiega u niej tak gwałtownie. „Holender, z drugiej strony dziewczyna ma jednak trochę racji” - myślał Jakub, mieląc kawę. - „Facet może miał dobre intencje, ale działał nieodpowiedzialnie, traktował ludzi instrumentalnie i za bardzo się nie przejmował czy to ich niszczy, czy wzmacnia. No i fakt, nie panował nad zawartością swojego rozporka. Ależ Ania się wściekła, widać kontakt z nim odnawia dawne rany”.

- Dobra, pokaż, co napisałaś - powiedział, stawiając dymiące kubki z kawą na biurku.

- Już wysłałam - odparła Anna, wstając sprzed komputera.

- Co?! - Jakub rzucił się i odszukał gorączkowo list w folderze „Wysłane”, przeczytał, po czym pobladł i opadł ciężko na krzesło. - Chyba wypowiedziałaś wojnę.

- No, nie przesadzaj, starałam się być dosyć grzeczna. Ale o pewnych rzeczach powinien pamiętać, jeśli bierze odpowiedzialność za sukcesy ludzi, na których wpłynął, powinien brać też odpowiedzialność za tych, którym się nie udało.

- Niech zgadnę: odpowie, że ci drudzy tak naprawdę nie byli jego uczniami, tylko udawali, oszukiwali.

- Nie założę się z tobą.

\* \* \*

Następnego dnia tradycyjnie Anna zastała Jakuba siedzącego od rana przed komputerem.

- No i? - zapytała. - Mniej więcej tak, jak się spodziewaliśmy. Kto to jest Janusz? - Nie znasz? Poeta, on pisał teksty Witkowi. - Aha. Przypominam sobie, to ten, co wyjechał do Stanów. A ja czytam, że to obwieś, złodziej, kanalia, cham spod ciemnej gwiazdy, ukraść ponoć ze sto książek. Tego to bym się raczej po Władku spodziewał, zawsze go ten księgozbiór bardzo podniecał - zaśmiał się Jakub. - A wiesz, z kim się z kumał?

- Na pewno z innych chamek spod ciemnej gwiazdy. Niech zgadnę, z Witkiem?

- Trafiony. Wygląda, jakby Daniel się potwornie bał, że się z nimi spotkam, a teraz jest święcie przekonany, że do spotkania doszło, i że to oni mnie inspirują. Posłuchaj „A TERAZ TE ŁOTRY STAWIAJĄ MI JAKIEŚ ZARZUTY? ŻAL BIERZE! ŻE ONI JESZCZE UWAŻAJĄ SIĘ ZA LUDZI! TO ŻENADA A NIE ŹRÓDŁA INFORMACJI”.

- Dlaczego tak krzyczysz?

- Bo to jest wszystko napisane wersalikami.

- Ale się wkurzył. Może rozpoznał, że ostatni mail jest w innym stylu i wziął mnie za nich?

- Muszę dotrzeć do tych dwóch obwiesiów. To bądź co bądź ludzie z wyższej półki we Wspólnocie.

- Jak do nich trafisz? Już próbowałeś namierzyć Witka.

- Hmm - Jakub uśmiechnął się chytrze. - Już chyba wiem, jak do nich dotrzeć. Daniel sam mi to napisał.

- Coś ty? Co napisał?

- Że Witek współpracuje z dominikanami.

- Ależ zdrada! Nie mógł chyba dalej uciec jak do chrześcijan.

- W każdym razie trzeba będzie powtórzyć kwerendę po kontaktach Michała.

- Jak mu odpowiesz na tego maila?

- Jemu już nie odpowiem. Napisał, że szkoda mu czasu na taką komunikację, bo skoro mu nie ufam, to mi niczego nie może wyjaśnić. „Reszta korespondencji przez Marka”.

- Oj, ale narozrabiałam. Pokaż, sama zobaczę - zaczęła czytać od początku. - Patrz, co za szuja, zarzuca mu romans jakby sam żony z córką nie zostawił, jakby chociaż Paulinie był wierny! - Gdy dotarła do końca zapytała z przepaszającą miną - popsulał ci szyki?

- Wiesz, nie planowałem tej korespondencji i za wiele się po niej nie spodziewałem. Trudno oczekiwać jakichś rzetelnych informacji od kogoś, czym podręcznikiem PR była Dezinformacja jako oręż wojny - powiedział pocieszającym głosem. Potem dodał - z drugiej strony trochę głupio się skończyło. Pomyśli, że traktuję go jako wroga, że chcę mu zaszkodzić. Wiesz co, co mi szkodzi go przeprosić, powiedzieć, że się trochę zagalopowałem, że to taka młodzieńcza reakcja na jego próby przekręcania faktów? Spróbuję jakoś to tak zrobić, z zachowaniem dystansu, ale jako wyraz generalnej życzliwości. Wyślę mu ten nowy artykuł o sektach, niech zobaczy jakie mam podejście.

## Rozdział XXXIX

Jakubowi z trudnością przychodziło ukrywanie niezadowolenia z tych nieoczekiwanych odwiedzin. Gość sobie jednak nic z tego nie robił.

- Cześć Kuba, dobrze, że cię zastałem - powiedział wpychając się przez drzwi.

- Cóż cię sprowadza w moje skromne progi. Wejdz, wejdz. Siadaj - odpowiedział uprzejmie, ale bez uśmiechu.

- Znowu do mnie wydzwaniasz.

- Że też ci się chce w to bawić - powiedział Jakub głosem pełnym znudzonego zdziwienia.

- Weź im powiedz, że to ich problem, że mają mój adres mailowy, żeby ci głowy nie zawracali. Po co się dajesz im używać?

- Nieee, wiesz, mi to czasu za dużo nie zabiera, jadę sobie gdzieś w trasie, mam telefon włączony na głośne mówienie, to mogę sobie słuchać, co on mi tam gada. Póki co w domu mnie nie nachodzą. Tak generalnie to jest ubaw po same pachy, mówię ci, tak sobie posłuchać co on tam gada. I wiesz, to się robi nawet ciekawe, zaczyna mnie to wkręcać. Ale po kolei, co tym razem. No więc prosili mnie, abym ci przekazał, że Urszula organizuje jakąś konferencję, wiesz z profesorem Wieszczyńskim i tam innymi, ja ich tam nie znam, więc nawet nazwisk nie zapamiętałem. No więc oni proponują ci, czy nie zechciałbyś wziąć w tym udziału.

- A o czym miałyby to być konferencja?

- Wiesz co, coś tam o socjologii organizacji czy coś...

- Nie znam się na socjologii organizacji.

- Aha. Przypomniało mi się jeszcze, bo ty im jakąś swoją pracę przesłałeś czy coś? No, to mówią, że bardzo mu się podobała, że bardzo solidna naukowo, i w ogóle.

- Wiesz co, powiedz mi jedno, co ty o nim w zasadzie myślisz?

- Nie, no w ogóle śmieszny gość, on żyje w zupełnie innym świecie, utracił kontakt z rzeczywistością. A najśmieszniejsze jest, że jak do nas mówi, tak jakby się u nas nic nie zmieniło.

- Dlatego chyba nie udało mu się zwojować świata. A szkoda, intencje miał chyba dobre, nie sądzisz?

- No tak. Ale czy ja wiem...? On tam jest dla mnie świr. A jak ci idą te twoje badania? Był też taki jeden Józef w Warszawie, jak on się nazywał? Potem piekarnię prowadził ze zdrowym pieczywem. Ożenił się z taką jedną babką, Wioletką, powinieneś ich znać. Chociaż to już może później było, jak wróciłeś do Pracowni. Ale pracowali też chyba w szkole. Oni potem też brali udział w organizowaniu tego festiwalu piosenki zdrowotnej, znasz tę sprawę? No, po prostu Daniel umyślił sobie, że przez muzykę może kształtować postawy prozdrowotne, Urszula wycygała skądś pieniądze, zorganizowali festiwal, pospraszali różne takie kapele, amatorów generalnie. Witek też miał wystąpić, ale chyba wówczas sobie tę kochankę znalazł i Daniel go wyrzucił.

- Wyrzucił go, bo sobie kochankę znalazł? Przecież sam też na lewo i prawo korzystał.

- No tak, ale wiesz, jaki on jest... Od innych wymagał, ale od siebie nie. No to Witek nie wystąpił na festiwalu.

- A skąd Ula te pieniądze wzięła?

- A wiesz, ona tam potrafiła... Gościowi z jakiejś większej fundacji do łóżka wskoczyła i groszem sypnęła. Taka polityka. Zawsze powtarzała, że jak się w to wchodzi, to się trzeba ubrudzić. A jak ci idą poszukiwania? Dotarłeś może do Witka albo do Roberta?

- Cześć Olek - powiedziała pani domu, stając nagle w drzwiach. - Napijesz się czegoś?

- Cześć Anka. Nie, wiesz, ja się zwijam już w zasadzie, tak po drodze wpadłem.

- Już idziesz? To cię odprowadzę, te drzwi mają taki dziwny zamek, że goście mają zawsze problemy z ich otwarciem.

- Dzięki, no to na razie, Kuba. Powiem im, że to przemyślisz.

- Nie, powiedz im, że nie jestem zainteresowany tą konferencją.

- Aha, no to cześć.

\* \* \*

- No i co o tym myślisz? - zapytał, tłumiąc chichot Jakub, wracając z korytarza Annę. - Bo oczywiście słuchałaś od początku?

- Czy jest szpiclem? - Anna usiadła w fotelu i zamyśliła się. - Nie wiem. Przemawia za nim to, że sprzedaje parę informacji. Ale musi coś sprzedać, żeby być wiarygodny. Zauważ, że cały czas z uporem maniaka próbuje przekazać ci informację, że Daniel to kretyn. A to przecież nieprawda. Jest szalony, ale nie jest głupi. To, co mówi o Danielu idzie w tym samym kierunku, co komunikat Hanki, co do której nie ma wątpliwości. Poza tym zawiesza mu się czasem głos -



przy okazji istotnych pytań - może to oznaczać że nie miał przygotowanej odpowiedzi i improwizuje, ale ostrożnie - stąd zwłoka. Poza tym, nie mówi na emocjach. Dlatego weszłam, chciałam mu spojrzeć w oczy. Niby „ha, ha”, ale oczy ma zimne. On, moim zdaniem, próbuje wybadać, co już wiesz i jaki jest twój stosunek do sprawy. Nie wykluczone, że prowadzi jakąś własną grę.

- Jakie to szczęście mieć tak wyszkoloną Bene Geserit przy sobie. Kobiety zawsze lepiej potrafiły poznać się na ludziach. Nie dziwię się, że tak prędko się zwinął na twój widok. Cóż, jedno jest pewne, Olek na pewno nie gra w naszej drużynie. Wiesz, wczoraj też dzwonił, jak ciebie nie było. Trzy razy. Przedtem przez miesiąc ani razu nie udało mu się znaleźć czasu na rozmowę ze mną. Inna sprawa, że miał podobno nagraną swoją rozmowę z Danielem. Obiecał, że mi ją prześle albo gdzieś podwiesi na FTPie, abym mógł sobie ściągnąć. I tyle o niej. Gdy zapytam zmienia temat albo kończy, no nagle sobie przypomina, że mu się gdzieś bardzo śpieszy. Ciągle te same bzdety. Zaczyna mnie to nudzić.

- A co nowego w mailach?

- Wygląda na to, że mamy stan rozejmu. W każdym razie przeprosiny zostały przyjęte.

- I co planujesz w związku z tym?

- Przedstawię mu moje zamierzenia. Jak widzę moją ewentualną z nim współpracę. Może się zgodzi, a jeśli nie, cóż. Nie będę miał mniej niż mam.

- Tylko, że gdy wejdiesz z nim w układ, czy nie będziesz musiał pisać o nim wyłącznie dobrze, czy nie będzie miał na ciebie haka: piszesz źle - zakręcą kurek.

- Tak, to dość śliska sprawa. Ale cóż szkodzi spróbować? Na szczęście mam tak krytyczną partnerkę, że nie pozwoli mi o pewnych grzeszkach Daniela zapomnieć.

\* \* \*

- Dzień dobry, czy mógłbym rozmawiać z panem Jakubem Wolskim? - Dzień dobry. Przy telefonie. - Bardzo się cieszę, że pana zastałem. Nazywam się Andrzej Sadurski, właśnie redaguję coś w rodzaju słownika nowych ruchów religijnych w Polsce. Czytałem pana artykuł o „Zakonie 44”, muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem pańskich badań. Mam w związku z tym dla pana propozycję napisania artykułu do mojego słownika na ten temat. Czy byłby pan zainteresowany?

- Tak, jak najbardziej. Jak duże miałyby to być hasło?

- Wszystkie hasła, takie mamy założenia, powinny się mieścić w objętości od pięciu do dziesięciu stron maszynopisu. Ale, co ważniejsze, wszystkie mają mieć taką samą strukturę. To najważniejsze ograniczenie jakie nakładamy na autorów. Chodziłoby o takich pięć punktów: historia danego ruchu, jego doktryna, organizacja społeczna w tym zasięg, rozmiar, doskonale pan to zrobił zresztą w swoim artykule. No i piąty punkt, to relacje z otoczeniem.

- Sądzę, że potrafię to tak ująć. Choć muszę zastrzec, że historię opieram częściowo na relacjach samego założyciela, które nie zawsze są niestety wiarygodne. Do kiedy artykuł ma być gotowy?

- Ostateczny termin zamknięcia mija za trzy tygodnie, ale lepiej, by pan przesłał go nam tak szybko, jak to możliwe. Ukaże się prawdopodobnie za jakieś trzy miesiące. Może później, to niestety nie do końca od nas zależy. Podam panu adres: Kraków...

## Rozdział XL

Michał nie był na tyle naiwny, by sądzić, że wraz z formalnym zerwaniem przez Jakuba ze Zakonem, Zakon uzna sprawę Jakuba za zamkniętą. Nie, dopóki ten zbierał dalej informacje o jego członkach. Ale ostatnio wypadki zaczynały przybierać niepokojący obrót. Nie dało się ukryć, że poszukiwania Jakuba zataczały coraz szersze kręgi, a ich rezultaty zbliżały się do przybrania bardziej konkretnych form, choć o przygotowywanych do publikacji artykułach Daniel raczej nie mógł wiedzieć. W ciągu ostatniego roku Jakub znacząco posunął badania. Trzeba jednak jeszcze było dotrzeć do pewnych informacji, o które pewnie upomnieliby się ewentualni, bardziej dociekliwi recenzenci pracy, a można być pewnym, że Śliwa właśnie takich poszuka, niczego doktorantowi nie oszczędzając. Michał na ile mógł, starał się wesprzeć te starania, bo choć Jakub nie miał łatwego pióra, mogła z tego powstać książka ważna dla zrozumienia podobnych zjawisk religijnych. Ujęcie Jakuba było przy tym dość oryginalne, stworzył własną, nieszablonową siatkę pojęciową, która, przynajmniej w pewnych momentach, lepiej niż tradycyjna nadawała się do tego typu badań. Ku zadowoleniu i uldze Michała Jakub wykazywał ostatnio większą odporność na spiskowe teorie, którymi raczył go w listach Daniel. Ale Daniel wykazywał coraz mniejszą odporność na naukowe zainteresowania Jakuba. Przeczuwał, częściowo słusznie, że sposób, w jaki go Jakub przedstawi, odbiegał będzie dość znacznie od sposobu, w jaki on sam siebie widział, a pewnie jeszcze bardziej od sposobu, w jaki postrzegali go jego uczniowie. Do tego dochodził paranoiczny już wręcz lęk przed dekonspiracją. Znowu zaczęły się telefony najpierw od Olka, potem też od samego Daniela. Jakub musiał w końcu użyć dość mocnych słów, uprzedzić, że włącza dyktafon, a w końcu też zmienić i zastrzec numer telefonu.

Wówczas zaczęły napływać maile, raz ostrzejsze w tonie, raz łagodniejsze, ale ich cel za każdym razem był jasny: za wszelką cenę odwieść Jakuba od publikacji jakichkolwiek wyników badań. Nie pomagały żadne tłumaczenia, obietnice zachowania dyskrecji.

Michał pamiętał jeden z pierwszych maili, który wzbudził u Jakuba jeszcze tylko wesołość. To było w instytucie, kiedy odwiedził przyjaciela na dyżurze.

- Słuchaj, wygląda na to, że mamy partyjkę go - stwierdził Jakub, gdy odruchowo sprawdzwszy pocztę odebrał maila od Daniela.

- Go? Kogo?

- Go, to taka japońska gra, a w zasadzie chińska, Włodek mnie nauczył w ramach szkolenia.

- Na czym polega? - Na poziomie strategicznym chodzi o opanowanie jak największego terytorium planszy. Na poziomie taktycznym: każdy pion ma cztery oddechy, gdy mu je zabierzesz swoimi pionami - pion ginie. To tak w skrócie.

- To co pisze o tym go?

- Jak zwykle ostatnio wersalikami: „POPROSZĘ NAWROTOWSKIEGO BY Z TOBĄ NIE ROZMAWIAŁ I NIE DOLEWAŁ OLIWY DO FAŁSZYWEGO OGNIĄ”.

- Nie wie, że już dawno jesteśmy po rozmowie z nim - wtrącił Michał z zadowoleniem. - Ale nie musisz się już wydzierać, czytając.

- „Bopek wyjechał z kraju” - tego też już złapałeś. „ksiądz Tadeusz zmarł”...

- O kurde, szkoda, nie wiedziałem - wtrącił wyraźnie zmartwiony Michał. - Do tego akurat nie dotarłem.

- „Pozostali ci tylko obwiesie. Turczynowiczowi też ktoś już zamknął usta, niczego więcej się od niego nie dowiesz. Prof. dr hab. Józwiński nadal jest moim przyjacielem. Nie przyłączy się do głupot na mój temat. ATARI!!”

- Co? Co to jest Atari? Kojarzy mi się ze starym domowym komputerem.

- Odpowiednik szacha, sytuacja, gdy pionowi albo grupie zostaje tylko jeden, ostatni oddech.

- Czyli uważa, że cię przycisnął do muru?

- Jeszcze jak przycisnął, słuchaj dalej: „Zostaw mój temat i nie prowokuj, bym nie musiał zatykać ci jeszcze jakichś oddechów.” Ale bardziej zaciekawiły mnie inne fragmenty, posłuchaj: „gdyby Olek chciał mówić, byłbyś bardzo zdziwiony, jak mało wiesz na temat tego, co on robił do niedawna i co on robi dalej, i dlaczego ty o tym nie mogłeś wiedzieć”.

- Czyli nie myliłeś się co do Olka.

- Wszystko na to wskazuje. Choć nie jest do końca pewne jaka jest obecnie relacja między nimi. Na pewno jednak bliżej Olkowi do Daniela. Opowiadałem ci? Przez dwa miesiące umawialiśmy się na spotkanie, na nagranie narracji biograficznej o Wspólnocie i wyjściu. W tamtym czasie nie znalazł ani godziny na spotkanie ze mną. Dzwoniłem do niego przynajmniej z dziesięć razy. Teraz, kiedy jest to w interesie Daniela, w ciągu tygodnia dzwonił do mnie z

dziesięć razy i znalazł czas, aby mnie parę razy odwiedzić, przekazując, „co oni mówili”. Mimo obietnic, nie przekazał mi żadnych nagrań, dokumentów. Z tego co robi, niezależnie od tego co mówi, wynika więc, naturalnie tylko ze statystyczną pewnością, że stanął po jego stronie. Ale słuchaj, nie on jeden: „Błazej Gniewko natychmiast mnie powiadomił i ustaliliśmy z nim, że nie będzie Ci w niczym pomagał.”

- Fakt, przypominam sobie jego maila, wcale mnie nie dziwi, że dał sygnał Danielowi. Słuchaj, a o co chodzi z tym zamknięciem ust Turczynowiczowi?

- Wiesz co, gdzieś dalej o tym jeszcze pisze... „bo to, że wypytywałeś Turczynowicza o moje uprawnienia”, najwyraźniej nas widać nie rozróżnia, „musiał powiadomić pewne osoby, od których otrzymał przekaz, o tym, że byłeś u niego. Został zaskoczony tym, że mnie powiadomiono, bo on sam mnie nie cierpi i by mnie nie powiadomił. I w rezultacie naszych ustaleń zakazano mu kontaktów z tobą”.

- Co?, Co?, Co? Daj, muszę to zobaczyć na własne oczy.

- Tylko się za mocno nie wpatruj, bo dostaniesz astygmatyzmu!

- Z tego wynikałoby, że jednak istnieje jakaś struktura Bô Yin Râ. Zamierzam się o tym przekonać - powiedział Michał, wstając i wyjmując z teczek notes z telefonami.

- Zaczekaj! Posłuchaj, co dalej napisał: „Ludzie ci doszli do wniosku, że chcesz nadużyć dobrego imienia BYR. Spadkobiercy praw autorskich mają zastrzeżenie notarialne by nie używać publicznie, bez ich zgody, tematu BYR. Wyraźnie Ci mówię o tym, że jest to sytuacja ryzykowna prawnie. I powiadomię ich, że Ciebie powiadomiłem.”

- Nie wiedziałem, że można prawnie zakazać interesowania się danym tematem?

- Nie można, chyba, że jest to tajemnica państwowa - odparł Jakub.

- Czyli jest to kolejny błąd, ale warto sprawdzić, z czego mógł takie absurdy wysnuć. Spróbuję się dodzwonić do Turczynowicza. Albo wiesz co, wydrukuj mi tego maila, żeby nie cytować z pamięci.

Oczywiście wszystko to okazało się warte funta kłaków. Wyrastało raczej ze skłonności Daniela do sprowadzania wszelkich relacji międzyludzkich do władzy, wpływu, zależności, nawet jeśli była to najzupełniej zwyczajna zależność biznesowa czy towarzyska.

- Fakt - relacjonował Michał, - Turczynowicz wygadał się jednemu ze swych kolegów. Ale w relacjach między nimi nie było mowy o żadnym zwierzchnictwie, a już tym bardziej zakazach czy zamykaniu ust.

- A dlaczego ten kolega wygadał się Danielowi? - dopytywał Jakub.

- A, to niezwykle ciekawa sprawa. Obecnie mianowicie Daniel, staje na głowie, aby jednak wkręcić się do tych rzekomych struktur Bô Yin Râ. Jako, że mu osobiście się to nie udało, wysłał ciągle do Turczynowicza swoich ludzi, przede wszystkim Marka, który uchodzi teraz za nawróconego na ortodoksję. Turczynowicz w to nie wierzy. Opowiadał mi, jak przyłapał go na przekazywaniu raportów Danielowi. Wybadał też, że Marek nadal jest na każde zawołanie, gotów jechać w jednej chwili na drugi koniec Polski, jak się Danielowi kran zepsuje. Innymi słowy Daniel wszędzie widzi struktury, nawet tam, gdzie ich nie ma - podsumował Michał. - Każdy jest czymś agentem albo czymś uczniem. Nie wiem czy wiesz, ale w jego oczach ty też stworzyłeś zakonspirowaną przeciw niemu strukturę.

- Tak też komentował to, co stało się po odejściu Filipa: „Filip odbił mi czterech uczniów”. A w zasadzie nie tyle odbił, co ukradł, tak, mówił, że Filip mu ukradł uczniów!

- Podczas gdy Filip tylko dał facetowi swoją historię do artykułu, tamci to przeczytali, zmądrzeli i odeszli. Pomijając drobny fakt, że było ich dwóch, a nie czterech.

- Tak samo, było chyba z mistrzami Daniela, nie sądzisz? Zwyczajną przyjaźń zaczął pojmować jako strukturę zależności.

- Z drugiej strony udaje, że nie ma struktury, tam gdzie one istnieją - stwierdził Michał.

- Jak to pisał Eco?: „Różokrzyżowcy wykorzystują to, że ich nie ma i zjawiają się wszędzie”. No tak, ale to się nazywa symulacja.

Przychodzące w kolejnych dniach maile, zazwyczaj okazywały się bardziej irytujące niż faktycznie groźne. Początkowo bowiem Daniel niezwykle wystrzegał się wszelkich sformułowań, które mogłyby za groźbę uchodzić, powtarzał często, wersalikami oczywiście, „NICZYM CI NIE GROŹĘ!” W końcu jednak pewnego dnia puściły mu nerwy i wysłał kilka maili, które przebrały miarękę. Michał widział te listy, był przy tym, kiedy Jakub czytał je po raz pierwszy. Dowodziły albo kompletnej paranoi, albo totalnej desperacji, albo jednego i drugiego. Jakub jednak nie traktował tego tak lekko. Starał się mimo wszystko podejść do tego racjonalnie, na przykład gdy przeczytał, „bawisz się zapałkami, czyli losem globu. Siły, z którymi walczę, wynajmują skrytobójców - życzysz mi śmierci?”, powiedział wtedy z nutą nerwowej ironii:

- Jakiż ważny ten nasz Daniel. Władcy świata drżą przed jego garstką partacko zorganizowanych fanatyków, którzy gromadzą środki, zasoby i kontakty i już całkiem niedługo, niedługo staną się wielką, potężną i drapiezną mrówą, która jak nie użre tego słonia!

Kolejny mail zawierał już coś czego nie można było zinterpretować inaczej niż groźbę.

ROZMAWIAŁEM Z TWOIM OTOCZENIEM O URLOPIE DZIEKAŃSKIM DLA CIEBIE, BO JESTEŚ TAK ZMĘCZONY NIENAWIŚCIĄ. MOŻESZ MNIE Z TEGO WYCOFAĆ - DOGADAJMY SIĘ. PAN ŚLIWIŃSKI MA NIE JEDNEGO WSPÓLNEGO ZNAJOMEGO ZE MNĄ.

ŻYCZLIWY

CZEKAM NA REAKCJĘ DO PÓŁNOCY.

PS

OD JUTRA BĘDZIE JUŻ GORZEJ. LEPIEJ MNIE POWSTRZYMAJ! I NIE CHCIAŁBYM ANGAŻOWAĆ PROF. KROGULCA, BY WYŚLAŁ LIST DO TWOJEGO SZEFA, CO MYŚLI O SPRAWIE.

Jakub siedział przed monitorem, jakby siły go opadły. W końcu, jakby zmuszając się, napisał odpowiedź:

„Długo zastanawiałem się, czy jest sens odpowiadać na tego maila. Jednego jestem pewien: nie ma sensu jakakolwiek dalsza korespondencja. Zrywam kontakt. Masz rację, jestem zmęczony Twoją nienawiścią.

Jeżeli chcesz, mogę się bardzo szczegółowo tłumaczyć, przed dziekanami, rektorami, policją, niechby samym prezydentem RP. A gdyby oni nie chcieli mnie słuchać, znajdzie się jakiś dziennikarz.

Przynajmniej wtedy będę miał jasność, co do jednej fundamentalnej kwestii, która zaczęła mnie nurtować: czy aby jednak nie jesteś manipulatorem negatywnym. Cały tok naszej wymiany listów mnie o tym przekonuje. Brakuje może jeszcze kropki nad i. W takim wypadku oczywiście będę miał znacznie mniejsze skrupuły, żeby odpowiedzieć, jeśli ktoś zapyta.

Dwa banały w pożegnalnym prezencie: każda wojna wyniszcza obydwie strony, fundamentalną zatem kwestią jest, która ma więcej do stracenia.

Każde działanie, poza możliwymi zamierzonymi skutkami rodzi też ileś skutków niezamierzonych, takich, których sobie działający nie uświadamia (nikt nie zna wszystkich łańcuchów przyczynowoskutkowych, na które oddziałuje swoim działaniem), a z nich niektóre mogą być sprzeczne z intencją działającego (Weber).”

Jeszcze zanim skończył pisać, nadeszła kolejna wiadomość od Daniela, „Jeżeli się nie dogadamy - to już kilka osób przygotowuje się do opuszczenia kraju - bo już od dawna wiemy o

twoim pomysłem. Więc dobrze by było, żebyś mnie uprzedził o terminie, w jakim zamierzasz to wydać - abym im dał znać, że w Polsce będzie za ciasno.”

Widać było, że Jakub się zirytował. Wzburzony dopisał dwa post scripta do swojego maila:

„PS I. Pierwszym wymogiem, jaki Platon stawia przed politykiem jest umiłowanie prawdy i nienawiść do fałszu! (Politeia xg. VI) W takim razie bardzo się cieszę, że wychowani przez ciebie „politycy”, a raczej manipulatorzy będą daleko ode mnie. Szczęśliwej drogi. Mam nadzieję, że jedziecie do Chin.

PS II. Nie mam czasu ani ochoty na zwalczanie ciebie czy twoich ludzi. To, co pisałem o moich intencjach, jest aktualne, choć z sympatią jakby nieco gorzej. I oczywiście zabezpieczę się, gdyby jakieś głupie pomysły strzeliły ci do głowy. Adieu”

Chciał już wysłać, ale Michał powstrzymał go, wskazując na zdanie w liście Daniela: czekam do północy.

- Lepiej poczekaj do rana, niech się podenerwuje.

- A gdzie twoje chrześcijańskie miłosierdzie? - zapytał ze smutnym uśmiechem, ale zachował wiadomość w folderze „Robocze”. Wyłączył komputer i wstał wolno z krzesła. Michał zobaczył w jego twarzy prawdę słów, które napisał o swoim zmęczeniu.

\* \* \*

Tak, sprawy zaczynały przybierać niepokojący obrót. Dla Michała najgorsze było to, że nie potrafił samodzielnie ocenić tego, co się działo. Nigdy nie był, choćby dla pozorów - jak Jakub, członkiem Zakonu, nie znał tych ludzi osobiście, poza jednym krótkim spotkaniem z Danielem i nie potrafił przewidzieć, do czego mogą się posunąć. Postanowił zatem skrzyknąć kolejne zebranie weteranów, teraz w bardziej doborowym gronie.

- Co dokładnie pisał? - przejęty do żywego Filip, wypytywał natarczywie - dowiedzieli się, że opublikował ten artykuł?

- Tak. A co pisali? Wiesz, to gadaniebajanie, że uruchomi siły, nad którymi nie można zapanować. Już nie pamiętam dokładnie, ja bym się tym akurat najmniej przejmował - odpowiedział nieco rozdrażniony Michał.

- Ale to było coś o siłach? Z niewidzialnej sfery?

- O siłach, tak. O niewidzialnych chyba też.



Filip zasepił się. Michał może sobie to lekceważyć, ale on wiedział, o jakie siły chodzi. Sam się z nimi startł, wydarł się im z Bożą pomocą. Daniel bez wątpienia był z nimi blisko, bardzo blisko związany. To ewidentne. To przyznawali nawet znający go okultyści. Jeśli teraz grozi Jakubowi, znaczy, że jest gotów posunąć się nawet do użycia czarnej magii.

- A czy to były też jakieś konkretne groźby? - spytał Artur.

- Grozili mu, później też przez Olka, który oczywiście zgrywał lekkoducha, ale swoje przekazał. No więc, grozili mu, że Urszula użyje swoich wpływów i namiesza mu w pracy. Ona jakąś tam pozycję w świecie naukowym ma, doradzała paru ministrom edukacji.

- Co konkretnie miałyby mu namieszać?

- Wiesz sam najlepiej, jak oni ogólnikowo formułują takie groźby. Im bardziej niejasne sformułowanie, tym więcej adresat może się domyślać na własną rękę, wpisać w to swoje własne lęki i wpaść w panikę. Natomiast cel tych machinacji jest w pełni jasny: jakoś doprowadzić do tego, aby Kuba przestał się nimi zajmować. Martwi mnie stan samego Kubę odkąd znowu do niego wypisują. Mówię mu, aby w ogóle nie odbierał, ale widać nie może się powstrzymać, mówi, że musi trzymać rękę na pulsie, bo nie wiadomo, jak to się rozwinie. Żyje pod sporą presją. Nie wiem, dlaczego się tym tak przejmuje, ale chyba każdy, gdyby do niego wypisywano takie rzeczy jakoś by to odczuł.

- Trzeba się ostro za niego modlić - mruknął Filip.

- Może można by jakoś realnie pomóc Kubie? - Artur zaczął główkować - Wymyślmy coś! Trzeba zbudować jakieś zabezpieczenia, gdyby ktoś tam zupełnie zidiociał i postanowił w stosunku do niego użyć siły. Dotąd wprawdzie nigdy nic takiego we Wspólnocie się nie zdarzyło. Trzeba jednak mieć parę asów w rękawie. Najlepiej byłoby skrzyknąć się i coś ustalić, zebrać jak najwięcej informacji o bieżącej działalności Urszuli i innych ludzi. Dobrze byłoby też skopiować informacje do jakich już dotarł Kuba. Druga kwestia, to jak powstrzymać Daniela.

- Myślę, że każde działanie mniej lub bardziej otwarte raczej zaogni tylko sytuację - włączył się Michał - Najlepiej jak po prostu poczekamy, będziemy mieć oko na Kubę i zapewnimy mu wsparcie moralne. Już za tydzień, w przyszły czwartek, ma obronę doktoratu. Obawiam się, żeby nie pojawił się na niej Daniel i nie zrobił zadymy. Dobrze by więc było, gdyby kilku z nas się tam zjawilo, by go ewentualnie zatrzymać. Od tej obrony może zależeć, czy zatrudnią go w instytucie.

\* \* \*

Michał tego nie rozumie. A sprawa jest zbyt poważna, tu potrzeba coś więcej, niż zwykłej modlitwy wstawienniczej, to dobre dla protestantów. Ech ci charyzmatycy. Nie mają pojęcia o nauczaniu własnego Kościoła czy o jego Tradycji. Tylko „Och!”, „Ach!”, „Jezus jest Panem!”, „Kocham Ciebie Jezu!”. Nic dziwnego, że tak łatwo odpadają od Kościoła. Jak pozostać w zgodzie z biskupem, gdy się samemu „słyszy” głos „Ducha”?

Filip zamknął drzwi do swojego pokoju, zaciągnął żaluzje, zgasił światło i zapalił dwie świece na lichtarzach. Czuł lekkie drżenie kolan - to od całodniowego postu - a jednocześnie determinację, płynącą z troski o Jakuba. Zbliżała się północ. W całej Polsce członkowie Bractwa Świętego Michała Archanioła przystępowali do rytuału. Filip wyciągnął z najniższej szuflady komody niewielkie pudełko. Otworzył je i zaczął wyjmować zawartość. Założył na szyję medalik św. Benedykta, poświęcony przez ojca Patryka z Tyńca. Pocałował go i wymówił na głos krótki egzorcyzm ukryty pod wyrytymi na nim inicjałami VRSNSMV

- Vade retro satana non suade mihi vana - oraz SMLIVB - Sunt mala quae libas, ipse venena bibas.

Wyjął następnie krucyfiks, ucałował go i złożył między świecami. Obok postawił fiolkę z wodą święconą i wreszcie wydobył niewielki modlitewnik, do którego własnoręcznie wkleił kilkanaście ostatnich stron.

Tępi protestanci mogą się z tego nabijać, twierdzić, że to magia, przesąd, relikw pogańskiego myślenia w chrześcijaństwie, ale Filip, gdy otwierał te stronicę, z nagłówkiem *Rituale Romanum* Tit. XI, cap. 3. miał świadomość, że obcuje z mocą rytuału, za którym stoi autorytet Kościoła rzymskiego, najpotężniejszej instytucji duchowej ludzkości. Na rozdział *Exorcismus in satanam et angelos aposstaticos* składały się teksty wręcz przesiąknięte dwutysiącletnią tradycją chrześcijaństwa, modlitwy ułożone w języku Biblii, Ojców i Doktorów Kościoła, później wymawiane przez pokolenia świętobliwych kapłanów stających odważnie wobec przejawów zła, aż do całkiem niedawna, kiedy nastał czas zwątpienia w istnienie diabła i Boga, kiedy ten pierwszy mógł działać już bez ograniczeń... Jeszcze bardziej uświęcony był tekst rozdziału drugiego, stanowiącego właściwy rytuał egzorcyzmów, ale on był zarezerwowany na szczególne przypadki - jedynie kapłan działający z upoważnienia biskupa mógł stosować go wobec stwierdzonych komisyjnie przypadków opętania przez diabła. Prawdziwe egzorcyzmy trwały godzinami, a czasem dniami i tygodniami. Kapłan, na którego biskup kierował moc modlitw wstawienniczych całej diecezji, był też wyposażony w miecz ducha na te długie i ciężkie

chwile. Przekartkował te stronicę, potężne formuły egzorcyzmujące, liczne psalmy w tłumaczeniu jeszcze św. Hieronima, napawające wiarą i ufnością w Bożą wszechmoc fragmenty z Ewangelii Marka i Łukasza, również z Wulgaty, wyznanie wiary ułożone przez św. Atanazego, zwane Quicumque, stanowiące doskonałą odtrutkę przeciw wszelkim zakusom złego podważającym prawdę o Trójcy, kolejne psalmy. Sam czasem włączał niektóre z tych pięknych tekstów do własnego rytuału, tego z rozdziału trzeciego, który zasadniczo służył do „oczyszczania” nawiedzonych przez złego miejsc i przedmiotów, ale świeccy mogli stosować go po prostu jako rodzaj modlitwy wstawienniczej.

Już północ. Czas zacząć.

- In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen - wymówił, robiąc znak krzyża. Zasadniczo znał już całość rytuału na pamięć, podpierał się tekstem dla samej duchowej przyjemności obcowania ze starą czcionką.

- Principes glorisissime caelestis militiae, sancte Michael Archangele, defende nos... - rozpoczął odmawianie inwokacji do świętego Michała Archaniola, księcia wojska niebieskiego, który ma u końca świata strącić Smoka z nieba. To on pomógł Jozemu zdobyć Jerycho, bronił świątyni Jerozolimskiej przed zbezczeszczeniem. Trudno o kogoś, kto równie dobrze zna podstępny Przeciwnika, o lepsze wsparcie w walce z nim. Trudno o lepsze wstawiennictwo u Pana w sytuacji walki, w jaką wplątał się Jakub. Zanieś nasze modlitwy przed oblicze Najwyższego...

\* \* \*

Artur długo spacerował po lesie. Księżyc rzucał blade światło na drogę, którą szedł. Nie czuł strachu, jaki zwykł towarzyszyć większości ludziom w takich okolicznościach. Czegóż można by się bać w lesie o północy? Ludzi nie ma, boją się tam wchodzić. Zwierzęta realnie zagrażające człowiekowi nie żyją już tak blisko jego siedlisk. Gdy się zrezygnuje z latarki i oswoi oczy z mrokiem las przestanie być ścianą tajemniczej ciemności. Stanie się pałacem. Naturalnie biada temu, kto wprasza się tam jako wróg czy obcy. Ale Artur obłąskawił duchy tego lasu. Znał go jak własny dom, a czuł się tu nawet lepiej. Spacerował, wczuwając się w jego nastrój, rytm jego życia pulsującego od koron drzew po kępy mchu. Nie przestawał jednak być tu gościem. Wiedział, że w gruncie rzeczy jest mieszczuchem, że to co robi, to tylko pewne przypomnienie odwołujące się do ukrytej w każdej komórce jego ciała pamięci Dawnych Czasów, kiedy Człowiek, członek Plemienia, stanowił organiczny element Lasu.

Często rozmawiali o tym z Jakubem. Niewielu znał ludzi, którzy to rozumieli, szanowali sacrum przejawiające się w każdym elemencie Przyrody, Moc, która przez przyrodę się wyrażała, ale była Czymś Więcej. Jeszcze zanim trafił do Wspólnoty, nie miał żadnych wątpliwości, że podąża ścieżką ludzi lasu, dlatego trafił do harcerstwa. Tam po raz pierwszy usłyszał o tradycji indiańskiej. Uwiódł go początkowo jej romantyzm, ale wkrótce zrozumiał, że włóczenie się po lesie i życie dzięki temu co się samemu upolowało, nie jest już możliwe w Polsce, w wieku dwudziestym. Zastanawiał się, co dałoby się ocalić ze Ścieżki Wojowników, co dałoby się przenieść w świat białych ludzi. Daniel zjawiał się ze swoją ekomistyką w odpowiednim momencie jego życia. Troska o zdrowie, o życie zgodne z naturą, choć wyniesiona raczej z taoizmu i połączona z hinduistyczno-suficką ścieżką rozwoju duchowego wydawały się odpowiadać na jego pytania. Tak mu się przynajmniej wówczas wydawało. Czyż naturalnym środowiskiem joginów nie był las? Czyż nie żyli w przyjaźni ze zwierzętami? Wezwanie, aby wymagać od siebie więcej, by stawać się kimś innym, lepszym niż się było, by rozwijać w sobie siłę, męstwo tak dalece kontrastowało z panującym wokół marazmem, że przyjął je ze szczerym entuzjazmem. Ale potem wszystko się tak skomplikowało, do mistyki i ekologii dołączyła polityka...

To tutaj, na tej ławce ostatnim razem, przed dwoma miesiącami, siedzieli z Jakubem. Jakub opowiadał mu, ile z szamanizmu pozostało w tradycjach tybetańskich, zwłaszcza w piątej szkole wadźrajany, bon. Artur namawiał go, aby razem urządzili sobie latem szamańskie „warsztaty”, z zakopywaniem do ziemi, może nawet z „łaźnią potów”. Jakub odparł w tedy, że formuła „jedźmy za miasto i zróbmy «warsztat»”, wydaje mu się sztuczna. Trudno było nie przyznać racji. Do działań szamańskich musi wezwać Moc, inaczej nic się nie udaje. Podróże przy bębnie kończą się drzemką, ogień parzy, las robi się złośliwy, a sam „szamanista” ma wrażenie, jakby wymuszał na Mocy coś, co jest tak naprawdę bez sensu, co służy tylko jego zadowoleniu. Sam czuł się nieudolnym kontynuatorem, a czasem tylko marnym naśladowcą pierwotnych szamanów. Uważał jednocześnie, że należy pamiętać tej pierwotnej, rdzennej mistyki chronić. W pewnych momentach jednak wiedział, że to jest nie tylko naśladownictwo, że dzieje się coś autentycznego.

I właśnie teraz Artur czuł wezwanie Mocy. Już sen, z jakim się dzisiaj obudził, sen niewątpliwie należący do grupy snów znaczących, wskazywał, że ten piątek będzie dobrym dniem na szamańskie wsparcie dla przyjaciela.

Skierował się do zagajnika, który nazywał swoim „miejscem Mocy”. Odszukał je któregoś dnia, był to drugi dzień jego Poszukiwania Wizji. Tak jak porzucano w buszu australijskich chłopców mających dostąpić inicjacji, aby nawiązali kontakt ze swymi totemami, tak on szukał swego Zwierzęcia Opiekuńczego i swojej własnej Pieśni Mocy. Właśnie w tym miejscu zobaczył siedzącego na kamieniu kruka, co już zwróciło jego uwagę, gdyż kruk uchodził za typowego ptaka szamańskiego. A ten w dodatku wyjątkowo długo nie chciał odlecieć, gdy Artur się do niego zbliżał. Dopiero kiedy był prawie na wyciągnięcie ręki, odleciał, a Artur poczuł się wówczas dziwnie senny. Usiadł, opierając się na kamieniu jak biblijny Jakub i zasnął. Wówczas przyśnił mu się jego Wielki Sen, sen, będący kluczem do sensu życia, którego sensu będzie zapewne szukał przez resztę swych dni... Zapamiętał to miejsce i wracał tu ilekroć czuł wezwanie Mocy albo gdy sam chciał Mocy wzywać.

Podszedł do swego ulubionego drzewa, które nazwał Drzewem. W blasku Księżyca odświeżył jego wspomnienie, a zwłaszcza wspomnienie niewielkiej dziupli, znajdującej się na wysokości jego brody. Starał się zapamiętać każdy jej szczegół, pomagał oczom dotykiem rąk. Spojrzał w górę, na przesuwane nad koroną Drzewa obłoki. Zaczął z wolna dostrzegać i przypominać sobie układ konarów, a zwłaszcza jednego, skierowanego najbardziej pionowo w górę, ku Niebom. Wkrótce mógł zamknąć oczy i odtworzyć w wyobraźni Drzewo jak żywe.

Usiadł na ziemi obok kamienia, który nazwał Kamieniem. Czuł, że w kamieniu, w Głazie wyraża się jakaś pierwotna sakralność, o której tak pięknie pisał Eliade, jakaś archaiczna moc. Chwilę się wyciszał, koncentrował, skupiał wszystkie ścięgna swej duszy, na czekającym go zadaniu.

Wyjął śpiwór z plecaka i ułożył się w nim na ziemi, aby zimno niepotrzebnie go nie dekoncentrowało. Wyjął też grzechotkę. Dawniej, gdy wybierał się w Podróż, używał do tego celu taśmy z nagrany dźwiękiem bębna uderzanego z częstotliwością czterech uderzeń na sekundę, co pozwalało wprowadzić się stopniowo w Szamański Stan Świadomości. Była to dość powszechnie stosowana metoda przez samotnych i początkujących szamanistów. Łatwiej było się skupić na Wizji, nie będąc zmuszonym samemu uderzać w bęben. Teraz jednak czuł Moc, więc nie spodziewał się jakiś większych problemów. Zresztą w lesie czułby się jak barbarzyńca, podpierając się magnetofonem.

Zaczął potrząsać grzechotką w znajomym rytmie. Rozpoczął od budowania ochronnego pola mocy. Wizualizacja przychodziła mu z łatwością. Przyzywał następnie Strażników: ze

wschodu przybył Orzeł, z południa Ryś, Niedźwiedź z zachodu i Żubr z północy. Zwrócił się do nich z prośbą o ochronę tego Miejsca przed wszelkimi wrogimi ingerencjami. Potem wyruszył w Podróż. Przywołał w wyobraźni wspomnienie Drzewa. Odtworzył każdy szczegół, fakturę kory, zapach, układ korzeni, sięgające nieba konary. Potem skupił się na dziupli, która stała się Wejściem. Wszedł przez nie i wkrótce zagłębił się w Drzewie. Wiedział, gdzie ma szukać rozwiązania problemów Jakuba, skierował się w dół, wąskim ciemnym tunelem wzdłuż pnia, potem korzeniami aż do Dolnych Światów. Zsuwał się coraz szybciej, wkrótce dostrzegł przed sobą, w dole, jaśniejszą plamkę - to Wyjście. Wkrótce znalazł się w nieznanym miejscu, krajobraz był tam nieco stepowy. Znajdował się teraz w stanie podobnym do świadomego snu, rzeczywistość wokół podlegała częściowo prawidłom sennego marzenia, ale świadomość była krystalicznie czysta, w stanie najwyższej koncentracji. Teraz przyzwał swoje własne Zwierzę Mocy, swego opiekuńczego ducha, był to Kruk, którego imię chował w najgłębszej tajemnicy. Wkrótce pojawił się, nadleciał ze wschodu. Artur wyjawiał mu swą intencję. Najpierw musieli odnaleźć źródło problemu. Kruk oczywiście wiedział, gdzie się ono znajduje, wzbił się natychmiast w powietrze. Artur wkrótce do niego dołączył. Podróż po Dolnym i Górnym Świecie nie była grą czystej wyobraźni, marzycielstwem, dlatego nie od razu umiał w tych światach latać, ale sztukę tę opanował dzięki swemu Sprzymierzeńcowi, Czapli, już w trakcie swej drugiej wędrówki do Górnego Świata. Teraz lecieli nad ścieżką wiodącą wzdłuż stepu. Artur wiedział, że musi trzymać się ścieżki, nawet, gdy leci, była ona bowiem miejscem azylu i tego tabu przestrzegały wszystkie istoty z Dolnego Świata. Przecięli jakąś rzekę, potem ścieżka skierowała się w kierunku niewielkich pagórków. Wśród nich znajdowała się większa kępa drzew. Artur zatrzymał się w pewnej odległości od niej, czuł, narastający wraz z malejącą odległością od tego miejsca lęk, niemal grozę. W tym świecie emocje bywały wyrazistsze, tak jak w zwykłych snach, gdy nie krępują ich więzy samokontroli. Teraz lęk był niemal namacalny, miał określone źródło. Wiedział, że wśród tych drzew czai się wroga istota, która zagraża Jakubowi, którą jakoś trzeba zneutralizować albo chociaż osłabić. Była zbyt potężna, aby udało mu się przekształcić ją w Sprzymierzeńca, a także zbyt potężna, aby stanąć z nią do otwartej walki. Rozejrzał się baczniej oczami umysłu po okolicy, szukając rozwiązania tego problemu. Trzeba będzie wezwać Sprzymierzeńców z Górnego Świata.

\* \* \*

Jakub, wracając kolejnego dnia z uczelni, czuł mieszaninę zniechęcania, zmęczenia i zniecierpliwienia. Miał serdecznie dosyć wszystkiego, co związane było z Danielem, Olkiem i całym „zakonem 44”. „Może o to im chodziło?” pomyślał. Cieszył się, że wkrótce będzie w domu, spotka się z Anną, zje coś ciepłego i poszukają jakichś sposobów na oderwanie myśli od tego całego szaleństwa. Tak, to jedna z najważniejszych różnic między socjologią, a na przykład chemią. Odczynnik nigdy nie zaprotestuje przeciw temu, że jest opisywany ani nie będzie miał pretensji za to, jak jest opisywany.

Seminarium skończyło się jak zwykle, czyli późno, a potem jeszcze długo dyskutowali ze Śliwińskim. Było już ciemno. I pusto. Studenci rozpiechli się już dawno, a nikt inny nie miał żadnych interesów o tej porze w okolicach kampusu uniwersyteckiego. Tylko z rzadka mijał go jakiś samochód. Szedł, szurając nogami wśród brunatnych i żółtych liści.

Wówczas zobaczył nadchodzącego z naprzeciwka Olka. „A czegoż ten znowu chce” - przemknęło mu przez myśl. Olek ożywił się na widok Jakuba i uśmiechnął się szeroko. Podszedł energicznie z wyciągniętą ręką. Za plecami Jakuba zapiszczały samochodowe opony... I wtedy poczuł, że unosi się nad ziemią. Przez chwilę stracił orientację, a potem siedział już w samochodzie przygwożdżony stalowymi uściskami Olka i Marka.

Samochód pędził w kierunku wyjazdu z miasta, prowadziła Paulina, a Marek nieustannie powtarzał jak mantrę:

- Uspokój się, nie szarp się, nic ci się nie stanie, spokojnie i tak nie uciekniesz, daj spokój, nie szarp się, spokojnie, spokojnie, zaraz będziemy na miejscu, nic ci się nie stanie...

W sumie Jakub ucieszył się, że mówiąc „nic ci się nie stanie”, nie użył trybu warunkowego. Nie odpowiadał jednak na pytanie, dokąd Jakuba wiozą, co już napawało pewnym niepokojem. „Przygotować się na najgorsze” - pomyślał Jakub i zacisnął zęby. „Teraz szarpać się nie ma sensu, ale kiedy już dojedziemy, przekonają się, że nie będę owcą prowadzoną na rzeź”. Przypomniawszy sobie, że rano Anna go ostrzegła, mówiła, że miała niepokojący sen. Wówczas śmiał się, ale teraz doszedł do wniosku, że musi ją przeprosić, jeśli naturalnie będzie miał okazję.

Wjechali w dobrze znany Jakubowi las, oddzielający miasto od folwarku Marka, wkrótce dotarli na polanę, gdzie kiedyś porzucił ich volkswagena.

Wtedy go puścili. Wysiadł wściekły, rozglądając się wokół i szukając przyczyny swojej tam bytności. Przyczyna mogła być tylko jedna.

- Witaj Jakubie - usłyszał znajomy głos. - Uspokój się już. Chciałbym cię przeprosić za formę, w jakiej cię tu zaprosiłem, ale jak rozumiesz, byłem zmuszony. Nie chciałeś się ze mną spotkać, a nasze spotkanie jest najwyższą koniecznością.

Jakub podszedł do siedzącego na przewróconym pniu człowieka, splótł ręce na piersiach. Trzymał wysoko uniesioną głowę, spoglądając w dół na rozmówcę. Ku swemu zaskoczeniu, Jakub odczuł „promieniowanie maski”. W zasadzie powinien się tego spodziewać. Wiedział, że rola ucznia w jaką wcielał się przez lata, odcisnęła na nim swoje piętno w postaci nawyków, odruchów ale też skojarzeń, lęków czy przesądów. Rola jednak nie wisi w próżni, nie jest nawet przypisana danemu człowiekowi - wówczas stosunkowo łatwo byłoby ją odrzucić czy modyfikować. Każda rola rozgrywa się między ludźmi. Jest się mężem dla żony, a kochankiem dla kochanki, szefem dla podwładnych, a kumplem dla kolegów z klubu. Gdy pojawia się żona, automatycznie wkładamy stosowną maskę, która nie zawsze musi ściśle pasować do maski szefa. Żaden szef nie chciałby, aby podwładny usłyszał, jak żona mówi do niego „Misiaczkę”. Wszystkie te siły, które każdego normalnego członka społeczeństwa wciągały na powrót w jego rolę, teraz zadziały na Jakuba.

Wkrótce się opanował, zastygł w przyjętej postawie, skupiając się na tym, co Daniel mówił. Ten zaś ciągnął.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ilu interesom zagroziłeś. Ludzie mają firmy, pracują, mają swoje rodziny! A ty teraz dla kaprysu sobie chcesz to wszystko zburzyć! Człowieku! Musisz uświadomić sobie, że jest na tym świecie całkiem sporo ludzi, którzy mi życzą śmierci! Chcesz mojej śmierci?! Ale ty budzisz też siły, o jakich nie masz pojęcia... - Daniel powtarzał w zasadzie wszystkie argumenty, które padały w ich korespondencji. Mówił długo i z olbrzymim naciskiem. Jakub czuł się coraz bardziej przytłoczony, nie tyle siłą argumentów, co osobowością swego rozmówcy. Jednocześnie jakby odpływała z niego energia, zdolność sprzeciwu. ... musisz zejść na ziemię, utknąłeś w iluzji, rzeczywistość ma swoje prawa, nie możesz jej lekceważyć, musisz wreszcie zejść na ziemię, bo rzeczywistość cię zniszczy!

Wtedy stało się coś zaskakującego dla wszystkich uczestników sceny, włącznie z Jakubem. Nie wytrzymał. Roześmiał się na całe gardło. Był to, swoją drogą, pierwszy, w pełni poprawny sohbət, jaki wykonał. Śmiał się dobrą chwilę, odreagowując napięcie, wrzucając z siebie wszystko, co Daniel w niego przed chwilą wciskał. Potem odparł.



- I kto tu mówi o rzeczywistości! Ktoś od dawna odizolowany przez swoich zadupasów od jakiegokolwiek rzeczywistości! Kto zamknął się wśród książek na strychu i pociąga za sznurki, tylko już nie pamięta, do kogo są przywiązane! Kto zna ludzi już tylko z książek i pisemnych raportów! - gardłował Jakub. - Jakim prawem tylko sobie przypisujesz znajomość rzeczywistości, że tylko ty ją reprezentujesz?! Czy wypadające zęby i włosy twoich uczniów, to nie jest rzeczywistość?! Czy ich zniszczone kręgosłupy i anemia, to nie jest rzeczywistość?! Czy ich rozbite przez ciebie rodziny, ich nerwice seksualne, to nie jest rzeczywistość?! A czy interesy wszystkich tych umownych, których twoi ludzie robią w konia, którzy też mają swoje życia i swoje plany. Może nie tak genialne jak twój, ale kto ci dał prawo ich poświęcać. I kto ci dał prawo odmawiać im prawa obrony przed tobą? To nie są rzeczywisci ludzie? To nie jest rzeczywistość?! Ja nie reprezentuję rzeczywistości?! Radzę ci, abyś się z tą rzeczywistością zaczął liczyć, bo jeszcze sobie głowę o nią rozbijesz! Rozbijesz sobie głowę o mnie, jeśli jeszcze raz spróbujesz na mnie naciskać! - dodał, chcąc odwrócić się na pięcie.

Wtedy jednak spojrział jeszcze na Daniela. Zobaczył go siedzącego, zgarbionego, z opuszczonymi rękami. Jakże się zmienił od czasu, gdy kroczył dumnie, z prostym karkiem wśród tłumu swych wielbicieli. „Czy to ja mu dałem tak w kość? Zastanawiał się Jakub, czy to całe jego życie upomniało się o spłatę zaciągniętych długów”. Stary człowiek odezwał się:

- I co ja mam teraz zrobić?

Jakubem wstrząsnął ton głosu guru, nie był pewny, ale wydawało mu się, że głos ten drżał, lekko się załamywał. Nagle stracił całą swą moc, z jaką przez ostatnie minuty wślaczał Jakuba w ziemię.

- Jeśli postępowałeś słusznie, System powinien cię ochronić, czyż nie? - powiedział nagle uspokojony Jakub. Chyba zaczynał odczuwać współczucie. Po chwili dodał pojednawczo: - Twój temat jest już dla mnie zamknięty. Po obronie doktoratu zaczynam zajmować się zupełnie innymi problemami. Mogę ci obiecać, że niczego więcej na twój temat nie opublikuję. Reszta należy do losu. W samym doktoracie również posługiwałem się pseudonimami. Wiem, że nie spodobałoby ci się to, co napisałem. Pozostaje ci zatem potraktować to tak, jak Sokrates komedie Arystofanesa o Sokratesie.

- Że niby to, co o mnie napisałeś źle, to nie o mnie? Obawiam się, że żaden inny twój czytelnik się nie zdoła na takie odczytanie.

# CZEŚĆ VII

## Rozdział XLI

- Panie Jakubie, niech pan nabędzie sobie weekendową „Gazetę”, jest tam coś, co pana żywo zainteresuje. Życzę miłej lektury!

Jakub był zaskoczony tym telefonem. Jeszcze nigdy Śliwa nie dzwonił do niego w sprawie tego typu, w sobotę po dziewiątej rano. Zwłóknął się z łóżka. Kiedy indziej będzie musiał odespać wczorajszą nocną rozmowę z Danielem. Był zły na siebie, że tak dał się zaskoczyć i zwinąć prosto z ulicy. Z przebiegu spotkania też nie był zadowolony. Za ostro naskoczył na Daniela, stracił panowanie nad sobą. Przez chwilę wydawało się, że będzie groźnie, ale potem nagle Danielowi opadły ręce, jakby się załamał. Jego uczniowie nie wiedzieli co począć, ich mistrz milczał przybity, więc Olek po prostu odwiózł Jakuba pod dom. Nie założono mu betonowych butów ani nie powieszono na gałęzi. Nawet go nie sprali.

Schodząc po schodach do kiosku, zastanawiał się, cóż takiego może zawierać ten numer Gazety? Spodziewał się znaleźć jakiś ciekawy socjologiczny tekst w dziale świątecznym, czasami gościli tam wybitni socjologowie, choć zwykle lewicowej orientacji, czasem jakiś filozof... W najbliższym markecie gazety już nie było, tam zawsze dostawali tylko kilka egzemplarzy. Kupił ją dwie przecznice dalej w kiosku przy dworcu kolejowym.

O co mogło chodzić Śliwińskiemu? Żaden z tych tekstów jakoś specjalnie nie wydaje się interesujący, nie na tyle, aby dzwonić do kogoś o tej porze. Coś tam o globalizacji jakiegoś modnego francuskiego futurysty, coś o wolnym rynku. Nic ciekawego, nic co mnie mogłoby żywo zainteresować. Przerzucił pozostałe strony, aż dotarł do pierwszej. I wtedy osłupiał. Na pierwszej stronie, wprawdzie nie od góry, ale w prawym dolnym rogu widniał sporą czcionką tytuł: Sekta knuje. Jakub trzy razy zaczynał czytać i nie mógł skończyć. Za nic nie potrafił okiełznać rozbieganych myśli.

Polski Sun Myong Moon... Faszystowska organizacja pseudoreligijna... zintegrowani przez antysemitizm... seksualne praktyki... permanentna indoktrynacja... Fanatyzm graniczący z szaleństwem... Daniel Drzewiecki... szkoleni do walki... skandaliczna bezczynność organów ścigania... Liczne naruszenia kodeksu pracy... sieć oplata całą Polskę... jak pisze Jakub Wolski...

- O czym oni, kurwa, piszą?! O co tu, kurwa, chodzi?!

\* \* \*

W kolejnych dniach Gazeta jeszcze dwa razy wracała do tematu Daniela. Michał spoglądając na leżące przed nim wycinki prasowe, uświadomił sobie, że w zasadzie wszystkie te teksty walcują w kółko to samo, że wszystkie powstały w podobny sposób. Ktoś wziął artykuł Jakuba z owego nieszczęsnego słownika i „domyślił” się całej reszty. Było coś o tantryzmie, czyli praktyki seksualne, był sufizm, czyli islam, a w domyśle dżihad, terroryzm, było o charyzmatycznym przywództwie typu wodzowskiego, a zatem führer, w domyśle osobowość typu Hitlera i podobnie mordercze skłonności. Musieli zajrzeć też do artykułów podanych w bibliografii, chyba stamtąd wyciągnęli antysemityzm, o który Daniel został posądzony po jakiejś nieopacznej wypowiedzi. W to wszystko wmieszano trochę znanych nazwisk i instytucji, fundacji czy organizacji społecznych.

Wkrótce przyłączyły się też tygodniki. Wprawdzie nie wysiliły się na cały artykuł, ale w komentarzach politycznych pojawiały się czasem aluzje o „pałętających się w kręgach rządowych sektach”, często jednak sugerowano, że jest to w gruncie rzeczy sprawa mało poważna, temat zastępczy.

Niejednoznaczna była reakcja prasy katolickiej. Bardziej „oświecona” część w ogóle nie uznała tematu za godny uwagi, natomiast organy katolicyzmu ludowego chyba ucieszyły się, że znalazł się ktoś, kto reprezentuje „prawdziwy antysemityzm”, przez co ich własny już nie zasługiwał na to miano, bo wszak katolicy nie uczyli młodzieży kungfu do walki z Żydami.

## Rozdział XLII

Anna zaczynała się niepokoić o stan Jakuba. Od czasu, gdy jego nazwisko ukazało się na pierwszej stronie Gazety, trudno jej było zrozumieć swojego partnera. Najgorsze, że nie chciał o tym rozmawiać, twierdził, że wszystko w porządku. Wstawał wcześniej i biegał do kiosku sprawdzić, „czy znowu coś wysmarowali”. Nie odbierał telefonów, zwłaszcza tych od dziennikarzy. Tylko raz, na samym początku udzielił wywiadu jakiejś stacji telewizyjnej. Gdy zobaczył swą wypowiedź w telewizji, a raczej to pół zdania, które z niej zostało, zaczął miotać przekleństwami, jakich Anna jeszcze z jego ust nie słyszała, a potem konsekwentnie już unikał wszelkich mediów.

Najbardziej zaniepokoił Annę, gdy raz obudziła się o trzeciej nad ranem i zorientowała się, że go przy niej nie ma. Wstała, ale w domu go nie było. Wrócił po kwadransie. Udała, że śpi. Słyszała, jak pakuje jakieś papiery do plecaka. Wyszedł i znowu wrócił dopiero po pół godzinie. Po dźwięku, jaki wydał plecak, gdy upadł mu na podłogę poznała, że był pusty. Siedział później resztę nocy przed komputerem.

Rano, gdy spał jak zabity, próbowała sprawdzić swoją pocztę. Gdy wróciła po chwili z kubkiem herbaty, spodziewając się, że sprzęt wreszcie się uruchomił, zobaczyła tylko ekran domagający się podania nazwy użytkownika i hasła.

Nie chciała go budzić, aby zapytać, co porabiał w nocy. Była pewna, że to nie jest nic przeciwko niej, ale dlaczego miał przed nią tajemnice? To akurat się wyjaśniło, tego samego dnia, w niezbyt przyjemnych okolicznościach.

Było ich dwóch, wysokich posępnych facetów, przedstawili się jako funkcjonariusze ABW. Siedzieli z Jakubem chyba godzinę. Anna niewiele słyszała przez drzwi. Tylko ton ich głosu, dość natarczywy, nieustępliwy, ale najwyraźniej nikt nie utracił panowania nad sobą. Na odchodnym jeden z nich powiedział:

- Nie wiem, mam wrażenie, że pan ich broni, że nie mówi pan wszystkiego, co mógłby powiedzieć. Zastanawiam się, czy wy, socjologowie nie występujecie czasem w obronie sekt, bo macie interes w tym, aby istniały, żebyście mieli co badać. Czy uwzględnia pan coś takiego jak interes społeczeństwa?

- Zapewniam pana, że dla socjologów proces upadku sekty czy konfliktu ze społeczeństwem i jego interesami jest równie interesujący jak proces powstania i rozkwitu. Równie dobrze można powiedzieć, że instytucje takie jak wasza mają interes robić z nich zbrodniarzy, aby tanim kosztem wykazać swoją użyteczność - odparł Jakub. Po chwili jednak dodał - A może jest tak, że gdy stajemy w ich obronie, to dlatego, że mamy dostęp do wiedzy, która pozostaje w sprzeczności z podnoszonymi przeciwko sektom zarzutami?

- A może my je zwalczamy, bo mamy dostęp do wiedzy, której wy nie macie? - odparł funkcjonariusz.

- Czego oni chcieli? - zapytała go, gdy wyszli.

- Moich materiałów z badań. Adresy, nazwiska, kontakty. Standard.

- Powiedziałaś im?

- Nie mogę im podać nazwisk eksów, nie dali mi na to pozwolenia. A o obecnych członkach wiedzą więcej niż ja. Naprowadziłem ich na kilka tropów, na które i tak by niedługo wpadli.

- Nie boisz się, że wrócą z nakazem?

- Niech wrócą, niczego nie znajdą - powiedział pewnym siebie głosem.

Anna zrozumiała, że to właśnie te materiały wynosił tej nocy. Będzie mogła z czystym sumieniem powiedzieć im, że nie ma pojęcia gdzie się podziały.

- Nie boisz się, że cię oskarżą o utrudnianie śledztwa?

- Gdy przeprowadzałem wywiady, tak ja, jak i Michał, obiecywaliśmy zawsze, że zostaną użyte wyłącznie do celów naukowych. Każdy socjolog przeprowadzając wywiad, obiecuje respondentowi anonimowość. Nie zamierzam złamać tej obietnicy. Niech sami się wysilą, zamiast się mną wysługiwać. Sami z siebie nic już by nie robili. Albo wysługują się dziennikarzami, a teraz nauką...

- W sumie dziennikarze są chronieni przed naciskami na wyjawienie informatorów, uczeni powinni również mieć takie prawo - zgodziła się. - Ale nie sądzisz, że mają trochę racji, że dobrze byłoby, gdyby taki Daniel czy Urszula ponieśli konsekwencje swoich czynów?

- Tyle, że oni nic na nich nie mają. A przynajmniej niczego mi nie przedstawili. W każdym razie nie przekonali mnie, że dzieje się coś strasznie złego.

- A nie boisz się, że ci zarekwirują komputer? Mogą cię potem ukarać choćby za pirackie programy.

- Nie znajdują ani jednego. Zapomniałem cię uprzedzić, ale od dzisiaj jesteśmy w pełni legalni.

- Jak to zrobiłeś? Przecież sam system operacyjny kosztuje majątek.

- Albo majątek, albo prawie nic. Od wczoraj jesteśmy linuxowcami. Całą noc zajęło mi konfigurowanie, ale obsługa jest niemal równie prosta jak w Windowsie, poradysz sobie.

- A co z Officem, programami antywirusowymi?

- Wszystko jest darmowe i w pełni funkcjonalne, nie odczujesz straty. Tylko gier nie ma. Ale za to antywirusy są niepotrzebne, w zasadzie nie ma wirusów na Linuxa. Wszystkie moje archiwalne dane chronione są w programie szyfrujący, za bardzo silnym hasłem. Nie sądzę, by im się opłacało je łamać.

## Rozdział XLIII

- Widziałeś? - Michał wpadł do pokoju Jakuba w stanie najwyższej ekscytacji. - Przestań mi tym machać przed oczami, co miałbym w ten sposób zobaczyć? - Patrz, znaczy czytaj! - rozłożył na biurku ostatni numer Rzeczpospolitej. - Gdzie? - Jakub dostrzegł na wskazanej mu przez kolegę piątej stronie jedynie duży artykuł o proteście służby zdrowia i informację o nowej ustawie imigracyjnej.

- Tu, na dole.

Faktycznie, u dołu strony znajdowała się niewielka, jednołamowa notatka.

„Guru poszukiwany przez ABW?”

„W związku z czynnościami przygotowawczymi wszczętymi przez ABW, funkcjonariusze stołecznej jednostki odwiedzili w zeszłym tygodniu podwarszawską posiadłość guru Daniela Drzewieckiego, bohatera zeszłotygodniowej publikacji Gazety. Według informacji w posiadanie których weszło ABW, miał się tam znajdować rezydencja tajemniczej sekty. Służby nie zastały tam jednak nikogo. Dziennikarz PAP w rozmowie z sąsiadami dowiedział się, że sekta ewakuowała się w nieznanym kierunku już na początku października. Całą noc się pakowali. Relacjonuje sąsiad. Załadowali dwa tiry i mniejsze furgonetki. Nie wiem dokąd odjechali. Nie wiadomo jeszcze, czy i jakie zarzuty prokuratura zamierza postawić tajemniczemu guru. Dziennikarze Gazety zarzucili sekcje, iż ta głosi totalitarne poglądy o silnym zabarwieniu antysemickim. Guru Daniel miał zorganizować sieć grup oplatającą całą Polskę, w których młodzi ludzie przechodzili pranie mózgu zaszczepiające im przekonanie, iż największym wrogiem ludzkości są Żydzi. Z naszych informacji wynika jednak, że ani ABW, ani prokuratura nie zamierzają wytoczyć zarzutów w tej materii. Zdaniem religioznawcy profesora Koszyckiego z UW metody kamuflażu wypracowane w tej organizacji są na tyle skuteczne, że jeśli ktoś opowiada o jej działalności, uczonym trudno w to uwierzyć. Organizację tę odkrył i zbadał dr Jakub Wolski i dzięki niemu w ogóle się o nich dowiedzieliśmy”.

- Może w Gazecie będzie coś więcej? - zapytał nieco rozczarowany Jakub.

- W Gazecie ani wzmianki. I to jest najciekawsze. Najpierw wielką aferę robią, a teraz nawet się nie zainteresują jak to się kończy.

- Rzeczywiście ciekawe.



- Słuchaj Kuba, czy z Zakon ktoś po tej aferze nawiązywał z tobą kontakt, masz jakieś nowiny?

- Spotkałem raz przypadkiem Marka. Zapytał, czy jestem zadowolony z siebie, że zniszczyłem Wspólnotę.

- Nie wiedziałem, że posiadasz taką moc! - zaśmiał się Michał - jesteś potężniejszy niż sam trzęsący światem i Bogiem mesjasz! Już zaczynam się ciebie bać! - Jakub się jednak nie śmiał. - Przecież ty tylko opublikowałeś artykuł, rzetelny, nawet, moim zdaniem, nadmiernie dla nich życzliwy. To nie twoja wina, że mamy takich głupich dziennikarzy. Zresztą, gdyby to była faktycznie taka dobra organizacja, gdyby byli tacy sprawni, to nie daliby się tak łatwo zlikwidować.

- Naprawdę tak uważasz, że to kwestia dziennikarzy? - spytał Jakub, wyciągając z torby plik kartek. - To dla twojej wiadomości. Przeczytaj sobie. To są te trzy artykuły. Twój, mój artykuł ze „Studiów Religioznawczych” i hasło do Słownika. Ukazały się w odstępach mniej więcej półrocznych. Afera wybuchła po ostatnim. Zastanów się, co takiego w nim było, czego nie było w pozostałych. To taka zagadka.

Michał przyjął artykuły w milczeniu. Znał je prawie na pamięć, ale nie zadał sobie dotąd pytania o różnice między nimi. Poza tą najbardziej oczywistą: tekst do Słownika był najkrótszy.

- Czy sądzisz, że Wspólnota jeszcze istnieje? - zapytał po chwili.

- Nie wiem. W każdym razie przekreślone są jakiegokolwiek szanse społecznego oddziaływania, przynajmniej tutaj, w Polsce. Urszuli nie udowodnią żadnych związków z Danielem, a o to chyba im chodziło. W każdym razie w środowiskach, gdzie się obracała, Urszula nie jest już tak mile widziana. Sądzę, że w samej Wspólnocie już niewielu sensownych ludzi zostało. Nikt nie wie, gdzie się ukrywa Daniel, może poza kilkorgiem obsługujących go uczniów, ale w każdym razie kontakt z nim mają bardzo utrudniony. Najprawdopodobniej ABW ma ich na oku. Wiem, że zlikwidowali też wszystkie komuny. Teraz członkowie Wspólnoty żyją w swoich mieszkaniach, często też mają własną pracę. Jak wiesz, Henryk już ich nie utrzymuje. - Jakub zamyślił się smutno. - Zresztą, załączki rozpadu Wspólnoty pojawiły się już wcześniej. Przejęcie władzy przez Urszulę tylko to spotęgowało. Mimo wszystko, trochę szkoda. Intencje chyba były słuszne. - Jakub zamilkł. Niepokojący był smutek wyraźnie malujący się na jego twarzy.

- Nie tak to się miało skończyć? - spytał Michał, a po chwili dodał, chcąc przełamać ponury nastrój. - Nie ma czego się winić, ani czego żałować.

- Nie winię siebie. Nie żałuję też niczego, co zrobiłem. Chociaż musisz przyznać, gazety są bardzo niesprawiedliwe. Przecież kilkorgu ludziom pomogli, poukładali ich, przynajmniej emocjonalnie.

- Kosztem intelektualnego bałaganu i zniewolenia.- Jako, że Jakub milcząc, przyznał rację, ale nie wy pogodziła się jego twarz, Michał dodał. - Wiesz, kiedyś w Biblii wyczytałem takie mądre zdanie, że jeżeli jakaś myśl czy sprawa nie pochodzi od Boga, rozpadnie się, a jeżeli rzeczywiście pochodzi od Boga, nie będziesz potrafił jej zniszczyć. A z drugiej strony, jeśli to nie pochodzi od Boga, to nie ma sensu tego ratować.

- Pewnie masz rację - uśmiechnął się Jakub. - Wiesz, to trochę tak, jak pisał Eco, że gdy ktoś pisze doktorat o syfilisie, to w końcu zapala miłością do krętka bladego.

- Z drugiej strony, pewnie byś inaczej nie mógł wyjaśnić tego fenomenu.

- Sądzisz, że mi się to udało?

- Moim zdaniem tak.

- A ja mam wciąż niedosyt. Mam ciągle poczucie, że nie rozumiem tego człowieka. O ile potrafię jakoś wczuć się w motywacje jego uczniów, zrozumieć ich postępowanie, a nawet ich opętanie Danielem, to jego samego... Weber pisał, że niby nie trzeba być Cezarem, żeby zrozumieć Cezara, ale wiesz, drugiego człowieka możemy zrozumieć tylko o tyle, o ile jest do nas podobny, gdy wczuwając się w niego, na zasadzie jakiegoś rezonansu, odzywają się w nas podobne struny. Mam wrażenie, że tutaj docieram do pewnej granicy.

- O tym też pisał Weber - uśmiechnął się Michał, ciesząc się, że tym razem odrobił lekcję.

- Pewne zachowania, których nie możemy zrozumieć na zasadzie empatii, musimy przyjąć po prostu jako dane. Pisał to właśnie w kontekście wirtuozów religijnych.

- Niby racja. Dlatego uważam, że ty, jako homo religiosus miałbyś większe szanse zrozumieć tego człowieka.

- Ja? Homo religiosus?

\* \* \*

Michał siedział już od godziny nad „zagadką” Jakuba. Najpierw próbował rozwiązać ten problem inaczej. Wracając od Jakuba autobusem, przyszło mu do głowy, że może jest to kwestia nie tyle treści tych artykułów, co ich społecznego zasięgu. Sprawdził więc już w domu nakład

obu czasopism w porównaniu do owego Słownika. Nie było łatwo dotrzeć do tych informacji, bo wydawnictwa ostatnio starannie je ukrywają. Dobrze, że miał kolegę prasoznawcę. Artykuł Michała ukazał się w nakładzie dwukrotnie większym niż oba Jakuba razem wzięte. Ukazał się w jednym z czołowych miesięczników katolickich, podczas gdy publikacje Jakuba miały niewielki nakład, jak większość poważnych publikacji naukowych. Z pewnością były bardziej naukowe, może więc media uznały wypowiedzi Michała za mniej wiarygodne? Niestety okazało się, że miesięcznik, w którym ukazał się jego artykuł był przez Gazetę systematycznie komentowany, podczas gdy odniesienia do naukowych publikacji z dziedziny humanistyki w zasadzie się nie zdarzały. Redakcja wolała raczej zaprosić humanistyczny autorytet na swoje łamy.

A zatem może jednak było coś w tym ostatnim artykule? Nawet po trzykrotnej lekturze nie dostrzegając nic, co by usprawiedliwiało jego społeczny efekt. W zasadzie był to tekst nawet przyjazny grupie Daniela. Po kolejnej lekturze, uznał, że musi zabrać się do rzeczy systematycznie. Zeskanował sobie artykuł ze słownika, a gdy już miał go w postaci elektronicznej przekształcił go w tabelę z dwoma pustymi kolumnami z prawej strony. Każdy wiersz tabeli zawierał jedno określenie. Zaczął czytać z kolei swój artykuł i zaznaczał w rubryce, które z określeń czy faktów się powtórzyło. Podobnie ze starszym artykułem Jakuba. Okazało się, że artykuł ze Słownika wcale nie był tak ubogi, jak wydawało się na pierwszy rzut oka. Był po prostu niezwykle zwięzły. Ale zawierał większość informacji, jakie można było znaleźć w pozostałych. Najważniejsze były oczywiście występujące w nim określenia, których brakowało w pozostałych. Było tylko jedno takie określenie. Michał poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie. To było w trzecim zdaniu: „organizacja antymasońska”. Kuba uwierzył, że ta nagonka to spisek masoński! Biedak, znowu czuje się pewnie oplątany siecią spisków!

\* \* \*

- To go dobiło - powiedziała Anna. - Wygląda na zupełnie załamane. Nic już nie pisze, tylko czyta „Winetou”.

- Karola Maya? A co tak naprawdę Śliwa powiedział? - spytał Michał. - Nie oglądałem tego programu.

- Najpierw ten dziennikarz, Wilk, zapytał go o badania Jakuba nad tą grupą, bo Jakub nie chce rozmawiać z dziennikarzami. Pytał o samą grupę. Śliwiński odpowiedział, że grupa jest wyjątkowo niebezpieczna, jej ideologia, gdyby się upowszechniła, stanowiłaby zagrożenie dla demokracji, że demokratyczne państwo nie może dopuszczać do łamania praw człowieka.

Pewnie mówił więcej, bo było widać, że ten fragment intensywnie „montowano”. Potem zaczął wychwalać Jakuba pod niebiosa, że taki młody, zdolny uczonek i tak dalej, że to ze skromności unika mediów, że poświęcił się wyłącznie nauce. I tak dalej, zresztą zaraz ci pokażę. Nagrałam na magnetowidzie. Ale najbardziej poruszyło Jakuba co innego. Może mi pomożesz to zrozumieć. W pewnym momencie zerwał się z krzesła i podbiegł do telewizora. Potem chyba z dziesięć razy przewijał ten fragment, zatrzymywał, cofał. Nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi, albo nie mogło mu to przejść przez gardło. Mogę? - spytała, wskazując na magnetowid, który stał na kredensie Michała obok niewielkiego telewizora.

- Jasne, zobaczymy, co to mogło być.

- Mniej więcej od tego miejsca. Nie rozumiem. Nagranie jest dosyć wyraźne. Śliwa mówi po prostu... zresztą posłuchaj - zatrzymała przewijanie i uruchomiła odtwarzanie.

Naturalnie nie wszystkie nowe ruchy religijne można uważać za sekty - mówił profesor - niemniej jednak niektóre mają jawnie autorytarne poglądy i organizują się w sposób, który bynajmniej nie respektuje praw człowieka ani wartości uniwersalnych uznawanych przez wszystkie największe religie - zmiana ujęcia, teraz profesor przechadza się w parku, kamera filmuje go w ruchu. - Jest powinnością społeczną socjologa...

- To tyle. Tu już Jakub przewijał wstecz, musiało chodzić o poprzednią scenę, gdy padają słowa o prawach człowieka. Słyszałam to parę razy. Nie wiem, co takiego niezwykłego jest w tych słowach.

Michał zamyślił się nad tymi słowami.

- Nie było w nich nic niezwykłego. Co Kuba mógł w nich zobaczyć?

„Zobaczył” jakie to dziwne, że nawykowo posługujemy się określeniem odnoszącym się do zmysłu wzroku w odniesieniu do słów. A może problem należało właśnie zobaczyć? Michał przewinał jeszcze raz taśmę. Wyłączył dźwięk.

- Może faktycznie coś zobaczył?

Wpatrywali się intensywnie w obraz telewizora.

- To dom Śliwy, poznaję - powiedział. - Byłem tam kiedyś na jego imieninach.

- Może na tych fotografiach stojących na regale jest ktoś, kogo Jakub poznał? Zatrzymaj.

- Za słaba ostrość, nie można rozpoznać kto to. Ale spójrz na to zdjęcie... - Michał szerzej rozwarł oczy.

- Z postury sądząc, to chyba Śliwa - powiedziała Anna. - A ten drugi to kto?

- Nieważne. Spójrz tylko, jak są ubrani! - Michał rozpoznał już charakterystyczny krój.
- Co to takiego? Mają coś na garniturach.
- Fartuszki.
- O kurcze! - Anna była wstrząśnięta.
- To masoni. Śliwa jest masonem - powiedział, siadając na podłodze i ukrywając twarz w dłoniach.

## Rozdział XLIV

Po paru dniach Michał zjawił się u Jakuba na dyżurze, a właściwie wtargnął bez słowa do pokoju, porwał krzesło spod ściany i usiadł po przeciwnej stronie biurka.

- Myślę, że potrafię lepiej wytłumaczyć ukazanie się tych artykułów niż te twoje teorie spiskowe. - powiedział, patrząc Jakubowi w oczy i wyjmując czarną teczkę, zawiązaną kokardką

- Najpierw przyjrzałem się temu drugiemu. Pierwszy był za bardzo schematyczny, nawet jego śródtytuły przypominały rozdziały typowych antysektowych książek: 1) jak są groźni, 2) jak werbują naiwnych, 3) jak manipulują, 4) do jakich przekrętów dochodzi, 5) do jakich zbrodni doszło w Gujanie Francuskiej czy w Tokio i tak dalej. Było to po prostu rzucenie prasową „bombą”, ale drugi już to i owo odsonił co do pewnych celów, w jakie bomba była wymierzona. Zobacz. Sam pokazywałeś mi z tuzin zdjęć Urszuli z różnymi postaciami. Oni zamieścili z tego serwisu dwa. Przypadkowo? Może nie? Wybrali premiera, to dość oczywiste, Gazeta zawsze zrobiłaby wiele, aby dokopać prawicowemu rządowi, ale to tylko trzecia i najmniej ważna pieczeń przy tym ogniu. Ten drugi, to Waldemar Ziemowit, prezes Stowarzyszenia Wolnych Mediów, czym zawinił Gazecie? Poszukałem i znalazłem. Dwa tygodnie wcześniej opublikował w branżowym czasopiśmie dla dziennikarzy analityczny artykuł, gdzie wykazywał różne powiązania Gazety. Zapytywał na przykład dlaczego systematycznie zamieszcza ona na dwóch pełnych stronach w świątecznym wydaniu reklamy spółki FIRMComp., która przecież nie sprzedaje ani mydła ani powidła, ani niczego, co mogliby kupić czytelnicy Gazety.

- Co to za firma?

- To faktycznie monopolista w branży analiz politycznych. Większość europejskich rządów, naszych nie wyłączając, opiera się na ich raportach, ma potężne umocowanie w Brukseli, w Radzie Europy.

- No dobra, to może co najwyżej też jakaś pieczeń, ale nie tłumaczy, z czego rozpalili ogień.

- Zgadza się, ale poczekaj, dojdziemy i do tego. Ziemowit, to faktycznie tylko druga pieczeń. Teraz skoczmy do numeru wcześniejszego o dwa tygodnie. Zobacz ten wywiad. Czytałeś?

- Nie czytam Gazety. O kurcze!, zrobili wywiad z...

- Dokładnie. Nawet sobie nie wyobrażasz jak życzliwy, jakim bohaterem walki o wolność i demokrację się jawi, jakim przyjacielem wszystkich miłujących pokój, narodową zgodę, powszechne przebaczenie. A pamiętam, siostra pokazywała mi podręczniki do polskiego sprzed kilkadziesiąt lat, gdzie są jego wiersze wielbiące Stalina.

- Nie rozumiem, jak można gloryfikować tego lizusowskiego grafomana, rozumiem jeszcze szanować Jaruzelskiego, facet może i miał to i owo na sumieniu, ale był też zdolny do podjęcia trudnej decyzji, która uratowała prawdopodobnie życie wielu ludziom, i nie wykręca się od odpowiedzialności, ale...

- Bronisz Spawacza?! Chronił własny tyłek a nie „wielu ludzi”. Ostatnio zresztą opublikowali dokumenty, z których wynika, że Ruskie nie chciały wejść do Polski.

- Nie wiem, jak tam dokładnie było, ale moim zdaniem naiwnością jest wierzyć, że komunizm mógłby upaść wtedy i do tego tylko w Polsce. Wyobrażasz sobie? Taki czterdziestomilionowy Berlin Zachodni w centrum Europy? Jeśli by nawet Sowieci nie wkroczyli, to Niemcy, Czesi, Węgrzy bardzo chętnie, podejrzewam. - Ale Jakub nie chciał ciągnąć tego wątku, więc gestem przerwał Michałowi - Nie ważne, co ma ta szumowina do Urszuli?

- No właśnie, i tu przecinają się te wszystkie różna. Urszula, jak wiesz, prowadzi firmę konsultingową. No i ta firma pewnego razu wygrała przetarg z FIRMComp. Tak się złożyło, że w gremium, które o tym decydowało, była względna równowaga sił, a przeważał głos niejakiego Błażeja Gniewko...

- Tego Błażeja Gniewko?

- I firma Urszuli przygotowała raport o sytuacji w Polsce, jeśli chodzi o kondycję trzeciego sektora, generalnie społeczeństwa obywatelskiego. Natomiast nasz pan grafoman, który nieźle się obłowił na tak zwanej transformacji, zainwestował jeszcze na początku lat 90. całkiem sporo partyjnych pieniędzy, zgadnij w co?

- W akcje FIRMComp.?

- Dokładnie. Co więcej, raport ten był bardzo krytyczny wobec tezy, że w Polsce panuje wolność słowa. I argumentowali nie tylko tym, że można pójść do więzienia za wyrażanie swych poglądów, a sądy nie pytają czy słowa są prawdziwe, ale o to, czy słowa kogoś obrażają. Wskazywali też na niemal monopolistyczną pozycję w dziedzinie mediów opiniotwórczych pewnego koncernu medialnego. Domyślasz się którego. Ale to nie wszystko. Trzy dni po ukazaniu się drugiego z artykułów o Danielu Sejm miał dokonać wyboru reprezentanta do

Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. W związku z generalną równowagą między koalicją pravicową a różnobarwną sprawa była bardzo niejasna. Kandydatem lewicy był bohater tego wywiadu sprzed paru miesięcy. Prawica miała dwóch: Forumowskiego, faceta o wyjątkowo skrajnych poglądach katonacjonalistycznych oraz dużo bardziej umiarkowanego, w zasadzie liberała, niejakiego Błazeja Gniewko, którego już w tej opowieści poznaliśmy. A teraz przeczytaj ten fragment:

W latach osiemdziesiątych guru Daniel ściśle współpracował ze środowiskami młodzieży alternatywnej skupionej wokół ruchu ŻeńSzeń, z wieloma z nich zawiązał trwającą do dzisiaj przyjaźń.

- Ja w swoim artykule nie wspominałem o ŻeńSzeniu!

- Ja wspominałem. Pan Gniewko wycofał swoją kandydaturę następnego dnia, w rezultacie czego umiarkowani posłowie mieli do wyboru albo skrajnego pravicowca, albo weterana walki emancypacyjnej. I to by było na tyle.

- Powiedz mi - podjął po chwili Jakub - tak porównując z hipotezą masońską, łatwiej jest ci w to wszystko wierzyć?

- Co znaczy wierzyć?! To są fakty!

- Wiesz co - powiedział po dłuższej chwili namysłu Jakub - te nasze teorie są chyba wszystkie warte funta kłaków. To znaczy, możliwe, że obie są prawdziwe, bo twoja nie wyklucza mojej. Ale brakuje tu jednego elementu. Skąd oni się dowiedzieli, że pani Ula i szefowa Zakonu 44 to jedna i ta sama osoba? Możliwe, że Urszula pchając się w tamte kręgi po prostu komuś tak czy inaczej nadepnęła na odcisk. Ale możliwe, a nawet prawdopodobne jest jeszcze inne wyjaśnienie. Nie było łatwo to wytropić, ale w końcu nitki mi się powiązały. Zastanowiło mnie, że agenci ABW w rozmowie ze mną aż w dwóch pytaniach, oczywiście oderwanych i w sporych odstępach czasu, wspominali nazwisko Zielińskiego. Nie mogłem sobie przypomnieć skąd znam to nazwisko. Potem mnie olśniło. Zresztą starczyło wrzucić w wyszukiwarkę. To minister zdrowia, były minister, jak się okazało. A ściślej, świętej pamięci minister zdrowia. Ostatnia wzmianka w poważnej prasie na jego temat to nekrolog, w którym zresztą nic ciekawego na pierwszy rzut oka nie było, tylko, że zmarł „po długiej i wyczerpującej chorobie”. I tyle. Szukałem czegokolwiek więcej, szukałem i nic. Żadna poważna gazeta ani mru mru. Przyszła kolej na niepoważne. No trafiłem w końcu na Nagie Super Fakty, przeglądam i znajduję. Okazuje się, że pan minister zmarł na raka mózgu. Co ciekawe, zdiagnozowano mu go dość wcześnie, ale



- uważaj - odmówił chemioterapii. Dziennikarzy to zainteresowało, rozmawiali z rodziną, ale dla niej to była wstrząsająca tajemnica. Powiedzieli tylko, że ktoś - nie wiedzieli kto - przekonał go do terapii naturalnej, miał się mianowicie leczyć wywarem z buraków.

- Czyli tym razem od mordercy do ofiary prowadziły buraczane, a nie krwawe ślady - Michał wykazał się rzadkim u siebie poczuciem czarnego humoru.

- Można tak powiedzieć. I wiesz, obecnie mam już pewność, że ABW nie wpadła na mnie pod wpływem rewelacji Gazety. Jak wiesz, już dość dawno temu utworzyłem w internecie małą stronkę z ogłoszeniem, że poszukuję eksów, byłych uczniów Daniela i spółki. Przejrzałem sobie logi z serwera, musiałem napisać krótki skrypt, który konwertuje adresy IP na nazwy hostów...

- Że co? - zapytał wstrząśnięty Michał.

- No, adresy identyfikujące komputer wchodzący na stronę. W każdym razie jeden z tych adresów po przełożeniu na host brzmiał [www.abw.gov.pl](http://www.abw.gov.pl). Wejście miało miejsce na długo przed ukazaniem się artykułów Gazety. Dwa tygodnie po śmierci Zielińskiego.

- Tak szybcy byli?

- Może mieli informatora? Tego już nie wiem. W każdym razie, to chyba niemożliwe, aby ktoś na nich trafił, czytając nasze artykuły, tam przecież nie ma żadnych nazwisk! To musiał być ktoś wtajemniczony, ktoś, kto wiedział czego szukać. Sprawdzałem to już po ukazaniu się artykułów, dlatego wiedziałem, że do mnie prędzej czy później przyjdą. W ostatniej chwili, jak się okazało.

- Wiesz, skoro nie jesteś pewny, że to masoni - powiedział Michał wyraźnie uradowany, że udało mu się wygonić z kolegi diabła Belzebubem, a przynajmniej, że „diabeł” stracił swą niepodzielną władzę nad Jakubem - to może nie obrażaj się zawczasu na Śliwę. Sądzę, że powinieneś z nim wprost porozmawiać. Jeśli maczał w tym palce, to może się przyzna, a może wie o czymś, czego nie wiesz?

\* \* \*

Jakub długo się wahał, czy pójść za radą Michała. Czuł się emocjonalnie zmęczony całą tą sytuacją. Ostatecznie jednak nadzieja na zrozumienie ostatnich wydarzeń, a przynajmniej jednego z ich wątków przemogła i Jakub stawiał się w gabinecie Śliwińskiego pod koniec dyżuru.

- O, pan Jakub, bardzo się cieszę, że zdecydował się pan przyjść - powiedział profesor Śliwiński, wstając ze swego przepastnego fotela i wyciągając rękę do gościa. Uśmiechał się, jednak z pewną ostrożnością. - Chyba mamy do porozmawiania.

Jakub usiadł na wskazanym miejscu.

- Pytałem pana Michała, dlaczego się pan nie pojawia na seminarium. Powiedział mi, że jest pan zły na tą moją wypowiedź w telewizji...

- Byłem nią nieco zaskoczony.

- Zatem bardzo pana przepraszam - powiedział ze szczerym smutkiem w głosie. - Zaszło pewne nieporozumienie. Wziąłem stanowisko pana Michała za wasz wspólny pogląd na tę grupę, nie wiedziałem, że jest pan w stosunku do niej aż tak życzliwie nastawiony...

- W wymiarze ideologicznym różnimy się z panem profesorem dość znacznie. - Doprawdy? Sądziłem, że jest pan liberałem? - Nie określiłbym tak swoich poglądów. - Jakub nie odpowiadał uśmiechem na uśmiech profesora.

- Z czym się pan w takim razie nie zgadza w moich poglądach?

- Krótko mówiąc, nie darzę sympatią generalnie ruchu wolnomularskiego.

- A! Więc wie pan - profesor uśmiechnął się zaskoczony. - Skąd, jeśli można spytać?

- Fotografia na pańskim regale. - Tu pierwszy raz na twarzy Jakuba dał się dostrzec cień uśmiechu.

- Spostrzegawczy pan jest.

- Powiem wprost. Uważam, że nagonka w prasie przeciwko „Zakonowi 44” nie była spontaniczną akcją mediów.

- Podejrzewa pan, że to robota „Dzieci Wdowy”? Hmm, niewykluczone. Niewykluczone. O jednym mogę pana z czystym masońskim sumieniem zapewnić: to nie ja byłem tego inspiratorem, i z tego co wiem, to nie wyszło z naszej Łoży i chyba nie z naszej obediencji. Ale do Wielkiego Wschodu to całkiem podobne, oni zawsze byli bardziej narwani.

- Pan profesor należy do łoży szkockiej, regularnej?

- Tak.

Łoże anglosaskie, jak Jakub doskonale wiedział, rzeczywiście były mniej radykalne. Wyznawały oświeceniowy deizm w przeciwieństwie do łoż romańskich, zwłaszcza francuskich, które wykreśliły Wielkiego Architekta ze swych statutów i były otwarcie antyreligijne.

- Mam nadzieję, że te różnice światopoglądowe nie okażą się tak wielkie, by przeszkodzić naszej współpracy - dodał profesor.

- A dla pana profesora to nie stanowi przeszkody? Współpracować z kimś, kto deklaruje się jako wróg masonerii?

Śliwiński uśmiechnął się.

- Panie Jakubie, jesteście uczonymi! Sługami Prawdy, a nie jakimiś tępymi politykami. Niech pan spojrzy na to z większej perspektywy, na przykład z Heglowskiej. Proces dziejowy odbywa się na drodze walki sprzeczności między wolnością a rozumem, dążąc do ich ostatecznego pogodzenia. Ale zanim to nastąpi muszą być i stale ścierać się stronnictwa reprezentujące emancypację i stronnictwa umacniające normy obiektywne. Ja dojrzywałem w apogeum tępego stalinizmu. Tego, czego oświeceni ludzie pragnęli wtedy najbardziej dla siebie i dla narodu, tym była wolność, brakowało nam wolności, dusiliśmy się. Dlatego starsi spośród nas w 1961 roku wskrzesili lożę i zaczęli wychowywać ludzi, którzy mieli stanowić kiedyś rdzeń demokratycznej opozycji. To były ciężkie czasy. UB deptało wielu z nas po piętach. Spotykaliśmy się zawsze w mieszkaniach o dwóch wyjściach, nigdy w loży nie było więcej niż piętnastu członków. Wszystkie przedmioty używane w obrzędach robiliśmy z papieru, aby łatwo można je było zniszczyć wrzucając do kominka czy zjadając. I wywalczyliśmy w końcu wolność, na którą pan może teraz narzekać, ale z której pan korzysta. I wywalczyliśmy ją pokojowo, po masonsku - profesor na chwilę pogrążył się we własnych wspomnieniach, po chwili jednak wrócił do rzeczywistości. - Tak więc dla mnie nie jest to żaden problem, akceptuję pana jako reprezentanta idei antytetycznej do mojej własnej, ale stanowiącej wraz z moją konieczny element jednego procesu dziejowego, rozwoju odwiecznego Ducha. Sądzę, że to nam nie musi przeszkadzać w analizowaniu dzieł Webera czy Luhmana, nie uważa pan?

- Trudno się z panem nie zgodzić - odpowiedział Jakub wyraźnie uderzony trafnością rozumowania profesora.

- A wracając do tej nieszczęsnej mojej wypowiedzi dla telewizji, to niech pan też zwróci uwagę, że nie powiedziałem nic ponad to, co zawierały pańskie publikacje. Wydaje mi się, że za bardzo panu nie namieszałem.

- Z tym nie do końca się mogę zgodzić, ale było, minęło, nie wracajmy do tego.

- Cieszę się. Zatem do zobaczenia na seminarium? - powiedział Śliwiński, wstając i wyciągając rękę do Jakuba.

- Zgoda.

# EPILOG

Jakub był zadowolony z siebie. To była dobra, merytoryczna, ale jednocześnie ostra dyskusja. Seminarium skończyło się pół godziny później niż zwykle, co dawało swoisty rekord trzech godzin pracy z krótką przerwą rozdzielającą referat od dyskusji. Rzecz dotyczyła książki o podziale pracy Durkheima. Dawno się tak nie poróżnili ze Śliwą. Ale Jakub był właśnie na świeżo po lekturze Spencera, stąd tak mocno uderzyła go wtórność i niesprawiedliwość Durkheima względem swego angielskiego poprzednika. Widać dała tu o sobie znać typowa stronniczość patriotyczna, którą Spencer tak trafnie opisał. Durkheim, jako Francuz musiał widać za wszelką cenę pokazać Anglikom, gdzie jest ich miejsce. Jakub przestudiował już wszystkie książki Durkheima i coraz mniej rozumiał, dlaczego był on zaliczany do klasyków socjologii. Poza tym, że zaszczepił socjologom pewien rygorizm metodologiczny, nie zawsze zresztą zdrowy dla sprawy poznania rzeczywistości, nie wymyślił niczego oryginalnego, niczego, co dałoby się obronić. Jego pojęcia są wyjątkowo wieloznaczne, co umożliwia mu uprawianie efektownej sofistyki. Sprzyja temu chyba też sam język francuski, w którym na przykład słowo conscience oznacza zarówno świadomość, jak i sumienie. Durkheim nie przewycięża tej wieloznaczności, ale ją sprytnie wykorzystuje, by dowodzić swych tez. Śliwiński argumentował, że to dowodzi organicznego charakteru tego Durkheimowskiego pojęcia, a takie może zawierać odróżnione aspekty, nawet sprzeczne. Jakub miał jednak wątpliwości, co do tego, że o to chodziło Durkheimowi, nie przeprowadził on bowiem systematycznej konstrukcji pojęcia organicznego.

Udał się do swojego pokoju w instytucie, by odbyć przepisany dyżur. Oddychał głęboko, w spacerowym tempie przemierzając dziedziniec uniwersytetu, reperując deficyt tlenowy wynikający z długotrwałego przebywania w zamkniętym pomieszczeniu zanieczyszczanym dodatkowo dymem z fajki Śliwińskiego. W trakcie seminarium powziął zamiar wyrażenia swojego stanowiska w formie artykułu. Przydałoby się ściągnąć z sieci trochę poważniejszych źródeł na ten temat. Na pewno, niestety, ktoś przed nim to już dostrzegł.

W pokoju, jego wzrok padł na pokaźną stertę studenckich prac semestralnych, która straszyla go od tygodnia. Wahał się, czy nie zabrać się do ich poprawiania. Podniósł jedną i rzucił

okiem nabierając jednocześnie do czajnika wody na kawę. „Teorie Komta i Spensera charakteryzują się determinizmem, fatalizmem, finalizmem, progresywizmem i jednoliniowością...” Jakub przerwał czytanie. Wystarczy. Ten pan student książki Spencera ani Comte’a nie widział na oczy. Co gorsze, wypisywanie takich idiotyzmów świadczy, że nie pojawiał się na wykładach. Ta „wyliczanka antyewolucjonistyczna” przeniknęła do jego mózgu chyba z jakiegoś popularnego podręcznika Wstępu do socjologii. Gdyby choć przejrzał skserowane notatki wiedziałby, że ani jedno z tych określeń nie znajduje potwierdzenia w świetle współczesnych badań. Niestety większości nie chce się czytać Comte’a i Spencera, większość podąża za głosem nielicznych, którzy obwołali się autorytetami od historii socjologii, a byli tylko średnio douczonymi przewodnikami po muzeach, nie potrafiącymi dostrzec niczego cennego i aktualnego w dawnych dziełach. Jakuba zastanawiała zawsze siła tych uprzedzeń „antypozytywistycznych”. Przecież od dawna jest kilka poważnych podręczników historii socjologii, które te bzdury obalają, opierając się na mocnych argumentach. „Wykształceni” ludzie okazują się podobnie odporni na argumenty, gdy stykają się z poglądem tak dalece sprzecznym z ich nawykowym postrzeganiem rzeczywistości. Laikom można by to wybaczyć, ale nie uczonym. Ci ostatni powinni wyrobić sobie podstawowy nawyk myślowy zadawania sobie co jakiś czas kilku prostych pytań: „A co, jeśli nie mam racji?”, „A co jeśli większość nie ma racji?”, „Jakie argumenty przemawiają przeciwko mojemu stanowisku?”, i tak dalej. Proste, dokuczliwe pytania. Element umysłowej higieny.

Dał sobie spokój z pracami studentów. Weźmie je na weekend do domu, jakoś się wtedy zmusi. Ten dyżur postanowił poświęcić na coś poważniejszego. Szybkie łącza uniwersyteckie zapewniały nieporównywalny komfort pracy. Mógł otwierać znalezione pliki w osobnych zakładkach przeglądarki i po chwili wszystkie już czekały na jego wstępny osąd. Po pół godzinie na pulpicie spoczywał już tuzin ściągniętych artykułów kluczowych zachodnich socjologów. Nie miał przy sobie dyskietki więc spakował je kompresorem i otworzył program pocztowy z zamiarem przesłania ich na swoje domowe konto. Zauważył przy okazji, że w skrzynce odbiorczej znajduje się nieprzeczytany list. Otworzył go.

„Witaj Jakubie, mam nadzieję, że mnie jeszcze pamiętasz. Chciałbym Cię prosić o spotkanie. Proponuję, jeśli Tobie to odpowiada, czwartek o osiemnastej, jeśli chodzi o miejsce, to może być Twój gabinet. Czekam na potwierdzenie.

Władek”

A to niespodzianka, pomyślał Jakub, o co może chodzić? List od Władka przywoływał stare wspomnienia. Minęło już kilka lat od ich ostatniej rozmowy. Od tamtego czasu nie miał żadnych informacji o Danielu i spółce. Ani w prasie, ani w mediach nie pojawiła się żadna nowa informacja. Zresztą Jakub już nie tak systematycznie przeglądał prasę pod tym kątem, po obronie doktoratu zajął się innymi, bardziej teoretycznymi problemami. Z tonu listu wnioskował, że może chodzić o coś poważnego. Na wszelki wypadek zatem napisał:

„W porządku, czekam. Jakub” Wysłał list, wysłał do siebie także skopiowane artykuły o Durkheimie i udał się do domu.

Wieczorem połączył się z siecią i odebrał pocztę. Była już odpowiedź Władka.

Bardzo się cieszę na to spotkanie. Mam kilka plotek na temat naszych wspólnych znajomych.

Jakubem zaczęły targać sprzeczne uczucia. Najpierw poczuł silną ciekawość: jak się potoczyły dalsze losy guru 44? Różne plotki do niego wprawdzie dochodziły, ale zwykle nie dawał im wiary. Jedna wyglądała na wiarygodną, bo dotarła do niego z kilku źródeł w tym od jednego naoczego świadka. Ponoć w ostatnie wakacje odwiedził jeden z ośrodków Sai Baby. Jakub musiał przyznać, że Daniel cel wybrał słusznie, bo o tym Babie miał jak najgorsze informacje. Ponoć został ekskomunikowany z własnego, macierzystego aśramu za uprawianie czarnej magii. Było też bardzo dużo relacji o jego pedofilskich skłonnościach, więc w sumie Daniel znowu chciał dobrze. Wszedł tam ponoć z całą swą wierną mu jeszcze świtą i powiedział, że Baba kazał im przekazać mu ośrodek, uznając w nim większego mistrza od siebie. Wyznawcy Baby najpierw zbaranieli, potem się naradzili i powiedzieli, że ma dwie minuty, aby odjechać, inaczej wzywają policję. Ani mu to było w głowie, zaczął się natomiast awanturować, a nawet wrzeszczeć, wtórowała „Dżeryja” nie pozostawało więc nic innego jak zadzwonić po policję. Skończyło się dramatyczną ucieczką z piskiem opon.

Inna, mniej wiarygodna plotka głosiła, że w końcu trafił do wariatkowa. Na ile go Jakub poznał, musieliby go nieźle naszprycować lekarsstwami uspokajającymi, aby go ostatecznie spacyfikować. Jakub próbował wyobrazić sobie Daniela w tej sytuacji, jego osłabiony chemikaliami głos „Jestem największym mistrzem na tej planecie...! W zasadzie to mógłbym już opuścić ziemię, nie mam tu partnera do rozmowy... Wy mnie chcecie leczyć?! To ja mógłbym was leczyć! Jesteście chorymi ludźmi, a nie lekarzami! Wy mnie tu tylko trujecie! Ale się wam nie dam, nie dam, nie dam...”

Innym razem jakiś „życzliwy” przysłał mu wycięty z gazety nekrolog: „dnia tegoatego w wieku 66 lat zmarł Daniel Drzewiecki, działacz społeczny...” i tak dalej. W to akurat Jakub ani przez chwilę nie uwierzył, stwierdzając, że to kolejny „montaż”, polegający najprawdopodobniej na wyrobieniu fikcyjnego świadectwa zgonu. Nie było trudno takie kupić, albo wystawić, zwłaszcza, że Robert przecież był lekarzem. Wystarczy potem wysłać takie do sądu i delikwent jest uznany za zmarłego. W końcu Daniel nie był żadnym zbrodniarzem hitlerowskim, aby go taki czy inny Mosad wyciągał z grobu. Może zresztą zaryzykowano i poprzestano na samym nekrologu.

Z drugiej strony cały stres związany z zamieszczeniem wokół jego osoby, konieczność kontaktów ze służbami specjalnymi i świadomość, że może być obiektem ich zainteresowania, własne nazwisko na pierwszych stronach gazet odłożyły się w jego psychice w postaci podświadomej niechęci do wracania do tej sprawy. Ta część jego duszy domagała się świętego spokoju, akademickich dyskusji o Durkheimie, wakacji z Anną, kolokwium ze studentami...

\* \* \*

Przywitali się serdecznie uściskawszy sobie ręce. Dawny mistrz i dawny uczeń. - I co tam u Daniela? - zapytał, gdy już usiedli. - Słyszałem, że nie żyje? - Żyje, pewnie ma się dobrze. Widziałem go parę miesięcy temu. Byłem na urlopie, nad morzem. Idę sobie plażą, patrzę - siedzi, ubrany tak jak zwykle, na biało, biała czapeczka, siedział na swoim myśliwskim trójnogu. Wokół niego kilkoro dzieci, on im coś tam tłumaczył, rysował patykami po piasku. Cały on. Wystarczy mu patyk, a już ma koło siebie kogoś do noszenia teczki. - dodał ze smutnym uśmiechem. W jego spokojnym, choć zdystansowanym sposobie mówienia dało się wyczuć dojrzałość kogoś, kto ciężką wewnętrzną pracą okupił wyzwolenie się spod wpływu guru. - Może, gdybym był sam, to bym do niego podszedł, ale tego dnia wyjątkowo miałem atrakcyjną towarzyszkę i wolałem nie ryzykować.

- Czyli sądzisz, że Wspólnota nadal istnieje?

- Nie wiem i średnio mnie to obchodzi. Od dłuższego czasu nie robili nic, z czym mógłbym się identyfikować - powiedział Władek. Nasypując herbaty do szklanek, Jakub zauważył, że Władek zmienił się trochę, zgolił brodę, zaczął się bardziej elegancko ubierać. - Rozmawiałem raz z Urszulą, wedle tego co mówi, a wiesz, jak dalece można wierzyć takim ludziom, historia Daniela jest już zamknięta albo wkrótce będzie. Próbowala nawet wejść mi do

łóżka, ale ją spławiłem. Wiesz, grała taką biedną zagubioną i samotną dziewczynkę. A jej facet czekał w samochodzie.

Gdy Jakub podał herbatę Władek podjął opowieść:

- Opowiadała, że od tamtej afery prasowej było z Danielem coraz gorzej. Zaczął sobie uświadamiać, że nie udało mu się to, co zaplanował, zaczął zachowywać się jak jakiś zraniony dyktator. Raz wykrzykiwał, że wszyscy go zawiedli, że ludzkość nie dorosła do niego, nie poznała się na nim, uczniowie go zdradzili, okazali się idiotami. Innym razem, gdy zderzył się z czyimiś pretensjami, zaczynał się nad sobą użalać, że czego oni od niego chcą, od kaleki bez wykształcenia i tak dalej. Tak przynajmniej mi opowiadała.

- Powiedz mi, a jak on się wymknął ABW? - Jakub postanowił zmienić nieco temat. - Nie wiem, mogę się tylko domyślać. Pamiętaj, że ma trochę znajomych w Wielkim Wschodzie.

- Fakt - przytaknął Jakub, to potwierdziło jego przypuszczenia. - Sądziś, że ta cała afera to montaż łoży?

- Nie wiem, możliwe. Ale nie od tego się zaczęło - dodał zaraz Władek, ożywiając się. - Poszło o Helenę.

- Znowu? A kim był Parys?

- Hubert, jej ojciec. Był kiedyś uczniem Daniela, ale potem prysnął. Wrócił po kilku latach i zaczął pracować jako księgowy w jednej z fundacji Urszuli.

- Księgowy mafii?

- Właśnie. Dano go Hani. Nie wiem czy pamiętasz, zimna, fanatyczna i bezwzględna, właśnie została z czworgiem dzieci, gdy uciekł od niej poprzedni facet. Biedak, nie wytrzymał. Teraz Hubert miał być jej mężem i uczniem. Wytrzymał do czasu, gdy o mało nie zagłodziła ich córki.

- Skąd o tym wiesz?

- Gdy uciekał, nawiązał ze mną kontakt, przenocowałem go kilka dni. Jak zobaczyłem to dziecko, wiesz, miało wtedy ze cztery miesiące, ale wyglądało jakby już przeszło Auschwitz. Podkarmiliśmy ich z Zośką, bo on zresztą też fatalnie wyglądał. Oni tam się teraz żywią kartoflami wymieszanymi z najtańszym olejem. Wcześniej był u dominikanów, ale wiesz jacy oni są, bardzo elokwentni, ale jak trzeba coś zrobić to bardzo, bardzo długo myślą i nic z tego nie wychodzi. Mogą się pomodlić, ale w realnym świecie za bardzo nie wiedzą jak się znaleźć i pomóc w konkretnej sytuacji. Zresztą w ogóle mu nie uwierzyli, bo co to za sekta, która posyła



dzieci do szkoły. Poza tym twierdzą, że są od informowania a nie pomocy. Został na lodzie i zaczął się szarpać. Policja, prokuratura, ale wiesz, ile trwają tego typu postępowania, zwłaszcza, że cholernie trudno komukolwiek wytłumaczyć co to było, w czym się tkwiło. Więc zaczął rozsyłać donosy do gazet. Pół roku nie było żadnego odzewu. Dopiero potem się okazało, że jednak ktoś się tym zainteresował.

- Też mi tu coś nie gra. Dlaczego tak długo czekali? - powątpiewał Jakub.

- Nie mam pojęcia. Nie sędzę, aby tak długo to sprawdzali, bo wiesz, jak niewiele w sumie odkryli, patrząc po rezultatach, to robota góra na dwa tygodnie jeżdżenia po Polsce. Ale to wszystko co wiem i jedyna nić wiążąca sprawę z prasą, przynajmniej od tej strony, bo oczywiście różne interesy się do tego podłączyły, co do tego nie miejmy złudzeń.

- I co z tym Hubertem? - Dziecko mu oczywiście odebrała policja i oddała Hani, bo oficjalnie ślubu nie mieli, więc musi wpierw dowieść ojcostwa. Walczy dalej w sądzie, ale raczej nie ma szans. Wiesz, że Hania jest prawniczką, do tego wzięła Jadwigę, pediatrę do pomocy i skleciły taką wersję, że mucha nie siada. Pani sędzia miała po jednej stronie młodego bezrobotnego faceta, który mówił coś o jakiejś nieznannej sekcje, a po drugiej dwie elokwentne kobiety, no właśnie, kobiety, a to też ważne w odniesieniu do tak małych dzieci. Matkę, działaczkę społeczną, sumienną pracownicę poważnej firmy i co najważniejsze - panią adwokat, a więc członkinię korporacji, za którą wstawia się pani lekarz pediatra. W rezerwie był Robert, który jak wiesz, kończył medycynę i zanim go nie wysłali na studia biznesowe chyba z trzy lata praktykował. Był wprawdzie reumatologiem, ale teraz przybył z odsieczą jako ekspert pediatrii. A, że dziecko do czasu pierwszej rozprawy przytyło...

- A policja?

- Policja jest niezwykle skuteczna w wykrywaniu zabójstw, do których ktoś sam się przyzna. Zobaczymy, jeszcze nie wszystko się przesądziło, ale znając nasz system sprawiedliwości...

- A co słyszeć u Urszuli? - podjął po chwili Jakub.

- To wiem skądinąd, bo w to co sama o sobie mówiła, za grosz nie wierzę. Ma się ponoć całkiem dobrze. Udało się jej na powrót wkręcić do salonu, głównie chyba dzięki nowemu mężowi, znanemu profesorowi psychologii. Facet nie ma pojęcia, że posłużył głównie do zmiany nazwiska, ale już zaczyna odczuwać, w co się wpakował. Widziałem go raz urzędnego, jak przetaczał się przez Marszałkowską. Sama pani Ula pomaga jeszcze Danielowi, ale bardzo bym

się zdziwił, gdyby traktowała go poważnie i realizowała jego modele. Z pewnością utrzymuje pozory wobec swych uczniów, to w końcu dzięki planowi Daniela, nawet jeśli się nie powiodł, dostała władzę, narkotyk, który tak bardzo kocha. Podobnie jej uczniowie, poustawiali się i robią interesy.

Po chwili milczenia, w trakcie której Jakub chłonał nowiny, Władek zapytał.

- A jak tam twoje badania? Przewidziałeś, że tak to się skończy?

- Przewidywałem jakąś tego typu wpadkę, wszystkie przyczyny już były, pozostało czekać na iskrę zapalną i skutek. Zagłada takich grup zawsze zaczyna się od izolacji.

- Zawsze się izolowali, każda taka grupa musi się izolować, aby zachować tożsamość - zaprotestował Władek.

- Tylko, że są różne rodzaje i stopnie izolacji. Można być ściśle tajną organizacją, izolować się mentalnie od społecznego otoczenia, ale napływ nowych członków wymusza jednak jakieś przystosowanie do rzeczywistości, oni przynoszą ją ze sobą. Wtedy organizacja żyje, rozwija się, zmienia. Bez tego tracisz kontakt z rzeczywistością. Ich los był przesądzony, kiedy przestali werbować nowych ludzi. Do tego, jak wiesz, każdy wewnątrz też dystansował się od innych. Taka to wspólnota! Najbardziej to musiało dotknąć samego Daniela, który nie tylko odizolował się od świata zewnętrznego, ale też po oddaniu władzy, od Wspólnoty. To stały problem władzy autokratycznej. Ludzie w najbliższym otoczeniu tak dalece uwielbiają przywódcę, że nie mają odwagi zawracać mu głowy rzeczywistą sytuacją, więc stwarzają mu fałszywy, wyidealizowany obraz. Tak skończył Hitler, stale przez wszystkich okłamywany i ostatecznie dowodzący nieistniejącymi dywizjami. To jednocześnie daje olbrzymią swobodę tym ludziom z otoczenia, jak już zaczną kłamać w „dobrej” intencji, zapewne nie zawahają się skłamać i w „złej”, kłamstwo wchodzi w krew.

- Sugerujesz, że Daniel nie zdawał sobie sprawę co wyprawia Urszula ze swoimi ludźmi? Nie za bardzo go rozgrzeszasz?

- Cóż, on sam mawiał, że gdy można wiedzieć, niewiedza jest winą. Myślę, że popełnił jeszcze inny błąd. Daniel próbował łączyć wspólnotę ezoteryczną z przedsiębiorstwem biznesowym i mafią polityczną. Sądzę, że trzeba się jednak na coś zdecydować.

- Powiedziałeś mafią?

- W rozumieniu cybernetyki społecznej, nie mafią przestępczą, ale zakonspirowaną organizacją dążącą do zdobycia wpływu. Tyle, że polityka, biznes i, nazwijmy to, religia, rządzą

się odmiennymi regułami, a zatem potrzebują innego typu organizacji. W polityce masz organizację hierarchiczną, wymagającą posłuszeństwa wobec władzy, w biznesie, masz dobrowolne kontrakty za obopólną korzyścią, w religii masz autorytet osobowy, oparty na dobrowolnym uznaniu wyższości kompetencyjnej, i tak dalej, nie będę cię tym zanudzał, ale jasne jest, że z mieszania tych zasad niczego dobrego nie wynika. A przede wszystkim, całość jest mniej skuteczna. Ludzie, zwerbowani do organizacji ezoterycznej niekoniecznie mają strukturę osobowości nadającą się do biznesu i odwrotnie.

Po chwili milczenia, w której było widać, że Władek zbiera myśli i zamierza przejść do meritum, powiedział.

- Wiesz Jakubie, chciałem się spotkać z tobą w innej sprawie. Męczy mnie pewna myśl. - Władek zamilkł i dłuższą chwilę zbierał myśli. - Bo widzisz, historia toczy się już bez Daniela i bez jego Wspólnoty, ale dopóki istnieją nasi znajomi, „dzieci wdowy”, pozostaje zadanie jej pisania. Sądzę, że pióro powinno przejść w inne ręce. Gra się toczy dalej, a ja chcę do niej stanąć. Długo nad tym myślałem. Chciałbym cię prosić o pomoc.

- Pomoc w czym, konkretnie? - Chcę założyć nową wspólnotę, organizację. Antymasonerię. - Zaczynasz od nowa dzieło Daniela? - Można to tak ująć. Ale chciałbym to zrobić lepiej. Sądzę, że masz wiedzę, która może być do tego bardzo przydatna. Razem moglibyśmy to zrobić skuteczniej. Ja mam zdolności przywódcze i pewne doświadczenie organizacyjne.

- Ty również zachorowałeś na władzę? - zapytał nie bez nuty złośliwości Jakub.

- Platon pisał, że jedni ludzie sami garną się do władzy. Drugich trzeba do tego zmusić karą. Tą karą jest to, że są rządzeni przez głupszych i bardziej niegodziwych od siebie. Osobiście czuję się w ten sposób karany i zmuszany do podjęcia odpowiedzialności. Może, gdybym nie wiedział wszystkich tych rzeczy, które wiem...

- Czego ode mnie konkretnie oczekujesz? - na Jakubie zapął i zdecydowany spokój Władka zaczynały wywierać wrażenie.

- Żebyś mi pomógł to zaplanować. Pomocy w robocie koncepcyjnej krótko mówiąc.

- Mam napisać nową wersję Planu? - zapytał Jakub. I dodał z wyraźną ironią - Co chcesz osiągnąć? Chcesz ocalić świat? Widzisz problem w tym, że ja już nie wierzę, aby można było cofnąć czas. Procesy, które identyfikujesz za Danielem z masonami, są starsze niż masoni, są już tak potężne, że żadna tajna organizacja ich nie cofnie.

- Nie chodzi o to, co uda się osiągnąć. Chodzi o to, że mamy, mam obowiązek stanąć do walki.

Jakub zamyślił się. Być w mniejszości skazanej na klęskę, w imię tego, w co się wierzy. Sprzeciwić się, choćby dla samego sprzeciwu. Patos Ostatniego Bastionu, albo zagubionego legionu, samotnego oddziału szarżującego na milionowe szeregi wroga, w odsiecz dla najświętszych wartości, pogodzonego z losem i szukającego choćby chwalebnej śmierci...

- Wiesz, chyba nigdy szczerze nie rozmawialiśmy na temat masonerii - podjął Jakub, pozornie zmieniając temat. - Myślenie Daniela było dość niespójne w tym temacie. Potępiał masonerię, a jednocześnie często działał nie do końca przeciwko jej planom. Powiedz mi, w czym upatrujesz największe zło masonerii?

- Dziękuję ci za to pytanie. Myślę, że kluczem jest ideał równości. Pomijam już, że wewnątrz łoży ta równość może być pozorna, ale upowszechniają ten ideał, wzmacniając instytucje, które go wyrażają i eliminują tym samym wszystko co wielkie, wybitne... nie widzisz dookoła, jak wszystko się degeneruje? Jak człowiek, przynajmniej w naszej cywilizacji się degeneruje? Żołnierze są coraz tchórzliwsi, uczeni coraz gorzej wykształceni i bardziej bezczelni, zakłamani, kapłani coraz mniej wymagający od siebie, coraz bardziej dwulicowi, politycy stający się posłusznymi lokajami wyborców, wszystko zmierza ku przeciętności, bylejakości, małości. Coraz mniej drogowskazów wskazuje wzwyż. Zobacz skutki: ludzie od siebie nie wymagają, w rezultacie nasza cywilizacja się już nawet nie rozmnaża. Po co się wysilać. Oczywiście łatwiej zarządzać społeczeństwem jednakowych miernot, łatwiej na nich zarabiać.

- Chyba już rozumiem - uśmiechnął się Jakub. - Tylko, nawet jeśli masz rację, to nie do końca jest wina masonerii. Nie zadawałeś sobie pytania, dlaczego ludzie przyjmowali i przyjmują tak chętnie tę ideologię? Dlaczego wydaje im się tak oczywiste, że wszyscy ludzie są równi, że wszyscy powinni mieć równe prawa?

- Słucham - powiedział ze szczerym zainteresowaniem Władek.

- Widzisz, człowiek rozwija się na tyle, na ile zmuszą go do tego warunki. Wymogi tych warunków ludzie wyrażają w swych hierarchiach wartości. System wartości, za którym tęsknisz, czy je nazwiesz arystokratycznymi, czy inaczej, wyrażał warunki, gdzie od mężczyzn rzeczywistość wymagała męstwa, wojowniczości, odwagi, dyscypliny, dowodzenia swej wartości. Nazwę ci te warunki jednym, bardzo przykrym słowem: wojna. Wojna z innymi ludźmi lub ze zwierzętami. W arystokracji wyrażał się etos wojowników. Oczywiście mam na myśli

wojnę starego typu, gdy patrzyło się wrogowi w twarz, gdy wynik starcia zależał od czynnika ludzkiego, od tego, na ile walczący ucieleśniają te wartości. Współczesne wojny to oczywiście inna sprawa. Czynniki ludzki ustępuje miejsca innym czynnikom, i wojny stały się dużo bardziej nieludzkie. Dlatego coraz większa nienawiść do wojny, a dalej, do wszelkiej walki. Większość zwykłych ludzi zawsze pragnęła pokoju. A jeśli chcesz pokoju, to się dogadaj, zawrzyj kompromis, obaj jesteście ludźmi. Po za tym, nie zapominaj, co pisał Bô Yin Râ, wszyscy jesteśmy dziećmi swoich czasów. Nawet gdybyśmy zaczęli trenować sztuki wojenne dawnych cywilizacji, to przypominilibyśmy co najwyżej żywe eksponaty muzealne. Prawda jest taka, Władku, że w porównaniu do naszych przodków, jesteśmy mięczakami, nawet, gdybyśmy się pod tym względem wyróżniali na tle sąsiadów. Choćbyś się zaczytywał w Nietzschem i Iliadzie, będzie to na nic, dopóki nie zmienisz warunków swego życia. Ale dążyć dzisiaj do wojny, to znaczy chcieć zagłady gatunku, a więc koło się zamyka.

- Nie do końca się zgadzam. Po pierwsze, arystokracja nie jest czystym etosem wojowniczym. Jest syntezą, takim połączeniem siły i waleczności, która jednak służy nie sobie samej, ale całemu społeczeństwu, również słabszym. Poza tym, wojna nie jest jedyną sytuacją przyczyniającą się do rozwoju tych cech arystokratycznych. Sama natura może stwarzać takie warunki, morze, pustynia, góry. Wojna była może jedyną sytuacją zdolną wywrzeć taki wpływ na całe narody, ale elity często miały pełną świadomość, że duch mężny rodzi się przez konfrontację z rzeczywistością, z trudnościami, w walce, w zmaganiu się z oporem. Przecież na tym polega cała tradycja rytuałów inicjacyjnych - to sztuczne odtworzenie warunków na tyle surowych, aby człowiek mógł się w pełni rozwinąć. Poza tym, tak sobie myślę, że można by spróbować przenieść ideał wojownika z dziedziny militarnej w kulturę. Ten twój Nietzsche przecież nie nawoływał do przelewania krwi. Nie trzeba budować antytezy liberalnego pacyfizmu, nadszedł czas na syntezę, Przeniesienie sposobu myślenia wojownika, a przede wszystkim jego cnót w sferę twórczości duchowej.

- Wojownicy ducha? Nieźle brzmi - przyznał Jakub. Przez chwilę walczył z pokusą polemizowania dla samej dyskusji, ale zastanowił się i musiał uznać argumenty Władka. - Może masz rację, może czas na nową syntezę. Zatem zachowując największe osiągnięcie tendencji przeciwnej, egalitarnej, czyli przypomnienie jedności gatunkowej ludzkości, miłość bliźniego jako podstawa stosunków międzyludzkich wprowadzamy do tego jeszcze starszy aspekt afirmacji nierówności - zamyślił się znowu. - Powiadasz, że chcesz zbudować antymasonię, znaczy

chcesz organizacji, która by wywierała podobny wpływ, tylko w odwrotnym kierunku, tak? W jaki sposób?

- A jak oddziałuje masoneria? Daniel mylił się sądząc, że przede wszystkim przez manipulację. Masoneria jest przede wszystkim ośrodkiem wychowywania elity demokratycznej. Przyszli liderzy uczą się tam dyskutować i znajdować kompromis, obecni liderzy porozumiewać się ponad podziałami. Potrzeba szkoły, w której mogłaby wychowywać się elita arystokratyczna. Szkolenie charakteru i wartościowy trening intelektualny. Formację w duchu wartości tych, których jest obecnie największy deficyt, wojowniczych, męskich. Najlepiej rozpisaną na ileś konkretnych szczebli wtajemniczenia. To musi wiązać się z autentycznymi sytuacjami inicjacyjnymi - podkreślił mocno Władek. - Muszą to być realne próby, które przekształcają człowieka z dziecka w mężczyznę, a nie samo gadanie. - A zatem pomożesz mi stworzyć tę nową, zachodnią szkołę inicjacyjną?

- Stowarzyszenie wojowników myśli, szkołę arystokratycznych elit na czas Wielkiego Schyłku? - zawiesił na chwilę głos, ważąc propozycję.

Odczuł w sobie starą pokusę, pokusę, jaka kiedyś ośwładnęła Marksem, pierwszym szalonym socjologiem, a którą wyraził on w swej jedenastej z tez o Feuerbachu: Filozofowie dotąd tylko interpretowali świat, tymczasem chodzi o to, by go zmieniać. Poczul się przez chwilę, jakby stał na londyńskim cmentarzu Highgate, gdzie znajdował się grób Marksa na którym tę tezę wypisano, a opodal nagrobek Herberta Spencera, święcie wierzącego, że każda ingerencja w proces historyczny rodzi tylko więcej szkód i cierpień. A jednak nawet Spencer dał się namówić na udział w społecznej akcji na rzecz rozdziału Kościoła i państwa.

- Na etapie wstępnych badań możesz na mnie liczyć. Jest to dla mnie interesujące również od strony naukowej. Ale szczerze mówiąc, nie wierzę, by taka organizacja była w stanie zahamować dominujące procesy. Niestety, jest tylko jedna siła, która jest w stanie tak dalece obudzić namiętności ludzi, i to w skali wystarczająco masowej, by zmusić ich do choćby czasowego przekroczenia perspektywy własnych interesów.

- Jaka to siła?

- Religia. Ale żadna z istniejących mi się nie podoba.

KONIEC